

# Zimny ogień

Dean R. Koontz



calibre 0.9.27

DEAN KOONTZ

Zimny Ogien

Przełożył Paweł Korombel Wydanie oryginalne: 1991 Wydanie polskie: 2002 Poswiecam Nickowi i Vicky Page'om, którzy byliby wspaniałymi sąsiadami i przyjaciółmi, gdyby im się tylko chciało - oraz Dickowi i Pat Kanonom, jednym z niewielu w Hollywood, którzy są i pozostaną sobą. Dzięki wam wszystkim stałem się lepszy.

Bardziej postrzelony, ale lepszy!

CZESC PIERWSZA

BOHATER I PRZYJACIEL

W realnym świecie tak jak w snach wszystko coraz to inna ma twarz.

KSIEGA POLICZONYCH SMUTKÓW

Życie bez celu przytłacza nas. Spełnijmy więc co los nadarzy - lub rogu Śmierci usłuchajmy, w mrok wezwani.

Gdy cel nam w życiu nie przyswieca, martwe są oczy uderka los albo piers zboczy samobójczy cios.

KSIEGA POLICZONYCH SMUTKÓW

4

5

12 SIERPNI

1

Jeszcze przed wypadkami w supermarkecie Jim Ironheart powinien wiedzieć, że szykują się kłopoty. W nocy przesładował go koszmar. Po rozległym polu ścigało go stado wielkich kosów. Skrzeczały, ogłuszająco trzepotały skrzydłami, ciała dziobami ostrymi jak chirurgiczne skalpele. Kiedy otrząsnął się ze snu, nie mógł złapać tchu. Nie wkładając nawet góry od pizamy, poczłapał na balkon odetchnąć świeżym powietrzem. Ale już o wpół do dziesiątej rano słupek rtęci w termometrze wskazywał trzydziści trzy stopnie i wrażenie duszności, które nie pozwoliło mu spać, tylko się pogłębiło. Długi przysnąć i golenie odświeżyły go.

W lodowce nie było nic poza wyschniętym na wior kawałkiem ciasta. Przypominało laboratoryjną kulturę nowego, wyjątkowo jadowitego szczepu bakterii. Pozostawało głodować albo zanurzyć się w buchający żar.

Sierpniowy dzień był tak gorący, że żyjące w realnym świecie ptaki przysiadły na konarach drzew, zamiast szybować po otwartym, spalonym słońcem niebie południowej Kalifornii. Tkwiły bezgłośnie w liściastych kryjówkach, cwierkając z rzadka i bez entuzjazmu. Psy szybko przemykały wzdłuż chodników parzających jak grill. Żaden przechodzień: mężczyzna, kobieta czy dziecko, nie musiał sprawdzać, czy jajko usmaży się na betonie, mógł to przyjąć na wiarę.

Zjadł lekkie śniadanie w przybrzeżnej kafejce w Laguna Beach. Mimo iż siedział na patiu przy stoliku z parasolem, poczuł, jak znowu opuszczają go siły, a ciało pokrywa warstwa potu. Był to jeden z tych nielicznych dni, kiedy Pacyfik nie tchnął nawet cieniem powiewu.

Pojechał do supermarketu: początkowo robił wrażenie przyjaznego schronienia. Jim miał na sobie tylko białe, luźne bawełniane spodnie i niebieską koszulkę, a klimatyzacja i zimne powietrze, dobywające się z chłodzonych pojemników, działały ożywczo.

4

5

Stał właśnie przy słodyczach, porównując skład makaroników z zawartością batonów ananasowo-kokosowo-migdałowych i próbując ustalić, którym produktem mniej zgrzeszy przeciw diecie odchudzającej, kiedy dostał ataku. Jak zawsze, nie wyglądał groźnie - nie było konwulsji, gwałtownych skurczów mięśni, zlewania się potem ani odzywek w obcym języku. Po prostu nagle obrócił się do stojącej obok kobiety i rzekł: -Linia życia.

Kobieta miała około trzydziestki, była ubrana w szorty i strzepek bluzki ledwo zasłaniający piersi. Była tak ponętna, że mogła stanowić cel natrętnych męskich propozycji, być może więc uznała to za chęć nawiązania znajomości. Zmierzyła go ostrożnym spojrzeniem:

-Proszę?

Płyn z prądem, pomyślał. Nie przejmuj się.

Zaczął drzeć, ale nie z winy klimatyzacji. Nagle poczuł, jak przebiega przez niego chłód.

Jak sunąca lawica węgry. Stracił władzę w rękach. Paczki słodczy upadły na podłogę.

Zażenowany, ale niezdolny zapanować nad sobą, powtórzył:

-Linia życia.

-Nie rozumiem - powiedziała kobieta.

-Ani ja - odrzekł. Była to prawda, choć zdarzyło mu się to po raz dziewiąty. Sciskała paczkę waniliowych wafelków, gotowa rzucić mu nią w twarz w każdej chwili, gdyby tylko przejawiał ochotę zamienić się w chodzący nagłówek (SZALENIEC ZASTRZELIŁ SZOSTKĘ LUDZI W SUPERMARKECIE). Ale była z niej na tyle dobra dusza, że zdobyła się na jeszcze jedno pytanie:

-Nic panu nie jest?

Rzecz jasna, musiał być błąd jak śmierć. Czuł, jak z twarzy odpłynęła mu ostatnia kropla krwi. Usiłował zdobyć się na uspokajający uśmiech, chociaż wiedział, że nie wyjdzie mu nic poza upiornym grymasem.

-Muszę iść - odparł.

Zostawił koszyk i prosto ze sklepu zanurzył się w niszczący upał sierpniowego dnia.

Skok temperatury momentalnie sciał mu oddech. Asfalt na parkingu miejscami lepił się do podeszew. Słońce srebrzyscie lśniło na szybach wozów, roztrzaskując się na zderzakach i kratkach chłodniczych w olsniewające drzazgi.

Podszedł do swojego forda. Wóz miał klimatyzację, ale powietrze ulatujące ze szczelin w desce rozdzielczej było chłodne jedynie w porównaniu z temperaturą włączonego piekarnika, panująca w środku wozu. Opuszczył szybę.

Najpierw nie wiedział, dokąd zmierza. Następnie ogarnęło go niejasne przeczucie, że powinien skierować się do domu. Przeczucie zamieniło się w przekonanie, przekonanie w silne postanowienie. Postanowienie przybrało formę nakazu. Absolutnie musiał znaleźć się w domu.

6

7

Jechał zbyt szybko, często zmieniając pasy i ryzykując, co zupełnie do niego nie pasowało. Zatrzymany przez policję, nie umiałby wyjaśnić tego rozpaczliwego pośpiechu, gdyż sam nie wiedział, czemu się spieszy. Każde posunięcie było mu narzucane przez kogoś niewidzialnego, posługującego się nim równie łatwo, jak on posługiwał się samochodem.

Powtórnie nakazał sobie płynąć z prądem zdarzeń i impulsów. Nie było to trudne.

Nie miał wyboru. Powtarzał sobie również, że nie powinien się bać, ale strach mu ciągle towarzyszył.

W Laguna Niguel wjechał na swój podjazd. Ostre cienie palmowych liści rysowały się jak pęknięcia na płonących białych, otynkowanych ścianach domu, jakby budowla pod wpływem upału wyschła i się rozwarła. Czerwone dachówki przypominały fale szalejącego ognia.

W sypialni słońce wzbogacał miedziany blask, użyczany przez barwione szyby. Łóżko i szaro-biały dywan na przemian przecinały pasy koloru jednocentówki i pasma cienia, rzucane przez na wpol uchylone okiennice.

Zapalił lampkę przy łóżku.

Nie wiedział, że szykuje się do podróży, dopóki się nie zorientował, iż sięga do szafy po walizkę. Zaczął pakowanie od

przyborow do golenia i drobiazgow toaletowych. Nie wiedzial, dokad jedzie ani na jak dlugo, ale wzial dwie zmiany bielizny. Te wyprawy - zadania, misje czy jak je tam nazwac - zwykle nie trwaly wiecej niz pare dni.

Zawahal sie, niespokojny, czy nie zabral zbyt malo rzeczy. Ale wyprawy byly niebezpieczne; kazda mogla okazac sie ostatnia. Wielkosc bagazu nie miala znaczenia.

Zamknal walizke i wpatrywal sie w nia, nie wiedzac, co dalej. Az powiedzial:

-Musze leciec. - I juz wiedzial.

Jazda na lotnisko Johna Wayne'a, lezace na poludniowo-wschodnim skraju Santa Ana, zabrala mu mniej niz pol godziny. Po drodze mogl dostrzec drobne slady przeszlosci z czasow, kiedy przed budowa systemu nawadniajacego poludniowa Kalifornia byla jeszcze pustynia: wielki plakat zalecajacy oszczednosc wody, kaktusy i trawe srodziemnomorska, ktora mieszkancy nowych domow w stylu poludniowego zachodu sadzili od frontu. Pomiedzy pasami trawnikow i skupiskami domow, bogato obrosnietymi zielenia, roslinnosc na zaniedbanych polach i pagorkach byla zeschnieta i brazowa. Zdawala sie czekac lizniecia plomyka zapalki rzuconej drzaca dlonia jakiegos piromana. Byla pelnia dorocznego, niszczonego sezonu burz ogniowych.

W glownej hali lotniska pasazerowie ciagneli dwoma strumieniami: jedni wchodzili na poklady samolotow, drudzy je opuszczali. Wielorasowy tlum zaprzeczal mitowi, jakoby okreg Orange byl kulturowo jednolity i zamieszkanym wylycznie przez bialych protestantow pochodzenia anglosaskiego. Zmierzajac do rzędu monitorow z listami przylotow i odlotow rejsow pasazerskich, Jim uslyszal rozmowy prowadzone w czterech obcych jezykach.

6

7

Przeogladal punkty docelowe na monitorze, sledzac liste od gory do dolu. Nazwa przedostatniego miasta - Portland w Oregonie - pobudzila go do dzialania. Ruszyl wprost do kasy. Obslugujacy go kasjer byl mlodym, krotko ostrzyzonym czlowiekiem. Na pierwszy rzut oka wydawal sie rownie bez zarzutu jak pracownik Disneylandu.

-Rejs do Portland, odlot za dwadziescia minut - powiedzial Jim. - Sa miejsca?

Kasjer sprawdzil na liscie komputera.

-Ma pan szczescie. Sa jeszcze trzy.

Kiedy kasjer przejechal jego karta kredytowa przez czytnik i wydawal mu bilet, Jim zauwazyl, ze facet ma przeklute uszy. Nie afiszowal sie w pracy z kolczykami, ale dziury byly wyrazne. Poza miejscem zarobkowania musial stale nosic ciezka bizuterie.

Widocznie taki mial gust. Kiedy zwracal Jimowi karte, mankiet koszuli podjechal mu na prawym przegubie, tak ze obnazyl precyzyjny tatuaz: kolorowy smok wspinal sie w gore przedramienia, szczerzac kly. Facet mial klykie spekane od licznych blizn, jakich mozna sie dorobic podczas walki.

Przez cala droge do wejscia na poklad samolotu Jim zastanawial sie, w jakim podkulturowym bajorze plywa kasjer, gdzie znika, kiedy zrzuca uniform i wklada prywatne ciuchy. Mial przecucie, ze nie chodzi tu o nic tak pospolitego jak grupa motocyklowych punkow.

Samolot skierowal sie na poludnie. Slonce bezlitosnie oswietlalo okno Jima. Potem, nad oceanem, skrecili na zachod i polnoc. Slonce odbijalo sie w morzu na dole. Zarzacy sie krąg przemienial wode w szerokie platy magmy, wypluwane spod panczerza planety.

Jim poczul, ze mocno zaciska zeby. Spojrzal na oparcia swojego fotela. Jego palce wygladaly jak wczepione w gran szpony orla.

Usilowal sie rozluznic.

Nie bal sie lotu. To, co napawalo go lekiem, to Portland... i smierc, ktorej mogl sie tam spodziewac, a ktorej twarzy nawet nie znal.

2

Holly ?orne siedziala w prywatnej szkole podstawowej w zachodniej dzielnicy Portland. Miala zrobic wywiad z nauczycielka Luiza Tarvohl. Luizie udalo sie sprzedac zbior wierszy nowojorskiemu wydawcy. Taka gratka nie zdarzala sie czesto, zwlaszcza w epoce, w ktorej znajomosc poezji zawezala sie do piosenek muzyki pop i przypadkowych rymowanek z reklam telewizyjnych, gloszacych zalety jedzenia dla psow, dezodo8

9

rantow i radialnych opon samochodowych. Szkola prowadzila obecnie tylko pare letnich kursow i kolezanka Luizy przeejala jej obowiazki. Poetka miala czas na rozmowe z Holly. Siedzialy na placu za sekwojowym stolem, przy którym urzadzano pikniki. Holly najpierw upewnila sie, czy lawka jest czysta; nie miala zamiaru ubrudzic bialej bawelnianej sukienki. Po lewej stronie wznosil sie malpi gaj, po prawej staly hustawki. Dzień był przyjemny i ciepły, lekki wiaterek niosł aromat jodeł.

-Tylko wciagnij powietrze! - Guziki na koszuli Luizy zatrzeszczaly ostrzegawczo.

-Czuje sie te piec tysiecy akrow parku, co? Czlowiek nie zdolal tu wiele nasmrodzic.

Tom Corvey, szef dzialu rozrywki Press, obarczajac Holly ta robota, wreczyl jej rownoczesnie sygnalny egzemplarz ksiazki. Nosila tytul "Szelest cyprysow i inne wiersze".

Usilnie starala sie do nich przekonac, gdyz lubila, kiedy, ludziom sie powiodlo. Sama nie zrobila kariery i widocznie od czasu do czasu potrzebowala dowodu na to, ze sukces jest mozliwy. Nieszczesliwym zbiegiem okolicznosci wiersze byly slabiutki. Mialkie, sentymentalne uniesienia na temat natury swiata, w stylu niedorobionego Roberta Prosta.

Ich lepka slodycz wywolalaby entuzjazm wydawcy pocztowek urodzinowych dla "najukochanszej babuni".

Niemniej Holly postanowila napisac pozytywny artykul. Przez wszystkie lata pracy poznala zbyt wielu reporterow, ktorzy powodowani zazdroscia, gorycza czy nieuzasadnionym poczuciem wyzszosci czerpali satysfakcje z opluwania ludzi i przeinaczania faktow, a z bohaterow swych artykulow robili idiotow. Nie potrafila znalezc w sobie tyle nienawisci, aby pisac podobnie. Chyba ze chodzilo o wyjatkowo wrednych kryminalistow i politykow. Moze wlasnie dlatego krzywa jej kariery biegla coraz bardziej w dol. Przewinela sie przez trzy wielkie redakcje w trzech wielkich miastach i osiadla w skromnych biurach Portland Press. Tendencyjne dziennikarstwo bylo czestokroc bardziej zywe niz obiektywne, podnosilo naklad i stanowilo o wiele czestszy obiekt komentarzy i zachwytow. Ale mimo iz Holly poczula niechec do Luizy Tarvohl jeszcze szybciej niz do plodow jej wyobrazni, nie potrafila wykrzesac w sobie zapalu dla roli kata.

-Dzika glusza jest moim domem, daleko od obrazow i zgielku cywilizacji, tam gdzie slysze spiew natury: w drzewach, szmerze traw, opuszczonych jeziorkach i w kurzu. Spiewy w kurzu? - pomyslala Holly i zagryzla wargi, zeby nie parsknac smiechem.

Luiza podobala sie jej z wygladu; byla twarda, krzepka, pelna zycia kobieta. Miala trzydziesci piec lat, o dwa wiecej niz Holly, choc wydawala sie starsza o dziesiec. Kurze lapki wokol oczu i ust, glebokie bruzdy, jakie zostawia czesty smiech, i zbrazowiala od slonca skora wyraznie wskazywaly, ze uwielbia przebywac na lonie natury. Wyplowiala wlosy sciagnela w konski ogon. Byla ubrana w dzinsy i koszule w niebieska krata.

8

9

-Czysta jest lesna sciolka - kontynuowala Luiza na ulubiony temat. - Nie dorowna jej najdokladniej wypucowany i zdezynfekowany oddzial chirurgiczny. Na moment odchylila glowe, aby porozkoszowac sie sloncem.

-Czystosc swiata natury odnawia nasze dusze. Z odswiezonych dusz wznosi sie esencjonalny opar wielkiej poezji.

-Esencjonalny opar? - spytala Holly, jakby chcac sie dodatkowo zabezpieczyc na wypadek, gdyby jej magnetofon zle zarejestrowal zlota mysl.

-Esencjonalny opar - powtorzyla Luiza i usmiechnela sie.

Holly wyjatkowo nie podobala sie tworcosc Luizy. Poetka wyznawala dziwne idee, zajmujac sie pozorami w miejsce konkretow. Jej opiniom i przekonaniom brakowalo podstaw. Miejsce faktow i rzetelnej analizy zajely fanaberie. Fanaberie namacalne jak zelazne szyny, niemniej jednak fanaberie. A na dodatek uzywala jezyka bogatego, lecz niedokladnego, przeladowanego i niewiele znaczonego.

Holly sama wiele uwagi przywiazывала do spraw ochrony srodowiska i czula sie glupio, odkrywajac, ze sa kwestie, w

których znajduje się z Luiza po tej samej stronie barykady. Nic tak nie doprowadza do wściekłości jak durnie w roli duchowych braci.

Własne poglądy stają się wtedy podejrzane.

Luiza pochylała się mocniej, opierając łokcie na sekwojowym stole.

- Ziemia jest żyjąca istota. Rozmawialaby z nami, gdybysmy tylko na to zasługiwali, otwierając usta tkwiące w każdej skale, roślinie, stawie i przemawiając równie wprost, jak ja mówię do ciebie.

- Coż za ekscytująca myśl - powiedziała Holly.

- Istoty ludzkie to wszy.

- Wszy?

- Wszy pelzające po żyjącej ziemi - rzekła w zadumie Luiza.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy - powiedziała Holly.

- Bog jest nie tylko w każdym motyłu - Bog jest każdym motylem, każdym ptakiem, każdym zającem, każdym dzikim stworzeniem. Poswieciłabym milion istnień ludzkich - dziesięć milionów i więcej - aby ocalić jeden miot niewinnych lasic, ponieważ Bog jest każda z nich.

Jakby poruszona retoryka nauczycielki, pozornie nie zwracając uwagi na jej ekofaszyzm, Holly powiedziała:

- Każdego roku przeznaczam jakąś kwotę na Fundusz Ochrony Środowiska i uważam się za obroczynie natury, ale widzę, iż nie osiągnęłam jeszcze twojego poziomu świadomości.

Poetka nie dosłyszała sarkazmu w głosie Holly i sięgnęła ręką poprzez stół, sciskając dłoń rozmówczyni.

10

11

- Nie martw się, moja droga. Jeszcze tam dotrzesz. Wyczuwam wokół ciebie aure wielkich możliwości duchowych. - Pomóż mi to sobie przyswoić... Bog jest motylami i krolnikami, i każda żyjąca istota, i skalami, i kurzem, i wodą - ale Bog nie jest nami?

- Nie. Z powodu naszej jednej nienaturalnej cechy.

- Jakiej?

- Inteligencji.

- Inteligencja jest nienaturalna? - Holly zamrugła zdumiona.

- Tak. Inteligencja wyższego stopnia jest nienaturalna. To dlatego natura unika nas.

Dlatego podświadomie nienawidzimy jej i usiłujemy ją zniszczyć. Rozwinięta inteligencja wiedzie do postępu. Postęp prowadzi do broni jądrowej, bioinżynierii, chaosu i w końcu do zagłady.

- Bog... czy też ewolucja nie obdarzyła nas inteligencją?

- To nastąpiło na drodze nieoczekiwanej mutacji. Jesteśmy mutantami i tyle.

Potworami.

- Więc im mniej dana istota jest inteligentna... - ...tym jest bliższa natury - Luiza dokonała za Holly.

Dziennikarka w zamysleniu pokiwała głową, udając, że na serio rozważa twierdzenie, jakoby durniejszy świat był lepszym światem, ale tak naprawdę pomyślała, że nie uda się jej dokonać tej roboty. Luiza Tarvohl okazała się taką kretynką, że unikając kłamstw, nie zdoła skłecić o niej zyczącego artykułu. Równocześnie nie miała serca robić z niej w prasie idiotki. Holly nie była zatwardziałym i zaprzysięgłym cynikiem, nie - jej problem był zgoła odmienny. Miała zbyt miękkie serce. Żadna

Istota zamieszkująca Ziemię nie jest skazana na większe frustracje i rozczarowania niż zjadliwy cynik z jednym miękkim kregiem łitości w twardym kregosłupie.

Odłożyła pióro, wiedząc, że nie będzie robić notatek. Marzyła tylko o ucieczce od Luizy, z tego szkolnego placu, o powrocie do realnego świata - mimo że realny świat zawsze wydawał się jej jedynie nieco mniej pokrecony niż aktualna rozmówczyni.

Jednak była winna Tomowi Corveyowi od szesćdziesięciu do dziewięćdziesięciu minut nagranego materiału. To wystarczy innemu reporterowi do napisania artykułu.

-Luizo - powiedziała - słuchając cię, dochodzę do wniosku, że jesteś najbardziej naturalną osobą, jaką udało mi się w życiu spotkać.

Luiza nie wyczuła drwiny. Traktując ją jako komplement, uśmiechnęła się promiennie do Holly.

-Drzewa są naszymi siostrami - powiedziała, płonąć chęć wyjawienia kolejnej prawdy ze skarbca swych mądrości. Najwidoczniej umknęło jej, że istoty ludzkie są wszami, nie drzewami. - Czy odcielasz swej siostrze ręce i nogi, okrutnie porabiasz ciało i zbudowałaś dom z jej zwłok?

10

11

-Nie, nigdy - szczerze zaprzeczyła Holly. - Poza tym architekt miejski z pewnością nie wydałby zezwolenia na budowę z tak niecodziennego materiału. Holly była spokojna: Luizie brakowało poczucia humoru - dlatego też nie można było jej obrazić dowcipem.

Kiedy Luiza trajkotała dalej, Holly oparła o stół i udając zainteresowanie jej wywodami, dokonywała szybkiego przeglądu swego dorosłego życia. Uznała, że cały ten cenny czas spędziła w towarzystwie idiotów, durniów i swirów, wysłuchując ich niedorzecznych lub socjopatycznych planów i marzeń, poszukując nadaremnie samorodków mądrości i niezwykłości w kretyńskich i psychotycznych opowieściach.

Coraz bardziej upadając na duchu, zaczęła rozmyślać o życiu osobistym. Nie uczyniła żadnego wysiłku, aby w Portland znaleźć przyjaciółkę od serca, być może dlatego, że w głębi duszy czuła, iż Portland jest tylko jednym z przystanków na trasie jej dziennikarskiej wędrówki. Doświadczenia z mężczyznami, niezwykle skromne, były jeszcze bardziej przygnębiające niż doświadczenia profesjonalne, zebrane podczas wywiadów przeprowadzanych z rozmówcami obojga płci. Mimo że nadal żywiła nadzieję, iż uda się jej spotkać właściwego mężczyznę, wyjść za mąż, mieć dzieci i cieszyć się pełnią rodzinnego szczęścia, zastanawiała się, czy ktokolwiek miły, zdrowy psychicznie, inteligentny i rzeczywiście wart zainteresowania pojawi się kiedykolwiek w jej życiu.

Prawdopodobnie nie.

A jeżeli ktoś taki w cudowny sposób stanie na jej drodze, to jego miła powierzchowność bez wątpienia okaże się jedynie maską, pod którą ukrywać się będzie wielokrotny morderca z obłędem w oku i upodobaniem do pily elektrycznej w chorej mózgowicy.

3

Opuszczywszy hale dworca lotniczego w Portland, Jim Ironheart wszedł do wozu należącego do Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego Miasta Roz. Brzmiało to jak nazwa nie lubianego dziecka jakiejś korporacji, z dawno zapomnianej epoki hippisów, czasu paciorków i kwiatów we włosach. Ale taksjariusz - według plakietki nazywający się Frazier Tooley - wyjaśnił, że Portland faktycznie zawdzięcza swój przydomek rozom, które kwitną tu masowo, symbolizując odrodzenie sił i stały rozwój. - Tak samo jak w Nowym Jorku zebracy są symbolami gnicia i upadku - powiedział. Był sympatyczny, ale pełen samozadowolenia, co chyba stanowiło - jak podejrzewał Jim - charakterystyczną cechę wielu portlandczyków. Przypominał z wyglądu włoskiego śpiewaka operowego, stanowił jakby odlew z formy "Luciano Pavarotti". Nie był pewien, czy zrozumiał polecenie Jima.

-Chcę pan, żebyśmy pokreślić się chwilę po mieście?

12

13

-Tak. Chcialbym rozejrzec sie troche, zanim pojedzie do hotelu. Jestem tu po raz pierwszy. Prawda wygladala tak, ze nie wiedzial, w jakim hotelu ma sie zatrzymac oraz czy oczekujace go zadanie ma wykonac zaraz, wieczorem czy moze jutro. Mial nadzieje, ze wystarczy chwila odpoczynka, a oswiecenie samo przyjdzie.

Tooley palil sie do przejazdu po miescie. Nie myslal jedynie o dlugim kursie, ktory z pewnoscia korzystnie zapisze sie na taksometrze, ale najwidoczniej lubil pysznic sie uroda Portland. W istocie bylo niezwykle atrakcyjne. Miedzy wysokosciowcami zachowaly sie historyczne budowle z czerwonej cegly, wzniesione w dziewietnastym wieku i otoczone wykutymi w metalu ogrodzeniami. Parki ozdobiono licznymi fontannami, a mnogosc drzew powodowala, ze miasto miejscami wygladalo jak las. Roze rosly wszedzie, nie w takiej liczbie jak wczesnym latem, ale za to osiagnely dojrzaly blask i koloryt.

Nie minelo pol godziny, gdy Jima nagle ogarnelo przecucie, ze czas mu sie kurczy.

Wyprostowal sie na tylnym siedzeniu i uslyszal, jak mowi:

-Wiesz, gdzie jest szkola McAlbury'ego?

-Jasne - powiedzial Tooley. - Co to jest?

-Pyta pan, gdzie jest, a nie wie co? Prywatna podstawowka. W zachodniej czesci miasta.

Jimowi serce bilo szybko i mocno.

-Jedziemy tam.

-Cos sie stalo? - spytal Tooley i przyjrzel mu sie uwaznie w lusterku.

-Musze tam pojechac.

Tooley przyhamowal na czerwonych swiatlach. Obejrzel sie przez ramie.

-Ale o co chodzi?

-Po prostu musze tam pojechac - ostro powiedzial Jim, czujac rosnace zdenerwowanie.

-Jasne, tylko bez nerwow.

Od czterech godzin, kiedy tylko wymowil w supermarkecie slowa "linia zycia", kierujac je do tamtej kobiety, czul, jak przebiegaja przez niego strumyki leku. Teraz wezbraly w ciemne fale niosace go do szkoly McAlbury'ego. Z bezwzglydną natarczywoscia, ktorej zrodla nie potrafil okreslic, powiedzial:

-Musze sie tam znalezc za pietnascie minut!

-Dlaczego nie mowil pan wczesniej?

Nie mogl powiedziec, ze nie wiedzial o tym wczesniej. Spytal:

-Zdazymy?

-Bedzie ciezko.

-Place potrojnie.

12

13

-Potrojnie?-Jesli zdazysz na czas - powiedzial, wyjmujac portfel z kieszeni. Wyciagnal studolarowke i rzucil Tooleyowi: - Wez zaliczke.

-To takie wazne?

-Sprawa zycia i smierci.



Tooley zmierzyl go spojrzeniem mowiacym: Co jest - masz zle w glowie? - Swiatla sie zmieniły - zwrocił uwagę Jim. - Gaz!

Mimo iż sceptycyzm na twarzy Tooleya jedynie się pogłębił, kierowca obrócił się i skręcił ostro w lewo. Wcisnął pedał gazu do oporu.

Jim przez całą drogę patrzył na zegarek. Kiedy zjawili się przed szkołą, zostały mu tylko trzy minuty. Rzucił następny banknot Tooleyowi, ponad trzykrotnie więcej, niż wskazywał licznik. Pchnął drzwi i wyskoczył na chodnik, ciągnąc za sobą walizkę.

Taksowkarz wychylił się przez otwarte okno.

-Mam zaczekać?

-Nie. Dzięki. Jesteś wolny - powiedział Jim, zatraskując drzwi.

Obrócił się i z niepokojem spoglądał na fronton szkoły. Za sobą usłyszał odjeżdżającą taksówkę. Biały budynek w niejednorodnym stylu, z przewagą elementów okresu kolonialnego, miał dużą werandę i dwa parterowe skrzydła z dodatkowymi pomieszczeniami klasowymi. Ocieniały go jodły i potężne stare sykomory. Razem z trawnikami i boiskiem zajmował całą przestrzeń niedużego kwartalu.

Z budynku właśnie wychodziły dzieci. Wysypywały się z wysokich dwuskrzydłowych drzwi na werandę i w dół na stopnie. Śmiały się i rozmawiały. W rękach trzymały książki i bloki rysunkowe, jasne pojemniki na lunch, przyozdobione postaciami z filmów rysunkowych. Zbliżały się do niego ścieżka, mijaly otwartą bramę w najezonym ostrymi grotami żelaznym ogrodzeniu. Niektóre kierowały się w dół, inne w górę wzniesienia. Oddalały się od Jima w obu kierunkach.

Zostały dwie minuty. Nie musiał patrzeć na zegarek. Serce uderzało mu dwa razy na sekundę i znał czas z taką precyzją, jakby sam był zegarem. Światło słoneczne, znajdujące sobie drogę w przeswitach między pochylonymi konarami drzew, kładło delikatne wzory na przedmiotach i ludziach, spowijając wszystko ogromną plachtą koronkowej pajęczyny przeszytej złotą nicią. Świetlna materia, utkana z promieni, wydawała się falować wedle rosnącej i opadającej muzyki dziecięcych okrzyków i śmiechów. Oto przed nim roztaczał się spokojny, idylliczny obrazek.

Ale szła Śmierć.

Nagle dotarło do niego, że Ona nadchodzi po jedno z dzieci, nie po żadną z nauczycielek stojących na werandzie. Po jedno dziecko. Nie będzie wielkiej katastrofy, żadnej eksplozji, pożaru, spadającego samolotu, który mogłyby zabić kilkanaście osób. Będzie to zaledwie jedna niewielka tragedia. Ale czyja?

14

15

Jim odwrócił uwagę od scenarii i skierował ją na osoby, wypatrując pilnie na ich młodych, świeżych twarzach oznak bliskiej śmierci. Wszystkie wyglądały tak, jakby miały żyć wiecznie.-Ktore? - spytał na głos, nie zwracając się ani do siebie, ani do dzieci, tylko do...

Coż, chyba przemawiał do Boga. - Ktore?

Niektóre dzieci szły pod górę, do przejść dla pieszych na skrzyżowaniu; inne kierowały się w dół i ku przeciwnej stronie kwartalu. Po obu stronach opiekunki ubrane w widoczne z dala jaskrawopomarańczowe kamizelki, trzymając w rękach wielkie czerwone lizaki z napisem STOP, zaczęły już formować swoich podopiecznych w małe grupki. Nigdzie nie było widac samochodu osobowego ani ciężarówki, więc nawet gdyby dzieci pozostawiono bez opieki, ruch uliczny nie wydawał się istotnym zagrożeniem.

Tylko półtorej minuty.

Jim ocenił spojrzeniem dwa stojące w dole przy krawężniku żółte autobusy.

McAlbory był raczej szkołą dla dzieci z bliskiego sąsiedztwa; większość, drogi na zajęcia i do domów odbywała pieszo, ale paru uczniów wsiadło do pojazdów. Kierowcy stali przy drzwiach, śmiejąc się i zagadując do kipiących życiem, rozbawionych pasażerów. Żadne z dzieci wsiadających do autobusów nie robiło wrażenia skazanego na śmierć, a mile dla oka, żółte pojazdy raczej nie przypominały zamaskowanych karawanów.

Ale Śmierć nadchodziła.

Znajdowała się niemalże wśród dzieci.

W miejscu akcji zaszła złowrobia zmiana, nie w rzeczywistości, ale sposobie, w jaki postrzegał ją Jim. Światła stały się mniej widoczne, a bardziej wyraziste cienie, wycinające słoneczne układanki: małe cienie w kształcie lisicy lub puszystych, iglastych miotełek; większe cienie w kształcie konarów i pni drzew; geometryczne cienie padające ze spiczasto wykonanych żelaznych pretów ogrodzenia. Każda plama ciemności była bramą, która mogła wkroczyć Śmierć.

Jedna minuta.

Rozgorączkowany, pobiegł kilka kroków w dół, między dziećmi. Wśród pełnych zaskoczenia spojrzeń przyglądał się jednemu po drugim, nie wiedząc, jak wygląda znak, którego szuka. Mała walizka objęła mu się o nogi.

Pięćdziesiąt sekund.

Cienie rosły, wydłużały się, zatapiały Jima.

Stał, zawrócił i spojrzał na wzniesienie ulicy u końca кварталу. Kobieta z warty ulicznej na skrzyżowaniu podniosła czerwony znak STOP, wolna ręka ponaglając dzieci. Piecioro z nich znajdowało się na jezdni. Pozostała szóstka zbliżała się do rogu, szykując się do przejścia.

Jeden z kierowców autobusów szkolnych spytał Jima:

-Szefie, coś nie w porządku?

14

15

Czterdzieści sekund. Jim upuścił walizkę i pobiegł w górę skrzyżowania, nadal nie wiedział, co ma nastąpić i któremu dziecku zagraża niebezpieczeństwo. Popychała go ta sama niewidzialna dłoń, która kazała mu spakować walizkę i lecieć do Portland. Wystraszone dzieci usuwały mu się z drogi.

Obrzeża obrazu, który rejestrował wzrokiem, zalała atramentowa czern. Dostrzegł tylko to, co leżało na wprost niego. Przestrzeń między jednym a drugim chodnikiem zamieniła się w jaskrawo oświetlony wycinek. Reszta kryła ciemność.

Pol minuty.

Dwie kobiety spojrzały na niego zaskoczone i nie zdążyły na czas usunąć mu się z drogi. Próbowal je ominąć, ale otarł się mocno o blondynkę w letniej białej sukience, niemal ją przewracając. Nie zatrzymał się. Nadal czuł, że Śmierć jest między dziećmi, odbierał zimno, jakim emanowała.

Dotarł do skrzyżowania, zszedł z chodnika i zatrzymał się. Czwórka dzieci była na jezdni. Jedno stanie się ofiarą. Ale które z tej czwórki? I ofiara czego?

Dwadzieścia sekund.

Kobieta z warty ulicznej wpatrywała się w niego.

Wszystkie dzieci, poza jednym, zbliżały się do krawężnika i Jim wyczuł, że chodniki są bezpiecznym miejscem. To jezdnia stanie się miejscem tragedii.

Podszedł do spóźnionej, małej rudej dziewczynki, która obróciła się i mrugając oczkami, zerknęła na niego zdziwiona.

Piętnaście sekund.

To nie dziewczynka. Patrzył w jej zielone jak jadeit oczy i wiedział, że jest bezpieczna. Po prostu wiedział.

Wszystkie pozostałe dzieci z tej grupy weszły na chodnik.

Czternastę sekund.

Jim zakreślił się w miejscu i spojrzał za siebie, w kierunku odległego krawężnika. Za jego plecami następna czwórka dzieci

weszła już na jezdnię.

Trzynastacie sekund.

Kolejna czwórka szła obok niego. Omijały go kolem, rzucając spod oka niespokojne spojrzenia. Wiedział, że musi wyglądać na trochę nienormalnego, kiedy tak stoi na ulicy i wybalusza oczy, z grymasem leku na twarzy.

Jedenastacie sekund.

Ani śladu samochodu. Ale szczyt wzgorza znajdował się trochę ponad sto metrów od skrzyżowania i może jakiś nieostrożny dupek rwał w górę po przeciwnym stoku z gazem wciśniętym do oporu. Kiedy tylko w wyobraźni Jima zamajaczył taki obrazek, pojął - w proroczym przeblysku ujrzał instrument, po jaki sięgnie Śmierć: pijanego kierowcę.

16

17

Osiem sekund. Chciał krzyknąć dzieciom, żeby zmykały, ale wiedział, że może je tylko przerazić i to jedno, naznaczone piętnem śmierci, zamiast uciec, pobiegnie wprost w ramiona śmierci.

Siedem sekund.

Usłyszał stłumiony pomruk silnika. Pomruk natychmiast zamienił się w głośny warkot, zastąpiony zaraz rykiem szalejących tłoków. Wielki pikap wystrzelił ponad szczyt wzgorza. Przez chwilę dosłownie unosił się w powietrzu. Słońce odbijało się od przedniej szyby, iskrzyło się na chromowanych częściach karoserii, jakby to rydwan ognia niknął z nieba w dniu sadu. Z przesywającym piskiem opon przednie koła rozplaszczyły się o asfalt, tyl gruchnął w dół z ogłuszającym trzaskiem.

Piec sekund.

Dzieci na ulicy rozpięzły się - tylko chłopczyk o rudawobłond czuprynce i fiołkowych oczach w odcieniu zwiedłych płatów róży stał, sciskając pudełko na lunch pokryte jaskrawymi rysunkami. Jedna sznurowka tenisówki miał rozwiązana. Patrzył bez ruchu, jak wali się na niego wielka ciężarówka, obezwładniony, jakby wyczuwał, że to nie tylko ciężarówka pedzi mu naprzeciw, ale oto zbliża się nieublagany los. Ku osmiomiesięcznemu dziecku, któremu pozostała tylko jedna droga. Do grobu.

Dwie sekundy.

Skacząc wprost pod nadjeżdżającego pikapa, Jim złapał chłopca. Wydawało mu się, że leci powoli, jak we śnie - było to jak wybiecie i daleki lot z wysokiej skały. Trzymając cały czas chłopca, zatoczył z nim w powietrzu luk, opadł na jezdnię i potoczył się do pokrytej liśćmi krawędzi ulicy. Jego nerwy były zmrożone przez potworny lek i adrenalinę: w ogóle nie odczuł upadku. Równie dobrze mogłyby przetoczyć się przez lake, której pulchna ziemia byłaby obficie porośnięta trawą.

Ryk samochodu był najgłośniejszym dźwiękiem, jaki usłyszał w życiu, jakby huk gromu przetoczył się w jego wnętrzu. Równocześnie coś z siłą pneumatycznego młota walnęło go w lewą stopę i potworna siła wykreciła łydkę, jakby to był kawałek szmaty, nie ciała. Rozszarżony do białosci pret smagnął go po nodze, wwiercił się w staw biodrowy i wybuchnął niczym raca ze sztucznymi ogniami na wieczornym niebie w święto Czwartego Lipca.

Holly ruszyła za mężczyznę, który ją potrącił. Była wściekła i miała zamiar go obругać. Ale zanim doszła do skrzyżowania, szaro-czerwony potężny pikap wyskoczył ponad grzbiet wzgorza jak wystrzelony z gigantycznej procy. Holly zamarła przy krawężniku.

Wycie silnika samochodu stało się magicznym zaspiewem, który spowolnił upływ czasu. Każda sekunda rozciągnęła w minutę. Ze swojego miejsca dziennikarka widzia16

17

la, jak nieznajomy mężczyzna sściagnął chłopca z drogi samochodu. Ta akcja ratunkowa była wykonana z tak niezwykłą zrećnością i gracją, że wyglądała prawie na szalency balet, tanczony na środku ulicy w zwolnionym tempie. Zderzak wozu grzmotnął w lewą stopę mężczyzny i pełna grozy zobaczyła, jak but zerwany ze stopy i wyrzucony wysoko w górę kreci się w powietrzu. Część świadomości rejestrowała: mężczyzna i chłopiec toczą się w kierunku brzegu jezdni; pikap wpada w ostry poslizg, rzuca go na prawą stronę; osłupiała opiekunka upuszcza lizak ze znakiem STOP; ciężarówka leci bokiem na samochód zaparkowany przy ulicy, odbija się i wpada na środek jezdni; chłopiec i mężczyzna zastygają przy

krawezniku; ciężarówka wali się na bok i zeszługuje w dół w kaskadach złotych i zielonych iskier - ale cały czas jej uwaga była przede wszystkim skoncentrowana na bucie, który krecił się coraz wyżej i wyżej, wyraźnie odcinając się od czystego nieba; zawisł w gorze na, zdawałoby się, godzinę, a potem powoli, powoli spadał. Nie mogła oderwać od niego oczu. Ten widok ją zahipnotyzował, miała makabryczne wrażenie, że stopa dalej tkwi w bucie, oderwana od łydki, polyskująca odłamkami kości, ciągnąc za sobą koronki tetnic i żył. Spadała w dół, prosto na nią, a Holly czuła, jak w gardle zaczyna jej narastać krzyk. W dół... dół...

Zniszczony but spadł w śmieci tuż obok niej. Spojrzała na niego, jak w koszmarnym śnie, kiedy spotyka się potwora i nie chce go widzieć, ale człowiek nie odwraca się plecami, gdyż czuje jednocześnie obrzydzenie i pociąg. But był pusty. Nie tkwiła w nim urwana stopa, nie Isniła krew.

Stłumila wrywający się z gardła krzyk. Poczula na podniebieniu smak wymiocin i to również przelknęła.

Kiedy pikap w końcu zatrzymał się na boku, jakieś pół kwartału w dół od niej, Holly obróciła się w przeciwnym kierunku i pobiegła do mężczyzny i chłopca. Znalazła się przy nich pierwsza, właśnie zaczęli zbierać się z asfaltu.

Chłopiec miał podrapaną reke i małe zadrasnięcia na szyi, ale poza tym nic mu się nie stało. Nawet nie płakał. Ukłękła przy nim.

-Nic ci nie jest, kochanie?

Mimo że oszolomiony, zrozumiał pytanie i pokrecił przecząco głową.

-Nic. Reka mnie trochę boli, ale to wszystko.

Mężczyzna w białych spodniach i niebieskiej koszulce już siedział. Zwinał skarpetkę do połowy stopy i uważnie obmacywał lewą łydkę. Skóra miał nabrzmiała i zaczerwieniona. Holly była zdumiona brakiem krwi.

Ze wszystkich stron zaczął rosnąć gwar podnieconych głosów. Pomagano chłopcu wstać i jedna z nauczycielek wzięła go na ręce.

Krzywiąc się z bólu podczas masażu, kontuzjowany mężczyzna podniósł głowę i spotkał spojrzenie Holly. Jego oczy miały kolor najczystszej błękitu i przez moment wydały się tak lodowato zimne, jakby nie były oczami człowieka, ale czujnikami robota.

18

19

Potem uśmiechnął się. W sekundzie pierwotne wrażenie chłodu zostało zastąpione przez ciepło. Holly została zniewolona przez ich przejrzystość, kolorystykę porannego nieba i piękno, bo tym wszystkim emanowały; czuła się tak, jakby przez nie spoglądała w głąb łagodnej duszy. Była cynikiem, jednakowo nieufnym przy pierwszym spotkaniu zarówno z mniszka, jak i szefem mafii, więc natychmiastowa reakcja na tego mężczyznę wstrząsnęła nią. Chociaż to słowa były dla niej środkiem wyrażania największych uczuć i narzędziem pracy, teraz ich jej zabrakło. -Niewiele brakowało - powiedział i jego uśmiech sprawił, że również się uśmiechnęła.

4

Holly czekała na Jima Ironhearta na szkolnym korytarzu, przy chłopięcych natryskach. Dzieci i nauczyciele poszli do domów. Budynek stał w ciszy, zakłócaną jedynie szumem froterki. Wózny doprowadzał do polysku wyłożone linoleum podłogi pierwszego pietra. Powietrze było przesycone słabą wonią kredy, kleju modelarskiego i bakteriobójczej pasty o zapachu sosny. Na zewnątrz policja prawdopodobnie nadal nadzorowała pracowników firmy transportowej, przygotowujących leżące pikapy do odholowania z miejsca wypadku.

Okazało się, że kierowca był pijany. Przebywał obecnie w szpitalu, gdzie lekarze zajmowali się jego złamaną nogą, ranami, otarciami i potłuczeniami.

Holly miała już wszystko, co było jej potrzebne do napisania artykułu: dane o chłopcu - Billym Jenkinsie, który o mało nie został zabity, opis zdarzenia, reakcje naocznych świadków, protokół policyjny oraz bełkotliwe wyznania pijanego kierowcy, pełne skruchy, ale i samoużalania. Brakowało jej jednego, ale za to najważniejszego elementu: informacji o Jimie Ironheartcie, bohaterze całego zajścia. Czytelnicy gazety będą przecież chcieli wiedzieć o nim wszystko. A jak do tej pory знаła tylko jego nazwisko i wiedziała, że pochodzi z południowej Kalifornii.

Jego brązowa walizka stała przy ścianie, tuż obok niej. Holly nie spuszczała z niej oka.

Miała ogromną ochotę nacisnąć zamki i zajrzeć do środka. Z początku nie wiedziała, skąd bierze się to pragnienie. Potem uświadomiła sobie, że paradowanie z walizką po dzielnicy mieszkalnej jest raczej nienormalne. A reporterów charakteryzuje wpojona - jeżeli nie wrodzona - ciekawość, gdy stają w obliczu rzeczy niezwykłych.

Kiedy Ironheart wyszedł z łazienek, Holly nadal wpatrywała się w walizkę. Drgnęła, jakby przyłapał ją grzebiacz pomiędzy jego rzeczami.

-Jak się czujesz? - spytała.

18

19

-W porządku. - Wyraznie kulał. - Ale, jak wspominałem, nie mam ochoty na wywiad. Przyczesał gęste kasztanowe włosy i oczyszczył z grubszą białą bawełnianą spodnie.

Miał na nogach obydwa buty. Lewy był rozerwany i zniszczony.

-Nie zabiorę ci dużo czasu - powiedziała.

-Nawet jeszcze mniej. - Uśmiechnął się.

-No, nie daj się prosić.

-Przykro mi, ale żaden ze mnie bohater.

-Uratowałeś temu dziecku życie!

-I tyle. Poza tym szkoda na mnie czasu.

Cos w jego osobie zadawało klam tym słowom, choć Holly nie mogła wskazać przyczyny jego atrakcyjności. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Szczupły, ale dobrze umięśniony. Był przystojny, lecz nie zniechęcająca uroda gwiazdora filmowego. Piękne oczy, to prawda, ale Holly nigdy nie czuła pociągu do mężczyzny wyłącznie z powodu jego fizycznej atrakcyjności, a już na pewno nie dlatego, że jeden szczegół jego powierzchowności zrobił na niej wyjątkowe wrażenie. Podniósł walizkę i zaczął kustykac wzdłuż korytarza.

-Powinien to zobaczyć lekarz - powiedziała, dołączając do niego.

-W najgorszym razie naderwałem sobie ścięgno.

-Nawet wtedy należałoby to opatrzyć.

-Kupię bandaż elastyczny na lotnisku albo po powrocie do domu.

Może jego sposób bycia był tak zniechęcający? Miał miękki głos, często się uśmiechał jak dżentelmen ze starego Południa - chociaż mówił bez akcentu. Poruszał się z niezwykłą gracją, nawet kiedy kulał. Przypomniała sobie, jak wydawało się jej, że ogląda scenę z baletu, kiedy z taneczną płynnością zgarnął małego chłopca z drogi sunacej polciezarówki. A więc niezwykle wdzięk i niewymuszona uprzejmość. Ale to nie te cechy tak ją zafascynowały. Cos innego. Cos bardziej nieuchwytnego.

-Jeżeli naprawdę uparłeś się wrócić do domu, podwiezie cię na lotnisko - powiedziała, kiedy dotarli do drzwi wyjściowych.

-Dzięki. To bardzo uprzejme z twojej strony, ale niekonieczne.

Wyszła za nim na werandę.

-To piekielnie długi spacer.

Stanął, marszcząc brwi.

-Och, no tak. Mm... musi tu być gdzieś telefon. Zadzwoń po taksówkę.

-Przestan, nie badz taki strachliwy. Nie jestem seryjnym morderca. Nie trzymam w wozie pily elektrycznej.

Przygladal sie jej przez sekunde, a potem usmiechnal sie rozbrajajaco.

-Chyba nie oszukujesz. Wyglada na to, ze chetniej operujesz palka.

20

21

-My, reporterzy, czesciej uzywamy brzytw. Jednak w tym tygodniu mam jeszcze czyste konto.-A w zeszlym?

-Dwie pozycje. Ale to byli demokraczy.

-Trup to trup.

-Zasluzyli sobie.

-Dobra, przyjmuje propozycje.

Jej niebieska toyota stala po drugiej stronie kraweznika, dwa wozy za samochodem, w ktory uderzyl pijany kierowca. Samochod holujacy doszczetnie pogruhotana polciezarowke jechal w dol wzgorza. Ostatni policjanci wsiadali do wozu patrolowego. Pare odlamkow hartowanego szkla z rozbitych szyb pikapu polyskiwalo jeszcze na asfalcie w promieniach popoludniowego slonca.

Mineli bez slowa pare przecznic.

-Masz przyjaciol w Portland? - zagadnela Holly.

-Mhm. Z college'u.

-To u nich byles?

-Mhm.

-Nie mogli zawiezc cie na lotnisko?

-Mogli, gdybym lecial rano, ale dzis po poludniu oboje pracuja.

-Aha. - Przyjela to wyjasnienie.

Zwrocila mu uwage na paki cudownych roz herbacianych otulajacych drewniany plot przy mijanym wlasnie domu. Zapytala, czy wie, ze Portland nadalo sobie nazwe Miasta Roz. Wiedzial. Po chwili milczenia powrocila do wlasciwej konwersacji:

-Mieli zepsuty telefon, co?

-Przepraszam?

-Twi przyjaciele. - Wzruszyla ramionami. - Zastanawialam sie tylko, dlaczego nie zadzwoniles od nich z domu po taksowke.

-Chcialem sie przejsc.

-Stad na lotnisko?

-Wtedy moja kostka byla w porzadku.

-Ale to jednak spory kawal.

-Och, mam fiola na punkcie kondycji.

-Bardzo dlugi spacer, zwlaszcza z walizka.

-Nie jest taka ciezka. Kiedy cwicze, ide na spacer z hantlami i rozwijam gorne partie miesni.

-Sama duzo chodze - powiedziala, zatrzymujac sie na czerwonym swietle.

-Poprzednio co rano biegalam, ale kolana zaczely mi wysiadac.

20

21

-Mnie tez, wiec przeszedlem na intensywne spacery. Serce ma taka sama zaprawe, wystarczy trzymac tempo. Przez kilka nastepnych kilometrow starala sie utrzymac minimalna szybkoosc, by zyskac na czasie. Rozmawiali o sposobach wyrabiania kondycji i niskokalorycznym jedzeniu.

W koncu on powiedzial cos, co pozwolilo jej w naturalny sposob zapytac o nazwiska jego tutejszych przyjaciol.

-Nie - odparl.

-Co nie?

-Nie, nie podam ci ich nazwisk. To cisi, mili ludzie i nie chce, zeby ich przesladowano.

-Nikt dotychczas nie skarzyl sie, ze go przesladuje.

-Prosze sie nie obrazac, panno ?orne, ale nie chce, zeby znalezli sie w prasie i w ogole. Nie chce, zeby rozwalono im zycie.

-Wielu ludzi uwielbia zobaczyc swoje nazwisko w gazecie.

-Wielu nie.

-Rozmowa na temat przyjaciela, ktory okazal sie wielkim bohaterem, moglaby okazac sie dla nich nie lada przyjemnoscia.

-Przykro mi - powiedzial grzecznie i usmiechnal sie.

Zaczynala rozumiec, czym ja tak ujal: jego rownowaga ducha byla wprost zniewalajaca. Pracujac dwa lata w Los Angeles, Holly poznala wielu mezczyzn, ktorzy pozowali na pelnych luzu Kalifornijczykow; kazdy z nich staral sie zrobic wrazenie opoki niezaleznosci, Dojrzałego Faceta - zaufaj mi, malenka, a swiat nas nie skrzywdzi; znajdziemy sie poza zasiegiem zlego losu - ale w istocie brakowalo im zelaznych nerwow i spokoju umyslu, a tym chcieli imponowac. Nie wystarczy szafa z garderoba "Bruce Willis", doskonala opalenizna i wystudiowana obojetnosc, zeby byc Bruce'em Willisem.

Pewnosc siebie zdobywa sie dzięki doświadczeniu, ale z autentycznie zimna krew można się tylko urodzić. Da się ją naśladować, jednak bystre oko zawsze to wykryje.

Wydawalo sie, ze Jim Ironheart przyszedl na swiat z takim spokojem ducha, i gdyby te jego ceche rozdysponowac w rownych ilosciach wszystkim mezczyznom w Rhode Island, w calym stanie bylby tylko chlodni, nieugieci faceci. Fruwajace polcietzarowki i reporterska wscibskosc robily na nim male wrazenie. Samo przebywanie w jego towarzystwie bylo dziwnie relaksujace i zapewniało poczucie bezpieczenstwa.

-Ciekawie sie nazywasz - powiedziala.

-Jim?

Nabijal sie z niej.

-Ironheart\* - powiedziala. - Jak Indianin. \*Ironheart (ang.) - Zelazne serce (przyp. tłum.).

22

23

-Nie mialbym nic przeciwko temu, zeby w zylach plynelo mi troche krwi Apaczow albo Czipewejow. Bylbym wtedy moze mniej nudny, bardziej tajemniczy, egzotyczny. Ale to jedynie zanglicyzowana wersja niemieckiego nazwiska moich przodkow - Eisenhertz. Tymczasem znalezli sie na autostradzie i szybko zblizali sie do celu. Holly byla zalamana. Za chwile

bedzie musiala sie z nim rozstac na lotnisku. Jako reporterka miala jeszcze wiele pytan, na ktore nie otrzymala odpowiedzi. A co wazniejsze, od wiekow zaden mezczyzna nie zrobil na niej jako na kobiecie tak piorunujacego wzrazenia. Przez moment rozwazala, czy nie jechac okrezna droga. Nie znal miasta, co moglo mu utrudnic rozszyfrowanie jej oszustwa. Ale zaraz uswiadomila sobie, ze znaki na autostradzie juz informuja o zblizajacym sie zjezdzie na Lotnisko Miedzynarodowe Portland.

Nawet jezeli ich nie zauwazyl, nie mogli nie spostrzec zwiekszonego ruchu samolotow na wschodnim skrawku mocno blekitnego nieba przed nimi.

-A czym sie zajmujesz w Kalifornii? - spytala.

-Ciesze sie zyciem.

-Chodzi mi to, z czego sie utrzymujesz?

-A jak myslisz?

-No... jedno jest pewne: nie jestes bibliotekarzem.

-Skad to przypuszczenie?

-Jest w tobie cos tajemniczego.

-Bibliotekarze nie moga byc tajemniczy?

-Nigdy o takim nie slyszalam. - Niechetnie skrecila w zjazd na lotnisko. - Moze jestes pracownikiem jakies tajnej sluzby.

-A to skad ci wpadlo do glowy?

-Naprawde dobrzy gliniarze sa zawsze spokojni i chlodni.

-Popatrz, zawsze uwazalem sie za faceta cieplego, otwartego i dobrodusznego.

Mowisz, ze jestem chlodny?

Ruch na szosie gestnial. To pozwolilo jeszcze bardziej zwolnic.

-Chodzi mi o to - odrzekla - ze jestes bardzo opanowany.

-Od jak dawna jestes reporterka?

-Od dwunastu lat.

-I caly czas w Portland?

-Nie. Tu jestem od roku.

-A poprzednio gdzie pracowalas?

-Chicago... Los Angeles... Seattle.

-Lubisz dziennikarstwo?

Uswiadamiajac sobie, ze stracila kontrole nad przebiegiem rozmowy, Holly powiedziala:

22

23

-Wiesz, to nie jest teleturniej dwadziescia pytan.-Och - odparl, wyraznie rozbawiony - a ja myslalem, ze jest.

Byla zgnebiona niemoznoscia przebicia sie przez mur, jaki wokol siebie wzniosl, zirytowana jego uporem. Zwykle wszystko toczylo sie zgodnie z jej wola. Ale nie dostrzegla w nim zla, tak jej sie przynajmniej wydawalo; nie mial talentu do oszukiwania. Po prostu zdecydowanie bronil swej prywatnosci. Holly reporterka stale targaly watpliwosci: czy dziennikarze



Istotnie mają prawo do wdzierania się w życie bliźnich? Dlatego teraz szanowała opór, jaki jej stawiał. Spojrzała na niego przelotnie i rozesmiała się.

-Jestes dobry.

-Ty tez.

-Nie, gdybym była dobra, to przynajmniej dowiedziałabym się, z czego się, do diabła, utrzymujesz - powiedziała, kiedy zatrzymali się przed frontowym wejściem dworca lotniczego.

Miał czarujący uśmiech. I te oczy.

-Nie powiedziałem, że jesteś tak samo dobra jak ja. Powiedziałem tylko, że jesteś dobra.

Wysiadł z samochodu, wziął walizkę z tylnego siedzenia, a potem podszedł do otwartych przednich drzwi.

-Spojrz, po prostu tak się złożyło, że znalazłem się we właściwym miejscu o właściwym czasie. To był czysty przypadek, że uratowałem życie temu chłopcu. To nie byłoby fair, gdyby media wywrocily całe moje życie do góry nogami tylko dlatego, że zrobiłem dobry uczynek.

-To prawda - zgodziła się.

-Dziękuję - powiedział z nieskrywaną ulgą.

-Ale muszę przyznać, że twoja skromność przywraca chęć do życia.

Wpatrywał się w nią przez długą chwilę tymi niesamowitymi niebieskimi oczami.

-Tak jak pani, panno ?orne.

Potem zatrzęsł drzwi, obrócił się i wszedł do hali. W jej uszach, jak echo, brzmiały jeszcze ostatnie słowa:

Twoja skromność przywraca chęć do życia.

Tak jak pani, panno ?orne.

Patrzyła w drzwi, za którymi zniknął. Zbyt dobry, aby mógł być prawdziwy. Czula się tak, jakby przed chwilą wiozła ducha korzystającego z autostopu. Cieniutka mgła zawiesiła w powietrzu cetki ukradzione popołudniowemu słońcu. Plamki złota nadawały wszystkiemu nastroj starego filmu o zjawach.

Przestraszył ją ostry, nieprzyjemny dźwięk. Poderwała głowę i zobaczyła strażnika stukającego w dach wozu. Wskazał jej znak: STREFA PRZELADUNKOW.

24

25

Holly spuściła hamulec ręczny i wrzuciła bieg. Ciekawe, jak długo tak siedziała, rozmyślając o Jimie Ironheartie. Twoja skromność przywraca chęć do życia. Tak jak pani, panno ?orne. Przez całą powrotną drogę do Portland dreczyło ją poczucie, że oto otarła się o coś niesamowitego, że w jej życiu wkraśl się element nadnaturalny. A przy tym niepokoiło ją odkrycie, że mężczyzna może tak ją poruszyć. Czula się niewyraźnie, a nawet głupio, jakby na powrót stała się małą dziewczynką. Równocześnie to wrażenie było dziwnie przyjemne i chciała, żeby trwało.

Tak jak pani, panno ?orne.

5

-Tęgo wieczoru, w swym mieszkaniu, którego okna wychodziły na Council Crest Park, Holly przygotowała sobie na kolację spaghetti. Robiła właśnie sos z bazylii, świeżych nasion pinii, czosnku i pomidorów, kiedy nagle uderzyła ją myśl: skąd Jim Ironheart mógł wiedzieć, że Billy'emu Jenkinsowi grozi niebezpieczeństwo, zanim pijany kierowca pojawił się w wielkim pikapie na wzniesieniu ulicy? Zastygła z nożem nad połówką krojonego pomidora i zaczęła spoglądać przez okno.

Purpurowoczerwone światło zmierzchu spoczęło już na trawnikach. Stojące w parku wśród drzew lampy rzucały kregi ciepłego bursztynowego światła na obrzeżone zielenia ścieżki.

Kiedy Jim Ironheart przebiegl rozpedzony przed szkola McAlbury'ego i wpadl na Holly, niemal zbijajac ja z nog, natychmiast ruszyla za nim, zamierzajac porzadnie go ochrzanic. Zanim dotarla do skrzyzowania, on juz sie znalazl na ulicy. Patrzyl na prawo i lewo, poruszony i... wzburzony.

Wygladal tak dziwnie, ze dzieci omijaly go szerokim lukiem. Zapamietala wyraz paniki na jego twarzy i reakcje dzieci na pare sekund przedtem, jak polciezarowka wystrzelila ze wznesienia niby samochod kaskadera z brzegu urwiska. Wtedy dopiero Ironheart skupil uwage na Billym i zgarnal chlopca z drogi samochodu.

Byc moze wczesniej uslyszal ryk silnika i uswiadomiwszy sobie, ze cos gna do skrzyzowania z wariacka predkoscia, zareagowal z wyprzedzeniem. Holly probowala sobie przypomniec, czy tamten dzwiek dotarl do niej w momencie, kiedy Jim na nia wpadl, ale nie byla tego pewna. Byc moze slyszala go, ale nie zareagowala nan rownie gwaltownie jak Jim. A moze w ogole nie slyszala, usilujac pozbyc sie niezmordowanej Luizy Tarvohl, ktora uparla sie odprowadzic ja do samochodu. Czula wtedy, ze jeszcze chwila cwierkotu poetki, a dostanie ataku szalu. Myslala wylaczenie o ucieczce.

24

25

Teraz, w kuchni, docieral do niej tylko jeden dzwiek: odglos kipiacej wody w wielkim garze na kuchence. Powinna przykrecic gaz, wrzucic makaron, nastawic brzeciuk...Zamiast tego stala przy desce do krojenia z pomidorem w jednej rece, nozem w drugiej, i wpatrywala sie w park, ale przed oczami miala fatalne skrzyzowanie w poblizu szkoly.

Nawet jezeli dzwiek silnika dotarl do Ironhearta juz z odleglosci polowy kwartalu, to w jaki sposob potrafil tak szybko ustalic, skad nadjezdza polciezarowka, i jak wyczul, ze kierowcy zupelnie odbilo, a dzieciom grozi niebezpieczenstwo? Opiekunka, stojaca poczatkowo o wiele blizej zrodla dzwieku niz Ironheart, zostala kompletnie zaskoczona, dzieci tez.

Dobra, niech bedzie. Niektorzy ludzie maja lepiej wyostrzone zmysly niz inni - stad kompozytorzy symfonii slysza bardziej skomplikowane wspolbrzmienia i rytmy niz przecietni bywalcy sal koncertowych, dlatego niektorzy zawodnicy baseballowi wczesniej od innych widza wysokie pilki, ktore unosza sie na tle gorejacego nieba, dlatego wytrawni kiperzy umieja docenic subtelny smak rzadkiego rocznika, kiedy pijanego w sztok lumpa interesuje tylko efekt. Podobnie niektorzy maja lepszy refleks, co w czesci wyjasnia, dlaczego Wayne Gretzky jest wart miliony dolarow dla zawodowego zespolu hokejowego. Widziala, ze Ironheart ma doskonaly refleks szermierza. Prawdopodobnie byl rowniez obdarzony wyostrzonym sluchem. Czesto ludzie z przewaga rozwinietych cech fizycznych wykazuja rownoczesnie inne zalety: to wszystko sprawa wlasciwych genow. I oto rozwiazanie zagadki. Proste jak drut. Nic nadzwyczajnego. Nic tajemniczego. I na pewno nic pozazmyslowego. Po prostu wlasciwe geny.

Za oknem park tonal w coraz glebszym cieniu. Poza miejscami, ktore oswietlaly lampy, sciezki znikly w gestniejacych ciemnosciach. Drzewa wydawaly sie tloczyc coraz ciasniej.

Holly odlozyla noz i podeszla do kuchenki. Zmniejszyła gaz pod wielkim garnkiem i kipiacy war sie uspokoil. Wrzucila makaron.

Wrocila do krojenia. Podniosla noz i znow wyjrzala przez okno. Na niebie pojawily sie gwiazdy. Purpura zmroku ustapila czerni, a szkarlatna smuga na horyzoncie przybrala kolor burgunda. Park spowily cienie. Swiatlo lamp rozjasnialo tylko niewielkie odcinki sciezki spacerowej.

Nagle ulegla niezwykle przekonaniu, ze lada moment Jim Ironheart wychyli sie z ciemnosci, wstapi na sciezke w krag bursztynowego swiatla, podniesie glowe i spojrzy prosto w jej okno, poniewaz skads wie, gdzie ona mieszka, i przybedzie tu po nia. Smieszne przypuszczenie. Ale mrowki przebiegly jej wzdluz kregoslupa. Zesztywniala.

Duzo pozniej Holly siadla na brzegu lozka i zapalila lampke nocna. Zerknela w okno sypialni, przez ktore rowniez widzial park, i znow poczula na plecach dreszcz.

26

Juz chciala sie polozyc, ale zawahala sie i wstala. W majteczkach i bawelnianej koszulce, swym zwyklym nocnym stroju, podeszla przez ciemny pokoy ku oknu. Rozsunela firanki. Nie bylo go na dole. Odczekala minute, potem nastepna. Nie pojawil sie. Czujac sie glupio i niewyraznie, powrocila do lozka.

Obudzila sie w srodku nocy, wstrzasana dreszczami. Ze snu zapamietala tylko niebieskie oczy, intensywnie niebieskie, przenikajace ja tak latwo, jak ostry noz miekkie maslo.

Wstala i poszla do lazienki, prowadzona jedynie lekka poswiata ksiezycy, ktora przenikala firanki. W lazience nie zapalila

swiatla. Zrobila siusiu, umyla rece i przez chwile stala, spogladajac na swoje niewyraźne, bezkształtne odbicie w srebrno-czarnym lustrze. Napila sie zimnej wody. Uswiadomila sobie, dlaczego opoznia powrot do lozka - z obawy, ze znow cos kaze jej podejsc do okna.

To smieszne, powiedziala sobie. Co cie napadlo?

Wrocila do sypialni i spostrzegla, ze zamiast do lozka, kieruje sie do okna. Rozsunela firanki.

Nie bylo go tam.

Holly poczula rozczarowanie, a zarazem ulge. Kiedy wpatrywala sie w otulone w noce przestrzenie parku, znow przebiegly ja dreszcze i uswiadomila sobie, ze tylko w polowie wywoluje je bezimienny strach. Czula rowniez dziwne podniecenie, rozkoszne oczekiwanie...

Na co?

Nie wiedziala.

Wrazenie, jakie wywarl na niej Jim Ironheart, bylo glebokie i trwało. Nigdy czegos takiego nie doswiadczyła. Choc probowala pojac, co czuje, moment zrozumienia nie nadchodzil. Sama seksualna fascynacja nie wystarczyla za wyjasnienie. Dawno przeszla okres dojrzewania i ani napiecie spowodowane przez hormony, ani dziewczecze pragnienie romansu nie mogly jej tak wyprowadzic z rownowagi.

W koncu powrocila do lozka. Byla pewna, ze bedzie lezec z otwartymi oczami przez reszte nocy, ale ku wlasnemu zdziwieniu wktotce znow odplynela w sen. Kiedy jeszcze cieniutka nitka laczyla ja ze swiatem swiadomosci, uslyszala, jak mamroce: "te oczy", a potem zapadla w pustke.

Jim obudzil sie tuż przed switem we wlasnym lozku, w Laguna Niguel. Serce walilo mu jak mlot. Mimo ze w pokoju panowal chlod, cialo mial skapane w pocie. Koszmar, z jakiego sie wyrwal, nawiedzal go czesto, ale pamietal jedynie, ze uciekal przed czymś nieusteplywym, poteznym i zlowrogim...

26

Poczucie nadciagajacej smierci bylo tak wszechogarniajace, ze musial zapalic swiatla, aby upewnic sie, ze w pokoju nie czyha na niego nic nieludzkiego, nic morderczego. Byl sam.-Ale nie na dlugo - powiedzial glosno.

Nie wiedzial, co to mialo oznaczac.

28

29

OD 20 DO 22 SIERPNIA

1

Jim Ironheart spogladal z niepokojem przez brudna przednia szybe skradzionego camaro. Slonce zawislo jak biala kula, promienie swiatla opadaly jak bialy gorzki puder. Nawet za okularami musial mruzyc oczy. Powietrze drgajace nad spalonym sloncem asfaltem ukkladalo sie w miraze ludzi, samochodow, jezior.

Byl znuzony, spojowki palily go zywym ogniem. Omamy stwarzane przez upal w polaczeniu z wirujacymi tumanami piasku ograniczaly widoczność. Uciekajacy horyzont pustyni Mojave utrudnial wlasciwa ocene szybkości; nie czul, ze samochod rwie sto piecdziesiat kilometrow na godzine. A tyle wyciagal. Powinien jechac znacznie wolniej, bo czul sie podle.

Ale roslo w nim przekonanie, ze spozni sie, zawali sprawe. Ktos umrze, poniewaz on nie zdazy.

Spojrzal w bok na zaladowana strzelbe, oparta kolba o podloge. Na siedzeniu lezalo pelne pudelko naboí.

Ogarniety narastajaca fala przerazenia, wcisnal gaz jeszcze mocniej. Wskazowka na szybkościomierzu, drzac, przesunela sie jeszcze dalej.

Wszedl w dlugi, powolny zjazd. Ponizej rozposcierala sie dolina w ksztalcie wazy.

Miala okolo piecdziesieciu kilometrow srednicy. Alkaliczna, nieomal snieznobiala gleba byla naga, tylko tu i owdzie widnialy

szare wedrowne chwasty i szczeciny pustynnej trawy. Być może eony temu to zagłębienie wyrzeźbiła spadająca asteroida, a poszarpane brzozy zaokrągliły się w miarę upływu tysiącleci. W każdym razie jego obecny wygląd nie przypominał żadnego innego miejsca na ziemi.

Doline rozciągał czarny pas szosy. Na poboczach ospale drgały i wily się zrodzone z upału fantomy.

Najpierw ujrzał samochód: kombi z dużą częścią bagażową. Stał po prawej stronie, jakiś kilometr przed nim, tuż przy rowie odpływowym, suchym poza okresami rzadkich burz i krótkotrwałych powodzi.

28

29

Serce zaczęło mu bić mocniej i mimo świeżego, zimnego powietrza dolatującego z otworów wentylacyjnych, oblał go pot. To tu. Potem dostrzegł również samochód mieszkalny. Pół kilometra przed kombi wynurzał się z jednego z głębokich wodnych mirazy. Podskakując na wertepach, sunał w stronę odległej ściany doliny, tam gdzie szosa wspinała się pomiędzy nagimi czerwonymi skalami.

Jim zwolnił, zbliżając się do kombi, niepewny, dokąd ma pośpieszyć z pomocą: do stojącego czy do odjeżdżającego samochodu.

Kiedy wskaźnik prędkościomierza cofał się na zegarze, oczekiwał, aż intuicja mu podpowie, dokąd ma się skierować. Nie podpowiedziała. Zwykle był przymuszany do działania: słuchał wewnętrznego głosu, który odzywał się w podświadomości, lub jakby przemieniał się w maszynę realizującą wcześniej zaprogramowane działanie. Tym razem nic.

Z rosnącym poczuciem desperacji ostro zahamował i wóz, zarzucając tyłem, stanął obok kombi. Nie trudził się zjeżdżaniem na pobocze. Spojrzał szybko na leżącą obok niego strzelbę, ale skądś wiedział, że nie będzie mu potrzebna. Na razie.

Wysiadł z camaro i szybko podszedł do kombi. Bagaż pietrzył się z tyłu. Kiedy spojrzał przez boczna szybke, zobaczył mezczyzne rozciągniętego na przednim siedzeniu.

Szarpnął za drzwi - i wzdrygnął się. Tyle krwi.

Facet był umierający. Został dwukrotnie postrzelony w piersi. Jego głowa wsparta o drzwi pasażera, swym ułożeniem przypominała Jimowi opadająca na bok głowa Jezusa po ukrzyżowaniu. Oczy przelotnie nabrały wyrazu, kiedy usiłował skupić spojrzenie na Jimie.

-Lisa... Susie... zona i corka... - odezwał się słabo.

Potem jego umęczone oczy straciły ostrość spojrzenia. Słabe westchnienie uleciało z ust, głowa bezwładnie przetoczyła się na drugie ramie i umarł.

Udreczony, przybity obezwładniającym ciężarem odpowiedzialności za śmierć nieznanego, Jim cofnął się od otwartych drzwi kombi i przez moment stał na czarnej nawierzchni pod palącym słońcem. Gdyby jechał szybciej, mogłby zjawić się parę minut wcześniej, mogłby zapobiec temu, co się stało!

Z ust wyrwał mu się cichy jęk rozpacz. Najpierw był to prawie szept, który jednak przeradzał się w ciche zawodzenie. Ale kiedy odwrócił się od nieżyjącego mężczyzny i spojrzał w dal, ku miotającemu się między poboczami samochodowi mieszkalnemu, ten płacz szybko przeszedł w okrzyk wściekłości. Teraz rozumiał, co tu się stało.

I wiedział, co musi zrobić.

Znalazłszy się na powrót w camaro, wypchał pojemne kieszenie niebieskich bawełnianych spodni nabojami do strzelby. Bron kalibru 12, z krótką lufą, już nabita, spoczywała w zasięgu ręki.

30

31

Sprawił w lusterku, czy ktoś nie jedzie. Ale tego poniedziałkowego ranka na pustynnej szosie nie było żywej duszy. Nikogo do pomocy. Musiał działać sam. Daleko przed nim samochód mieszkalny zniknął w drzacym od upału powietrzu, które falowało jak kurtyna ze szklanych paciorków.

Wrzucił bieg. Na moment opony zawirowały w miejscu, ślizgając się i nie mogąc oderwać się od lepkiego asfaltu; ich ostry skowyt rozszedł się nieziemskim echem po rozległym pustkowiu.

Jim zastanowił się, jak musiał krzyknąć nieznamy kierowca i jego bliscy, kiedy z bliska dwa razy strzelono mu w pierś. Nagle camaro pokonało opór i wystrzelilo w przód.

Wcisnął gaz do deski, zmrużył oczy, chcąc wyraźniej widzieć swój cel. Na sekundę kurtyna rozpalonego powietrza rozstąpiła się i wielki pojazd ukazał się niczym zagłowiec unoszący się w niepojęty sposób na suchym morzu.

Samochód mieszkalny nie miał szans w wyścigu z camaro i Jim wkrótce uczeplił się jego zderzaka. Był to stary dziesięciometrowy roadking, wedrowiec wielu dróg. Boczne listwy z białego aluminium pokryły się kurzem, dziurami i rdzą. Okna zasłaniały żółte firanki, niegdyś zapewne białe. Nie prezentował się okazalej niż przybytek pary emerytów uwielbiających włoczęgę, którzy żyją z mizernej pomocy opieki społecznej i nie mogą zapewnić pojazdowi szykownego wyglądu, jakim musiał się pysznić, kiedy był nowy.

Wyjatek stanowił motocykl: harley, zawieszony na żelaznym haku, przyspawanym z tyłu wozu po lewej stronie drabinki prowadzącej na dach. Z pewnością trafiały się większe modele, ale ten i tak miał potężną moc. Nie wyglądał na typową zabawkę dwojga staruszków.

Mimo motocykla roadking nie wyglądał podejrzanie. Tymczasem, znalazłszy się przy nim, Jim doznał wrażenia zetknięcia ze złem tak potężnym, jak gdyby zatopił go przyływ czarnych fal całego morza ludzkiej niegodziwości. Zakrztusił się, jakby poczuł smród ohydy panoszącej się wokół właścicieli samochodu.

W pierwszym odruchu zawahał się w obawie, że jakakolwiek akcja może zaszkodzić życiu kobiety i dziecka, które najwyraźniej zostały porwane. Ale zwlekając, jeszcze więcej ryzykował. Im dłużej matka i córka pozostawały w rękach ludzi w roadkingu, tym bardziej malały szanse, że wysiądą z niego żywe.

Zjechał na lewy pas. Zamierzał wyprzedzić ich o parę kilometrów, a potem zablokować drogę własnym wozem.

Kierowca roadkinga musiał w lusterku dostrzec Jima, kiedy ten zatrzymał się przy kombi, wyszedł i oglądał go. Teraz pozwolił, aby camaro prawie zrownało się z nim, a potem schylił kierownicę ostro na lewo, waląc o bok wozu.

Metal zazgrzytał o metal i camaro zadygotał.

30

31

Kierownica sama obroczyła się w rękach Jima. Usiłował nad nią zapanować. Udało się. Roadking odsunął się, a potem znowu zjechał w bok i znowu grzmotnął camaro, spychając je z asfaltowej nawierzchni na nieutwardzone pobocze. Przez kilkaset metrów z hukiem suneli tak w przód: roadking na niewłaściwym pasie, ryzykując czołowe zderzenie, gdyby z przeciwka nadjechał pojazd skrywający się za kurtynę upału i słonecznego blasku; camaro, unosząc za sobą wielkie chmury kurzu, balansując ryzykownie na krawędzi nasypu wzniesionego na pół metra ponad poziom pustyni.

Samochód mieszkalny uparcie zsuwał się na lewo, centymetr po centymetrze, zbliżając się nieuchronnie do nieutwardzonego pobocza.

Camaro musiał ulec naporowi. Został zepchnięty mimo wysiłku Jima. Najpierw przednie koło otarło się o brzeg nasypu i część wozu się zapadła. Wcisnął hamulce; nie miało to już znaczenia. Tylnie koło poszło w ślad za przednim i wpadło w pustkę.

Camaro pochylił się i zaczął koziolkować.

Używanie pasów było stałym przyzwyczajeniem Jima, więc kiedy rzuciło go na boki i w przód, a okulary zleciały, nie rozbił sobie twarzy o obudowę szyby ani nie roztrzaskał mostka o kierownicę. Sieć peknęła, wyglądająca jak robota pajaka na benzydrynie, rozbiegła się po przedniej szybie. Zacisnął oczy pod ulewą elastycznych odłamków hartowanego szkła. Samochód przetoczył się raz jeszcze, rozpoczął trzeci obrót, lecz wykonał go jedynie do połowy i spoczął na dachu.

Wisiał głową w dół na pasach. Był cały, ale w stanie silnego szoku. Kaszlał, otoczony chmurami białego pyłu, który napływał przez strzaskane okno.

Zaraz po mnie przyjdą.

Szukał gorączkowo przycisku zwalniającego pasy, znalazł go i opadł z wysokości paru centymetrow na dach przewróconego wozu. Stoczył się na strzelbę. Miał mnóstwo szczęścia, że bron nie wypaliła, kiedy trzesło nią w środku obracającego się camaro.

Przyjda po mnie.

Zdezorientowany, przez chwilę szukał klamki do drzwi nad głową. Dosięgnął jej, pociągnął. W pierwszej chwili drzwi nie chciały się otworzyć. Potem się uchyliły, wydając metaliczne zgrzyty i trzaski.

Wyczołgał się z dachu na pustynie, czuł się jak przeniesiony w surrealistyczny świat skrzywionej perspektywy Dalego. Sygnał za siebie po strzelbę.

Kurz, sypki jak popiół, zaczął już opadać, ale nadal wykaszliwał go z płuc. Zaciskając zęby, usiłował przełknąć każde kaszlnięcie. Jeżeli chciał przeżyć, musiał być cicho.

Nie dorównywał szybkością ani umiejętnością wtopienia się w otoczenie małym pustynnym jaszczurkom, przemykającym mu przed nosem. Przesunął się zgięty do najbliższego arroyo. Kiedy dotarł do brzegu tego wylobionego przez naturę kanału, okazało się, że ma on tylko trochę ponad metr głębokości. Zesliznął się po brzegu. Jego stopy z miękkim tapnięciem uderzyły o twarde dno.

32

33

Skulony, powoli podniósł głowę i spojrzał w kierunku przewróconego camaro, wokół którego nie opadł jeszcze do końca alkaliczny pył. Na szosie roadking dotarł właśnie na wstecznym biegu do zniszczonego wozu i stanął. Otworzyły się drzwi i wysiadł z nich mężczyzna. Inny wyszedł po drugiej stronie, pośpiesznie przeszedł przed samochodem i dołączył do swego kompana. Żaden z nich nie przypominał milego-staruszka-na-emeryturze, jakiego można by sobie wyobrazić za kółkiem tego podstarzałego pojazdu. Każdy miał koło trzydziestki i robili wrażenie twardych jak pustynna skała, hartowana w upalnym słońcu. Włosy jednego z nich ściągnięte były do tyłu i związane w kński ogon. Drugi miał głowę wygoloną po bokach, a na jej czubku sterczący, krótki pioropusz - wyglądał, jak żywcem przeniesiony z "Mad Maxa". Obydwaj mieli na sobie podkoszulki bez rękawów, dzinsy, kowbojskie buty, obydwaj byli uzbrojeni w ręczną broń. Zbliżyli się ostrożnie do camaro, każdy z innej strony.

Jim pochylił się, obrócił w prawo - mniej więcej na zachód - i szybko pobiegł skulony wyschniętym wąwozem. Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy nie zostawia śladów, ale ostatnie deszcze spadły przed miesiącami i grunt tak stwardniał w promieniach słońca, że nie było czym się martwić. Piętnaście metrów dalej arroyo ostro skrecało na południe, w lewo. Dwadzieścia metrów dalej znikало w tunelu pod szosą.

Poczuł przypływ nadziei, ale nie uspokoiło to dreszczy strachu, jakie targaly nim nieustannie od chwili, kiedy znalazł umierającego człowieka w kombi. Zbierało mu się na wymioty, na szczęście jednak nie zjadł śniadania. Wbrew zaleceniom specjalistów od racjonalnego żywienia czasem warto darować sobie posiłek.

Pelen głębokiego cienia betonowy tunel był stosunkowo chłodny. Neciła go myśl, aby zatrzymać się tu i ukryć - oraz majaczyła nadzieja, że zrezygnują, odjadą.

Oczywiście, nie mógł tak postąpić. Nie był tchorem. Ale gdyby nawet jego poczucie przyzwoitości pozwoliło mu tym razem na małą dawkę tchorzostwa, tajemnicza moc, która go prowadziła, nie dałaby mu szansy na zaprzestanie walki i ucieczkę. Do pewnego stopnia był marionetką drgająca na niewidzialnych sznurkach, pozostawał na łasce niewidzialnego lalkarza, w kukielkowym przedstawieniu z niepojętą fabułą i przesłaniem wymykającym się zrozumieniu.

Pare wedrownych chwastów znalazło sobie drogę do tunelu. Ich ostre ciernie przejechały mu po skórze, kiedy przeciskał się przez ich barierę. Wylonil się po drugiej stronie szosy i zanurzył w następne ramie arroyo.

Leżąc na brzuchu, podpełzł do wzniesienia drogi i podniósł się, aby spojrzeć na drugą stronę, tam gdzie stał samochód mieszkalny. Za nim dojrzał camaro leżące na grzbiecie jak zdechła ropucha. Dwaj mężczyźni stali teraz razem, blisko wozu. Było oczywiste, że właśnie obejrzelij pojazd i zorientowali się, że nikogo w nim nie ma.

32

33

Rozmawiali z ożywieniem, ale znajdowali się zbyt daleko, aby rozpoznać słowa. Pare doleciało do niego, lecz były

znikształcone przez odległość i suche powietrze. Pot sływał mu do oczu, przeszkadzał patrzec. Otarł twarz rekawem i mrużąc powieki, wpatrywał się dalej w przesładowców.

Powoli oddalali się teraz od camaro w głąb pustyni. Jeden z nich wykazywał niepokój, kiwając głową z boku na bok. Drugi, w miarę jak się posuwali, z uwagą spoglądał na ziemię. Bez wątplenia szukał śladów Jima. Gdyby zły los uczynił jednego z nich wychowankiem indyjskich tropicieli śladów, dopadłby go szybciej niż legwan zuka.

Z zachodu doleciał odgłos pracującego silnika, zrazu cichy, potem szybko rosnący.

Jim obrócił głowę w tym kierunku, pragnąc dojrzec źródło dźwięku. Z mirazu wodospadu wylonil się peterbilt. Z niskiego punktu obserwacji Jimowi ciężarówka wydawała się tak potężna jak jakaś futurystyczna machina wojenna, która przywędrowała z dwudziestego pierwszego wieku.

Kierowca peterbilta musi dojrzec przewrócone camaro. Zgodnie z tradycyjną samarytańską postawą, jaka kierowcy ciężarówki prezentowali na drogach, na pewno zatrzyma się i zaoferuje pomoc. Jego pojawienie się wytraci z równowagi zbrojczy, a kiedy ich uwaga zostanie odwrócona, Jim wyskoczy i weźmie ich na muszke.

Ujrzał to wszystko w wyobraźni - lecz tylko w wyobraźni. Peterbilt nie zwalniał, nadjeżdżając, i Jim uswiadomił sobie, że musi go zatrzymać. Ale zanim zdążył się podnieść, wielka ciężarówka przemknęła obok niego ze smoczym rykiem, w smudze gorącego powiewu, łamiąc ograniczenie prędkości w sposób godny odnotowania w Księdze Guinnessa. Minęła go jak pojazd sływający z nieba w dniu sadu, wylądowany duszami, które natychmiast, ale to natychmiast mają znaleźć się w piekle.

Jim zdusił w sobie pragnienie, aby wybiec i wrzasnąć: "A gdzie twoja tradycyjnie samarytańska postawa, ty kupo gówna?"

Upalny dzień powtórnie spowolniła cisza. Po drugiej stronie szosy dwaj zbrojcy przez moment spoglądali za peterbiltem, a potem wrócili do poszukiwania Jima.

Wściekły i przestraszony zsunął się z pobocza, znowu rozplaszczyl na brzuchu i popelztał ku samochodowi mieszkalnemu, ciągnąc za sobą strzelbę. Nasyp dzielił go od wrogów; nie byli w stanie go ujrzeć, ale ciągle spodziewał się, że przekrocza drogę i wladują w niego pol tuzina pocisków.

Kiedy znowu odważył się wychylić, okazało się, że dotarł dokładnie na wysokość roadkinga. Wóz zasłaniał obydwu mężczyzn. Jim nie mógł ich widzieć, również oni nie mogli dostrzec jego. Zerwał się i przebiegł przez szosę. Znalazł się przy samochodzie.

Drzwi do części mieszkalnej znajdowały się za drzwiami kierowcy. Były uchylone.

Złapał za klamkę. Nagle dotarło do niego, że w środku może znajdować się trzeci mężczyzna, który pilnuje kobiety i dziewczynki. Nie może ryzykować wejścia do środka, dopóki nie załatwi sprawy z tą dwojką. Może wpasć w pułapkę.

34

35

Skradał się w kierunku maski, kiedy usłyszał zbliżające się głosy. Zamarł, oczekując, że facet z dziwną fryzurą wyjdzie zza zderzaka. Ale zatrzymali się po drugiej stronie. - ...a jebał go pies... - ...ale mógł zobaczyć nasz numer rejestracyjny... - ...jest szansa, że mu dowalilo... - ...w wozie nie było krwi... Jim przyklekł tuż przy kole i spojrzął pod pojazdem. Stali po drugiej stronie, przy drzwiach kierowcy. - ...zjedziemy następną na wschód... - ...z glinami na dupie... - ...zanim znajdzie gliny, my będziemy w Arizonie... - ...co ty powiesz... - ...zobaczysz...

Jim wstał, poruszając się ostrożnie, i przesłiznął się na przód roadkinga. Minal pierwszą parę reflektorów i osłone silnika. - ...walimy przez Arizone i do Nowego Meksyku... - ...też mają gliny, wiesz... - ...do Teksasu i zostawiamy za sobą parę stanów, walimy przez całą noc, jak będzie trzeba...

Jim dziękował Bogu, że poboczne krył piasek, nie żwir. Cicho przekradał się do reflektorów po drugiej stronie kierowcy, cały czas skulony. - ...masz pojęcie, jaka kiepska jest współpraca międzystanowa... - ...on gdzieś tu się kryje, cholerny świat... - ...razem z milionem skorpionów i grzechotników...

Jim stanął przed nimi zniechęcony po drugiej stronie samochodu.

-Nie ruszać się! - Miał ich na muszke.

Przez sekunde gapili sie na niego jak na trzyokiego Marsjanina z ustami posrodku czola. Znajdowali sie na zaledwie dwa i pol metra od niego, na spluniecie. Z wygladu zaslugiwali na nie w zupelnosci. Z daleka robili wrazenie wezy na ludzkich nogach.

Teraz wygladali grozniej niz wszystko, co pelza na pustyni.

Trzymali pistolety lufami w dol. Jim, grozac im strzelba, krzyknal:

-Rzuccie je, do cholery!

Albo mial do czynienia ze szczegolnie ciezкими przypadkami, albo byli pieprzneci - prawdopodobnie jedno i drugie - poniewaz nie zamarli na widok broni.

Facet z konskim ogonem padl na ziemie i potoczyl sie w bok. Rownoczesnie uciekinier z "Mad Maxa" podniosl pistolet. Jim wypalil facetowi w piers, odrzucilo go w tyl. Prosto do piekla.

34

35

Nogi drugiego zniknely, kiedy wturlal sie pod podwozie roadkinga. W obawie przed postrzałem w stope lub kostke, Jim zlapal za otwarte drzwi i wskoczyl na stopien przy siedzeniu kierowcy. Zaledwie oderwal nogi od ziemie, dwa wystrzaly zagrzmialy pod samochodem i pocisk przebil kolo, przy którym przed chwila stal.

Nie schowal sie do kabiny, zeskoczyl z powrotem na ziemie, upadl na brzuch i wsunal strzelbe pod pojazd, liczac, ze zaskoczy przeciwnika. Ale facet wyprysnal juz spod wozu po drugiej stronie. Jim zdazyl tylko ujrzec czarne kowbojskie buty biegnace do tyłu samochodu. Facet znikl za jego rogim.

Drabina. Obok wiszacego motocykla.

Skurwiel chce wejsc na dach.

Jim wcisnal sie caly pod roadkinga. Zabojca moze wychylic sie z dachu, dojrzec go i strzelic w dol. Pod samochodem nie bylo chlodniej. Spalone sloncem pobocze pulsowalo cieplem gromadzonym od poranka.

Dwa samochody z rykiem przemknely obok, jeden tuż za drugim. Nie slyszal, jak nadjedzaly. Serce bilo mu mocno, mial wrazenie, ze znalazl sie w kotle z orkiestry symfonicznej.

Przeklal pod nosem kierowcow, a potem uswiadomil sobie, ze trudno oczekiwac od nich, aby zatrzymali sie, ujrzawszy faceta, skradajacego sie po dachu samochodu mieszkalnego z bronia w reku.

Mial wieksze szanse, dzialajac dalej w sposob nieprzewidywalny. Poczolgal sie na brzuchu ku tylnym schodkom, szybko jak zolnierz piechoty morskiej pod ogniem przeciwnika. Przekrecil sie na plecy i wysunal glowe obok zderzaka, usilujac cos dojrzec przez harleya i biegnace w gore szczeble, ktore zdawaly sie rozdwarzac w oslepiajacym, bialym sloncu.

Drabina byla pusta. Zabojca zniknal na dachu, przekonany, ze chwilowo udalo mu sie zmylic przesladowce. Nie spodziewal sie chyba, ze bedzie scigany z taka bezwzglesnoscia.

Jim wysliznal sie spod wozu i wszedl na drabine. Zlapal sie goracego uchwytu jedna reka, trzymajac strzelbe w drugiej i usilujac wdrapywac sie w miare mozliwosci bezszelestnie. Jego przeciwnik na aluminiowej platformie wyzej poruszal sie zadziwiajaco cicho. Dzwieki, jakie wydawal, ledwo gluszyl przypadkowe trzaski i zgrzyty wiekowych szczebli pod stopami Jima.

Na gorze Jim ostroznie wychylil glowe i ogarnal spojrzeniem dach. Zabojca pokonal juz dwie trzecie drogi do przodu, pelznac po prawej stronie. Spogladal w dol. Poruszal sie na kolanach i rekach, co musialo byc bolesne; chociaz zniszczona przez czas biala farba odbijala wiekszosc promieni slonecznych, i tak pochlaniala wystarczajaca ilosc ciepla, aby parzyc nawet mocno stwardniale dlonie i przeniknac przez dzinsowy material. Ale jezeli facet cierpial bol, nie bylo tego po nim widac; najwyrazniej byl twardzielem rownie obojetnym na grozbe zaglady jak jego martwy kumpel.

36

37



Jim przeniósł się na kolejny szczebel. Teraz zbrojca położył się na brzuchu, mimo że dach musiał parzyć go przez cienki podkoszulek. Usiłował być tak niewidoczny, jak to tylko było możliwe. Oczekiwał pojawienia się Jima w dole.

Jim wznosił się o jeszcze jeden szczebel. Dach znajdował się teraz na wysokości połowy jego klatki piersiowej. Obrócił się w bok na drabinie i objął jedną nogą wychodzący na dach uchwyt do rąk, blokując ciało tak, aby móc ująć broń, strzelić i nie spaść w dół na plecy pod działaniem siły odrzutu.

Jeżeli facet leżący na dachu nie był obdarzony szóstym zmysłem, to musiał mieć po prostu cholerne szczęście. Jim nie wydał żadnego dźwięku, ale tamten spojrzał nagle do tyłu i dojrzał go.

Klnąc, Jim wyceLOWał w niego.

Zbrojca, jak zdmuchnięty, rzucił się w bok i skoczył z dachu. Bez szansy na oddanie strzału, Jim wyciągnął kolano zza uchwytu i zeskoczył z drabinki. Grzmotnął o szosę, lecz utrzymał równowagę, wychylną zza samochodu i strzelił.

Ale zbrojca wpadł już przez boczne drzwi do wnętrza wozu. W najlepszym razie parę strużin utkwili mu w nodze, może nawet nie.

Dopadnie kobiety i dziewczynki.

Zakładnicy.

A może zamierza je zamordować, zanim sam zostanie wykonany. Ostatnimi czasy coraz częściej słyszano się o walesających się po kraju socjopatach, którzy weszli za łatwą ofiarą. Seksualne odpreżenie osiągnęli zarówno przy brutalnym morderstwie, jak i gwałcie.

Jim wciąż słyszał pełen leku głos umierającego w kombi mężczyzny: Lisa... Susie... żona, córka...

Zapomniał o ostrożności. Gniew zdusił w nim lek. Pobiegł za mordercą, wskoczył przez drzwi i znalazł się w środku samochodu. Oslepiony słońcem niemal nic nie widział, ale zdołał zobaczyć skurwysynę, kiedy ten biegł przez część wypoczynkowa do kuchni.

Zbrojca odwrócił się i wystrzelił. Stanowił teraz jedynie cień, sylwetkę; zamiast twarzy widać było tylko ciemny owal. Nabój wyrwał kawałek płyty pilśniowej z szafki po lewej ręce Jima, zasypując go drzazgami laminatu i dymiącymi trocinami.

Jim nie wiedział, gdzie jest kobieta i dziecko. Bał się je postrzelić, strzelba miała duży rozrzut.

Zbrojca wypalił ponownie. Drugi pocisk przeszedł tak blisko twarzy Jima, że zostawił palącą smugę na prawym policzku, niby pocalunek ognia.

Strzelił raz i cienkie ścianki zadygotały od huku. Zbrojca wrzasnął. Rzuciło go z wielką siłą o zlew. Jim wypalił powtórnie, odruchowo, w wpol ogłuszony podwójną eksplozją. Faceta dosłownie podniosło z podłogi i rzuciło na tylną ścianę obok zamkniętych drzwi do sypialni. Potem padł.

36

37

Jim wyszarpnął z kieszeni parę naboju, załadował powtórnie magazynek strzelby, równocześnie ruszając w głąb roadkinga obok zniszczonej, wygniecionej sofy. Przypuszczał, że tamten człowiek musi być martwy, ale nie miał pewności. Słońce jak rozpalone żelazo do znakowania bydła wciskało się do wnętrza przez przednią szybę i otwarte drzwi, ale dzięki ciężkim zasłonom na bocznych oknach tył wozu wypełniał głęboki cień. Po strzelaninie zawisła w powietrzu przejrzysta, gryząca mgła.

Kiedy dotarł do końca wąskiego pomieszczenia i spojrzał w dół, nie wątpił już, że ten zwinięty na podłodze człowiek nie żyje. Skrwawiony ludzki smięć. Smięć za życia, smięć po śmierci.

Na widok zszarpanych, sponiewieranych zwłok ośladnęło nim dzikie uniesienie, wściekłe poczucie słusznosci, podniecające i przerażające zarazem. Chciał czuć obrzydzenie po tym, czego dokonał, nawet jeżeli niezwykły człowiek zasługiwał na śmierć, ale - mimo iż rzeź powodowała w nim fizyczne mdłości - nie czuł moralnej odrazy.

Napotkał najczystsze zło obleczone w ludzką postać. Obaj ci skurwiele zasługiwali na coś gorszego niż to, co on im zgotował, zasługiwali na długą, powolną śmierć, wielkie cierpienia, wielkie przerażenie. Czuli się aniołami zemsty, który pełni

świętego gniewu przybył na miejsce sadu. Wiedział, że balansuje na krawędzi psychozy, zdawał sobie sprawę, że tylko chorzy psychicznie nie mają żadnych wątpliwości co do słuszności swych najohydniejszych czynów, ale nie doznawał zwątpienia. W istocie gniew w nim rosnął, jakby stał się wcieleniem apokaliptycznego gniewu Najwyższego.

Zwrócił się ku zamkniętym drzwiom.

Za nimi znajdowała się sypialnia.

Tam musiała być matka i dziecko.

Lisa... Susie...

Ale kto jeszcze?

Socjopatyczni mordercy zwykle działają samotnie, czasami tylko łączą się w pary jak ta dwójka. Szersze układy spotykało się jednak rzadko. Oczywiście, Charles Manson miał swoją "rodzinę". Były i inne przykłady. Nie mógł niczego wykluczyć. Nie w świecie, w którym najmodniejsi filozofowie nauczali, że rozwiązania etyczne są zależne od konkretnej sytuacji, a każdy punkt widzenia jest jednakowo słuszny i wartościowy, niezależnie od przyjętej logiki i nasycenia nienawiścią. Był to świat rodzacy potwory, a ta właśnie bestia mogła okazać się wielogłowa hydra.

Wiedział, że znalazł się w sytuacji wymagającej ostrożności, ale oczyszczający gniew człowieka prawego natchnął go poczuciem nietykalności. Podeszedł do drzwi, otworzył je kopniakiem i wpadł do sypialni bokiem, czując, że może łatwo zginąć i mając to gdzieś - że strzela przed sobą, gotów do zadawania śmierci i gotów na śmierć.

Kobieta i dziecko były same. Na brudnym barlogu. Przeguby i kostki u nóg przewiazano im mocną taśmą klejącą. Na ustach miały taśmę.

38

39

Kobieta, Lisa, szczupła i niezwykle atrakcyjna blondynka wyglądała na trzydziści lat. Ale córka, Susie, była znacznie ładniejsza od matki, wprost niezziemskiej urody: miała z dziesięć lat, błyszczące zielone oczy, delikatne rysy twarzy i skóra tak gładka jak płatek jasmину. Jimowi dziewczynka wydała się uosobieniem niewinności, dobroci i czystości - aniołem cisnietym do kloaki. Poczł świeży napływ wściekłości na widok dziecka związanego i zakneblowanego w plugawej sypialni. Lzy spływały jej po twarzy. Przerazenie wyciskało z gardła szloch, dławiony przez taśmę pieczętującą wargi. Matka nie płakała, mimo iż rozpacz i strach wyzierały jej z oczu. Poczł odpowiedzialności za los córki - i widoczny gniew, jakże bliski temu, który odczuwał Jim - zdawały się powstrzymać ją przed histerią. Uświadomił sobie, że się go boją. Mogły przypuszczać, że był w porozumieniu z porwaczami.

Oparł strzelbę o wbudowaną w ścianę komodę i powiedział:

-Juz dobrze. Juz po wszystkim. Zabilem ich. Obu.

Matka z niedowierzaniem patrzyła na niego szeroko otwartymi ze strachu oczami.

Nie miał jej za złe tej niewiary. Jego głos brzmiał dziwnie: pełen wściekłości, zalamywał się na co drugim słowie, drzał, przechodził od szeptu przez ostre warknięcia znowu do szeptu.

Rozejrzł się wokół za czymś do przecięcia wieżow. Rolka taśmy klejącej i nożyczki leżały na komodzie.

Siegając po nożyce, zauważył pornograficzne taśmy wideo, leżące w stosach obok.

Nagle wstrząsnięty dojrzał na ścianach i suficie małego pokoju mnóstwo nieprzyzwoitych fotografii wyrwanych z magazynów dla dorosłych. Był to brud karmiaczy skrzywione umysły: pornografia dziecięca. Na zdjęciach widnieli dorośli mężczyźni z zasłoniętymi twarzami, ale nie było dorosłych kobiet, tylko dziewczęta i chłopcy, przeważnie tak młodzi jak Susie i jeszcze młodszy, poddani różnym, nieprawdopodobnie brutalnym zabiegom.

Mezcyżni, których zabił, użyliby matki tylko do chwili zabawy, zgwałciliby ją, torturowali i spódlili jedynie po to, by dziecko widziało, co je czeka. Potem podcieliby jej gardło albo strzelili w głowę na jakiejś pustej, zakurzonej pustyńnej drodze, zostawiając ciało na ucztę jaszczurkom, mrowkom i sepom. Naprawdę chodziło im o dziecko. Przez następne miesiące, może lata żyłaby w piekle na ziemi.

Jego gniew przeszedł w coś sięgającego poza obszary furii. Wzniosła się w nim fala straszliwej ciemności, jak czarna ropa buchająca z odwiertu.

Oszalał z gniewu na myśl, że dziecko widziało te fotografie, zmuszone do leżenia w tej zbrukanej i cuchnącej pościeli, miało ze wszystkich stron obrazy niewysłowionej obrzydliwości. Ogarnęła go szalęcza pokusa, aby złapać za strzelbę i naszpikować oba trupy resztą pocisków.

38

39

Nie tkneli jej. Dzięki za to Bogu. Nie mieli czasu jej tknąć. Ale ten pokój. O Jezusie, już samo przebywanie tu było krzywdzące.

Trzasł się.

Zobaczył, że matka dziewczynki też targają dreszcze.

Po chwili dotarło do niego, że jej drgawki nie płyną z wściekłości jak u niego, lecz ze strachu. Strachu przed nim. Lekęła się go, teraz jeszcze bardziej niż wtedy, kiedy wszedł do pokoju.

Dobrze, że nie było tu lustro. Nie chciałby zobaczyć swojej twarzy. W tym momencie musiało na niej widnieć szaleństwo.

Powinien wziąć się w karby.

- Już dobrze - powtórzył uspokajająco. - Przybyłem na ratunek.

Pospiesznie, pragnąc jak najszybciej je uwolnić i uciszyć ich przerażenie, opadł obok łóżka na kolana, przeciał taśmę owiniętą wokół kostek i przegubów kobiety, zerwał i odrzucił, resztę zostawiając jej samej.

Kiedy przeciał więzy na przegubach Susie, objęła się w odruchu samoobrony. Gdy uwolnił kostki jej nog, kopnęła w jego kierunku i odpełzła po szarej, wymiętej pościeli.

Nie próbował jej dosięgnąć, przeciwnie, cofnął się.

Lisa oderwała taśmę od ust, wyrwała knebel, kaszłać i krztuszać się. Odezwała się chrapliwym głosem, gorączkowym, ale i pełnym rezygnacji:

- Moją mamę, tam w samochodzie... moją mamę!

Jim spojrzał na nią bez słowa, niezdolny do przekazania ponurej wiadomości w obecności dziecka.

Kobieta dojrzała w jego oczach prawdę i na krótką chwilę jej piękna twarz zamieniła się w maskę rozpaczki i bólu. Ale ze względu na córkę zdusiła łkanie, tłumiąc cierpienie.

- Och, mój Boże! - Tyle jedynie wyrwało się jej z gardła, lecz te słowa zdradzały cały ciężar poniesionej straty.

- Uniesiesz Susie?

Jej myśli były przy zmarłym mężu.

- Uniesiesz Susie? - powtórzył.

- Skąd wiesz, jak się nazywa? - Zamrugnęła, zaskoczona.

- Twój mąż mi powiedział.

- Ale...

- Wcześniej - rzucił ostro, mając na myśli chwilę przed śmiercią. Nie chciał jej robić fałszywej nadziei. - Potrafisz ją stąd wynieść?

- Tak, tak myślę, chyba.

Mógł sam to zrobić, ale uważał, że nie powinien jej dotykać. Uczucie to wynikało z emocji i było wyłącznie irracjonalne,

jednak czuł, że temu, co zrobili jej tamci dwaj mężczyźni - i co mogliby jej zrobić, gdyby im się udało - winni byli wszyscy mężczyźni i przynajmniej mała cząstka winy spoczywała również na nim.

40

41

W tej chwili jedynym mężczyzną na świecie, który mógłby dotknąć tego dziecka, był jej ojciec. A nie było go wśród żywych. Jim podniósł się z kolan i cofnął od łóżka. Uderzył plecami w wąskie drzwi szafy ściennej. Kiedy odsunął się w bok, otworzyły się na oścież.

Na łóżku leżąca, zszokowana dziewczynka odsunęła się od matki, w pierwszej chwili niezdolna przyjąć nawet dobrotliwego dotknięcia znanych, kochanych dłoni. Potem nagle pękły lancuchy przerażenia i rzuciła się matce w ramiona. Lisa przemawiała do niej łagodnie i kojąco, głaskała ją po włosach, mocno tuliła.

Od momentu kiedy zbrojcy zatrzymali się, by obejrzeć przewrócone camaro, klimatyzacja nie działała. W sypialni z sekundy na sekunde gorąco i smród przybierały na sile.

W powietrzu unosił się zastawy odor piwa, potu, czegoś, co mogło być wonią zaschłej krwi, której ciemnokasztanowe smugi były widoczne na dywanie. Czuli i inne obrzydliwe zapachy, których wolał nie identyfikować.

-Chodźmy, wynosimy się stąd!

Lisa nie robiła wrażenia silnej, ale bez trudu uniosła córkę. Z dziewczynką w ramionach ruszyła do drzwi.

-Nie pozwól, żeby patrzyła na lewo, kiedy wyjdziemy - powiedział. - Trup jednego z nich leży tuż przy drzwiach. Nie wygląda pięknie.

Lisa kiwnęła głową, wyraźnie wdzięczna za ostrzeżenie.

Podążając za nią w kierunku drzwi, ujrzał zawartość wąskiej szafy, która otwarła się, kiedy uderzył o nią plecami: całe polki kreconych domowym sposobem filmów wideo.

Na grzbietach biała tasma z pisanymi ręcznie tytułami. Imiona. Tytuły to były same imiona. CINDY. TIFFANY. JOEY. CISSY. TOMMY. KEVIN. Dwie zatytułowane SALLY.

Trzy zatytułowane WENDY. Więcej imion. W sumie może trzydzięci. Wiedział, na co patrzy, ale nie chciał w to uwierzyć. Wspomnienia bestialstwa. Momenty perwersji.

Ofiary.

Gorycz w nim narastała.

Szedł za Lisa do drzwi w palacie, pustynne słońce.

2

Lisa stała w słońcu koloru białego złota na poboczu szosy, za samochodem mieszkalnym. Córka tuliła się do jej boku. Światło wydobywało ich wzajemne podobieństwo: przeslizgiwało się iskrzącymi strumieniami przez płowe włosy, podkreślało kolor oczu - w podobny sposób jak reflektor na wystawie jubilera dodaje urody szmaragdom eks40

41

ponowanym w aksamitnych puzdrach - i uczęszczało niemalże mistycznego blasku ich skorze. Patrzeć na nie, trudno było uwierzyć, że nie rozjasnia również ich dusz, że ciemność niedawno wkroczyła w ich życie, wypełniając je równie szczelnie, jak noc wypełnia świat przed nadejściem świtu. Jimowi ogromnie ciążyła ich obecność. Za każdym razem, kiedy na nie spoglądał, stawał mu przed oczami nieżywy mężczyzna w kombi i ogarniały go współczucie i żal równie mocne jak najsilniejszy fizyczny ból.

Używając klucza z peku zwisającego przy stacyjce samochodu mieszkalnego, odblokował żelazny hak trzymający motocykl. Był to harley-davidson FXRS-SP; pojemność 1340 centymetrów sześciennych, cztery cylindry gornozaworowe w układzie widlastym, z prowadnicami popychaczy zaworów, piec biegów, napęd przenoszony nie lancuchem, ale przez pas zębaty. Jeździł bardziej wymyślnymi i dużo silniejszymi pojazdami. To był standardowy produkt, tak zwyczajny, jaki tylko

Harley mogli wyprodukować.

Ale zależało mu jedynie na tym, aby motor był szybki i łatwo się prowadził. Jeżeli ten SP był zadbane, to zaspokoi oba wymagania.

Kiedy Jim odczepił harleya i przyglądał mu się, Lisa odezwała się z niepokojem:

-Nie pojedziemy na tym we troje.

-Nie - odparł. - Tylko ja.

-Proszę, nie zostawiaj nas samych.

-Nie odjadę, póki ktoś was nie zabierze.

Nadjechał samochód. Trzy siedzące w nim osoby gapily się na nich. Kierowca dodał gazu.

-Nikt nie stanie - powiedziała złośliwie.

-Ktoś stanie. Zaczekam.

Zamilkła na moment.

-Nie chce wsiadać do samochodu, w którym będą obcy ludzie - rzekła po chwili.

-Zobaczymy, kto się zatrzyma.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

-Będzie wiedział, czy można im zaufać - powiedział.

-Ja nie... - Głos się jej załamał. Zawahała się, odzyskała nad sobą kontrolę. - Nie ufam nikomu.

-Sa na świecie dobrzy ludzie. Tak naprawdę większość ludzi jest dobra. W każdym razie, kiedy ktoś się zatrzyma, będzie wiedział, czy jest w porządku.

-Skąd? Skąd, na Boga, możesz to wiedzieć?

-Może. - Nie potrafił jej tego wyjaśnić.

Tak jak nie potrafił wytłumaczyć, skąd wcześniej wiedział, że ona i jej córka potrzebują jego pomocy na tym wyschniętym, bezludnym pustkowiu.

42

43

Wsiadł na siodełko i nacisnął starter. Silnik zaskoczył natychmiast. Podkreślił go trochę, a potem zgasił.-Kim jesteś? - spytała kobieta.

-Nie mogę ci powiedzieć.

-Ale dlaczego nie?

-Narobilioby to za dużo szumu. Stałbym się sensacją na skale krajowa.

-Nie rozumiem.

-Wszędzie umieszciliby moje zdjęcia. Nie lubię rozgłosu. - Za siodełkiem harleya był zamontowany mały bagażnik. Jim paskiem od spodni przymocował tam strzelbę.

Serce mu pekało, kiedy kobieta głosem łamiącym się ze wzruszenia powiedziała:

-Tyle ci zawdzięczamy.

Spojrzał najpierw na nią, potem na Susie. Dziewczynka szczupłym ramieniem mocno obejmowała matkę. Nie słuchała rozmowy. Jej oczy utraciły ostrość spojrzenia, były zupełnie puste - myśl błądziła bardzo daleko. Wolną rękę trzymała przy ustach, zując skore na kostkach; skóra była już tak popekana, że dziecko ssalo własną krew.

Odwrocił wzrok i patrzył znowu w dół, na motor.

-Niczego mi nie zawdzięczacie - powiedział.

-Ale uratowałeś...

-Nie wszystkich - przerwał szybko. - Nie wszystkich, których powinienem.

Daleki pomruk zbliżającego się od wschodu samochodu zwrócił ich uwagę. Patrzyli, jak potężny czarny trans-am wylania się z wodnych mirazy. Zatrzymał się przed nimi z piskiem hamulców. Na błotnikach przednich koł były wymalowane płomienie, chromowane dekle na wszystkich kołach wykończono szprychami. Gruba, podwójna, również chromowana rura wydechowa błyszcziała jak płynna ręć w ostrym, pustynnym słońcu.

Kierowca wysiadł z wozu. Wyglądał na trzydziestkę. Gęste, czarne włosy długie po bokach schodziły mu się z tyłu na karku w "kaczy kuper". Miał na sobie dzinsy i białą koszulkę z podwiniętymi rękawami, które odsłaniały tatuaże na obu bicepsach.

-Coś się działo? - spytał.

Jim przyglądał mu się przez chwilę, a potem powiedział:

-Trzeba je podwieźć do najbliższego miasta.

Kiedy mężczyzna obchodził trans-ama, otwarty się drugie drzwi i wysiadła z nich kobieta. Była kilka lat starsza od swego towarzysza. Miała na sobie luźne brązowe szorty, białą krotką bluzkę odsłaniającą brzuch oraz białą opaskę na włosach. Niesforne utlenione kosmyki wymykały się jej spod tej ozdoby, okalając twarz tak mocno pomalowaną, że robiła wrażenie poligonu Max Factora. Miała na sobie również zbyt dużo świecidełek i innych ozdób: srebrne kolczyki, trzy sznury szklanych paciorków w różnych odcieniach czerwieni, po dwie bransolety na każdym przegubie, zegarek i cztery pierścionki. Nad lewą pierś niebiesko-rozowy tatuaz w kształcie motyla.

42

43

-Macie awarie? - spytała. - Samochód mieszkalny złapał gumę - rzekł Jim.

-Jestem Frank - powiedział facet. - To Verna. Złapała gumę.

-Pomogę wam wymienić koło.

Jim potrząsnął głową.

-I tak nie możemy jechać samochodem. W środku jest trup.

-Trup?

-A tam następny - powiedział Jim, wskazując za roadkinga.

Vernie zrobiły się oczy jak spodki.

Frank na chwilę przestał zaciągać gumę, zerknął na strzelbę przymocowaną do bagażnika harleya, a potem znowu spojrzał na Jim'a.

-Zabiliście ich?

-Mhm. Porwali tę kobietę i jej dziecko.

Frank przez chwilę mierzył go wzrokiem, a potem spojrzał na Lise.

-To prawda? - spytał ją.

Pokiwała głową.

-Jezu. - Verna westchnęła.

Jim spojrzal na Susie. Znajdowała się w innym świecie, a żeby wrócić w ten, będzie potrzebowała pomocy profesjonalisty. Był pewien, że nie słyszała słowa z tego, co tu padło.

Dziwne. Czuł się tak wyizolowany jak to dziecko. Nadal zapadał się w wewnętrzną ciemność i pewnie nie minie wiele czasu, a polknie go ona kompletnie.

-Ci faceci, których zabiłem... oni wykonczyli meza... ojca. Ciało jest w kombi, parę kilometrów stąd na zachód.

-O szlag - powiedział Frank. - To skurwiele.

Verna przytuliła się do Franka i zadrzała.

-Chce, żebyście zawieźli je do najbliższego miasta, najszybciej, jak się da. Złatwcie im opiekę lekarską. Potem wezwijcie policję stanową.

-Jasne - zapewnił go Frank.

-Poczekajcie... nie... ja nie mogę - odezwała nagle się Lisa. Jim podszedł do niej.

Szepnęła: - Oni tak wyglądają... ja nie potrafię... boję się...

Jim położył dłoń na jej ramieniu, spojrzal prosto w oczy.

-Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda. Frank i Verna są w porządku. Wierzysz mi?

-Tak. Teraz tak. Oczywiście.

-Więc zaufaj temu, co mówię. Nie bój się ich.

-Ale skąd to wiesz? - spytała łamiącym się głosem.

44

45

-Po prostu wiem. Nadal przez kilka sekund spoglądała mu w oczy, a potem kiwnęła głową i powiedziała:

-W porządku.

Reszta była łatwa. Posłusznie, jak po zastrzyku uspokajającym, Susie pozwoliła się zanieść na tylne siedzenie. Matka siadła obok, przytulając ją do siebie. Kiedy Frank znowu znalazł się za kierownicą, a Verna usiadła na swoim miejscu, Jim z wdzięcznością przyjął puszkę piwa z ich podrecznej lodówki. Potem zamknął Vernie drzwi, pochylił się do otwartego okna i podziękował jej i Frankowi.

-Nie czekasz tu na gliniarzy, co? - spytał Frank.

-Nie.

-Nic ci nie grozi, chyba wiesz. Będziesz bohaterem.

-Wiem. Ale nie czekam.

Frank kiwnął ze zrozumieniem głową.

-Masz pewnie swoje powody. Chcesz, żebyśmy powiedzieli, że jesteś łysy, masz ciemne oczy i pojechałeś na wschód stopem ciężarówką?

-Nie. Nie kłamcie. Nie kłamcie z mojego powodu.

-Jak chcesz.

-Nie martw sie. Dobrze sie nimi zaopiekujemy - uspokajala go Verna.

-Wiem - powiedzial Jim.

Pociagal piwo i obserwowal trans-ama, az znikl mu z oczu.

Wsiadl na harleya, przycisnal starter, za pomoca dlugiego, ciezkiego lewara wrzucil bieg, podkrecil troche gaz, zwolnil sprzegli i ruszyl w poprzek szosy. Zjechal z pobocza, w dol i skierowal sie prosto na poludnie w bezkres niegospinnej pustyni Mojave.

Przez chwile jechal z szybkościa stu kilometrow na godzine, mimo ze nic nie chronilo go przed pedem powietrza, gdyz SP nie mial owiewki. Rzucalo nim poteznie i oczy bez przerwy napelnialy sie lzami, za co winil wyłacznie ostry, goracy, smagajacy wiatr.

Co dziwne, nie przeszkadzal mu upal. W istocie nie czul go nawet. Splywal potem, a jednak bylo mu chlodno.

Stracil poczucie czasu. Moze po godzinie uswiadomil sobie, ze zjechal z rownin i brnal przez wzgorza koloru rdzy. Zmniejszyl szybkość. Droga teraz wciáz skrecala i wila sie pomiedzy skalnymi wybrzuszeniami, ale SP dawal sobie rade. W porownaniu z normalnym FXRS mial o piec centymetrow dluzsze teleskopy przednie i tylne, odpowiednie sprezyny oraz przednie hamulce tarczowe - dlatego tam, gdzie teren zastawial na niego pulapki, Jim omijal je sprawnie jak kaskader.

Po chwili nie czul juz chlodu, tylko zimno.

Wydawalo mu sie, ze slonce zachodzi, choc wiedzial, ze jest dopiero wczesne popoludnie. Ciemnosc wykluwajaca sie w jego wnetrzu opanowala go calego.

44

45

W koncu zatrzymal sie w cieniu monolitycznej skaly, dlugiej na jakies pol kilometra, wysokiej na sto metrow. Przez stulecia zwietrzala, nabierajac nierealnych ksztaltow pod wplywem wiatru, slonca i rzadkich, ale gwaltownych deszczy, jakie nawiedzaly Mojave. Sterczala z pustyni jak ruiny starozytniej swiatyni, zagrzebanej w polowie w piasku.

Postawil harleya na nozkach.

Siadl na ziemi, w cieniu.

Po chwili opadl na bok. Podkurczyl kolana. Przycisnal rece do piersi.

Nie zatrzymal sie ani o moment za wczesnie. Ciemnosc pochlonela go calkowicie i runal w otchlan rozpaczny.

3

Pozniej, kiedy ostatnie promienie slonca spadaly jeszcze na ziemie, ocknal sie znow na harleyu. Jechal przez szarorozowe rowniny; gdzieniegdzie blyszczaly kepy jadloszynu. Martwe, suche, spalone sloncem kepy szarlatu scigaly go w powiewach wiatru niosacego won sproszkowanego zelaza i soli. Niewyraźnie przypominal sobie, jak rozerwal skorupe kaktusa i wysysal wilgoc z nasiaklej woda miazgi wypelniajacej pien rosliny. Teraz znow czul pragnienie. Rozpaczliwe pragnienie.

Kiedy pokonal lekkie wzniesienie, zmniejszyl troche gaz; trzy kilometry przed soba zobaczyl male miasteczko.

Domki skupily sie przy szosie. Porozrzucane drzewa robily wrazenie nienaturalnego bogactwa po tym - fizycznym i duchowym - pustkowiu, przez jakie wedrowal przez ostatnie pare godzin. Nie do konca przeswiadczony, ze miasteczko jest czymś wiecej niz tylko zwidem, skrecil w jego kierunku.

Nagle, odcinajac sie na tle nieba, ktore teraz, wraz ze zmierzchem, nabralo barw purpury i czerwieni, pojawila sie wieza kosciola z krzyzem na szczycie. Jim uswiadomil sobie, ze jest bliski utraty przytomności i ze jest to przynajmniej czesciowo spowodowane powaznym odwodnieniem, mimo to od razu skierowal sie ku kosciolowi. Czul, ze pocieszenie, jakie moze znalezc w jego wnetrzu, jest mu bardziej potrzebne niz woda.

Kilometr od miasteczka zjechal do arroyo i polozyl harleya na boku. Miekki piach i osypujace sie sciany rowu latwo ustepowaly pod jego dlonmi, kiedy szybko zasypywal motocykl.



Zalozył, że przebycie pieszo ostatniego kawałka nie będzie trudne. Ale okazało się znacznie cięższe, niż sobie wyobraził. Obraz przed jego oczami pojawiał się i znikal.

Wargi piekły go, język przysychał do podniebienia, a gardło miał zupełnie wyschnięte - jakby znalazł się w kleszczach silnego ataku gorączki. Mięśnie nog zaczęły przebiegać skurcze i drgawki, a każda stopa zdawała się uwieczona w betonowym bloku.

46

47

Musiał stracić świadomość, idąc, ponieważ kiedy się ocknął, stał na ceglanych stopniach kościoła i nie pamiętał ostatnich kilkuset metrów wędrowki. Ściany kościoła obite były białymi deskami, słowa NASZA PANI OPIEKUNKA PUSTYNI widniały na tabliczce z brązu, przybitej obok podwójnych drzwi frontowych. Kiedyś był katolikiem. W jakiejś mierze nadal nim pozostał. Zresztą wiązał się z wieloma religiami: wyznawał judaizm, był metodystą, buddystą, baptystą, muzułmaninem, hinduista, taoista i nie tylko - i chociaż nie praktykował już tych wyznań, to odczuwał z nimi związek.

Mimo że drzwi zdawały się wazyc więcej niż glaz leżący u wejścia do grobu Chrystusa, udało mu się je otworzyć. Wszedł do środka.

W kościele było znacznie chłodniej niż w zmierzchu otulającym pustynię, ale nie zimno. Pachniało mirra, aralia i lekko słodkawa wonia płonących świec wotywnych; ten zapach przyniósł wspomnienia z okresu, gdy wyznawał katolicyzm, i sprawił, że nie czuł się tu nieproszonym gościem.

Przy drzwiach w kruchcie zanurzył dwa palce w misie z wodą świeconą i przezegnął się. Potem dłońmi zaczerpnął chłodnego płynu, zbliżył do ust i zaczął pic. Woda miała smak krwi. Spojrzał przerazony do białej marmurowej misy, pewien, że jest wypełniona krzepnącą posoką, ale ujrzał jedynie wodę i niewyraźne, drżące odbicie własnej twarzy.

Uświadomił sobie, że jego spierzchnięte, obolale wargi są popekane. Polizal je. To była jego własna krew.

Kiedy znowu się ocknął, znajdował się u końca nawy. Opierał się o barierkę przed ołtarzem i modlił. Nie miał pojęcia, jak się tu znalazł. Musiał znow stracić świadomość.

Ostatek dziennego światła odpłynął jak błądzący kurzu i gorący nocny wiatr załomotał w okna kościoła. Ciemność rozpraszali jedynie lampka przy tabernakulum, migające płomyki paru wotywnych świeczek umieszczonych w podstawkach z czerwonego szkła i małe światełko o skupionym promieniu, rozjasniające krucyfik od dołu.

Jim ujrzał własną twarz w miejscu twarzy Chrystusa. Oczy piekły go mocno, zamrugał i spojrzał powtórnie. Tym razem zobaczył twarz nieżywego mężczyzny z kombi. Święta figura przybierała rysy twarzy matki Jima, jego ojca, dziewczynki o imieniu Susie, Lisy - a potem nie było w ogóle żadnej twarzy, tylko czarny owal, jak wtedy kiedy zbrojca odwrócił się, strzelając do Jima w wypełnionych cieniami roadkingu, a jego twarz stała się jedynie czarnym cieniem.

W istocie to nie Chrystus wisiał teraz na krzyżu, lecz zbrojca. Otworzył oczy, spojrzał Jimowi w twarz i uśmiechnął się. Oderwał stopy od pionowego drzewca; gwoździe nadal błyszczały w jednej nodze, czarna dziura widniała w drugiej. Uwolnił również ręce, żelaza nadal przekłuwały obie dłonie i po prostu spływał powolutku, jakby prawa grawitacji były mu posłuszne. Ruszył przez podium przed ołtarzem do barierki, w kierunku Jima.

46

47

Serce Jima było coraz szybciej, ale mówił sobie, że jedynie ulega złudzeniu. Widzi to, co jego umysłowi podsuwa gorączka. Nic innego. Zbrojca doszedł do niego. Dotknął twarzy. Ciało miał miękkie jak gnijące mięso i lodowate jak płynny gaz.

Jak pod ręką uzdrowiciela podczas seansu masowej terapii, Jim zadygotał i stoczył się w ciemność.

4

Pokój o białych ścianach. Wąskie łóżko.

Skąpe i skromne umeblowanie.

Za oknem noc.

Złe sny polykały go i wypluwały. Za każdym razem, kiedy odzyskiwał przytomność, co nigdy nie trwało dłużej niż minutę albo dwie, widział nad sobą tego samego człowieka: pięćdziesiąt lat, łysiejący, lekko otyły, z grubymi brwiami i zgniecionym nosem.

Podnosił Jimowi głowę i zachęcał go do picia zimnej wody przez słomkę. Ponieważ w oczach mężczyzny była opiekunczość i troska, Jim nie protestował.

Poza tym nie potrafiłby wydobyć głosu, żeby zaprotestować. Gardło bolało go tak, jakby nalykał się na?y, a potem wrzucił do ust zapalke. Nie miał nawet siły podnieść ręki na centymetr ponad przescieradło.

-Masz odpocząć - powiedział nieznajomy. - Przeszedłeś udar słoneczny i jesteś mocno poparzony.

Płonący wiatr. To było najgorsze, pomyślał Jim, przypominając sobie harleya SP bez owiewki z pleksi, dającej osłonę.

Blask w oknach. Nowy dzień.

Oczy go bolały.

Twarz dokuczala jeszcze bardziej, cała obrzmiała.

Nieznajomy nosił koloratkę.

-Ojciec - szepnął chrapliwie, nieswoim głosem.

-Znalazłem cię w kościele, nieprzytomnego.

-Nasza Pani Opiekunka Pustyni.

-Zgadza się. Jestem ojciec Geary. Leo Geary - rzekł, znowu podnosząc Jima z poduszki.

Jim tym razem sam dał sobie radę. Woda miała słodki smak.

-Co porabiałeś na pustyni? - spytał ojciec Geary.

48

49

-Walesałem się.-Dlaczego?

Jim nie odpowiedział.

-Skąd jesteś?

Milczenie.

-Jak się nazywasz?

-Jim.

-Nie masz żadnego dowodu tożsamości.

-Tym razem nie.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

Jim milczał.

-Miałeś przy sobie trzy tysiące dolarów gotówką - rzekł ksiądz.

-Niech ksiądz weźmie, ile potrzeba.

Duchowny wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem się uśmiechnął.

-Uważaj, co proponujesz, synu. To biedny kościół. Potrzebujemy wszystkiego, co się nam ofiaruje.

Jeszcze później Jim obudził się znowu. Ksiądz nie było. W domu panowała cisza. Od czasu do czasu zaskrzypiały krokiew lub miękko uderzyła okiennica, poruszona wiatrem kapryśnie szeleszczącym za szybą.

Kiedy ksiądz powrócił, Jim się odezwał:

-Pytanie, ojcze.

-O co chodzi?

-Jeżeli Bóg istnieje, dlaczego pozwala na cierpienie? - Jego głos brzmiał szorstko, ale trochę bardziej znajomo.

-Czujesz się gorzej? - zaniepokoił się ojciec Geary.

-Nie, nie. Lepiej. Nie chodziło mi o własne cierpienie. Po prostu... dlaczego pozwala na cierpienie w ogóle? - Żeby poddać nas próbie - wyjaśnił ksiądz.

-Dlaczego musimy ją przejść?

-Aby wiadomo było, czy jesteśmy godni.

-Godni czego?

-Godni niebios, rzecz jasna. Zbawienia. Wiecznego życia.

-Dlaczego Bóg nie stworzył nas godnych?

-Otoż stworzył nas doskonałych, bez grzechu. Ale zgrzeszyliśmy i utraciliśmy łaskę.

-Jak mogliśmy zgrzeszyć, kiedy byliśmy doskonałi?

-Mamy wolną wolę.

48

49

-Nie rozumiem.-Nie jestem biegły w teologii. - Ojciec Geary zmarszczył brwi. - Jestem zwykłym księdzem. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest to część tajemnicy boskiej. Utraciliśmy łaskę i teraz musimy zasłużyć na niebo.

-Muszę do toalety - odezwał się Jim.

-W porządku.

-Wystarczy już tej kaczki. Wydaje mi się, że dojdę tam bez pomocy księdza.

-Też tak myślę. Naprawdę jest z tobą coraz lepiej, dzięki Bogu.

-Wolna wola - powiedział Jim.

Ksiądz zmarszczył brwi.

Późnym popołudniem, prawie dwadzieścia cztery godziny, od kiedy Jim wtoczył się do kościoła, gorączka opadła. Mięśnie już nie dygotały, ścięgna nie bolały, nie miał zawrotów głowy, a głębokie oddychanie nie powodowało bólu w piersiach. Od czasu do czasu czuł smagnięcia bólu na twarzy. Rozmawiając, musiał ostrożnie poruszać mięśniami twarzy, gdyż pęknięcia na wargach i w kącikach ust łatwo się otwierały mimo stosowania kremu kortyzonowego, którym ojciec Geary smarował go co kilka godzin.

Mógł sam siadać na łozku i ruszał się po pokoju prawie bez pomocy. Kiedy nabrał również apetytu, ojciec Geary podał mu rosół z kurczaka i lody waniliowe. Pamiętając o spekanych wargach, jadł uważnie, by nie zmieszać jedzenia z własną krwią.

-Wciąż jestem głodny - powiedział, kiedy skończył.

-Zobaczmy najpierw, czy utrzymasz to wszystko w żołądku.

-Nic mi nie jest. To był tylko udar słoneczny, odwodnienie.

-Udar potrafi zabić, synu. Musisz jeszcze odpocząć.

Kiedy w jakiś czas później ksiądz nieco ustąpił i przyniósł mu jeszcze lody, Jim odezwał się przez na wpół zacisnięte wargi:

-Dlaczego niektórzy ludzie są zbrojnymi? Nie chodzi mi o gliny. Nie o żołnierzy. Nie o tych, którzy zabijają w samoobronie. Chodzi mi o inny rodzaj, o morderców.

Dlaczego zabijają?

Ksiądz usadowił się w stojącym przy łóżku fotelu na biegunach i patrzył na niego, unosząc brew.

-To szczególne pytanie.

-Tak? Może. Zna ksiądz odpowiedź?

-Jest prosta: ponieważ tkwi w nich zło.

Przez jakąś minutę siedzieli obaj bez słowa. Jim jadł lody, a tego ksiądz kołysał się w fotelu. Przebywszy nieboskłon, kolejny zmierzch zakradał się przez okno.

-Morderstwa, wypadki, choroby, starość... - odezwał się w końcu Jim. - Przede wszystkim, dlaczego Bóg uczynił nas śmiertelnymi? Dlaczego musimy umrzeć?

50

51

-Śmierć nie jest kresem. Ja przynajmniej w to wierzę. Śmierć jest tylko sposobem przenoszenia się, pociągami, który zwozi nas do miejsca zapłaty.-Znaczący, do nieba.

Duchowny zawahał się.

-Albo gdzie indziej.

Jim spał przez parę godzin. Kiedy się obudził, ksiądz stał u stopa łóżka. Obserwował go z uwagą.

-Mówiłeś przez sen.

Jim siadł.

-Naprawdę? Co mówiłeś? - "Nieprzyjaciół istnieje".

-To wszystko?

-Potem powiedziałeś: "Nadchodzi. Zabije nas wszystkich".

Drżenie grozy przebiegło Jima nie dlatego, że te słowa same w sobie miały jakieś znaczenie lub że je rozumiał, ale dlatego, że w podświadomości aż za dobrze wyczuwał, co miały oznaczać.

-To sen, tak myślę. Zły sen. Nic więcej.

Ale podczas drugiej nocy spędzanej na plebanii, tuż po trzeciej nad ranem rzucił się, na wpół przebudzony, siadł prosto na łóżku i usłyszał, jak z ust wymykają mu się znowu te słowa: "Zabije nas wszystkich".

W pokoju panował mrok.

Niezdarnie poszukiwał wyłącznika, zapalił lampkę.

Był sam.

Spojrzał przez okna. Za nimi rozciągał się mrok.

Miał dziwne, ale nieodparte wrażenie, że coś koszmarnego i bezlitosnego czai się w pobliżu, coś nieskonczenie bardziej dzikiego i dziwnego, coś, z czym ludzkość się nie zetknęła. Coś, czego nikt nie może nawet wysnić, wymarzyć, wyobrazić sobie. Trzesąc się, wstał z łózka. Ksiądz pożyczył mu pizame; niezbyt na niego pasowała. Przez moment po prostu stał, niepewny, co ma uczynić.

Potem zgasił światło i bosy podszedł do okna, po chwili do drugiego. Znajdował się na pierwszym piętrze. Noc była cicha, uspiona i spokojna. Jeżeli coś tam było, odeszło.

50

51

5

Następnego ranka włożył własne ubranie. Ojciec Geary uprzednio zadbał, aby zostało uprane. Większość dnia spędził w salonie, w wielkim fotelu, z nogami na podnożku, czytając magazyny i drzemiac, podczas kiedy ksiądz zajmował się sprawami parafii. Spalona słońcem i podrażniona wiatrem twarz Jima sztywniała. Jak maska.

Tego wieczoru razem przygotowywali kolację. Przy kuchennym zlewie ojciec Geary plukał sałatę, selerę i pomidory. Jim sprzątnął stół, otworzył butelkę taniego chianti, żeby pooddychać, a potem wkroił pieczarki z puszki do garnka stojącego na kuchence, przygotowując sos do spaghetti.

Pracowali we wzajemnym, pełnym sympatii milczeniu. Jim zastanawiał się nad dziwną wieżą, jaka zaczynała ich łączyć. Ostatnie pare dni miało w sobie jakąś senną właściwość, jakby znalazł schronienie nie tylko w małym miasteczku położonym na pustyni, ale w miejscu, którego spokój był nie z tego świata. Jakby przybył do miasteczka z krainy sennego marzenia. Ksiądz przestał zadawać mu pytania. W istocie Jimowi wydawało się, że ojciec Geary nie był nawet w połowie tak ciekawski czy natrętny, jak w tych okolicznościach powinien być. Podejrzewał, że gościnność chrześcijańskich kapłanów nie sięgała tak daleko, by przyjmowali pod swój dach rannych i podejrzanych nieznajomych. Czym sobie zasłużył na tak specjalne przyjęcie, pozostawało dlań tajemnicą, ale był wdzięczny ojcu Geary'emu.

Pokroił już połowę pieczarek z puszki, kiedy nagle powiedział:

-Linia życia.

Ojciec Geary odwrócił się od zlewu z lodygą selera w reku.

-Proszę?

Dreszcz przebiegł Jima. Noż niemal wpadł mu do sosu. Odłożył go na kontuar.

-Jim?

Drząc, odwrócił się do księdza.

-Muszę jechać na lotnisko - powiedział.

-Lotnisko?

-Natychmiast, ojcze.

Zakłopotanie poznały kragla twarzy księdza doleczkami. Zmarszczki na opalonym czole pobiegły wysoko, poza dawną linię włosów.

-Tu nie ma lotniska.

-Jak daleko jest do najbliższego? - spytał nagłaco Jim.

-No... dwie godziny samochodem. Az do Las Vegas.

-Musi mnie tam ksiądz zawieźć.

-Co? Teraz?

52

53

-Juz - nalegal Jim.-Ale...

-Musze dostac sie do Bostonu.

-Przeciez byles chory...

-Juz mi lepiej.

-Twoja twarz...

-Boli. I wyglada fatalnie, ale da sie z nia zyc. Ojczy, ja musze dostac sie do Bostonu.

-Dlaczego?

Zawahal sie, potem zdecydowal na czastkowe wyjawienie rewelacji.

-Jezeli nie polece do Bostonu, ktos zostanie tam zabity. Ktos, kto nie powinien umrzec.

-Kto? Kto umrze?

Jim polizal popekane wargi.

-Nie wiem.

-Nie wiesz?

-Ale bede wiedzial, kiedy sie tam zjawie.

Ojciec Geary wpatrywal sie w niego przez dluga chwile.

-Jim, jestes najdziwniejszym czlowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznalem - odezwal sie w koncu.

Jim kiwnal potakujaco glowa.

-Jestem tez najdziwniejszym czlowiekiem, jakiego sam znam.

Kiedy wyruszyli z plebanii szescioletnia toyota ksiedza, dlugi sierpniowy dzien mial jeszcze przed soba godzine swiatla, choc slonce ukrylo sie juz za chmurami koloru swiezych ran.

Znajdowali sie na drodze dopiero od godziny, kiedy blyskawica wstrzasnela posepnym niebem, tanczac koslawo na surowym horyzoncie pustyni. Strzelal blysk po blysku. W czystym powietrzu pustyni byly one ostrzejsze i jasniesze, niz Jim gdziekolwiek widzial. Dziesiec minut pozniej niebo opadlo nizej i sciemnialo. Deszcz lunal srebrzystymi wodospadami. Noe nie widzial niczego podobnego, kiedy w pospiechu konczyl arke.

-Letnie burze rzadko sie tu zdarzaja - powiedzial ojciec Geary, wlaczajac wycieraczki.

-Nie mozemy pozwolic, zeby nas zatrzymala - odezwal sie zaniepokojony Jim.

-Dowioze cie - uspokoil go ksiadz.

-W nocy na pewno nie ma wiele lotow z Vegas na wschod. Przewaznie lataja w dzien. Nie moze sie spoznic i czekac do rana. Musze byc w Bostonie jutro.

52

53

Zeschniety piach spijal potop. Ale niektore obszary byly poryte skalami albo pod palacym miesiacami sloncem grunt

stwardniał na kamień i w tych miejscach woda spływała ze stoków, tworząc małe strumyczki. Strumyczki przeradzały się w strumienie, a strumienie rozrastały się w rzeki. Wkrótce każde mijane arroyo było pełne wody, a metna, kipiąca tonniosła wyrwane kępki trawy, strzępy wyschniętego szarlatu, kawałki drewna i brudnobiałej piany. Ojciec Geary woził ze sobą dwie ulubione kasetki: wiankę złotych przebojów rocka i składankę hitów Eltona Johna. Puszczając Eltona. Płynęli więc przez bombardowany ulewą dzień ku opływającej deszczem nocy, słuchając "Funeral for a Friend", "Daniel" i "Benny and the Jets".

Asfalt pobłyskiwał rzeziowymi kałużami. Jimowi wydawało się niesamowite, że wodne miraż, widziane na szosie parę dni temu, teraz stały się rzeczywistością.

Z każdą minutą rosło w nim napięcie. Boston wzywał go, ale był daleko, a niewiele jest rzeczy bardziej mrocznych i zdradliwych niż nawierzchnia pustynnej szosy w czasie burzy. Jeśli nie liczyć ludzkiego serca.

Podczas jazdy ksiądz pochylał się nad kierownicą. Bardzo uważnie obserwował pustynię, równocześnie gwizdząc cicho z Eltonem.

-Ojciec, czy w miasteczku nie ma lekarza? - spytał w pewnej chwili Jim.

-Jest.

-Ale nie wzywał go ojciec.

-Dał mi receptę na kortyzon.

-Widziałem tubkę. Była dla księdza, zrobiono ją trzy miesiące temu.

-No... wiem, jak obchodzić się z oparzeniami słonecznymi. Wiedziałem, że potrafisz się toba zaopiekować.

-Początkowo robił ojciec wrażenie bardzo przejętego.

Ksiądz milczał przez chwilę.

-Nie wiem, kim jesteś - powiedział wreszcie - skąd przybywasz ani dlaczego, tak naprawdę, zależy ci na dostaniu się do Bostonu. Natomiast wiem na pewno, że masz kłopoty, może duże kłopoty, tak duże, jakiego rzadko się miewa. I wiem... przynajmniej sądzę, że wiem, iż w głębi serca jesteś człowiekiem dobrym. W każdym razie wydawało mi się, że człowiek mający kłopoty wolałby nie rzucać się w oczy.

-Dzięki. Wielkie dzięki.

Parę kilometrów dalej deszcz zaczął lać z taką mocą, że wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody, a ojciec Geary musiał zwolnić.

-To ty uratowałeś tamtą kobietę i jej córeczkę - powiedział ksiądz.

Jim zeszywniał, ale się nie odezwał.

-Odpowiadasz opisowi podanemu w telewizji.

Przez kilka następnych kilometrów milczeli. Potem ojciec Geary powiedział:

54

55

-Nie wierzę w cuda. Jim słuchał oszołomiony.

Ojciec Geary wyłączył Eltona Johna. Teraz słychać było jedynie poswist i szum opon na mokrej nawierzchni i głuchy, regularny jak metronom odgłos pracy wycieraczek.

-Wierzę, że zdarzyły się cuda opisane w Biblii, naprawdę. Traktuję to jako część historii - mówił ksiądz, nie spuszczać oka z drogi. - Ale trudno mi uwierzyć, że jakiś posąg Najświętszej Panny płakał prawdziwymi łzami w kościele w Cincinnati, Peorii czy Teaneck, po seansie bingo zeszłego tygodnia, w środę wieczorem. I że świadkami było tylko dwoje małoląt i sprzątaczkę z parafii. I nie wierzę, że cień przypominający Jezusa, rzucony na drzwi czyjegoś garażu przez żółte światła przeciwmgielne, jest znakiem nadciągającej apokalipsy. Niezbadałe są ścieżki Pana, ale nie korzysta on ze światła

przeciwmgiełnych i drzwi do garażu.

Ksiadz zamilkł, a Jim czekał, zastanawiając się, dokąd zmierza.

-Kiedy znalazłem cie w kościele, lezales przed balaskami - mowil Geary glosem, w którym zaczął przebijać lek - i miałes na sobie stygmaty Chrystusa. Miales dziure od gwoździ na obu rekach...

Jim spojrzal na swoje rece i nie zobaczyl ran. - ...a twoje czolo bylo podrapane i poklute od czegos, co moglo byc kolcami korony cierniowej.

Twarz Jima wciaz byla tak okaleczona od nadmiaru slonca i wiatru, ze szukanie we wsteczny lusterku drobnych obrazow, opisywanych przez ksiedza, nie mialo sensu.

-Bylem chyba... przestraszony - ciagnal Geary. - Ale rownoczesnie przejeity.

Dojechali do betonowego mostu, przez ktory przelala sie woda. Uformowalo sie tu czarne jezioro i wznioslo ponad poziom drogi. Geary pochylil sie mocno. Wodne pioropusze, odbijajace swiatla reflektorow, rozpostarly sie po obu stronach w wielkie, biale skrzydla.

-Nigdy nie widzialem stygmatow - kontynuowal Geary, kiedy wydostali sie z zalanego terenu - chociaz slyszalem o tym zjawisku. Podwinalem ci koszule... spojrzalem na twój bok... i znalazlem zaogniona blizne po ranie, jaka moze zadac wlochnia.

Wypadki ostatnich miesiecy byly tak pelne niespodzianek i niezwyklosci, ze wzraliwosc Jima na cuda wciaz malala. Ale opowiesc ksiedza przerosla wszystko, wstrzasnela nim, mrowie go przeszlo.

Glos Geary'ego opadl prawie do szeptu.

-Zanim zanoslem cie na plebanie i polozylem do lozka, te znaki zniknely. Ale wiem, ze nie byly tylko tworem mojej wyobrazni. Widzialem je, byly prawdziwe i wiem, ze jest w tobie cos wyjatkowego.

Pioruny rozplynely sie dawno, czarne niebo nie nosilo juz jasnych, ostrych naszyjnikow z elektrycznosci. Deszcz rowniez zaczal slabnac i ojciec Geary mogl zmniejszyc szybkoosc pracy wycieraczek, a rownoczesnie zwiekszyc predkosc toyoty.

54

55

Przez moment zaden z nich nie wiedzial, co ma powiedziec. W koncu ksiadz chrzaknal.-Czy widziales u siebie poprzednio te stygmaty?

-Nie. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Dopiero teraz sie dowiaduje.

-Nie zauwazyles tych znakow na rekach, zanim zemdlales przy oltarzu?

-Nie.

-Ale to nie jest jedyna niezwykla rzecz, jaka zdarzyla ci sie ostatnio.

Cichy smiech, jaki wyrwal mu sie z gardla, byl raczej owocem gorzkiej ironii niz rozbawienia.

-Na pewno nie jedyna.

-Chcesz mi o tym opowiedziec?

-Tak, ale nie moze - odrzekl Jim po chwili zastanowienia.

-Jestem ksiedzem. Potrafiem dochowac kazdego sekretu. Nawet policja nie ma nade mna wladzy.

-Alez ufam ci, ojcze. I niespecjalnie przejejuje sie policja.

-Wiec?

-Gdybym ci powiedzial... zjawi sie nieprzyjaciel - rzekl Jim i poczul niepokoj, slyszac te slowa. To wyznanie raczej



przeszło przez niego, niż wyszło z niego.

-Jaki nieprzyjaciół?

Jim wpatrywał się w rozległą, pozbawioną światła przestrzeń pustyni.

-Nie wiem.

-Ten sam nieprzyjaciół, o którym mówiłeś we śnie ostatniej nocy?

-Może.

-Mówiłeś, że zabije nas wszystkich.

-I zrobi to - mówił Jim, może bardziej do siebie niż do księdza, gdyż nie miał pojęcia, co powie, dopóki sam nie usłyszał tych słów. - Jeżeli dowie się o mnie, jeżeli odkryje, że ratuje ludzi, wyjątkowych ludzi, wtedy zjawi się, żeby mnie powstrzymać.

Ksiądz spojrzał na niego przelotnie.

-Wyjątkowych ludzi? Co chcesz przez to powiedzieć?

-Nie wiem.

-Nie wiesz.

-Zgadza się.

Ksiądz westchnął, zafrasowany.

-Ojciec, naprawdę usiłuję być z tobą szczery i próbuję wyrazić się na tyle jasno, na ile potrafię. - Poruszył się na siedzeniu i poprawił pasy, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję; jednak niewygodą miała swe źródło raczej w psychice niż w rzeczach fizycznych i nie dała się łatwo usunąć. - Czy słyszałeś o pisaniu automatycznym?

56

-Mówią o tym jasnowidze i media - powiedział ojciec Geary, wpatrując się w drogę scielącą przed nimi. - Czczą gadaninę. Duch ma niby zawiązać reka medium w transie i w ten sposób przekazuje wiadomości zza grobu. Prychnął z obrzydzeniem.

-Ci sami ludzie, którzy wyszydzą idee rozmowy z Bogiem - a nawet drwią z samej idei jego istnienia - naiwnie idą na lep każdego oszusta, który twierdzi, że przekazuje słowa dusz zmarłych.

-Coż, jednak zdarza mi się czasem, że ktoś czy coś przemawia przeze mnie. Ustna forma pisania automatycznego. Dowiaduje się tego, co mówię, tylko dlatego, że słucham wymawianych przez siebie słów.

-Nie wpadasz w trans?

-Nie.

-Nie uważasz się za medium, za jasnowidza?

-Nie. Na pewno nie.

-Uważasz, że zmarli przemawiają przez ciebie?

-Nie. Nie to.

-Więc kto?

-Nie wiem.

-Bóg?

-Moze.

-Ale nie jestes pewny?

-Nie.

-Jestes nie tylko najdziwniejszym czlowiekiem, jakiego spotkalem, Jim. Jestes rowniez czlowiekiem najbardziej frustrujacym.

O dziesiatej w nocy dotarli na miedzynarodowe lotnisko McCarrana w Las Vegas.

Na postoju stalo tylko pare taksowek. Deszcz przestal padac. Palmy poruszaly sie w lekkim powiewie i wszystko robilo wrazenie swiezo wyszorowanego i wypucowanego.

Jim otworzyl drzwi toyoty, ledwie ojciec Geary wyhamowal przed hala dworca lotniczego. Wysiadl, obrocil sie i pochyлил, zeby zamienic z ksieciem pare ostatnich slow.

-Dziekuje, ojciec. Prawdopodobnie uratowal mi ojciec zycie.

-Nie przesadzajmy.

-Chcialbym dac Naszej Pani Opiekunce Pustyni troche z tych trzech tysiecy, ktore mam przy sobie, ale moze ich potrzebowac. Po prostu nie wiem, co moze sie stac w Bostonie, na co ich bede potrzebowal.

-Niczego nie musisz dawac - powiedzial ksiadz, potraszajac glowa.

-Kiedy bede w domu, wysle pewna sume. Dostanie ksiadz koperte z gotowka, bez adresu zwrotnego, ale mimo ze zostana tak wyslane, prosze sie nie obawiac. Moze je ksiadz przyjac z czystym sumieniem.

56

-To nie jest konieczne, Jim. Wystarczylo, ze poznalem ciebie. Moze powinienem ci to powiedziec... przywrociles mistyczna podstawe wiary pewnemu znuzonemu ksieciu, ktory czasem watpil w sens swego powolania, ale ktory pozbyl sie tych watpliwosci raz na zawsze. Spogladali na siebie ze wzajemna sympatia, ktora - bylo to widac - stanowila zaskoczenie dla nich obu. Jim pochyлил sie glebiej do srodka wozu, ojciec Geary wyciagnal reke i podali sobie dlonie. Ksiadz mial silny, suchy uscisk.

-Idz z Bogiem - powiedzial.

-Mam nadzieje.

58

59

OD 24 SIERPANIA DO 26 SIERPANIA

1

Byl piatek, pare godzin po polnocy. Holly siedziala przy swoim biurku w redakcji Press, wpatrujaca sie w pusty ekran monitora. Byla zalamana, opadla na takie dno, ze chciala tylko pojsc do domu, rzucic sie do lozka i przetrwac tak pare dni z glowa pod koldra. Nie cierpiala ludzi sklonnych do rozczulania sie nad soba. Probowała wstydzić sie własnej depresji, ale ogarnelo ja tylko wspolczucie do siebie samej, ze tak sie nad soba uzala. Oczywiscie nie mozna bylo nie dostrzec smieszności tej sytuacji, ale nie potrafiła zdobyć sie na smiech z samej siebie; zamiast tego znow litowala sie nad soba, ze jest tak glupia i zabawna. Była zadowolona, ze najblizsze poranne wydanie jest juz zlozone i redakcja prawie sie wyludnila, wiec zaden kolega nie widzi jej w tym ponizajacym stanie. W zasiegu wzroku znajdowal sie tylko Tommy Weeds - koscisty sprzatacz, ktory wytrzasal zawartosc koszy i scieral mokra szmata podloge - i George Fintel.

George, do ktorego nalezala dzialka administracji miejskiej, tkwil w odleglym kacie wielkiego pomieszczenia. Rozplaszczyl sie na biurku, glowe zlozyl na skrzyzowanych ramionach i spal. Od czasu do czasu pochrapywal na tyle donosnie, ze Holly slyszala go calkiem wyraznie. Kiedy przychodzila pora zamykania barow, George czasami, zamiast udac sie do siebie, wracal do redakcji. Jak stara pociagowa chabeta, ktorej rzucono lejce, ciagnal z powrotem swoj wozek tam, gdzie powinien byc dom. Czasem budzil sie w nocy, uswiadamił sobie, gdzie sie znalazl, i ociezale zmywal sie w koncu do lozka.

"Politycy - mawiał zwykle - to najniższa forma życia. Cofneli się do etapu pierwszego, oślizgłego stworza, który wylazł z pradawnego morza". W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat był zbyt wypalony, żeby zacząć na nowo. Spędzał więc życie na pisaniu o urzędnikach miejskich, których nienawidził. Równocześnie znienawidził samego siebie i znajdował pocieszenie, wchłaniając codziennie nieprawdopodobne ilości wódki z wermutem.

58

59

Gdyby miała choć trochę odporności na alkohol, Holly mogłaby się obawiać takiego samego końca kariery. Ale jeden drink dawał jej miły szmerek, dwa powodowały kołysanie podłogi, a po trzecim musiała iść spać. Nienawidziła swojego życia, pomyślała.

-Ty uzalająca się nad sobą kupo gówna - powiedziała głośno.

O, jak go nienawidzi! Nienawidzi; wszystko jest takie beznadziejne.

-Rzygam na ciebie, ty maniaczko samouzalania - szepnęła z autentycznym obrzydzeniem.

-Mówiła pani do mnie? - spytał Tommy Weeds, pchając przed sobą dużą miotłę.

Zamiatał przejście między biurkami.

-Nie, Tommy. Mówiłam do siebie.

-Rany, a co pani tak daje w kość?

-Własne życie.

Zatrzymał się i oparł na kiju od miotły, krzyżując nogi. Ze swoją dużą twarzą, obsypaną piegami, wielkimi uszami i strzechą włosów marchewkowego koloru wyglądał słodko, niewinnie, miło.

-Nie wyszło tak, jak pani sobie wymarzyła?

Holly sięgnęła po na wpół opróżnioną torbę cukierków, wrzuciła parę do ust i odchyliła się na krzesło.

-Kiedy ukończyłam Uniwersytet Missouri z dyplomem dziennikarki w kieszeni, zamierzałam wstrząsnąć światem, pisać wielkie artykuły, a pulitzery miały mi służyć za odbijacze do drzwi - a popatrz na mnie. Wiesz, co robiłam dziś wieczór?

-Cokolwiek to było, widzę, że nie sprawiło to pani przyjemności.

-Byłam w mieście, w Hiltonie, na dorocznym bankiecie Portlandzkiego Stowarzyszenia Wytwórców Produktów Drewnianych. Robiłam wywiady z producentami wykładzin ściennych do ślipingów, sprzedawcami dyktów i hurtownikami drewna sekwojowego. Wręczali Puchar Drzewiarza - tak to nazywają - dla "człowieka roku w branży drzewiarskiej". Z nim też musiałam zrobić wywiad. Potem gnałam na złamanie karku, żeby włożyć to do porannego wydania. Jak się ma taki gorący materiał, to nie można pozwolić, żeby skurwiele z "New York Timesa" zwineli ci go sprzed nosa.

-Myślałam, że pani siedzi w sztukach pięknych i rozrywce.

-Rzygałam tym. Mówię ci, Tommy, zły poeta potrafi ci obrzydzić sztukę przynajmniej na dziesięć lat.

Wrzuciła sobie do ust jeszcze parę kawaleczków czekolady. Zwykle nie jadła słodczy, żeby uniknąć problemów z wagą, które zawsze przesładowały jej matkę, i teraz wchłaniała je właśnie dlatego, żeby czuć się jeszcze bardziej udrecona i bezwartościowa. Ostro sunęła w dół po spirali depresji.

60

61

-W telewizji i kinie dziennikarstwo wygląda tak wspaniale i ekscytująco. To wszystko bzdura.-Ja - odezwał się Tommy - ja też nie mam takiego życia, jakie sobie zaplanowałem. Myśli pani, że wyobraziłem sobie, że skoncze, sprzątając Press, że zostanę ukochanym woznym redakcji?

-Nie sadzę - powiedziała i poczuła się małą egoistką wyplakującą się przed człowiekiem, którego los był jeszcze mniej

godny pozadania niz jej wlasny.

-Do diabla, jasne ze nie. Od czasu kiedy bylem malym chlopcem, wiedzialem, do czego chce dojsc. Chcialem prowadzic jedna z tych wielkich smieciarek; chcialem siedziec wysoko w kabinie, operujac przyciskami podnosnika hydraulicznego. - W glosie zabrzmiala mu tesknota. - Uniesc sie nad calym swiatem i miec te cala potezna maszynerie na uslugach. To byl moj sen i poszedlem za nim, ale potknałem sie na miejskim przegladzie lekarskim. Mam klopoty z nerkami, rozumie pani. Nic powaznego, lecz wystarczylo, zeby ubezpieczenie miejskie postawilo weto.

Oparty na miotle, wpatrywal sie w przestrzen, usmiechajac lekko i prawdopodobnie wyobrazajac sobie siebie rozpartego na krolewskim fotelu kierowcy wielkiej smieciarki.

Wytrzeszczajac na niego oslupiale oczy, Holly zdecydowala, ze jego szeroka twarz nie jest w gruncie rzeczy slodka, niewinna i mila. Pomylila sie, odczytujac jej linie i plaszczynny. To byla glupia twarz.

Chciala powiedziec: Ty idioto! Ja marzylam o zdobywaniu pulitzerow, a teraz jestem wyrobnikiem do wypisywania kawalkow reklamowych o przemyśle, o tym cholernym Pucharze Drzewiarza! To jest tragedia. Czy myslisz, ze bycie woznym zamiast smieciarzem jest z tym w ogole porownywalne?

Ale nie odezwala sie slowem, gdyz uswiadomila sobie, ze jednak jest porownywalne. Niespelnione marzenie, niezaleznie od tego, czy bylo wielkie, czy skromne, dalej pozostaje tragedia tego, kto wyzbyl sie nadziei. Pulitzerzy, ktorzych sie nigdy nie dostanie, i smieciarki, ktorzy mi sie nigdy nie pojedzie, w rownej mierze sprowadzaja rozpacz i bezsennosc. I ta mysl zalamala ja jak nic do tej pory.

Tommy obudzil sie ze snu na jawie.

-Nie powinna sie pani w to zaglabiac, panno ?orne. Zycie... jest jak buleczka z borowkami, ktora podaja nam w cukierni, kiedy zamowilismy morelowa z orzechami. Nie ma w niej zadnych moreli ani orzechow i mozna dostac niezlego fiola od samego rozpamietywania tego, co sie stracilo; o wiele madzej jest zgodzic sie z tym, ze borowki tez sa niezle.

Po drugiej stronie pokoju George Fintel puscil gazy przez sen. Byl to prawdziwy wystrzal armatni. Gdyby Press byla duza gazeta, a reporterzy obsiedliby wlasnie kolege powracajacego z Bejrutu lub jakiegos innego teatru dzialan wojennych, na pewno daliby nura, kryjac sie przed ogniem.

60

61

Moj Boze, pomyslala Holly, moje zycie jest jak zla imitacja powiesci Damona Runyona. Polnoc w marnej redakcji. Niedopieczeni filozofowie-wozni. Zapici reporterzy, spiacy przy biurkach. Ale to Runyon poddany obrobce przez pisarza tworzacego w manierze absurdu, wspolpracujacego z ponurym egzystencjalista.-Wystarczylo mi z toba pogadac, Tommy, i juz czuje sie lepiej - zelgala.

-Dzieki.

-Zawsze do uslug, panno ?orne.

Kiedy Tommy wrocil do pracy i zaczal jezdzic miotla tam i z powrotem miedzy biurkami, Holly jadla kolejnego cukierka, zastanawiajac sie, czy przeszlaby pomyslnie badania kontrolne dla potencjalnych kierowcow smieciarek. Jak popatrzec na to od strony pozytywnej, praca ta bylaby lepsza od dziennikarstwa, jakie znala: zbieralaby smieci, zamiast je rozrzucac, i mialaby satysfakcje, ze chociaz jedna osoba w Portland rozpaczliwie jej zazdrosci.

Spojrzala na zegar scienny. Wpol do drugiej nad ranem. Nie byla senna. Nie chciala isc do domu: bedzie lezec, wpatrujac sie w sufit, pozostanie jej jedynie pograzyc sie w rozmyslaniach o sobie samej i w samouzalaniu. Tak naprawde to miala na to ochote; byla w nastroju do tarzania sie w rozpacz, ale wiedziala, ze nie jest to zdrowe. Pechowo nie miala innych mozliwosci: w tygodniu nocne zycie Portland ograniczalo sie do calodobowej cukierni z paczkami.

Niecala doba dzielila ja od rozpoczecia urlopu. Marzyla o nim z utesknieniem. Nie robila planow. Zamierzala po prostu odpoczac, powlozcyc sie, nie zajrzec ani razu do gazety. Moze obejrzec pare filmow. Moze przeczytac pare ksiazek. Moze pojsc do Centrum Betty Ford i poddac sie kuracji przeciw uzalaniu nad samym soba.

Weszla w niebezpieczny etap, zaczela bowiem dumac nad swoim imieniem. Holly\* ?orne. Milusie. Naprawde milusie. Coz, na Boga, opetalo rodzicow, zeby tak ja nazywac? Czy mozna sobie wyobrazic, ze komitet Nagrody Pulitzera przyznaje to wielkie odznaczenie kobiecie, ktorej imie bardziej pasuje do postaci z filmu rysunkowego?

Czasem - oczywiście zawsze w samym środku nocy - kusilo ją, żeby zadzwonić do starsuszków i zażądać, aby wyjaśnili jej, czy ta sprawa z imieniem to tylko dowód złego smaku, nieudany dowcip, czy świadome okrucieństwo.

Ale jej rodzice byli prostymi, ciężko pracującymi ludźmi, którzy odmawiali sobie wielu przyjemności, aby zapewnić jej pierwszorzędna edukację, i chcieli dla niej tylko samego najlepszego. Byliby zalamani, gdyby dowiedzieli się, że nie cierpiała swego imienia, skoro oni nie mieli żadnych wątpliwości, że jest dowcipne, a nawet eleganckie. Kochała ich gorąco i musiałaby popaść w najcięższą depresję, zanim osmieliłaby się winić ich za swoje braki.

W obawie, że łąka chwila złapie słuchawkę i wystuka ich numer, szybko odwróciła się do komputera i przywołała plik z bieżącym wydaniem. System przekazywania da\*Holly (ang.) - ostrokrzew (przyp. tłum.).

62

63

nych w Press umożliwiał każdemu zatrudnionemu reporterowi śledzenie kształtu artykułu podczas redagowania, składu i druku. Dzisiejsze wydanie zostało już sformatowane, złożone i posłane do druku, mogła więc zobaczyć na ekranie, jak faktycznie wygląda każda strona. Jedynie nagłówki były czytelne, ale każdy fragment obrazu dał się powiększyć do tego stopnia, że wypełniał cały monitor. Czasem fakt, że może poznać ważną wiadomość, zanim gazeta znajdzie się w sprzedaży, podnosił ją trochę na duchu; dzięki temu mglisto wyobrażała sobie, na czym polega bycie osobą wtajemniczoną. Ten aspekt pracy przyciągał zresztą każdą skłoną do marzeń młodą istotę, czującą powołanie do zawodu dziennikarza.

Ale w miarę jak przeglądała nagłówki na paru pierwszych stronach, szukając czegoś interesującego do powiększenia, jej przygnębienie rosło. Wielki pożar w St. Louis, dziewięciu zabitych. Pogłoski o wojnie na Bliskim Wschodzie. Wyciek ropy u wybrzeży Japonii. Ulewne deszcze i powódzie w Indiach, dziesiątki tysięcy bezdomnych. Rząd federalny znowu podnosi podatki. Wiedziała, że przemysł informacyjny kwitnie dzięki nieszczęściu, klęskom żywiołowym, skandalom, bezmyślnej przemocy i konfliktom. Ale nagle poczuła, że ten biznes zeruje na ludzkim nieszczęściu w sposób zupełnie wyjątkowy, i uświadomiła sobie, że wcale nie chce być dłużej osobą wtajemniczoną, znajdować się pomiędzy pierwszymi, którzy poznają ten przerażający materiał.

Wtem, kiedy już miała zamknąć plik i wyłączyć komputer, jej wzrok przykuł nagłówek: **TAJEMNICZY NIEZNAJOMY RATUJE CHŁOPCA**. Ta historia obok szkoły McAlbury'ego zdarzyła się dwanaście dni temu i te cztery słowa wywołały u niej natychmiastowe skojarzenie. Jej ciekawość została pobudzona i nakazała komputerowi, aby powiększył fragment, w którym zaczął się artykuł.

Materiał pochodził z Bostonu i była dołączona fotografia. Obraz był jeszcze zatarty i ciemny, ale skala zastosowanego powiększenia pozwalała jej na czytanie tekstu, choć z trudem. Poleciała komputerowi dalsze powiększenie pierwszej kolumny, tak że mogła ją czytać bez wysiłku.

Pierwszy wers spowodował, że wyprostowała się jak struna: Odważny przechodzień, który powiedział o sobie tylko tyle, że nazywa się Jim, uratował życie Nicholasa O'Connera, lat szesć, kiedy w czwartek wieczór należąca do Przedsiębiorstwa Energetycznego z Nowej Anglii rozdzielnia eksplodowała pod chodnikiem w dzielnicy mieszkalnej Bostonu.

-Co u diabła?... - szepnęła.

Uderzyła parę klawiszy, zlecając komputerowi przesunięcie pola w prawo. Chciała ujrzeć powiększone zdjęcie, towarzyszące artykulowi. Zwiększyła skalę jeszcze i jeszcze, aż cały ekran wypełniła twarz.

Jim Ironheart.

62

63

Przez moment siedziała osłupiała ze zdumienia, bez ruchu. Potem odczuła potrzebę dowiedzenia się czegoś więcej - nie była to intelektualna zachcianka, ale autentyczna, fizyczna potrzeba, podobna do nagłego uczucia intensywnego głodu. Powróciła do tekstu artykułu, przeczytała go do końca, a potem zrobiła to jeszcze raz. Dziecko O'Connerow siedziało na chodniku przed swoim domem, właśnie na betonowej pokrywie. Zasłaniała ona wejście do rozdzielni przedsiębiorstwa energetycznego, wystarczająco pojemnej, aby w jej podziemiu mogło pracować równocześnie czterech mężczyzn. Chłopiec bawił się samochodzikami, rodzice mogli go obserwować z frontowej werandy. Nagle w szalonym pedzie nadbiegł nieznajomy mężczyzna. "Dopał Nicka - cytowano ojca chłopca - i złapał go tak, że myślałem, że to jakiś szaleniec

napastujący dzieci chce porwać mojego synka". Trzymając wrzeszczące dziecko, nieznajomy przeskakuje niski płot i lądje na trawniku O'Connerów tuż przed tym, jak następuje zwarcie na siedemnastotysięcznowoltowej linii. Wybuch podrzucił betonową pokrywę jak piórko. Za nią wleciała jasna kula ognia. Zażenowany wylewnymi pochwałami, jakich nie szczędzili mu wdzięczni rodzice Nicka oraz sąsiedzi, świadkowie jego bohaterskiego wyczynu, nieznajomy twierdził, że czuł zapach płonącego materiału izolacyjnego, słyszał syk dochodzący z rozdzielni i wiedział, co może nastąpić, ponieważ niegdyś "był pracownikiem przedsiębiorstwa energetycznego". Zirykowany fotografią, jaką zrobił mu świadek zajścia, wołał odejść przed zjawieniem się dziennikarzy, gdyż jak to ujął, "wysoko cenili sobie swoją prywatność".

To nadejście pomocy w ostatniej chwili przydarzyło się o siódmej czterdziestej w czwartek wieczorem, w Bostonie - czyli o czwartej czterdziestej tutejszego czasu, wczoraj po południu. Holly spojrzała na ścienny zegar. Teraz była druga dwie, piątek w nocy. Nicky O'Conner został zgarnięty z betonowej płyty niecałe dziewięć i pół godziny temu. Ślad był jeszcze świeży.

Miała do zadania parę pytań reporterowi "Globe", który napisał ten kawałek. Ale w Bostonie było dopiero parę minut po piątej. Nie będzie go jeszcze w pracy.

Zamknęła plik bieżących danych Press. Na ekranie komputera standardowe menu zastąpił powiększony tekst gazety.

Przez modem połączyła się z Newsweb, baza danych, której subskrybentem była Press. Zazyczyła sobie, aby służba Newsweb przesłesała wszystkie wiadomości z ostatnich trzech miesięcy, podawane przez agencje informacyjne i opublikowane w dużych dziennikach amerykańskich, zawierające imię "Jim", połączone w obrębie dziesięciu słów albo z "ratunek", albo z określeniem "uratował życie". Poprosiła o wydruk każdej informacji, jeżeli takowe będą.

Kiedy Newsweb spełniła jej zamówienie, zadzwoniła do informacji zamiejscowej dla obszarów o numerach początkowych 818; 213; 714; 619. Poszukiwała Jima Ironhearta

64

65

w okęgach: Los Angeles, Orange, San Bernardino i San Diego. Żadna z telefonistek nie potrafiła jej pomóc. Jeżeli faktycznie mieszkał, jak jej powiedział, w południowej Kalifornii, miał zastrzeżony numer. Laserowa drukarka, która obsługiwała jeszcze trójkę kolegów Holly, szumiała cicho.

Pierwsze znaleźiska Newsweb spadały na tackę z wydrukami.

Chciała szybko podejść do biurka z drukarką, złapać pierwszy wydruk i od razu go przeczytać, ale zapanowała nad sobą, skupiając się na telefonie i usiłując wymyślić inny sposób zlokalizowania Jima Ironhearta gdzieś tam w południowej Kalifornii, zwanej przez lokalnych obywateli "Ladem Południa".

Parę lat temu mogłaby po prostu wejść do pamięci komputera kalifornijskiego Wydziału Ruchu Drogowego i za skromną opłatę otrzymać adres każdego, kto ma ważne prawo jazdy, wydane w tym stanie. Ale po tym, jak aktorka Rebecca Schaeffer została zamordowana przez obłąkanego wielbiciela, który znalazł ją właśnie w ten sposób, nowe zarządzenie broniło nieograniczonego dostępu do akt wydziału.

Gdyby była doświadczonym piratem komputerowym, wtajemniczonym w arkania tej trudnej sztuki, żadne zabezpieczenie nie zatrzymałoby jej przed wejściem do tych akt.

Lub może udałoby się jej włamać do danych banku kredytowego i tam poszukać akt na nazwisko Jim Ironheart. Znała reporterów, którzy rozwijali swe komputerowe umiejętności właśnie w takim celu. Ale ona zawsze szukała źródeł i informacji z poszanowaniem prawa i unikała niedozwolonych metod.

I właśnie dlatego robisz takie emocjonujące kawałki jak "Puchar Drzewiarza" - pomyślała kwasno.

Planując rozwiązanie tego problemu, szybko poszła do pokoju barowego i wzięła kubek kawy z automatu. Kawa miała smak zolci jaka. Wypiła ją mimo to, ponieważ wiedziała, że kofeina będzie jej potrzebna do przetrwania nocy. Wrzuciła kolejną monetę do maszyny i wróciła z drugą kawą do pokoju.

Drukarka milczała. Wzięła kartki z tacki i siadła przy swoim biurku.

Newsweb dostarczyła jej grubą stos różnych historii z ogólnokrajowej prasy, w których imię "Jim" było użyte w obrębie dziesięciu słów z "ratunek" lub "uratował życie".

Policzyła je szybko. Dwadzieścia dziewięć.

Pierwszy był kawalek dla miłośników zwierząt z "Chicago Sunday Times"; Holly głośno przeczytała otwierające zdanie: "Jim Foster z Oak Park uratował ponad sto przyduszonych kotów z...".

Cisnęła wydruk do kosza i spojrzała na następny. Ten był z "Philadelphia Inquirer": "Jim Pilsbury, rzucając dla Phillies, uratował swój klub od ponizającej porażki...".

Spojrzała na trzeci. Była to recenzja filmowa, więc nie trudziła się szukaniem w niej wzmianki o Jimie. Czwarty zawierał informacje o Jimie Harrisonie, pisarzu. Piąty opisał

65

sywał historię polityka z New Jersey, który za pomocą rekoczynu Heimlicha uratował życie szefa mafii: pili razem piwo w barze i padł na ziemię, zaczął się dusić, zaczął się dusić, zaczął się dusić. Zaczęła się martwić, że dojedzie do końca stosu i zostanie z pustymi rekoma, ale szósty artykuł, z "Houston Chronicle", otworzył jej oczy szerzej niż filizanka kawy.

KOBIETA URATOWANA PRZED MSCIWYM MEZEM. Czternastego lipca, po pełnej ostrej starcie rozprawie i uzyskaniu w sądzie zarówno alimentów, jak i praw do opieki nad dzieckiem, Amanda Cutrer o mało co nie została zastrzelona przez rozwścieczonego męża, Cosma, przed swoim domem w bogatej dzielnicy River Oaks. Cosmo nie trafił jej dwoma pierwszymi strzałami, przed trzecim została uratowana przez mężczyznę, który "pojawiał się znikąd", obalił jej szalejącego małżonka na ziemię i obojętnie go. Wybawca przedstawił się, używając jedynie imienia Jim, i zanim pojawiła się policja, wyparował w wilgotnym houstonkim powietrzu. Trzydziestoletnia rozwódka wyraźnie była oczarowana, gdyż opisała go jako "przystojniaka, dobrze umieszczonego, wyglądającego jak bohater filmowy z najbardziej marzycielskimi, niebieskimi oczami na świecie".

Holly nadal była zdolna przywołać obraz intensywnie niebieskich oczu Jima Ironhearta. Nie należała do kobiet, które określiłyby je jako "marzycielskie", chociaż były to z pewnością najczystsze i najbardziej urzekające oczy, jakie kiedykolwiek... Och, do diabła, były marzycielskie! Niechętnie przyznawała się do tej dziewczęcej reakcji, jaka w niej wzbudził, ale nie była lepsza w oszukiwaniu samej siebie niż w oszukiwaniu innych. Przypomniała sobie początkowe wrażenie nieludzkiego zimna, kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się po raz pierwszy, ale od momentu, kiedy się uśmiechnął, tamto wrażenie minęło i nigdy nie powróciło.

Siodmy artykuł znowu dotyczył skromnego Jima, który nie czekał na pochwały i nagrody - ani zainteresowanie prasy - po tym jak uratował piętego lipca Carmen Diaz, lat trzydziestu, z płonącego mieszkania w Miami. Miał niebieskie oczy.

Przebrnąwszy przez następne dwadzieścia dwa artykuły, Holly zorientowała się, że jeszcze dwa opisują działalność Ironhearta, chociaż podano tylko jego imię.

Dwudziestego pierwszego lipca ?addeus Johnson, lat dwanaście, o mało co nie został zepchnięty z dachu osmiopiętrowego budynku mieszkalnego w Harlemie. Czterem członkom młodocianego gangu nie spodobała się jego pełna obrzydzenia odmowa przystąpienia do ich rozprowadzającego narkotyki bractwa. Został uratowany przez niebieskookiego mężczyznę, który pozbawił czworokątnego zdolności działania, wykonując serię kopniaków, ciec, pchnięć i rzutów taekwondo. "Był jak Batman bez tego śmiesznego stroju", powiedział ?addeus reporterowi "Daily News". Dwa tygodnie przedtem, siódmego lipca, inny niebieskooki Jim "zmaterializował się nie wiadomo skąd" na terenie posiadłości Louisa Andrettiego, lat dwadzieścia osiem, w Coronie, w Kalifornii, w sam

66

67

czas, aby ostrzec właściciela przed wczolgnięciem się pod podmurówkę, kiedy Andretti chciał tam wejść, aby naprawić cieknięcą rurę. "Powiedział mi, że rodzina grzechotników urządziła sobie w tym miejscu gniazdo" - wyznał właściciel reporterowi. Później, kiedy agenci Stacji Ochrony Sanitarnej i Epidemiologicznej zbadali z bezpiecznej odległości podmurówkę, używając do tego lampy halogenowej, zobaczyli nie gniazdo, ale "cos z koszmaru sennego" i w efekcie wyciągnęli spod domu czterdzieści jeden węży. "Nie rozumiem tylko - powiedział Andretti - skąd ten facet miał pojęcie, że grzechotniki tam siedzą, skoro ja mieszkam w tym domu i nigdy na to nie wpadłem". Teraz Holly mogła dodać cztery podobne zdarzenia do akcji z uratowaniem Nicka O'Connera w Bostonie i Billy'ego Jenkinsa w Portland. Do wszystkich doszło przed pierwszym lipcem. Wystukała nowe polecenia dla Newsweb, prosząc o podobne przeszukanie dla miesięcy: marzec, kwiecień, maj.

Potrzebowała jeszcze kawy. Idąc do pokoju barowego, zorientowała się, że George Fintel wreszcie potoczył się do domu. Nie słyszała, jak wychodził. Tommy też poszedł.

Zostala sama.

Newsweb zlokalizowala na przestrzeni od marca do maja jedenascie opowiesci odpowiadajacych jej warunkom. Przejrzawszy wydruki, Holly uznala za godny uwagi tylko jeden z nich.

Pietnastego maja, w Aliancie, Georgia, niebieskooki Jim wkroczyl do nocnego sklepiku podczas napadu z bronia w reku. Zastrzelil napastnika, Normana Rinka, ktory grozil zamordowaniem dwójki klientow: Sama Newsome'a, lat dwadziescica piec, i jego piecioletniej coreczki, Emily. Nabuzowany koktajlem kokainy i metamfetaminy, Rink zabil juz kasjerke i dwoch klientow dla samej przyjemnosci mordowania. Jim zalatwil Rinka, upewnial sie, ze Newsome'om nic sie nie stalo, i wymknal sie, zanim na miejscu pojawila sie policja.

Kamera dzialajaca w systemie zabezpieczenia sklepu dostarczyła zatarte zdjecie bohatera. Bylo to dopiero drugie jego zdjecie, jakie znalazla. I to kiepskie. Ale natychmiast rozpozнала Jima Ironhearta.

Pewne szczegoly zajscia wytracily ja z rownowagi. Jezeli Ironheart dysponowal moca jasnowidzenia, czymkolwiek, co pozwolilo mu przewidziec smiertelne zagrozenie dla zycia innych ludzi i zjawic sie na czas, aby zmienic koleje losu, to dlaczego nie pojawil sie w sklepie pare minut wczesniej i nie zapobiegł smierci kasjerki i innych klientow?

Dlaczego uratowal Newsome'ow, a pozwolil, zeby zginela reszta?

Zdretwiala, czytając dalsze szczegoly jego rozprawy z Rinkiem. Uzywając strzelby kalibru 12 z uchwytem pistoletowym, wladowal w szalencu cztery strzaly. Potem, chociaz Rink byl bez watpienia martwy, zaladowal bron powtornie i oddal nastepne cztery strzaly. "Byl w jakiejś furii - relacjonowal Sam Newsome - mial twarz nabiegla krwia, splywal potem i widac bylo, jak mu zyly pulsują na skroniach i czole. Mial

66

67

lzy w oczach... ale one nie zmniejszaly tej wscieklosci". Kiedy zrobil swoje, wyrazil zal, ze rozprawil sie z Rinkiem w tak okrutny sposob na oczach malej Emily. Wyjasnil, ze tacy faceci jak Rink, zabijajacy niewinnych ludzi, wyzwalaja w nim "jego własne szalenstwo". Newsome mowil reporterowi: "Uratowal nam zycie, jasne, ale musze powiedziec, ze facet byl straszny, tak samo prawie jak Rink". Uswiadomiwszy sobie, ze Ironheart mogl przy pewnych okazjach nie wyjawić nawet swego imienia, Holly polecila Newsweb, aby znalazla materialy z ostatnich szesciu miesiecy, w ktorych "ratunek" i "uratowal zycie" znajdowaly sie w sasiedztwie dziesieciu slow z "niebieskie". Niektorzy swiadkowie podawali bowiem niejasny opis postaci, ale wiekszosc pamietala jego wyraziste niebieskie oczy.

Poszla do toalety, potem po nastepna kawe i wrocila do drukarki. Kiedy znaleziony slad przybieral ksztalt wydruku, chwykala go, przegladala i wrzucala do kosza, jezeli nie przynosil jej nic interesujacego, albo czytala z wypiekami na twarzy, jesli byl to opis jeszcze jednej "akcji z ostatniej chwili". Otrzymala kolejne cztery przypadki bezsprzecznie odnoszace sie do Ironhearta, chociaz ani jego imie, ani nazwisko nie zostalo uzyte.

Siadla znow przy biurku i zazadala od Newsweb, aby przejrzala ostatnie szesc miesiecy, szukajac w publikatorach ogolnokrajowych nazwiska Ironheart.

Czekajac na wyniki, uporzadkowala dotyczace sprawy wydruki, a potem zrobila chronologiczna liste osob, ktorych zycie Jim Ironheart uratowal, z czterema nowymi wlacznice. Umiescila na niej nazwiska, wiek, miejsce zdarzenia i rodzaj smierci, jaki zostal oszczedzony kazdej osobie.

Medytowala nad lista, dostrzegajac z ciekawoscia pewne stale elementy, ale odlozyla ja na bok, kiedy Newsweb skonczyla prace.

Podniosla sie z krzesla, zeby podejsc do drukarki laserowej, i zamarla ze zdumienia.

Nie byla sama w redakcji. Trzech reporterow i jeden redaktor znajdowali sie juz przy swoich biurkach. Wszyscy mieli opinie rannych ptaszekow, miedzy nimi Hank Hawkins z dzialu biznesu, ktory lubil byc juz w pracy, kiedy na rynkach finansowych wschodniego wybrzeza zaczynal sie ruch. Dwoch wymienialo dowcipy, ryczac ze smiechu, a Hawkins okupowal swoj telefon. Niczego nie zauwazyla ani nie slyszala, dopoki ich nie zobaczyla. Spojrzala na zegar: szosta dziesiec. Opalizujace swiatlo poranka tanczylo swobodnie po szybach, noc odplynela, a Holly nie miala o tym pojecia! Spojrzala na blat biurka. Liczba kubkow wskazywala, ze odbyla o dwie wedrowki wiecej do pokoju barowego, niz zapamietala.

Uswiadomila sobie, ze nie tkwi juz w rozpacz. Tak dobrze nie czula sie od dobrych paru dni. Tygodni. Lat. Znowu stala



się reporterka. Reporterka z prawdziwego zdarzenia.

Podeszła do drukarki, opróżniła tackę z wydrukami i powróciła do biurka. Rzuciła się w oczy, że Ironheartowie nie dawali zarobić dziennikarzom. W ostatnich sześciu miesiącach było tylko pięć artykułów, w których pojawiali się ludzie o tym nazwisku.

68

69

Kevin Ironheart - Buffalo, Nowy Jork. Senator stanowy. Ogłosił zamiar ubiegania się o stanowisko gubernatora. Anna Denise Ironheart - Boca Raton, Floryda. Znalazła żywego aligatora w salonie.

Lori Ironheart - Los Angeles, Kalifornia. Autorka tekstów piosenek. Nominowana do Nagrody Akademii za najlepszy utwór roku.

Valerie Ironheart - Cedar Rapids, Iowa. Urodziła żywe czworaczki.

Ostatni z tej piątki był James Ironheart.

Spojrzała na nagłówek. Materiał pochodził z "Registera", wychodzącego w okręgu Orange, z dziesiątego kwietnia i stanowił jedną pozycję z listy artykułów odnoszących się do tego samego zdarzenia, które zyskało ogólnokrajowy rozgłos. Ponieważ tak sobie zazwyczaj, komputer wydrukował tylko ten jeden materiał, pomijając inne na temat tego samego zdarzenia.

Sprawdziła dane. Laguna Niguel. Kalifornia. Południowa Kalifornia. Ład Południa.

Ten kawałek nie miał fotografii, ale reporter opisał wygląd bohatera notatki.

Niebieskie oczy i gesty kasztanowe włosy. To musiał być jej James Ironheart.

To, że go znalazła, nie było dla niej zaskoczeniem. Wiedziała, że podejmując usilne starania, zlokalizuje go wcześniej czy później. Zdumiała ją natomiast zawartość artykułu, w którym natrafiła w końcu na jego pełne imię i nazwisko. Oczekiwała jeszcze jednej opowieści o uratowaniu kogoś przed śmiercią i nie była przygotowana na nagłówek:

MIESZKANIEC LAGUNA NIGUEL TRAFIA NA LOTERII SZESĆ MILIONÓW.

2

Uratowawszy Nicolasa O'Connera, Jim po raz pierwszy od czterech dni przespał spokojnie całą noc. Opuszczył Boston w piątek po południu, dwudziestego czwartego sierpnia. Mijając kilka stref czasowych podczas lotu nad całym krajem, zyskał trzy godziny, zjawiał się na lotnisku Johna Wayne'a o trzeciej dziesiątej i po półgodzinie był w domu. Poszedł wprost do małego gabinetu, podniósł róg dywanu i odsłonił drzwiczki sejfów wbudowanych w podłogę. Wycisnął właściwą kombinację cyfr, otworzył drzwiczki i wyjął pięć tysięcy dolarów, dziesięć procent trzymanej tam gotówki.

Przy biurku włożył studolarówki do grubej koperty "Jiffy", która zamknął spinaczem.

Wypisał na maszynie nalepkę z adresem ojca Leo Geary'ego przy kościele Naszej Pani Opiekunki Pustyni i założył odpowiedni znaczek. Wyszedł jutro z samego rana.

Poszedł do salonu i włączył telewizor. Próbował znaleźć jakiś ciekawy film w sieci kablowej, ale bez rezultatu. Popatrzył przez moment na wiadomości, lecz nie przyciągnęło go

69

gdy jego uwagę. Podgrzał sobie w kuchence mikrofalowej pizzę i otworzył puszkę piwa, a potem siadł z dobrą książką - ale go nudziła. Przejrzał stos nieprzeczytanych magazynów, jednak żaden z artykułów nie wzbudził w nim zainteresowania. Zapadał już zmierzch, kiedy z następną puszką piwa wyszedł na dwór i siadł na patiu. Duże liście palm szeleściły w lekkim powiewie. Jasmin rosnący przy ścianie posesji wydzieliał słodki zapach. Drzewa światło okrywały czerwone, purpurowe i różowe niecierpki prawie fosforyzującym blaskiem; w miarę jak słońce kryło się za horyzontem, bijące od nich światło gasła, jakby były setkami małych żarówek regulowanych ściemniaczem. Noc sypiała w dół jak wielka, rzucona swobodnie peleryna, uszyta z czarnego, lekkiego jedwabiu.

Mimo że sceneria tchnęła spokojem, czuł się jak podminowany. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem, od czasu kiedy piętnastego maja uratował przed śmiercią Sama Newsome'a i jego córki Emily, Jimowi coraz trudniej było włączyć się w nurt powszednich zdarzeń i przyjemności. Nie potrafił się odprezyc. Ciągle myślał o tym, co jeszcze może zrobić dobrego, o wszystkich istnieniach, które może uratować przed zagładą, o ludzkich losach, których przeznaczenie potrafi odmienić, kiedy tylko znów nadejdzie wezwanie: "Linia życia". W porównaniu z tym wszystkie inne zajęcia były czystą stratą czasu.

Zostawszy narzędziem sił nadprzyrodzonych, nie potrafił zająć się niczym innym.

Po dniu spędzonym na zbieraniu informacji dotyczących Jamesa Madisonsa Ironhearta, mając za sobą jedynie dwugodzinny drzemkę zamiast całonocnego wypoczynku, Holly lotem do okręgu Orange rozpoczęła długo oczekiwaną wakację. Po przylocie wynajęła samochód i pojechała z lotniska na wschód, do motelu w Laguna Hills, gdzie wcześniej zarezerwowała pokój.

Laguna Hills leżało w głębi lądu i nie było miejscowością letniskową. Ale rezerwacje na sezon letni w Laguna Beach, Laguna Niguel i pozostałych nadbrzeżnych miasteczkach poczyniono dużo wcześniej. Zresztą nie zamierzała pływać ani się opalać. Zwykle naraziła się na niebezpieczeństwo raka skóry równie chętnie jak każdy inny, ale te wakacje zostały przeznaczone na pracę.

Zanim dotarła do motelu, czuła, jakby w oczach miała pełno piasku. Kiedy niosła walizki do pokoju, siła ciężkości zartowała sobie z nią okrutnie, działając z pięciokrotnie większą mocą.

Pokój był czysty, urządzone bezpretensjonalnie, a klimatyzacja zapewniała odtworzenie środowiska naturalnego Alaski, na wypadek gdyby jakiś Eskimos stesknął się za domem.

70

71

W automacie umieszczonym w podcieniach kupiła paczkę krakersów z masłem czekoladowym i serem i puszkę dietetycznej lemoniady. Zaspokoili głód, siedząc na łóżku. Była zdrewniała ze zmęczenia. Wszystkie jej zmysły - w tym również smak - zostały stepione przez wyczerpanie. Równie dobrze mogłaby jeść styropian i popijać go potem mulem. Przyłożenie głowy do poduszki zadziało jak naciśnięcie wyłącznika; zasnęła natychmiast.

W nocy zaczęła śnić. Był to dziwny sen, gdyż toczył się w absolutnej ciemności. Nie miał obrazów, istniały tylko zapachy i dotyk. Być może takie sny mają ślepi od urodzenia. Znajdowała się w ociekającym wilgocią, zimnym pomieszczeniu, pachącym lekko wapieniem. Z początku nie doświadczała leku, była jedynie zdezorientowana. Ostrożnie szukała drogi, idąc wzdłuż ścian z kamiennymi blokami, ciasno spojenymi zaprawą murarską. Po krótkim badaniu uświadomiła sobie, że faktycznie jest tylko jedna ściana, pojedyncza kamienna płaszczyzna - pokój miał kształt okręgu. Jedyne hałas robiły jej kroki - a w tle syk i stukot deszczu bebiącego nad głową, po krytym dachówkami dachu.

We śnie oderwała się od ściany i szła po twardej drewnianej posadzce z rękami wyciągniętymi przed siebie. Mimo że na nic się nie natknęła, ciekawość zaczęła ustępować miejsca lękowi. Przestała się posuwać, stanęła w całkowitym bezruchu, pewna, że usłyszała jakiś złowroźny dźwięk.

Subtelny dźwięk. Przesłonięty delikatnym, ale upartym postukiwaniem deszczu.

Powrócił. Pisk.

Przez moment myślała o szczurze, tłustym i obłym. Ale dźwięk trwał zbyt długo i był zbyt osobliwy, aby mógł go wydawać szczur. Bardziej trzask niż pisk, ale też nie trzeszczenie klepki podłogowej pod stopą. Znikal... powracał po paru sekundach... znikal... powracał... rytmicznie.

Kiedy Holly uświadomiła sobie, że to dociera do niej głos protestu jakiegoś nienaoliwionego mechanizmu, powinna była odetchnąć. Zamiast tego, kiedy tak stała w grobowych ciemnościach, usiłując odgadnąć, co to za urządzenie, czuła jedynie wzmożone bicie serca. Trzeszczenie stało się nieco głośniejsze, powtarzało się coraz częściej, z początku dźwięk nadpływał co pięć, sześć sekund, potem co trzy, cztery, potem co dwie lub trzy, a potem co sekundy.

Nagle doszła do tego dziwnie rytmiczna inkantacja, wiuuun, wiuuun, wiuuun; lekko opóźniona w stosunku do trzasku. Był to dźwięk, z jakim duży płaski przedmiot tnie powietrze.

Wiuuun.

Był blisko. Ale nie czuła powiewu powietrza.

Wiuum.

70

71

Opanowała ja szalencza myśl. To brzytwa.Wiuum.

Ogromna brzytwa. Ostra. Przecinająca powietrze. Gigantyczna.

Wiuum.

Poczuła, że zbliża się coś strasznego, istota tak dziwna, że choćby stała w świetle i na pełnym widoku - rozum nie pojmie, z czym ma do czynienia. Choć świadomość informowała ją, że śni, wiedziała równocześnie, że jeśli nie wydobędzie się z tego ciemnego kamiennego pomieszczenia - umrze. Koszmar, który nawiedził ją we śnie, nie pozwalał jej uciec, musiała więc się obudzić, ale nie mogła, była zbyt znużona, zbyt słaba, aby zerwać wieży snu. Potem pozbawiony światła pokój zaczął wirować. Odniosła wrażenie, że jakaś wielka budowla kreci się i kreci (trzask, wiuum), rosnąć gwałtownie w skapaną deszczem nocy trzask, wiuum), kreci się (trzask, wiuum), tnie powietrze (trzask, wiuum), usiłowała krzyknąć (trzask, wiuum), ale nie mogła wydusić z siebie głosu (wiuum, wiuum, wiuum), nie mogła się obudzić i nie mogła zawołać o pomoc.

WIUUM

-Nie! Jim poderwał się na łóżku, wykrzykując to pojedyncze słowo protestu. Ciało lepilo mu się od potu i miał silne dreszcze.

Kiedy zasypiał, lampka paliła się przy łóżku. Zdarzało się to często i nieprzypadkowo. Przez ponad rok miał niespokojne sny o różnej treści, pełne wielu straszydeł, z których tylko część pamiętał po obudzeniu. Bezimienny, bezkształtny stwór, którego nazywał "nieprzyjacielem" i o którym śnił, powracając do zdrowia na plebanii Naszej Pani Opiekunki Pustyni, był najbardziej przerażająca postać w krainach snu, choć nie jedyna.

Jednak tym razem grozę budził nie ktoś, ale coś. Wiatrak.

Spojrzał na zegarek przy łóżku. Za piętnaście czwarta.

W samych spodniach od piżamy wstał z łóżka i podreptał do kuchni.

Jarzeniowe światło klulo go w oczy. Dobrze. Chciał przegonić każdą drobinkę snu, jaką don przyłgnęła.

Cholerny wiatrak.

Włączył ekspres do kawy i zaparzył sobie mocną kolumbijską mieszankę. Stojąc przy ladzie, wypił małymi łyżkami połowę pierwszej filiżanki, potem nalał sobie następną i siadł przy kuchennym stoliku. Zamierzał wypić cały dzbanek. Nie chciał ryzykować powrotu do łóżka i tego samego snu.

Każdy nocny koszmar pozbawiał jego sen wartości regeneracyjnych, ale ten z wiatrakiem niosł prawdziwe fizyczne zmęczenie. Za każdym razem, kiedy się z niego budził, bolała go klatka piersiowa, jakby serce poraniło się od zbyt mocnego uderzenia

72

73

o zebra. Czasami dreszcze całkowicie ustępowały dopiero po godzinie; zawsze miał bóle głowy, które - jak teraz - biegle przez szczyt czaszki, pulsując z taką siłą, jakby jakiś Obcy usiłował się z niego wyrwać. Wiedział, że jeśli spojrzy w lustro, zobaczy chorobliwie bladą, pomarszczoną twarz z sinymi obwodkami wokół oczu. Twarz chorego na raka, skazanego na śmierć człowieka, z którego choroba wysysała całe życie. Ze wszystkich przesladujących go snu ten z wiatrakiem nie był najczęstszy.

W istocie nawiedzał go raz czy dwa w miesiącu. Ale na pewno był najgorszy.

Zdumiewające, że niewiele się w nim działo. Siedział na zakurzonej drewnianej podłodze w mniejszym, górnym pomieszczeniu, nad główną izbą, w której znajdowały się stare kamienie młyńskie. Jedyne światło dawała gruba, żółta

swieczka. Noc napierala na waskie okienka, przypominajace sredniowieczne strzelnice, wyciete w scianach z wapienia. Nagle, z trzaskiem nienaoliwionego i czesciowo zardzewialego mechanizmu, cztery wielkie skrzydla zaczynaly obracac sie, szybciej i szybciej, jak wielkie kosy, tnac wilgotne powietrze. Prosty wal, ktory wynurzal sie z sufitu i niki w otworze wykrojonym w srodku podlogi, rowniez zaczynal sie krecic, na krotko tworzac zludzenie, ze to sama podloga obraca sie jak karuzela. Na nizszym poziomie kamienie mlynskie zaczynaly trzec o siebie, wydajac miekkie dudnienie, przypominajace odlegly huk gromu.

Tylko tyle. Nic wiecej. A jednak bal sie jak wszyscy diabli.

Pociagnal duzy lyk kawy.

Co jeszcze dziwniejsze: w prawdziwym zyciu wiatrak byl dobrym miejscem, nigdy nie przezyt tam momentu bolu czy grozy. Wznosil sie na farmie dziadkow, pomiedzy stawem a polem z kukurydza. Dla mlodego chlopca urodzonego i wychowanego w miescie wielki wiatrak byl egzotyczna i fascynujaca budowla, idealnym miejscem zabaw i ucieczki od rzeczywistosci, schronieniem na czas zmartwien. Nie mogl zrozumiec, dlaczego nawiedzal go koszmar o miejscu, ktore bylo zrodlem jedynie dobrych wspomnien.

Gdy przerazajacy sen minal - nie budzac jej - Holly ?orne spala w spokoju przez reszte nocy, nieruchomo jak kamien spoczywajacy na dnie morskim.

3

W sobote rano Holly jadla sniadanie w restauracji motelowej i studiowala liste osob, uratowanych od smierci dzieki celnie wyliczonym w czasie interwencjiom Jima Ironhearta.

72

73

15 MAJA

Sam (25) i Emily (5) Newsome - Atlanta, Georgia (morderstwo)

7 CZERWCA

Louis Andretti (28) - Corona, Kalifornia (ukaszenie weza)

21 CZERWCA

?addeus Johnson (12) - Nowy Jork, Nowy Jork (morderstwo)

30 CZERWCA

Rachel Steinbert (23) - San Francisco, Kalifornia (morderstwo)

7 LIPCA

Carmen Diaz (30) - Miami, Floryda (pozar)

14 LIPCA

Amanda Cutrer (30) - Houston, Teksas (morderstwo)

20 LIPCA

Steven Aimes (57) - Birmingham, Alabama (morderstwo)

1 SIERPANIA

Laura Lenaskian (28) - Seattle, Waszyngton (utoniecie)

8 SIERPANIA

Doogie Burkette (11) - Peoria, Illinois (utoniecie)

12 SIERPANIA

Billy Jenkins (8) - Portland, Oregon (wypadek drogowy)

20 SIERPANIA

Lisa (30) i Susan (10) Jawolski - pustynia Mojave (morderstwo)

23 SIERPANIA

Nicolas O'Conner (6) - Boston, Massachusetts (zwarcie linii przesyłowej wysokiego napięcia). Pewne reguły były oczywiste. Z czternastu uratowanych szóstkę stanowiły dzieci. Siodemka pozostałych liczyła sobie od dwudziestu trzech do trzydziestu lat. Tylko jeden był starszy - Steven Aimes, który miał pięćdziesiąt siedem lat. Ironheart wolał młodszych. I było widać, że jego działalność się nasila: jedno zdarzenie w maju, trzy w czerwcu, trzy w lipcu i już pięć w sierpniu, a pozostawał jeszcze pełny tydzień do końca miesiąca.

Holly była szczególnie zaintrygowana tymi osobami na liście, które bez interwencji Ironhearta zostałyby zamordowane. O wiele więcej osób ginęło każdego roku w wypadkach niż z ręki bliźnich. Same wypadki drogowe pociągały za sobą więcej ofiar niż morderstwa. Tymczasem Jim Ironheart interweniował w znacznie większej liczbie ewentualnych zabójstw niż w wypadkach: z czternastu osób na liście osiem zostało uratowanych przed złowieszczymi zakusami morderców, ponad szesćdziesiąt procent.

74

75

Być może morderstwa częściej budziły jego przeczucie niż inne formy śmierci, gdyż przemoc stosowana przez człowieka wzbudza silniejsze prądy w świecie pozazmysłowym niż wypadki... Holly przestała gryźć i widelec z naleśnikiem z jagodami zamarł jej w drodze do ust.

Uswiadomiła sobie, jak przedziwna jest ta historia. Dotąd działała z ponaddziesięciokrotną szybkością, popychana przez dziennikarską ambicję i ciekawość. Podniecenie, potem wyczerpanie nie pozwoliło jej w pełni rozważyć wszystkich następstw i szczegółów działań Ironhearta. Odłożyła widelec i wpatrywała się w talerz, jakby szukając odpowiedzi i wyjaśnienia w szczątkach jedzenia i śladach tłuszczu, w ten sam sposób, w jaki Cyganie czytają w liściach od herbaty i liniach na dłoni.

Kim, do diabła, był Jim Ironheart? Jasnowidzem? Zgodą, jej uparty racjonalizm i cynizm mogły pogodzić się z pomysłem, że tu czy tam jakiś jasnowidz faktycznie posiada prawdziwą moc, ale nie była pewna, czy termin "jasnowidz" był właściwym określeniem dla Jima Ironhearta. Ten facet nie naraził się na robienie z siebie durnia i nie przepowiadał w jakimś tanim, kolorowym piśmie, że Steven Spielberg nakreśli w przyszłym roku następny hit (niespodzianka!), ani że Schwarzenegger dalej będzie mówił w języku angielskim z obcym akcentem albo że Tom Cruise zmieni aktualną panią lub Eddie Murphy pozostanie czarny w dającej się przewidzieć przyszłości. Ten facet znał dokładnie czas i miejsce każdego z groźnych, śmiertelnych wypadków - kto, kiedy, gdzie, jak - wystarczająco wcześnie, żeby zmienić przeznaczenie. Nie krzywił łyżeczek siłą woli, nie przemawiał grobowym głosem starożytnego ducha o imieniu Rama-Lama-Srama, nie odczytywał przyszłości z dymiących flaków, wosku czy kart do tarota. On, na łaskę boską, ratował ludzi, odmieniał los, wywierał głęboki wpływ nie tylko na uratowanych od śmierci, ale na życie ich przyjaciół i krewnych, którym groził wstrząs i załamanie.

A jego moc rozciągała się od Laguna Niguel do Bostonu.

A może jego bohaterские wyczyny nie ograniczały się do Stanów Zjednoczonych. Nie przejrzała międzynarodowej prasy z ostatnich sześciu miesięcy. Może ratował ludzkie życie we Włoszech, Francji, Japonii, Szwecji albo na Pago Pago; kto wie?

Słowo "jasnowidz" absolutnie tu nie pasowało. Holly nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, jak można jednym słowem nazwać jego moc.

Ku własnemu zdziwieniu poczuła, jak ogarnia ją zachwyt, coś, czego nie doznała od dzieciństwa. A równocześnie opanowała ją groza i zadrzała.

Kim był ten człowiek? Co w nim tkwiło?

Niewiele ponad trzydzieści godzin temu, kiedy Holly zobaczyła artykuł o małym Nicolasie O'Connerze z Bostonu, wiedziała, że trafiła na sensacyjny materiał. Zanim przejrzała do końca dane, zebrane dla niej przez Newsweb, wiedziała, że to może okazać się największa sensacja w jej karierze, bez względu na to, jak długo będzie pracowała w zawodzie. Teraz

zaczela podejrzewac, ze ma do czynienia z sensacja dziesieciolecia.

74

75

-Wszystko w porzadku?-Wszystko oszalalo - odpowiedziala Holly, zanim uswiadomila sobie, ze nie ona zadala to pytanie.

Kelnerka - Bernice, wedlug tego, co miala wyha?owane na bluzce - stala obok stolika, spogladajac z niepokojem. Do Holly dotarło, ze myslac o Jimie Ironheartcie, wpatrywala sie z napieciem we wlasny talerz. Bernice zauwazyla to i doszla do wniosku, ze cos jest nie w porzadku.

-Oszalalo? - spytala Bernice, marszczac czolo.

-No tak - to przeciez nienormalne, zeby wejsc do najzwyczajszej restauracji i dostac takie nalesniki, jakich sie w zyciu nie jadlo.

Bernice zawahala sie: czy aby Holly nie nabija sie z niej?

-Naprawde... naprawde pani smakuja?

-Szalenie - przyznala Holly, wpychajac sobie do ust widelec z zimnym, rozmoczonym nalesnikiem i zujac go z entuzjazmem.

-To cudownie! Czy podac cos jeszcze?

-Wystarczy rachunek - powiedziala Holly.

Bernice odeszla, a ona jadla dalej. Co miala robic; byla glodna, a nalesniki lezaly przed nosem.

Jedzac, rozgladala sie po restauracji, po kolorowo wystrojonych urlopowiczach, zatopionych po uszy w opisach rozrywek zaliczonych i rozrywek niezaliczonych i poczula, jak po raz pierwszy od wielu lat ogarnia ja rozkosz, jakiej doznaja osoby wtajemniczone. Wiedziala cos, o czym tamci nie mieli pojecia. Byla reporterka majaca dostep do pilnie strzezonego sekretu. Jej sensacja, kiedy zostanie dokladnie zbadana, a potem spisana proza jasna, a rownoczesnie pobudzajaca, godna najlepszych reportazy Hemingwaya (oby!), dostanie sie na pierwsze strony, w najbardziej eksponowane, gorne regiony kolumn, w kazdej wielkiej gazecie w kraju i na swiecie. A co wprawialo ja w cudowny nastroj i doprowadzalo do euforii, to fakt, ze jej sekret nie mial nic wspolnego z politycznym skandalem, zatruciem srodowiska i miriadami innych form terroru i tragedii napedzajacych silnik wspolczesnych mass mediow. Jej sensacja bedzie zachwycajaca i cudowna, poswiecona nadziei i odwadze, istnieniom uratowanym, zgonom i tragediom, ktorych uniknieto. Zycie jest piekne, pomyslala, nie mogac powstrzymac sie od promiennego usmiechania sie do wspolbiesiadnikow.

Zaraz po sniadaniu Holly, korzystajac z planu, udala sie do Laguna Niguel w poblize domu Jima Ironhearta. Adres ustalila jeszcze w Portland, nakazujac komputerowi przejrzenie spisu nieruchomosci w okregu Orange i sprawdzajac w archiwach transakcje kupna przeprowadzone od poczatku roku. Zalozyła, ze kazdy, kto wygra szesc mi76

77

lionow dolarow na loterii, czesc z tego wyda na kupno nowego domu, i okazalo sie, ze miala racje. Trafila glowna nagrode prawdopodobnie dzieki jasnowidzeniu - na poczatku stycznia. Trzeciego maja sfinalizowal kupno domu przy Bougainvillea Way. Poniewaz archiwa nie informowaly o sprzedazy jakiegokolwiek posiadlosci przez niego, prawdopodobnie cos wynajmowal, zanim los sie do niego usmiechnal.

Czula sie nieco zaskoczona skromnym wygladem domu. Osiedle bylo dosc nowe.

Teren zostal ukszaltowany ze smakiem i podporzadkowany rygorom architektury terenow zielonych, typowej dla okregu Orange: szerokie, wdziecznie wijace sie ulice obsadzone swiezymi palmami i melaleukami; domy zblizone do siebie stylem wzorowano na zabudowie sroziemnomorskiej; dachy pokryte dachowkami w kolorach czerwieni, piasku i brzoskwini. Otoczenie godne pozadania, zwlaszcza ze Laguna Niguel bylo miastem lezacym w poludniowym okregu Stanow, gdzie koszt metra kwadratowego dorownywal cenie apartamentu zbudowanego na dachu wysokosciowca na Manhattanie.

Ale nawet tu Ironhearta z latwoscia stac bylo na cos znacznie lepszego. Jego posiadlosc liczyla niewiele ponad dwa tysiace metrow kwadratowych i byla najmniejsza w okolicy. Dom pokryty kremowobialym tynkiem mial duze francuskie okna, ale byl pozbawiony jakichkolwiek ponadstandardowych dodatkow. Wokol scielily sie soczyste, zielone, lecz niewielkie

trawniki, ozdobione azaliami, niecierpkami i para rozłożystych palm. Lagodne słońce przedpołudnia rzuciło na ściany koronkowe cienie.

Wolno przejechała obok domu, lustrując go uważnie. Pusty podjazd. Story zasunięte. Nie miała żadnej wskazówki co do tego, czy Ironheart był w domu - mało brakowało, a podeszłaby do drzwi i zadzwoniła. Jeżeli inne sposoby zawiodą, zrobi to. Ale nie teraz.

Dojechała do końca кварталу, zawróciła i przejechała raz jeszcze koło posiadłości.

Dom był atrakcyjny, przyjemny, ale taki zwyczajny. Trudno było uwierzyć, że taki wyjątkowy człowiek, mający tak zadziwiające sekrety, żył za tymi murami.

Szeregówka Violi Moreno w Irvine stała w jednym z otoczonych parkiem osiedli, wzniesionych przez Irvine Company w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdzie kolczaste ploty osiągnęły dojrzałość zbitego drzewostanu, a wawrzyny wyrosły na tyle, by zapewnić bogaty cień nawet w najbardziej słoneczne, bezchmurne dni lata.

Domek był umeblowany raczej z myślą o wygodzie niż elegancji: mocno wypchana kanapa, przepastne fotele, miękkie poduszki, wszystko to utrzymane w tonacjach brzozy i ciemnego brzozy; tradycyjne pejzaże wiszące na ścianach miały raczej zapewnić wypoczynek dla oka i umysłu, niż pobudzać je ponad miarę. Stosy magazynów i polki pełne książek znajdowały się wszędzie w zasięgu ręki. Holly, zaledwie przekroczyła próg, poczuła się tu jak w domu.

76

77

Viola była tak gościnnie i miła jak jej dom. Wyglądała na jakieś pięćdziesiąt lat, miała domieszkę krwi meksykańskiej, niezwykle gładką skórę lśniącą odcieniem polerowanej miedzi i pogodną, mimo że czarna jak najczarniejszy atrament, oczy. Choć była raczej niska i trochę rozciąła się z wiekiem, łatwo można było odgadnąć, że niegdyś na jej widok meskie głowy obracały się w sposób groźący skreśleniem karku; dalej zresztą promieniowała wielkim urokiem. Już na progu wzięła Holly za rękę, potem objęła ją ramieniem i poprowadziła przez niewielki dom na patio, jakby były starymi przyjaciółkami, a nie osobami, które poprzedniego dnia po raz pierwszy rozmawiały ze sobą przez telefon. Na patio, wychodzącym na ogólnie dostępny trawnik, stał szklany stolik, a na nim dzbanek z mrożoną lemoniadą i dwie szklanki. Trzciniowe fotele były wyłożone grubymi żółtymi poduszkami.

-Spędzam tu większość lat od śmierci męża - powiedziała Viola, kiedy usadowiły się w fotelach. Dzień był niezbyt gorący, powietrze suche i czyste. - Czyż nie jest tu pięknie?

Szeroka, choć płytka dolinka oddzielała ten rząd domków od następnego. Była ocieniona wysokimi drzewami i ozdobiona parą okrągłych kwietników, na których rosły czerwone i purpurowe niecierpki. Dwie figlujące wiewiórki przebiegły w dol lagodnego stoku, przecinając wijącą się ścieżkę.

-Bardzo pięknie - potwierdziła Holly, kiedy Viola nalewała lemoniady do szklanek.

Viola spróbowała lemoniady.

-Za słodka. Zawsze daje za dużo cukru. Przepraszam. - Odstawiła szklankę.

-Teraz powiedz mi o tym bracie, którego szukasz. Okropnie mnie zaintrygowałaś.

-Jak pani mówiłam, kiedy dzwoniłam z Portland, jestem dzieckiem adoptowanym.

Ludzie, którzy mnie przygarneli, byli dla mnie wspaniałymi rodzicami, kocham ich nie mniej niż prawdziwego ojca i matkę, ale... no co...

-Naturalnie, chciałabym poznać prawdziwych rodziców.

-Czuje się tak... jakby była we mnie pustka, jakbym miała dziurę w sercu - powiedziała Holly, starając się nie przesadzać.

Czuła się zresztą podle. Zmyślając te łgarstwa o swojej osobistej tragedii, miała wrażenie, jakby szydziła z rzeczywistej straty Violi. Ale nie pozostawało jej nic innego, jak ciągnąć dalej.

-Nie jest tak źle, jak wygląda, ponieważ odkryłam, że mam brata, jak wspominałam przez telefon.

Pochylając się i opierając rekoma o stół, Viola z napięciem czekała na szczegóły, aby dowiedzieć się, w czym może okazać się pomocna.

-Co mogę zrobić, żeby ci pomóc go odszukać?

78

79

-Nie, nie o to chodzi. Bo widzi pani, ja go już znalazłam.-Jak wspaniale!

-Ale... boję się do niego zbliżyć.

-Boisz się? Dlaczego?

Holly spojrzała w kierunku trawnika i przełknęła parę razy ślinę, jakby dławili ją emocje i walczyła o odzyskanie nad sobą kontroli. Była dobra. Gra warta Oscara.

Nienawidziła się za to. Kiedy się odezwała, udało się jej nadać głosowi przekonujące, lekkie drzenie:

-O ile wiem, jest moim jedynym krewnym na całym świecie, stanowi jedyną więź łączącą mnie z matką i ojcem, których nigdy nie poznam. On jest moim bratem, pani Moreno, i kocham go. Chociaż go nigdy nie spotkałam, kocham go. Ale co będzie, kiedy zbliżę się do niego, otworze przed nim moje serce... a on powie, że nie chce mnie widzieć na oczy, nie polubi mnie czy coś w tym rodzaju?

-Dobry Boże, oczywiście, że cie polubi! Dlaczego nie miałby polubić takiej przemiłej kobiety jak ty? Przecież będzie zachwycony, mając tak cudowną siostrę!

Będzie gnitała za to w piekło, pomyślała żalostnie Holly.

-No, może to wyda się pani głupie, ale przejmuję się tym. Nigdy nie udało mi się zrobić dobrego wrażenia przy pierwszym spotkaniu...

-Na mnie wywarłaś znakomite wrażenie, moja droga.

Powinnas wbicić mi obcas w czubek nosa, i to zaraz, pomyślała Holly.

-Wole być ostrożna. Wole dowiedzieć się o nim, ile tylko się da, zanim zapukam do jego drzwi. Chce wiedzieć, co mu się podoba, co mu się nie podoba, jaki on jest... och, chce wiedzieć wszystko. Na Boga, pani Moreno, nie chce tego zaważyć.

Viola pokiwała głową.

-Sądzę, że przyszłaś do mnie, ponieważ znam twojego brata, prawdopodobnie uczyłam go przed laty?

-Czy pani uczy historii w średniej szkole, tu w Irvine?

-Zgadza się. Pracowałam tu jeszcze, zanim zginął Joe.

-Otoż mój brat nie był pani uczniem. Był nauczycielem w pani szkole. Prowadził zajęcia z angielskiego. Wpadłam na jego ślad i dowiedziałam się, że uczyła pani w sąsiedniej klasie i dobrze go pani zna.

Twarz Violi rozjaśniła się w uśmiechu.

-Chodzi ci o Jima Ironhearta!

-Zgadza się. To mój brat.

-To cudownie, wspaniale, to idealnie! - zachłysnęła się radością Viola.

Reakcja kobiety była tak pełna entuzjazmu, że Holly zamrugowała ze zdumieniem i nie wiedziała, co ma powiedzieć.

78

79



-To dobry człowiek - rzekła Viola ze szczerym wzruszeniem. - Byłabym najszczęśliwszą matką, mając takiego syna. Od czasu do czasu przychodzi do mnie na obiad, choć już nie tak często jak dawniej, a ja gotuję mu, chce, żeby czuł się u mnie jak w domu. Nie potrafię ci powiedzieć, ile to daje mi radości. - Posmutniała na moment i ucichła. - W każdym razie... nie mogłabys sobie wymarzyć lepszego brata, moja droga. Jest jednym z najmiłszych ludzi, jakich poznałam: oddany nauczyciel, łagodny, uprzejmy i cierpliwy. Holly pomyślała o Normanie Rinku, psychopacie, który zabił kasjerkę i dwóch klientów w sklepie w Atlancie, w maju, a który został potem z kolei zabity przez łagodnego, uprzejmego Jima Ironhearta. Osiem strzałów z bliskiej odległości. Cztery wystrzelone w trupa po tym, jak było oczywiste, że Rink nie żyje. Viola Moreno mogła znać dobrze tego człowieka, ale wyraźnie nie miała pojęcia o wściekłości, jaką potrafił w sobie wzniecić, kiedy chciał.

-Znałam naprawdę dobrych nauczycieli w swoim czasie, ale żaden tak nie dbał o uczniów jak Jim Ironheart. Naprawdę o nich dbał, jakby byli jego dziećmi. - Odchyliła się w tył na fotelu, wspominając. - Był im tak oddany, tak bardzo zależało mu na polepszeniu ich losów, że tylko najgorsze wyrzutki były wobec niego obojętne. Jego związek z uczniami był taki, że inni nauczyciele sprzedaliby za to dusze, a równocześnie nie musiał wyrzekać się właściwych relacji nauczyciel-uczeń, żeby to osiągnąć. Tak wielu z nich próbuje być kumplami dla uczniów, ale to nigdy nie wychodzi, sama rozumiesz.

-Dlaczego rzucił nauczanie?

Viola zawahała się. Uśmiech przygasł jej na twarzy.

-Częściowo to wina wygranej.

-Jakiej wygranej?

-Nie wiesz o tym?

Holly zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

-Wygrał w styczniu sześć milionów dolarów na loterii - powiedziała Viola.

-Niemożliwe!

-Pierwszy raz w życiu kupił los.

Holly pozwoliła, żeby jej początkowe zdumienie ustąpiło miejsca zaskoczeniu.

-Och, mój Boże, i teraz pomyśli, że zjawiłam się tylko dlatego, że stał się bogaty.

-Nie, nie - pośpieszyła z zapewnieniami Viola. - Jim zawsze myśli o ludziach jak najlepiej.

-Jestem dobrze ustawiona - kłamała Holly. - Nie potrzebuje jego pieniędzy, nie wzięłabym ich, nawet gdyby mi je dawał. Moi przybrani rodzice są lekarzami, nie są bogatymi, ale niezłe im się powodzi, a ja jestem adwokatem i mam niezłą prosperującą praktykę.

80

81

Dobra, dobra, naprawdę nie potrzebujesz jego pieniędzy, pomyślała Holly, czując do siebie wstępną gryzący jak kwas solny, ale jesteś za to marna, niedźna kłamliwa suka o przerazającej zdolności do wymyślania szczegółów i spędzisz wieczność, stojąc po pas w gównie i polerując buty szatana. Nastroj Violi uległ zmianie. Odepchnęła fotel od stołu, wstała i podeszła do krawędzi patii. Wyrwała zdziwło z dużej terakotowej donicy, pełnej begonii, lyszczyca i miedzianozłoty nagietków. Z roztargnieniem zwinęła watłą trawkę w kulke pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym prawej dłoni, wpatrując się w parkową zielen.

Milczała przez chwilę.

Holly przeraziła się, że powiedziała coś niewłaściwego, co ujawniło jej dwulicowość.

Z każdą sekundą coraz bardziej się denerwowała i poczuła, że ciąży jej wszystkie wypowiedziane kłamstwa i przeprosiny cisną się na usta.

Wiewiórki baraszkowały na trawie. Motyl wleciał pod daszek patii, przysiadł na moment na brzegu dzbanka z lemoniadą i odrzucił.

W koncu, z drzeniem w glosie, tym razem prawdziwym, Holly odezwała sie:

-Pani Moreno? Czy cos sie stalo?

Viola wystrzelila kuleczke z trawy daleko na trawnik.

-Po prostu mam klopoty z ujeciem tego w slowa.

-Ujciem czego? - nerwowo spytala Holly.

-Spytalas mnie, dlaczego Jim... dlaczego twój brat rzucil nauczanie - powiedziala Viola, obracajac sie do niej i zblizajac do stolu. - Mowilam, ze to dlatego, iz wygral los na loterii, ale to niecala prawda. Gdyby dalej tak kochal uczyc jak pare lat temu albo nawet rok temu, nadal by pracowal, chocby wygral i sto milionow.

Holly malo nie wydala glosnego oddechu ulgi: nie zostala rozszyfrowana.

-Co mu tak obrzydilo prace?

-Stracil ucznia.

-Stracil?

-Z osmej klasy. Nazywal sie Larry Kakonis. Bardzo mady chlopiec i o dobrym sercu, tylko nadpobudliwy. Z nieszczesliwej rodziny. Jego ojciec bil matke. Robil to, od kiedy Larry pamietal, i chlopiec myslal, ze moglby go powstrzymac, ale nie potrafil.

Czul sie jednak winny, ze nie potrafil. To juz byl taki chlopiec. Mial silne poczucie odpowiedzialnosci.

Viola podniosla szklanke z lemoniada, powrocila na skraj patia i znow wbila wzrok w trawnik. Powtornie zamilkla. Holly czekala.

-Jego matka odczuwala potrzebe podporzadkowania sie. Byla ofiara meza, wspolpracujaca na rzecz wlasnego pognebienia. Nieszczesna jak sam Larry. A syn nie potrafil pogodzic milosci i szacunku do matki z rosnacym zrozumieniem, ze do pewnego stopnia podobalo sie jej to i chciala byc bita.

80

81

Nagle Holly zrozumiala, dokad zmierza ta opowiesc, i nie chciala uslyszec dalszego ciagu. Jednak nie miala innego wyboru, jak dotrwac do konca.-Jim bardzo mocno pracowal z chlopcem. Nie chodzi mi o angielski, o szkolne sprawy. Larry otworzyl sie przed nim w sposob, w jaki nie potrafil otworzyc sie przed nikim innym. Jim byl posrednikiem miedzy nim a doktorem Lansingiem, psychologiem, ktory pracuje na czesc etatu w szkole. Wydawalo sie, ze Larry zaczyna sobie radzic, usilujac zrozumiec swoja matke i siebie - i do pewnego stopnia mu sie to udalo.

A potem, noca, piętnastego maja zeszłego roku - prawie piętnaście miesięcy temu - ciężko uwierzyć, że to tak dawno - Larry Kakonis wziął strzelbę z kolekcji ojca, załadował, wsadził łufę do ust... i pociągnął za spust.

Holly zwinęła się jak od uderzenia. W istocie została uderzona, chociaż ciosy - dwa - nie były fizycznej natury. Została, po pierwsze, porażona myślą o trzynastoletnim chłopcu popełniającym samobójstwo wtedy, kiedy najwspanialsza część życia rozposciera się jeszcze przed nim. W tym wieku mały problem wydaje się duży, a naprawdę poważny robi wrażenie katastrofy nie do opanowania. Holly poczuła rozdzierający żal z powodu Larry'ego Kakonisa i niepojęty gniew, ponieważ chłopakowi nie dano czasu, aby pojął, że można sobie poradzić ze wszystkimi okropnościami i że w sumie życie oferuje więcej radości niż rozpacz. Ale w równej mierze była poruszona wiadomością, że dzień, w którym chłopiec się zabił, to był piętnasty maja.

Rok później, piętnastego maja tego roku, Jim Ironheart dokonał swej pierwszej, cudownej akcji ratunkowej. Sam Newsome i jego córka Emily. Atlanta, Georgia. Uratowani przed morderstwem z rąk socjopaty Normana Rinka.

Holly nie mogła dłużej usiedzieć na miejscu. Wstała i podeszła do Violi na skraj patia. Obserwowały wiewiorki.

-Jim winił siebie - powiedziała Viola.

-Za śmierć Larry'ego Kakonisa? Przecież nie był za nią odpowiedzialny.

-A jednak winił się za to. Taki jest. Ale ta reakcja była przesadna, nawet jak na niego.

Po śmierci chłopca stracił zainteresowanie nauczaniem. Przestał wierzyć, że może coś osiągnąć, zmienić. Tyle rzeczy mu się udało, więcej niż jakimkolwiek innemu nauczycielowi, którego znalazł. Ale nie potrafił pogodzić się z tym jednym fiaskiem.

Holly przypominała sobie odwagę, z jaką Ironheart porwał Billy'ego Jenkinsa z drogi pedzacej ciężarówki. Tamto na pewno nie było fiaskiem.

-Zaczął się po prostu coraz bardziej zlamywać - powiedziała Viola - i nie potrafił z tego wyjść.

Człowiek, którego Holly spotkała w Portland, nie wydawał się zlamany. Tajemniczy, zgoda. Pełen rezerwy, owszem. Ale miał znakomite poczucie humoru i niewiele było trzeba, żeby go rozbawić.

Viola pociągnęła łyk lemoniady.

-Smieszne, teraz jest za kwasna. - Postawila szklanke na betonie u swoich stop i wytarla wilgotne dlonie o spodnie. Otworzyla usta, zawahala sie, ale w koncu powiedziala: - Potem... troche zdziwaczal.-Zdziwaczal? Jak?

-Stal sie niekomunikatywny. Milczacy. Zaczal sie uczyc sztuk walki. Tae kwon do.

Wielu ludzi interesuje sie takimi rzeczami, ale to bylo zupełnie nie w stylu Jima.

To bylo zupełnie w stylu tego Jima Ironhearta, ktorego znala Holly.

-I nie traktowal tez tych zajec na luzie - powiedziala Viola. - Kazdego dnia, po szkole, jechal na nauki do tego domu w Newport Beach. Stal sie maniakiem. Bardzo sie tym przejmowalam. Wiec kiedy w styczniu wygral na loterii, ogarnela mnie radosc.

Szesc milionow dolarow! To taka wspaniala sprawa, takie wielkie szczescie, wydawalo sie, ze to musi zmienic jego stosunek do zycia, wyciagnie go z depresji.

-Ale tak sie nie stalo?

-Nie. Nie wydawal sie wcale zaskoczony ani zadowolony. Rzucil szkole, wyprowadzil sie z mieszkania do wlasnego domu... i jeszcze bardziej odsunal od przyjaciol.

-Odwrocila sie do Holly i usmiechnela. Byl to pierwszy usmiech, jaki pojawil sie na jej ustach od dluzszego czasu. - Dlatego bylam tak podekscytowana, kiedy powiedzialas, ze jestes jego siostra, siostra, o ktorej istnieniu nie ma nawet pojecia. Moze ty potrafisz pomoc mu w tym, w czym nie pomoglo mu wygranie szesciu milionow dolarow.

Holly poczula, ze znow dlawi ja poczucie winy z powodu maskarady. Zaczerwienila sie. Miala nadzieje, ze Viola wezmie to za objaw radosci lub podniecenia.

-Byloby wspaniale, gdyby mi sie udalo.

-Uda ci sie, jestem tego pewna. Jest samotny albo przynajmniej tak sie czuje i przez to jest mu jeszcze ciezej. Majac siostre, nie bedzie juz sam. Idz do niego, dzis, zaraz.

-Pojde. Ale nie zaraz. Musze poczuc sie... pewniej. Nie powie mu pani o mnie, dobrze?

-Oczywiscie, ze nie, moja droga. To ty powinnas miec radosc z powiedzenia mu o tym. Coz to bedzie za cudowna chwila!

Holly poczula, ze usmiecha sie sztucznie, zupełnie jakby miala doklejone sztywne, plastikowe wargi z maski do kostiumu na Halloween.

Pare minut pozniej, kiedy Holly zegnala sie z nia przy drzwiach wyjsciowych, Viola polozyla

jej dlon na ramieniu i powiedziała:

-Nie chce stwarzać ci fałszywej nadziei. Nie będzie ci łatwo podnieść go na duchu, znów postawić na nogi. Od kiedy znam Jima, zawsze czuję, że głęboko na dnie jego duszy tkwi smutek jak osad, którego nie da się usunąć. Nie ma w tym nic dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę śmierć jego rodziców - i cała reszta życia: jest sierotą, od kiedy skończył dziesięć lat.

-Dzięki. - Holly skinęła głową. - Ogromnie mi pani pomogła.

82

83

Viola uściskała ją spontanicznie, pocałowała w policzek i powiedziała: -Chcę, żebyście wpadli oboje z Jimem do mnie na obiad. Najszybciej, jak to będzie możliwe. Domowe tamales z kielkami pszenicy, czarna fasola, ryż z ostrą papryką jalapeño, zobaczcie, niesamowite!

Przez całą drogę do wypożyczonego wozu Holly przeklinała się pod nosem, używając najgorszych słów. Nie miała kłopotu ze znalezieniem odpowiednio wulgarnych określeń i stosownie brzmiących, poniżających zwrotów. Dwanaście lat spędzone w redakcjach w towarzystwie reporterów było taką lekcją obsceniów, że śmiało mogła wygrać konkurs w przeklinaniu nawet z największymi chamami.

Na żółtych kartkach książki telefonicznej znalazła tylko jedną szkołę taekwon-do w Newport Beach. Mieściła się w centrum sklepowym przy Newport Boulevard, pomiędzy salonem sprzedaży okiennic i okien robionych na zamówienie a cukiernią.

Na szyldzie budynku widniał napis "Dojo", oznaczający po japońsku salę do ćwiczeń sztuk walki. Równie dobrze można by nazwać restaurację "Restauracja", a sklep odzieżowy "Sklepelem odzieżowym". Holly była zaskoczona ogólnikowością tego określenia, gdyż azjatyccy biznesmeni zwykle przejawiali poetycką wrażliwość przy nazywaniu swych przedsiębiorstw.

Trojka ludzi owiana rozkosznym zapachem, bijącym z pobliskiej cukierni, stała na chodniku przed wielkim oknem dojo, zajadając eklery i obserwując szóstkę uczniów, ćwiczących pod okiem niskiego, ale niezwykle sprężystego poruszającego się koreańskiego instruktora. Wszyscy mieli na sobie czarne lekkie stroje do ćwiczeń, które wyglądały jak pizamy. Kiedy instruktor cisnął uczniem o matę, szklana płaszczyzna zawibrowała.

Wchodząc, Holly minęła pachnącą czekoladą, cynamonem, cukrem i drożdżami smugę powietrza i zanurzyła się we wnętrzu, gdzie królowała stęchła won kadzidełek i lekki odor potu. Ponieważ kiedyś pisała materiał o nastolatku z Portland, zdobywcy medalu na mistrzostwach ogólnokrajowych, wiedziała, że taekwon-do jest formą agresywnego

koreanskiego karate, w którym stosuje się silne uderzenia, szybkie jak błyskawica dzgnięcia, "ciecia" nadgarstkiem, bloki, duszenia oraz mordercze, potężne kopnięcia z wyskoku. Nauczyciel ograniczył nieco siłę swoich ciosów, ale nadal rozlegały się sieknięcia, głośne oddechy, dobywające się z przepony okrzyki. Dudniła mata, wibrując pod ciężarem padających uczniów.

W kącie po drugiej stronie sali, na stolku za kontuarem siedziała brunetka.

Zajmowała się papierkowa robota. Każdy szczegół jej stroju i aparycji podkreślał emanująca z niej erotyka. Ciasna czerwona koszulka uwydatniała szeroką klatkę piersiową, wyraźnie zaznaczając linie sutek, wielkich jak wisnie. Zmierzwiła grzywa ciemnych włosów z umiejętnie nałożonymi, jasnymi pasemkami; linia oczu lekko, a row84

85

nocznie tajemniczo podkreślona; usta przesadnie zaznaczone kredką o barwie ciemnego koralu; niezbyt głęboka opalenizna; oszalamiająco długie paznokcie, polakierowane pod kolor szminki, i srebrna biżuteria, której starczyłoby na zapelnienie gabloty jubilera - wszystko to byłoby idealna reklama, gdyby kobiety traktować jako produkt wystawiony na sprzedaż na lokalnym targowisku.-Czy to obtłukiwanie się i sapanie trwa tu przez cały dzień? - spytała Holly.

-Raczej tak.

-Nie przeszkadza ci?

-No jasne - powiedziała brunetka, mrugając lubieżnie. - Wiem, o co ci chodzi.

Sa jak stado byków walących się rogami. Co dzień nie ma godziny, żeby nie robiło mi się tak mokro, że nie mogę się pozbierać.

Nie było to dokładnie to, o co Holly chodziło. Sugerowała raczej, że hałas wywoływał ból głowy, nie podniecenie. Ale odmrugnęła do brunetki jak dziewczyna do dziewczyny i zapytała:

-Szef jest u siebie?

-Eddie? Ma do wykonczenia parę setek pieter - powiedziała tajemniczo dziewczyna. - A czemu pytasz?

Holly wytłumaczyła, że jest reporterka i robi artykuł, mający związek z dojo.

Recepcjonistka - bo tak chyba należało ją określić - na wieść o tym nie zachmurzyła się, jak to często bywało, ale promiennie uśmiechnęła. Eddie, powiedziała, zawsze rozgląda się za reklamą interesu. Wstała ze stolka i podeszła do drzwi za kontuarem.

Zademonstrowała przy tym sandalki na wysokich obcasach i pośladki opięte białymi szortami, przylegającymi do skóry jak warstwa farby.

Holly zaczynała czuć się jak chłopiec.

Zgodnie z tym, co powiedziała brunetka, Eddie był zachwycony, słysząc, że "Dojo" będzie wymienione w jakimś kawalku w gazecie, choćby przelotnie, ale chciał udzielić wywiadu, "robiąc" schody. Nie był Azjata, co chyba wyjaśniało pozbawioną wyobraźni, prostą nazwę jego biznesu. Wysoki, jasnowłosy, o zmierzwionej czuprynie i niebieskich oczach, był ubrany tylko w warstwę mięśni i czarne obcisłe kolarskie spodenki ze spandexu. Pracował na stair-masterze, maszynie do ćwiczeń, szybko wdrapując się donikąd.

-Jest bosko - powiedział, przebijając niezwykle umięśnionymi nogami. - Jeszcze trzy kondygnacje i będę na szczycie pomnika Waszyngtona.

Oddychał ciężko, ale Holly oddychałaby znacznie ciężiej po wejściu na drugie piętro swojego mieszkania w Portland.

Siadła na krzesło, które jej wskazał, na wprost stair-mastera, dzięki czemu widziała go dokładnie. Jego brązowa od słońca skóra błyszczała od potu. Pociemniały mu włosy

84

85

na karku. Spandex otulał jego ciało równie szczelnie, jak białe szorty opinały recepcjonistkę. Odnosiło się wrażenie, że spodziewał się wizyty Holly i zadbał o takie ustawienie stair-mastera i krzesła, aby zaprezentować się jak najefektowniej. Mimo że znowu przybrała oszukawczą maskę, Holly nie czuła się tak fatalnie, okłamując Eddiego, jak poprzednio, kiedy klamała Violi Moreno. Zresztą historyjka, służąca jej tym razem za tarczę, była nieco mniej wymyślna; przygotowywała paroodcinkowy, analityczny materiał o Jamesie Ironhearcie (prawda), skupiając się na tym, jaki efekt na jego życie wywarło trafienie głównej wygranej na loterii (klamstwo), a wszystko to robiła za jego pełnym przyzwoleniem (klamstwo). Prawdopodobność w wysokości trzydziestu trzech procent wystarczała, aby uchronić ją od poczucia winy, co - jak podejrzewała - nie świadczyło dobrze o jej sumieniu.

-Tylko dobrze napisz o dojo - powiedział Eddie. Oglądając się i spoglądając w dół na swoją łydkę, dodał pełen szczęścia: - Popatrz na te łydkę, twarda jak skała.

Tak jakby nie miała jej cały czas przed nosem.

-Warstwa tłuszczu pomiędzy skórą a mięśniami prawie zniknęła, wypaliła się.

Poza tym okłamywanie Eddiego, próżnego, zajętego wyłącznie sobą krety, było jej obojętne.

-Poltorej kondygnacji do szczytu pomnika - powiedział. Rytm mowy był zgodny z rytmem oddechu. Słowa wznosiły się i opadały z każdym wdechem i wydechem.

-Tylko poltorej? To zaczekam.

-Nie, nie. Pytaj. Nie bede robił przystanku na gorze. Zobacz, ile pieter uda mi się potem pokonać na Empire State Building.

-Ironheart był twoim uczniem?

-Mhm. Sam go uczyłem.

-Zjawił się tu, zanim trafił na loterii?

-Mhm. Ponad rok wcześniej.

-Sadze, że w maju zeszłego roku.

-Gdzies tak.

-Powiedział, dlaczego chce się uczyć tae kwon do?

-Nie. Ale miał zapal. - Następne słowa prawie wykrzyczał triumfalnie, jakby po zakończeniu prawdziwego wejścia na szczyt: - Pomnik zaliczony!

Zwiększył tempo, zamiast zwolnić.

-Nie myślisz, że to było dziwne?

-Dlaczego?

-Chodzi mi o to, że przecież był nauczycielem.

-Mamy nauczycieli. Mamy wszystkich. Każdy chce komus nakopac do dupy.

-Zrobił głęboki, powolny wdech, potem wydech i powiedział: - Jestem teraz w Empire State Building, idę w górę.

86

87

-Był dobry?-Doskonale! Mogłby startować w zawodach.

-Mogłby? To znaczy, że się wycofał?

Oddychał teraz ciężiej, słowa padały mu z ust w szybszym rytmie.



-Chodził przez siedem, osiem miesięcy. Dzień w dzień. Dawał sobie pełny wycisk.

Sztangi i aerobik plus walka. Czadował niesamowicie. Gość tak stwardniał, że mogłoby zerznąć skale. Przepraszam. Ale taki był. Potem odszedł. Dwa tygodnie po tym, jak wygrał szmalec.

-Aha, rozumiem.

-Nie zrozum mnie źle. Odszedł nie przez forsz.

-To dlaczego?

-Powiedział, że wziął ode mnie tyle, ile chciał, i więcej mu nie trzeba.

-Ile chciał? - spytała.

-Tyle taekwon do, żeby zrobić, co chciał.

-Powiedział, co chciał zrobić?

-Nie. Podejrzewam, że nakopać komuś do dupy. Eddie naprawdę teraz dawał z siebie wszystko; ubijając nogami stair-mastera, przebierał nimi i przebierał; ciało sypało mu potem tak, że wydawał się skapany w oleju; kiedy potrząsnął głową, grube krople leciały mu z włosów; mięśnie na ramionach i szerokich plecach speczniały równie obficie jak uda i łydki.

Siedząc na krześle jakieś dwa metry od tego mężczyzny, Holly poczuła się tak, jakby zajęła miejsce w pierwszym rzędzie jakiegoś swińskiego strip-klubu, w którym tradycyjny układ płci został odwrócony. Wstała.

Eddie wpatrywał się przed siebie, w ścianę. Twarz miał zmarszczona od wysiłku, ale spojrzenie rozmarzone i zagubione. Może zamiast ściany widział niekończącą się klatkę schodową Empire State Building.

-Czy powiedział ci kiedyś coś... interesującego, niezwykłego? - spytała.

Eddie się nie odezwał. Był skupiony na wchodzeniu. Żyłki na szyi nabrzęziały mu i pulsowały, jakby małe tłuste rybki przepychały się całymi lawicami przez jego krwiobieg.

Kiedy Holly nacisnęła klawisz, Eddie rzekł:

-Trzy rzeczy.

-Taak? - Odwróciła się.

Z oczami nadal utkwionymi w dal, nie patrząc na nią i nawet na sekunde nie zwalnając

rytmu kroków, powiedział do niej z klatki schodowej tamtego drapacza chmur na odległym Manhattanie:

-Ironheart to jedyny bardziej opętany ode mnie facet, jakiego spotkałem w życiu.

Marszcząc czoło, Holly zastanowiła się nad tym.

86

87

-Co jeszcze?-Jedynie zajęcia, jakie opuścił, to dwa tygodnie we wrześniu. Pojechał na północ, gdzieś do okręgu Marin, na naukę agresywnej jazdy.

-Co to takiego?

-Głównie ucza tam szoferów wozących polityków, dyplomatów, bogatych biznesmenów. Maja umieć prowadzić wóz jak James Bond, dawać dyla przed terrorystami, kidnaperami i takie tam bzdety.

-Mówił, po co mu potrzebny taki trening?

-Tylko że będzie fajnie.

-To dwie rzeczy.

Potrząsnął głową. Pot rozprysnął się wokół, obryzgując dywan i meble, Holly ledwo się uchroniła. Dalej nie patrzył na nią.

-Numer trzy: potem, jak wykombinował sobie, że ma dość tae kwon do, zachciało mu się nauczyć posługiwania bronią.

-Bronia?

-Spytał mnie, czy nie znam kogoś, kto nauczyłby go snajperki i wszystkiego o różnych rodzajach broni. Rewolwery, pistolety, karabiny, strzelby myśliwskie...

-Do kogo go posłałeś?

-Do nikogo. - Dyszał już, jednak to, co padało pomiędzy kurczowymi oddechami, nadal było zrozumiałe. - Bron to nie moja działka. Ale wiesz, co myślę? Myślę, że to jeden z tych gości, co czytają "Soldier of Fortune". Chciałby przeskoczyć w to, co sobie wymarzył. Chciałby zostać najemnikiem. Na pewno szykował się na wojnę.

-Nie przeszkadzało ci pomaganie komuś takiemu?

-Dopoki placil za zajecia, nie.

Otworzyla drzwi, ale zawahala sie.

-Masz licznik na tym urzadzeniu?

-Mhm.

-Na ktorym jestes pietrze?

-Dziesiatym - powiedzial Eddie, a gleboki wydech zniekształcił słowo. Kiedy następnym razem wydmuchnął powietrze, wydał równocześnie westchnienie głębokiej rozkoszy. - Jezu, mam nogi z kamienia, z pieprzonego granitu, mogę założyć każdemu gościowi nożyce i złamać go na połowę. Wstaw to w artykuł, dobra? Mogę gładko przeciąć faceta na dwie połowki.

Holly wyszła, cicho zamykając drzwi za sobą.

W głównej sali sztuki walki uprawiano jeszcze bardziej aktywnie, niż kiedy Holly tu wchodziła. Obecne ćwiczenie polegało na grupowym ataku w stylu ulicznego gangu.

Koreański instruktor blokował, krecił się, rzucał i skakał, odpierając wyprowadzane ataki uczniów.

88

89

Brunetka zdjęła srebrną biżuterię. Wsunęła na nogi reeboki, włożyła luźniejsze szorty, inną koszulkę i biustonosz. Rozciągała się przed kontuarem recepcji. - Jest pierwsza - wyjaśniła. - Moja pora lunchu. Zawsze biegam osiem, dziewięć kilometrów, zamiast jesc. Hej, hej. - Podbiegła do drzwi, wynurzyła się na ciepły sierpniowy dzień i zniknęła, biegnąc szybko wzdłuż centrum sklepowego.

Holly też wyszła i stała przez moment w rozkosznych promieniach słońca, na nowo uświadamiając sobie, że większość z robiących zakupy i krecących się przy samochodach ludzi była w znakomitej kondycji. Przeniosłszy się ponad półtora roku temu w północno-zachodni region Stanów, zapomniała, jak troszcza się o zdrowie mieszkańcy południowej Kalifornii - i jakie znaczenie przywiązują do własnego wyglądu.

Okreg Orange miał mniej obwisłych podbródków, zwałow tłuszczu powyżej i poniżej bioder, sterczących brzuchów, i obwisłych pośladków na głowę niż Portland.

Dobrze wyglądać i mieć dobre samopoczucie, te imperatywy wyznaczały styl życia w południowej Kalifornii. To była jedna z rzeczy, za które uwielbiała to miejsce. To była

rowniez jedna z rzeczy, ktore powodowaly, ze go nie cierpiala.

Weszla na lunch do cukierni obok. Wybrala czekoladowego eklera, beze ozdobiona plasterkiem kiwi, sernik z warstwa bialej czekolady, polewa orzechowa i posypyany kawalkami mocno spieczonego lukru, cynamonowy obwarzanek i plasterek rolady pomaranczowej.

-I dietetyczna cole - poprosila ekspedientke.

Zaniosla talerzyk do stolika obok okna, skad mogla obserwowac parade sprezystych, opalonych cial w letnich strojach. Ciastka byly boskie. Skubala je na przemian po kawaleczku, rozkoszujac sie kazdym kesem i zamierzajac wylizac talerzyk do czysta.

Po chwili zdala sobie sprawe, ze jest obiektem czyjejs obserwacji. Dwa stoliki dalej siedziala dobrze zbudowana kobieta, ktora wygladala mniej wiecej na trzydziesti piec lat, i wpatrywala sie w nia z mieszanina niedowierzania i zazdrosci. Miala przed soba jeden marny kawalek torcika owocowego. Dla ciastkowej narkomanki byla to przyjemnosc rowna spozywaniu suchara z pelnoziarnistej maki.

Holly poczula zarazem wspolczucie i potrzebe usprawiedliwienia sie.

-Wolalabym tak sie nie napychac, ale nic na to nie poradze. Jesli sobie nie podjem, zawsze roznosi mnie, jestem jak napalona.

Gruba kobieta kiwnela glowa ze zrozumieniem.

-Mnie tez.

Pojechala do domu Ironhearta przy Bougainvillea Way. Wiedziala teraz wystarczajaco wiele, aby zaryzykowac spotkanie z nim, i wlasnie sie do tego zabierala. Ale zamiast zatrzymac sie na jego podjezdzie, wolno przejechala jeszcze raz obok domu.

88

89

Instynkt podpowiadal jej, ze nie nadszedl wlasciwy moment. Obraz, jaki sobie wyrobila, tylko pozornie robil wrazenie skonzonego. Gdzies krylo sie puste miejsce. Czula, ze niebezpiecznie byloby isc dalej, dopoki nie zostanie ono zamalowane. Powrocila do motelu i spedzila reszte popoludnia i poczatek wieczoru, siedzac w swoim pokoju przy oknie. Popijala alka-selzer i dietetyczne 7-Up, wpatrywala sie w poblyskujaca jak szlachetny kamien niebieskosc basenu, widoczna w srodku bogatej zieleni dziedzinca, i myslala. Myslala.

Dobra, powiedziala sobie, oto jak ta historia wyglada do tej pory: Ironheart jest czlowiekiem

o złamanym sercu, prawdopodobnie dlatego, że został osierocony w wieku zaledwie dziesięciu lat. Większość życia spędził na ponurych rozmyślaniach o śmierci, zwłaszcza niesprawiedliwości przedwczesnej śmierci. Poswiecił swoje życie nauczaniu dzieci i pomaganiu im, może dlatego, że sam, będąc dzieckiem, nie miał nikogo, kto pomógłby mu poradzić sobie z odejściem matki i ojca. Potem Larry Kakonis popełnia samobójstwo. Ironheart jest złamany, czuje się odpowiedzialny za to, że nie zapobiegł śmierci chłopca. Ten zgon ujawnia całą jego ukrytą wściekłość, gniew na los, przeznaczenie, biologiczną kruchość ludzkich istot - wściekłość na Boga. W stanie ostrej depresji, graniczącej z utratą równowagi psychicznej, decyduje się zrobić z siebie kolejnego Rambo i bronić się przed losem, co jest reakcją dziwną w najlepszym razie, absolutnie chora w najgorszym. Podnosząc ciężary, ćwicząc taekwon-do i aerobik, aby wyrobić kondycję, staje się bojową maszyną. Uczy się prowadzić samochód jak kaskader. Opanowuje posługiwanie się wszelkiego rodzaju bronią palną. Jest gotów. Jeszcze jedna sprawa. Uczy się jasnowidzenia po to, żeby wygrać na loterii, osiągnąć niezależność majątkową i móc poświęcić się swej świętej sprawie. Stąd też wie, kiedy nastąpi czyjaś przedwczesna śmierć.

I tu wszystko się rozsypuje. Można udać się do takiego miejsca jak "Dojo" i nauczyć się sztuki walk, ale w książce telefonicznej na żółtych kartkach nie ma adresów szkół jasnowidzenia. Skąd więc, do diabła, nabral ponadnaturalnych mocy?

Rozważała ten problem na różne strony. Nie próbowała na siłę znaleźć odpowiedzi.

Jedynie usiłowała sformułować w miarę logiczne pytania. Ale magia to magia. Z logiką nie miała nic wspólnego.

Zaczynała się czuć, jakby wynajal ją marny brukowiec. Przestała być poważną reporterką, zamieniła się w blagiera wciskającego głodne kawałki o Obcych z kosmosu, żyjących w podziemiach Cleveland; pol gorylich, pol ludzkich istotach, zrodzonych przez rozpustną opiekunkę zoo, i o tajemniczych deszczach zab i kurczaków w Tadżykistanie.

Ale, do cholery, to fakt, że Jim Ironheart uratował przed śmiercią czternastoro ludzi w różnych zakątkach kraju, zawsze w ostatniej sekundzie, przewidując to z cudowną dokładnością.

90

91

O osmej miała ochotę walić głową o stół, o ścianę, o betonowy brzeg basenu, o wszystko, co było na tyle twarde, aby rozbić tkwiącą w jej umyśle barierę i zesłać jej zrozumienie. Uznała, że wystarczy tego myślenia i trzeba coś zjeść. Kolację znowu zjadła w motelowej restauracji - kurczaka z rusztu i sałatę. Była to pokuta za lunch w cukierni. Usiłowała wzbudzić w sobie zainteresowanie innymi gośćmi, zająć się trochę obserwacją ludzi. Ale nie

potrafiła przestać myśleć o Ironheartcie i jego czarach.

Równie niepodzielnie panował w jej myślach potem, kiedy leżała w łóżku, próbując zasnąć. Wpatrywała się w cienie na suficie; światło lamp oświetlających pejzaz za szybą przedzierało się przez na wpół uchylone żaluzje okienne. Musiała przyznać, że Jim fascynuje ją nie jedynie z powodów zawodowych. Zgoda, stanowił największą sensację w jej karierze. A także był na tyle tajemniczy, aby zaintrygować każdego, nie tylko dziennikarza. Ale czuła pociąg do niego również dlatego, że przez długi czas pozostawała samotna, samotność wydrzązła w niej pustkę, a Jim Ironheart to najbardziej porywający mężczyzna, jakiego spotkała od wieków. To wariactwo, pomyślała. A może ona zwariowała.

Nie zaliczała się do kobiet, które uganiają się za mężczyznami zupełnie do nich niepasującymi, kobiet podświadomie pragnących wejść w rolę istoty wykorzystanej, zranionej i porzuconej. Była wybredna, jeżeli chodziło o panów. I dlatego, na miłość boską, pozostawała samotna. Niewielu mężczyzn potrafiło sprostać jej wymaganiom.

Jasne. Wybredna, pomyślała sarkastycznie. To dlatego się napalasz, kiedy pomyślisz o facecie, któremu wydaje się, że jest Supermanem bez rajstop i pelerynki. Wroc na ziemię. O Jezusie. Snucie romantycznych fantazji o Jamesie Ironheartcie było krótkowzroczne, nieodpowiedzialne, bezplodne i najzwyczajniej głupie. Ale te oczy...

Holly zasnęła, a obraz jego twarzy płynął w jej wyobraźni jak wielka bandera falująca wdzięcznie na tle błękitnego nieba. Jego oczy były nawet jeszcze bardziej niebieskie niż to niebo.

Po pewnym czasie znalazła się powtórnie w śnie pozbawionym obrazów. Okrągły pokój. Drewniana podłoga. Zapach mokrego wapienia. Deszcz bebnący o dach.

Rytmiczne trzeszczenie. Wium. Coś ją przesładowało, część ciemności w jakiś sposób ożyła, pojawiło się monstrum, którego nie słyszała ani nie widziała, ale które czuła.

Nieprzyjaciel. Wium. Była wdzięczna Bogu za swoją ślepotę, ponieważ wiedziała, że wygląd tego czegoś był tak obcy zmysłom, tak przerażający, że zabiłby ją. Wium. Coś jej dotknęło. Wilgotna, lodowata wic. U podstawy karku. Cienka jak ołówek macka.

Krzyknęła, koniuszek czulka wwiercił się jej w szyję, przeszywając podstawę czaszki...

Wium.

Obudziła się z cichym okrzykiem grozy, przytomna. Od razu rozpoznała otoczenie: motel, Laguna Hills.

Wiuum..Dźwięk ze snu nadal jej towarzyszył. Wielka brzytwa przecinająca powietrze. Ale to nie był dźwięk wyimaginowany, tylko autentyczny. A w pokoju było równie zimno jak w piwnicznej czerni sennego koszmaru. Groza, przepelniająca serce, ciążyła jak kamień i kiedy usiłowała się poruszyć, okazało się, że nie jest do tego zdolna. Czula zapach mokrego wapienia. Z dołu, jakby pod motelem rozciągały się obszerne kazamaty, dobiegło ciche dudnienie - i wiedziała, nie wiadomo skąd - że to wielkie kamienie kola tra o siebie.

Wiuum.

Cos niedającego się nazwać nadal wilo się wzdłuż jej szyi, przesuwalo wewnątrz czaszki; ohydny pasożyt, który wybrał ją za swój dom, drażył sobie drogę, aby złożyć jajeczka w jej mózgu. Nie była zdolna się poruszyć.

Wiuum.

Widziała jedynie blade, jakże blade sztaby światła, odcinające się od czarnego sufitu, tam gdzie słodkie światło lamp rozjasniających pejzaz rzucalo obraz listew zaluzji.

Rozpaczliwie pragnęła, żeby było jasniej.

Wiuum.

Wydawała rozdzierające ją strachu. Własna słabość wzbudziła w niej takie obrzydzenie, że w końcu udało się jej przelamać paraliz woli. Dysząc, usiadła. Wpila się paznokciami w szyję, usiłując oderwać śliskie, sztywne macki robaka. Nic. Nic tam nie było. Spuściła nogi na podłogę. Pomacała niezdarnie w poszukiwaniu lampy. Niemal ją przewrocila. Znalazła wyłącznik. Światło.

Wiuum.

Wyskoczyła z łózka. Znow pomacała tył głowy. Szyję. Pomiedzy łopatkami. Nic. Nic tam nie było. A jednak czula to.

Wiuum.

Znalazła się po drugiej stronie granicy oddzielającej histerię od normalności i, niezdolna do powrotu, wydawała niewyraźne, zwierzęce odgłosy strachu i bezradności.

Kattem oka zarejestrowała jakiś ruch. Obrocila się błyskawicznie. Sciana za plecami.

Pocila się. Blyszczala. Cała sciana wybrzuszała się w jej kierunku jak cienka blona, na którą intensywnie napiera ogromna i przerażająca masa. Obrzydliwie pulsowała, jak potężny wewnętrzny organ wydobyty z dymiących trzewi prehistorycznego behemota.

Wiuum.

Odwrocila sie od mokrej, wrogiej, ozywionej sciany. Rzucila sie do biegu. Musi sie wydostac. Szybko. Nieprzyjaciel. Nadchodzi. Sledzil ja. We snie. Drzwi. Zamkniete.

Zasuwa. Odblokowala. Trzesace sie rece. Nieprzyjaciel. Nadchodzi. Lancuch. Odsunela.

Drzwi. Otworzyla gwaltownie: cos stalo na progu, wypelniajac framuge, wieksze niz Holly, cos nie do pojecia dla czlowieka, rownoczesnie owadzie, pajecze i gadzie, wijace

92

93

sie i podskakujace, zmierzwiona masa pajecznych nog, czulkow, skreconych zwojow, zabich szczek, owadzich oczu zlozonych, wezowych klow, pazurow, tysiac sennych zmor splatanych w jedno - ale ona nie snila. Wdarlo sie przez drzwi, pojmalo ja, bol rozszalal sie wszedzie, gdzie wbilo szpony, i zakrzyczala ...nocny powiew. On jedynie naplywal przez otwarte drzwi. Delikatny, letni powiew nocy.

Holly stala na progu, trzesac sie i lapiac oddech; spogladala w zdumieniu na betonowa promenade otaczajaca motel. Palmy, australijskie paprocie, cala roslinnosc zmyslowo kolysala sie, pieszczona poludniowym zefirem. Powierzchnia basenu pofaldowala sie lagodnie, tworzac niezliczone, nieustannie zmieniajace sie oczka ponad swiatlem bijacym z dna, tak ze odnosilo sie wrazenie, iz to nie zbiornik wodny zajmuje srodek dziedzinca, lecz wielka jama, w ktorej piraci zlozyli swoj skarb: oszlifowane szafiry.

Istota, ktora ja zaatakowala, zniknela, jakby nigdy nie istniala. Nie odbiegla ani nie schronila sie w jakiejs dziurze; po prostu w mgnieniu oka wyparowala.

Holly nie czula juz lodowatych, wijacych sie czulkow na karku ani wewnatrz czaszki.

Promenada zblizalo sie paru gosci motelowych, wyraznie zainteresowanych jej krzykiem.

Cofnela sie w glab pokoju. Nie miala zamiaru stac sie atrakcja wieczoru.

Obejrzala sie za siebie. Sciana z lozkiem byla na powrot jedynie sciana.

Zegar, wbudowany w wezglowie, pokazywal piata osiem rano.

Zamknela drzwi i nagle musiala sie o nie oprzec: nogi zrobily sie jej jak z waty.

Zamiast poczuc ulge, ze dziwne zdarzenie skonczylo sie, byla roztrzesiona. Objela sie ramionami i zadygotala tak mocno, ze zaszczekala zebami. Zaczela cicho plakac, nie na wspomnienie strachu, nie z powodu niebezpieczenstwa, nie z leku o zdrowie psychiczne; nie, doznala glebokiego uczucia calkowitego gwaltu. Na krotko, ale i tak za dlugo, stala sie bezsilna, upodlona, zniewolona przerazeniem, poddana kontroli istoty calkowicie niepojetej.



Została psychicznie zgwałcona. Coś pozadliwego opanowało ją, wymusiło sobie w nią drogę, pozbawiło woli i chociaż znikło, pozostawiło wewnątrz ślad, osad, który zbrukał umysł, duszę.

To tylko sen, pocieszała się.

Ale kiedy przed chwilą siadła na łóżku i zapaliła lampę, to nie był sen. Nocna zmora przeszła za nią w realny świat.

To tylko sen, nie przesadzaj, weź się w garść, pomyślała, walczyć o odzyskanie równowagi ducha. Śniasz, że jesteś w tym mrocznym pomieszczeniu, potem śniasz, że usiadłaś na łóżku i zapaliłaś światło, potem we śnie zobaczyłaś, jak ściana nabrzmięwa, i pobiegłaś do drzwi. Ale tylko we śnie chodziłaś i dalej byłaś we śnie, kiedy otworzyłaś drzwi, i dalej śniasz, kiedy zobaczyłaś potwora i zawrzeszczałaś, i dopiero wtedy obudziłaś się naprawdę, tym wrzaskiem wytraciłaś się ze snu.

92

93

Pragnęła przyjąć to wyjaśnienie, ale to byłoby zbyt proste. Żaden jej sen nie miał dotąd takiego bogactwa zdarzeń i szczegółów. Poza tym nigdy nie chodziła we śnie. Coś naprawdę chciało ją skrzywdzić. Może nie ten owadzio-gadzio-pajeczy kształt, który pojawił się w drzwiach. Może był to jedynie wizerunek, który przybrała inna istota, aby ją przerazić. Ale coś wpychało się do tego świata z...

Skąd?

Nieważne skąd. Stamtąd. Z innego świata. I prawie ją dopadło.

Nie. To śmieszne. Artykuł z brukowca. Nawet "National Enquirer" nie publikował już kretynstw tak kretynskich. MOJA JAZN ZOSTAŁA ZGWALCONA PRZEZ BESTIE Z TAMTEGO ŚWIATA. Takie smieci mieszczą się trzy stopnie poniżej artykułów w rodzaju CHER PRZYZNAJE SIĘ, ŻE JEST OBCA Z KOSMOSU, dwa stopnie poniżej JEZUS PRZEMOWIŁ Z KUCHENKI MIKROFALOWEJ DO ZAKONNICY i nawet cały stopień poniżej MOZG ELVISA TRANSPLANTOWANY, KRÓL ŻYJE W CIELE

ROSE-ANNE BARR.

Im bardziej głupio czuła się na myśl, że uległa tamtemu nastrojowi, tym bardziej się uspokajała. Łatwiej było poradzić sobie z jakimś przeżyciem, gdy uzna się je za wytwór przewrażliwionej wyobraźni, pobudzonej fantastycznym przypadkiem Ironhearta. W końcu stanęła, nie opierając się o drzwi. Zasunęła zasuwę, założyła z powrotem lancuch.

Kiedy odeszła od drzwi, poczuła, że dokucza jej gorący, klujący ból w lewym boku.

Nie doskwierał jej zbyt, ale skrzywiła się i dotarło do niej, że podobny, choć mniejszy ból, zagnieździł się również w prawym boku.

Podciągnęła brzeg koszulki, żeby obejrzeć własne ciało, i nagle odkryła, że materiał jest porwany. Trzy rozdarcia po lewej stronie. Dwa po prawej. I był pokryty krwią.

Przerazenie wróciło. Holly pospieszyła do łazienki i zapaliła ostre jarzeniowe światło.

Stała przed lustrem, zawahała się, potem sięgnęła podarta koszulka.

Cienki strumyczek krwi saczał się w dół lewego boku z trzech płytkich rozdarć skóry. Pierwsze rozcięcie tuż pod piersią, a pozostałe niżej w pięciocentymetrowych odstępach. Dwa zadrapania wyraźnie odznaczały się z prawej, chociaż nie tak głębokie jak tamte i niekrwawiące.

Szpony.

Jim zwymiotował do klozetu, spuścił wodę, a potem dwukrotnie przemył usta pachnącym miętą listerinem.

Spojrzał do lustra. Jeszcze nigdy nie miał tak zmaltrretowanej twarzy. Musiał opuścić wzrok.

Oparł się o umywalkę. Chyba już tysięczny raz w ciągu ostatniego roku zadał sobie pytanie, co, na miłość boską, z nim się dzieje.

94

95

Podczas snu znowu znalazł się w wiatraku. Nigdy przedtem ten sam koszmar nie dreczył go dwie noce z rzędu. Zwykle upływały tygodnie pomiędzy nadejściami tego samego snu i co gorsza, we śnie pojawiał się nowy niepokojący element - coś więcej niż tylko deszcz uderzający w wąskie okna, migotliwy płomień świecy i tworzone przez niego tańczące cienie, dźwięk wielkich skrzydeł obracających się na zewnątrz, powolne dudnienie kamieni młynskich na dole i niewytłumaczalny osad strachu. Tym razem poczuł złowrobną obecność, ukrytą, ale nadciągającą coraz bliżej z każdą sekundą, czegoś tak złego i obcego, że wyobraźnia nie potrafiła nadać temu wyraźnych kształtów ani rozmiarów. Oczekiwał, że to coś rozwali ściany, wystrzeli przez deski podłogi albo runie na niego przez ciężkie drewniane drzwi u szczytu schodów wiatraka. Nie wiedział, kąd ma uciekać. W końcu szarpnął drzwi - i obudził się z krzykiem. Jeżeli coś za nimi się czaiło, nie pamiętał, jak wyglądało. Niezależnie od tego Jim wiedział, jakiego ma użyć imienia; nieprzyjaciela. Tylko że teraz myślał o tym przez duże "N". Nieprzyjaciela. Amorficzna bestia, która ścigała go przez tyle innych snów, znalazła sobie drogę do snu o wiatraku, w którym nigdy przedtem go nie napastowała.

Moze to bylo zwariowane, co myslal, ale wiedzial, ze ow stwor nie jest tylko jego senna fantazja zrodzona w podswiadomosci. Byl rownie realny jak on sam. Wczesniej czy pozniej latwo przekroczy bariere dzielaca swiat snow od swiata rzeczywistego, tak jak przeszedl przez granice dzielaca rozne sny.

4

Holly nawet nie probowala polozyc sie lozka. Wiedziala, ze nie zasnie przez wiele godzin, az ogarnie ja takie wyczerpanie, ze nie bedzie mogla utrzymac otwartych powiek, niezaleznie od ilosci wypitej kawy. Sen przestal byc schronieniem. Zamienil sie w zrodlo niebezpieczenstwa, droge do piekla albo w jeszcze gorsze miejsce, gdzie grozi jej spotkanie z nieludzkim towarzyszem podrozy. Zaczynalo ja to zloscic. Kazdy potrzebuje snu i kazdy zasluze na bezpieczne schronienie, jakie on stanowi.

Kiedy przyszedl swit, dlugo stala pod prysznicem. Ostroznie, lecz starannie obmyla plytkie zadrapania na bokach, chociaz mydlo i goraca woda piekly otwarte rany.

Obawiala sie infekcji, a ta mogla okazac sie rownie dziwna jak przelotnie widziane monstrum, ktore ja wywolalo.

Jej gniew wzrosl.

Z natury byla modelowa harcerka, zabezpieczona na wszelka ewentualnosc. Kiedy udawala sie w podroz, podreczna apteczka spoczywala w tej samej kosmetyczce, do ktorej wrzucala depilator. Nie zapominala nigdy o jodynie, gazie opatrunkowej, opatrun94

95

kach, przylepcach, bandazach elastycznych, malym cisnieniowym pojemniku ze srodkiem przeciwbakteryjnym i tubie masci odkazajacej. Wytarla sie recznikiem, naga siadla na skraju lozka i spryskala sprayem rany, a potem odkazila je dodatkowo jodyna... Zostala reporterka, poniewaz jako mloda kobieta wierzyla, ze dziennikarstwo moze wytлумaczyc zjawiska rzadzace swiatem, nadac sens zdarzeniom, ktore czesto wydaja sie chaotyczne i pozbawione logiki. Ponad dziesiec lat pracy w zawodzie wstrzasnelo jej przekonaniem, ze ludzkie zachowania dadza sie w calosci czy chocby czesciowo wytлумaczyc. Ale nadal utrzymywala na biurku lad, akta miala skrupulatnie uporządkowane, a notatki dotyczace spraw biezacych prowadzone czytelnie i przejrzyscie. W domu, w szafach, jej ubrania byly poukladane zgodnie z porami roku, potem zaleznie od okazji (oficjalne, poloficjalne, prywatne), a wreszcie kolorami. Jezeli zycie upieralo sie przy chaosie i jesli dziennikarstwo okazalo sie zawodnym narzedziem w przywracaniu porzadku, rutyna i przyzwyczajenia stwarzaly jej wlasne male uniwersum stabilnosc, ktore, choc watle, bronilo sie przed bezladem i harmiderem zycia. Jodyna piekla.

Czula, jak jej gniew rosl. Kipial.

Juz zaschniete strupy na lewym boku rozpuscily sie pod prysznicem. Znow zaczela lekko krwawic. Siedziala bez ruchu na skraju lozka, przykladajac do ranek papierowe chusteczki do nosa i czekajac, az rozdarta skora przestanie podchodzic surowiczym plynem.

Zanim ubrala sie w mocno wyplowiale dzinsy i szmaragdowozielona bluzke, bylo wpol do osmej.

Wiedziala juz, dokad skieruje swe pierwsze kroki i nic nie moglo powstrzymac jej od realizacji zamiarow. Nawet nie pomyslala o sniadaniu. Kiedy wyszla, ujrzala bezchmurne niebo, a temperatura poranka byla niezwykle kojaca, nawet jak na okreg Orange, ale lagodna aura nie zlagodzila w niej ducha bojowego i nie w glowie jej bylo rozkoszowanie sie pocalunkami slonca na twarzy. Wsiadla do wynajetego wozu, wyjechala z parkingu na ulice i skierowala w strone Laguna Niguel. Zamierzala zadzwonic do drzwi Jamesa Ironhearta i zazadac szczegolowych wyjasnien.

Chciala od niego uslyszec pelna wersje wydarzen: wytlumaczenie, jakim cudem byl mu znany moment smierci czyhajacej na innych i dlaczego tak nadstawial karku, ratujac kompletnie nieznanomych ludzi. Ale chciala rowniez wiedziec, dlaczego okropny sen z ostatniej nocy zmienil sie w rzeczywistosc, jak i dlaczego sciana w jej sypialni zaczela lsnic i dygotac jak zywe cialo i jaki to stwor wyskoczyl z koszmaru nocnego i porwal ja w szpony duzo bardziej rzeczywiste niz materia sennego widzenia.

Byla przekonana, ze on zna odpowiedzi. Ostatniej nocy, drugi raz od chwili, gdy trzydziestci trzy lata temu przyszla na swiat, spotkala sie z czyms niepojetym, poczula, jak atakuje ja swiat pozazmyslowy. Po raz pierwszy zdarzylo sie to dwunastego sierpnia, kiedy Ironheart cudem uratowal Billy'ego Jenkinsa - chociaz dopiero pozniej dotarlo

96

97

do niej, ze ratunek pojawil jak z Krainy Marzen. Byla gotowa przyznac sie do wielu bledow, ale nie do glupoty; a tylko glupiec nie dostrzeglbby, ze obydwie zderzenia ze swiatem cudow: spotkanie z Ironheartem i urealnienie koszmaru sennego, mialy ze soba zwiazek. Nie byla zla, tylko wsciekla.

Jadac powoli Crown Park Valley, uswiadomila sobie, ze jej gniew wyplywal po czesci z odkrycia, iz wspanialy, sensacyjny material poswiecony nadziei i odwadze okazal sie nie do konca tak zachwycajacy i cudowny, jak sobie wymarzyła. Jak przytlaczajaca wiekszosc artykulow z pierwszych stron gazet od chwili wynalezienia prasy drukarskiej, i ta opowiesc miala ciemna strone.

Jim wzial prysznic i ubral sie do kosciola. Nie uczeszczal juz od dawna regularnie na msze ani nie bral udzialu w obrzadkach zadnej religii, z ktora sie sporadycznie wiazal na przestrzeni lat. Ale pozostajac co najmniej od zeszlego maja, kiedy to polecial na Floryde,

aby uratować życie Sama i Emily Newsome'ów, we władzy wyższej potęgi, coraz częściej powracał myślami do Boga. A odkąd ojciec Geary opowiedział mu o stygmatach, jakie pojawiły się na jego ciele, kiedy leżał na podłodze kościoła pod wezwaniem Naszej Pani Opiekunki Pustyni, nie dawniej niż tydzień temu, poczuł, jak po raz pierwszy od kilku ostatnich lat wzrasta w nim pociąg do katolicyzmu. Nie oczekiwał, że tajemnice ostatnich wydarzeń rozjasnią mu do końca wskazówki Kościoła - ale chciał przynajmniej żyć na to nadzieje.

Kiedy zdejmował klucze od wozu z rzadka haczyków na ścianie w kuchni, usłyszał własny głos: "Linia życia".

Natychmiast jego plany uległy zmianie. Zamarł niepewny, co ma czynić. Potem opanowało go znajome wrażenie, że jest sprowadzony do roli marionetki, i zawiesił z powrotem klucze.

Zawrócił do sypialni, zrzucił skorzane mokasyny, szare spodnie, granatową marynarkę i białą koszulę. Włożył robocze spodnie i wypuszczoną na wierzch hawajską koszulę. Miał teraz pełną swobodę ruchów.

Musi być luźno ubrany i w pełni gotowy. Nie miał pojęcia dlaczego, ale czuł taki przymus.

Siedząc na podłodze przed uchylonymi drzwiami szafy, wybrał buty - podniszczona para rockportów, najwygodniejsza z tego, co stało na półce. Ciasno zasznurował.

Ale nie za ciasno. Wstał, zrobił na próbę parę kroków. Wszystko gra. Siegnął na półkę po walizkę i zawahał się. Nie był pewien, czy ma coś brać ze sobą. Po paru sekundach wiedział, że pojedzie bez bagażu. Zamknął szafę, zostawił walizkę.

Bagaż zbędny - oznaczało to, że do miejsca przeznaczenia dojedzie samochodem, a podróż w obie strony oraz czas na wykonanie tego, co go czekało, nie zabierze więcej

96

97

niz dwadzieścia cztery godziny. Ale kiedy odwrócił się od drzwi szafy, usłyszał, zaskoczony, że mówi: "Lotnisko". Oczywiście było wiele miejsc, do których lot tam i z powrotem zamykał się w jednym dniu. Wyjął portfel z szuflady komody, sprawdzając, czy pojawi się impuls, kazający go odłożyć. W końcu wsunął portfel do tylnej kieszeni spodni. A więc będzie potrzebował nie tylko pieniędzy, ale i dokumentów. Bez wyraźnej konieczności nie ryzykowałby ujawnienia tożsamości, biorąc je ze sobą.

Kiedy wszedł do kuchni i zdejmował z haczyka kluczyki od wozu, obleciał go strach, chociaż nie tak mocny jak wtedy, kiedy udawał się na poprzednią misję. Wtedy "kazano" mu ukradnąć samochód, co miało ułatwić zatarcie śladów, i "polecono" skierować się na pustynię

Mojave. Tym razem przeciwnik może okazać się groźniejszy niż dwaj mężczyźni z roadkinga, ale nie bał się jak poprzednio. Wiedział, że może czekać go śmierć.

Rola instrumentu sil wyższych nie dawała gwarancji niesmiertelności; wciąż był tylko człowiekiem, którego ciało można rozedrzeć, kości połamać, a bicie serca wstrzymać jedną dobrze wycelowaną kulą. Obecny lek miał swe źródło wyłącznie w "mistycznej" podróży harleyem, dwudniowym pobycie u ojca Geary'ego, opowieści o stygmatach, jakie pojawiły mu się na ciele, i wynikłym stąd przeswiadczeniu, że w tym wszystkim udział miała boska dłoń.

Holly znajdowała się na Bougainvillea Way, przecznicy przed domem Ironhearta, kiedy ciemnozielony ford zjechał z podjazdu. Nie znalazła marki wozu Ironhearta, ale ponieważ była samotnie, założyła, że to musi być jego ford.

Przyspieszyła, szykując się do wyprzedzenia i zajechania mu drogi. Chciała stawić mu czoło tu, na środku ulicy. Potem zwolniła, bo przypominała sobie, że opanowanie rzadko przynosi klęskę.

Kiedy mijala jego dom, automatyczne drzwi garażu właśnie opadały. Nie dostrzegła innego samochodu. Forda musiał prowadzić Ironheart.

Holly nigdy nie dostawała spraw o obłakanczych baronach narkotykowych, sprzedających politykach czy oszustach ze świata biznesu, toteż nie była specem od inwigilacji samochodowej. Umiejętność planowania i wykonywania tajnych operacji nie stanowiła koniecznego warunku, gdy się pisało o pucharach drzewiarzy, ulicznych akrobatach, którzy obleczeni we fluorescencyjne kostiumy tresowali myszy na schodach ratusza, nazywając to "sztuką", oraz konkursach w jedzeniu ciastek. Nie zapomniała również, że Ironheart ma za sobą dwutygodniowy kurs agresywnej szoferki w specjalnej szkole w okregu Marin. Jeżeli potrafił na tyle sprawnie prowadzić samochód, żeby pozbyć się ścigających terrorystów, to w trzydziści sekund po tym, jak zorientuje się, że ona go śledzi, zgubi ją.

98

99

Trzymała się z tyłu. Tak szczęśliwie się złożyło, że poranny ruch niedzielny był na tyle gęsty, iż pozwalał jej się skryć za innymi samochodami, a równocześnie wystarczająco mały, że nie musiała się obawiać, iż tłok pomiędzy nią a Ironheartem pozwoli mu zniknąć. Kierował się na wschód, jadąc Crown Valley Parkway do drogi międzystanowej nr 5, a potem na północ w kierunku Los Angeles.

Trzymała się sześć wozów za Ironheartem, dość blisko, żeby móc podać za nim, gdyby zjechał z autostrady. Jej gniew zmalał pod wpływem przyjemności płynącej z umiejętnie wykonywanej inwigilacji. Miała nawet czas, aby doceniać urodę błękitnego nieba i bujnie kwitnących różowych i białych oleandrow rosnących gdzieś na obrzeżach autostrady.

Kiedy jednak mijali Long Beach, zaczęła się martwić, że może w ten sposób spędzić cały dzień na drodze i odkryć, iż cel jego przejazdu nie ma żadnego związku z interesującą ją sprawą. Nawet samozwancy hiperbohater z umiejętnościami jasnowidzenia może zaplanować sobie wieczór w teatrze lub narazić się jedynie na niebezpieczeństwo skosztowania musztardy w jakiejś chińskiej knajpie.

Zaczęła się również zastanawiać, czy korzystając ze swych pozazmysłowych umiejętności, nie wyczuł jej obecności. Z kilkunastu metrów mógł wyczuć ją o wiele łatwiej niż śmierć zagrażającą małemu chłopcu w Bostonie. Z drugiej strony może jasnowidzenie nie działało stale, może włączało się i wyłączało na życzenie, i zapowiadało jedynie wielkie zdarzenia, oszalało go obrazami niebezpieczeństwa, zniszczenia i śmierci - albo nawet nie wywoływało żadnych wizji. To była nieglupia myśl. Na pewno można by dostać szalu, gdyby nieziemskie wizje poprzedzały na przykład poście do kina, zjedzenie dobrej kolacji, wzdecia lub rozwolnienie po zjedzeniu zbyt obfitej porcji spaghetti.

Kiedy Ironheart zjechał z autostrady, kierując się do lotniska międzynarodowego Los Angeles, Holly ogarnęła podniecenie. Mógł jechać tylko po kogos, kto przyleci samolotem. Ale bardziej prawdopodobne było, że sam zamierzał rozpocząć jedną ze swych niesamowicie zsynchronizowanych w czasie misji, tak jak dwunastego sierpnia, gdy poleciał do Portland. Holly nie była przygotowana na podróż, nie miała nawet ubrania na zmianę. Ale dysponowała gotówką i kartami kredytowymi, co pozwoli opędzić wydatki, a świeża bluzka przecież wszędzie mogła kupić. Wizja śledzenia go przez całą drogę, aż do miejsca akcji, nęciła ją ogromnie. W końcu to, co o nim napisze, będzie wiarygodniejsze, gdy stanie się naocznym świadkiem jego dwóch akcji ratunkowych.

Zdenerwowała się, kiedy na rozjeździe skierował się do garażu. Przestały ją maskować inne samochody. Ale pozostawało jej tylko minąć wjazd i pojechać do innego garażu, a to groziło, że straci go z oczu. Trzymała się z tyłu jak najdalej i zerwała bilet z automatu parkingowego parę sekund po nim.

98

99

Ironheart znalazł puste stanowisko w rzędzie na trzecim poziomie. Holly stanęła dziesięć numerów za nim. Zsunęła się trochę w dół siedzenia i odczekała chwilę w samochodzie, aby nie miał szansy jej zobaczyć, gdyby się obejrzał. Kiedy wysiadła z samochodu w ostatniej chwili, dostrzegła, że skreca na prawo i znika za murem.

Pospieszyła za nim. Miękkie, suche stuk-stuk jej kroków odbiło się echem o niski cementowy sufit. Kiedy doszła do końca poziomu, obchodząc róg, ujrzała, jak on wchodzi do klatki schodowej. Zanim zaczęła schodzić, usłyszała, że otwiera drzwi na dole.

Mogła go mieć cały czas na oku. Widząc jego kolorową hawajską koszulę, sama kryła się

w tłumie pasazerow. Przecial droge dla obslugi lotniska i wszedl do hali United Airlines. Miala nadzieje, ze nie poleca na Hawaje. Zbieranie za wlasne pieniadze materialu do artykulu byloby dosc kosztowne. Jezeli Ironheart zamierzal uratowac komus zycie, wolala, zeby nastapilo to w San Diego, a nie w Honolulu.

W hali ukryla sie za grupa wysokich Szwedow, podczas gdy Ironheart stal przez chwile przed rzedem monitorow, wpatrujac sie w rozklad najblizszych odlotow. Zmarszczki na jego czole dowodzil, ze nie znajdowal swojego samolotu. A moze po prostu jeszcze nie wiedzial, jaki to lot. Niewykluczone, ze przeczucia nie docieraly don w pelni rozwiniete.

Moze musial nad nimi pracowac, rozwiklywac ich znaczenie i nie mial pojecia ani gdzie sie udaje, ani czyje zycie uratuje, dopoki nie znalazl sie na miejscu.

Po paru minutach odwrocil sie od monitorow i przeszedl wzdluz hali, zblizajac sie do kas biletowych. Holly nadal trzymala sie z daleka, dopoki nie dotarło do niej, ze nie pozna celu jego podrozy, jezeli nie uslyszy rozmowy z kasjerka. Z obawa zmniejszyla odleglosc.

W kolejce do kasy odwazyla sie stanac niemal za nim. Jedynym podroznym, jaki ich dzielil, byl potezny mezczyzna z ogromnym brzuchem, wygladajacy jak rezerwowyy druzyny futbolowej. Smierdzial potem, ale ze stanowil wygodna tarcze, wybaczala mu to calkowicie.

Niewielka kolejka szybko posuwala sie do przodu. Kiedy Ironheart stanal przed stanowiskiem kasowym, Holly wychylila sie przed grubasa i nadstawila uszu.

Utrudniono jej podslychowanie: w glosnikach rozbrzmial miekki, zmyslowy, a rownoczesnie nieco upiorny glos kobiecy, informujacy o odnalezieniu zagubionego dziecka. Rownoczesnie obok przeszla halasliwa grupa nowojorczykow, narzekajaca na jakoby sztuczna uprzejmosc, z jaka obslugiwano ich w Kalifornii. Biedakow dlawila tesknota za gwaltem i rozbojem, do jakich dochodzilo w ich miescie. Slowa Ironhearta pochlonal zgielek.

Holly jeszcze bardziej wysunela sie w przod.

Thuscioch skrzywil sie, widocznie podejrzewajac ja o chec przeskoczenia kolejki.

Uśmiechnela sie, by zapewnic go o braku zlych intencji. Miala pelna swiadomosc, ze jest dosc potezny, aby zgniesc ja jak karalucha.

100

101

Gdyby Ironheart zerknal teraz w tyl, spojrzalby jej prosto w twarz. Wstrzymala oddech, uslyszala, jak kasjerka mowi: - ...na lotnisku O'Hare w Chicago, odlatuje za dwadziescia minut... - i z powrotem wsliznela sie za thusciocha. Grubas obejrzal sie przez ramie i jeszcze raz obdarzyl ja niechetnym spojrzeniem. Ironheart zaplacyl za bilet i szybko oddalil sie w



poszukiwaniu swojego wyjścia, nie oglądając się w kierunku Holly. I to ma być jasnowidz, pomyślała. Była z siebie dumna.

Kiedy dotarła do stanowiska kasowego, wyjęła kartę kredytową i poprosiła o miejsce na ten sam lot do Chicago. Przeszła jedną koszmarną chwilę obawy, że brak już miejsc, ale były, i kupiła bilet.

Poczekalnia przy wyjściu była pusta, prawie wszyscy pasażerowie znajdowali się na pokładzie. Ani śladu Ironhearta. Kiedy szła długim korytarzem do drzwi samolotu, zaczęła niekiedy ją obawa, czy nie dojrzy jej podczas przemarszu do fotela. Gdyby do niej podszedł, mogła udac, że go nie dostrzegła lub nie rozpoznała. Ale wahała się, aby uznać jej obecność za czysty przypadek. Przed półtorej godziną paliła się do spotkania z nim.

Teraz myślała tylko o tym, jak uniknąć tego spotkania. Kiedy ją zobaczy, gotów opuścić pokład; mogła nigdy nie zyskać szansy towarzyszenia mu przy jednej z tych wyliczonych co do sekundy akcji ratunkowych.

Samolot okazał się szerokokadłubowym DC-10 z dwoma przejściami dla pasażerów.

Każdy rząd dziewięciu foteli został podzielony na trzy części: dwa fotele przy oknie po lewej stronie, pięć pośrodku i dwa przy oknie po prawej. Holly miała fotel w rzędzie dwudziestym trzecim, miejsce H, strona prawa, dalej od okna. Kiedy szła przejściem w kierunku ogona, patrzyła uważnie po twarzach pasażerów, mając nadzieję, że nie natrafi na spojrzenie Jima Ironhearta. W istocie marzyła o nieoglądaniu go przez cały czas lotu i powtornym zobaczeniu na O'Hare. DC-10 to potężna maszyna. Mimo że pewna liczba foteli świeciła pustką, ponad dwustu pięćdziesięciu ludzi znalazło się na pokładzie. Ona i Ironheart mogli przelecieć razem kula ziemską i nie wpaść na siebie; kilkugodzinny lot do Chicago powinien minąć bez problemów.

Zobaczyła go. Siedział z drugiej strony samolotu w pięciofotelowej, środkowej części, w rzędzie szesnastym, fotel po lewej. Przeglądał gazetę wydawaną przez linię lotniczą.

Modliła się, aby nie podniósł oczu, kiedy będzie przechodziła obok niego. Mimo że musiała wejść między fotele, aby przepuścić stewardesę prowadzącą małego chłopca lecącego samotnie, jej modlitwa została wysłuchana. Kiedy przesuwała się obok Ironhearta, jego głowa nie podniosła się nad gazetę. Dotarła do fotela 23-H i wydała westchnienie ulgi. Nawet jeśli uda się do toalety albo choćby wstanie, aby rozprostować nogi, nie będzie miał powodu przechodzić na prawą stronę. Idealnie.

Spojrzała przelotnie na mężczyznę siedzącego obok niej, przy oknie. Był już po trzydziestce, opalony, wysportowany i piekielnie poważny. Miał na sobie mundur biznesmena: granatowy garnitur, biała dobrze zaprasowana koszula i krawat, i to w niedziele 100

le. Marszczył czoło, pracując na laptopie. Miał założone słuchawki. Słuchał muzyki lub udawał, że słucha, co miało zniechęcić do podejmowania z nim rozmowy. Skierował do niej zimny uśmiech, obliczony na sprowokowanie takiej samej odpowiedzi. To jej odpowiadało. Jak większość reporterów, z natury nie była gadatliwa. Jej zawód wymagał, aby była dobrym słuchaczem, niekoniecznie gaduła. Podczas podróży wystarczy jej lektura magazynu i wędrowka po labiryncie własnych myśli.

Lot trwał już dwie godziny, a Jim nadal nie miał pojęcia, gdzie powinien się skierować, gdy zjedzie z pokładu samolotu na O'Hare. Jednak nie przejmował się tym, gdyż nauczył się cierpliwości. Iluminacja następowała zawsze, wcześniej czy później. Nic w magazynie wydawanym przez linie nie wywoływało jego zainteresowania, a film wyświetlany pasażerom wyglądał na rozrywkę równie fascynująca jak wakacje w rosyjskim więzieniu. Dwa fotele z jego prawej strony stały puste, nie musiał się więc silić na uprzejmości wobec obcych. Pochylił nieco oparcie, złożył ręce na brzuchu, zamknął oczy i pozwolił czasowi płynąć, myślał ponuro o snie z wiatrakami i dumając nad jego znaczeniem.

Nad tym przynajmniej usiłował się zastanawiać. Gdyż z jakiegoś dziwnej przyczyny jego myśli krążyły wokół Holly ?orne, reporterki.

Cholera, jaki z niego obludnik, przecież doskonale wie, dlaczego pojawiała się i znikła w jego myślach, od kiedy ją spotkał. Stanowiła prawdziwą przyjemność dla oka.

Była również inteligentna. Jedno spojrzenie i człowiek wiedział, że w tej główce kreci się milion kuleczek, wszystkie idealnie dopasowane, dobrze naoliwione, działające bezszmerowo i niesłychanie produktywnie.

I miała poczucie humoru. Dalby wszystko, żeby stała się towarzyszką jego długich, niespokojnych nocy. Śmiech jest zwykle efektem dzielenia się z kims obserwacją, zartem, mijającą chwilą. Człowiek nie śmieje się dużo, kiedy jest sam; a jeśli jest inaczej, oznacza to prawdopodobnie, że powinien zadbać o długi wypoczynek w domu bez klamek.

Nigdy nie zawierał łatwo znajomości z kobietami, więc zwykle był pozbawiony ich towarzystwa. Musiał przyznać, że nawet zanim rozpoczął się ostatni dziwny okres jego życia, nie był łatwy we współżyciu. Był nie tyle typem depresyjnym, ile nadmiernie wyczulonym na fakt, że śmierć jest towarzyszką życia. Zbyt chętnym do ponurej zadumy nad zbliżającą się nieuchronnie ciemnością. Zbyt powolnym, aby umieć zatrzymać mijającą chwilę i czerpać z niej radość. Jeżeli...

Otworzył oczy i wyprostował się w fotelu, ponieważ nagle nadeszła oczekiwana iluminacja. Przynajmniej częściowa. Nadal nie wiedział, co nastąpi w Chicago, ale znalazł nazwiska ludzi, których miał ratować: Christine i Casey Dubrovec.

Ku własnemu zdziwieniu dowiedział się, że znajdowały się razem z nim w samolocie. Zaczął podejrzewać, że kłopoty mogą zacząć się w hali lotniska O'Hare albo wkrótce po wylądowaniu. W innym wypadku nie pojawiłyby się na jego drodze tak wcześnie.

Zwykle rozpoznawał ludzi, których miał uratować, na chwilę przed tym, jak życiu ich zaczęło zagrażać niebezpieczeństwo.

Zniewolony przez siły, które od maja zeszłego roku sterowały okresowo jego wola, podniósł się i skierował ku dziobowi samolotu. Potem przeszedł na prawą stronę i zaczął iść z powrotem, w kierunku ogona. Nie miał pojęcia, do czego zmierzają jego działania, dopóki nie zatrzymał się przy rzędzie dwudziestym drugim i nie spojrzał na matkę i córkę, siedzące w fotelach H i I. Kobieta była przed trzydziestką; miała słodką buzię, może nie tyle piękna, ile miła i pełna uroku. Dziecko wyglądało na pięcioletnie, sześć lat.

Kobieta spojrzała na niego z ciekawością i Jim usłyszał siebie, mówiącego:

-Czy pani Dubrovec?

-Przepraszam... czy my się znamy? - spytała, mrugając zaskoczona.

-Nie, ale Ed mówił mi, że pani leci tym lotem, i prosił mnie, żebym się panią zaopiekował. - Kiedy wypowiedział tamto imię, dowiedział się, że Ed jest jej mężem, chociaż nie miał pojęcia, skąd pochodzi ta informacja. - Jestem Steve Harkman. Ed ma na głowie dział sprzedaży, a ja reklamy, więc na naradach wiercimy sobie dziury w brzuchu z tuzin razy tygodniowo.

Na jej twarzy madonny pojawił się uśmiech.

-Tak, tak, mówił mi o panu. Pan dopiero od niedawna jest w firmie meza, od jakiegoś miesiąca, prawda?

-Będzie już sześć tygodni - powiedział Jim, płynąc z prądem, pewien, że właściwa odpowiedź pojawi się, nawet jeżeli on nie wie, co, u diabła, znaczy. - A to musi być Casey?

Dziewczynka siedziała przy oknie. Podniosła głowę, przerywając lekturę jakiejś książeczki w twardej, grubej oprawie.

-Mam sześć lat, jutro są moje urodziny i jedziemy do dziadków. Oni są bardzo starzy, ale ja ich lubię.

-Założę się, że są bardzo dumni z takiej miłutkiej wnuczki jak ty - powiedział, śmiejąc się.

Kiedy Holly zobaczyła, że Jim idzie wzdłuż prawego przejścia, przerażona o mało nie wyskoczyła z fotela. Wydawało się jej, że patrzy wprost na nią. Poczuli przemożną chęć uderzenia się w piersi: "Tak, to prawda, śledziłam pana, gromadziłam wiadomości na

panski temat, zaklotalam panskie prawo do prywatnego zycia: chcialam sie zemscic...", zanim jeszcze przy niej stanal. Wiedziala, ze tylko nieliczna garstka reporterow czulaby wyrzuty sumienia z powodu wsadzania nosa w nie swoje sprawy. Od samego poczatku

102

103

pracy nie potrafila jednak wyzbyc sie poczucia przyzwoitosci, stanowiacego hamulec jej dziennikarskiej kariery. I teraz tez o malo nie zniszczyla wszystkiego - dopoki nie uswiadomila sobie, ze on nie patrzy na nia, ale na brunetke siedzaca o rzad przed nia. Zamiast wiec poderwac sie i pokajac, przelknela sline i osunela sie pare centymetrow w fotelu. Podniosla zlekcewazony wczesniej magazyn linii lotniczej, powoli, nie spieszac sie, w obawie, ze zbyt ni pospiech przyciagnie jego uwage, spokojnie otworzyla go, kryjac twarz.

Magazyn nie pozwalal jej na obserwacje Ironhearta, ale docieralo do niej kazde jego slowo i wiekszosc odpowiedzi kobiety. Slyszała, kiedy przedstawil sie jako Steve Harkman, urzednik do spraw reklamy, i zastanawiala sie, czemu ma sluzyc ta maskarada.

Odwazyla sie wystawic na tyle glowe, aby zerknac na niego jednym okiem, Ironheart stal nisko pochylony nad kobieta.

Rece Holly tak sie trzesly, ze szelescila magazynem. Schylila glowe, wlepila wzrok w rozpostarte przed nosem kartki i usilowala opanowac sie na tyle, na ile mogla.

-Jakim cudem udalo sie panu mnie rozpoznać? - spytala Christine Dubrovec.

-Co prawda Ed nie wytapetowal jeszcze pani zdjeciami calego biura...

-Och, rozumiem - powiedziala.

-Pani Dubrovec...

-Mow mi Christine.

-Milo mi, Christine... Mam pewien ukryty powod, zeby nachodzic cie i zawracac ci glowe. Ed mowi, ze udalo ci sie wyswatac wiele par. Masz podobno do tego talent.

Chyba udalo mu sie trafic w dziesiatke. Jej ozywiona, slodka twarz rozjasnila sie jeszcze bardziej.

-Tak, jesli tylko uznam, ze ludzie do siebie pasuja, sprawia mi radosc, kiedy uda mi sie ich zwiazac i musze przyznac, ze calkiem dobrze mi to idzie.

-A skad bierzesz tyle sznurka do tego wiazania, mamó? - spytala Casey Dubrovec.

Umysł Christine musiał pracować w niezwyklej synchronizacji z wyobraźnią jej szesćioletniej córki, gdyż odparła:

-To nie chodzi o wiązanie sznurkiem, malenka.

-Aha. No to dobrze - rzekła Casey i wróciła do czytania książeczki.

-Problem w tym - odezwał się Jim - że znalazłem się w Los Angeles niedawno, dopiero osiem tygodni temu, i jestem klasycznym okazem samotnego faceta. Nie lubię barów dla samotnych, nie chce wykupywać członkostwa klubu kulturystycznego, a każdy, kogo podsunie mi komputer w agencji matrymonialnej, będzie zapewne tak samo zrozpaczony i nieporadny jak ja.

104

105

-Nie wyglądasz mi na zrozpaczonego ani nieporadnego - powiedziała ze śmiechem. - Przepraszam, sir - wtraciła się stewardesa, uprzejmie, lecz stanowczo, dotykając ramienia Jima - nie może pan blokować przejścia.

-Tak, tak, jasne. Jeszcze tylko sekundkę. - Wyprostował się. - Posłuchaj, nie idzie mi to łatwo, ale naprawdę chciałbym z tobą pogadać - kontynuował, wracając do Christine. - Opowiedz mi o sobie, o tym, czego szukam w kobiecie. A gdyby ktoś wpadł ci do głowy...?

-Jasne, uwielbiam to robić - powiedziała Christine z takim entuzjazmem, jakby aktualnie była kolejnym wcieleniem jakiejś wielce cenionej swatki, żyjącej na zapadłej wsi albo w żydowskiej części Brooklynu.

-A wiesz co, dwa fotele obok mojego miejsca są puste. Może przesiadłabys się do mnie na resztę lotu... - zaproponował.

Obawiał się, że nie będzie chciała opuścić miejsca przy oknie i niejasny niepokój ścisnął mu żołądek, kiedy oczekiwał na jej odpowiedź.

Ale nie zastanawiała się dłużej niż parę sekund.

-Dobrze, czemu nie.

Stewardesa nadal tkwiła obok nich. Kiwnęła przyzwalająco głową.

-Wydawało mi się - powiedziała Christine - że Casey będzie oglądała sobie widoki z góry, ale chyba jej to nie interesuje. Poza tym wszystko zasłania skrzydło.

Jim nie mógł pojąć, dlaczego ogarnęła go fala ulgi, kiedy zgodziła się na zmianę miejsc, ale

ostatnio wiele rzeczy napawalo go niewytłumaczalnymi uczuciami.

-Dobra, wspaniale. Dzieki, Christine.

Kiedy cofnal sie, aby umozliwic Christine Dubrovek podniesienie sie, zauwazyl pasazerke z nastepnego fotela. Biedna kobieta panicznie bala sie latania. Dzierzyla przed nosem egzemplarz "Vis a Vis"; probujac zabic strach, skupila sie na lekturze, ale rece trzesly sie jej tak mocno, ze magazyn bezustannie szelescil.

-Gdzie siedzisz?

-Tam, przy drugim przejsci, rzad szesnasty. Chodz, pokaze ci.

Wzial jej bagaz podreczny, podczas kiedy razem z Casey zbierala pozostale drobiazgi; ruszyl pierwszy ku przodowi samolotu, w kierunku prawego przejścia. Casey weszła w rzad szesnasty, jej matka za nia.

Zanim usiadl, cos kazalo mu spojrzec w poprzek szerokiego kadluba na dreczona aerofobia kobiete, ktora zostawili za soba w rzedzie dwudziestym trzecim. Opuscila przed sekunda magazyn. Patrzyla na niego. Znal ja.

Holly ?orne.

Patrzyl na nia, oszolomiony.

-Steve? - odezwala sie Christine Dubrovek.

104

105

Siedzaca w drugim kacie samolotu reporterka dostrzegla spojrzenie Jima. Zamarla i gapila sie w niego rozszerzonymi oczami. Jak lania oslepiona reflektorami samochodowymi.- Steve?

Popatrzył w dol na Christine i powiedzial:

-Mm, przepraszam na sekundke, Christine. Tylko moment. Zaraz wracam. Zaczekaj tu. Dobra? Zaczekaj, nie ruszaj sie stad.

Ruszyl jeszcze raz do przodu w poprzek, do prawego przejścia.

Serce bilo mu mlotem. Lek sciskal gardlo. Ale dlaczego? Nie bal sie Holly ?orne.

Od razu zorientowal sie, ze jej obecność nie byla kwestia przypadku, ze wpadla na trop jego tajemnicy i sledzila go. W tym momencie jednak nie dbal o to. Odsloniecie,

zdemaskowanie - to go nie przerazalo. Nie mial zielonego pojecia, co wzbudziło w nim lek, lecz rosl on i wkrótce mogl osiagnac poziom, powyzej ktorego adrenalina zacznie tryskac mu uszami.

Kiedy zblizal sie ku reporterce, zaczela sie podnosic. Potem jej twarz przybrala wyraz rezygnacji i usiadla. Tak jak zapamietal, jej uroda nadal przyciagala uwage, chociaz cienie pod oczami swiadczily o niewyspaniu.

Kiedy dotarl do rzędu dwudziestego trzeciego, powiedzial:

-Chodz.

Wyciagnal reke. Nie podala mu wlasnej.

-Musimy pogadac - powiedzial.

-Gadac mozemy tu.

-Nie, nie mozemy.

Stewardesa, ktora zwrocila mu uwage, ze blokuje przejście, zblizala sie powtornie.

Kiedy Holly nie podala mu reki, zlupal ja za ramie i przynaglil do powstania, majac nadzieje, ze nie bedzie zmuszony wywlekac jej z fotela. Stewardesa prawdopodobnie juz wziala go za jakiegos perwersyjnego szejka, ktory organizuje sobie harem, przeganiajac najladniejsze kobiety na prawa strone kadluba samolotu. Na szczescie reporterka podniosla sie bez dalszych protestow.

Zaprowadzil ja do tyłu, do toalety, wepchnal do srodka. Obejrzal sie, myslac, ze stewardesa odprowadza go wzrokiem, jednak byla zajeta innym pasazerem. Wszedl za Holly do malej klitki i zatrzasnal drzwi.

Wcisnela sie w kat, usilujac zachowac jak najwieksza odleglosc, ale nadal tkwili tam doslownie nos w nos.

-Nie boje sie ciebie - powiedziala.

-Dobrze. Nie ma powodu.

Metalowe sciany toalety wibrowaly wyraznie. Glebokie buczenie silnikow bylo donosniejsze niz w kabinie pasazerskiej.

106

107

-Czego chcesz? - spytała.-Masz robic dokladnie to, co ci powiem.

Zmarszczyla brwi.

-Posluchaj, ja...

-Dokladnie, co ci powiem i bez zadnego gadania, nie ma teraz na to czasu - rzekl ostro, zastanawiajac sie, o co mu, do diabla, chodzi.

-Wiem wszystko o tobie...

-Nie obchodzi mnie, co wiesz. To teraz nieistotne.

Spojrzala z obawa.

-Trzesiesz sie jak lisc.

Nie tylko sie trzasl, ale splywal potem. W toalecie bylo raczej chlodno, lecz czul, jak krople potu wystepuja mu na czolo. Cienka struzka przebiegla mu po prawej skroni, ominela kacik oka.

-Masz isc na dziob samolotu - mowil teraz bardzo szybko - siasc przede mna, tam jest kilka wolnych foteli.

-Ale ja...

-Nie mozesz zostac tam, gdzie siedzisz, w rzedzie dwudziestym trzecim, nie ma mowy.

Nie ustepowala latwo, miala wlasne zdanie i nie byla przyzwyczajona, aby jej rozkazywano.

-Tam jest moj fotel. Dwadziescia trzy H. Nie mozesz mnie wywlec...

-Jak tam siadziesz - odezwal sie zniecierpliwiony - zginiesz.

Nie wygladala na bardziej zdumiona niz on sam - i to dopiero bylo cholernie zdumiewajace.

-Zgine? O co ci chodzi?

-Nie wiem. - Ale nagle wiedza naplynela samoistnie. - Och, Jezu. O moj Boze.

Spadniemy.

-Co?

-Samolot. - Teraz jego serce uderzalo szybciej, niz obracaly sie skrzydla turbiny wielkiego silnika, utrzymujacego ich w powietrzu. - Na dol. Na sam dol.



Widział, jak jej niewiedza ustępuje miejsca straszliwemu zrozumieniu.

-Roztrzaskamy się?

-Tak.

-Kiedy?

-Nie wiem. Niezadługo. Za rzedem dwudziestym prawie nikt nie przeżyje. - Nie wiedział, co powie, dopoki tego nie wymówił, i własne słowa napawały go przerażeniem. - Wyższy procent uratowanych będzie w pierwszych dziewięciu rzędach, ale nie za dobry, wcale nie za dobry. Musisz się przenieść do mojej części.

106

107

Samolot zadygotał. Holly zeszywniała i rozejrzała się wokół z obawą, jakby spodziewając się, że ściany toalety zawalą się na nich.

-Turbulencja - powiedział. - Tylko turbulencja. Mamy jeszcze... parę minut.

Widac było, że dowiedziała się o nim dość, by uwierzyć jego przeczuciom. Nie zgłaszała żadnych sprzeciwów.

-Nie chce umierać.

Jim jeszcze bardziej ponagłajaco złapał ją za ramiona.

-Dlatego musisz podejść do przodu, siąść blisko mnie. Nikt nie zginie od dziesiątego do dwudziestego rzędu. Bada ranni, paru ciężko, ale w tej części nikt nie zginie, a wielu wyjdzie z tego bez szwanku. Na litość boską, chodźmy.

Złapał za klamkę.

-Poczekaj. Musisz powiedzieć pilotowi.

-To nic nie da - odparł, potrzasając przecząco głową.

-Może on da radę coś zrobić, zapobiec temu, co ma nastąpić.

-Nawet gdyby tak było, nie uwierzy mi... Nie wiem, co mam mu powiedzieć. Wiem, że spadniemy, owszem, lecz nie wiem dlaczego. Zderzenie, zmechanienie materiału, bomba na pokładzie - niewykluczone, że wszystko się zdarzy.

-Jeśli jesteś jasnowidzem, może dowiesz się więcej szczegółów, spróbuj.

-Skoro uważasz mnie za jasnowidza, to wiesz o mnie mniej, niż ci się zdaje.

-Musisz spróbować.

-Och, moja pani, spróbowałbym, spróbowałbym, do cholery, gdyby to coś dało. Ale nic z tego.

Na jej twarzy przerażenie walczyło z ciekawością.

-Jeżeli nie jesteś jasnowidzem - to kim?

-Narzędziem.

-Narzędziem?

-Czegoś lub kogoś, kto mnie używa.

DC-10 zadrzał powtórnie. Zamarli, ale samolot nie poszedł gwałtownie w dół. Dalej leciał spokojnie. Trzy wielkie silniki buczały. To była jedynie kolejna turbulencja.

Złapała go za ramię.

-Nie możesz pozwolić, żeby ci wszyscy ludzie zgineli! Poczucie winy jak potężne imadło zmiądzło mu piersi, żołądek scisnął się jak wyzety. Przeszył go ból na myśl, że w jakiś sposób będzie sprawcą zgonów, które nastąpią.

-Jestem tu po to, żeby uratować tamtą kobietę i dziewczynkę, nikogo innego - powiedział.

-To potworne.

108

109

-Wcale nie podoba mi się to bardziej niż tobie, ale tak to wygląda - odparł, otwierając drzwi toalety. Nie puściła jego ramienia. Szarpnęła wściekle. Może widziała obraz zmasakrowanych ciał, rozrzuconych po ziemi wśród dymiących szczątków wraku.

-Nie możesz pozwolić, żeby ci wszyscy ludzie zgineli - powtórzyła.

-Albo idziesz ze mną, albo giniesz z nimi - rzekł zniecierpliwiony.

Wyszedł z toalety i ona podążyła za nim, ale nie wiedział, czy zamierza mu towarzyszyć do jego części. Modlił się do Boga, żeby tak było. Naprawdę nie można go było obarczać winą za śmierć wszystkich ludzi, którzy mieli tu zginąć. Umarliby, nawet gdyby nie wszedł na pokład. To było im przeznaczone, a on nie został tu posłany, żeby zmienić ich

przeznaczenie. Nie mogli uratować całego świata i musiał polegać na mądrości tej jakiejś wyższej potęgi, która nim kierowała. Ale bez wątpliwości odpowiadałby za śmierć Holly ?  
orne. Ona nigdy nie znalazłaby się na pokładzie DC-10, gdyby niechcący nie przywiódł jej za sobą.

Idąc do przodu wzdłuż lewego korytarza, popatrzył na moment w okna i widniejący za nimi błękit nieba. Aż nagle wyraźnie dotarło do niego, że pod stopami rozpostiera się ziejająca pustka, i zółdek fiknął mu koczła.

Kiedy dotarł do swojego miejsca w rzędzie szesnastym, osmielił się obejrzeć. Poczłł niezłowska ulgę na widok Holly idacej tuż za nim.

Wskazał na kilka wolnych foteli bezpośrednio za miejscami zajmowanymi przez niego i Christine. Holly potrzaskała przeczaco głowa.

-Tylko jeżeli siadiesz ze mną. Musimy pogadać.

Spojrzał na Christine, potem na Holly. Wyraźnie człł, że czas biegnie szybko jak woda spływająca w dół rura. Zblizal się potworny moment uderzenia. Miał ochotę złapać reporterke, wepchnąć ją w fotel, załozyc pasy i zatrzasnąć klodke. Ale pasy bezpieczeństwa nie mają klodok.

Niezdolny ukryć kranowego rozdrażnienia, powiedział do niej przez zacisnięte zęby:

-Moje miejsce jest z nimi. - Miał na myśli Christine i Casey. Nie podnosił głosu, tak jak Holly, ale pasażerowie zaczęli im się przyglądać.

Christine spojrzała na niego niespokojnie. Wyciągnęła szyję, żeby obejrzeć się na Holly, i spytała:

-Czy coś jest nie tak, Steve?

-Nie. Wszystko gra - skłamał.

Znow spojrzał w okna. Błękitne niebo. Rozległe. Puste. Jaka odległość dzieli ich od ziemi?

-Nie wyglądasz za dobrze - oceniła Christine.

Poczłł, że na twarzy nadal ma tłusta maskę potu.

108

109

-Trochę tu za gorąco. Hm, wiesz, wpadłem na przyjaciółkę z dawnych lat. Dasz mi jeszcze parę minut? - Jasne, jasne - odrzekła z uśmiechem Christine. - Dalej przeglądam w myślach

liste najodpowiedniejszych kandydatek.

Przez moment nie wiedział, o czymże ona, do diabła, bredzi. Potem przypomniał sobie: poprosił, aby została jego swatka.

-Dobra - powiedział. - Wspaniale. Pogadamy, jak wroce, Christine.

Wskazał Holly miejsce w rzędzie siedemnastym. Zajął fotel od strony przejścia, u jej boku.

Po drugiej stronie Holly rozsiadła się kobieta w mocno zaawansowanym wieku, o wymiarach balii, spowita w suknie w kwiaty. Miała siwe włosy z niebieskimi pasemkami, gesto pozwijane w mase loczkow. Spała, lekko pochrapując. Okulary w złotej oprawce, zawieszane na lancuszkach, spoczywały na jej olbrzymim biuscie, opadając i wznosząc się zgodnie z rytmem oddechu.

-Nie możesz pozwolić, żeby ci wszyscy ludzie umarli - powiedziała Holly, pochylając się do niego i sciszając głos tak, że nie mógł dolecieć na drugą stronę przejścia, choć brzmiało w nim roznamietnienie wiecowego polityka.

-Juz raz to przerabialismy - syknął z rozdrażnieniem, równie cicho jak ona.

-Jestes za to odpowiedzialny...

-Jestem tu sam!

-Ale jestes kims zupełnie wyjątkowym.

-Nie jestem Bogiem - powiedział żalosnie.

-Porozmawiaj z pilotem.

-O Jezus, jakas ty uparta.

-Powiedz, co tu sie szykuje - szepnela.

-Nie uwierzy mi.

-Wiec oglos to pasazerom.

-W tej sekcji nie ma dosc miejsca, zeby wszyscy mogli sie przeniesc.

Była opanowana, ale w jej głosie czuł wściekłość tak intensywna, że nie był zdolny oderwać od niej wzroku ani zlekceważyć jej słów. Położyła mu dłoń na ramieniu, sciskając aż do bólu.

-Do cholery, może oni mogliby jakos się uratować.

-Tylko wpadna w panike.

-Jezeli mozesz uratowac wiecej ludzi, ale pozwolisz im umrzec, to bedzie morderstwo - szepnela z naciskiem. Plomyki gniewu zarzyly jej sie w oczach.

To oskarzenie bylo jak mocne uderzenie, jak walniecie mlotem w piers. Dech mu zaparlo. Kiedy przemowil, glos mu sie lamal:

110

111

-Nienawidze smierci, tego, ze ludzie umieraja, nienawidze. Chce ratowac ludzi, oszczedzic im tego calego cierpienia, pomoc zyciu trwac dalej, ale nie moze przeskoczyc samego siebie.-Morderstwo - powtorzyla.

To, co w tej chwili robila, bylo wstretne. Nie mogl uniesc ciezaru odpowiedzialnosc, jaki usilowala wcisnac mu na ramiona. Jezeli wyratuje te Dubrovek, dokona dwoch cudow. Uratuje matke i corke przed przedwczesna smiercia, jaka gotowal im los.

Ale Holly ?orne, nieswiadoma jego mozliwosci, nie mogla zadowolic sie dwoma cudami, chciala trzech, czterech, pieciu, dziesieciu, stu. Czul przeogromny ciezar walacy mu sie na ramiona, ciezar tego calego cholernego samolotu wciskajacy go w ziemie. Nie miala prawa go obwiniac, to nieuczciwe. Jezeli miala ochote kogos obwiniac, najpierw powinna cisnac oskarzeniami w Boga, gdyz to jego drogi byly niezbadane, to on uznal za niezbedne zniszczyc ten samolot.

-Morderstwo. - Jeszcze mocniej wbila mu palce w ramie.

Jej gniew byl jak sloneczny zar odbijajacy sie od metalowej powierzchni. Odbijajacy.

Nagle uswiadomil sobie, ze ten obraz jest dokladnym freudowskim wyobrazeniem jego emocji. Gniew, ktory u niej wywolal, nie chcac uratowac wszystkich pasazerow, byl tak silny, jak jego gniew na wlasna bezsilnosc; jej wscieklosc stanowila odbicie jego wscieklosci.

-Morderstwo - powtorzyla, wyraznie swiadoma efektu tego oskarzenia.

Spojrzal w piekne oczy Holly i zapragnal ja uderzyc, grzmotnac w twarz, strzelic z calej sily, przylozyc tak, zeby stracila przytomnosc. Niech przestanie wyglaszac jego mysli. Byla zbyt spostrzegawcza. Nienawidzil jej za to, ze miala racje.

Zamiast uderzyc, wstal.

-Dokad idziesz? - spytala ostro.

-Porozmawiac z kims z obslugi pasazerow.

-O czym?

-Wygralas, wystarczy? Wygralas.

Podazajac w kierunku ogona samolotu, Jim spogladal na twarze mijanych pasazerow i mysl, ze wielu z nich wkrótce umrze, scinala mu krew w zylach. W miare jak rosła jego rozpacz, wyobraznia tez pracowala na wysokich obrotach. Widzial, jak pod skora czaszek swieca kosci, przeblyskuja poprzez cialo. Zywe trupy. Strach wywolal w nim mdlosci. Strach nie o siebie, ale o nich.

Samolot podskoczyl i zatanczyl w jakims pradzie powietrza. Jim zlapal sie oparcia fotela. Ale to nie bylo nic powaznego.

Pracownicy obslugi zgromadzeni glebiej, w tyle samolotu, w pomieszczeniu roboczym, przygotowywali sie do wydawania tacek z lunchem. Byla to niejednorodna grupa: mezczyzni i kobiety, czesc kolo dwudziestki, niektorzy prawie piecdziesiecioletni.

110

111

Jim podszedl do najstarszej kobiety. Zgodnie z identyfikatorem przypietym do piersi miala na imie Evelyn.-Musze pomowic z pilotem - powiedzial, starajac sie mowic cicho, mimo ze najblizsi pasazerowie siedzieli daleko.

Jezeli Evelyn zostala zaskoczona jego zadaniem, nie pokazala tego. Usmiechnela sie tak, jak je nauczono.

-Przykro mi, prosze pana, ale to nie jest mozliwe. Sadze, ze moze panu pomoc w kazdym klopocie...

-Prosze posluchac, bylem w toalecie i slyszalem cos zlego - klamal. - Silnik nie powinien wydawac takiego halasu.

Jej usmiech poszerzyl sie, choc stracil na szczerosci. Wrzucila program "uspokoj-nerwowego-pasazera".

-Coz, rozumie pan, jest rzecza absolutnie normalna, ze podczas lotu odglos pracy silnikow zmienia sie zaleznie od szybkosci i...

-Wiem. - Usilowal zrobic na niej wrazenie rozsadnego faceta, ktorego ona musi wysluchac. - Mam zaliczone duzo godzin w powietrzu. Ale to bylo cos innego. - i znow naklamal: - Znam silniki samolotowe, pracuje dla McDonnella Douglasa.

Zaplanowaliśmy i zbudowaliśmy DC-10. Znam ten samolot, ten hałas był zły.

Jej uśmiech zaczął przygasac, najprawdopodobniej nie dlatego, że zaczęła poważnie traktować jego ostrzeżenie, ale dlatego że uznała go za bardziej pomysłowego aerofoba od większości panikarzy.

Pozostali członkowie obsługi przerwali przygotowanie lunchu i wpatrywali się w niego, bez wątplenia dociekając, jakie kłopoty oczekują ich z jego strony.

-Naprawdę wszystko działa, jak powinno. Może jakaś turbulencja...

-To tylny silnik - powiedział. Tym razem nie było to kłamstwo. Nadeszła iluminacja i pozwalał niewiadomemu źródłu wiedzy przemawiać przez siebie. - Łożysko turbiny zaczyna się rozpadac. Jeżeli same łopatkі zaczna się wykruszac, to inna sprawa, pojedyncze kawalki zostaną w środku, ale jeżeli rozleci się cały układ napędu sprężarki, jeden Bog wie, co nas czeka.

Jego obawy miały na tyle nietypowe podłoże, że nie robił wrażenia zwykłego aerofoba i wszyscy stewardzi i stewardesy wpatrywali się w niego jeżeli nie z szacunkiem, to przynajmniej z rosnącą uwagą.

-Wszystko jest w porządku - powiedziała Evelyn. - Ale nawet jeżeli stracimy jeden silnik, możemy lecieć na dwóch.

Jim był podniecony. Wyższa moc, jaka nim kierowała, widocznie zdecydowała się udostępnić mu informacje niezbędne do przekonania tych ludzi. Może da się jednak coś zrobić, żeby uratować wszystkich. Kontynuował spokojnie.

112

113

-Ten silnik waży dwadzieścia ton, to prawdziwy potwór i kiedy się rozwała, zamienia się w bombę. Sprężarki wystrzela w tył setki łopatek z tytanu, łożysko, nawet kawalki wirnika wybuchną na zewnątrz jak szrapnel, wybijając dziury w silniku, rozpieprzając stery kierunkowe i wysokościowe... Cały ogon może się rozsypać.-Może ktoś powinien poinformować o tym kapitana Delbaugha - odezwała się jedna ze stewardes.

Evelyn nie zgłosiła zastrzeżeń.

-Znam te silniki - powiedział Jim. - Mogę mu wszystko wytłumaczyć. Nie musicie mnie prowadzić do kabiny pilotów, dajcie mi tylko z nim pogadać przez interkom.

-Jestes z McDonnella Douglasa? - upewniła się Evelyn.

-Tak. Bylem tam inzynierem przez dwanaszcie lat - sklamal.

Nie za bardzo ufala swojej wiedzy na temat budowy samolotow. Prawie przeszla na jego strone.

-Wasz kapitan powinien wylaczyc silnik numer dwa - mowil z rosnaca nadzieja Jim. - Jezeli go zamknie i bedzie dalej lecial na pierwszym i trzecim, uda sie nam.

Wszyscy wyladujemy zywi.

Evelyn spojrzala na pozostalych czlonkow obslugi i paru z nich pokiwalo zachecajaco glowami.

-Chodmy - przynaglal Jim. - Zostalo malo czasu. Wyszedel za nia z pomieszczenia obslugi i skierowali sie ku przodowi prawym korytarzem, mijajac fotele drugiej klasy.

Eksplozja zakolysala samolotem.

Evelyn upadla na podloge. Jimem rowniez rzucilo w przod. Zlapal sie fotela. Nie chcial przygniesc stewardesy.

Wykonal zbyt gwaltowny ruch i upadl na bok, na jednego z pasazerow. Potem stoczyl sie na podloge. Samolot zaczal przewalac sie z boku na bok. Jim uslyszal, jak tacki z lunchem wala sie za nim na podloge, ludzie krzycza, zaskoczeni i przerazeni. Rozlegl sie pojedynczy wrzask. Kiedy niezdarnie probowal wstac, samolot zanurkowal i zaczeli tracic wysokosc.

Gdy Holly wstala ze swojego fotela, usiadla obok Christine Dubrovek i przedstawila sie jako przyjacielka Steve'a Harkmana, samolotem wstrzasnela potezna, paralizujaca fala uderzeniowa. Holly niemal zostala wysadzona z nowego miejsca. W sekunde pozniej dalo sie slyszec solidne bump, zupełnie jakby na cos wpadli.

-Mamusiu! - Casey miala zapiety pas, chociaz nie bylo to wymagane. Nie rzucilo jej do przodu, ale ksiazeczka z trzaskiem upadla na podloge. W oczach dziewczynki pojawil sie lek.

Samolot zaczal tracic wysokosc.

112

113

-Mamusiu?-Wszystko w porzadku - powiedziala Christine, wyraznie usilujac przed corka ukryc lek. - To tylko turbulencja, taka dziura w powietrzu.

Spadali szybko.



-Nic sie wam nie stanie - wtracila Holly, pochylajac sie przed Christine, aby miec pewnosc, ze jej mala coreczka uslyszy te slowa. - Obu wam nic nie grozi, jezeli zostaniecie na tych miejscach i nie bedziecie sie ruszac. Pamietajcie, nie ruszajcie sie z tych foteli.

Spadali jak kamien... trzysta metrow... szescset metrow...

Holly goraczkowo zapiela pasy.

...dziewiecset... tysiac dwiescie...

Pasazerowie na moment dali sie ponieśc fali grozy i paniki. Ale szybko zapanowala absolutna cisza. Uchwycili sie oparc i czekali w niepewnosc, czy ten cholerny samolot uniesie sie na czas - lub opadnie pod jeszcze bardziej stromym katem.

Ku zdumieniu Holly dziob z wolna zaczal sie podnosic. Samolot wyrownywal wysokosc.

Ogolne westchnienie ulgi i pochwalny szmer przelecialy przez kabine.

Holly obrocila sie i usmiechnela szeroko do Christine i Casey.

-Nic nam sie nie stanie. Wyjdziemy z tego calo.

W glosnikach zabrzmial glos kapitana. Okazalo sie, ze stracili jeden silnik. Kapitan zapewnil ich, ze bez klopotow moga leciec na pozostalych dwoch, chociaz dal do zrozumienia, ze ze wzgledu na stuprocentowe bezpieczenstwo moga zostac zmuszeni do ladowania blizej niz na O'Hare.

Wchwile pozniej w przejsciui miedzy fotelami pojawil sie Jim Ironheart. Kucnal obok Holly. Plamka krwi blyszczala mu w kaciku ust; musial zostac nieco sponiewierany podczas kolysania.

Czula taka radosc i ulge, ze miala ochote go pocalowac, ale powiedziala jedynie:

-Powiodlo ci sie, jakos zmieniles los. Jest inaczej, niz mialo byc.

Spojrzal ponuro.

-Nie.

Zblizyl twarz do jej twarzy. Mogli rozmawiac szeptem jak poprzednio, chociaz podejrzewala, ze Christine Dubrovec musiala nieco slyszec.

-Za pozno - powiedzial.

Holly poczula sie tak, jakby ktos grzmotnal ja w zoladek.

-Przecież wyrównaliśmy.

-Kawalki rozlatującego się silnika wyrwały dziury w ogonie. Zniszczyły większość przewodów hydraulicznych. Podziurawiły inne. Niedługo samolot straci sterowność.

114

115

Przed chwilą strach stopniał. Teraz powrócił jak kryształy lodu formujące się w skorupie na szarej powierzchni zimowego stawu. Spadła.

-Wiesz dokładnie, co się stało, więc powinieneś być obok kapitana, nie tutaj.

-Jest po wszystkim. Poszedłem za późno.

-Nie. Nigdy...

-Już nic nie mogę zrobić.

-Ale...

Pojawiła się stewardesa. Wyglądała na wstrząsniętą, jednak głos jej nie drżał.

-Proszę pana, proszę wrócić na swoje miejsce.

-W porządku, już ruszam - powiedział Jim. Ucisnął jeszcze dłoń Holly. - Nie bój się. - Spojrzał na Casey i Christine. - Nic się wam nie stanie.

Cofnął się do rzędu siedemnastego, tuż za Holly. Okropne było stracić go z oczu. Sam jego widok podnosił ją na duchu.

Przez dwadzieścia sześć lat miejscem pracy kapitana Sleightona Delbaugha były kokpity samolotów linii cywilnych. Przez ostatnie osiemnastcie lat zajmował fotel pilota.

Spotkał się z wieloma kłopotami i dawał sobie z nimi radę. Pare z nich było na tyle poważnych, że należałoby zaliczyć je do sytuacji krytycznych. Stosował się do bezwzględnych zaleceń United Airlines i poddawał się okresowym testom egzaminacyjnym.

Uważał, że jest przygotowany na wszystko, co może zdarzyć się nowoczesnemu samolotowi, ale nie mógł wprost pojąć, co dzieje się podczas lotu nr 246.

Po tym, jak silnik numer dwa wysiadł, samolot samoistnie zaczął spadać, a urządzenia sterujące stawiały coraz większy opór. Jednak udało im się wyrównać wysokość i wyraźnie zmniejszyć tempo utraty wysokości.

-Schodzimy w prawo - zameldował Bob Anilov, czterdziestotrzyletni pierwszy oficer Delbaugha, doskonały pilot. - Dalej schodzimy w prawo. Mamy blokadę sterów, Slay.

-Zgłaszam częściową awarię układu hydraulicznego - powiedział Chris Lodden, inżynier pokładowy. Był najmłodszy z trójki. Każda stewardesa robiła do niego słodkie oczy, częściowo dlatego, że jego twarzyczka wiejskiego niewinnego chłopca dodawała mu wiele uroku, ale głównie z powodu lekkiej niesmiałości, cechy zupełnie niezwyklej u supersamców, za jakich w większości uważali się piloci. Chris siedział za Anilovem; kontrolował układy mechaniczne.

-Schodzimy coraz mocniej w prawo - poinformował Anilov.

-To nie jest częściowa awaria - powiedział Chris Lodden, postukując we wskazniki, jakby nie mógł uwierzyć w to, co mu zgłaszały. - Ale jak to możliwe?

114

115

DC-10 miał trzy układy hydrauliczne i doskonały układ awaryjny. Nie mogło wysiąść wszystko naraz. Ale wysiadło. Pete Yankowski - lisyjacy, z rudym wasikiem instruktor z ośrodka szkoleniowego United Airlines w Denver - siedział razem z załogą. Lecił do Chicago w odwiedziny do brata. Jako OMC - obserwator pracy załogi - miał swoje miejsce na straponcie mieszczącym się tuż za kapitanem. Dosłownie siedział mu na ramieniu.

-Rzuć okiem na tył, oszacuj straty - powiedział.

-Możemy już tylko sterować mocą silników - rzekł po wyjściu Yankowskiego Lodden.

Kapitan Delbaugh wpadł na to wcześniej. Zmniejszył moc prawego silnika, zwiększając drugiego - lewego. Chciał wyciągnąć ich w ten sposób z niepożądanego skretu. Kiedy zejść za bardzo w lewo, dolożył mocy na prawy i w ten sposób naprowadził na pożądaną kurs.

Z pomocą stewarda Delbaugh ustalił, że wewnętrzne i zewnętrzne stery wysokości na ogonie są zniszczone, martwe, bezużyteczne. Przykadłubowe lotki na skrzydłach nie działają. Zewnętrzne lotki nie działały. Tak samo klapy i spoilery.

Rozpiętość skrzydeł DC-10 przekraczała czterdzieści siedem metrów. Kadłub miał przeszło pięćdziesiąt metrów długości. To było coś więcej niż samolot, to był statek powietrzny, doskonale pasował do definicji jumbo jeta. Teraz mogli nim sterować jedynie dwoma silnikami General Electric/Pratt Whitney. Niewiele się to różniło od kierowania rozpedzonym samochodem poprzez rozpaczliwe kiwanie się na boki, żeby przenoszeniem ciężaru ciała wpływać na kierunek jazdy.

Minęło parę chwil od awarii tylnego silnika, ale nadal utrzymywali się w powietrzu.

Holly wierzyła, że jakiś Bog istnieje. Nie dlatego, że miałoby jej to zapewnić późniejszą, duchową egzystencję, ale głównie dlatego, iż jego brak stwarzał zbyt ponurą wizję świata. Wychowała się w rodzinie metodystów, przez jakiś czas chciała przejść na katolicyzm, lecz nigdy nie potrafiła się zdecydować, ku jakiemu bóstwu ma się skłonić. Czy ma to być Bog dystyngowany i szacowny, jak to sobie wyobrażały niektóre sekty protestantów, czy bardziej uczuciowy jak Bog katolików, czy w ogóle jakiś inny.

W codziennym życiu nie zwracała się o pomoc do niebios i modlitwie przed posiłkiem odmawiała, jedynie odwiedzając rodziców w Filadelfii. Byłaby we własnych oczach hipokrytka, gdyby teraz pograżyła się w modlitwie, niemniej żyła nadzieją, że Bog niezależnie od rodzaju i stosunku do wyznawców jest w łaskawym nastroju i obserwuje ich DC-10.

Christine czytała Casey książeczkę, wzbogacając zabawnymi komentarzami przygody zwierzęcych bohaterów i usiłując wymazać z pamięci córki głuchy huk eksplozji i spadanie. Intensywność, z jaką skupiła uwagę na dziecku, zdradzała jej rzeczywiste uczucia; bała się i wiedziała, że najgorsze mają dopiero przed sobą.

116

117

Z każdą minutą Holly ogarniały coraz głębsze wątpliwości. Nie potrafiła uwierzyć słowom Jima Ironhearta. Nie chodziło tu o los jej, jego, czy matki i córki Dubrovek. Udowodnił, stając w szranki z przeznaczeniem, że stac go na niezwykle sukcesy, i Holly nawet wierzyła, że przeżyje katastrofę, jeśli tylko będzie siedzieć w drugiej klasie. Ale czuła wątpliwości, musiała je czuć w obliczu nadciągającej masakry reszty pasażerów.

Nie mogła znieść myśli o tym, że starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, niewinni i obciążeni grzechami, moralni i niemoralni, zyczliwi i podli umrą w tej samej katastrofie, stłoczeni w jedną masę, roztrzaskując się o jakąś dziką skałę lub spadając na łąkę pełną polnych kwiatów; utoną w płonącym morzu paliwa lotniczego i żadne względy nie czekają tych, których żywot cechowała uczciwość i szacunek wobec bliźnich.

Nad Iowa lot 246 znalazł się poza zasięgiem ośrodka kontrolnego Minneapolis, następnym po ośrodku Denver, i wszedł w obszar ośrodka Chicago. Nie mogąc odzyskać władzy nad układem hydraulicznym, kapitan Delbaugh połączył się z kontrolerem United Airlines i z Chicago. Zażądał pozwolenia na zmianę kursu z O'Hare na najbliższe duże lotnisko, którym okazało się Dubuque, Iowa. Dostał je bez problemu. Oddał stery Anilovowi, aby wraz z Chrisem Loddenem mógł skoncentrować się nad znalezieniem sposobu wyjścia z opresji.

Zaczął od połączenia się z Baza Remontowa Jednostek Powietrznych (SAM), mieszcząca się na lotnisku w San Francisco. SAM było centralnym ośrodkiem remontowym United Airlines, zatrudniającym ponad dziesięć tysięcy ludzi ogromnym, supernowoczesnym

kompleksem.

-Mamy tu trudności - spokojnie poinformował ich Delbaugh. - Całkowita wysiadka hydrauliki. Możemy jeszcze chwile latać, ale bez możliwości manewru.

W SAM, poza pracownikami United Airlines, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę znajdowali się eksperci reprezentujący dostawcę każdego modelu samolotu aktualnie eksploatowanego przez linię. Był tam również przedstawiciel General Electric, budującego silniki CF-16, i ekspert od McDonella Douglasa, firmy, która zaprojektowała i zbudowała DC-10. Pracownicy SAM mieli pod ręką instrukcje, księgi oraz ogromny zbiór danych komputerowych dotyczących każdego samolotu, a także wyczerpujące opisy przeglądów i napraw każdej jednostki floty United Airlines. Delbaugh i Lodden mogli dowiedzieć się o każdej mechanicznej usterce, jaka zdarzyła się kiedykolwiek ich samolotowi, o szczegółach ostatniego przeglądu, a nawet o naprawach tapicerki - dosłownie o wszystkim, poza bilonem, jaki podczas ostatnich dwunastu miesięcy wypadł z kieszeni pasażerów i znalazł się w szparach foteli.

Delbaugh również żywił nadzieję, że dowie się, jak, u diabła, ma manewrować samolotem wielkości budynku mieszkalnego, pozbawionym sterów wysokościowych i kierunku, lotek oraz innych elementów niezbędnych do kontrolowania lotu. Nawet najdo

117

kładniejsze programy nauki lotów opierały się na założeniu, że podczas katastrofy pilot zachowa pewien zakres kontroli. Od tego były układy awaryjne. W pierwszych chwilach ludziom w SAM nie mogło w ogóle pomieścić się w głowach, że cała hydraulika odmówiła posłuszeństwa. Sądziły, że chodzi o częściową awarię. W końcu musiał na nich warknąć, żeby przestali się ludzić. Pozalował tego mocno. Nie z powodu złamania tradycji. Oczywiście w razie niebezpieczeństwa piloci zawsze powinni zachować profesjonalny chłód. Ale gniew, który słyszał w swoim głosie, zaniepokoił go z innego powodu: trudniej było teraz wierzyć we własny spokój. Pete Yankowski, instruktor pilotażu z Denver, wrócił ze swojej wyprawy do tylnej sekcji i zgłosił, że przez okno zobaczył czterdziestopięciocentymetrową dziurę w poziomej części ogona.

-Jest tam prawdopodobnie o wiele poważniejsze uszkodzenie. Wyobraźcie sobie, że szrapnel rozerwał tylną sekcję za przegrodą, tam gdzie znajdują się układy hydrauliczne. Przynajmniej utrzymaliśmy ciśnienie.

Delbaugh poczuł nieprzyjemny skurcz wnetrznosci. Bezpieczny powrót dwustu pięćdziesięciu trzech pasażerów i dziesięciu osób załogi zależy od niego. Natrętna pamięć tego faktu nie opuszczała go, kiedy przekazywał meldunek Yankowskiego do SAM.

Potem poprosił o pomoc w ustaleniu, jak kierować poważnie uszkodzonym samolotem.

Nie był zaskoczony, kiedy eksperci po szybkiej konsultacji w San Francisco nie udzielili mu

zadnej rady. Prosil ich o rzecz niemozliwa. Chcial, zeby powiedzieli mu, jak ma panowac nad tym kolosem, nie majac zadnych normalnych urzadzen sterujacych poza przepustnicami. Jemu rownie niewykonalne zadanie stawial Bog.

Pozostawal rowniez w kontakcie z kontrolerem United Airlines, ktory sledzil ruch wszystkich jednostek nalezacych do linii. Na dodatek obydwu kanaly lacznosci - z kontrolerem i SAM - mialy podslych w kwaterze glownej United, w poblizu lotniska miedzynarodowego O'Hare w Chicago. Wielu zainteresowanych i zaniepokojonych ludzi mialo lacznosc radiowa z kapitanem, ale ich zapas dobrych rad byl rownie skromny jak ekspertow w San Francisco.

-Powiedz Evelyn, zeby znalazla tamtego goscia z McDonnella Douglasa - polecil Delbaugh Yankowskiemu - o ktorym nam mowila. Sciagnij go tu szybko.

Kiedy Pete powtornie opuscil kabine pilotow i Anilov kontynuowal uparte, choc bezowocne proby uzyskania przynajmniej czesciowej reakcji maszyny na stery, Delbaugh zglosil szefowi zmiany w SAM obecosc na pokladzie inzyniera z McDonnella Douglasa.

-Ostrzegl nas o klopotach z tylnym silnikiem tuz przed awaria. Jak sadze, wylapal to na sluch. Sprowadzimy go do nas i zobaczymy, czy nam pomoze.

W SAM ekspert z General Electric od silnikow turbinowych CF-6 wyskoczyl natychmiast z pytaniem:

118

119

-Co to znaczy, ze wylapal na sluch? Jak mogl to zrobic? Co to byl za dzwiek?-Nie wiem - odparl kapitan. - Nie zauwazylismy jakichs niezwyklych halasow ani zmian wysokosci tonu. Obsluga pasazerow tez nic nie doslyszala.

-To nie trzyma sie kupy - zatrzeszczaly w odpowiedzi sluchawki.

Specjalista od McDonnella Douglasa w SAM byl rownie zaskoczony, gdyz zapytal:

-Jak ten gosc sie nazywa?

-Dowiemy sie. Na razie mamy tylko jego imie - powiedzial Sleighton Delbaugh.

-Jim.

Podczas kiedy kapitan oglaszal pasazerom, ze na skutek pewnych mechanicznych klopotow czeka ich ladowanie w Dubuque, Jim obserwowal Evelyn zblizajaca sie ku niemu lewym korytarzem. Pragnalby nie uslyszec od niej tego, co miala mu do powiedzenia. - ...i nalezy sie spodziewac, ze nie bedzie przyjemne - zakonczyl kapitan.

Kiedy piloci redukowali moc jednego silnika, a zwiększal drugi, skrzydła kolysały się i samolot podskakiwał jak łódź na wzburzonym morzu. Za każdym razem, gdy to następowało, szybko wyrownywali, ale pomiędzy tymi gorączkowymi korektami kursu, kiedy mieli nieszczęście trafić na turbulencje, DC-10 nie niosł ich już z takim komfortem jak na początku lotu.

-Kapitan Delbaugh prosi pana o przejście do kabiny pilotów - rzekła Evelyn, dotarłszy do niego. Jej łagodny ton głosu i uśmiech stwarzały wrażenie, że zaprasza na miłą przekaszkę z herbata i krakersami z anchois.

Wolałby odmówić. Nie był do końca pewien, czy Christine i Casey - i Holly zresztą też - bez jego pomocy przeżyją upadek i jego następstwa. Wiedział, że pod wpływem uderzenia o ziemię część kadłuba, obejmująca dziesięć rzędów tuż za pierwszą klasą, oderwie się od reszty i czeka ją mniejsze zniszczenie niż sekcje przednia i tylna. Zanim wmieszał się w przebieg lotu 246, wszystkim pasażerom z tych szczęśliwych foteli było przeznaczone wyjście z wypadku ze stosunkowo drobnymi obrażeniami albo nawet i bez nich. W zasadzie wiedział, że wszyscy, którym sadzone było przeżyć, przeżyją, ale nie miał pewności, czy przesunięcie Christine i Casey do środka bezpiecznej strefy wystarczy, aby odmienić ich los i zabezpieczyć przetrwanie. Być może po zderzeniu z ziemią powinien się znajdować tu, ratując je przed ogniem - czego nie dokona, jeśli będzie wówczas z pilotami.

Poza tym nie wiedział, czy załoga przeżyje. Jeżeli będzie z nimi w kabinie pilotów w momencie katastrofy...

Ale i tak poszedł z Evelyn. Nie miał wyboru - przynajmniej nie od momentu, kiedy Holly ? orne zaczęła się upierać, że może zrobić coś więcej, niż tylko uratować jedną kobietę i jedno dziecko, że może stawić czoło losowi na szerszym froncie, nie na pojedynczym odcinku. Aż za dobrze pamiętał mezczyzne umierającego w kombi na pu118

119

styni Mojave i trzech niewinnych ludzi zamordowanych w maju zeszłego roku w sklepie w Atlancie, ludzi, których mógł uratować razem z innymi, gdyby dane mu było pojawić się wcześniej. Przechodząc obok rzędu szesnastego, spojrzął na matkę i córkę skulone nad książeczką. Potem jego oczy spotkały wzrok Holly. Widział jej niepokój.

Kierując się za Evelyn ku dziobowi, Jim czuł na sobie pełne namysłu spojrzenia. Oto, będąc jednym z pasażerów, został zaszczycony wyjątkowym przywilejem. Powodem tego było ich kłopotliwe położenie, gorsze - jak podejrzewali - niż to głośno powiedziano. Na pewno zastanawiali się, jaka to niezwykła wiedza musi dysponować, skoro jego obecność w kabinie stała się pozadana. Gdyby tylko wiedzieli.

Samolot znowu poszedł w dół i w górę.

Jim podpatrzył technikę Evelyn. Nie chwiała się pod wpływem przechyłu, ale próbowała go

uprzedzić i kiwała w odwrotnym kierunku, przenosząc punkt ciężkości i utrzymując równowagę.

Kilku pasażerów, nie robiąc z tego wielkiej sprawy, wymiotowało do przygotowanych w tym celu papierowych torebek. Wielu innych, panując jeszcze nad mdłościami, siedziało z poszarzonymi twarzami.

Kiedy Jim wkroczył do ciasnego, wypchanego instrumentami kontrolnymi kokpitu, poraził go widok, który zastał. Inżynier pokładowy, opanowując desperację, przeglądał instrukcje. Dwaj piloci - Delbaugh i pierwszy oficer Anilov, zgodnie z tym, co mu powiedziała stewardesa, która została na zewnątrz - walczyli z urządzeniami sterującymi, usiłując naprowadzić uparcie schodzącego na prawo jumbo jeta na właściwy kurs.

Aby mogli swobodnie się tym zająć, rudy, lysawy mężczyzna kleczał pomiędzy nimi, operując manetkami przepustnic pod dyktando kapitana. Używał mocy dwóch sprawnych silników, aby chociaż w ten sposób zapewnić resztkę sterowności.

-Znowu tracimy wysokość - oznajmił kapitan.

Poczuł, że ktoś wszedł i obejrzał się na Jima. W sytuacji kapitana Jim pociliby się jak koń wścigowy, ale twarz Delbaughta kryła jedynie cieniutką warstewkę potu, jakby ktoś prysnął w niego zraszaczem.

-To pan? - spytał spokojnie.

-Mhm.

Delbaugh odwrócił od niego spojrzenie.

-Zmieniamy kurs - powiedział do Anilova i drugi pilot kiwnął głową. Delbaugh zarządził zmianę ciągu i mężczyzna na podłodze wykonał polecenie. Potem kapitan odezwał się do Jima, nie patrząc w jego kierunku:

-Wiedział pan o tym, co nastąpi.

-Mhm.

-Ma pan coś jeszcze do dodania?

120

121

Samolot znowu zadrzał i zakolysał się. Jim przywarł do przegrody.-Całkowita awaria układów hydraulicznych.



-Chodziłoby mi o coś, o czym nie wiem - odparł z chłodnym sarkazmem Delbaugh. Miał prawo być wściekły, ale w godny podziwu sposób panował nad sobą.

Potem połączył się z wieżą kontrolną i otrzymał nowe instrukcje.

Sluchając, Jim zrozumiał, że wieża w Dubuque zamierza naprowadzić samolot poprzez serię trzystuszciesiedziestu-stopniowych okrężeń, usiłując zrównać jego kurs z osią jednego z pasów. Piloci, pozbawieni władzy nad sterami, nie mogli sprowadzić samolotu zgodnie z normalną procedurą lądowania. Uszkodzona maszyna nabrała wariackiej tendencji nieprzerwanego skretu w prawo. Teraz należało to wpasować w zapierający dech w piersiach plan: samolot miał zostać doprowadzony do hangaru jak wściekły byk, który uparcie stawia opór woli pasterza i biegnie do obory własną drogą.

Jeżeli kąt każdego nawrotu zostanie dokładnie wyliczony i skorelowany z równie precyzyjnie wyliczonym kątem schodzenia do lądowania, może uda im się sprowadzić 246 dziobem w przód; na pas i dalej do końca.

Zderzenie z ziemią za pięć minut.

Jim drgnął wstrząsnięty i niemal wypowiedział te słowa, gdy do niego dotarły. Kiedy kapitan skończył wymianę z wieżą, spytał:

-Czy macie sprawne podwozie?

-Spuszczono i zablokowane - odrzekł Delbaugh.

-To może nam się uda.

-Musimy się udać - powiedział kapitan. - Chyba że czeka na nas jeszcze jakaś niespodzianka.

-Czeka - oznajmił Jim.

-Jaka? - Kapitan spojrzał na niego z obawą.

Zderzenie z ziemią za cztery minuty.

-Po pierwsze, podczas schodzenia uderzy powiew znoszący i unikniecie wcisnięcia w ziemię. Ale odbity prąd wznoszący da wam popalic. To będzie jak fruwanie po tarce.

-O czym ty mówisz? - spytał zdenerwowany Anilov.

-Kiedy zejście do podejścia i znajdziecie się kilkaset metrów od pasa, kąt nadal nie będzie wyrównany - odezwał się Jim, jeszcze raz pozwalając jakiejś wszechwładnej sile przemawiać swoimi ustami. - Ryzyko będzie ogromne, ale nie ma wyboru. Nie będzie wyboru.

-Skad mozesz o tym wiedziec? - spytal inzynier pokladowy.

-Samolot nagle opadnie na prawo - kontynuowal Jim, ignorujac pytanie, slowa szybko padaly mu z ust. - Skrzydlo zahaczy o ziemie, pare razy przekoziolkujecie po pasie i wyrzuci was z pasa na pole. Caly ten cholerny samolot rozwali sie, splonie.

120

121

Rudy mezczyzna w cywilnym ubraniu, pracujacy przy manetkach gazu, obejrzal sie na Jima z niedowierzaniem.-Co ty za gowna tu wstawiasz? Za kogo sie masz, do diabla?

-On wiedzial o silniku numer dwa, zanim sie jeszcze rozwalil - zimno powiedzial kapitan Delbaugh.

-Nikt z was, tu w kokpicie, nie zginie - mowil Jim, swiadom, ze wchodzi w drugie z planowanych trzech kol i ze czasu ubywa w zastraszajacym tempie - ale zginie stu czterdziestu pasazerow i cztery osoby z obslugi pasazerow.

-Och, moj Boze - szepnal Anilov.

-On nie moze o tym wiedziec - protestowal Yankowski.

Zderzenie z ziemia za trzy minuty.

Delbaugh podal dodatkowe instrukcje rudemu mezczyznie przy manetkach. Jeden z silnikow zaczal pracowac glosniej, drugi ciszej i wielka maszyna rozpoczela swoj drugi skret, tracac rownoczesnie wysokosc.

-Jedno ostrzezenie. Bedzie cos tuz przed tym, jak samolot polecil w prawo.

-Co? - spytal Delbaugh.

Nadal nie mogl na niego spojrzec, usilujac zmusic stery do posluchu.

-Nie rozpoznaicie tego, to bedzie taki dziwny odglos, nieprzypominajacy niczego, co do tej pory slyszeliscie. Peknie szkielet na spojeniu kadluba ze skrzydlem. Rozlegnie sie ostry dzwiek, jakby uderzenie po strunach gigantycznej gitary. Kiedy sie rozlegnie, dajcie natychmiast pelna moc na lewy silnik, a wowczas nie przekoziolkujecie podczas wyrownywania.

Anilov stracil cierpliwosc.

-To jest chore. Slay, nie moge myslec przy tym facecie.

Jim wiedział, że Anilov ma rację. Zarówno SAM w San Francisco, jak i kontroler United Airlines od pewnego czasu milczeli, nie chcąc przeszkadzać załodze. Gdyby tu pozostał, mogłoby niechcący przeszkodzić im w krytycznym momencie. Poza tym czuł, że nie ma nic do dodania.

Wyszedł z kabiny pilotów i, jak mógł najszybciej, udał się do rzędu szesnastego.

Zderzenie z ziemią za dwie minuty.

Holly oczekiwała Jima Ironhearta, licząc, że dołączy do nich. Chciała, żeby był przy niej, kiedy stanie się najgorsze. Nie zapomiała przedziwnego koszmaru z ostatniej nocy: monstrualnej istoty, która zdawała się wylaniać ze snu i wkraczała do motelowego pokoju; a nie zapomiała, ilu ludzi Jim zabił podczas wypełniania swych zadań w obronie życia niewinnych istot, ani w jak okrutny sposób rozprawił się z Normanem Rinkiem w sklepie w Atlancie. Ale mroczna strona jego osobowości była o wiele słabsza niż jasna. Otaczała go aura niebezpieczeństwa, ale mimo to w jego towarzystwie czuła się dziwnie bezpiecznie, jak w opiekunczej strefie wokół anioła stroza.

122

123

Poprzez głośniki informowano, jak zachować się w sytuacji zagrożenia życia. Jedna ze stewardes sprawdzała, czy wszyscy pasażerowie stosują się do instrukcji. DC-10 kolejny raz kołysał się i drgał. Co gorsza, mimo że do budowy szkieletu nigdzie nie użyto drewna, trzeszczał jak zagłowiec rzucony sztormem po morzu. Niebo za oknami pozostawało błękitne, ale najwyraźniej prądy powietrzne były silne: szalały jak podczas burzy.

Teraz wszyscy pasażerowie stracili resztki złudzeń. Wiedzieli, że czeka ich twarde lądowanie w najgorszych warunkach. Może grozić śmierć. W całym ogromnym samolocie zaległa zdumiewająca cisza. Pasażerowie siedzieli jak w katedrze na mszy. Może wyobrażali sobie własne pogrzeby.

Jim wynurzył się z sekcji klasy pierwszej i siedł w lewym przejściu. Holly poczuła ogromną ulgę na jego widok. Zatrzymał się tylko, aby uśmiechem dodać odwagi matce i córce Dubrovec, i położył dłoń na ramieniu Holly, pocieszając ją uściskiem. Potem siadł w następnym rzędzie.

Samolot trafił na turbulencje gorsze niż cokolwiek do tej pory. Lot przemienił się w zjazd po blasze falistej.

Christine ujęła dłoń Holly i trzymała ją przez moment, jakby były starymi przyjaciółkami - i w przedziwny sposób zresztą były nimi naprawdę. Nadchodząca śmierć stwarza pomiędzy ludźmi takie więzi.

-Powodzenia, Holly.

-Tez sie trzymaj - odpowiedziala Holly.

Mala Casey obok matki wygladala tak krucho! Nawet obsluga zajela teraz miejsca siedzace. Stewardzi i stewardesy przyjeli pozycje, ktora uprzednio zalecali pasazerom. W koncu Holly poszla za ich przykladem i przybrala ja rowniez. Dawala największe szanse przezycia w razie wypadku: pasy mocno zapiete, tulow pochylony w przod, glowa wepchnieta miedzy kolana, rece sciskajace kostki.

Samolot wydostal sie z podmuchow powietrza i przez moment sunal w dol jak po masle. Ale zanim Holly zdazyla odetchnac, cale niebo zatrzესlo sie, jakby na czterech rogach niebosklonu stanely gremliny i trzepaly nim jak kocem.

Klapy zamykajace schowki nad glowami podskakiwaly. Pojemniki z kosmetykami, walizeczki, kurtki - caly podreczny bagaz sfrunal w dol. Cos, odbijajac sie, uderzylo Holly w srodek plecow. Nic ciezkiego, ledwo to poczula, ale nagle przestraszyla sie, ze kuferek z kosmetykami, wypakowany przez jakas kobiete sloikami z kremem i tubkami fluidow spadnie pod takim katem, ze zlამie jej kregoslup.

Kapitan Sleighton Delbaugh wykrzykiwal instrukcje Yankowskiemu, ktory dalej kleczal miedzy pilotami, operujac manetkami gazu, podczas kiedy oni byli zajeci utrzymaniem tej resztki sterownosci, jaka dysponowali. Byl przypiety pasami, ale oczekujace go twarde ladowanie nie wrozylو nic dobrego.

122

123

Wychodzili z trzeciego i ostatniego trzystuszescdziesieciostopniowego skretu. Przed nimi rozciagal sie pas do ladowania i nie szli rownolegle do jego plaszczyny, tak jak Jim - cholera, wciaz mial klopoty z zapamietaniem nazwiska tego faceta - przewidzial. Rowniez zgodnie z przepowiednia nieznajomego schodzili w wyjatkowo silnej turbulencji, kolebiac sie i trzesac, jakby znajdowali sie w wielkim starym autobusie z pogietymi resorami podczas zjazdu ostra, pelna kolein gorska droga. Delbaugh nigdy czegos takiego nie spotkal; nawet gdyby samolot byl w nienagannym stanie, musialby bardzo uwazac w trakcie ladowania przy tym zdradzieckim bocznym wietrze i poteznych pradach termicznych.

Ale nie mogli podciagnac sie i odleciec, liczac na lepsza pogode panujaca na innym lotnisku lub poprawe lokalnych warunkow. Od chwili kiedy rozlecial sie tylny silnik, minely trzydziestci trzy minuty. Przez tyle czasu utrzymali jumbo jeta w powietrzu.

Bylo to osiagniecie, ktore napawalo duma, ale umiejtnosci, spryt, inteligencja i zelazne nerwy nie wystarczaly, zeby zanieśc ich dalej. Minuta za minuta, a teraz sekunda za sekunda utrzymywanie w powietrzu przetraconego DC-10 coraz bardziej przypominalo

fruwaniu na litej skale. Znajdowali się jakieś dwa tysiące metrów od końca pasa. Delbaugh pomyślał o żonie i siedemnastoletnim synu, znajdujących się w domu, w Westlake Village, na północ od Los Angeles, i o drugim synu, Tomie, który jechał do Willamette, przygotowując się do studiów na pierwszym roku. Zaprzagnął dotknąć ich twarzy, objąć w uścisku.

Nie bał się o siebie. No, w każdym razie nie za bardzo. Stosunkowo niewielka obawa o własne bezpieczeństwo nie wynikała z przepowiedni nieznajomego, że załoga ma przeyść. Nie wiedział, czy przepowiednie tamtego faceta zawsze się sprawdzały. Po prostu nie miał czasu zajmować się sobą. Tysiąc pięćset metrów.

Ważny był los pasażerów i załogi, tych, którzy powierzyli mu własne życie. Jeżeli w jakiejś mierze zawinił brakiem zdecydowania, nerwowością lub powierzchownym rozeznaniem sytuacji, wszystko dobre, co w życiu zrobił bądź usiłował zrobić, nie wyrówna jednej, zakończonej katastrofą pomyłki. Może mieli rację ci, którzy mówili, że jest dla siebie zbyt surowy. Wiedział jednak, że wielu pilotów czuje się w takim stopniu odpowiedzialnych.

Przypomnił sobie słowa nieznajomego: zginie stu czterdziestu pasażerów...

Rece pulsowały mu bólem. Zaciśkał dłonie na wolancie, przenosząc gwałtowne wibracje. ...i cztery osoby z obsługi pasażerów...

Tysiąc dwieście metrów.

-Pcha się na prawo - powiedział Delbaugh.

-Trzymaj go! - krzyknął Anilov.

Na tak niskiej wysokości podczas lądowania wszystko było w rekach Delbaugh.

124

125

Dziesiątki niezwykłych, rodziny oplakujące umarłych, niezliczone losy innych ludzi odmienione jedną tragedią. Tysiąc sto metrów.

Ale jak ten facet, do diabła, może znać liczbę zabitych? Niemożliwe. Zgrywał się na jasnowidza czy co? To wszystko gówno prawda, Yankowski miał rację. Tak, ale wiedział, że silnik się rozleci, zanim to się stało, wiedział o turbulencjach jak tarka i tylko kretyń nie wzięłyby tego pod uwagę.

Tysiąc metrów.

-No to zaczynamy - usłyszał Delbaugh własny głos.

Jimowi Ironheartowi, który zgiał się w fotelu, włożył głowę między kolana i sciskał łydki, przyszło na myśl usłyszane gdzieś powiedzenie: a na koniec pocałujcie mnie wszyscy w dupę.

Modlił się, żeby jego działania nie zmieniły przeznaczenia: odmieniony los może wciągnie w wir nie tylko jego i tych, których miał ocalić, ale również innych ludzi z samolotu, którym nie było sadzone zginąć w wypadku.

Wyzsza potęga działająca poprzez niego chyba w końcu zgodziła się, żeby uratował więcej ludzi, nie tylko Christine i Casey. Z drugiej strony istota tejże potęgi była tak tajemnicza, że jedynie głupiec mógłby przypuszczać, że pojął jej motywów czy intencje.

Samolot zadrzał i zadygotał. Ryk silników wydawał się jeszcze bardziej przeraźliwy.

Wpatrywał się w wycinek podłogi pomiędzy stopami. Oczekiwał chwili, w której eksploduje mu ona w twarz.

Bardziej niż o kogokolwiek obawiał się o Holly ?orne. Jej obecność na pokładzie stanowiła poważne odstępstwo od oryginalnego scenariusza napisanego przez los.

Zzerał go strach, że chociaż uratuje więcej ludzi, niż początkowo sądził - Holly zostanie rozerwana na strzępy w momencie zderzenia z ziemią.

Podczas kiedy DC-10, skrzypiąc i trzeszcząc, opadał ku ziemi, Holly schyliła się maksymalnie i zacisnęła powieki. Ciemność stała się schronieniem, w którym, jak na ekranie, przepływały twarze: mama i tata, czego należało się spodziewać; Lenny Callaway, pierwszy chłopiec, którego kochała; jego się zupełnie nie spodziewała, ponieważ nie widziała go od szesnastego roku życia; pani Rooney, nauczycielka z liceum, która darzyła ją zupełnie niezwykłym zainteresowaniem; Lori Cluger, jej najlepsza przyjaciółka w liceum i college'u, zanim życie rzuciło je do odległych katów kraju i kontakt się zerwał; i wiele innych twarzy, wszystkie kochane i niegdys, i teraz. Każda stała jej przed oczyma nie dłużej niż ułamek sekundy, jednak bliskość śmierci zniekształcała czas: wydawało się jej, że z każdą przeżywa długo. To, co rozbłyskiwało, to nie było jej życie, lecz ludzie, którzy w nim zaistnieli - choć w jakis sposób było to jedno i to samo.

124

125

Ponad trzask-lomot-ryk samolotu i pomimo koncentrowania się na pojawiających się twarzach w ostatnich momentach chwiejnego lądowania Holly usłyszała głos Christine: - Kocham cie, Casey.

Holly zaczęła płakać.

Trzysta metrow.

Delbaughowi udało się unieść dziób maszyny.

Wszystko zapowiadało się dobrze. Na tyle dobrze, na ile mogło zapowiadać się w tych okolicznościach.

Dalej szli pod lekkim kątem do powierzchni pasa, ale można było to skorygować, kiedy znajdą się na ziemi. Jeżeli się nie uda, przejeżdża po betonie z kilometr, zanim ich zniesie na pole, z którego chyba niedawno zebrano jakieś zboże. Do tego momentu powinni stracić większą część impetu. Niezależnie od rodzaju ziemi, na jaką trafiają, samolotowi nadal groziło pęknięcie, ale groźba, że rozpadnięcie się jednostki wywoła katastrofalne skutki, była niewielka.

Dwiescie metrow.

Turbulencja zniknęła.

Płyną w powietrzu. Jak piórko.

-W porządku - Anilov odezwał się równocześnie z kapitanem, który powiedział:

-Spokojnie, spokojnie.

Obydwaj mieli to samo na myśli: wszystko gra, wyjdą z tego.

Sto metrow.

Dziób nadal w gorze.

Idealnie. Idealnie.

Dotknięcie ziemi i...

DLAAAG!

... opony trzasnęły o nawierzchnię, a równocześnie rozległ się dziwny odgłos. Delbaugh zapamiętał ostrzeżenie nieznajomego, toteż krzyknął: "Moc na pierwszy!" - i pociągnął mocno w lewo. Yankowski też pamiętał, co trzeba, chociaż mówił, że to wszystko gówno, i zareagował na rozkaz zwiększenia gazu na lewym silniku równocześnie z komendą. Prawe skrzydło poszło w dół, tak jak zapowiedziano, ale ich błyskawiczne działanie pociągnęło samolot w lewo i prawe skrzydło wróciło na poprzednią wysokość. Żeby nie przeniosło ich przy wyrownaniu! Toczyli się i toczyli, maszyna trzęsła się i Delbaugh wydał rozkaz: wsteczny ciąg - bo, na litość boską, nie mogli przyspieszać, byli w śmiertelnym niebezpieczeństwie, dopóki szli z dużą szybkością, toczyli się i toczyli, prac naprzód niepowstrzymanie, pochyleni pod kątem do powierzchni pasa, toczyli się i zwalniali, ale

nadal toczyli. Prawe skrzydło znów kiwnęło się w dół przy akompaniamencie piekielnych trzasków i odgłosu rozdzieranego metalu, kiedy zmęczona stal - kłopoty w miejscu spójnienia skrzydła i kadłuba, mówił Jim - uległa harowce dzikiego, niespokojnego lotu i zdarzających się raz-na-sto-lat ukosnych prądów powietrznych. Toczyli się i toczyli, ale Delbaugh był bezradny wobec cholernej awarii szkieletu kadłuba, nie mógł wyjść z fotela i zespawać nitów ani ich wcisnąć na miejsce. Toczyli się i toczyli, wytracali szybkość, ale prawe skrzydło nadal szło w dół, żadne z jego działań nie odnosiło skutku, skrzydło w dół, w dół, och Boże, skrzydło...

Holly poczuła, że samolot pochyla się w prawo mocniej niż poprzednio. Przestała oddychać - albo tak jej się wydawało - bo w tejże sekundzie usłyszała swój szmatyczny oddech.

## CZESC DRUGA

### WIATRAK

sekretnie, w mroku, glebinie, zawierz otchłani przeszłości; tam niech spoczywa, spoczywa. Serce twoje czarne ja ochroni, inaczej świat się dowie.

Piach lat pokryje tajemnice, hanby ślad, i nikt słów twych nie zdradzi, boś ich nie rzucił na wiatr.

Tylko ty wiesz, że w grobie bezpieczne leżą sekrety.

W grobie pamięci, pamięci, na zawsze w grobie ukryte.

### KSIEGA POLICZONYCH SMUTKÓW

W realnym świecie tak jak w śnach wszystko coraz to inna ma twarz.

### KSIEGA POLICZONYCH SMUTKÓW

128

129

### OD 27 SIERPNI DO 29 SIERPNI

1

Trzaski i piski torturowanego metalu, które przez poprzednie kilka minut dziwnym echem niosły się po kadłubie, nagle stały się głośniejsze. Samolot jeszcze mocniej sklonił się w prawo. W pomieszczeniu pasażerskim rozległ się huk jak odgłos armatniego wystrzału. Maszyna podskoczyła i opadła twardo. Podwozie się złamało. Ślizgali się po pasie, chwiejąc się i podskakując; potem samolot zaczął się równocześnie krecić. Holly serce zamartało; żołądek zwił się w supel. To była jazda na największej karuzeli w świecie, tylko



ze nie dawała przyjemności; pas bezpieczeństwa przecinał ją w pol, a jeżeli na te karnawałową przejazdke wpuszczał jakiś bileter, to musiał on mieć upiorną twarz gnijącego trupa, z zastygła w wiecznym uśmiechu wyszczerzona czaszka. Hałas stał się nie do zniesienia, chociaż nie krzyki pasażerów były w nim najgorsze.

Ich wrzask tonął w rozdzierającym dźwięku, z jakim rozsypywał się, tracąc o pas startowy, brzuch maszyny, gubiąc się po drodze części kadłuba. Może ryk pożegnania z życiem dinozaurów, zapadających się w bulgocące smoła, mezozoiczne jary dorównywał temu, ale zapewne od tego czasu nic na powierzchni ziemi nie protestowało przeciw swej zagładzie, wydając dźwięk tak przeszywający i o równie ogluszającej sile. To nie był odgłos rozsypującej się maszyny, to krzyczała żywa, choć stworzona z metalu istota. Było to zawrodożenie tak niezwykłe i mrozzące krew w żyłach, że mogłyby go wydać połączone głosy wszystkich torturowanych mieszkańców piekła; setki milionów rozpaczających dusz uzalających się równocześnie. Holly była pewna, że pękła jej bebenki w uszach. Lamiąc instrukcje, podniosła głowę i szybko rozejrzała się dookoła. Kaskady białych, złotych i turkusowych iskier strzelały za oknami, jakby samolot przesunął się przez jakiś pokaz ognia sztucznych. Szczęść, siedem rzędów przed jej fotelem kadłub pękł jak skorupka jajka, która stuknęła o ceramiczną podstawkę.

128

129

Zobaczyła dosyć. Zbyt dużo. Powtórnie wcisnęła głowę pomiędzy kolana. Podłoga odbiła jej własne monotonne zawrodożenie, ale Holly tonęła w takim wirze grozy, że aby się usłyszeć, musiałaby przekrzyczeć kakofonie katastrofy:

-Nie, nie, nie, nie, nie, nie...

Może zemdlała na kilka sekund lub może jej zmysły odmówiły odbioru nadmiaru bodźców, bo na mgnienie oka wszystko ucichło. Powietrze wypełniły ostre, kwasne zapachy, których jej zmysły nie potrafiły zidentyfikować. Ciężka próba dobiegła końca.

Nie mogła jednak skojarzyć sobie momentu, w którym samolot się zatrzymał. Zyla.

Poczuła fale ogromnego szczęścia. Podniosła głowę, usiadła, gotowa wykrzyczeć swą radość z przeżycia - i zobaczyła ogień.

DC-10 nie przekoziolkował. Kapitan Delbaugh posłuchał ostrzeżenia.

Ale zgodnie z obawami Jima chaos, jaki rozpetał się po katastrofie, niosł tyle niebezpieczeństw co sam kontakt z ziemią podczas lądowania.

Za oknami wzdłuż prawej strony samolotu, tam gdzie rozlało się paliwo, buchnęły pomarańczowe płomienie. Stwarzało to wrażenie podroży łodzią podwodną po morzu ognia

na jakiejś obcej planecie. Podczas zderzenia z ziemią niektóre okna roztrzaskały się i w otworach zaczęły wyrastać płomienie, pojawiły się także w rozdarciu kadłuba, dzielącym teraz drugą klasę od przedniej części samolotu.

W momencie gdy Jim rozpiął pas i niepewnie wstał, ujrzał, jak poszycie foteli z prawej strony zajmuje się ogniem. Pasażerowie stamtąd przykucnęli albo opadli na czworaka i w tej pozycji starali się uciec przed nadciągającymi płomieniami.

Wyszedł na korytarz pomiędzy fotele, złapał Holly za rękę i postawił na nogi. Matka i córka nie były ranne. Dziecko płakało.

Trzymając nadal Holly za rękę i szukając najbliższej drogi ucieczki, Jim obejrzał się i przez moment nie mógł zrozumieć, co widzi. Jak nienasycony stworzonymi ze starego filmu grozy, z koszmarnie pogiętego i zmiażdżonego ogona DC-10 sunęła ku nim pozbawiona kształtu masa, czarna i wzburzona, pozerająca wszystko, przez co się przetoczyła. Dym. Nie rozpoznał go od razu, ponieważ był tak gęsty, że robił wrażenie skorupy na?y lub mułu. Śmierć przez uduszenie lub coś jeszcze gorszego czyhała na nich z tyłu. Musieli iść do przodu mimo ognia, jaki rozszerzał się przed nimi. Płomienie lizły rozdarte krawędzie kadłuba, sięgając głęboko do wnętrza i zasłaniając w poprzek niby wachlarzem ponad połowę prawej strony rozcięcia samolotu. Ale nadal pozostawała droga ucieczki lewa strona, tam gdzie ogień jeszcze nie dotarł.

-Szybko - powiedział, obracając się do Christine i Casey, kiedy wydostały się z foteli szesnastego rzędu. - Do przodu, szybko, szybko!

Jednakże inni pasażerowie z pierwszych sześciu rzędów klasy drugiej tłoczyli się już w przejściu. Każdy chciał szybko się wydostać. Niestrudzona młoda stewardesa poma130

131

gala ze wszystkich sił, ale poruszanie się nie było łatwe. Przejście zapchał podreęczny bagaż, torbki, książki i inne przedmioty, które wypadły z górných skrytek bagażowych. Jim przebrnął parę kroków, a potem zaczął grzeznąć w śmieciach.

Przewalające się gryzące kleby dymu dopadły ich od tyłu, spowily. Oczy od razu wypełniły im się łzami. Jim rozkaszał się od pierwszych powiewów i zakrztusił z obrzydzeniem. Nie chciał myśleć o tym, co jeszcze mogło tam płonąć poza obiciami foteli, pianka wypełniająca siedzenia i oparcia, dywanem i elementami dekoracyjnymi.

Gęsta, oleista chmura minęła ich i ogarnęła przednią sekcję. Już nie widzieli pozostałych pasażerów. Mieli wrażenie, że spowily ich fałdy czarnych aksamitnych kurtyn.

Zanim widzialność spadła do paru centymetrów, Jim puścił dłoń Holly i dotknął ramienia Christine.

-Daj, ja ja wezme - powiedzial i wzial Casey w ramiona.

Papierowa torebka ze sklepu z pamiatkami lezala na podlodze u jego stop, rozerwana nogami spieszacych sie ludzi. Zobaczyl biala koszulke - KOCHAM L.A. - i rysunki rozowych, brzoskwiniowych i bladzielonych palm.

Zlupal koszulke i wcisnal w male raczki Casey.

-Trzymaj ja przy buzi, kochanie, i oddychaj przez to! - powiedzial, kaszlac jak wszyscy wokol.

Potem oslepl. Cuchnaca chmura wokol niego byla tak ciemna, ze nie widzial nawet lez na twarzy dziecka, nie potrafil tez dojrzec wijacych sie klebow.

Znajdowali sie moze szesc metrow od krawedzi kadluba rozlupanego podczas katastrofy. Nie mogli zabladzic: przejsc mozna bylo tylko miedzy fotelami.

Usilowal nie oddychac. Potrafil zreszta wstrzymac oddech na minute. Tyle powinno mu wystarczyc. Jedyna przeszkoda byl polkniety gorzki dym, palacy gardlo jak lyk zracego kwasu. Rozrywalo mu pluca, spazm w przelyku wywoływal krztuszenie, co konczylo sie mimowolnym, choc dzieki Bogu, plytkim wdechem.

Prawdopodobnie mniej niz cztery metry do konca, do krawedzi.

Zaciskal wargi, zeby nie zaczac krzyczec na ludzi z przodu - szybciej, do cholery, szybciej! Wiedzial, ze przepychaja sie najszybciej, jak moga, rownie jak on niecierpliwie pragnac wyrwac sie stad; mimo to i tak chcial krzyczec, czul, jak z kazda chwila rosnie w nim wsciekly wrzask, i uswiadomil sobie, ze ociera sie o histerie.

Nadepnal na kilka malych, cylindrycznych przedmiotow. Zatoczył sie jak czlowiek chodzacy po marmurowych kulkach, lecz zachowal rownowage.

Casey miotaly gwałtowne wybuchy kaszlu. Nie slyszal ich, ale trzymajac ja przy piersi, czul kazdy spazm, rozluznienie i skurcz malego ciala, kiedy rozpaczliwie walczyła o kazdy wdech na wpol przefiltrowany koszulka z napisem KOCHAM L.A.

Minela minuta, moze tylko trzydziesci sekund od chwili, kiedy wyniosl dziewczynke do przodu. Ale wydawalo mu sie, ze odbywa dluga podroz bezkresnym tunelem.

130

131

Mimo ze strach i wscieklosc macily mu jasnosc umyslu, przypomniat sobie, ze w plonacym pomieszczeniu dym unosi sie i pelza pod sufitem. Jezeli w ciagu paru sekund nie dotra do

bezpiecznej strefy, będzie zmuszony rzucić się na podłogę i poczołgać. Może w ten sposób uniknąć zatrucia w cienkiej warstwie czystszej powietrza na dole. Nagle spowolnił go żar. Wyobraził sobie, że wszedł do pieca. Skóra natychmiast złuszczy się, a ciało popeka i zadymi. Serce już tłukło się jak dzikie zwierzę o prety klatki, ale teraz zaczęło bić jeszcze szybciej i mocniej.

Pewien, że muszą się znajdować o parę kroków od wyrwy, otworzył oczy. Piekły i spływały łzami. Absolutna ciemność ustąpiła szarosiwym klebom. Pulsowało przez nie światło czerwone jak krew. Ta pulsacja to płomienie przesłonięte dymem. Nie widział ich bezpośrednio, tylko odbite od milionów wirujących drobin sadzy. W każdej chwili ogień może wylonic się z dymu, runąć nań, spalić do kości.

Nie uda mu się.

Nie ma czym oddychać.

Ogień osaczył go zewsząd.

Zaraz go rozżarzy. Zostanie ofiarą całopalna. Teraz stawaly mu przed oczyma wizje rozniecane nie przez wyższą potęgę, ale przez własne okropne przerazenie. Ujrzał, jak pada, pokonany, na kolana. Z dzieckiem w ramionach. Wstępuje razem z nią w piekło, które potrafi stopić stal...

Owionął go nagle wiatr. Dymna kotara zwinęła się w lewą stronę.

Ujrzał światło dnia, chłodne i szare, jakże różne od śmiercionośnego błysku płonącego paliwa.

Koszmarne obrazy siebie samego i dziecka, skwierczących w ogniu, dodał mu siły na samej krawędzi strefy bezpieczeństwa; rzucił się w kierunku szarości i wypadł z samolotu. Nie było schodków ani rekaw strażackiego, tylko gola ziemia. Na szczęście niedawno zebrano zboże i ściernisko zaorano. Świeżo spulchniona ziemia była wystarczająco twarda, żeby odebrać mu na moment oddech, ale o wiele za miękka, aby polamać kości.

Mocno trzymał Casey w ramionach, łapiąc powietrze. Upadł na kolana. Wstał, nie wypuszczając jej z uścisku i zataczając się, wyszedł poza obszar gorąca bijącego od rozpalonego samolotu.

Niektórzy z tych, co przeżyli, uciekali, jakby spodziewając się, że DC-10 jest wylądowany dynamitem i lada chwila roznieśnie na kawałki połowe stanu łowa. Inni w szoku blakali się bez celu. Jeszcze inni leżeli na ziemi: niektórzy zbyt oszolomieni, aby się poruszyć; niektórzy ranni. A część z nich może nie żyła. Świeże powietrze niesło ulgę. Jim wykasliwał gorzki dym z zanieczyszczonych płuc i szukał Christine Dubrovec wśród pasażerów na polu. Oglądał się na wszystkie strony,

wypatrywał, wywoływał jej imię, ale na próżno. Zaczął podejrzewać, że zginęła w samolocie: przechodził nie tylko po rzeczach pasażerów, ale również nad właścicielami rozrzuconych drobiazgów. Być może Casey wyczuła bieg jego myśli. Upuściła ozdobioną palmami koszulkę.

Przygłębła do Jima; krztusząc się resztką dymu, zaczęła trwożnie pytać o matkę. Może wyczuwała to najgorsze.

Jeszcze przed chwilą dał się ponieść dzikiemu uczuciu triumfu. Teraz poczuł, jak strach zaczyna w nim grzechotać niczym kawałki lodu w wysokiej szklance. Nagle ciepłe, sierpniowe słońce nad polem w Iowa i fale gorąca płynące z DC-10 przestały do niego docierać i stał jakby na arktycznej równinie.

-Steve?

W pierwszej chwili nie zareagował na to imię.

-Steve?

Przypomnił sobie, że dla niej jest Steve'em Harkmanem - czemu ona, jej mąż i prawdziwy Steve Harkman będą się prawdopodobnie dziwić do końca życia, i obrocili się w kierunku głosu. Christine szła, potykając się o bruzdy świeżo zaoranej ziemi, bosa, jej twarz i ubranie były brudne od oleistego dymu; wyciągała ramiona po swoją córeczkę.

Jim podał jej dziecko.

Marka i córka przywarły do siebie.

Christine uniosła zalaną łzami twarz ponad ramienia Casey i powiedziała do Jima:

-Dziękuję ci, dziękuję, że ja stamtąd wyciągnąłeś. Och, mój Boże, Steve, nie zapomnę ci tego do końca życia.

Nie zależało mu na podziękowaniach. Zależało mu jedynie na tym, żeby Holly ?orne była żywa i cała.

-Widziałas Holly? - zapytał z niepokojem.

-Tak. Usłyszała dziecko wołające o pomoc, pomyślała, że to może być Casey.

-Christine trzęsła się jak w gorączce, jakby nie do końca była przekonana, że ich dramatyczne przejścia się skończyły, jakby podejrzewała, że ziemia może się rozewrzeć i

wyplynie z niej goraca lawa, otwierajac nowy rozdzial tego koszmaru. - Jak to sie stalo, ze w tym zamieszaniu ty i Casey znikneliscie?

-Holly - przerwal jej niecierpliwie. - Dokad poszla?

-Chciala wrocic po Casey, ale potem uswiadomila sobie, ze krzyk slychac z przedniej sekcji. - Christine podniosla torebke i trajkotala dalej: - Wyszla z torebka. Nie wiedziala, ze ja niesie, wiec zostawila mi ja i wrocila. Wiedziala juz, ze to nie Casey, ale i tak poszla.

Christine wskazala palcem kierunek i po raz pierwszy Jim zobaczyl przod DC-10, obejmujacy rowniez sekcje mieszczaca pierwsza klase. Byl kompletnie oderwany od tej

132

133

czesci samolotu, ktora slizgala sie po ziemi. Lezal szescdziesiat metrow dalej na polu. Plonal o wiele slabiej niz wieksza, srodkowa sekcja, ale za to byl znacznie bardziej zgruchotany.

Wpadl w przerazenie, kiedy uslyszal, ze Holly weszla po raz drugi do jakiegokolwiek czesci dymiacego wraku. Na tym polu w lowa kokpit i przednia czesc wygladaly jak monolityczny glaz z pozaziemskiego cmentarzyska na skrawku odleglej planety.

Nieskonczenie obcy i dojmujaco zlowieszczy przygniatl swym ogromem i nie pasowal do tego miejsca.

Jim pobiegl w jego kierunku, wykrzykujac imie Holly.

Wprawdzie Holly wiedziala, ze to jest ta sama maszyna, ktora pare godzin temu wyleciala z Los Angeles, nie mogla uwierzyc, ze przednia sekcja DC-10 stanowila kiedys czesc calego, sprawnego samolotu. Wszedzie jezyl sie poszarpany metal. Niewiele roznilo sie to od zlomowiska starych maszyn, po ktorym wlasnie przeszlo tornado.

Probujac zlokalizowac krzyki brzmiace jak wolanie przerazonego dziecka, Holly musiala kucac i przeciskac sie wsrod zlomu, odpychajac na bok rozne rzeczy tam, gdzie sie to dalo zrobic; isc gora, naokolo lub dolem, kiedy przeszkoda okazywala sie nie do ruszenia. Wyraznie rysujace sie rzedy i korytarze samolotu teraz utworzyly labirynt.

Dym wil sie wokol niej sinusoidalnymi mackami, ale nie wydawal sie grozny.

Powietrza miala pod dostatkiem i nawet bardzo nie kaszlala.

Przede wszystkim przerazaly ja trupy. Chociaz Holly odnosila wrazenie, ze katastrofa bylaby jeszcze powazniejsza, gdyby Jim Ironheart nie interweniowal, nie wszyscy przezyli. Zobaczyla mezczyzne przyszpilonego do fotela polmetrowa stalowa rura; przesywala mu

gardlo. Wytrzeszczal niewidzace oczy w ostatnim wyrazie zdziwienia.

Kobieta z prawie odcieta glowa, zapieta pasem, lezala na boku razem z fotelem wyrwanym z podlogi. Tam gdzie inne fotele zostaly calkowicie powyrywane i zbite w jedna mase, widziala rannych i zabitych, spoczywajacych razem. Jedynym sposobem szybkiego odrozniczenia zywych od martwych bylo nasluchiwanie, kto jeszcze pojekuje.

Nie rejestrowala obrazow grozy. Byla swiadoma rozlanej krwi, ale patrzyla raczej poprzez nia niz na nia. Jej oczy omijaly widok najciezszych ran, przechodzily ponad koszmarnymi, stale nasuwajacymi sie obrazami poszarpanych cial pasazerow. Ludzkie ksztalty staly sie abstrakcyjnymi formami. Przestaly byc rzeczywistoscia; widziala je jako plamy rzucone na plotno przez kubiste imitujacego Picassa.

Natknela sie na kilkanascie osob, ktore nalezaloby wyciagnac z rumowiska i oddac natychmiast w rece lekarzy, ale byly one albo zbyt ciezkie, albo zbyt przywalone zlomem, aby mogla im pomoc. A nieprzerwany krzyk dziecka kazal jej posuwac sie do przodu. Dzialal instykt nakazujacy zawsze najpierw zajmowac sie dziecmi: jedna z glownych zasad ratunkowych, programowanych genetycznie przez nature.

134

135

Z oddali dobiegal ryk syren. Nie zatrzymala sie nawet, by pomyslec, ze oto jada zawodowi ratownicy. To nie mialo znaczenia. Nie potrafilaby wycofac sie i czekac, az oni to zalatwia. A jezeli dotarcie do dziecka o minute czy dwie wczesniej stanowi roznicke pomiedzy smiercia a zyciem? Kiedy powoli brnela do przodu, patrzac z niepokojem na anemiczne na razie plomienie, wynurzajace sie z dziur, jakimi byl usiany zniszczony kadlub, uslyszala za soba Jima Ironhearta. Wykrzykiwal jej imie w wyrwie, ktora utworzyla sie w przedniej czesci samolotu po amputacji tej czesci maszyny. Musieli wynurzac sie z chaosu i dymu w roznych miejscach i rozminac, bo zgubila go poprzednio, choc znajdowala sie tuz za nim. Tego, ze i on, i Casey przezyli, byla calkowicie pewna, chocby dlatego, iz wyraznie mial talent do wychodzenia calo z kazdej katastrofy. Niemniej poczula ulge na dzwiek jego glosu.

-Tutaj jestem! - krzyknela, chociaz nie mogla go stad zobaczyc.

-Co robisz?

-Szukam malego chlopca - zawolala. - Slysze go, jestem coraz blizej, ale jeszcze nie widze go.

-Wylaz stamtad! - Jego glos niosl sie ponad coraz glosniejszym wyciem zblizajacych sie pojazdow sluzb ratunkowych. - Ekipa ratunkowa jest juz w drodze.

-Przestan - powiedziala, przepychajac sie do przodu. - Tu sa inni ludzie, ktorym trzeba

pomoc natychmiast!

Holly zbliżała się do pierwszej klasy. Zebra kadłuba popekały i tu do środka, ale było ich teraz mniej niż w części, którą zostawiła za sobą. Luźne fotele, bagaż podręczny i inne zniszczone przedmioty zsunęły się jednak do przodu i utworzyły większy niż gdzie indziej stos. Było w nim również więcej ludzi, zarówno żywych, jak i martwych.

Kiedy odepchnęła na bok polamany pusty fotel, zatrzymując się dla nabrania oddechu, usłyszała, że Jim rozrzuci rumowisko i idzie za nią.

Leżąc na boku, wśliznęła się w wąski tunel i dojrzała do niewielkiej, pustej przestrzeni. Znalazła się twarzą w twarz z chłopcem, którego krzyki tak ją zaalarmowały.

Wyglądał mniej więcej na pięć lat, miał ogromne ciemne oczy. Na jej widok zamrugał ze zdumienia, dusząc łkanie, jakby nie spodziewał się, że ktokolwiek do niego dotrze.

Znajdował się pod przewróconą lawą pięciu szepionych foteli, pod ostrym dachem, utworzonym przez siedzenia, jakby w namiocie. Leżał na brzuchu, rozglądając się, i wyglądało na to, że nie powinien mieć kłopotów z wyczołganiem się stąd.

-Cos trzyma mnie za stopę - powiedział. Dalej się bał, ale jego przerażenie znacznie się zmniejszyło w momencie, gdy ją zobaczył. Czy masz pięć lat, czy pięćdziesiąt, najgorszą rzeczą to samotność: trzyma i nie puszcza.

-Wyciągnę cię, skarbie. Nic ci nie będzie - uspokoiła go, pokasłując.

134

135

Podniosła głowę. Nad rzędem foteli pietrzył się następny. Obydwa tkwiły w splątanej masie stali, cisnącej się z zapadniętego sufitu. Zastanawiała się, czy przednia sekcja nie przekościolkowała, zanim spoczęła z zadartą w górę prawą stronę. Otarła mu czubkami palców łzy z policzków.

-Jak się nazywasz, skarbie?

-Norwood. Chłopaki wolają na mnie Norby. Nie boli. Moja stopa, znaczy się.

To była dobra wiadomość.

Ale kiedy rozglądała się wokół niego po rumowisku i usiłowała coś wykombinować, powiedział nagle:

-Nie czuje.



-Czego nie czujesz, Norby?

-Stopy. To śmieszne, tak jakby coś ja trzymało. Ale wiesz, nie czuje, bym ja miał.

Wyobraziła sobie, co to znaczy, i poczuła ucisk w żołądku. Może nie jest aż tak źle.

Może stopa tylko zdrewniała, kiedy znalazła się między dwoma płaszczyznami. Musiała jednak szybko kombinować i działać, bo niewykluczone, że mocno krwawił.

Wokół chłopca nie było miejsca, by mogła wcisnąć się tam i uwolnić jego stopę.

Przewróciła się na plecy, zgięła nogi, oparta podeszwy butów o siedzenia, które wznosiły się nad nimi.

-Dobra, skarbie, zaraz wyprostuje nogi, spróbuj to unieść choć o parę centymetrów. Kiedy to zaczniesz się podnosić, wyciągaj stopę.

Cienki waz siniego dymu wysliznął się zza pleców Norby'ego. Zwiął mu się przed twarzą. Chłopiec się zakrztusił.

-Tu są u-u-marli ludzie koło mnie - powiedział.

-Nie myśl o tym, malenki - odrzekła, napinając i rozluźniając mięśnie nóg, żeby wyczuć ciężar, z jakim chciała się zmierzyć. - Jeszcze chwila.

-Mój fotel, potem pusty fotel, potem niezwykli ludzie - rzekł Norby drżącym głosem.

Zastanawiała się, jak długo szok po tym zdarzeniu będzie rządził jego snami i utrudniał mu życie.

-Jedziemy - odezwała się Holly.

Zaczęła prostować nogi. Stos foteli, zelastwa i martwych ciał był wystarczającym ciężarem, ale na wpol opadająca część sufitu jakby to wszystko jeszcze ugniatała. Holly spróbowała jeszcze mocniej, aż od stalowej podłogi, przykrytej jedynie cienkim dywanem, rozboleły ją plecy. Mimowolnie zajęczała z bólu. Potem cisnęła jeszcze mocniej, jeszcze mocniej, zła, że nie może tego poruszyć, wściekła i... ..drgnęła.

Tylko kawalek.

Ale drgnęła.

136

137

Holly wykrzesala resztkę sił i platanina płyt sufitowych i podperek zatrzeszczała i wygięła się o centymetr, dwa; o tyle samo ustąpiły fotele.-Dalej mnie trzyma - powiedział chłopiec.

Coraz więcej dymu dobywało się z miejsca, gdzie leżał. Dym poprzednio bladoszary, stał się teraz ciemniejszy, bogatszy w sadze, gęstszy i niosł, nieobecny przedtem, ohydny smród. Modliła się, żeby pelzające płomienie nie dotarły do mieszaniny obicia i pianki tworzącej kokon, z którego chłopiec usiłował się wydobyć.

Mięśnie nóg zaczęły jej dygotać. Cały ból w plecach przesaczył się do piersi; każde uderzenie serca było bolesnym skurczem, każdy oddech koszmarem.

Nie sądziła, że utrzyma dłużej ciężar na stopach, nie mówiąc już o podniesieniu go.

Ale nagle dzwignęła go jeszcze o centymetr, potem jeszcze troszkę...

Norby zakrzyknął z bólu i podniecenia. Wyczolgał się.

-Udało się, puscilo mnie.

Opuszczając ciężar, Holly uswiadomiła sobie, że chłopiec pomyślał to, co i ona zapewne by pomyślała, gdyby miała pięć lat i znalazła się w takiej sytuacji. Ze jego kostki obejmowała lodowatą i stalową dłoń jednego ze zmarłych, którzy tam leżeli.

Odsunęła się na bok, by Norby mógł się wydostać spod foteli. Wśród rumowiska wtulił się w nią, szukając ukojenia.

-Holly! - zawołał Jim z tyłu samolotu.

-Znalazłam go!

-Jest tu kobieta, wyciągam ją.

-Wspaniale! - krzyknęła.

Na zewnątrz wysoki jęk syren opadał i w końcu umilkł. Zespoły ratownicze dotarły na miejsce.

Chociaż coraz więcej czarnego dymu wysnuwało się z ciemności, skąd uciekł Norby, Holly musiała obejrzeć jego stopę. Opadała na jedną stronę podejrzanie luźno, jak nozka starej szmacianej lalki. Była złamana w kostce. Zerwała trampek z szybko puchnącej stopy. Krew czerniła białą skarpetkę, ale kiedy przyjrzała się skorze, zobaczyła, że jest tylko zadrapana i gdzieś tam płytko ponacinana. Nie wykrwawi się na śmierć, ale wkrótce zacznie go przeraźliwie boleć.

-Chodźmy, wynosmy się stąd - powiedziała.

Zamierzala zabrac go ta sama droga, jaka przybyla, jednak kiedy spojrzala na lewo, zobaczyla kolejne pekniecie w kadlubie. Znajdowalo sie ze dwa metry od nich. Bieglo w gore, wzdluz krzywizny calej sciany, lecz nie przecinalo sufitu. Czesc boazerii, izolacja znajdujaca sie pod nia, metalowy szkielet, poszycie zewnetrzne albo zostaly wepchnione do srodka pomiedzy inne rupiecie, albo wyrzucone na pole. Powstala w ten sposob dziura nie byla wielka, ale wystarczajaco duza, aby sie tamtedy precisnac.

136

137

Kiedy balansowali na krawedzi zniszczonego kadluba samolotu, na zaoranym polu trzy i pol metra nizej pokazal sie ratownik. Wyciagnal rece po chłopca. Norby skoczyl. Mezczyzna zlapal go, cofnal sie.

-Pani jest jego matka? - spytal.

-Nie. Po prostu uslyszalam jego placz i weszlam po niego. Ma noge zlamana w kostce.

-Bylem z wujkiem Frankiem - oznajmil Norby.

-Znakomicie - rzekl ratownik, usilujac wykrzesac z glosu radosna nute - no to poszukajmy wujka Franka.

-Wujek Frank nie zyje - bezbarwnym glosem odparl Norby.

Mezczyzna spojrzal na Holly, jakby ona mogla w tej sytuacji cos zaradzic.

Stala niema i wstrzasnieta. Ogarnela ja rozpacz na mysl, ze piecioletni chłopiec doznal tak straszliwych przezyc. Chciala go objac, ukolysac w ramionach i powiedziec, ze swiat jest dobry.

Ale swiat wcale nie jest taki dobry, pomyslala, poniewaz smierc stanowi jego czesc.

Adam nie usluchal, zjadal jablko, pozarl owoc z drzewa wiadomosci dobrego i zlego, wiec Bog zdecydowal sie na pokazanie mu wszystkiego, zarowno swiatlosci, jak i mroku. Dzieci Adama nauczyl sie polowac, uprawiac role, chronic przed zima i grzac strawe na ogniu, wytwarzac narzedzia, budowac schronienia. A Bog, chcac dac im zroznicowana edukacje, zezwolil im na poznanie, och, moze miliona drog cierpienia i smierci.

Zachecil ludzi do poznania jezyka, czytania i pisania, biologii, chemii, fizyki, sekretow kodu genetycznego. I zapoznal ich z niezrownana groza guzow mozgu, stwardnienia rozsianego, dzumy, szalejacego w ich cialach raka - zeby nie wspomniec o katastrofach lotniczych. Chciala wiedzy, Bogu milo, ze moze ci jej dostarczyc. Byl pelnym entuzjazmu nauczycielem, dzinnem przekazujacym wiedze, podajacym ja w nadmiarze z tak

niesamowitymi szczegółami, że czasami jej ciężar przygniatał.

Kiedy ratownik obrócił się i niosł Norby'ego poprzez pole do białej karetki stojącej na krawędzi pasa startowego, Holly przeszła od rozpaczki do gniewu. Był bezcelowy, gdyż jego przedmiot stanowił nie kto inny jak sam Bog. Gniew nic nie zmieniał. Bog nie uwolnił gatunku ludzkiego od przekleństwa śmierci tylko dlatego, że Holly ?orne uważała ją za ciężką niesprawiedliwość.

Miała ją furia, niewiele różna od uczucia, które popychało do działania Jima Ironhearta. Pamiętała, co powiedział jej podczas szeptanej konwersacji w siedemnastym rzedzie, kiedy usiłowała zmusić go do ratowania nie tylko matki i córki Dubrovek, ale wszystkich obecnych na pokładzie maszyny: "Nienawidzę śmierci, tego, że ludzie umierają, nienawidzę!". Niektórzy z uratowanych przez niego cytowali podobne uwagi i Holly pamiętała, co Viola Moreno mówiła o głębokim, skrywanym smutku, jaki, być może, wyrósł z faktu, że Jim został osierocony w wieku dziesięciu lat. Przestał uczyć,

138

139

zrezygnował z zawodu, ponieważ samobójstwo Larry'ego Kakonisa zrodziło w nim przekonanie, że wszystkie jego wysiłki i starania są bezcelowe. Ta reakcja wtedy wydała się Holly przesadna, ale teraz rozumiała ją doskonale. Poczula taką samą ochotę cisnienia w kąt trosk codziennego życia i potrzebę zrobienia czegoś bardziej istotnego, co by złamało zasady, jakimi rządził się los, co by nadało materii wszechświata inny kształt, niż zaplanował to Bog. Przez jedną ulotną chwilę, stojąc na tym polu w Iowa, po którym wiatr niosł odor śmierci, i patrząc za ratownikiem niosącym małego chłopca, który o mało co nie zginął, Holly poczuła, że Jim Ironheart stał się jej bliższy niż jakakolwiek inna istota ludzka.

Zaczęła go szukać.

Szukała Jima, ale zamiast na niego wpadła na młodą kobietę w zielonej luźnej sukience. Nieznajoma, szczupła, o kasztanowych włosach, z twarzą porcelanowej laleczki, mogła mieć ze dwadzieścia lat. Nie była ranna, ale wyglądało, że koniecznie należy jej pomóc. Stała z dala od wciąż dymiącej tylnej części samolotu i wykrzykiwała w kołko jedno imię: "Kenny! Kenny! Kenny!". Musiała krzyczeć długo, głos miała zupełnie ochryply.

-Kto to jest? - spytała Holly, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Niebieskie jak wisteria oczy nieznajomej miały szklany wyraz.

-Widziałas Kenny'ego?

-Kim on jest, kochanie?

-To miała być nasza podróż poślubna - powiedziała oszłamona.

-Pomogę ci go szukać.

-Nie.

-Chodź, malenka, wszystko będzie dobrze.

-Nie chce go szukać - powiedziała kobieta, pozwalając Holly, aby odwróciła ją od samolotu i poprowadziła do karetki. - Nie chce go widzieć. Nie takiego, jak będzie teraz wyglądał. Cały martwy. Cały polamany, spalony i nieżywy.

Szły razem po miękkiej, pulchnej ziemi, na której zostanie wysiane nowe zboże i wiosna zakielkuje, zielone i delikatne, a do tego czasu wszystkie oznaki śmierci zostaną wymazane i natura odbuduje iluzję wiecznego życia.

2

Cos działo się z Holly. Cos się w niej przemieszczało. Nie rozumiała jeszcze, nie wiedziała, co oznacza ani jak dalece wpłynie na jej osobowość, ale była świadoma głębokiej fundamentalnej zmiany, zachodzącej w samym rdzeniu jej serca, jej umysłu.

138

139

Pełna wewnętrznego niepokoju nie miała energii, aby radzić sobie ze światem zewnętrznym. Bez protestów dała się więc wtłoczyć razem z innymi pasażerami w standardowy program, stosowany po katastrofie. Zaimponowała jej kompleksowa opieka, jaka otoczono uratowane osoby. Cała społeczność Dubuque - widocznie przygotowana, aby stawić czoło takim sytuacjom - zareagowała szybko i efektywnie. Psychologowie, doradcy prawni, pastory, księża i rabini byli do dyspozycji zdrowych pasażerów w chwili po ich zjawieniu się w hali lotniska. Przestronny salon dla VIP-ów, zaopatrzony w mahoniowe stoły i wygodne fotele powleczone niebieską tapicerką z szorstkiego materiału, został oddany do ich użytku, dziesięć czy dwanaście linii telefonicznych wyłączono z normalnej obsługi lotniska, a pielęgniarki czuwały na wypadek oznak spóźnionego szoku.

W tych trudnych warunkach odwaga, świadomość powagi sytuacji i współczucie zmanifestowały się tak powszechnie, że Holly poczuła się zazenowana, kiedy runęła nawala mass mediów. Wiedziała, że dziennikarzy przede wszystkim interesuje tragizm sytuacji. Uczciwość kazała przyznać, że wykonywali tylko swoją pracę. Ale za dobrze знаła związane z nią trudności i wymagania. Ale procent reporterów, zdolnych wykonywać swe zadania na poziomie, nie był wyższy niż procent kompetentnych hydraulików albo stolarzy umiejących każdorazowo idealnie dopasować framugę drzwi. Różnica polegała na tym, że nieczuli, nieudolni albo wprost wrogo nastawieni dziennikarze mogli wprawic swych

rozmowcow w powazne zaklopotanie, a w pewnych wypadkach wyrzadzic zlo i na stale zniszczyc czyjas reputacje, co bylo o wiele gorsze niz zatkana rura albo niedopasowane kawalki framugi.

Na lotnisku zaroilo sie od wszelkiej masci dziennikarzy, reprezentujacych TV, radio i prase. Wkrotce przedostali sie nawet do obszarow oficjalnie dla nich niedostepnych.

Niektorzy zachowali szacunek wobec stanu emocjonalnego i umyslowego uczestnikow katastrofy. Jednak wiekszosc zadreczala pracownikow United Airlines sprawami "odpowiedzialnosc" i "moralnego dlugu" lub scigala pasazerow, chcac wyciagnac na swiatlo dzienne ich najtajniejsze obawy i odtworzyc niedawne chwile grozy dla rozrywki widzow i czytelnikow. Holly znala zasady tej gry i potrafila spozytkowac je na wlasna korzysc, a jednak nie udalo sie jej uniknac pytania, zadanego jej pare razy w ciagu pietnastu minut przez czterech roznych reporterow: "Jak sie czulas?". Jak sie czulas, kiedy uslyszalas, ze grozi wam przymusowe ladowanie? Jak sie czulas, kiedy myslalas, ze grozi ci smierc? Jak sie czulas, kiedy zobaczylas, ze wokol ciebie leza martwi?

W koncu, zapedzona w kat w poblize wielkiego okna z widokiem na startujace i odlatujace samoloty, dala upust swej wscieklosci. Natretny i starannie uczesany reporter CNN o nazwisku Anlock nie potrafil pojac, ze nie robia na niej wrazenia jego starania.

-Spytaj mnie, co widzialam albo co mysle - powiedziala mu. - Pytaj, kto, co, gdzie, dlaczego i jak, ale, na litosc boska, nie pytaj mnie, jak sie czulam, bo jezeli jestes czlowiekiem, powinienes wiedziec, jak sie czulam. Jezeli potrafisz choc troche wczuc sie w przezycia drugiego czlowieka, musisz to wiedziec.

140

141

Anlock i jego kamerzysta probowali podac tyly, dopasc innej ofiary. Wiedziala, ze wiekszosc ludzi w zatloczonym pokoju zaczyna zwracac uwage na wywolane przez nia zamieszanie, ale miala to w nosie. Nie pozwoli Anlockowi wykpic sie z tego tanim kosztem. Wpila sie w niego.-Nie obchodzi cie fakty, chcesz tylko nieszczescia, krwi i piorunow, chcesz, zeby ludzie obnazyli ci dusze, a potem przemontujesz, co ci powiedza, pozmieniasz, zniekszaltujesz i nawet nic z tego nie zrozumiesz. To jest gwalt, cholera jasna!

Dotarło do niej, że ponosi ją identyczna wscieklosc jak na miejscu katastrofy i że jej w zasadzie daremny gniew odnosil sie nie tyle do Anlocka, ile do Boga. Reporter stanowil po prostu wygodniejszy cel niz Wszechmogacy. Bog zawsze mogl dac nura w jakis cienisty zakatek niebios. Poprzednio myslala, że jej furia ustapila, poczula sie wiec rozstrojona odkryciem, że ta sama gorzka wscieklosc rosnie w niej znowu. Jej zawory bezpieczenstwa puscily, stracila nad soba kontrole i bylo jej wszystko jedno - dopoki nie uswiadomila sobie, że CNN kreci to na zywo. Drapiezny blysk w oczach Anlocka i lekka ironia w wyrazie jego

twarzy otrzewily ja. Nie byl skonsternowany jej wybuchem. Zalatlwiala mu posmak autentycznosci, pierwszorzedne napiecie i nie mogl tego nie wykorzystac, nawet jesli sam stanowil obiekt napasci. Pozniej, rzecz jasna, wielkodusznie usprawiedliwi wobec widzow jej zachowanie, nieszczerze sympatyzujac z szokiem, jaki przeszla, i wyjdzie z tego jako nieustraszony reporter i wspolczujacy facet.

Wsciekla, ze dala sie wciagnac w gre, o ktorej powinna wiedziec, iz wygrywa w niej zawsze reporter, Holly odwrocila sie od kamery. Kiedy odchodzila, dotarly jeszcze do niej slowa Anlocka: - ...calkiem zrozumiale, oczywiscie, biorac pod uwage, przez co ta biedna kobieta musiala przejsc...

Chciala zawrocic i strzelic go w gebe. Ciekawe, czy to by mu sie podobalo?

Co sie z toba dzieje, ?orne? - pytala sama siebie. Nigdy tak sie nie wkurzasz. Nie az tak.

Omijajac dziennikarzy i usilujac zapanowac nad naglym przyplywem ochoty do samoanalizy, zaczela znow szukac Jima Ironhearta, ale bez powodzenia. Nie potrafila go zlokalizowac. Nie dostrzegla go w ostatniej grupie dowiezionych z miejsca katastrofy. Zaden z pracownikow United Airlines nie mogl odnalezc jego nazwiska na liscie pasazerow. Holly nie byla tym bardzo zaskoczona.

Pomyslala, ze nadal jest na polu i pomaga zespolom poszukujacym i ratunkowym.

Zalezalo jej na rozmowie z nim, lecz musiala zachowac cierpliwosc.

Wiedziala, ze po napasci na Anlocka niektorzy reporterzy patrza na nia z rezerwa, ale umiala manipulowac ludzmi swej profesji. Pociagajac gorzka kawe z plastikowego kubka - jakby jeszcze potrzebowala kofeiny dla podniesienia w sobie napiecia - walesala sie po pokoju i hallu, wyciagala z dziennikarzy informacje bez ujawniania, ze jest

140

141

jedna z nich. Udalo sie jej uzyskac interesujace strzepki wiadomosci. Posrod innych spraw to, ze doliczono sie na razie dwustu zywych pasazerow i liczba ofiar smiertelnych raczej nie powinna przekroczyc piecdziesieciu, co graniczilo z cudem, biorac pod uwage, ze samolot rozpadl sie i wybuchl pozar. Dobre wiesci powinny byly podniesc ja na duchu, gdyz oznaczalo to, ze interwencja Jima pozwolila kapitanowi uratowac wiecej istnien, niz los przewidzial; ale zamiast sie cieszyc, zamartwiala sie losem tych, ktorzy mimo wszystko zgineli. Dowiedziala sie rowniez, ze czlonkowie zalogi - a ocaleli wszyscy - szukali pasazera, ktory okazal sie dla nich wielka pomoc; mezczyzny okreslanego "Jim Jakistam, wygladajacy jak Kevin Costner, z bardzo niebieskimi oczami". Poniewaz pierwsi przedstawiciele wladz federalnych, jacy pojawili sie na miejscu, rowniez bardzo pilnie chcieli rozmawiac z "Jimem Jakimstam", zaczely sie nim interesowac media.

Stopniowo Holly uswiadomila sobie, ze Jim nie pojawi sie na scenie. Raczej zniknie, jak robil to zawsze po kazdym ze swych wyczynow, usuwajac sie szybko poza zasieg dzialania reporterow i oficjeli wszelkiej masci. "Jim" - tyle beda o nim wiedziec.

Holly byla pierwsza osoba, ktorej podal pelne imie i nazwisko w miejscu swej akcji ratunkowej. Zmarszczyla brwi, zastanawiajac sie, dlaczego zdecydowal sie wyznac wiecej jej niz komukolwiek innemu.

Przy drzwiach najblizszej damskiej toalety wpadla na Christine Dubrovek, ktora oddala jej torebke i spytala o Steve'a Harkmana. W ogole nie byla swiadoma faktu, ze to on byl tajemniczym Jimem, o ktorego wszyscy pytali.

-Musial byc w Chicago dzis wieczor, bez wzgledu na wydarzenia, wiec wynajal samochod i pojechal - sklamala Holly.

-Chcialam mu jeszcze raz podziekowac - powiedziala Christine. - Ale chyba musze poczekac, az oboje spotkamy sie w Los Angeles. Wiesz, on pracuje w jednej firmie z moim mezem.

Casey trzymala sie boku matki. Zmyla sadze z buzi i miala uczesane wlosy. Jadla czekoladowy baton, ale chyba bez przyjemnosci.

Holly przeprosila je i powrocila do stanowiska naglej pomocy, jakie United Airlines zorganizowaly w kacie salonu dla VIP-ow. Usilowala znalezc polaczenie, ktore niezaleznie od liczby przesiadek pozwoliloby jej znalezc sie w Los Angeles dzis wieczor. Ale Dubuque nie bylo pepkiem swiata i wszystkie miejsca do poludniowej Kalifornii juz zarezerwowano. Wszystko, co jej oferowano, to poranny lot do Denver i poludniowy przelot z Denver do LAX.

Linie lotnicze zorganizowaly dla niej na noc lokum i o szostej wieczor Holly znalazla sie w czystym, ale ponurym pokoju w Najlepszym Motelu Srodkowego Zachodu. Moze zreszta nie byl taki ponury; przy jej obecnym stanie ducha nie docenilaby nawet apartamentu u Ritza.

142

143

Zadzwonila do rodzicow w Filadelfii, aby uspokoic ich, ze nic zlego jej nie spotkalo. Mogli zobaczyc ja w CNN albo znalezc jej nazwisko na liscie ocalalych z lotu 246 w jutrzejszej prasie. Szczesliwie nie zdawali sobie sprawy, jak blisko otarla sie o smierc, ale domagali sie opisu powypadkowego stresu z pierwszej reki. Okazalo sie, ze to ona musi ich pocieszac. Wzruszylo ja, ze tak sie przejeleli; widac bardzo jest im droga.

-Niewazna teraz praca - powiedziala matka. - Mozesz wsiasc do autobusu i jechac z przesiadka prosto do domu. Swiadomosc, ze jest kochana, nie poprawila nastroju Holly.



Włosy miała zbite w koltun i smierdziała dymem, ale poszła do najbliższego supermarketu. Używając karty kredytowej Visa, kupiła ubranie na zmianę: skarpetki, bielizna, dzinsy, biała bluzka i lekka dzinsowa marynarka. Kupiła też parę nowych reeboków. Nie mogła wyzbyć się podejrzeń, że plamy na starej parze pochodzą z krwi.

Kiedy znów znalazła się w pokoju, wzięła najdłuższy prysznic w życiu. Szorowała się i szorowała, aż cały zapas motelowego mydła skurczył się do małego płatka, lecz ona nie czuła się jeszcze czysta. W końcu zakreśliła wodę. Uświadomiła sobie, że chce obmyć się z czegoś, co tkwiło wewnątrz niej.

Poprosiła przez telefon o kanapkę, sałatę i owoce. Kiedy jej to przyniesiono, nie mogła nic zjeść.

Siedziała przez chwilę, po prostu wpatrując się w ścianę. Nie odważyła się włączyć telewizora. Nie chciała ryzykować trafienia na wiadomości o katastrofie lotu 246.

Gdyby mogła zatelefonować do Jima Ironhearta, zrobiłaby to od razu. Dzwoniłaby do niego co dziesięć minut, godzina po godzinie, aż trafiłaby na moment, kiedy zjawi się w domu i podniesie słuchawkę. Ale wiedziała już, że jego numer jest zastrzeżony.

W końcu zeszła do baru i poprosiła piwo. Był to niebezpieczny ruch dla kogoś, kto, tak jak ona, miał bardzo słabą głowę. Jedna butelka beca na czczo prawdopodobnie zwalił ją z nog i uspi na resztę nocy.

Podróżujący komiwojazer z Omaha usiłował nawiązać z nią rozmowę. Wyglądał na czterdziści parę lat, był dość przystojny i wydawał się miły, ale nie chciała, żeby się rozczarował. Powiedziała mu, najuprzejmiej jak potrafiła, że nie rozgląda się za kims, kto by ją poderwał.

-Ja też nie - odrzekł i uśmiechnął się. - Chce tylko z kims pogadać.

Uwierzyła mu i się nie zawiodła. Siedzieli przy barze przez parę godzin, gawędzając o filmach i telewizyjnych show, aktorach komediowych i piosenkarzach, jedzeniu i pogodzie; ani przez moment nie zajmowali się polityką, katastrofami samolotowymi czy zmartwieniami tego świata. Ku własnemu zdumieniu wypili trzy piwa i nie poczuli nic poza lekkim szmerkiem.

-Howie - powiedziała mu absolutnie poważnie, odchodząc - będę ci wdzięczna do końca życia.

142

143

Sama wróciła do pokoju, rozebrała się, wślizgnęła pod koc i poczuła, jak sen ogarnia ją już w chwili, kiedy dotknęła głową poduszki. Naciągnęła przykrycie na głowę, żeby ustrzec się od

chlodu klimatyzacji, i powiedziała głosem bardziej zniekształconym przez wyczerpanie niż piwo: "Wtul się w mój kokon, będziesz wkrótce motylem". Zastanawiając się, skąd to pochodzi, i o co jej chodziło, zasnęła.

Wiuum, wiuum, wiuum, wiuum, wiuum...

Znow znalazła się w kamiennym pomieszczeniu, ale sen różnił się znacznie od poprzednich. Po pierwsze, nie była ślepa. Gruba żółta świeczka stała na błękitnej podstawce i tanczące pomarańczowe płomyki odsłaniały kamienne ściany, okna wąskie jak średniowieczne strzelnice, drewniana podłoga, obracający się wał przechodzący przez sufit i znikający w dziurze, w niższej izbie, i ciężkie drewniane drzwi wzmocnione żelazem. Jakims sposobem wiedziała, że znajduje się w górnym pomieszczeniu starego wiatraka, że dźwięk wiuum, wiuum, wiuum wydawały gigantyczne skrzydła, tnące niespokojne powiewy nocnego wiatru, a za drzwiami wapienne schody prowadziły do pomieszczenia z zarnami. Stała w tym samym miejscu co na początku snu, ale oto okoliczności zmieniły się w okamgnieniu. Siedziała w fotelu samolotu, przypięta pasami, i kiedy obróciła głowę w lewo, zobaczyła obok siebie Jima. "Ten stary wiatrak nie dociągnie do Chicago" - odezwał się poważnie. Wydawało się całkiem logiczne, że leca w tej kamiennej budowli, unoszeni przez cztery gigantyczne skrzydła ze zbitych drewnianych płyt, tak samo jakby lecieli w samolocie napędzonym przez śmigła lub silniki odrzutowe. "Ale przeżyjemy, prawda?". Na jej oczach Jim rozplynął się, a na jego miejscu pojawił się dziesięcioletni chłopiec. To było wspaniałe. Potem uznała, że kasztanowe włosy i niebieskie jak iskra elektryczna oczy chłopca oznaczają, iż jest to Jim z innego czasu. Zgodnie z luźnymi prawami, które rządził snami, ta myśl spowodowała, że jego transformacja stała się mniej tajemnicza i w istocie prawie logiczna. Chłopiec powiedział: "Przeżyjemy, jeśli on się nie pojawi". A na to ona: "Kim on jest?". Na to chłopiec: "To Nieprzyjaciół". Wiatrak jakby odpowiedział na te ostatnie dwa słowa, rozluźniąc się i kurcząc, pulsując jak żywe mięso, tak jak pokój w Laguna Hills peczył poprzedniej nocy złowrogim życiem. Wydało się jej, że dostrzega potworną twarz i ohydne kształty wylaniające się wprost z wapiennej ściany. "Wszyscy tu umrzemy - powiedział chłopiec - wszyscy tu umrzemy". Wydawało się, że niemal zapraszać potwora, usiłującego wyleźć ze ściany. WIUUM!

Holly obudziła się i zerwała z łóżka jak w poprzednie noce. Tylko tym razem żaden element ze snu nie towarzyszył jej w realnym świecie i nie była przerażona.

Przestraszona, tak. Był to jednak słabszy lek, bardziej zbliżony do niepokoju niż histerii.

Co ważniejsze, obudziła się z pełnym optymizmem i poczuciem wyzwolenia.

Natychmiast otrząsnęła się ze snu, siadła i oparta o wysoki zagłówek skrzyżowała ręce na nagich piersiach. Trzęsła się nie ze strachu ani z zimna, lecz z podniecenia.

Wcześniej, ukolysana wypitym piwem, wypowiedziała coś bardzo prawdziwego, zeszliżując się w przepaść snu: "Wtul się w mój kokon, będziesz wkrótce motylem". Teraz wiedziała, o co jej chodziło, i rozumiała zmiany, jakim podlegała od czasu, kiedy odkryła sekret Ironhearta. Poczła sobie je uświadamiać już po katastrofie, w salonie na lotnisku. Nigdy nie wróci do "Portland Press". Nigdy nie będzie więcej pracować jako dziennikarka. Koniec z Holly reporterka. To dlatego zareagowała tak przesadnie na Anlocka. Czula do niego odrazę, niemniej była podświadomie zżerana przez poczucie winy, gdyż on robił sensacyjny materiał, który ona zaniedbała, chociaż cała w tym tkwiła. Gdyby czula się reporterka, powinna robić wywiady wśród pasażerów i pośpiesznie zbierać materiał dla "Press". Jednak nie miała na to żadnej ochoty, nawet przelotnie. Więc z surowego materiału swego podświadomego samoobrzydzenia skroila stroj wściekłości, z ogromnymi ramionami i szerokimi, szerokimi kłapami; potem ubrała się w niego i przeparadowała przed kamerami CNN, kipiąc gniewem. A wszystko to była gorączkowa próba zademonstrowania, że dziennikarstwo jej wcale nie obchodzi i zamierza zrezygnować ze swojej kariery.

A kiedyś myślała, że będzie to trwało do końca jej dni.

Wstała z łóżka i zaczęła chodzić, zbyt podniecona, aby usiedzieć w miejscu.

Była skończona jako reporter.

Skonczona.

Zyskała wolność. Pochodziła z nizin społecznych, jej rodzice nie mieli nigdy w życiu nic do powiedzenia, dlatego też jako małe dziecko miała obsesję bycia osobą ważną, należąca do wyższych sfer, chciała stać się kims nietuzinkowym. Jako bystre dziecko, które wyrosło na jeszcze bystrzejszą kobietę, była zdumiona widocznym bezładem panującym w świecie i czula w sobie wyzwanie, aby wyjaśnić ten nieład najlepiej, jak potrafi, korzystając z niepewnych narzędzi, jakie oferowało dziennikarstwo. Jak na ironię to podwójne dążenie do osiągnięcia akceptacji i zrozumienia - które, odkąd pamiętała, kazało jej pracować i studiować siedemdziesiąt, osiemdziesiąt godzin w tygodniu - pozbawiło ją jakichkolwiek związków z ludźmi. Nie przeżyła autentycznej miłości, nie miała dzieci, przyjaciół i nie znalazła więcej odpowiedzi na trudne pytania stawiane przez życie niż wtedy, kiedy zaczynała studia. Teraz nagle uwolniła się od tych wszystkich pragnień i obsesji, nie zależało jej już na przynależności do elitarnego klubu ani na rozwikłaniu sensu ludzkich zachowań.

Poprzednio myślała, że nienawidzi dziennikarstwa. To nie było tak. Nienawidziła tego, że okazała się na tym polu nieudacznikiem, a nie udało się jej, ponieważ dziennikarstwo nigdy do niej nie pasowało.

Aby zrozumieć sama siebie i zerwać wieży nawyku, było jej potrzebne spotkanie z mężczyzną, który umie czynić cuda - i przeżyć druzgocącą katastrofę samolotową.

-Jaka z ciebie wrażliwa kobieta, ?orne - powiedziała na głos, szydząc z siebie samej. - Jaka przenikliwa. Coż, wielkie nieba, jeśli spotkanie z Jimem Ironheartem i ujście z życiem z katastrofy lotniczej nie otworzyłyby jej oczu, na pewno stałoby się to, kiedy tylko Jimmy Cricket zapukałby do jej drzwi i wyspiewał sprytnie wpadającą w ucho piosenkę o różnicach pomiędzy głupimi a mądrymi wyborami w życiu.

Wybuchnęła śmiechem. Zerwała koc z łóżka, owinęła wokół nagiego ciała, siadła na jednym z dwóch foteli, podciągnęła nogi pod siebie i śmiała się tak, jak nie śmiała się, odkąd była swawolną nastolatką.

To był właśnie jej problem: nigdy nie była swawolna. Zawsze była poważną nastolatką, obsesyjnie śledzącą bieżące wydarzenia; zamartwiała się III wojną światową, gdyż powiedziano jej, że prawdopodobnie zginie w atomowej zagładzie, zanim skończy liceum; zamartwiała się przeludnieniem, gdyż powiedziano jej, że głód zabije półtora miliarda istnień do roku 1990 i zmniejszy ludzkość o połowę, dziesiątkując nawet Stany Zjednoczone; zamartwiała się, ponieważ zanieczyszczenie środowiska spowoduje drastyczne oziębienie planety i nawrót ery lodowcowej, która "zniszczy cywilizację za jej życia!!!" - jak krzyczały czółowki gazet w latach siedemdziesiątych, zanim pojawił się efekt cieplarniany i niepokój o globalne ocieplenie. Spędziła lata młodzieńcze i początek dorosłości, martwiąc się za dużo, a ciesząc się za mało. Pozbawiona radości, straciła poczucie proporcji i pozwalała każdej nowej sensacyjnej wiadomości - czasem opartej na rzeczywistych problemach, czasem na całkowicie pozornych - aby ją pochłaniała.

Teraz śmiała się jak dziecko. Dzieciaki, zanim osiągną dorosłość i fala hormonów poniesie je w nowe życie, wiedzą, że życie jest straszne, ponure i dziwne, ale wiedzą też, że bywa głupie, że śmieszne, że czasem jest szalenczą wyprawa po długiej drodze czasu ku nieznanemu przeznaczeniu w dalekich i cudownych miejscach.

Holly ?orne, która nagle polubiła swoje imię, wiedziała, gdzie się uda i dlaczego.

Wiedziała, czego chce od Jima Ironhearta - i nie był to materiał na dobry artykuł, dziennikarski popis, Pulitzera.

To, na czym jej zależało, było bardziej cenne i trwałe. Palila się do przedstawienia mu swego zadania.

Zabawne, może się zgodzi i da jej to, na czym jej zależy. A wtedy ona rozpocznie coś więcej niż tylko podniecającą, radosną i niepozbawioną sensu egzystencję. Wiedziała, że czeka na nią również niebezpieczeństwo. Jeżeli dostanie to, czego żąda, może nie żyć za rok, miesiąc lub za tydzień. Ale w tej chwili skupiła się na wizji radości i nie przeszkadzała jej możliwość bliskiej śmierci i nieskonczonych ciemności.

Holly zmieniła samolot w Denver, zyskała dwie godziny, mijając kilka stref czasowych, i pojawiła się na międzynarodowym lotnisku Los Angeles o jedenastej przed południem w poniedziałek. Nieskrepowana bagażem, wyprowadziła samochód z garażu i pojechała wzdłuż wybrzeża do Laguna Niguel. Do domu Jima Ironhearta dotarła o wpół do pierwszej. Zaparkowała przed garażem, przeszła wyłożonym płytami chodnikiem wprost do drzwi frontowych, zadzwoniła. Nie odpowiedział. Zadzwoniła jeszcze raz. Dalej nie odpowiadał. Dzwoniła jeszcze i jeszcze, aż czerwona odblaskowa przyciskowa dzwonek pojawiła się na opuszkach jej prawego kciuka.

Cofnęła się o krok i uważnie przyjrzała oknom parteru i piętra. Wszystkie były zasłonięte żaluzjami. Poprzez szkło widziała szerokie listewki.

-Wiem, że tam jesteś - powiedziała cicho.

Wrocła do samochodu, spuściła szyby, usiadła i czekała, aż się pojawi. Wcześniej czy później będzie potrzebował jedzenia, proszku do prania, lekarza, papieru toaletowego, czegoś tam - i wtedy go dopadnie.

Na nieszczęście pogoda nie sprzyjała długiemu wyczekiwaniu. Ostatnie pare dni było ciepłe, ale łagodne. Teraz sierpniowy upał powrócił jak zły smok z bajki dla dzieci, trawiąc ziemię palącym oddechem. Palmy obwisły i kwiaty zaczęły schnąć w parzącym słońcu. Za całym wymyślnym systemem irygacyjnym, podtrzymującym bogate zielenie, wyczuła z ziemi pustynia czekała na ponowne objęcie własności.

Piekąc się szybko i równo jak bułeczka w piekarniku, Holly w końcu podniosła szyby, włączyła motor i klimatyzację. Świeży powiew niosł niebiańską ulgę, ale nie trwało to długo: wóz zaczął się przegrzewać, na wskaźniku temperatury wskaźniczka szybko wychyliła się w kierunku czerwonego łuku.

Piętnastce po pierwszej, dokładnie trzy kwadransy po zjawieniu się tutaj, Holly wrzuciła wsteczny bieg, wycofała wóz z podjazdu i wrocła do Laguna Hills Moto Inn.

Włożyła sprane szorty i kanarkowa bluzeczka ledwo kryjąca ciało oraz nowe tenisówki, tym razem na gołe stopy. W pobliskim drugostorze kupiła składane łóżko, lodówkę turystyczną, duży ręcznik, puszkę dietetycznej lemoniady i kieszonkowe wydanie przygód Trávisa McGee, napisane przez Johna D. MacDonalda. Okulary przeciwsłoneczne już miała.

O wpół do trzeciej była z powrotem przed domem Ironhearta na Bougainvillea Way.

Znow zadzwoniła do drzwi. Nie raczył odpowiedzieć.

Zaniosła lodowkę, składane łozko i inne rzeczy na trawnik, za dom. Ustawiała łozko na trawie, tuż za ocienionym sekwojami patiem. Po kilku minutach poczuła się bosko.

W powieści MacDonalda Travis McGee prażył się w Fort Lauderdale. Fale upału były tam tak obezwładniające, że panienki nie miały nawet siły biec z wdziękiem po plaży. Holly znalazła te książki; wybrała ją do ponownej lektury, bo pamiętała, że akcja roz146

147

wija się w scenerii tropikalnego gorąca i wilgotności. W porównaniu z zasnuta oparami Floryda, opisana żywą prozą MacDonalda, suche powietrze Laguna Niguel wydawało się mniej skwarne, mimo że temperatura przekraczała trzydziści stopni Celsjusza. Po półgodzinie spojrzała w kierunku domu i zobaczyła Jima Ironhearta stojącego w wielkim oknie kuchennym. Obserwował ją.

Pomachała mu. Nie odpowiedział tym samym. Odszedł od okna, ale nie wyszedł na dwór. Otworzyła puszkę z lemoniadą i wróciła do powieści, rozkoszując się dotknięciem słońca na gołych nogach. Nie przejmowała się oparzeniami. Była już trochę opalona. Poza tym, choć jako blondynka miała jasną cerę, opalała się bez oparzeń dopoty, dopoki nie robiła tego szesnastie godzin na dobe.

Właśnie kiedy wstała, aby zmienić kąt ułożenia łozka i opalać się na brzuchu, zobaczyła Jima Ironhearta na patiu, przy odsuniętych na bok drzwiach salonu. Stał w pogniecionych spodniach i wymiętej koszulce, nieogolony. Brudne włosy opadały mu na czoło. Nie prezentował się dobrze.

Stał nie dalej niż o pięć metrów, więc mówił, nie podnosząc głosu.

-Co tu pani wyrabia?

-Troszke się opalam.

-Proszę odjechać, panno ?orne.

-Muszę z panem pogadać.

-Nie mamy wspólnego tematu.

-Cha, cha!

Wrócił do środka i zasunął drzwi. Usłyszała, jak zamek zaskoczył.

Leżała na brzuchu prawie godzinę. Drzemiała, zamiast czytać. W końcu uznała, że ma dość słońca. Poza tym po wpół do czwartej po południu słońce i tak nie opalało już najlepiej.

Przesunęła łozko, lodówkę i resztę dobytku na ocienione patio. Otworzyła drugą puszkę

lemoniady i znow wzięła się do czytania MacDonalda.

O czwartej ponownie usłyszała, jak przesuwają się drzwi od salonu. Kroki. Stał za nią. Stał przez chwilę i zapewne jej się przyglądał. Żadne z nich się nie odezwalo.

Udawala, że czyta.

Cisza robiła dziwne wrażenie. Zaczęła myśleć o ciemnej stronie jego osobowości - na przykład o osmiu nabożach wystrzelonych w Normana Rinka w Atlancie - i czuła rosnące napięcie, dopóki nie uznała, że on próbuje ją nastraszyć.

Sięgnęła po lemoniadę stojąc na lodowcu, pociągnęła łyk, westchnęła, rozkoszując się jej smakiem, a potem odłożyła puszkę z powrotem i wykonała to wszystko bez drżenia ręki. Ironheart w końcu obszedł łóżko i stał tak, że go widziała. Miał ziemista cerę i sine kregi pod oczami.

-Czego pani chce ode mnie?

148

149

-Tego nie da się powiedzieć w dwóch słowach.-Nie mam czasu na więcej.

-A na ile?

-Daje pani minutę.

Zawahała się, a potem potrząsnęła głową.

-Nie potrafię tego powiedzieć w minutę. Poczekam tu, aż będzie miał pan więcej czasu.

Wpatrywał się w nią nieprzyjawnie.

Znalazła w książce miejsce, na którym przerwała.

-Mogę wezwać policję i usunąć panią z mojej posesji - powiedział.

-To dlaczego pan tego nie zrobi? - spytała.

Przez parę chwil stał nadal w tym samym miejscu, niecierpliwy i zdenerwowany, a potem wrócił do domu. Zasunął drzwi. Zatrzasnął zamek.

-Nie na długo - zamruczała Holly. - Za jakąś godzinę będę musiała skorzystać z twojej toalety.

Blisko niej dwa kolibry spijały nektar z kwiatów, cienie wydłużały się, a w puszcze z lemoniada babelki wydawały puste dźwięki, jak tykanie zegarka.

Na dalekiej Florydzie również uwijały się kolibry, drzewa kładły chłodne cienie, zamiast dietetycznej lemoniady stały butelki do sequis z lodu, a Travis McGee z każdym akapitem wpadał w coraz większe tarapaty.

Zaczęło jej burzczyć w brzuchu. Jadła śniadanie na lotnisku w Dubuque, dziwiac się, że apetytu nie odebrały jej makabryczne obrazy katastrofy, wypalone na zawsze w pamięci. Lunch ja ominął. Teraz myślała, że oszaleje z głodu. Życie nie stoi w miejscu.

Na piętnastcie minut przed nieprzekraczalnym terminem, jaki sobie wyznaczyła, żeby udać się do toalety, Ironheart powrócił. Umył się i ogolił. Miał na sobie niebieską koszulę z dużym rozcięciem pod szyją, białe bawełniane spodnie i białe płocienne mokasyny.

Poczuła się mile polechtana; pragnął zrobić lepsze wrażenie.

-Dobra, o co chodzi?

-Najpierw muszę skorzystać z twojej łazienki.

Na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia.

-Dobra, dobra, ale potem pogadamy, będziemy mieli to z głowy i pojedziesz sobie.

Weszła za nim do salonu przylegającego do otwartej przestrzeni jadalnej, która sąsiadowała z kolei z otwartą kuchnią. Niedopasowane meble robiły wrażenie nabytych za bezcen podczas wyprzedazy jakiegos magazynu. Musiał je kupić zaraz po tym, jak skończył college i podjął pracę nauczyciela. Były czyste, lecz dobrze podniszczone. Setki książek w kieszonkowych wydaniach wypełniały stojące polki. Ale na ścianach nie wisiały żadne dzieła sztuki, a na podłodze nie stały żadne ozdoby, wazy, misy, rzeźby ani rośliny doniczkowe, które by dodały ciepła temu wnętrzu.

148

149

Wskazał jej toaletę obok hallu wejściowego. Była pomalowana na białą. Nie dostrzegła wymyślnie uformowanych mydełek w kształcie paczków roz, tylko kawałek zwykłego ivory. Nie było też kolorowych, wzorzystych ręczników, jedynie rolka papierowych ręczników leżała na polce.-Może daloby się omówić nasze sprawy przy kolacji. Umieram z głodu - rzuciła, zamykając drzwi i oglądając się na niego.

Kiedy skończyła zajęcia w toalecie, zerknęła do living-roomu. Był urządzone - rzecz by można - w stylu "Pierwsza Wyprzedaz w Garazu" i miał wygląd jeszcze bardziej spartanski niż



salon. Jak na kogos, kto wygral szesc milionow na loterii stanowej, dom byl niezwykle skromny, ale w porownaniu z umeblowaniem godny Rockefellerow.

Poszla do kuchni i zobaczyla, ze Ironheart czeka przy okraglym stoliku jadalnym.

-Spodziewalam sie, ze zajmiesz sie kuchnia - rzekla, siegajac po krzeslo i sadowiac sie naprzeciw niego.

Nie byl tym rozbawiony.

-Czego chcesz?

-Pozwol, ze zaczne od tego, czego nie chce - powiedziala. - Nie chce o tobie pisac. Rzucilam reportaze. Koniec z dziennikarstwem. Wierz mi albo nie, ale to prawda.

Twoje dobre uczynki zostana zablokowane, jezeli bedziesz sledzony przez mass media.

Ludzie, ktorych moglbys uratowac, zgina. Teraz to rozumiem.

-To dobrze.

-I nie zamierzam cie szantazowac. Zreszta sadzac po rozpasaniu i bogactwie, w jakim sie tarzasz, watpie, zeby w kieszeni zostalo ci wiecej niz osiemnascie dolcow.

Nie usmiechnal sie. Po prostu wpatrywal sie w nia tymi niebieskimi oczami koloru gazowego plomyka.

-Nie chce utrudniac ci pracy ani wyznaczac celow - kontynuowala. - Nie chce cie czcic jako Chrystusa w Drugim Nadejsciu, wychodzic za ciebie za maz, rodzic ci dzieci ani wyciagac od ciebie tajemnic sensu zycia. Zreszta tylko Elvis Presley zna sens zycia, a on jest hibernowany w sejfie Obcych w jaskini na Marsie.

Twarz mial nieruchoma jak kamien. Byl naprawde twardy.

-Chce - powiedziala Holly - zaspokoic ciekawosc, dowiedziec sie, jak robisz to, co robisz, i dlaczego to robisz. - Zawahala sie. Wziela gleboki oddech. Teraz bedzie duzy numer: - I chce brac w tym wszystkim udzial.

-O co ci chodzi?

Zalala go potokiem slow w obawie, ze przerwie jej, zanim wszystko z niej wyplynie, i nigdy nie bedzie nastepnej szansy, aby mu wszystko wytlumaczyc.

-Chce z toba pracowac, pomagac ci, dolaczyc sie do twoich misji, czy jak je nazywasz. Chce ratowac ludzi albo choc pomagac tobie, kiedy ich ratujesz.

-Nie mozesz niczego zrobic.

150

151

-Musi cos byc - upierala sie.-Tylko bedziesz przeszkadzac.

-Posluchaj, jestem inteligentna...

-I co z tego? - ...wyksztalcona...

-Ja tez. - ...mam charakter...

-Ale jestes mi niepotrzebna. - ...kompetentna, sprawna...

-Przykro mi.

-Do cholery! - zaklela, raczej sfrustrowana niz zla. - Pozwol mi byc twoja sekretarka, nawet jesli ci niepotrzebna. Pozwol mi byc twoja Pietaszka, twoja dziewczyna na posylki - przynajmniej twoim przyjacielem.

Jej prosby wydawaly sie go nie wzruszac. Patrzyl na nia tak dlugo, az zaczela sie czuc niewygodnie, mimo to nie odwrocila wzroku. Czula, ze uzywa swego niezwykle przenikliwego spojrzenia jako instrumentu kontroli i zastraszenia, ale nielatwo poddawala sie manipulacji. Nie pozwoli, aby to on rezyserowal to spotkanie, zanim na dobre sie zaczelo.

-Wiec chcesz byc moja Lois Lane - odezwal sie w koncu.

Przez moment nie miala pojecia, o czym mowil. Potem przypomniala sobie:

Metropolis, "Daily Planet", Jimmy Olsen, Perry White, Lois Lane, Clark Kent, Superman.

Holly wiedziala, ze usiluje ja zirytowac. Rozzloszczenie to tez sposob manipulacji; jezeli stanie sie agresywna, zyska pretekst, zeby jej odmowic. Byla zdecydowana zachowac spokoj i w miare sympatyczny nastroj, aby nie zatrzaskiwac drzwi miedzy nimi.

Ale nie potrafilo tylko potulnie siedziec, trzymajac sie w ryzach. Musiala wyrzucic z siebie te czesc energii plynacej z wscieklosci, ktora przekraczala pojemnosc jej baterii.

Odepchnela krzeslo, wstala i chodzac, wyjasniala:

-Nie, wlasnie tym nie chce byc. Nie chce byc twoja kronikarka, nieustraszona panienka reporterka. Rzygam dziennikarstwem. - Pokrotce wyjasnila mu dlaczego.

-Nie chce byc wcale twoja omdlewajaca wielbicielka ani pelna dobrych checi, ale

nieporadna dupencja, która ciągle pakuje się w kłopoty i wzywa pomocy, by ją oswobodzono z paskudnych łap Lexa Luthora. Tu dzieje się coś niezwykłego i chce brać w tym udział, bo to, co robisz, ma... ma sens. Chce pomóc, w miarę swoich możliwości. Chce robić coś bardziej wartościowego niż to, co do tej pory robiła w życiu. # - Filantropi są zwykle tak zajęci sobą, tak haniebnie aroganccy, że robią więcej zła niż dobrego - powiedział.

150

151

-Nie jestem filantropką. Nie o to mi chodzi. W ogóle nie interesują mnie pochwały za wielkoduszność i poświęcenie. Nie chce wznosić się na wyższy poziom moralności. Chce być przydatna. - Świat pełen jest dobroczyńców - nie ustępował. - Gdybym potrzebował kogoś do pomocy, a tak nie jest, dlaczego miałbym wybrać cię spośród wszystkich innych dobroczyńców?

Ten facet był nie do zniesienia. Miała ochotę mu przywalić.

Zamiast tego chodziła tam i z powrotem.

-Wczoraj, kiedy człogałam się po tego chłopczyka, po Norby'ego, wtedy... to zaskoczyło mnie sama - powiedziała. - Nie wiedziałam, że coś takiego we mnie siedzi. Nie byłam odważna, przez cały czas białam się jak cholera, jednak wyciągnęłam go stamtąd i nigdy nie czułam się z siebie tak dumna.

-Lubisz, kiedy ludzie patrzą na cię i mówią: "Ale z niej bohaterka" - rzucił obojętnie.

-Nie, to nie tak - odparła, potrzasując głową. - Poza jednym ratownikiem nikt nie wiedział, że wyciągnęłam stamtąd Norby'ego. Podobało mi się, jak patrzyłam potem na siebie, ot co.

-Więc masz swira na punkcie ryzyka i bohaterskich czynów, wychylanie się działa na cię narkotycznie.

Teraz miała ochotę walnąć go dwa razy. Po twarzy. Trzask, trzask. Tak mocno, żeby mu w oczach zawirowało. To by jej dobrze zrobiło!

Opanowała się.

-Dobra, jeśli tak chcesz to wiedzieć, jestem maniaczką wychylania się.

Nie przeprosił. Gapił się dalej.

-To lepsze niż codzienne wdychanie kokainy, nie sadzisz? - spytała.

Nie raczył odpowiedzieć.

Czując rosnącą desperację, lecz usiłując ją zdusić, powiedziała:

-Wczoraj, kiedy było już po wszystkim, jak już dałam Norby'ego temu ratownikowi, wiesz, co przede wszystkim czułam? Nie uniesienie i radość z uratowania go - to też, ale nie przede wszystkim. Nie dumę i rozkosz z pokonania samej śmierci. Przede wszystkim czułam wściekłość. To mnie zaskoczyło, nawet przeraziło. Byłam wściekła, że ten mały chłopczyk ledwo wywinał się śmierci, że jego wujek zginął tuż obok, że został uwieczony pod fotelami razem ze zwłokami, że cała jego niewinność pierzchnęła. Nigdy nie będzie już tym samym chłopcem, który powinien po prostu cieszyć się życiem.

Chciałam kogoś uderzyć, kazać komuś przeprosić go za to, co przeszedł. Los to jednak nie jest oblesny wycieruch w ubranku za grosze, nie można go dopaść i kazać mu przeproszać. Pozostaje mi tylko gotować się we własnej wściekłości.

152

153

Nie mówiła głośno, lecz z coraz większym zaniem. Chodziła szybciej, podniecona. Zamiast gniewu rosło w niej napięcie, które ujawniało całą desperację. Mimo to nie potrafiła się powstrzymać:

-Gotować się we wściekłości. Ale ty jesteś Jim Ironheart. Ty możesz zaradzić temu, jak nikt nigdy przed tobą. I teraz, kiedy wiem o tobie, nie mogę dłużej żyć tak samo, nie umiem wzruszyć ramionami i odejść, bo ty obudziłaś we mnie siłę, o jakiej do tej pory nie wiedziałam, pokazałaś nadzieję, kiedy ja nawet nie podejrzewałam, że ona jest mi potrzebna, wskazałaś drogę do zaspokojenia pragnienia, o którym do wczoraj nie miałam pojęcia, że we mnie tkwi: że chce rewanzu, chce splunąć śmierci w twarz. Cholerny świat, nie możesz po prostu zamknąć za sobą drzwi i zostawić mnie tu bezczynną.

Patrzył na nią.

No to gratuluje, ?orne, powiedziała w duchu pogardliwie. Byłaś ucielesnieniem spokoju i opanowania, świetlistym przykładem samokontroli.

Po prostu na nią patrzył.

Na chłód odpowiedziała uniesieniem, jego wysoce skutecznemu milczeniu przeciwstawiła słowotok. Miała tylko jedną szansę i ją schrzaniła.

Nagle pozbawiona energii, której niedawno miała aż za dużo, usiadła, kupka nieszczęścia. Oparła łokcie na stole, schowała twarz w dłoniach, nie wiedziała - płakać czy krzyczeć. Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Po prostu westchnęła ze znużeniem.

-Chcesz piwa? - spytał.

-Boże, tak.

Jak szczotka z płomieni, zachodzące słońce wciskało się przez zaluzje okna w jadalnianym zakątku kuchni. Na suficie płonęła platanina miedzianozłotych pasów. Holly zapadła się w swój fotel, Jim wychylił się w przód ze swojego. Wpatrywała się w niego, kiedy wbijał wzrok w niedopita butelkę Corony.

-Tak jak mówiłem w samolocie, nie jestem jasnowidzem - powtarzał z uporem.

-Nie potrafię na siłę czeokolwiek przewidzieć. Nie mam wizji. Działa przede mną wyższa potęga.

-Zechciałbys to nieco uscislic?

Wzruszył ramionami.

-Bog.

-Bog z tobą rozmawia?

-Nie rozmawia. Nie słysze głosu Jego ani nikogo innego. Od czasu do czasu jestem zmuszony pojawić się w określonym miejscu o określonej godzinie...

Usiłował jej wytłumaczyć, jak znalazł się w Portland przy szkole McAlburego i na miejscu innych swoich cudownych akcji ratunkowych. Opowiedział jej również o tym, jak ojciec Geary znalazł go na podłodze kościoła przy ołtarzu, ze stygmatami na czole, rękach i boku.

152

153

To była historia nie z tej ziemi, fantastyczna mieszanka, jaka mogłoby splodzić mistycyzm katolickiego heretyka będącego indyjskim znachorem, nafaszerowanym peyotlem, do spółki z twardo chodzącym po ziemi gliniarzem w stylu Clinty Eastwooda. Holly była urzeczona.

-Szczepnie mówiac, nie potrafię się w tym dopatrzeć potężnej reki Boga - dodała jednak.

-A ja tak - powiedział spokojnie.

Widac było wyraźnie, że jego sąd jest ustalony i nie potrzebuje jej potwierdzenia.

-Czasami musiałeś być niesamowicie wkurzony, jak przy tych facetach, którzy porwali Susie i jej matkę na pustyni.

-Dostali to, na co zasługiwali - rzekł beznamiętnie. - W niektórych jest zbyt wiele ciemności,

zepsucia, ktorego nie da sie usunac, nawet gdyby sie rehabilitowali przez piec istnien ludzkich. Zlo jest realne i nawiedza swiat. Czasami diabel dziala poprzez perswazje. A czasem po prostu spuszcza ze smyczy socjopatow, ktorym brak genow empatii i wspolczucia.

-Nie mowie, ze nie powinienes w pewnych sytuacjach postepowac gwaltownie.

O ile sie orientuje, nie miales wyboru. Chodzi mi tylko o to... trudno wyobrazic sobie Boga zachecajacego swego wyslannika, zeby uzywal strzelby.

Pociagnal piwa.

-Czytalas kiedys Biblie?

-Jasne.

-Tam sie mowi, ze Bog starl z powierzchni ziemi zlych ludzi w Sodomie i Gomorze wybuchami wulkanow, trzesieniami ziemi i deszczami ognia. Kiedys sprowadzil potop na caly swiat, prawda? Pograzil zolnierzy faraona w Morzu Czerwonym, utopil wszystkich. Nie sadze, zeby sie mial trzasc nad jedna, wysluzona, niepozorna strzelba.

Wbil w nia te swoje oczy, ktore potrafily byc tak pociagajace, ze kolana jej miekly, lub tak zimne, ze dygotala. Przed chwila cieple, teraz staly sie lodowate. Jezeli nie byla pewna, lodowata odpowiedz potwierdzila, ze jej udzial w jego zyciu jest jeszcze sprawa otwarta.

-Raczej mialam na mysli Boga z Nowego Testamentu. Moze o Nim slyszales - wyrozumialy, wspolczujacy, litosciwy.

-Spotkalem ludzi tak nikczemnych, takie lajno na dwoch nogach, ze byloby obraza dla zwierzat nazwac ich zwierzetami. Gdybym podejrzewal Boga o litosc nad nimi, nie chcialbym miec nic z Nim wspolnego.

Holly stala przy zlewie kuchennym, czyszczac pieczarki i krojac pomidory, a Jim oddzielal bialko od zoltek na omlety.

154

155

-Przez caly czas ludzie umieraja na wyciagniecie reki, tuz za plotem. Ale ty czesto lecisz na drugi koniec kraju, zeby ich ratowac.-Raz Francja - rzekl, potwierdzajac jej podejrzenia, ze bywal w swoich misjach za granica. - Raz Niemcy, dwa razy Japonia, raz Anglia.

-Dlaczego ta wyzsza potega nie daje ci zajecia na miejscu?

-Nie wiem.

-Zastanawiales sie, co jest takiego wyjątkowego w ludziach, których ratujesz?

Dlaczego oni, a nie ktos inny?

-Mhm. Zastanawialem sie nad tym. Kazdego tygodnia widzialem sensacyjne wiadomosci o morderstwach niewinnych ludzi albo o wypadkach tu, w poludniowej Kalifornii, i lamalem sobie glowe, dlaczego On uznal, ze zamiast nich mam ratowac jakiegos chlopca z Bostonu. Doszedlem do wniosku, ze z chlopцем to jest tak: diabel uknul spisek, zeby zabrac go przed czasem, i Bog uzyl mnie, zeby temu zapobiec.

-Tylu z nich to jeszcze dzieci.

-Zauwazylem.

-Ale nie wiesz dlaczego?

-Zupelny brak podejrzen.

W kuchni rozchodzily sie zapachy smazonych jajek, cebuli, zielonej papryki. Jim robil na patelni jeden wielki omlet; zamierzal przekroic go na polowe, gdy sie przyrumieni.

Holly dozorowala proces opalania tostow z pelnoziarnistego chleba.

-Dlaczego Bog chcial, zeby na pustyni uratowal Susie i jej matke - ale nie ojca?

-Nie wiem.

-Ojciec nie wygladal na zlego faceta?

-Nie. Raczej nie.

-Wiec dlaczego nie uratowal ich wszystkich?

-Jak bedzie chcial, zebym wiedzial, powie mi o tym.

Jim nie mial watpliwosci, ze Bog otoczyl go laska oraz wskazuje droge; latwo pogodzil sie rowniez z tym, ze On skazuje na smierc jednych, a ratuje drugich. Dreczylo to Holly.

Z drugiej strony, jak inaczej mial reagowac na niezwyklosci, jakie go spotkaly?

Klotnie z Bogiem byly pozbawione sensu.

Przypomniala sobie stare powiedzenie, komunal nad komunaly: Bog dal mi sile, abym zmienil to, czego nie moge wytrzymac, i pokore akceptowania tego, czego zmienic nie moge, oraz madrosc odrozniania jednego od drugiego. To byla na pewno zdrowa postawa.

Kiedy dwie kromki chleba zaczęły się przyrumieniac, wyciągnęła je z tosterka.

154

155

-Jeżeli Bog chciał uratować Nicolasa O'Connora przed usmażeniem, kiedy rozniosło komorę tego towarzystwa energetycznego, dlaczego po prostu nie zapobiegł spieciu?-Nie wiem.

-Czy nie wydaje ci się to dziwne, że Bog musi korzystać z ciebie, przeganiać cię po całym kraju, rzucać na tego małego O'Connora sekundy przed eksplozją linii o napięciu siedemnastu tysięcy woltów? Dlaczego nie może po prostu... nie wiem... po prostu napluc na ten kabel albo jakos zalatać go boską sliną, zanim się rozwali? Albo zamiast posyłać cię aż do Atlanty, żebyś zabił Normana Rinka w tamtym sklepie, dlaczego Bog po prostu nie przytknął go w głowę i nie spowodował u niego niewielkiego wylewu?

Jim zrecznie przerzucił omlet na patelnię.

-Dlaczego stworzył myszy, które nie dają nam spokoju, i kota, który zabija myszy?

Dlaczego stworzył mszyce, które zżerają rośliny, a potem biedronki, które zjadają mszyce? I dlaczego nie podarował nam oczu z tyłu głowy, chociaż bardzo by się nam przydały?

Skonczyła cienko smarować pierwsze dwa tosty.

-Rozumiem, co chcesz powiedzieć. Niezbadane są ścieżki Pana.

-I to bardzo.

Jedli w kuchni. Omlet, tosty, salatkę z pomidorów i zimne piwo.

Purpurowa pajęczyna zmierzchu zasnęła światem za oknem, a noc wylaniała już twarz.

-Nie jesteś do końca marionetką w tych sytuacjach - powiedziała Holly.

-Jestem.

-Możesz w jakiejś mierze zdecydować o efekcie końcowym.

-Nie.

-No, przecież Bog wysłał cię lotem 246, żebyś uratował jedynie dwie osoby.

-Zgadza się.

-Ale potem wzięłaś sprawy w swoje ręce i uratowałaś więcej ludzi niż tylko Christine i



Casey. Ilu miało umrzeć?

-Stu pięćdziesięciu jeden.

-A ilu w końcu zginęło?

-Czterdziestu siedmiu.

-No i pięknie, uratowałeś sto dwa istnienia ludzkie więcej, niż On ci polecił.

-Sto trzy, wliczając twoje - ale tylko dlatego, że pozwolił mi na to, pomógł.

-Co... uważasz, że Bog chciał, żebyś uratował tylko te Dubrovec, ale potem zmienił zdanie?

-Chyba tak.

156

157

-Bog nie wie, czego chce?-Nie mam pojęcia.

-Bywa dezorientowany?

-Nie wiem.

-Chwiejny?

-Holly, po prostu nie wiem.

-Dobry omlet.

-Dziękuję.

-Nie potrafię pojąć, dlaczego Bog miałby zmieniać zdanie. Przede wszystkim jest nieomylny, prawda? Więc nie może podejmować niewłaściwej decyzji za pierwszym razem.

-Nie zawracam sobie głowy takimi pytaniami. Po prostu o tym nie myślę.

-Oczywiście - odpowiedziała.

Wpatrywał się w nią i poczuła pełny efekt jego spojrzenia, kiedy osiągnęło temperaturę arktyczną. Potem skupił się na piwie i jedzeniu i nie dał się wciągnąć w pare nowych konwersacyjnych gambitów Holly.

Poczuła, że nie ufa jej ani trochę bardziej niż wtedy, kiedy z oporami zaprosił ją do domu. Dalej ją oceniał i - na punkty - przegrywał. Potrzebował solidnego, nokautującego

uderzenia, ale zostawiała je na decydujący moment.

-Dobra, wysłuchałem twoich wywodów, nakarmiłem cie i teraz chce, żebyś poszła.

-Nie, nie chcesz.

Zamrugal.

-Panno ?orne...

-Poprzednio mówiłaś do mnie Holly.

-Panno ?orne, proszę nie zmuszać mnie, żebym panią wyrzucił.

-Nie chcesz, żebym poszła - powtórzyła Holly, starając się nadać głosowi więcej pewności.  
- We wszystkich miejscach twoich akcji ratunkowych podawałaś tylko imię.

Nikt nie dowiedział się o tobie niczego więcej. Poza mnie. Powiedziałeś mi, że mieszkasz w południowej Kalifornii, że nosisz nazwisko Ironheart.

-Nigdy nie twierdziłem, że jesteś złą reporterką, jesteś dobra w wyciąganiu informacji...

-Nic nie wyciągałam. Sam mi to powiedziałeś. I gdybyś tego nie chciał, grizzly z dyplomem inżyniera i łomem w łapie nie wyciągnąłby tego z ciebie. Chce jeszcze piwa.

-Prosiłem, żebyś wyszła.

-Nie musisz się ruszać. Wiem, gdzie je trzymasz.

Wstała, podeszła do lodówki i wyjęła następną butelkę.

156

157

Podejmowała teraz duże ryzyko, przynajmniej jak na nią, ale trzecie piwo stanowiło jakiś pretekst - chociaż wafelki - żeby zostać i porozmawiać. Zeszłej nocy wysuszyła trzy butelki w barku motelu w Dubuque. Ale wtedy była napompowana adrenaliną, superpodniecona i zjezona jak syjamski kot na benzydrynie. Alkohol tracił od razu moc, wpadając w krwioobieg. A przecież nawet wtedy grzmotnęła się na łóżko jak drwał po dobrych kilku szklankach bimbrow. Jeżeli padnie tu, przy Ironhearcie, bez wątplenia obudzi się w samochodzie na ulicy i nigdy więcej nie przestąpi progów tego domu. Otworzyła piwo i wróciła z nim do stołu.

-Chciałaś, żebym cie znalazła - oświadczyła, siadając.

Zdechły pingwin, zmroźony na lodzie, emanowałby większym ciepłem niż spojrzenie

Ironhearta.

-Ach, chcialem.

-Oczywiscie. Dlatego podales mi swoje nazwisko i powiedziales, gdzie moge cie znalezc.

Nie odezwal sie.

-A pamietasz swoje ostatnie slowa na lotnisku w Portland?

-Nie.

-To byla najmilsza zacheta, jaka w zyciu uslyszalam od faceta.

Czekal. Kazala mu czekac jeszcze dluzej, pociagajac lyk piwa prosto z butelki.

-Zanim zamknales drzwi i wszedles do hali, powiedziales: "Tak jak pani, panno ?orne".

-Nie brzmi to dla mnie zachecajaco.

-Bylo romantyczne jak wszyscy diabli. - "Tak jak pani, panno ?orne". A co ty mi powiedzialas? "Jest pan dupkiem, panie Ironheart"?

-Cha, cha, cha - wyskandowala - probuj to unurzac w blocie, prosze bardzo, ale ci sie nie uda; Powiedzialam, ze twoja skromnosc przywraca chec do zycia, a ty na to: "Tak jak pani, panno ?orne". Kiedy to sobie przypomne, jeszcze teraz serce bije mi jak szalone. Wiedziales, co robisz, cicha woda z ciebie. Rzuciles nazwisko, adres, pare tych cholernych spojrzeń, odegrales niewiniatko. Potem dolozyles mi tym "Tak jak pani, panno ?orne" i zniknales jak Bogart.

-Mysle, ze chyba starczy ci piwa.

-Taak? A ja mysle, ze posiedze tu sobie przez cala noc i bede pila.

Westchnal.

-W takim razie lepiej bedzie, jak ja tez sobie otworze.

Poszedl po butelke, wrocil i usiadl.

Holly uznala, ze udalo sie jej zrobic krok naprzod.

158

159

A może próbował wywieść ją w pole. Może ta wspólnota dusz przy coronie to jakaś pułapka. Cwaniak z niego - nie ma co. Może próbuje wygrać z nią w picie. No i przegra, bo ona zwała mu się pod stoł!-Chciales, żeby cię znalazła - powtórzyła.

Nic nie odpowiedział.

-Wiesz, dlaczego chciales, żeby cię znalazła?

Nic nie odpowiedział.

-Chciales, żeby cię znalazła, bo naprawdę myślałes, że moja obecność przywraca chęć do życia, a ty jesteś najbardziej samotnym, najsmutniejszym facetem stąd do Hardrock w Missouri.

Nic nie odpowiedział. Świetnie to robił. Był najlepszym facetem na świecie w siedzeniu z zamkniętą gębą, kiedy to właśnie było potrzebne.

-Mam ochotę ci przyłożyć - powiedziała.

Nic nie odpowiedział.

Jeżeli corona natchnęła ją jakimś poczuciem pewności siebie, to nagle wszystko z niej wyparowało. Poczula, że znowu przegrywa. Przez parę rund miała zapewnioną przewagę punktową, ale oto została pokonana przez jego milczenie.

-Dlaczego te bokerskie porównania latają mi po głowie? - spytała go. - Nie cierpie boksu.

Pociągnął solidny łyk piwa i kiwnięciem wskazał jej butelkę, z której upiła dopiero jedna trzecia.

-Naprawdę chcesz to wypić do końca?

-A co, do cholery. - Świadoma, że piwsko zaczyna za bardzo rozkładać, była jeszcze na tyle trzeźwa, żeby trafić we właściwy moment z zadaniem nokautującego ciosu. - Jeżeli nie powiesz mi o tym miejscu, będę tu siedziała i zapijała się w trupa, aż zamienie się w tłustego, flejtuchowatego piwosza. Odwałam kite na osiemdziesiąte drugie urodziny, kiedy moja wątroba osiągnie wielkość stanu Vermont.

-O miejscu? - Wyglądał na zaskoczonego. - Jakim miejscu?

Teraz. Do zadania ciosu wybrała delikatny, ale wyraźny szept.

-Wiatrak.

Nie upadł na dywan, nie zaczęły mu wirować wokół głowy gwiazdki jak na filmach rysunkowych, ale Holly poczuła, że skamieniał.

-Bylas w wiatraku? - zapytal.

-Nie. Mowisz, ze on istnieje naprawde?

-Jezeli nie wiesz nawet tyle, to skad w ogole mozesz o nim wiedziec?

-Ze snow. Snow o wiatraku. Przez trzy ostatnie noce.

Pobladi. Gorne swiatlo nie bylo wlaczone. Siedzieli w cieniu, oswietleni jedynie rozmytym blaskiem, padajacym spod oslony wyciagu kuchennego, swietlowki przy zle158

159

wie i lampy stolowej z przyleglego salonu, ale Holly widziala, jak bladnie pod opalenizna. Jego oblicze majaczylo w pomroce jak rozpostarte skrzydelka wielkiej snieznobialej cmy. Niezwykla zywosc i niesamowity przebieg nocnego koszmaru - oraz kontynuacja snu w realnosc motelowego pokoju - stanowiły czesciowy dowod ewentualnych powiazan tego zdarzenia z Jimem Ironheartem. Dwa tak szybko nastepujace po sobie spotkania ze swiatem ponadrealnym musialy sie ze soba wiazac. Ale poczula ulge, kiedy jego oszolomienie potwierdzilo te domysly. - Sciiany z wapienia - powiedziala. - Drewniana podloga. Ciezkie drewniane drzwi, wzmacnione zelazem. Za nimi schody z wapienia. Zolta swieca na blekitnej podstawce. - Snilem o nim przez lata - powiedzial miękko. - Raz, dwa razy w miesiacu.

Nigdy czesciej. Az trzy noce temu... Ale jak mogliśmy snic to samo?

-Gdzie stoi prawdziwy wiatrak?

-Na farmie dziadkow. Na polnoc od Santa Barbara. W dolinie Santa Ynez.

-Czy zdarzylo ci sie tam cos straszego?

Potrzasnal glowa.

-Nie. Wcale. Kocham te budowle. To byl... azyl.

-To dlaczego zrobiles sie blady, kiedy o nim wspomnialam?

-Blady?

-Wyobrazasz sobie kota albinosa, kiedy goni mysz i za rogiem wpada na dobermana? Robi sie blady.

-No, wiesz, kiedy snie o tym wiatraku, zawsze czuje lek...

-Nie wiem. Ale bylo ci w nim bezpiecznie, mowiles, ze to azyl. Co on robi w zlych snach?

-Nie wiem.

-Te plyte juz przesluchiwalismy.

-Naprawde nie wiem - powtorzyl z uporem. - Ale dlaczego ty o nim snilas, kiedy nigdy cie tam nie bylo?

Pociagnela jeszcze piwa, co nie usprawnilo jej procesow myslowych.

-Moze dlatego, ze rzucasz na mnie projekcje swojego snu. Jako srodek do polaczenia nas, przyciagniecia mnie do siebie.

-Dlaczego mialoby mi zalezec na przyciagnieciu cie?

-Mily jestes.

-W kazdym razie juz ci mowilem: nie mam zdolnosci ponadmyslowych. Jestem tylko instrumentem.

-W takim razie to ta twoja wyzsza potega - powiedziala. - Posyla mi ten sam sen, bo chce, zebysmy byli razem.

160

161

Otarł twarz.-Jak na razie, mam dość. Jestem cholernie zmęczony.

-Ja też. Ale mamy dopiero w poł do dziesiątej i zostało nam masę rzeczy do obgadania.

-Ostatniej nocy spałem tylko godzinę.

Wyglądał kiepsko. Po goleniu i prysznicu prezentował się niezłe, ale teraz since uwydatniły się i nie odzyskał rumieńców po tym, jak zbladł, gdy usłyszał, że sniła o wiatraku.

-Pomówimy o tym jutro rano - powiedział.

-Nie ma mowy. - Skrzywiła się. - Jak wroce jutro, to mnie nie wpuszczysz.

-Wpuszczcie.

-Teraz tak mówisz.

-Jeżeli masz ten sen, to jesteś częścią tego wszystkiego, czy mi się to podoba, czy nie.

Ton jego głosu znow z chłodnego zrobił się zimny. Było jasne, że mówił: "czy mi się podoba, czy nie", naprawdę myślał: "Chociaż wcale mi się to nie podoba".

Był samotnikiem i na zawsze musiał nim pozostać. Viola Moreno, która za nim przepadała, twierdziła, że zarówno uczniowie, jak i koledzy bardzo go lubili. Jednak mówiła też o głębokim smutku, jaki oddzielał go od innych, i że kiedy rzucił pracę, rzadko widywał się z nią czy innymi przyjaciółmi ze szkoły. Zainteresował się wprawdzie identycznym snem Holly, powiedział, że ona przywraca mu chęć do życia, i do jakiegoś stopnia podobała mu się, ale jasna była jego niechęć wobec prób naruszania samotności.

-Nie zgadzam się - powiedziała Holly. - Nie będzie cie, kiedy się tu zjawie, nie dowiem się, gdzie zniknales, może nigdy nie wrócisz.

Nie miał siły stawiać oporu.

-To zostan na noc.

-Masz wolny pokój?

-Mhm. Ale nie mam wolnego łóżka. Chyba że będziesz spała na kanapie w salonie, tyle że jest stara jak cholera i niezbyt wygodna.

Zniosła swoją do połowy opróżnioną butelkę do salonu i wypróbowała zapadająca się brązowa kanapę.

-Ujdzie.

-Jezeli ci nie przeszkadza... - Staral sie zachowac obojetnosc, lecz wyczula, ze jest udawana.

-Masz druga pizame?

-O Jezu.

-No, przepraszam cie, ale nie wzielam nic ze soba.

-Moja bedzie na ciebie za duza.

160

161

-Wole to niz na golasa. I musze wziac prysznic. Po calym popoludniu na sloncu lepiej sie od kremu do opalania. Z wyrazem twarzy czlowieka, co zastal na progu najmniej lubianego krewnego, ktory wlasnie przybyl z niezapowiedziana wizyta, wskazal jej druga lazienke na gorze, podal reczniki i pizame.

-Staraj sie cicho zachowywac - powiedzial. - Za piec minut mam zamiar spac jak kamien.

Rozkoszujac sie strumieniami goracej wody i klebami pary, Holly cieszyła sie, ze prysznic nie splukal z niej zamroczenia piwem. Ostatnia noc wprawdzie miała lepsza niz Ironheart, ale od kilku dni ani razu nie przespala solidnie osmiu godzin i z przyjemnoscia myslala o snie, jaki zapewni jej corona. Nawet na zniszczonej i zapadajacej sie kanapie.

To zamroczenie umyslu jednak ja niepokoiło. Powinna zachowac pelna koncentracje. Przeciez znalazła sie w domu przedziwnego czlowieka, ktory pozostawal dla niej zagadka, chodzacy mianem zapytania. Niewiele rozumiała z tego, co dzialo sie w jego sercu, ktore przepompowywalo wiecej tajemnic i niewiadomych niz krwi. Mimo calego chlodu, jaki przejawial wobec niej, wydawal sie w gruncie rzeczy czlowiekiem zycziwie nastawionym i trudno bylo uwierzyc, zeby miał jej w czymś zagrozić. Z drugiej strony, ilez to razy można bylo uslyszec o wielokrotnym mordercy szalencu, ktory - po brutalnym wymordowaniu przyjaciel, rodziny i wspolpracownikow - bywal okreslany przez oslupialych sasiadow jako "naprawde mily gosc". Z tego, co wiedziala, aspirujac do roli awataru Boga, Jim za dnia mógł heroicznie nadstawiac karku i ratowac zycie innych, a noca z maniakalnym zadowoleniem torturowac male kotki.

Niemniej, gdy wytarła sie w pachnacy czystoscia miekki recznik kapielowy, pociagnela nastepny dlugi lyk corony, zdecydowala, ze dla calej nocy glebokiego i pozbawionego widziadel snu warto zaryzykowac i dac sie pokrajac na kawalki.

Wlozyla pizame, podwinela nogawki i rekawy.



Wziela w reke butelke, cos tam jeszcze na dnie chlupalo, cicho otworzyla drzwi lazienki i wyszla na korytarz. W domu panowala dziwna cisza.

Zmierzajac ku schodom, minela otwarte drzwi sypialni i zajrzala do srodka. Mosiezne kinkiety zawieszzone po dwoch stronach lozka. Jedna z lamp rzucala waski krag bursztynowego swiatla na zmieta posciel. Jim lezal na plecach, z ramionami pod glowa, na dwoch poduszkach. Nie wygladalo, zeby spal.

Zawahala sie, potem stanela w otwartych drzwiach.

-Dzieki - powiedziala cicho, na wypadek gdyby spal. - Czuje sie duzo lepiej.

-Ciesze sie.

162

163

Holly weszla do pokoju i na tyle zblizyla do lozka, ze ujrzala jego niebieskie oczy swiecace w kregu lampy. Przescieradlo przykrywalo go do polowy piersi. Nie mial na sobie gory od pizamy. Klatka piersiowa i ramiona byly szczuple, ale dobrze umiesnione.-Myslalam, ze juz bedziesz spal.

-Chce i powinienem, ale nie moge przestac myslec.

-Viola Moreno mowila, ze bywasz smutny - powiedziala, spogladajac na niego z gory.

-Nie proznowalas, co?

Pociagnela lyczek piwa. Zostal jeszcze jeden. Przysiadla na krawedzi lozka.

-Twoi dziadkowie ciagle maja te farme z wiatrakiem?

-Oni nie zyja.

-Och, przykro mi.

-Babcia umarla piec lat temu, dziadek osiem miesiecy pozniej - jakby nie chcial zyc bez niej. Mieli dobre, urozmaicone zycie. Ale brak mi ich.

-Masz kogos?

-Dwoch kuzynow w Akron.

-Utrzymujecie kontakty?

-Nie widziałem ich od dwudziestu lat.

Dopila resztkę piwa. Cisza ich nie krepowała. Przeciwnie, czuli się z nią dobrze.

Wstała, podeszła do łóżka z drugiej strony. Odsunęła przykrycie, położyła się obok niego, złożyła głowę na poduszkach.

Nie robił wrażenia zaskoczonego. Ani ona.

Po chwili splelił dłonie, leżeli obok siebie, wpatrzeni w sufit.

-To musiało być ciężkie - powiedziała - stracić rodziców, kiedy ma się dopiero dziesięć lat.

-Okropne.

-Jak to się stało?

Zawahał się.

-Wypadek drogowy.

-I zamieszkałeś z dziadkami?

-Mhm. Pierwszy rok był najcięższy. Było ze mną niedobrze. Ciągle siedziałem w tym wiatraku. To wyjątkowe miejsce. Chodziłem tam się bawic... sam.

-Szkoda, że nie byliśmy razem jako dzieci.

-Dlaczego?

Pomyślała o Norbym, o chłopcu, którego wyciągnęła z sarkofagu przewroconych foteli DC-10.

162

163

-Wtedy mogłabym wiedzieć, jaki byłeś przed utratą rodziców, nieskazoni śmiercią. Następne chwile minęły w milczeniu. Kiedy się odezwał, mówił tak cicho, że Holly z trudnością odróżniała jego głos od bicia własnego serca.

-Viola też jest smutna. Wygląda na najszczęśliwszą kobietę na tym świecie, ale straciła męża w Wietnamie i nigdy się z tym nie pogodziła. Ojciec Geary, ten ksiądz, o którym ci mówiłem, wygląda jak przeciętny proboszcz oddany sprawom parafii. Jak postać z jednego z tych sentymentalnych katolickich obrazków, kreconych w latach trzydziestych i czterdziestych. Ale kiedy go poznałem, był zmęczony i niepewny własnego powołania. A

ty... no coż, jesteś bardzo piękna i miła, i wyglądasz na przebojową osobę, jednak nie zgadlbym, że potrafisz być tak uparta. Robisz wrażenie kobiety, która nigdy nie popłynie pod prąd, zawsze z nim, najlżej jak się da. A jednak jesteś jak buldog, kiedy już wbije w coś zębami.

Wpatrując się w cętki światła i cienie na suficie i trzymając jego silną dłoń, Holly przez moment zastanawiała się nad tym, co powiedział.

-Do czego zmierzasz? - spytała w końcu.

-Ludzki charakter jest zawsze bardziej... skomplikowany, niż to sobie wyobrazasz.

-Czy to obserwacja... czy ostrzeżenie?

Robił wrażenie zaskoczonego jej pytaniem.

-Ostrzeżenie?

-Może ostrzegasz mnie, że naprawdę nie jesteś taki, na jakiego wyglądasz.

Długa cisza.

-Może - odparł w końcu.

Jej milczenie nie było krótsze.

-Chyba jest mi to obojętne - powiedziała.

Obrocił się do niej. Przysunęła się do niego z niesmiałością, jakiej nie czuła od wielu lat. Jego pierwszy pocałunek był łagodny i bardziej oszalamiający niż trzy butelki albo i trzy skrzynki corony.

Holly rozumiała, że się oszukiwała. Piwo nie było jej potrzebne do uspokojenia nerwów ani jako środek nasenny. Piła, bo potrzebowała dodać sobie odwagi do uwiedzenia - lub do oddania się. Poprzednio odgadywała, że jego samotność osiągnęła rozmiary przepaści, i powiedziała to. Teraz pojęła, że jej osamotnienie jest jeszcze głębsze, a jedynie znikoma część tego, co czuje, płynie z rozczarowania dziennikarstwem; w większości był to po prostu wynik życia w pojedynkę, jakie prowadziła, odkąd przekroczyła próg dorosłości.

Dwie pary spodni i jedna góra od pizamy rozplynęły się pomiędzy nimi jak czasem ubrania rozplywają się w snach erotycznych. Przesunęła ręce po jego ciele, czując narastające podniecenie, a także zachwyt, iż zmysły potrafią przekazać takie bogactwo kształtu, dotyku oraz wzbudzić tak cudowne, bolesne pragnienie.

Miała śmieszne, romantyczne wyobrazenie na temat kochania się z nim, jak dziewczyna patrząca na świat rozmarzonymi oczami. Miało to być coś niezrównanie namietnego: połączenie najśladziej czułości i najgorętszego, czystego seksu. Każdy miesiąc ich ciał miał się rozluźnić i spinać w subtelnej harmonii, każde zaborcze wtargnięcie miało potwierdzać wzajemne oddanie. Dwoje stanie się jednym. Zewnętrzny świat rozumu pochłonięty przez wewnętrzny świat uczucia; słowa idealnie oddające namietność, oddechy odmierzające czas; ciała płyną, splecione w identycznym, tajemnym rytmie, w jakim potężne, niewidzialne siły natury wznoszą się i opadają w przyływach i odpływach, czyniąc z aktu seksualnego doznanie mistyczne. Oczywiście, te oczekiwania były śmieszne. W rzeczywistości było więcej czułości, żaru i o wiele, wiele lepiej niż w marzeniach. Spali blisko siebie jak łyżeczki w szufladzie, jej brzuch dotykał jego pleców, biodra wspierały się o ciepłe pośladki. Po kilku godzinach, o tej porze nocy, o której byli zwykle - ale już nie teraz - najbardziej samotni, obudził ich identyczny, bezgłosny alarm odnowionego pożądania. Obrócił się do niej. Przyjechała go i tym razem ich ciała pobudzała jeszcze większa żądza. Pierwsze zbliżenie nie odebrało pasji ich namietnościom, wzmocniło je, podobnie jak pierwsza dawka heroiny tylko wzmacnia chęć osoby uzależnionej na następną.

Z początku, patrząc w piękne oczy Jima, Holly poczuła się tak, jakby wpatrywała się w najczystszy płomień jego duszy. Potem ujął ją mocno, na wpol uniosł, wsuwając się w nią, i poczuła, jak zadrapania palają po bokach. Przypomniała sobie pazury tamtej istoty, która w magiczny sposób wykroczyła poza obszar snu. Przez moment, w którym ból rozplomieniał się w płytkich ranach, jej percepcja uległa zachwianiu i odniosła niemile wrażenie, że wpatruje się w zimny, niebieski płomień, który nie daje ciepła. Ale pewnie była to jedynie reakcja na szczypiące zadrapania i pobudzone przez ból wspomnienia sennego koszmaru. Kiedy przesunął pod nią dłoń w dół, unosząc ją na spotkanie swego ciała, był jedynie i wyłącznie gorącym. Razem rozniecili tyle żaru, że wystarczył w zupełności, aby stopić ten krótkotrwały wizerunek lodowej duszy.

Niewidoczny księżyc rozwidniał szronową bielą krawędzie czarnych jak węgiel chmur, klebiących się po nocnym niebie.

Inaczej niż w poprzednich snach, Holly stała na dworze, na wysypanej żwirem ścieżce, biegnącej od stawu i lanu kukurydzy ku drzwiom wiatraka. Kamienna budowla sterczała nad nią pod ostrym kątem, sprawiając wrażenie obcej, pozaziemskiej konstrukcji.

Potężne skrzydła, szczerzące polamane płyty drewna, odcinały się wyraźnie na tle groźnego nieba jak pochylony krzyż. Rozhukany wiatr marszczył powierzchnię

mentowoczarne stawu srebrnymi falami, grzechotał kolbami kukurydzy, ale nie poruszał skrzydłami. Wiatrak musiał być nieużywany przez lata i mechanizm najprawdopodobniej tak

zardzewiał, że skrzydła nie mogłyby drgnąć. Widmowe, brudnożółte światło migotało w wąskim okienku wyższego pomieszczenia na piętrze. Za szybą dziwne cienie przesuwały się w kamiennych ścianach tej podniebnej izby.

Nie chciała tam iść. Żadne miejsce nie budziło w niej nigdy większej obawy. Ale nie potrafiła się zatrzymać. Przyzywało ją, jakby była niewolnica poddana zakleciu potężnego czarownika.

Na lewo cień wiatraka kładł się dziwnie na ścianie. Obróciła się, żeby spojrzeć. Światło i mrok padało odwrotnie, niż powinno. Cień wiatraka nie padał geometryczną figurą na delikatną płaszczyznę księżycowego światła; to obraz wiatraka był jasniejszy niż powierzchnia stawu, jakby budowla jarzyła się, stanowiąc najwyraźniejszy obiekt w nocnej pomroce, choć w istocie kamienne gałęzie piętrzyły się, tworząc ponury hebanowy stos.

Wysokie okna budynku były rozjaśnione migotliwym światłem, na odbiciu czarne prostokąty niesamowicie pływały jak puste oczodoly w odartej ze skóry czaszce.

Skrzyp... skrzyp... skrzyp...

Podniosła wzrok.

Ogromne skrzydła zaczęły drzeć i poruszać się na wietrze. Wprawily w ruch przerdzewiałe koła zębate, potężny wał i wreszcie kamienie młyńskie na dole.

Marzac bezskutecznie o przebudzeniu i nie mogąc uciec zwirowana ścieżka, która przysła, Holly czuła, jak coś nieodparcie ciągnie ją w przód. Gigantyczne skrzydła zaczęły obracać się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zwiększając szybkość, biegły coraz ciszej, w miarę jak koła kreciły się coraz głębiej. Robiły na niej wrażenie palców monstrualnej dłoni. Każdy ostry koniec polamanego drewnianego płatu był jak szpon.

Dotarła do drzwi.

Nie chciała tam wchodzić. Wiedziała, że w środku rozciąga się zakątek piekła, złowrogi jak izby tortur opisywane w grzmiących kazaniach straszącego siarką i ogniem piekielnym kaznodziei z dobrego, starego Salem. Wejście znaczyło nigdy nie wyjść żywym.

Skrzydła przelatowały jej nad głową zaledwie z metr i spekane drewno wyciągało się po nią.

Wiuum, wiuum, wiuum, wiuum.

W szponach transu silniejszego niż przerazenie otworzyła drzwi. Przystąpiła progiem. I, jak to tylko w snach jest możliwe, drzwi wrogo wyszarpnęły się z jej ręki i zatrzasnęły za plecami niby coś żywego.

Przed nią rozciągało się mroczne, dolne pomieszczenie, w którym stare kamienie mlynskie tarły o siebie.

166

167

Z lewej strony, ledwo dostrzegalne w półmroku, wznosiły się schody. Nieludzkie piski i przeraźliwe krzyki rozbrzmiewały Holly nad głową jak nocny koncert mieszkańców dżungli. Tylko że zaden z tych głosów nie wydobywał się z gardła lamparta, małpy, ptaka ani hieny. Przypominało to elektroniczne odgłosy, ostry wizm owadów przepuszczony przez wzmacniacz stereo. Te kakofonie podkreślał monotony, pulsujący trzynutowy refren odbijający się od kamieni klatki schodowej oraz - nim dotarła do połowy pierwszego pietra - w kosiach Holly. Mijała wąskie okienko w murze po lewej ręce. Długa seria piorunów zawibrowała światłem w ciemnościach nocy. U stop wiatraka, jak w cyrkowym numerze z lustrami, powierzchnia stawu zrobiła się przezroczysta. Odkryło się dno, jakby błyskawica wychynęła z wody, i Holly ujrzała jakiś nieskonczonego dziwny kształt, który spoczywał na dnie. Wyteżyła wzrok, aby dojrzec go lepiej, ale pioruny kolejno wygasły z trzaskiem.

Sam tylko zarys ujranej istoty spowodował, że drzenie przebiegło ją do szpiku kości.

Czekała, licząc na to, że pioruny powrócą, ale noc pozostała gęsta jak smoła. Ciemny deszcz zabębnił nagle o okno. Tu, na polpietrze, pobłyskiwało więcej brudnopomarańczowego i żółtego światła niż u stop schodów. Szyba okienna, wsparta ciemnością i oświetlona na tyle, aby móc posłużyć za niewyraźne zwierciadło, odbiła jej wizerunek.

Ow wizerunek nie należał do niej, tylko do kobiety o dwadzieścia lat starszej. Nie była nawet podobna.

Nigdy przedtem nie zdarzyło się jej przybrać we śnie ciała innej osoby. Teraz zrozumiała, dlaczego nie miała siły odejść od wiatraka, kiedy jeszcze znajdowała się na dworze. Dlaczego musiała wejść wyżej. Na jakims poziomie świadomości wiedziała, że śni.

Jej bezwolałość nie była wywołana zwykłym poczuciem bezradności przemieniającym sny w koszmary, ale stanowiła rezultat wejścia w ciało innego człowieka.

Kobieta odwróciła się od okna i szła dalej w górę w kierunku piekielnych wrzasków, krzyków i szeptów, które biegły ku niej wraz z niepewnym światłem. Wokół kamienne ściany dudniły trzynutowym basowym rytmem, jakby wiatrak był żywą istotą i miał ogromne trzykomorowe serce.

Stój, zawróć, na gorze czeka śmierć, krzyczała Holly, ale kobieta nie mogła jej usłyszeć. Holly we śnie była jakby jedynie obserwatorem, a nie aktywnym uczestnikiem, i nie miała wpływu na bieg zdarzeń. Krok po kroku. Wyżej.

Okute zelazem drewniane drzwi staly otworem. Przekroczyła prog. Weszła do gornego pomieszczenia. Najpierw ujrzała chłopca. Stal na srodku pokoju, zmartwialy z przerazenia. Male rece, zwiniete w piesci, zwiesil po bokach. Ozdobna swieca na blekitnej podstawie stala u jego stop. Ksiazka w sztywnych okladkach lezala obok. Na kolorowej okladce dostrzegla slowo "wiatrak".

166

167

Obracajac sie do niej, z oczami powlęczonymi mgla przerazenia, chłopiec zawolal:-Boje sie, pomoz mi, sciany, sciany!

Uswiadomila sobie, ze pojedyncza swieca nie stanowila jedyne go zrodla szczegolnego blasku, ktory wypelnial pomieszczenie. Sciany rowniez migotaly swiatlem, jakby nie zostaly wzniesione z litego kamienia, ale polprzezroczystego, polyskujacego kwarcu w kolorze bursztynu. Od razu spostrzegla cos zywego wewnatrz kamienia, cos swiecacego, co poruszalo sie w gestej materii rownie latwo jak plywak w wodzie. Sciana nabrzmiala i przebiegl ja dreszcz.

-Nadchodzi - powiedzial chłopiec z wyraznym strachem, ale rownoczesnie z jakas perwersyjna ekscytacja - i nikt go nie zatrzyma!

Nagle to narodziło się ze sciany. Wybrzuszone kamienne bloki, spojone zaprawa, pekly jak gabczasta powloka owadziego jaja, i z pekniecia, nabierajac ksztaltu, cuchnace lajno...

-Nie!

Dlawiac sie krzykiem, Holly zerwala sie ze snu. Siadla na lozku, cos dotknelo jej ramienia, odsunela sie gwałtownie. Byle dalej. Pokoj byl skapany w dziennym swietle i dojrzala, ze to Jim. Sen. To tylko sen.

Jednak tak jak dwie noce temu, w motelu w Laguna Hills, potwor ze snu i tu usilowal wejsc do realnego swiata. Tym razem nie przez sciane. Przez sufit. Wprost nad lozkiem. Pomalowany na bialo suchy gips nie byl juz bialy ani suchy, ale w kolorach bursztynu i brazu, na wpol przezroczysty i swiecacy jak kamien ze snu, ociekal obrzydliwym sluzem, peczniejac; jakis niewiadomy stwor usilowal wedrzec sie do sypialni.

Trojkrotne gromowe bicie serca istoty ze snu - lab-dab-DAB, lab-dab-DAB - wstrzasalo domem.

Jim stoczyl sie z lozka, poderwal na nogi. W nocy wsliznal sie w spodnie od pizamy, a Holly wlozyla na siebie obszerna koszule, ktora teraz zwisala jej do kolan. Skoczyla na podloge po swojej stronie. Wpatrywali sie, przejeci groza, w pulsujace lozysko, w ktore zmienil sie sufit. Niewyraźny kształt mial sie i wil, aby rozerwac petajaca go powloke.

Najbardziej przerażające było to, że zjawil sie za dnia. Zaluzje niezbyt dokładnie spuszczone i strugi dziennego swiatla przecinaly pokoj. Kiedy cos z Tamtej Strony nawiedza cie w srodku nocy, na wpol sie z tym godzisz. Ale swiatlo sloneczne winno przeganiac wszystkie koszmary.

Jim polozyl dlon na plecach Holly, pchnal ja w kierunku drzwi otwartych na korytarz.

-Wychodz, wychodz stad!

Zdazyla zrobic tylko dwa kroki, zanim drzwi zamknely sie same. Mahoniowa wysoka komoda, rownie stara i zuzyta jak wszystko w tym domu, jakby ulegajac dzialaniu

168

169

niezwykle poteznego ducha, oderwala sie od sciany tuż obok niej, nieomal zwalajac ja z nog. Przefrunela przez pokoj i grzmotnela w drzwi. Serwantka i krzeslo polecialy za komoda, skutecznie barykadujac jedyne wyjscie. Okna po drugiej stronie sypialni mogly stanowic droge ucieczki, ale musieliby kucnac i przesliznac sie pod coraz bardziej opadajaca srodkowa partia sufitu. Przyjawszy do wiadomosci szalencza logike snu w realnym swiecie, Holly brzydyla sie otluszczonego i obrzydliwie pulsujacego brzucha. Bala sie, ze podczas przeciskania sie pod nim rozpeknie sie i potwor ze srodka ja porwie.

Jim pociagnal ja za soba do lazienki sasiadujacej z sypialnia. Kopnieciem zamknal drzwi.

Holly obrzucila spojrzeniem wnetrze. Jedyne okienko bylo za wysoko i zbyt waskie, zeby umozliwic ucieczke. Sciany lazienki nie przeszly transformacji w zywy organizm jak w sypialni, ale rowniez trzesly sie od basowego dudnienia serca wrogiej istoty.

-Co jest, do diabla? - spytal roztrzesiony.

-Nieprzyjaciel - odpowiedziala od razu, zaskoczona jego niewiedza.

-Nieprzyjaciel ze snu.

Nad ich glowami, poczynajac od scianki pomiedzy sypialnia a lazienka, biały sufit zaczal zmieniac kolor, jakby nagle nasaczono go krwia i ciemna zolcia. Na wpol polyskliwa farba na gipsie przechodzila metamorfoze w biologicznie ozywiona plaszczyzne, drgajaca do rytmu ogluszajacego lomotania serca.

Jim zaciagnal ja do kata obok lustra. Przylgnela bezradnie do mezczyzny.

W ciezarnym obwisie sufitu dojrzala przejmujacy wstretiem ruch. Miliony wijacych sie w goraczce robakow.



Dudnienie serca roslo, otaczalo ich.

Doszedl ja odglos pekajacej wilgotnej materii. Nic z tego, co sie tu dzialo, nie powinno sie dziaz. Ow odglos urealnial obrazy przed jej oczami, byl wstretny i ohydnie natarczywy, zbyt prawdziwy jak na zludzenie lub sen.

Drzwi otwarly sie z trzaskiem. Sufit pekl, osypujac ich gruzem.

Ale po tym peknieciu moc koszmaru sie wyczerpala. Realnosc odzyskala utracony teren. Nic nie wkroczylo przez rozwarte drzwi; za nimi znajdowala sie jedynie skapana w sloncu sypialnia. W momencie osuwania im sie na glowy sufit robil wrazenie zywego, ale teraz nie zachowal sladu poprzedniej metamorfozy; znow byl wylacznie sufitem.

W osypisku gruzu lezaly kawalki parkietu, pokawalkowany lub zmielony na proszek gips, deski, mekkie pakuly izolacji z warty szklanej - nic zywego.

Sama dziura wystarczyła, zeby wstrzasnac Holly. Dwie noce temu w motelu sciana nabrzmiala i drgala jak zywa, ale powrocila do normalnego stanu, nie zostawiajac jednej rysy. Potwor ze snu nie pozostawil po sobie zadnego sladu poza zadrapaniami na jej bokach. Psychoanalityk moglby zreszta powiedziec, ze sama je zrobila. Teraz, w miare jak kurz opadal, wszystko mogloby okazac sie nieprawdopodobnym zludzeniem.

168

169

Ale rumowisko u ich stop nie bylo zludzeniem. Bialy pyl unosil sie w powietrzu. Jeszcze w szoku, Jim wzial ja za reke i wyprowadzil z lazienki. Sufit w sypialni nie zapadl sie. Byl jak w nocy - bialy i gladki. Ale meble pietrzyly sie przy drzwiach, jak zmiecione powodzia.

Szalenstwo za dom wybiera ciemnosc, swiatlo jest domena trzezwego umyslu. Jezeli swiat zastany po przebudzeniu nie stanowil juz azylu przed koszmarami nocy, jezeli swiatlo dnia nie chronilo przed obledem - oznaczalo to, ze azylu nie ma nigdzie, nigdy, dla nikogo.

3

Strych oswietlala pojedyncza szescdziesieciowatowa zarowka zwisajaca z belki. Nie rozjasniala wszystkich katow ciasnej zakurzonej przestrzeni. Jim, swiecac latarka, zagladal w kazda dziure, obchodzil przewody cieplne, obydwie kominy, szukajac... czegokolwiek, co rozerwalo sufit w lazience. Poza latarka mial przy sobie nabity rewolwer. Istota, ktora zniszczyla sufit, nie wdarla sie do lazienki, musiala wiec pozostac na strychu. Jednak bylo w nim niewiele miejsc nadajacych sie na kryjowke. Jim, zyjac skromnie, nic tu nie przechowywal. Szybko okazalo sie, ze w najwyzszych partiach domu nie ma nikogo, jesli nie liczyc pajakow i skromnej kolonii os, ktore zbudowaly sobie gniazdo na zbiegu belek dachu.

Nic nie mogło stąd również uciec. Poza włazem, przez który się tu dostał, jedyne drogi ucieczki stanowiły wyloty przewodów wentylacyjnych, mieszczące się po przeciwległych stronach dachu. Każdy miał poł metra długości i ponad trzydzieści centymetrów wysokości. Były przykryte ciasno dopasowanymi ekranami, które można było zdjąć tylko po uprzednim usunięciu srub. Żaden z ekranów nie został naruszony.

Część przestrzeni pokrywała podłoga. Miejscami jednak leżały tylko warstwy izolacji, poprzecinane nagimi belkami stropowymi. Przesuwając się po tych równoległych podporach, Jim ostrożnie zbliżył się do otworu ziejącego nad łazienką. Zerknął w dół na pokrytą gruzem podłogę, tam gdzie niedawno stał z Holly.

Co się, do diabła, wydarzyło?

W końcu pogodził się z tym, że na gorze nie znajdzie niczego. Wrócił do otwartego włazu i opuścił się do pomieszczenia na bieliznę, na piętrze. Drabinka złożyła się w harmonijkę, odjeżdżając pod sufit i gładko domykając wejście na strych.

Holly czekała na niego w korytarzu.

-No i?

-Nic.

-Tego się spodziewałam.

170

171

-Tego, co się tu stało?-To było jak w śnie.

-W jakim śnie? - spytał gwałtownie.

-Mówiłeś, że tobie też się to śni.

-Tak.

-Więc wiesz o dudnieniu serca w ścianach.

-Nie.

-I o tym jak, ściany się zmieniają.

-Nie, nie mam pojęcia, na litość boską! W moim śnie siedzę w wysokiej izbie wiatraka, pali się świeczka i deszcz zaczyna o szyby.

Przypomniała sobie, jaki był zdumiony, kiedy nad ich głowami sufit w sypialni wzdał się i przemienił.

-W moim śnie - powiedział - czuję, że coś się zbliża, coś przerażającego i strasznego...

-Nieprzyjaciel - wyjaśniła.

-Tak! Obojętne, co to znaczy. Ale to nigdy się nie pojawia, nie u mnie. Zawsze budzę się wcześniej.

Poszedł w dół korytarza, do sypialni. Szła za nim. Stał przy zniszczonych meblach, które wcześniej odsunął od drzwi, i patrzył oglupiały na nietknięty sufit.

-Widziałem to - odezwał się takim tonem, jakby nazwała go kłamca.

-Wiem - powiedziała. - Ja też.

Obrocił się do niej. Wyglądał na bardziej zdesperowanego niż na pokładzie fatalnego DC-10.

-Opowiedz mi o swoich śnach, muszę wszystko wiedzieć, znać każdy szczegół.-Później. Najpierw weźmy prysznic i ubierzmy się. Chcę stąd wyjść.

-Mhm, dobra, ja też.

-Mam nadzieję, że wiesz, gdzie powinniśmy pojechać.

Zawahał się.

-Do wiatraka - powiedziała za niego.

Skinal głową.

Wzięli razem prysznic w gościnnej łazience, żeby zaoszczędzić czasu, lecz również dlatego, że oboje czuli zbyt wielkie napięcie, aby choć na chwilę pozostać samemu.

Holly pomyślała, że będąc w innym nastroju, odczuwałaby erotyczną przyjemność. Ale okazało się to przezyciem zaskakująco platonicznym, jeśli się wzięło pod uwagę płomienne doznania niedawno minionej nocy.

Zbliżył się do niej tylko w momencie, kiedy wyszli spod prysznicza i szybko wycierali. Objął ją, pocałował w kącik ust i szepnął:

-W co ja cię wpakowałem, Holly ?orne?

Później, kiedy Jim w pośpiechu pakował walizkę, Holly przeszła do gabinetu na gorze, tuż obok sypialni. Pokój wyglądał na od dawna nieużywany. Cienka warstwa kurzu pokrywała blat biurka. Jak i reszta domu, gabinet umeblowany był skromnie. Tanie biurko prawdopodobnie zostało kupione na wyprzedzający jakiegoś magazynu zaopatrującego biura. Oprócz tego dwie lampy, fotel obrotowy, dwie stojące polki, wypchane do niemożliwości szczytanymi książkami, i stół do pracy równie pusty jak dawno nieużywane biurko.

I ponad dwie setki książek, a wszystkie dotyczyły religii: opasłe dzieła o historii islamu, judaizmu, buddyzmu, zen, chrześcijaństwa, hinduizmu, taoizmu, szintoizmu i innych religii; zebrane dzieła św. Tomasza z Akwinu, Marcina Lutera; "Scientists and Their Gods"; Koran; Tora wraz ze Starym Testamentem i Talmudem; oraz święte księgi:

Tipitaka - buddyzmu, Zend-Awesta - zoroastryzmu i Wedy - hinduizmu.

Komplet literatury tego rodzaju w osobistej bibliotece musiał budzić zdumienie, ale w pokoju najbardziej interesująca była galeria zdjęć na dwóch ścianach. Większość odbitek była czarno-biała, jedynie pare w kolorze. Znajdowała się na nich ta sama trojka ludzi: uderzająco piękna brunetka, przystojny mężczyzna o wyrazistych rysach i przeczczonych włosach i dziecko, którym mógł być tylko Jim Ironheart. Te oczy. Jedna fotografia pokazywała Jima z parą dorosłych - na pewno z rodzicami - kiedy był jeszcze niemowlakiem owiniętym w koc, a na pozostałych miał od czterech do dziesięciu lat.

Oczywiście, kiedy miał dziesięć lat, jego rodzice umarli.

Niektóre zdjęcia pokazywały młodego Jima z tatą, niektóre z mamą, i Holly nabrała przekonania, że brakujący rodzic musiał stać za kamerą. Niektóre fotografie pokazywały trojkę Ironheartów. Z biegiem lat uroda matki zyskiwała na wyrazie, czupryna ojca rzedniała, ale robił wrażenie coraz szczęśliwszego, a Jim szedł w ślady matki i prezentował się coraz korzystniej.

Często tłem było jakieś sławne miejsce albo znak drogowy z właściwą nazwą. Jim w wieku jakichś sześciu lat i dwojka rodziców przed Radio City Music Hall. Jim w wieku pięciu lat z ojcem na chodniku w Atlantic City. Jim i jego matka przy znaku drogowym Grand Canyon National Park, a za nimi cała panorama. Cała trojka Ironheartów przed Zamkiem Śpiącej Królewny w sercu Disneylandu, kiedy Jim mógł mieć około osmiu lat.

Skapany w słońcu Fontainebleau Hotel w Miami Beach. Taras widokowy wychodzący na Mount Rushmore. Pałac Buckingham w Londynie. Wieża Eiffla. Tropicana Hotel, Las Vegas. Wodospad Niagara. Byli chyba wszędzie.

W każdym razie niezależnie od tego, kto trzymał kamerę albo gdzie robiono zdjęcie,

wszyscy na fotografii wyglądali na naprawdę szczęśliwych. Żadna twarz nie zastygła w nieszczerym uśmiechu ani nie została przyłapana w jednym z tych "a-zrobze-to-cho172

173

lernerne-zdjecie" wyrazow zniecierpliwienia, jakie zdobia obficie albumy rodzinne. Często zasmiewali sie, nie tylko uśmiechali, a kilka razy zostali przyłapani podczas takich czy innych wyglupow. Cala trojka lubila sie sciskac, nie wystarczalo im stac obok siebie w sztywnych pozach. Zwykle obejmowali sie, czasem tulili, czesto calowali w policzek albo w jakis inny naturalny sposob okazywali sobie sympatie. Chlopiec na fotografiach w niczym nie zapowiadal ponuraka, jakim czesto obecnie byl Jim. Holly zrozumiala, ze przedwczesna smierc rodzicow zostawila na nim niezatarte pietno. Beztroski, szeroko uśmiechniety chlopiec ze zdjec zniknal bezpowrotnie.

Szczegolnie jedna czarno-biala fotografia przykula jej uwage. Pokazywala ona pana Ironhearta, gdy siedzial na krzesle z wysokim, prostym oparciem. Jim, moze siedmioletni, siedzial ojcu na kolanach. Mieli na sobie smokingi. Pani Ironheart stala za plecami meza z reka wsparta na jego ramieniu. Obcisla, ozdobiona cekinami sukienka koktajlowa podkreslala jej wspaniala figure. Patrzyli wprost w kamere. Inaczej niz na pozostalych zdjeciach tu przybrali staranne pozy, cale tlo stanowil tylko zrecznie udrapowany kawalek tkaniny, wszystko wskazywalo na zawodowego fotografa.

-Byli cudowni - powiedzial od drzwi Jim. Nie uslyszala jego krokow. - Zadne dziecko nie mialo lepszych rodzicow.

-Duzo podrozowaliscie.

-Mhm. Zawsze gdzies sie wybierali. Uwielbiali pokazywac mi nowe miejsca. Byliby z nich wspaniali nauczyciele, wierz mi.

-Co robili.

-Tato byl ksiegowym w Warner Brothers.

-W studio filmowym?

-Tak. - Jim uśmiechnal sie. - Mieszkalismy w L.A. Mama... ona zawsze chciala byc aktorka, ale nigdy nie udalo sie jej podlapac czegos powaznego. Przewaznie pracowala jako hostessa w restauracji na Melrose Avenue, niedaleko od studiow Paramountu.

-Byliscie szczesliwi, prawda?

-Zawsze.

Wskazala na zdjecie, na ktorym od calej trojki bil uroczysty blask.

-To jakas specjalna okazja?

-Kiedy swietowali rozne okazje, jak rocznice slubu, nie moglo mnie zabraknac.

Dzieki nim zawsze czulem sie kims wyjatkowym, potrzebnym, kochanym. Mialem siedem lat, kiedy zrobiono to zdjecie, i pamietam, ze tego wieczoru snuli wspaniale plany.

Ich malzenstwo mialo trwac sto lat, z kazdym rokiem coraz szczesliwsze, chcieli miec jeszcze mase dzieci, ogromny dom, planowali podroze w kazdy zakatek swiata, zanim umra razem we snie. Ale w trzy lata pozniej... odeszli.

-Przykro mi, Jim.

Wzruszyl ramionami.

172

173

-To dawne czasy. Dwadziescia piec lat. - Spojrzal na zegarek. - Chodz, jedziemy. Dojazd do farmy zajmie cztery godziny, a juz jest dziewiata.

W motelu Laguna Hills Holly szybko wskoczyla w dzinsy i koszule w niebieska krate.

Spakowala reszte swoich rzeczy. Jim wrzucil walizke do bagaznika.

Kiedy oddawala klucz i placila rachunek w recepcji, czula na sobie spojrzenie, jakim mierzyl ja zza kierownicy forda. Oczywiscie, gdyby sie w nia nie wpatrywal, bylaby rozczarowana. Ale za kazdym razem, kiedy spogladala na niego przez szybe, byl tak nieruchomy, tak zimny i pozbawiony wyrazu za mocno przyciemnionymi szklami, ze ta jego niepodzielna uwaga jakos ja niepokoila.

Zastanawiala sie, czy postepuje wlasciwie, jadac z nim do doliny Santa Ynez. Kiedy wyjdzie z motelu i wsiedzie do samochodu, Jim stanie sie jedyna osoba na swiecie, ktora bedzie wiedziala, gdzie ona sie podziewa. Wszystkie notatki, jakie miala na jego temat, spoczywaly w walizce; wyparuja wraz z nia. Stanie sie kobieta, ktora znikla, udajac sie na wakacje.

Kiedy portier konczyl wypelnianie formularza do karty kredytowej, Holly rozwazala, czy nie zadzwonic do Filadelfii, do rodzicow, zeby dac im znac, gdzie wyjezdza i z kim. Ale tylko wzbudzilaby poploch i stracila nastepne pol godziny na zapewnianiu, ze wszystko uklada sie jak najlepiej.

Poza tym juz uznala, ze ciemna strona Jima jest mniej istotna od jasnej i zdecydowala sie z nim pozostac. Jezeli czasem budzil w niej niepokoj... no coz, to wlasnie pociagalo ja przede

wszystkim. Jako człowiek niebezpieczny stawał się jeszcze bardziej interesujący. W gruncie rzeczy był przecież dobry.

Obawa o własną skórę była idiotyczna, skoro już się z nim kochała. Kobieta, oddając się komuś po raz pierwszy, staje się wobec niego całkowicie bezbronna, czego nigdy nie da się powiedzieć o mężczyźnie. Zakładając, oczywiście, że oddała mu się nie jedynie z potrzeby ciała, ale z miłości. A Holly kochała Jima.

-Kocham go - powiedziała głośno, zaskoczona, gdyż niedawno wmawiała sobie, że jej pociąg do niego opiera się głównie na wyjątkowym męskim wdzięku, zwierzęcym magnetyzmie i tajemniczości.

Recepcjonista, o dziesięć lat młodszy od Holly i stąd bardziej skłonny mniemac, że miłość jest uczuciem powszechnym i nieuchronnym, uśmiechnął się szeroko.

-Wspaniale, nie?

-Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? - spytała Holly, podpisując formularz.

-Czemu nie?

-No, tak naprawdę to nie jest od pierwszego wejrzenia. Znam faceta od dwunastego sierpnia, to będzie... szesnastdzieci dni.

174

175

-I jeszcze za niego nie wyszłaś? - zaszotał recepcjonista. Holly podeszła do forda, siadła obok Jima.

-Kiedy dojedziemy już na miejsce, nie potniesz mnie na kawałki pilą elektryczną i nie zagrzebiez pod wiatrakiem? - spytała.

Widocznie zrozumiał jej poczucie bezbronności i pytanie nie wzbudziło w nim odrazy, bo odpowiedział żartobliwie:

-Och, nie. Pod wiatrakiem jest komplet. Będzie musiał zakopywać twoje szczatki po całej farmie.

Rozesmiała się. Co z niej za idiotka, że się go bała. Pochylił się ku niej i pocałował. To był długi, namietny pocałunek.

-Ryzykuje nie mniej niż ty - powiedział, kiedy się rozdzielili.

-Mogę ci przysiąc, że nigdy nie porabiałam nikogo toporem na kawałki.

-Mowilem powaznie. Nie mialem szczescia w milosci.

-Ani ja.

-Tym razem bedzie inaczej - dla nas obojga.

Pocalowal ja jeszcze raz, krocej i lagodniej niz poprzednio, wlaczyl silnik i wycofal sie z parkingu.

Holly, uparcie chcac zachowac w sobie resztki cynizmu, przypomniala sobie, ze nie wyznal jej do tej pory milosci; wyrazal sie ostroznie i nie wprost. Nie powinna mu ufac bardziej niz kazdemu innemu mezczyznie dotychczas.

Zreszta na dobra sprawe ona rowniez nie wyznala mu, ze go kocha. Jej uczucia byly wyrazone jezykiem nie mniej wywazonym. Byc moze resztki leku, jakie w niej tkwily, spowodowaly, ze latwiej przychodzilo jej otworzyc serce przed motelowym recepcjonista niz przed Jimem.

Gorzka kawa pomogla im przelknac jagodzianki, na ktore zatrzymali sie przy malym sklepiku, i ruszyli dalej na polnoc autostrada San Diego. Wtorkowe poranne natezenie ruchu zelzalo, ale na niektórych odcinkach wszystkie pasma byly tak zapchane, ze samochody poruszaly sie jak szeregi slimakow poganianych w kierunku restauracji dla smakoszy.

Wygodnie wyciagnieta na przednim fotelu, Holly - jak obiecala - opowiedziala Jimowi o swych czterech koszmarach nocnych. Rozpoczela od pierwszego snu piatkowego, kiedy to przysnilo sie jej, ze oslepla, a skonczyla na przerazajacych najdziwniejszych i najstraszliwszych wizjach z ostatniej nocy.

Byl wyraznie zafascynowany tym, ze snila o wiatraku, nie wiedzac nawet o jego istnieniu. A w sobotnia noc po katastrofie lotu 246 snila o nim jako dziesięcioletnim chłopcu. Nie mogla wtedy jeszcze wiedziec ani tego, ze znalazl to miejsce, ani ze spedzal w nim tyle czasu w dzieciństwie. Ale wiekszosc pytan dotyczyla ostatniego koszmaru.

174

175

-Kim byla ta kobieta ze snu, jesli to nie bylas ty? - spytal, nie spuszczajac oczu z jezdni.-Nie wiem - odpowiedziala Holly, przelykajac ostatni kes bulecзки. - Nie mialam pojecia.

-Mozesz ja opisac?

-Obawiam sie, ze niezbyt dokladnie. Widzialam tylko jej odbicie w oknie.

-Pociagnela ostatni lyk kawy z duzego plastikowego kubka i zamyslila sie na moment.



Sceny z tego snu stanęły jej przed oczami łatwiej niż zwykle. Na ogół sny szybko umykają z pamięci. A jednak to widzenie senne powracało do niej nader ostro, jakby wydarzenia biegły nie w marzeniu, ale na jawie. - To była szeroka, jasna twarz, bardzo kobieca, raczej wyrazista niż ładna. Szeroko rozstawione oczy. Pełne usta. Pieprzyk wysoko na prawym policzku. Nie sadzę, żeby to była tylko kropka na szkle czy okrągła plamka.

Krecone włosy. Przypomina ci kogoś?

-Nie - odpowiedział. - Raczej nie. Powiedz mi, co zobaczyłaś na dnie stawu, kiedy strzelił piorun.

-Nie jestem pewna, co tam było.

-Spróbuj to opisać, jak potrafisz.

Zastanowiła się na moment, a potem potrząsnęła głową.

-Nie potrafię. Łatwo mi było przypomnieć sobie twarz tamtej kobiety, bo kiedy ją zobaczyłam, wiedziałam, że to twarz, ludzka twarz. Ale to, co kryło się na dnie stawu... było dziwne. Niczego takiego w życiu nie widziałam. Nie miałam pojęcia, na co patrzę, trwało to sekundy, a potem... no, zniknęło i tyle. Czy z tym stawem wiąże się coś szczególnego?

-Nic o tym nie wiem - odrzekł. - A nie mogła to być zatopiona łódź czy coś takiego?

-Nie. Nic takiego. Dużo większe. Czy w tym stawie zatoniła kiedyś łódka?

-Niewykluczone, ale nie słyszałem o tym. Tyle że kałuża może łatwo zwiść.

Mylisz, że taki staw przy wiatraku jest płytki, a on w środku ma kilkanaście metrów głębokości. Nigdy nie wysycha i nie maleje podczas suszy. Jest położony nad studnią artezyjską, nie nad warstwą wodonosną.

-Jaka to różnica?

-W warstwie wodonosnej wbijasz się, kopiesz studnię. To rodzaj zbiornika lub podziemnego strumienia. Źródła artezyjskie rzadziej występują. Nie kopiesz się, żeby znaleźć wodę, ona już wydobywa się na powierzchnię, pod ciśnieniem. Uplywa diabelnie dużo czasu, zanim przestanie biec.

Gestywny ruch zaczął maleć, ale Jim nie korzystał z okazji, aby zmienić pasy i wyprzedzić wolniejsze pojazdy. Ważniejsze dlań były jej wyjaśnienia niż zyskanie na czasie.

-I w tym snie - powiedzial - kiedy weszlas na szczyt schodow - lub kiedy tamta kobieta weszla - zobaczylas dziesięcioletniego chłopca i w jakis sposob wiedzialas, ze to ja.-Tak.

-Zmienilem sie od czasu, kiedy mialem dziesięc lat, wiec jak na to wpadlas?

-Glownie dzieki oczom. One nie zmienily sie przez te wszystkie lata. Trudno sie pomylic.

-Duzo ludzi ma niebieskie oczy.

-Co ty opowiadasz? Kochanie, twoje oczy maja sie do niebieskich oczu innych jak glos Sinatry do glosu Kaczora Donalda.

-Przesadzasz. Co zobaczylas w scianie?

Opisala to jeszcze raz.

-Cos zywego w kamieniu? To robi sie coraz dziwniejsze.

-Nie nudzilam sie od dobrych paru dni - zgodzila sie z nim.

Za skrzyzowaniem z miedzystanowa numer dziesięc ruch na autostradzie do San Diego zmalal jeszcze bardziej i w koncu Jim mogl pokazac, jakim jest kierowca.

Prowadzil samochod tak, jak doskonaly dzokej prowadzi konia szlachetnej krwi, wydobywajac z niego te umiejetnosci, dzieki ktorым zwycieza na wycigach. Ford byl standardowym modelem, bez zadnych modyfikacji, ale reagoval jak porsche.

Po chwili Holly sama zaczela zasypywac Jima pytaniami.

-Jak to jest, ze zostales milionerem, a zyjesz skromnie?

-Kupilem dom, wyprowadzilem sie z wynajetego mieszkania. Rzucilem prace.

-Tak. Ale dom jest skromniutki. A meble to ci sie rozsypuja.

-Potrzebowalem odosobnienia we wlasnym domu, aby medytowac i odpoczywac pomiedzy... zadaniami. Ale nie potrzebowalem wymyslonych mebelkow.

-Czy wpadlam ci w oko od razu, tak jak ty wpadles mnie, tam w Portland? - spytala po paru minutach milczenia z obu stron.

Uśmiechnal sie, nie odrywajac spojrzenia od drogi. - "Tak jak pani, panno ?orne".

-A wiec sie przyznajesz! - zawolala Holly zadowolona. - Jednak chcialas mnie do siebie zachecic.

Przez całą drogę aż do Ventury mieli znakomity czas, ale potem Jim znow zaczął zwalniać. Z kilometra na kilometr jechał mniej agresywnie.

Początkowo Holly myślała, że to widok działa na niego tak uspokajająco. Za Ventura mijali przepiękne odcinki wybrzeża. Niebieskie morze wznosiło się, błękit nieba opadał, pomiędzy nie wciskał się złoty pas łąd i jedynym dostrzegalnym elementem zakłócającym spokój letniego dnia były pokryte białą grzywą fale, lizające brzeg długimi jezorami i gładce w lekkiej pianie.

176

177

Ale w sercu Jima Ironhearta panował niepokój i Holly stała się tego świadoma, kiedy zauważyła, że w ogóle nie zwracał uwagi na krajobraz. Zwolnił nie po to, żeby rozkoszować się urodą świata, ale - jak podejrzewała - aby opóźnić przyjazd na farmę. Koło Santa Barbara zjechali z autostrady, skierowali się w głąb łąd, w kierunku gór Santa Ynez, a nastroj Jima uległ zdecydowanemu pogorszeniu. Jego odpowiedzi przy próbach nawiązania rozmowy stawały się coraz krótsze i bardziej roztargnione.

Droga wiodła z gór w przepiękną krainę niewysokich wzgórz i rozsianych na nich pol, pomalowanych na złoto wyschniętymi letnimi trawami. Rosły tam kępy długowiecznych debów kalifornijskich, rozciągały się farmy nastawione na hodowlę koni, ogrodzone zadbanymi, pomalowanymi na białą plotami. Widac było, że nie panuje tu agrobiznes, tak typowy dla pewnych innych dolin. I tu zdarzyły się gdzieś duże polacie winnic, ale gospodarstwa rolne robiły wrażenie posiadłości ludzi z wyższych warstw, pragnących mieć tu miejsce ucieczki z Los Angeles i bardziej zainteresowanych utrzymaniem odmiennego malowniczego stylu życia niż sianiem i zbieraniem plonów.

-Musimy stanąć w New Svenborgu i kupić parę rzeczy, zanim pojedziemy na farmę - powiedział Jim.

-Jakich rzeczy?

-Nie wiem. Ale kiedy staniemy... będę wiedział, czego nam potrzeba.

Na wschodzie pojawiło się i znikło jezioro Cachuma. Mineli drogę do Solvangu, biegnącą na zachód, a potem omineli samo Santa Ynez. Przed Los Olivos skierowali się na wschód, korzystając z następnej drogi stanowej i w końcu wjechali do New Svenborga, miasta leżącego najbliżej farmy Ironheartów.

Na początku dziewiętnastego wieku grupy imigrantów duńskiego pochodzenia przewedrowały ze środkowego zachodu i osiedliły się w dolinie Santa Ynez. Wiele z nich pragnęło zawiązać tu społeczności, które będą kultywowały duńską sztukę i zwyczaje, duński styl życia. Najbardziej udało się to w Solvangu, o którym Holly pisała niegdyś artykuł.

Stalo sie ono duza atrakcja turystyczna ze wzgledu na szczegolnie dobrze odtworzona dunska architekture, sklepy i restauracje.

New Svenborg, liczace niewiele ponad dwa tysiace mieszkancow, nie bylo tak starannie dopracowane i uparcie dunskie jak Solvang. Ponure, jak z miasteczka z obrzezy pustyni, otynkowane budynki z dachami z bialego kamienia, zniszczone domy ze scianami obitymi deskami i z niepomalowanymi gankami, przypominajace Holly wiejskie okolice Teksasu, bungalowy zbite przez domoroslych ciesli, biale wiktoriańskie domy z szerokimi frontowymi werandami, przeladowane sztukateria, sasiadowaly z budowlami wyraznie odcinajacymi sie swym dunskim charakterem: pruski mur, dachy ze slomy i okna z kolorowego szkla. Pare wiatrakow stalo rozrzuconych po miasteczku.

Skrzydla odcinaly sie od sierpniowego nieba. W sumie byla to jedna z tych typowo kalifornijskich mieszanek, jakie czasem tworza urocze i nieoczekiwane harmonijne calosci; ale w Svenborgu mieszanka nie zadzialala i wszystko gryzlo sie ze soba.

178

179

-Spedzilem tu cale dzieciństwo i mlodosć - powiedzial Jim, kiedy z wolna jechali przez cicha, zaciemiona glowna ulice. Pomyslala wtedy, ze jego melancholie moze w rownej mierze wiazac ze Svenborgiem jak z rodzinną tragedia.

Do pewnego stopnia to nie bylo w porzadku. Ulice zdobily szpalery wysokich drzew, urocze latarnie wygladaly na przeniesione ze Starego Kraju, a wiekszosc lagodnie zakrecajacych chodnikow przypominala koronki ze starych, zniszczonych cegiel. Jakies dwadziescia procent miasteczka kojarzylo sie z nostalgicznym portretem srodkowego zachodu, jak z powiesci Bradbury'ego, ale reszta, niestety, byla rodem z filmu Davida Lyncha.

-Przejdźmy sie po starym miasteczku - powiedzial.

-Powinnismy jechac na farme.

-To tylko poltora kilometra na polnoc, za pare minut tam dotrzemy.

Holly byla zmeczona jazda. Ale czula, ze z niewiadomego powodu chcial jej pokazac miasteczko - nie tylko opoznic przybycie na farme Ironheartow, wiec ustapila.

W istocie sluchala z zainteresowaniem, co mowil. Wiedziala juz, ze mowienie o sobie przychodzi mu z trudem i czasem wyjawial sprawy osobiste w sposob posredni, jakby niedbale.

Mineli apteke Handahla na wschodnim krancu glownej ulicy. Tubylcy, jesli nie chcieli jechac do Solvangu odleglego o trzydziesci kilometrow, tu realizowali recepty.

Do Handahla nalezala rowniez jedna z dwoch w miescie restauracji z (wedlug Jima) "najlepsza lemoniada po tej stronie tysiac dziewiecset piecdziesiatego piatego roku".

W tym samym budynku znajdowala sie poczta i jedyny kiosk z gazetami. W sumie byl to imponujacy gmach z zalamanym pod wieloma katami dachem, zielona miedziana kopula i szlifowanymi szybkami.

Nie gaszac silnika, Jim zatrzymal sie na Copenhagen Lane. Po drugiej stronie w jednym z wiktoriańskich domow znajdowala sie biblioteka. Budynek mial znacznie skromniejsza sztukaterie niz inne, polozona swieza farbe, zywoplot starannie utrzymany. Na wysokim maszcie przy chodniku lekko furkotaly flagi Stanow Zjednoczonych i Kalifornii, niemniej dom prezentowal sie dosc zalosnie.

-To niesamowite, ze w takim malym miasteczku w ogole byla biblioteka - powiedzial Jim. - I Bogu za to chwala. Ile razy przyjezdzalem tu na rowerze... jakby sie zliczylo wszystkie kilometry, to chyba przepedalowalem pol rownika. Gdy rodzice zmarli, ksiazki staly sie moimi przyjaciolmi, doradcami, psychoanalitykami. One nie daly mi zwariowac. Pani Glynn, bibliotekarka, byla wspaniala dama, umiala rozmawiac z niesmialym, zakompleksionym chlopcem, nie traktujac go z gory. Byla moim przewodnikiem po najbardziej egzotycznych swiatach oraz najdalszych czasach - i to nie wychodzac spomiedzy polek.

178

179

Holly nigdy przedtem nie slyszala, zeby mowil z taka miloscia albo choc w polowie z takim wzruszeniem. Biblioteka w Svenborgu i pani Glynn wyraznie zostawili trwaly slad w jego zyciu.-Dlaczego nie wejdziemy i nie zamienisz z nia paru slow? - spytala.

Jim zmarszczyl brwi.

-Och, jestem pewien, ze od dawna nie jest bibliotekarka. Najprawdopodobniej nie zyje. Minelo dwadziescia piec lat od czasu, jak zaczalem tu przyjezdzac, osiemnascie, od kiedy wyjechalem z miasteczka do college'u. Nigdy jej potem nie widzialem.

-Ile miala lat?

Zawahal sie.

-Sporo - powiedzial i zakonczyl nostalgiczne wspominki, ruszajac fordem.

Przejechali obok Ogrodow Tivoli, malego parku na glownej ulicy. Zalosnie nie dostawal do poziomu swego imiennika. Nie mial fontann, orkiestr, parkietow tanecznych, ogrodkow piwnych, tylko troche roz, pare kwietnikow rozkwitajacych poznym latem, nierowna trawe, dwie laweczki i dobrze utrzymany wiatrak w kacie, po drugiej stronie.

-Dlaczego skrzydła się nie obracają? - spytała. - Jest trochę wiatru.

-Dzisiaj wiatrak nie pompuje już wody ani nie ma ziarna - wyjaśnił.

-A ponieważ stanowią głównie dekoracje, nie ma sensu znosić hałasu, jaki wyczyniają. Dawno temu założono hamulce na mechanizmy. - Kiedyś robiono tu film - dodał, kiedy skreślił, zostawiając park za sobą.

-Kto?

-Jakieś duże studio.

-Hollywoodzkie?

-Zapomniałem jakie.

-Jak się nazywało?

-Nie pamiętam.

-Kto grał?

-Nikt znany.

Holly zapisała sobie w pamięci ten film, podejrzewając, że był ważniejszy dla Jima i dla miasteczka, niż to wyjawiał. Coś w niedbalym sposobie mówienia i w lakonicznych odpowiedziach na szybko następujące pytania obudziło w niej czujność.

Na samym końcu przejechał obok garażu Zaccy w południowo-wschodnim kącie Svenborga. Duża budowla z falistej blachy spoczywała na cementowej podmurówce.

Przed nią stały dwa zakurzone samochody. Budynek był w swojej historii kilkakrotnie malowany, ale pedzel nie tknął go od dawna. Wylazły liczne pokłady wcześniejszych warstw farby, miejscami widac było też rdzę, co dawało efekt niezamierzonego kamuflażu. Spekany asfalt z frontu roił się od dziur wypełnionych żwirem. Dookoła rosła wyschnięta trawa i chwasty.

180

181

-Chodziłem do szkoły z Nedem Zackiem - powiedział Jim. - Jego ojciec, Vernon, miał wtedy ten garaż. Taki interes nigdy nie mógł zapewnić fortuny, ale kiedyś prezentował się lepiej niż teraz. Wielkie drzwi, odsuwane na boki jak w hangarach samolotowych, były otwarte i wewnątrz zalegały cienie. Tylny zderzak starego chevroleta pobłyskiwał tępo w półmroku. Mimo że garaż był zapuszczony, nic w nim nie sugerowało niebezpieczeństwa.

A jednak kiedy Holly zaglądała przez otwarte drzwi hangaru w mroczną glebie, poczuła, jak przebiegają po niej wyjątkowo nieprzyjemne dreszcze.

-Ned to był niedźny skurwiel, szkolny bandzior - powiedział Jim. - Jak chciał, mógł dziecku zamienić życie w piekło. Zawsze się go bałem.

-Jaka szkoda, że wtedy nie umiałeś taekwondo, mogłabyś skopać mu tyłek.

Nie uśmiechnął się; patrzył na garaz. Wyraz twarzy miał dziwny, niepokojący.

-Tak. Szkoda.

Kiedy znów spojrzała na garaz, zobaczyła, jak mężczyzna w dzinsach i bawełnianej koszulce wychodzi z najgłębszej ciemności w szarym świetle, omijając powoli tył swojego chevroleta. Wycierał ręce o szmatę. Znajdował się tuż za linią wpadającego słońca, więc nie mogła dostrzec jego twarzy. Paroma krokami okrążył samochód i znów znikł w mroku, nie bardziej materialny niż duch na rozjaśnionym księżycem cmentarzu.

Nie wiadomo skąd wiedziała, że ta sama widmowa sylwetka należała do Neda. Dziwne, to Jim się go kiedyś bał, ale właśnie Holly poczuła, jak żołądek się jej zwija i wilgotnieją ręce.

W tym momencie Jim nacisnął gaz i odjechali przed garazem, kierując się z powrotem do miasta.

-Co on ci zrobił?

-Nic, na co miałby ochotę. To był najzwyklejszy mały sadysta. Od tamtych czasów siedział kilka razy. Ale wydaje mi się, że wrócił.

-Wydaje ci się? Skąd wiesz?

-Po prostu to poczułem - odpowiedział, wzruszając ramionami. - Poza tym to jeden z tych facetów, którzy nigdy nie wpadają w za duże sprawy. Ma diabelne szczęście.

Jeśli już mu się powinęła noga, to zawsze na głupstwie. Jest głupi, ale cwany.

-Dlaczego chciałaś tu przyjechać?

-Wspomnienia.

-Większość ludzi, jak już wspomina, to dobre rzeczy.

Na to Jim nie odpowiedział. Jeszcze zanim pojawili się w Svenborgu, zamknął się w sobie, przypominając żółwia stopniowo wycofującego się do skorupy. Nieomalże powrócił mu ponury, pełen dystansu nastrój, w jakim zastała go wczoraj po południu.

W trakcie krótkiej przejazdu nie odniosła wrażenia, by małe miasteczko emanowało bezpieczeństwem i ludzką życzliwością, raczej poczuła, że znalazła się na zabitym

180

181

deskami krąca świata. Nadal była w Kalifornii, najgęściej zaludnionym stanie kraju, nie dalej niż sto kilometrów od Santa Barbara. Sam New Svenborg miał dwa tysiące ludzi, był większy niż przeciętne osady "benzyna-i-bufet", rozsiane wzdłuż dróg międzystanowych. Poczucie izolacji wynikało raczej ze stanu psychicznego niż realnego, ale nie mogła się od niego uwolnić. Zatrzymali się przy Centrum, skupisku obiektów handlowych, które obejmowało stację benzynową, mały sklepik z artykułami sportowymi dla wędkarzy i biwakowiczów i dobrze zaopatrzonego sklep spożywczy z artykułami delikatesowymi, piwem i winem. Holly napełniła zbiornik Forda przy samoobsługowym dystrybutorze, a potem dołączyła do Jima, który robił zakupy w sklepiku z artykułami sportowymi.

Miejsce było zaważone towarami, który wysypywał się z polek, zwisał z sufitu i leżał na pokrytej linoleum podłodze. Sztuczne przynęty kiwały się na wieszaku przy drzwiach. Powietrze było przesycone wonią gumowych butów.

Jim zgromadził już na łodzi doskonale lekkie spiwory z materacową nadmuchiwana podkładką, lampę Colemana, ogromną lodówkę turystyczną, dwie silne latarki z zapasem baterii i parę innych artykułów. Przy kasie, nieco dalej, stał brodac w okularach grubych jak butelkowe szkło i podliczał zakupy. Jim czekał z otwartym portfelem.

-Myslałam, że jedziemy do wiatraka - rzekła Holly.

-Jedziemy - potwierdził Jim. - Ale jeśli nie chcesz spać na drewnianej podłodze, bez żadnych wygod, będzie to nam potrzebne.

-Nie myślałam, że zostaniemy tam na noc.

-Ani ja. Dopóki nie wszedłem tu i nie usłyszałem, jak zamawiam te rzeczy.

-Nie moglibyśmy pojechać do motelu?

-Najbliższy mamy w Santa Ynez.

-To cudowna trasa - powiedziała; wolała zmienić miejsce, niż spędzić noc w wiatraku.

Jej opór tylko częściowo wynikał z faktu, że stary wiatrak nie zapowiadał się na luksusowy lokal do spania. Był on przede wszystkim miejscem akcji koszmarów sennych ich obojga. Poza tym od chwili, kiedy zjawiała się w Svenborgu, czuła wokół siebie jakieś... zagrożenie.



-Cos sie szykuje - powiedzial. - Nie wiem co. Po prostu... cos. W wiatraku. Czuje to. Doczekamy sie... jakichs wyjasnien. Ale to moze troche potrwac. Musimy przygotowac sie na czekanie, uzbroic w cierpliwosc.

Choc to Holly zasugerowala wyjazd do wiatraka, nagle odechcialo sie jej wyjasnien.

We wlasnej niewyraznej wizji przyszlosci przeczuwala nadciagajaca nie wiadomo skad tragedie, krew, smierc i ciemnosc.

Natomiast wydawalo sie, ze Jim zrzucil ciazacy mu jak olow niepokoju i nabral nowego rozpedu.

182

183

-Dobrze robimy, ze tam jedziemy. Czuje to, Holly. Rozumiesz mnie? Przekazano mi, ze dobrze zrobilismy, przyjezdza tu, ze czeka nas cos straszego, tak, cos moze wstrzasnac nami jak cholera, moze znajdziemy sie w powaznym niebezpieczenstwie, ale wyjdziemy z tego silniejsi. Oczy mu blyszczaly i byl podniecony. Nigdy nie widziala go w takim stanie. Nawet wtedy, kiedy sie kochali. Wyzsza potega, kontaktujaca sie z nim w jakis tajemniczy sposob, porozumiewala sie z nim teraz. Jego spokojny zachwytyl byl dostrzegalny.

-Czuje w sobie... jakas dziwna radosc, cudowne odkrycie, objawienie...

Sprzedawca w okularach odszedl od kasy i pokazal im kwit kasowy.

-Nowozency? - spytal, szczerzac zeby.

Obok, w spozywczym, kupili lod do lodowki, sok pomaranczowy, dietetyczna lemoniade, musztarde, czarny salceson z oliwkami i zolty ser pociety w plasterki.

-Salceson - zachwycila sie Holly. - Nie jadlam tego chyba od czternastego roku zycia, kiedy to dowiedzialam sie, ze czlowiek ma tetnice.

-A co ty na to - powiedzial i zgarnal z polki paczki polewane czekolada. Wrzucil do koszyka. - Kanapki z salcesonem, paczki z czekolada... i chrupki ziemniaczane, rzecz jasna. Bez chrupek nie ma pikniku. Mocno chrupiace, dobra? Zawijane buleczone z serem, to tez. Chrupki i buleczone serowe, to idzie w parze.

Holly po raz pierwszy widziala go w takim Stanie: byl jak chlopiec, nareszcie wolny od trosk. Jakby udawal sie z kolegami na mala eskapade.

Zastanawiala sie, czy nie boi sie na zapas. W gruncie rzeczy sprawdzaly sie przeczucia

Jim. Moze faktycznie odkryja w wiatraku cos wspanialego, rozwiklaja tajemnice tych akcji ratunkowych, ktore Jim wykonuje w ostatniej sekundzie, moze nawet zetkna sie z ta wyzsza potega, o jakiej mowil. Moze Nieprzyjaciel, chociaz zdolny wynurzc sie ze snu w realny swiat, nie byl tak potezny, jak sie wydawal.

Przy kasie, kiedy kasjerka pakowala ich zakupy i wydawala reszte, Jim powiedzial:

-Sekundke, jeszcze jedno... - I pospieszyl w glab sklepu.

Kiedy wrocil, niosl dwa zolte, poliniowane bloki do notatek i czarny cienkopis.

-Dzis wieczor beda nam potrzebne - wyjasnil Holly.

Kiedy wrzucili zakupy do samochodu i wyjezdza z parkingu przy Centrum, kierujac sie ku farmie Ironhearta, Holly wskazala na cienkopis i bloki, ktore wsadzila do osobnej torebki.

-A do czego to ma byc nam potrzebne?

-Nie mam zielonego pojecia. Nagle dotarto do mnie, ze musimy je wziac.

-Jak to z Bogiem - powiedziala - zawsze tajemniczy i pelen niedomowien.

-Nie jestem juz wcale pewien - odezwal sie po chwili milczenia - ze to Bog do mnie przemawia.

-Ach tak? A co wplynelo na zmiane zdania?

182

183

-Wiesz, chocby to, o czym mowilas wczoraj wieczor. Jezeli Bog nie chcial, zeby maly Nick O'Conner zginal wtedy w Bostonie, dlaczego nie zapobiegl eksplozji tej komory? Dlaczego przegania mnie po calym kraju i, jak mowilas, rzuca na tego chlopca? I dlaczego mialby zmienic zdanie o ludziach w tym samolocie, pozwolic wiekszej liczbie przezyc? Tylko dlatego ze ja uznalem, iz powinni? Sam zadawalem sobie te pytania, ale ty nie zadowolilas sie latwymi odpowiedziami, jakie mnie wystarczyly.-Dotarli do granic miasteczka, oderwal w tym momencie wzrok od ulicy, spojrzal na nia, usmiechnal sie i powtorzyl jedno z pytan, jakimi dreczyla go wczoraj: - Czy Bog jest chwiejny?

-Spodziewalam sie...

-Czego?

-No, byles tak pewien, ze rozpoznajesz w tym reke boska, iz powinienes troche sie podlamac mniej wznioslym wytлумaczeniem. Spodziewalabym sie raczej, ze bedziesz

zniechecony.

-Nie jestem - powiedział, potraszając głową. - Wiesz, zawsze trudno mi było przystać na to, że Bog działa przeze mnie, to był taki zwariowany pomysł, ale pogodziłem się z nim, bo nie znalazłem lepszego wytłumaczenia. Dalej, jak sądzę, nie ma lepszego wytłumaczenia, jednak zaczyna mi switać inna możliwość i jest tak przedziwna i cudowna... że mogę się obejść bez Boga w drużynie.

-Jaka inna możliwość?

-Nie chce jeszcze o niej mówić - odparł, a słońce i cienie drzew na przemian padały na zakurzona szybę, igrając mu po twarzy. - Chce to sobie przemyśleć, upewnić się, że ma ręce i nogi, zanim ci przedstawię, bo wiem, jak ciężko ci przekonać.

Robił wrażenie szczęśliwego. Naprawdę szczęśliwego. Holly spodobał się bardzo od pierwszego wejrzenia, niezależnie od ponuractwa. Dojrzała w nim pogodę ducha pod groźnym spojrzeniem, delikatność pod warstwą szorstkości, człowieka dobrego, który kryje się za małostkowością. Ale widząc go w stanie obecnego uniesienia, polubiła go jeszcze bardziej. Zartobliwie uszczypnęła Jima w policzek.

-Co? - spytał.

-Jestes milusi.

Kiedy wyjeżdżali ze Svenborga, Holly zauważyła, że bardziej przypomina osadę pionierską niż nowoczesne miasteczko. W większości miast centrum miało gęstą zabudowę, a im dalej od środka, tym posesje były rozleglejsze, przestrzeń coraz bardziej otwarta i w końcu ostatnie budowle ustępowały miejsca terenom wiejskim. Ale kiedy dojechali do granic Svenborga, linia pomiędzy miastem a wsią była jak wyrysowana linijka i nie dało się jej nie zauważyć. Domy zniknęły. Tuż za pasem chroniącym przed pożarami zaczęło się królestwo roślinności. Holly od razu przypominała sobie pionierów, niespokojnie wypatrujących ze swych strażnic zagrożenia, jakie niesły dzikie pustkowia.

184

185

W swych granicach miasteczko robiło złowroźne wrażenie, straszło bogactwem mrocznych sekretów. Widziane z zewnątrz - a Holly obejrzała się w tył, kiedy droga wznosiła się ku lekko wyniosłemu grzbietowi wzgórza - nie wyglądało na groźne, ale na zagrożone, jakby jego mieszkańcy czuli przez skórę, że coś obecnego w tym otaczającym ich zewsząd złotym kraju rości sobie prawo do zawładnięcia nimi wszystkimi. Być może lekali się tylko ognia. Jak w dużej części Kalifornii, tam gdzie ludzie nie zadbałi o doprowadzenie wody, ziemia była spieczona.

Dolina, wtulona pomiędzy góry Santa Ynez z zachodu i San Rafael ze wschodu, była szeroka i głęboka, a bogactwem krajobrazów przewyższała niektóre całe wschodnie stany, choć o tej porze roku większa jej część, nieknieta deszczem, zbrzowiała i wyschła. Podróżowali przez wzgórza pokryte płynnym złotem, brązowe laki. Podczas trzykilometrowej podróży, kiedy najwyżej wyniesione punkty widokowe odsłaniały pasma wyższych wzgórz porośniętych gęstymi zaroślami, widzieli dolinki, w których rozkwitały kepy debów kalifornijskich i kryły się małe zielone winnice, otoczone rozległymi uwiedłymi polami.

-Pięknie tu - powiedziała Holly, obejmując spojrzeniem poblądłe wzgórza, świecące złotem laki i oliwkowe zarośla. Nawet deba, których skupiska wskazywały miejsca o stosunkowo wyższym poziomie wody, nie pyszniły się świeżością, ale były przyschnięte, srebrnozielone.  
- Pięknie, ale strasznie sucho. Jak oni tu sobie radzą z pożarami?

Nie dokończyła wypowiedzi, kiedy wyjechał zza zakretu i po prawej stronie jednopasmowej wiejskiej drogi ujrzeli pas szerniejszej ziemi. Zarośla i trawa skurczyły się w żyły szaroczarnej popiołu, wijące się wśród czarnej jak węgiel sadzy. Ogień musiał tu szaleć przed paroma dniami, sierpniowe powietrze nadal było przesiąknięte odorem spalenizny.

-Ten nie przebiegł się daleko - powiedział. - Wygląda, że z dymem poszło dziesięć akrow, nic więcej. Oni są tu szybcy, rzucają się do pożaru, jak tylko zobaczą dym.

W mieście jest niezła straż ochotnicza. Departament Lasów ma stanowiska w dolinie i posterunki obserwacyjne.

Jim mówił przekonująco, a że mieszkał tu przez parę ładnych lat, Holly usiłowała zdusić w sobie pirofobie. Niemniej nawet kiedy mineli już zwęglony kawał ziemi i nie czuli zapachu spalonej roślinności, Holly przesładował obraz wielkiej doliny, jak w nocy od kranca do kranca ogarniają ją płomienie, wiry czerwono-pomarańczowo-białych płomieni, zwijających się jak tornada i pozerających wszystko, co leżało pomiędzy obwarowaniami górskich grzbietów.

-Farma Ironhearta - usłyszała.

Zaskoczył ją. Kiedy Jim zwolnił, Holly spojrzała na lewo.

184

185

Dom stał trzydziści metrów od wiejskiej drogi, za wymizerowanym trawnikiem. Nie był utrzymany w konkretnym stylu. Zwykły, przytulnie wyglądający jednopiętrowy wiejski dom z białym aluminiowym sidingiem, dachem z czerwonej dachówki i szeroka weranda. Mogł zostać podniesiony z fundamentów z każdego miejsca na środkowym zachodzie i spuszczonego tu na nowe podłoże. Przypominał tysiące innych zabudowań farmerskich ze stanów kukurydzianych.

Sto metrow na lewo od domu wznosiła się czerwona stodoła. Na szczycie opadającego stromo dachu sterczał zniszczony wiatrowskaz w kształcie powoziku z koniem.

Stodoła była niewielka, zaledwie o połowę większa od skromnego domu.

W glebi, pomiędzy domem i stodołą, leżał staw, a budowla rysująca się za nim najbardziej przykuwała wzrok, gorząc nad całą farmą. Był to wiatrak.

4

Jim zatrzymał się na kolistym podjeździe pomiędzy domem a stodołą i wysiadł z forda. Musiał wysiąść, ponieważ widok tej znanej od wielu lat okolicy uderzył w niego wielokrotnie silniej, niż się spodziewał. Mimo chłodu bijącego ze szpar wentylatora powietrze w samochodzie wydało mu się gorące i zastłe, zbyt ubogie w tlen. Stał w świeżym letnim powietrzu, oddychając głęboko w obawie przed zemdleniem i usiłując zapanować nad sobą. Dom z oslepiętymi oknami nie robił na niego wrażenia. Kiedy na niego patrzył, czuł jedynie słodką melancholię, która mogła po pewnym czasie pogłębić się w bardziej niepokojące uczucie smutku lub nawet rozpacz. Ale mógł na niego patrzeć, normalnie oddychać i obrócić się do niego plecami, nie ulegając potężnemu pragnieniu, aby spojrzeć jeszcze raz. Stodoła nie budziła w nim jakichkolwiek emocji, ale wiatrak to osobna historia. Kiedy skierował swój wzrok na ten potężny stożek z kamienia rysujący się za stawem, czuł się, jakby już został zamieniony w skałę niczym jedna z nieszczęsnych ofiar, które spojrzały w twarz mitologicznej Meduzy o wężowych włosach.

Czytał o Meduzie przed wieloma laty. W jednej z książek pani Glynn. Było to w tych dniach, kiedy całym sercem marzył, żeby również móc zobaczyć kobietę z wężowymi włosami i zamienić się w nieczulą skałę...

-Jim? - odezwała się Holly z drugiej strony wozu. - Nic ci nie jest?

Wysokie sklepienia - na parterze jeszcze wyższe niż na piętrze - sprawiały, że jednopiętrowy wiatrak zdawał się mieć trzy piętra. Ale w tej chwili Jimowi wydawał się o wiele wyższy, dominujący jak dwudziestopiętrowa wieża. Jego niegdyś bielejące kamienie ściemniały, oblepione stuletnim brudem. Winorośle, których korzenie czerpały

186

187

wilgoc ze stawu obmywającego jedną stronę wiatraka, wspierały się po chropawej ścianie, z łatwością znajdując dostęp do głębokich luk w spójnieniach. Przy braku opieki nad budowlą pnacze pokryło połowę wiatraka i obrosło całkowicie wąskie okienko pierwszego piętra przy drewnianych drzwiach. Drewniane skrzydła się rozwały. Każde z czterech ramion liczyło dziesięć metrów długości, co dawało rozpiętość osiemnastu metrów na przeciwnych skrzydłach. Miały po półtora metra szerokości i każdy trzy rzędy

drewnianych płatów. Od czasu kiedy widział wiatrak po raz ostatni, dużo płatów popekało lub odpadło. Zatrzymane przez czas skrzydła nie stanęły w pozycji krzyża, ale w "X", z dwoma ramionami wyciągniętymi w kierunku stawu, a dwoma ku niebu. Nawet w jasnym, rozgrzanym świetle dnia widok ten zmroził Jima i wiatrak wydał mu się potwornym strachem na wroble z obszarpanymi ramionami, wyciągającym ku niebu szkielety dłoni.-Jim - powiedziała Holly, dotykając jego ramienia.

Podskoczył, jakby nie wiedział, kto obok niego stoi.

W istocie, kiedy przez moment spoglądał na nią, nie widział Holly, ale dawno pogrzebana twarz, twarz...

Moment zagubienia jednak mijał. Teraz była to tylko Holly, a jej osoba nie wplotła się w tożsamość innej kobiety, jak to stało się w jej śnie poprzedniej nocy.

-Nic ci nie jest? - spytała powtórnie.

-Nie, w porządku, to tylko... wspomnienia.

Jim był jej wdzięczny, kiedy oderwała jego uwagę od wiatraka i skierowała na dom.

-Byłeś szczęśliwy z dziadkami?

-Lena i Henry Ironheart. Wspaniali ludzie. Zaopiekowali się mną. Dużo przeze mnie wycierpieli.

-Wycierpieli? - spytała.

Uświadomił sobie, że użył zbyt mocnego słowa i zastanowił się, dlaczego to zrobił.

-Poswiecali się dla mnie. O to mi chodziło. Na wiele sposobów, w drobiazgach, ale te rzeczy się sumują.

-Wściecie na utrzymanie dziesięcioletniego chłopca to poważna sprawa - rzekła Holly. - Ale jeśli nie domagales się szampana i kawioru, nie uważam, że to zbyt wielki ciężar.

-Po tym, co spotkało rodziców, byłem... zamknięty w sobie, w złej kondycji psychicznej, niekomunikatywny. Poswiecali mi wiele czasu, bardzo mnie kochali, starali się mnieściągnąć z powrotem do... normalności.

-Kto tu teraz mieszka?

-Nikt.

-Nie mówiłeś czasem, że dziadkowie umarli przed pięciu laty?

-Nie sprzedano tego. Nie ma kupcow.

186

187

-A kto jest właścicielem?-Ja. Odziedziczyłem to.

Oglądała gospodarstwo z wyraźnym zachwytem.

-Ależ tu słownie. Gdyby dbać o trawnik, podlewać go, wypielic chwasty, byłoby uroczo. Dlaczego tak trudno to sprzedać?

-Wiesz, chodzi o to, że jest tu cholernie spokojnie, a nawet najbardziej rozkochane w powrocie do natury typy, które snia o wiejskim gospodarstwie, naprawdę marzą o farmie z bliskim dojazdem do paru teatrów, księgarni, dobrych knajp i wytrawnego mechanika znajomego się na europejskich wozach.

Rozesmiała się.

-Kochanie, kryje się w tobie dowcipny cynik.

-Poza tym praca na takiej farmie to cały czas droga pod górę. To małe, typowe stuakrowe gospodarstwo, niewystarczające, żeby utrzymać się z produktów mlecznych, hodowli - albo z jednego rodzaju uprawy. Dziadek i babcia trzymali kury i sprzedawali jajka. I dzięki łagodnemu klimatowi zbierali plony dwa razy do roku. Truskawki dojrzewały w lutym i sypały się aż do maja. To była uprawa, co dawała forse - truskawki. Potem była pora na kukurydze, pomidory - prawdziwe pomidory, nie te plastikowe bez smaku, jakie sprzedaje się w dużych supermarketach.

Widział, że Holly zakochała się w tym miejscu. Stała z rękami opartymi na biodrach, rozglądając się jak potencjalny kupiec.

-Ale czy brak ludzi, którzy mają inne źródła utrzymania i chcieliby zamieszkać tutaj dla ciszy i spokoju?

-To nie jest okolica zamieszkała przez bogaczy. To nie Newport Beach, Beverly Hills. Tutejsi ludzie nie mają ekstradochodów. Jedyną nadzieją na sprzedaż takiego gospodarstwa to znalezienie jakiegoś bogatego producenta filmowego albo gościa z przemysłu nagraniowego z L.A., który zechciałby kupić teren, zburzyć wszystko i postawić tu coś na pokaz, żeby móc nadmienić, że ma chałupkę w dolinie Santa Ynez, bo teraz jest w modzie mieć tu chałupkę.

Podczas tej wymiany zdań stawał się coraz bardziej niespokojny. Była trzecia po południu. Jasny dzień. Nagle poczuł lek przed nadchodzącym zmrokiem.

Holly wyrwała jakies zawziete chwasty przebijajace sie przez spekana nawierzchnie podjazdu.

-Trzeba to troche odczyszcic, ale wszystko wyglada calkiem, calkiem. Piec lat minelo od ich smierci? Dom i stodola sa w niezlym stanie, jakby malowano je dopiero z rok albo dwa temu.

-Bo malowano.

-Starasz sie, zeby necil oko, co?

-Jasne. Dlaczego nie?

188

189

Wysokie gory z zachodu polkna slonce szybciej niz ocean w Laguna Niguel. Zmierzch zapadnie wczesniej, choc bedzie trwal dluzej. Jim poczul, ze sie przyglada wydłużającym się purpurowym cieniem z obawa bohatera filmu o wampirach, który spieszy w kierunku bezpiecznego schronienia, zeby zdazyc, zanim wieka trumien zaczyna odskakiwac.

Co sie ze mna dzieje? - zastanawial sie.

-Nie mialbys czasem ochoty tu zamieszkac? - spytala Holly.

-Nigdy! - wybuchnal tak ostro, ze zaskoczyl tym nie tylko Holly, ale i siebie. Jakby opanowany zlowrozbnym, magnetycznym urokiem, znow spojrzal w kierunku wiatraka. Przebiegly go dreszcze.

Poczul na sobie jej spojrzenie.

-Jim - odezwala sie lagodnie - co sie tu z toba stalo? Co, na litosc boska, stalo sie dwadziescia piec lat temu w tym wiatraku?

-Nie wiem - wymamrotal. Otarl dlonia twarz. Reke mial rozpalona, czolo lodowate. - Nie moge przypomniec sobie niczego niezwyklego, nadzwyczajnego. Tam sie bawilem. Tam bylo... chlodno i spokojnie... miło. Nic tam sie nie stalo. Nic.

-A jednak cos - powiedziala z uporem. - Cos.

Holly nie byla z Jimem na tyle dlugo, zeby wiedziec, czy czesto miotala nim taka emocjonalna hustawka, czy tez jego ostatnie nieustanne zmiany nastroju byly nietypowe. W Centrum, kupujac jedzenie na piknik, otrzasnal sie z ponuractwa, jakie go dopadlo, odkad mineli gory Santa Ynez, i byl w nastroju nieomal euforycznym. Potem widok farmy okazal sie skokiem w zimna wode, a wiatrak podzialal nan jak zapadniecie sie w lodowa szczeline.



Wydawał się równie udreczony, jak obdarowany przez los, i pragnęła w jakiś sposób ulżyć jego cierpieniu. Zastanawiała się, czy nalegając na przyjazd do wiatraka, postąpiła rozsądnie. Nawet nieudana kariera dziennikarska nauczyła ją, że należy wskoczyć w sam środek toczących się wydarzeń, wykorzystać sprzyjający moment i iść za ciosem.

Ale może ta sytuacja wymagała większej rozwagi, opanowania, namysłu i planowania.

Wsiadli z powrotem do forda i minawszy dom i stodołę, okrzykli duży staw zwirowana ścieżka, która zapamiętała ze snu ostatniej nocy. Była wystarczająco szeroka dla zaprzęgów konnych ciągnących wtedy wozy w innej epoce, a teraz ford poruszał się tu wygodnie. Zaparkowali pod wiatrakami. Kiedy znowu wyszła z samochodu, znalazła się obok poletki za rzadkim plotem. Tylko kilka zeschłych kolb dzikiej kukurydzy wynurzało się z tego zaniedbanego skrawka ziemi. Obeszła wóz od tyłu po ścieżce i podeszła do Jima, stojącego już nad brzegiem stawu. Woda z niebiesko-zielono-szarymi cętkami przypominała płytę lupkową szerokości sześćdziesięciu metrów. I chyba była równie nieruchoma jak skalna płyta. Wazki i inne owady plonęły momentami nad tą taflą, na 188

189

ruszając na chwilę spokoju powierzchni. Leniwe prądy, o wiele za delikatne, aby się uzewnętrznić sznureczkami powietrznych baniek, wzbudzały prawie niedostrzegalne migotanie wody przy brzegu, tam gdzie rosły zielone chwasty i pare kepek trawy pampasowej ozdobionej białym puchem. -Nadal nie pamiętasz dokładnie, co zobaczyłaś w tamtym śnie? - spytał Jim.

-Nie. To chyba i tak nie ma znaczenia. Nie wszystko w śnach ma znaczenie.

-To miało - powiedział cichym głosem, niemal jakby mówił do siebie. Żaden gwałtowny ruch nie macił osadu na dnie, więc woda nie była zamulona, ale nie cechowała jej również przejrzystość. Holly nic nie mogła dojrzec głębiej niż metr pod powierzchnią. Jeżeli faktycznie staw miał do osiemnastu metrów głębokości w środku, to pozostawiało masę miejsca dla tego, co wolano pozostać w ukryciu.

-Rozejrzyjmy się we wnętrzu wiatraka - zaproponowała Holly.

Jim wziął z wozu jedną z nowo kupionych latarek i włożył do niej baterie.

-Nawet za dnia w środku będzie ciemno.

Drzwi były wbudowane w ganeczek doczepiony do podstawy stożkowej konstrukcji, bardzo przypominający wejście do igloo. Nie były zamknięte na klucz, ale spoczyły się i zawiasy zardzewiały. Przez moment stawiały Jimowi opór, lecz potem otwarły się do środka ze skrzypieniem i trzaskiem.

Krotki, sklepiony lukowato przedsionek otwierał się na główne pomieszczenie wiatraka.

Mialo okolo dwunastu metrow szerokosci. Cztery okna, rowno umieszczone na obwodzie, przepuszczaly swiatlo przez brudne szyby, odsiewajac z niego cala radosc bujnego lata i dodajac szarej zimowej barwy. Poglebialo to ponury nastroj. W swietle mocnej latarki Jima ukazala sie pokryta pajeczynami i kurzem maszyneria. Gdyby Holly ujrzala maszynownie okretu podwodnego o napedzie atomowym, nie zrobiloby to na niej wiekszego wzrzenia. Byla to toporna, prymitywna technologia z innego wieku - potezne drewniane przekladnie, kola zebate, waly, zarna, kola pasowe, gnijace zwoje lin - a wszystko tak monstrualnie wielkie i skomplikowane, ze nie wygladalo na owoc ludzkiego trudu, ale na dzieło stworzen zupełnie obcych, bedacych na znacznie nizszym szczeblu rozwoju.

Nic nie bylo tu uzywane od urodzenia Jima, ale poniewaz wyrosł w sasiedztwie wiatraka, znalaz sie na wszystkim doskonale. Przyswiecajac latarka, usilowal wytlumaczyc Holly zasady dzialania urzadzen, mowil o kole napedowym i dragu popychajacym, bulawie i opasce zelaznej, kamieniu pracujacym i spoczywajacym.

-Normalnie nie da sie zobaczyc wszystkiego. Ale spojrz, poziom przekladni zgnil, niewiele z niej zostalo i obrzeze rozpadlo sie, kiedy te wielkie kamienie uwolnily sie i spadly.

Bal sie, gdy ogladal wiatrak z zewnatrz. Teraz, po wejsci do srodka, jego nastroj ulegl zmianie. Ku zdumieniu Holly, kiedy wyjasnial zasady dzialania mechanizmu mlynskiego, jego chlopiecy entuzjazm, ktorego pierwsze oznaki dostrzegla w Centrum w Sven190

191

borgu, znow zaczal dochodzic do glosu. Byl dumny ze swojej wiedzy i chcial sie nia popisac jak maly mol ksiazkowy, szczesliwy z okazji do zademonstrowania tego, czego nauczyl sie, sleczac w bibliotece, w czasie gdy rowiesnicy zbijali baki na boisku do baseballu. Podszedl na lewo do kamiennych schodow i ruszyl bez wahania w gore, przesuwajac jedna reka po lekkiej krzywiznie sciany. Na twarzy bladzil mu polusmiech, jakby nawiedzaly go obecnie jedynie dobrze wspomnienia.

Zaskoczona tym niezwyklym ozywieniem, usilujac pojac, jak to mozliwe, ze wiatrak jednoczesnie przerazal go i wprawial w zachwy, Holly z pewnym ociaganiem szla za nim w kierunku, jak to nazywal, "wyzszej izby". Ona nie miala dobrych wspomnien zwiazanych z wiatrakiem, jedynie niepokojace wizerunki z nocnego koszmaru.

Powracaly teraz, kiedy szla za Jimem. Dzieki temu, co zobaczyla we snie, waskie krete schody byly znajome, chociaz wspinala sie po nich po raz pierwszy - to bylo niecodzienne wzrzenie, daleko dziwniejsze niz de ja vu.

W polowie schodow zatrzymala sie przy oknie wychodzacy na staw. Szklo pokrywala warstwa kurzu. Starla go reka i wytezyla wzrok w kierunku zbiornika. Przez ulamek sekundy wydalo sie jej, ze widzi cos dziwnego pod nieruchoma powierzchnia.

Potem uznala, ze to jedynie odbicie chmury sunacej po niebie.

-Co jest? - spytał Jim z chłopieca niecierpliwoscia. Zatrzymal sie pare schodow wyzej.

-Nic. Tylko zludzenie.

Szli, az dotarli do wyzszej izby. To istotnie bylo niezwykle pomieszczenie. Mialo kilka metrow szerokosci i w najwyzszym miejscu troche ponizej pieciu wysokosci. Okrag wapiennych scian zamykal te przestrzen, tworzac w gorze sufit, ktory przypominal kopulasty dziob rakiety. Sciandy nie byly przezroczyste jak we snie i nie przepuszczaly zadnego dziwnego bursztynowego swiatla. Tajemniczy mechanizm wychodzil poza kopule. Dzieki niemu ruch obracanych wiatrem skrzydel byl przenoszony na drewniany wal.

Grube drzewce walu znikalo w otworze w srodku podlogi.

Pamietajac, jak z dolu spogladali ku gorze poprzez powyginane i popekane dechy wielopoziomowego mechanizmu mlyna, Holly uwaznie sprawdzala wytrzymalosc drewnianej podlogi. Sladu prochna. Deski i belki pod ich stopami wygladaly na zdrowe.

-Masa kurzu - rzekl Jim.

Ich stopy za kazdym krokiem wzbijaly obloczki.

-I pajakow - zauwazyla Holly.

Krzywiac sie z obrzydzeniem, zerkala na lupinki wyssanych do cna owadow, zwisajacych w pracowicie rozsnutych pajeczynach. Owijaly dawno znieruchomialy mechanizm nad ich glowami. Nie bala sie pajakow, ale tez za nimi nie przepadala.

190

191

-Trzeba troche posprzatac, zanim sie tu rozbijemy - powiedzial.-Powinnam kupic miotle i pare innych drobiazgow, kiedy bylismy w miescie.

-Sprzet do czyszczenia jest w domu. Pojde po niego, a ty rozladuj woz.

-Dom! - Holly nawiedzona zbawienna mysla, poczula ogromna ulge. - Kiedy wybieralismy sie tu, nie pomyslam, ze gospodarstwo ciagle nalezy do ciebie, ze nikt tu nie mieszka. Mozemy rozlozyc spiwory w domu i tam zostac, a do tego pomieszczenia przychodzic wtedy, kiedy bedziemy musieli.

-Niezla mysl - powiedzial Jim - ale nie ma tak dobrze. Cos tu sie stanie, Holly, dostaniemy odpowiedz lub znajdziemy droge ku niej. Czuje to. Wiem... no, po prostu wiem. Tak jak mi sie to zdarza. Ale nie mozemy wybierac sobie czasu na objawienie.

W ten sposob to nie dziala. Nie mozemy poprosic Boga - albo kogos innego - zeby odbil

karte na zegarze i zesłał iluminacje w zwykłych godzinach pracy. Musimy tu pozostać i zachować cierpliwość.

Westchnęła.

-Dobra, w porządku, jeśli...

Przerwały jej dzwonki.

Było to słodkie srebrne dzwonienie, ani ciężkie, ani zbyt natrętne; trwało jedynie kilka sekund, rozkosznie melodyjne. W istocie rozbrzmiało tak lekko i radośnie, że powinno wydać się frywolne na tle tej ocieźalej kamiennej budowli. A jednak nie było w najmniejszym stopniu frywolne, co więcej, w niewytłumaczalny sposób wzbudziło w Holly poważne skojarzenia: myśl o grzechu, pokucie i odpuszczeniu.

Wibracja ustąpiła w momencie, w którym Holly rozejrzała się za jej źródłem. Ale nim spytała Jima, skąd się wzięła, rozbrzmiała powtórnie.

Tym razem Holly pojęła, dlaczego skojarzyła dźwięk ze sprawami ducha. Identycznie rozbrzmiewał dzwoneczek ministranta podczas mszy. Ten słodki dźwięk przyniósł jej z powrotem zapach kadzidła i mirry, kiedy to w latach college'u zastanawiała się nad przejściem na katolicyzm.

Dzwonki ucichły powtórnie.

Obrocila się do Jima. Stał i uśmiechał się szeroko.

-Co to jest? - spytała.

-Całkiem o tym zapomniałem - powiedział zachwycony.

-Jak to możliwe?

Dzwoneczki zagrały jeszcze raz, srebrzyscie i wyraźnie.

-O czym zapomniales? - spytała. - Co to za dzwonki?

-Nie ma dzwoneczkow - odparł, kiedy ucichły.

Zawahał się, a kiedy dźwięk powrócił po raz czwarty, rzekł w końcu:

-To dzwoni kamienie.

-Dzwoniace kamienie? - spytała oszolomiona.

Dzwonki zabrzmiały jeszcze dwukrotnie, a ona w tym czasie krzyla po izbie, nadstawiając uszu to w jednym, to w drugim kierunku i wydawało się jej, że faktycznie muzyka wypływa ze ścian, tyle że nie z jednego źródła, lecz z każdego bloku obłej powierzchni. Kamień nie może dzwonić, a na pewno nie takim słodkim głosem, powiedziała sobie. Wiatrak był niezwykłą budowlą i mógł płatać akustyczne figle. Podczas szkolnej wycieczki do Waszyngtonu przewodniczka pokazywała im na Kapitolu pewne miejsce. Każda rozmowa, nawet szeptała, była tam przenoszona dzięki jakiejś sztuczce architektonicznej poprzez ogromną kopułę w odległym kraniec wielkiej budowli i ewentualni podsłuchujący mogli ją słyszeć całkiem dokładnie. Może i tu działo się coś podobnego. Dzwonienie albo inne dźwięki mogły być przesyłane z odległego miejsca parteru, a niezwykle właściwości akustyczne wiatraka powodowały przeniesienie ich z równą siłą wzdłuż ścian wszystkich poziomów. To wyjaśnienie wydawało jej się bardziej logiczne niż koncepcja magicznych dzwoniących kamieni - dopóki nie zaczęła sobie wyobrażać, kto mógłby po kryjomu dzwonić i dlaczego.

Przyłożyła rękę do ściany.

Kamień był zimny. Poczowała w nim lekkie wibracje.

Dzwonki ucichły.

Wibracje w ścianie ustąpiły.

Czekali.

Kiedy stało się jasne, że dzwonienie się nie powtórzy, Holly się odezwała:

-Kiedy słyszałaś je poprzednio?

-Kiedy miałem dziesięć lat.

-Coś następowało po dzwonieniu? Coś miało znaczyć?

-Nie wiem.

-Ale powiedziałaś, że je pamiętasz.

Oczy świeciły mu z podniecenia.

-Tak. Pamiętam dzwonienie. Ale nie wiem, skąd się brało i co zapowiadało.

Chociaż myślała, że... to dobry znak, Holly. - W jego głosie pojawiła się nuta zachwytu.

-To oznacza, że nastąpi coś bardzo dobrego, coś... wspaniałego.

Holly ogarnęła frustracja. Mimo mistycznego aspektu ratunkowych akcji Jima - i pomimo jej własnych, dalekich od normalności doznań z marzeniami sennymi i obecnymi w nich potworami - przybyła na farmę w nadziei odnalezienia logicznych odpowiedzi na wszystko, co się wydarzyło. Nie miała pojęcia, jakie one będą. Ale założyła, że skorzysta z metod naukowych. Rygorystyczna procedura dochodzenia prawdy, rozważa myślenia, korzystanie z dedukcji i indukcji, jeśli zajdzie taka potrzeba, doprowadza do rozwiązania. Teraz wyglądało jednak na to, że logikę można rzucić w kąt.

192

193

Mistyczne doznania Jima wywoływały zamęt w jej głowie. Musiała jednak przyznać, że chociaż najpierw zaakceptowała wszelką alogiczność, z rozmowami z Bogiem włącznie - potem bez wahania to skreśliła. - Jim - spytała - jak mogłeś zapomnieć o czymś tak niesamowitym jak dzwoniące kamienie? Albo o wszystkim innym, co się tu stało?

- Nie sądzę, żebym po prostu zapomniał. Sądzę, że kazano mi zapomnieć.

- Kto kazał?

- Ten ktoś lub to coś, co spowodowało, że kamienie znów zadzwoniły. Ten, kto stoi za wszystkimi ostatnimi wydarzeniami. - Podszedł do otwartych drzwi. - Chodźmy, posprzątajmy tu i wprowadźmy się. Musimy być gotowi na wszystko, co nastąpi.

Szła za nim aż do schodów, ale potem stanęła i popatrzyła, jak sądzi w dół, przeskakując po dwa stopnie. Jak chłopiec podniecony wizją przygody. Wszystkie jego obawy co do wiatraka i strach przed Nieprzyjacielem znikły jak krople wody na rozpalonej do czerwoności patelni. Jego emocje wzbily się na najwyższy punkt huśtawki nastrojów.

Cos wisiało tuż nad jej głową. Wielka pajeczyna rozpięła się nad drzwiami, w miejscu gdzie nachylenie ściany zaczynało przechodzić w sufit. Tłusty pajak o odwłoku grubym jak obwód kciuka, cienkich nogach, prawie tak długich jak małe palce, polyskujący jak bryła wosku i ciemny jak kropla krwi, przyssał się zarlocznie do bladego, drżącego truchelka usidłonej cmy.

5

Miotła, śmietniczka, wiadra z wodą, mop na kij i pare szmat sprawiły, że mała górna izba szybko nadawała się do zamieszkania. Jim znalazł w domu wśród zapasów środków czystości nawet płyn do mycia okien i papierowe ręczniki, tak że udało im się zetrzeć nieco szarego nalotu z okien i wpuścić więcej światła. Holly wygoniła i zabiła nie tylko pajaka nad drzwiami, ale i siedem innych, kiedy przeszukiwała kąty latarką, żeby upewnić się, czy wytropiła wszystkie. Oczywiście wiatrak w dolnej części dalej musiał się od nich klebić. O tym postanowiła nie myśleć.

O szostej wieczor słońce chyliło się ku zachodowi, ale pomieszczenie było tak pełne światła, że mogli się obejść bez lampy Colemana. Zasiadli na spiworach, krzyżując nogi jak Indianie. Między sobą postawili lodówkę. Na zamkniętej pokrywie, jak na blacie stołu, położyli grube kanapki, otworzyli opakowania z chrupkami, buleczkami serowymi i puszki z piwem. Holly, choć nie jadła lunchu, nie myślała o jedzeniu, dopóki nie zaczęła go przygotowywać. Teraz poczuła głód. Wszystko smakowało jej bardziej niż na

194

195

wystawie z jedzeniem dla smakoszy. Salceson z oliwkami i serem na białym chlebie, posmarowany musztarda, przypominał jej bogactwo smaków dzieciństwa i zapomniane niewinne zachcianki młodości. Niewiele rozmawiali przy jedzeniu. Milczenie nie wprawiało ich jednak w zakłopotanie, a czystej przyjemności ze spożywania posiłku żadna konwersacja, nawet najbardziej błyskotliwa, nie mogła zwiększyć. Ale była to tylko jedna przyczyna obustronnej małomowności. Holly nie miała pojęcia, o czym w tych dziwacznych okolicznościach ma rozmawiać, kiedy siedzi tak w wyższej izbie sypialnego się, starego wiatraka i czeka na spotkanie z czymś nadnaturalnym. Żadna pogaduszka na przyziemny temat tu nie pasowała, a poważne roztrząsanie jakichkolwiek problemów byłoby śmieszne.

-Czuje się jakos głupio - wydusiła w końcu.

-Ja też - przyznał się. - Tak trochę.

O siódmej, kiedy otwierała pudełko z paczkami polewanymi czekoladą, nagle uswiadomiła sobie, że wiatrak nie ma toalety.

-A łazienka?

Podniósł pek kluczy z podłogi i wręczył jej.

-Przejdź się do domu. Woda tam dochodzi. Kolo kuchni jest toaleta.

Izba zaczęła zalegać cienie, a kiedy spojrzała w okno, zorientowała się, że zapada zmierzch.

-Pędzę i zaraz wracam, zanim się ściemni - powiedziała, odkładając paczki. - Śmiało - odrzekł Jim, podnosząc jedną dłoń jak do przysięgi. - Przysięgam na wszystko co święte, że zostawie ci przynajmniej jednego paczka.

-Lepiej, żebyś zastała połowę pudełka, kiedy wroce - powiedziała - albo tak cie kopnę w tyłek, że polecisz do Svenborga i ich dokupisz.

-Masz poważny stosunek do paczkow.

-Nie mylisz sie.

-To wlasnie cenie w kobiecie - odrzekl, usmiechajac sie. Wziela latarke, zeby poswiecic sobie na dole, wstala i podeszla do drzwi.

-Lepiej zapal lampe.

-Jasne, jasne. Kiedy wrocisz, czekac tu bedzie na ciebie przytulne obozowisko.

Schodzac po waskich schodach, Holly zaczela martwic sie rozlaka z Jimem i z kazdym krokiem jej niepokoju rosl. Nie bala sie wyjsc sama. Doskwieralo jej, ze jego zostawia samego. Glupie uczucie. Byl doroslym mezczyzna, znacznie sprawniejszym fizycznie niz przecietny czlowiek.

Dolna kondygnacja wiatraka byla ciemniejsza niz wtedy, kiedy zobaczyla ja po raz pierwszy. Zasloniete kurtynami pajeczyn brudne okienka prawie nie wpuszczaly slabego swiatla zachodzacego slonca.

194

195

Kiedy zmierzala do przedsionka, poczula, jak cierpnie jej skora. Ktos ja obserwowal. Wiedziala, ze sa w wiatraku sami, i w myslach na siebie nawrzeszczala. Robic z siebie takiego strachajle! Ale nim dotarla do wyjscia, jej lek wzrosl do tego stopnia, ze nie potrafilo zapanowac nad nim: obrocila sie i zaswiecila latarka w przestrzen za plecami. Cienie otulaly stara maszynerie rownie starannie, jak czarna krepa spowija w parku rozrywki gabinet grozy; cienie rozsuwaly sie, kiedy padal na nie strumien swiatla, powracaly miękko na swoje miejsce, kiedy jasny promien przesuwal sie dalej. Odslaniane kolejno katy nie kryly obserwatorow. Ktos mogl sie chowac za jakas czescia mechanizmu mlynowego. Zastanawiala sie, czy nie poszukac intruza. Ale nagle poczula sie glupio, ze tak latwo ulega lekowi. Co stalo sie z nieustraszona reporterka! Holly wyszla z wiatraka.

Slonce skrylo sie za gorami. Niebo nabralo koloru purpury i tej glebokiej opalizujacej niebieskosci, jaka spotyka sie na starych obrazach Maxfielda Parrisha. Kilka zab kumkalo w cienistych kryjowkach na brzegach stawu.

Przez cala droge wokol stawu i wzdluz stodoly, az do tylnych drzwi domu, Holly nieprzerwanie czula sie obserwowana. Jednakze, choc niewykluczone, ze ktos mogl ukryc sie w wiatraku, bylo nieprawdopodobne, by caly pluton szpiegow nastawionych na sledzenie kazdego jej ruchu zajal pozycje w stodole i wsrod pol, i na odleglych wzgorzach.

-Kretynka - powiedziala na wpol zartobliwie, kiedy jednym z kluczy otwierala tylne drzwi domu.



Miała latarke, ale machinalnie spróbowała zapalić światło. Była zaskoczona, kiedy okazało się, że dopływ prądu nie został przerwany.

Jednak jeszcze bardziej poczuła się zaskoczona tym, co światło ukazało jej oczom: w pełni wyposażona kuchnia. Przy oknie stał stół i cztery krzesła. Miedziane garnki i patelnie zdobiły ściany, a podwójny komplet noży i inne przyrządy kuchenne wisiały przy kuchence. Toster, proziz i mikser stały na ladzie. Lista zakupów, licząca jakieś piętnaście pozycji, była przycisnięta do ściany lodówki kawałkiem magnesu w kształcie puszki budweisera.

Czyżby Jim nie pozbył się przedmiotów należących do jego dziadków, kiedy zmarli pięć lat temu?

Holly przejechała palcem po jednej z lad, rysując ślad na cienkiej warstwie kurzu.

Tyle mogło się nazbierać przez trzy miesiące, nie przez pięć lat.

Skorzystała z toalety przylegającej do kuchni. Przeszła korytarzem, przez jadalnię i living-room. Wszędzie stały komplety lekko zakurzonych mebli. Niektóre obrazy na ścianach wisiały krzywo. Pokrowce chroniły oparcia foteli i sof.

Dawno nienakrepany wysoki, stojący zegar milczał. W living-roomie zapchana podstawka na czasopisma stała obok bujanego fotela, a wewnątrz mahoniowego kredensu bibeloty świeciły przygaszonym blaskiem pod nalotem kurzu.

196

197

Najpierw pomyślała, że Jim, spodziewając się kupca, zostawił dom umeblowany, aby móc go wynająć. Ale na jednej ze ścian living-roomu wisiały oprawione fotografie, których na pewno nie zostawiłby na łaskę najemcy: ojciec Jima jako młody mężczyzna, w wieku dwudziestu jeden lat; rodzice w weselnych strojach, Jim w wieku sześciu lat z rodzicami. Czwartą i ostatnią fotografią pokazywała dwoje ludzi w portretowym ujęciu.

Sympatyczna para, oboje wyglądający na pięćdziesiątkę. Mężczyzna trochę tęgawy, o ostrych rysach typowych dla Ironheartów; twarz jego towarzyski była raczej wyrazista niż ładna, o bardzo kobiecej urodzie. Pewne elementy tej twarzy powtarzały się u Jima i jego ojca. Holly nie miała wątpliwości, że miała przed sobą dziadków Jima ze strony ojca. Lene i Henry'ego Ironheartów.

Lena Ironheart była tą kobietą, której ciało przyoblekła Holly we śnie ostatniej nocy.

Szeroka, jasna twarz. Szeroko rozstawione oczy. Pełne usta. Krecone włosy. Pieprzyk, mały okrągły punkcik na skórze, zaznaczał się na wyraźnie zarysowanej kości policzkowej po prawej stronie twarzy.

Holly dokładnie opisała te kobiety Jimowi, a mimo to jej nie rozpoznał. Może nie uważał, że ma oczy szeroko rozstawione lub nie określiłby jej ust jako pełne. Może krecone włosy miała jedynie przez jakiś czas dzięki staraniom fryzjera. Ale ten pieprzyk powinien był przywołać mu jej obraz nawet pięć lat po śmierci.

Wrażenie, że jest obserwowana, nie opuszczało Holly. Teraz, kiedy wpatrywała się w twarz Leny Ironheart na fotografii, stało się tak ostre, że nagle obrocila się i rozejrzała po salonie.

Była sama.

Przebiegła pokój i wkroczyła do przedpokoju.

Nikogo.

Ciemne mahoniowe schody prowadziły na piętro. Kurz na słupku i poręczu był nienaruszony; brakowało śladów dłoni, odcisków palców.

Spoglądając w górę klatki schodowej, powiedziała:

-Jest tam ktoś? - Jej głos zabrzmiał dziwnie płasko w opustoszałym domu.

Nikt się nie odezwał.

Z wahaniem zaczęła wchodzić po schodach.

-Kto tam? - zawołała.

Odpowiedziała jej tylko cisza.

Niepewnie weszła na trzeci stopień. Spojrzała w dół, na przedpokój, potem znów w górę.

Cisza była zbyt głęboka, nienaturalna. Nawet opustoszały dom wydaje jakieś hałasy, czasem zaskrzypi, zatrzeszczy, zazgrzyta. Stare drewno skurczy się lub rozeschnie, zało196

197

moce luzna okiennica, zastuka w nią wiatr. Ale dom Ironheartów był tak wyciszony, że Holly mogłaby pomyśleć, że ogluchła, gdyby nie docierały do niej dźwięki, jakie sama wydawała. Weszła na kolejne dwa stopnie. Znowu stanęła.

Nadal czuła się obserwowana. Stary dom, żywy i czujący, jakby wpatrywał się w nią z niezycliwym zainteresowaniem tysiącem oczu ukrytych w drewnie i wzorach tapet.

Wyżej na polpietrze pyłki kurzu unosiły się w promieniach światła.

Zmierzch przyciskał purpurowa twarz do okien.

Stojąc tylko o cztery stopnie od polpietra, nabrała przekonania, że w niewidocznym korytarzu na gorze coś na nią czeka. Niekoniecznie Nieprzyjaciół, nawet nic żywego i wrogiego - ale coś potwornego, na widok czego przeżyje wstrząs.

Serce waliło jej młotem. Kiedy próbowała przełknąć ślinę, poczuła w gardle korek.

Wciągnęła oddech. Rozległ się okropny szarpany dźwięk.

Przeszywana niewidzialnym spojrzeniem, trzesąc się, o krok od przerażającego doznania, zalamana się: zawróciła na pięcie i zeszła szybko po schodach. Nie uciekła na oslepek z domu, ale również nie marudziła. Zgasiła światło i wyszła tą samą drogą, jaką przyszła.

Niebo, stykając się z gorami, na wschodzie stało się purpurowoczarne; na zachodzie purpurowoczerwone, a w środku szafirowoniebieskie. Złote pola i wzgorza zmieniły kolor na bladoszary, przechodzący w siwy, jakby podczas jej pobytu w domu spopielił je pożar.

Kiedy przecinała podwórzec i szła obok stodoły, przekonanie, że znajduje się pod obserwacją, stało się jeszcze intensywniejsze; spojrzała z obawą na pusty kwadrat otworu do wyrzucania siana i okna po obu stronach wielkich czerwonych dwuskrzydłowych drzwi. Było to doznanie sciskające trzewia, prymitywna moc, silniejsza niż instynkt.

Czuła się jak świnka morska, której podczas eksperymentu wbito w mózg przewody i naukowcy przesyłają jej impulsy wprost w naga tkankę mózgową, do ośrodków strachu, pobudzając paranoidalne złudzenia. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyła; wiedziała, że dotarła do cienkiej granicy paniki i walczyła o odzyskanie panowania nad sobą.

Kiedy znalazła się na zwirowanej ścieżce okrajającej staw, zaczęła biec. Trzymała długą latarkę jak pałkę, gotowa do obrony przed wszystkim, co mogłoby ją zaatakować.

Zabrzmiały dzwoneczki. Nawet przez własne gorączkowe sapanie usłyszała czyste, idealnie zestrojone srebrne tony szybko bijących młoteczków.

Przez moment była zdumiona, że to zjawisko było słyszalne na zewnątrz wiatraka i z takiej odległości. Budowla stała przecież po drugiej stronie stawu. Nagle na skraju obrazu przed nią coś zabłysło, zanim jeszcze pierwsze dźwięki rozplynęły się, i oderwała wzrok od wiatraka, żeby spojrzeć w lustro wody.

198

199

Pulsujące, czerwone jak krew światło dobywało się ze środka, rozchodząc się na zewnątrz w gestych kregach, jak równe fale biegnące od kamienia rzuconego w głęboką wodę. Holly

zatrzymała się jak wryta. Niemal runęła na kolana, kiedy zwir rozprysnął się pod jej stopami. Kiedy dzwonki ucichły, szkarłatne światło w stawie zgasło jak zdmuchnięte. Woda stała się o wiele ciemniejsza niż wtedy, kiedy ujrzała ją po raz pierwszy, wczesnym popołudniem. Zniknęły wszystkie ponure odcienie lupku, była czarna jak wypolerowany obsydian.

Dzwonki rozbrzmiały powtórnie i znowu szkarłatny blask, pulsując, rozbiegł się z centrum stawu ku brzegom. Widziała każdy jasny rozbłysk: nie rodził się na powierzchni, ale wynurzał z glebi; zrazu niewyraźny, potem, zmierzając szybko ku gorze, niemalże wybuchał na zwierciadle wody jak przegrzana, rozpalona żarówka. Ku brzegowi sunęły fale światła.

Znowu rozległy się dzwonki i światło powróciło. Tym razem nie było czerwone jak sciekająca posoka, przeszło w odcień bardziej pomarańczowoczerwony i równocześnie świeciło ostrzej. Na brzegu stawu białe pira kwiatostanów pampasowej trawy rozjarzyły się w dziwnym blasku jak wielobarwne płomyczki gazu.

Cos podnosiło się z dna stawu.

Pulsująca luminescencja przygasła wraz z zamieraniem dzwonek. Holly stała, porażona zachwytem i przerażeniem. Wiedziała, że powinna wziąć nogi za pas, ale jakby wrosła w ziemię.

Dzwonienie. Światło. Jakby lepkie, pomarańczowe tym razem. Bez czerwonego zabarwienia.

Najjasniejszy ze wszystkich rozbłysków.

Holly ocknęła się z odretwienia i ruszyła sprintem w kierunku wiatraka.

Ze wszystkich stron ponury zmierzch ożywał w pulsowaniu światła. Cienie podskakiwały rytmicznie jak Apacje tanczący wokół wojennego ogniska. Po drugiej stronie plotu zeszcłe kolby polyskiwały obrzydliwie jak poskrecane nozki i płaskie torsy modlących się modliszek. Wiatrak zdawał się przechodzić magiczne przemiany z kamienia w miedz, a nawet złoto.

Dzwonienie ustalo i światło zgasło. Dotarła do otwartych drzwi budowli.

Przebiegła przez prog, pośliznęła się i zatrzymała w ciemności na skraju dolnej izby. Żadne światło nie przebijało się teraz przez okna. Czern stała się smolowata, kleista.

Kiedy nieporadnie szukała przycisku latarki, nie mogła złapać tchu, jakby ciemność napłynęła do płuc i ją dusiła.

Zapaliła latarkę, równocześnie rozległy się dzwonki. Przeciela promieniem latarki przestrzeń przed i za sobą. Chciała mieć pewność, że nic nie kryje się w mroku, nic po nią nie sięgnie. Znalazła schody, pospieszyła do wyższej izby.

Kiedy dotarła do okna w połowie kondygnacji, przycisnęła twarz do szyby w miejscu, gdzie wcześniej wytarta ja reka. Banki światła w stawie stawały się coraz jasniejsze, przechodząc z pomarańczowych w bursztynowe. Wzywając Jima, Holly biegła wyżej.

Kiedy pokonywała wysokość, wersy z poezji Edgara Allana Poe, studiowane wieki temu na początku liceum, dawno zapomniane, przebiegły jej szalenczo przez myśl:

Bijąc takt w zalobny dzwon W rytm runiczny plasa, drga, A z nim rozhustany dzwon,  
Kolysany dzwon, dzwon, dzwon...

Wpadła do wyższej izby. Jim stał, spowity miękka, mlecznobiała poświata lampy.

Uśmiechał się, rozglądając w kolo i patrzac z oczekiwaniem po scianach.

-Jim, chodź, popatrz, szybko, coś dzieje się ze stawem - powiedziała, kiedy dzwonki ucichły.

Podbiegła do najbliższego okna, ale znajdowało się w takim miejscu, że nie można było z niego zobaczyć lustra wody. Dwa pozostałe wychodziły na inną stronę, nawet do nich nie podeszła.

-Dzwonienie kamieni - rzekł sennie Jim.

Kiedy znów usłyszała dzwonki, podeszła do szczytu schodów. Zatrzymała się i obejrzała, żeby się upewnić, że Jim za nią podąży, ale wydawał się pogrążony w jakimś oszłomieniu.

Biegła w dół, następne linijki wiersza Poego rozbrzmiały w jej umyśle:

Słyszysz ten na trwożę dzwon -

Z brązu dzwon?!

Jak ponura gra opowieść rozedrgany dzwonów ton!

Nie należała do kobiet, którym jakakolwiek poezja kojarzy się z bieżącą chwilą. Nie przypominała sobie, żeby cytowała kiedyś poezję albo nawet czytała od czasu college'u - poza cukierkowatymi wersami Luizy Tarvohl!

Kiedy znalazła się przy oknie, gorączkowo starła szybę dłonią, żeby moc dokładniej obserwować widowisko na dole. Światło znów stało się krwawoczerwone i ściemniało, jakby to, co poprzednio wznosiło się ku powierzchni, obecnie opadało.

Dzwoni dzwon, dzwon, dzwon! Jakaz rozpacz glosi, lek...

Wariactwem bylo recytowanie w mysli poezji, kiedy dzialy sie tak cudowne i okropne rzeczy. Nigdy przedtem nie przezywala podobnego stresu. Moze tak pracowala jasn - glupkowato wyciagajac na powierzchni dawno zapomniana wiedze - kiedy nalezalo sie spodziewac zetkniecia z wyzsza potega. Wlasnie tego sie teraz spodziewala: spotkania z wyzsza potega, moze z Bogiem - choc to wydawalo sie jej watpliwie. Nie sadzila, zeby Bog mial zamieszkiwac staw, chociaz kazdy pastor czy ksiadz prawdopodobnie powiedzialby jej, ze Bog mieszka wszedzie, absolutnie wszedzie, gdzie zechce. Tak jakby Bog mial byc podobny do King Konga i przebywal, gdzie mu przyjdzie ochota.

Dzwonki ucichly w momencie, kiedy Jim znalazl sie u jej boku, a szkarlatny blask w stawie wygasl szybko. Precisnal sie obok niej ku oknu i stanal z nosem przy szybie.

Czekali.

Uplynely dwie sekundy. Jeszcze dwie.

-Nie - powiedziala. - Cholerny swiat, tak chcialam, zebyś to zobaczył!

Ale dzwonki nie powrocily i staw pozostal ciemny wsrod powoli narastajacego zmierzchu. Za pare chwil noc otuli ich swym plaszczem.

-Co to bylo? - spytal Jim, odwracajac sie tylem do okna.

-Cos jak z filmu Spielberga podnosilo sie z dna, z glebiny stawu, swiatlo pulsowalo razem z odglosem dzwonkow. Mysle, ze to stamtad pochodzi dzwonienie, ze stawu - i jakos jest przenoszone przez sciany wiatraka.

-Jak ze Spielberga? - Wygladal na oszolomionego.

-Wspaniale i przerazajace, zachwycajace i obce, cos, co straszy i jest rownoczesnie cholernie podniecajace.

-Chodzi ci o "Bliskie spotkania trzeciego stopnia"? Masz na mysli statek kosmiczny, cos takiego?

-Tak. Nie. Nie jestem pewna. Nie wiem. Moze cos jeszcze dziwniejszego.

-Dziwniejsze niz statek kosmiczny?

Jej zachwyty, a nawet strach ustapily miejsca frustracji. Nie zdarzalo sie, by zabraklo jej slow

do opisu tego, co czuła lub widziała. Ale przy tym mężczyźnie i w obliczu nieporównywalnych z niczym zdarzeń, jakie były jego udziałem, wymysłny słownik i talent do płynnego wiązania słów zawiodły ją załosnie.

-Niech to szlag, tak! Dziwniejsze niż statek kosmiczny. Przynajmniej dziwniejsze od tego, co pokazują w kinie.

-Chodź - powiedział, idąc schodami w górę. - Wracajmy tam.

Kiedy ociągała się z odejściem od okna, cofnął się i wziął ją za rękę. \*E. A. Poe "Dzwony", przeł. Roman Klewin. E.A. Poe "Poezje wybrane"

200

201

-To jeszcze nie koniec. Myślę, że to dopiero początek. I miejsce naszego czuwania jest w wyższej izbie. Wiem, że tam. Chodź, Holly.

6

Znow zasiedli na spiworach. Lampa rzuciła perłowo-srebrny blask, zlewając białe żółtobiałe bloki kamienia.

Oble knoty płonęły z lekkim syczeniem wewnątrz szklanej osłony, spalając benzynę.

Brzmiało to jak szeptań dobiegający poprzez podłogę wiatraka.

Jim znalazł się w najwyższym punkcie swej emocjonalnej huśtawki, pełen dziecięcego zachwyty i wyczekiwania. Tym razem Holly siedziała obok niego. Światło w stawie wywołało w niej grozę, ale również w podświadomości wzbudziło proces powolnego związania się zachwyty i nadziei, które łącząc się, stopniowo, lecz nieustępliwie doprowadza do jakiegoś nieuniknionej, oczekiwanej eksplozji wiary, do uczuciowego katharsis.

Pogodziła się z tym, że Jim nie jest jedyną udrecona osoba w tym pomieszczeniu.

W jego sercu mógł panować większy zamęt niż w jej, ale na swój sposób pozostawała równie pusta. Kiedy spotkali się w Portland, przepelniał ją cynizm. Szła przez życie siłą rozpędu, nie próbowała szukać i wypełnić pustych przestrzeni serca. Nie doznała tragedii i smutku, jakie stały się jego udziałem, ale teraz uswiadomiła sobie, że życie, któremu brak zarówno tragedii, jak i radości, może zrodzić rozpacz. Spędzając dni, tygodnie i lata na realizacji zamysłów, które w istocie nie miały dla niej znaczenia, zmierzając do celu, który był jej obojętny, nie mając nikogo, z kim byłaby związana - cierpiała.

Jej dusza, pozbawiona sokow zycia, schla. Ona i Jim byli dwoma kawalkami ukkladanki jin-jang, kazde z nich wypelnialo puste miejsce w drugim. Wystarczylo im spotkac sie, aby nastapilo uzdrowienie. Pasowali do siebie zdumiewajaco dobrze i ich zwiazek robil wrazenie nieuniknionego; ale ukkladanka mogla sie nigdy nie dopasowac, gdyby polowki nie spotkaly sie w odpowiednim miejscu i czasie.

Obecnie z nerwowym podnieceniem oczekiwala na kontakt z potega, ktora przywiodla ja do Jima. Byla gotowa. Moze bedzie to Bog, moze ktos absolutnie inny. Na pewno rownie dobry. Nie dopuszczala mysli, ze w stawie dojrzala Nieprzyjaciela. Tamta istota nie mogla miec z nim zwiazku. Istnialy miedzy nimi pewne odniesienia, ale innego rodzaju. Gdyby nawet Jim nie powiedzial jej, ze nadchodzi cos przyjaznego i dobrego, w koncu wyczulaby sama, ze swiatlo w wodzie i dzwoningenie w kamiennych blokach zapowiadaja nie krew i smierc, ale wielka radosc.

Z poczatku wymieniali z Jimem jedynie krotkie zdania, obawiajac sie, ze paplanina powstrzyma wyzsza potege przed zainicjowaniem nastepnej fazy kontaktu.

202

203

-Jak dawno wykopano staw? - spytala.-Dawno.

-Zanim Ironheartowie sie zjawili?

-Tak.

-Przed zalozeniem gospodarstwa?

-Na pewno.

-Moze istnieje od zawsze?

-Moze.

-Kraza o nim jakies legendy?

-O co ci chodzi?

-Historie o duchach czy takie jak o Loch Ness, takie tam historyjki.

-Nie. Nic takiego nigdy nie obilo mi sie o uszy.

Zamilkli. Czekali.

-Jaka jest twoja teoria? - spytala w koncu Holly.



-Hm?

-Dzisiaj wspomniales, ze masz jakas teorie, cos dziwnego i wspanialego, ale nie chcesz o niej mowic, dopoki sobie wszystkiego nie poukladasz.

-Ach, tak.. Wiec... moze to cos wiecej niz teoria. Kiedy powiedzialas, ze widzialas cos w stawie podczas snu... nie wiem czemu, ale zaczalem myslec o Spotkaniu...

-Spotkaniu?

-Taak. Jak mowilas. Czegos... Obcego.

-Nie z tego swiata - rzekla Holly, przypominajac sobie dzwiek dzwonkow i swiatlo padajace ze stawu.

-Oni gdzies tam sa we wszechswiecie - odezwal sie cicho, panujac nad swoim entuzjazmem. - Jest zbyt wielki, zeby nie mogli w nim zaistniec. I ktoregos dnia nadleca.

Ktos ich spotka. Wiec dlaczego nie ja czy ty?

-Ale to musialo byc juz w stawie, kiedy miales dziesiec lat.

-Moze.

-Dlaczego mialoby tu siedziec przez caly ten czas?

-Nie wiem. Moze jest tu o wiele dluzej. Setki lat. Tysiace.

-Ale dlaczego statek kosmiczny mialby sie znalezc na dnie stawu?

-Moze to stacja badawcza, miejsce, skad obserwuja ludzka cywilizacje, jak stacja na Antarkydzie, postawiona do obserwacji tamtejszego zycia.

Holly pomyslala, ze rozmawiaja jak para dzieciakow siedzacych pod rozgwiezdzonym letnim niebem. Ciagnie ich do zachwytu nad nieznanym i fantazjowania o niezwyklej przygodzie. Na pewnym poziomie ich rozmyslania byly absurdalne, nawet smiechu warte, i nie moglo sie jej pomiescic w glowie, ze ostatnie wydarzenia moga

202

203

miec tak proste, a rownoczesnie niewiarygodne rozwiazanie. Ale na innym poziomie, tam gdzie nadal byla dzieckiem i na zawsze miala nim pozostac, rozpaczliwie pragnela, aby fantazja stala sie rzeczywistoscia. Po dwudziestu minutach bez zadnych dalszych wydarzen Holly zaczelo mijac podniecenie i nerwowe rozdygotanie, w jakie wprowadzil ja widok

swiatel w stawie. Dalej przepelnial ja zachwyty, ale ustapil stan umyslowego otepienia i przypomniala sobie, co czula tuz przed rozpoczeciem promieniejacego zjawiska w zbiorniku: wszechwladna, nadnaturalna, spychajaca ja w panike swiadomosc, ze znajduje sie pod czyjas obserwacja. Juz miala wspomniec o tym Jimowi, kiedy stanely jej w pamieci inne dziwne rzeczy, jakie zauwazyla w domu.

-Jest kompletnie umeblowany - powiedziala. - W ogole nie sprzatnales domu po smierci dziadka.

-Meble zostawilem, zeby moc go wynajac, wystawiajac na sprzedaz.

-Ale zostawiles tam rowniez wszystkie rzeczy osobiste.

Nie patrzyl na nia, lecz na sciany, oczekujac jakiegos sygnalu nadludzkiej obecności.

-Zabralbym to wszystko, gdyby udalo mi sie znalezc najemce.

-I trzymales to tam przeszlo piec lat?

Wzruszyl ramionami.

-Od tego czasu sprzatano tam mniej wiecej regularnie, chociaz nie ostatnio.

-Najemca zawsze moze sie pojawic.

-Jakos tam strasznie, Jim.

W koncu spojrzal na nia.

-O co ci chodzi?

-Jak w mauzoleum.

Jego niebieskie oczy byly absolutnie nieprzeniknione, ale Holly odniosla wrazenie, ze przyprawia go o irytacje. Byc moze dlatego, ze przyziemne gadanie o najemcach, sprzataniu i sprzedawaniu posiadlosci odrywa go od duzo milszych rozwazan o spotkaniu z Obcymi.

-Mhm, jest tam troche strasznie - potwierdzil, wzdychajac.

-To dlaczego...?

Powoli przykrecil lampe, zmniejszajac doplyw benzyny do knotow. Ostre biale swiatlo zelzalo do blasku przycmionego ksiezycy. Cienie podeszly blizej.

-Prawde mowiac, nie potrafilem sie zmusic do spakowania dobytku dziadka.

Zaledwie osiem miesiecy wczesniej, po smierci babci, przegladalismy razem jej rzeczy i duzo mnie to kosztowalo. Kiedy on... odszedl, tuz po niej, nie potrafilem sobie z tym poradzić. Tak dlugo byli dla mnie wszystkim, co mialem. I nagle nawet ich zabraklo.

Jego oczy sciemnialy pod naporem przezywanej udreki. Wspolczucie ogarnelo Holly.

Wyciagnela reke i ujela jego dlon.

204

205

-Zwlekalem i zwlekalem i im bardziej sie ociagalem z przejrzeniem jego rzeczy, tym trudniejsze sie to stawalo. - Westchnal jeszcze raz. - Gdybym znalazl najemce lub kupca, poczulbym sie zmuszony do zaprowadzenia tam porzadku niezaleznie od tego, ile by to mnie miało kosztowac. Ale na to stare gospodarstwo jest taki popyt jak na ciezarowke z piaskiem w srodku pustyni. Zamkniecie domu od smierci dziadka, pozostawienie go w niezmienionym stanie przez cztery lata i cztery miesiace, jesli nie liczyc okazjonalnego sprzatania - to zakrawalo na ekscentrycznosc. Holly nie mogla tego inaczej okreslic. Ale rownoczesnie wlasnie jego ekscentrycznosc poruszala ja, wzruszala. Tak to odebrala od samego poczatku: pod wybuchami gniewu, pod osobowoscia stalowego superbohatera, byl delikatnym i lagodnym mezczyzna.

-Zrobimy to razem - powiedziala Holly. - Kiedy sie dowiemy, co sie tu, do diabla, z nami dzieje; wszystko jedno, kiedy i jak sie to stanie, bedziemy mieli czas na przejrzenie rzeczy twojego dziadka. Jak wezwiemy sie do tego we dwojke, rzecz nie powinna okazac sie za trudna.

Uśmiechnal sie i uscisnal jej dlon.

Przypomniala sobie jeszcze cos.

-Jim, pamietasz opis tej kobiety z ostatniego snu, tej, co wchodzila po schodach wiatraka?

-Piate przez dziesiate.

-Powiedziales, ze jej nie rozpoznajesz.

-No i?

-Ale w domu wisi jej zdjecie.

-Zdjecie?

-W living-roomie, ta para na zdjeciu wygladajaca na piecdziesiatke - to nie twoi dziadkowie, Lena i Henry?

-Mhm. Zgadza sie.

-Lena byla ta kobieta w moim snie.

Zmarszczyl czolo.

-Czy to nie dziwne...?

-No, moze. Co dziwniejsze, ty jej nie rozpoznales.

-Pewnie niedokladnie ja opisalas.

-Ale nie slyszales, jak mowilam, ze ma pieprzyk...

Oczy zwezily mu sie i mocno scisnal ja za reke.

-Szybko, notatniki.

-Co? - spytala zdeorientowana.

-Cos ma sie zdarzyc, czuje to, i potrzebujemy blokow, ktore kupilismy w Centrum.

204

205

Puscil jej dlon. Wyciagnela z plastikowej torby dwa zolte poliniowane bloki do robienia notatek i cienkopis. Wzial to od niej, zawahal sie, rozejrzal po scianach i cieniach za nimi, jakby czekajac, az uslyszy, co ma dalej robic. Zadzwieczaly dzwonki.

Ten muzyczny rezonans wzbudzil w Jimie dreszcz. Wiedzial, ze oto stoi na krawedzi odkrycia sensu wydarzen, nie tylko ostatniego roku, ale przynajmniej dwudziestu pieciu lat. I odkryje nie tylko to. Cos znacznie wiecej. Znacznie wiecej. Dzwonienie ogloszalo objawienie transcendentalnych prawd o jeszcze wiekszym znaczeniu, wyjasnienie podwalin sensu jego calego zycia, przeszlosci i przyszlosci, poczecia i przeznaczenia; znaczenia samego bytu. Moze byla to przesada, ale czul, ze nim opusci ten wiatrak, zostana mu objawione tajemnice stworzenia. Osiagnie stan oswiecenia, jakiego szukal - i nie znalazl - w dziesiatkach religii.

Kiedy rozlegla sie druga seria dzwonkow, Holly zaczela sie podnosic.

Jim wyczul, ze chce zejsc do okna przy schodach i spojrzec na staw.

-Nie, zaczekaj - powiedzial. - Tym razem stanie sie to tutaj.

Zawahala sie, potem usiadla.

Gdy dzwonienie znów ustalo, Jim poczul, ze winien odsunac lodowke turystyczna i polozyc notatnik na podlodze, miedzy soba a Holly. Nie wiedzial, co ma zrobic z drugim blokiem i cienkopisem, ale po chwili niepewnosci zatrzymal je przy sobie.

Kiedy melodyjne dzwonienie rozpoczelo sie po raz trzeci, towarzyszylo mu nieprawdopodobne pulsowanie swiatla w scianach. Czerwona poswiata zdawala sie wylewac dokladnie ze srodka kamienia, naprzeciw niego, a potem nagle obieglala pokoj, zamykajac ich w kregu pulsujacej luminescencja obreczy.

Gdy przedziwny blysk smignal wokol nich, Holly krzyknela ze strachu. Jim przypomniał sobie, co opowiadala mu o snie z ostatniej nocy. Kobieta - moze jego babka, moze nie - wchodzila po schodach do wyzszej izby, dojrzala bursztynowa emanacje swiatla wewnatrz scian, jakby wiatrak byl zbudowany z kolorowego szkla, i widziala, jak ze spojonych zaprawa blokow rodzi sie cos niewyobrazalnie wrogiego.

-W porzadku. - Staral sie ja uspokoic. - To nie jest Nieprzyjaciel. To cos innego.

Nic nam nie grozi. To inne swiatlo.

Dzielil sie z nia spokojem, jaki splywal nan z wyzszej potegi. Modlil sie do Boga, aby tak bylo, aby nie nadeszlo zadne zagrozenie. Az za dobrze pamietal ohydna biologiczna transformacje, jaka przeszedl sufit w jego sypialni w Laguna Niguel nieco ponad dwanaszcie godzin temu; swiatlo pulsujace w owadzim odwloku, ktory rozerwal gipsowa sciane, niewyraza forma wewnatrz wila sie i drgala. Za nic nie chcial ujrzec tego z bliska.

206

207

Podczas nastepnych dwoch fal melodyjnego dzwonienia kolor swiatla zmienil sie na bursztynowy. Ale absolutnie nie przypominal zlowroznego promieniowania z sufitu sypialni. Tamto mialo calkowicie inny odcien bursztynu - wroga zolc gnijacej tkanki lub zgeszczonej ciemnej ropy - i pulsowalo razem ze zlowrobnym trojkrotnym dudnieniem serca, jakiego teraz nie bylo slychac. Holly jednak wygladala na przerazona.

Pragnal przyciagnac ja do siebie, objac ramieniem, ale musial niepodzielnie wytezyc cala uwage, gdyz wyzsza potega usilowala nawiazac z nim kontakt.

Dzwonienie ustalo, ale swiatlo nie zgaslo. Drzalo, migotalo, bladlo i jasnialo. Przesuwalo sie przez zwykle ciemne sciany w wielu pojedynczych bezforemnych ksztaltach, ktore nieustannie laczyly sie i dzielily; wygladalo to na plaska projekcje kalejdoskopu, jak w jednej z tych starych lamp Lava. Ciagle zmieniajace sie wzory ewoluowaly wszedzie od dolu scian po szczyt kopulastego sufitu.

-Czuje sie jak w batyskafie - powiedziala Holly. - Wielkie lawice swiecacych ryb zanurzaja

sie w glebiny i wzbijaja w gore, faluja wokol nas ze wszystkich stron w glebokich czarnych odmetach.

Uwielbial ja za nazwanie ich doznawanie piekniejszymi slowami, niz sam potrafilby to zrobic, slowami, jakie nie pozwola mu zapomniec tych obrazow, nawet gdyby mial zyc sto lat.

Niewatpliwie ulotna swietlistosc spoczywala wewnatrz kamienia, nie tylko na powierzchni. Mogl dostrzec wnetrze przejrzystej obecnie substancji, ktora jakby staraniem alchemika zostala przemieniona w ciemny, ale niezwykle czysty kwarc. Bursztynowe zarzenie rozswietlalo izbe bardziej niz lampa. Jego drzace dlonie nabraly koloru zlota, podobnie jak twarz Holly.

Platy ciemnosci jednak pozostaly i nieprzerwanie poruszajace sie swiatlo ozywialo takze cienie.

-Co teraz? - spytala cicho Holly.

Jim dostrzegl, ze cos stalo sie z zoltymi notatnikami, lezacymi pomiedzy nimi na podlodze.

Slowa pojawily sie na jednej trzeciej pierwszej strony. Wygladaly, jakby zapisano je palcem, zanurzonym w atramencie:

JESTEM Z WAMI.

206

207

7

Holly byla oszolomiona - co najmniej! - przez swietlne pokazy, Jim nie mogl przeciez, bez zwrocenia jej uwagi, pochylic sie nad blokiem i wypisac tych slow. Niemniej trudno jej bylo uwierzyc, ze jakas bezcielesna osoba przekazala im wiadomosc.-Chyba zacheca nas do zadawania pytan - powiedzial Jim.

-To spytaj, kim jest - zaproponowala od razu.

Napisal pytanie na drugim bloku i pokazal tekst Holly: Kim jestes?

Patrzyli, jak odpowiedz zjawia sie na pierwszym bloku, lezacym pomiedzy nimi pod takim katem, ze oboje mogli go czytac. Slowa nie wypalaly sie na papierze, nie formowaly ich krople atramentu spadajace magicznym sposobem z powietrza. Nieregularne, falujace litery pojawialy sie w nieuchwytnych szarych ksztaltach. Ciemnialy, wynurzajac sie z papieru, jakby strona w bloku byla zbiornikiem plynu glebokim na wiele metrow. Od razu rozpoznala efekt identyczny z niedawnym ukazywaniem sie kul swiatla, wznoszacych ku srodkowi

stawu, które potem, pekając, rozbiegaly się w wodzie koncentrycznymi kregami jasności ku brzegom. Tak samo w pierwszych momentach promieniowało również światło z kamiennych bloków, zanim stały się całkowicie przezroczyste.

PRZYJACIELEM.

Kim jesteś? Przyjacielem. Dziwne było to samookreślenie. Nie "waszym przyjacielem", ale Przyjacielem. Az i tylko przyjacielem.

Jak na obca inteligencje, niepretendująca do boskości, to określenie zawierało dziwnie duchowe odniesienia, własnie konotacje boskości. Ludzie nadali Bogu wiele imion - Jahwe, Allah, Brahma, Zeus - ale jeszcze więcej tytułów. Bog był Wszechmogący, Wiecznie Żywy, Nieskończoność, Ojcem, Zbawca, Stworca, Światłością. Przyjaciel pasowało jak ułal do tej listy.

Jim szybko napisał następne pytanie i pokazał je Holly:

Skąd przybywasz?

Z INNEGO ŚWIATA.

Mogło to być wszędzie, od chmur nad głową po Marsa. Chodzi ci o inną planetę?

TAK.

-Mój Boże - powiedziała Holly, nie mogąc zapanować nad zachwytem. A więc nie muszą dygotać przed zetknięciem się twarzą w twarz z Bogiem.

Podniosła wzrok znad bloku i spojrzała w oczy Jima. Były jasniejsze niż kiedykolwiek, choć chromowa zółć padającego światła barwiła je niezwykłą zielenią.

208

209

Nie mogąc usiedzieć z podniecenia, uklekła, potem znów opadła, przysiadając na łydkach. Górna część strony wypełniały odpowiedzi istoty. Holly zastanawiała się tylko przez moment, potem oderwała stronę, odłożyła na bok. Mogli teraz widzieć drugą kartkę. Spoglądała szybko na jeden i drugi blok, dzieląc uwagę pomiędzy pytania Jima i szybko pojawiające się odpowiedzi. Z innego układu słonecznego?

TAK.

Z innej galaktyki?

TAK.

To twój statek widzieliśmy w stawie?

TAK.

Jak długo tu jesteś?

10 000 LAT.

Wpatrując się w te liczby, Holly myślała, że sni sen przerastający wszystko, co ostatnio nawiedziło ją w nocnych rojeniach. Przedtem zagłębiali się w wielką niewiadomą - teraz padły wyjaśnienia. Ale wydawały się następować zbyt łatwo. Nie miała pojęcia, czego się spodziewała, lecz nie wyobrażała sobie, że mroczna zawiesina, w jakiej się szamotali, zostanie oczyszczona tak błyskawicznie, jakby wpuszczono w nią krople magicznego, cudownego detergentu. - Zapytaj ją, po co tu jest - powiedziała Holly, odrywając drugą kartkę i kładąc ją razem z pierwszą.

Jim był zaskoczony.

-Ja?

-Dlaczego nie?

Odpowiedź wynurzyła się poprzez papier na powierzchnię kartki:

BY OBSERWOWAĆ, BADAĆ, WSPOMAGAĆ LUDZKOŚĆ.

-Wiesz, co mi to przypomina? - spytała Holly. - Co?

-Odcinek "Outer Limits".

-Z tego starego serialu?

-Mhm.

-Nie jesteś za młoda, żeby to pamiętać?

-Leci teraz na kablówce.

-Ale o co ci chodzi z tym podobieństwem?

Wskazała na ostatni napis i się skrzywiła.

-Nie sędzisz, że to jest takie... wyswiechtane?

-Wyswiechtane? - Był zirytowany. - Nie, nie sędzisz. Bo nie mam zielonego pojęcia, jak powinien wyglądać kontakt z Obcymi. Nie mam w tym kolosalnego doświadczenia, na



pewno nie tyle, żeby wiedzieć, co mnie czeka, i z góry się nudzić.

208

209

-Przepraszam - powiedziała. - Nie wiem co... po prostu... No dobra, zobaczymy, co stanie się dalej. Musiała przyznać, że od momentu, w którym światło pojawiło się w ścianach po raz pierwszy, jej zachwyt nie zmalał. Serce dalej biło mocno i szybko i nadal nie mogła odetchnąć głębiej. Wciąż czuła, że znalazła się w towarzystwie czegoś nadludzkiego, może jakiegoś wyższej potęgi, takiej czy innej, i przytłaczała ją jej obecność. Biorąc pod uwagę to, co widziała w stawie, owa pulsująca luminescencja, nawet teraz przepływająca w ścianach, i słowa, jakie rozblyskiwały wciąż na nowo na kartkach bloku, musiałaby być beznadziejna kretynka, żeby nie ulec zachwytowi.

Jednak niewątpliwie jej podziw był nieco zmacony wrażeniem, że ta istota wzorowała formę spotkania na starych filmach lub scenariuszach rodem z TV. Z nutą sarkazmu w głosie Jim powiedział, że ma zbyt mało doświadczeń w kontaktach z obcymi cywilizacjami, aby wiedzieć, co go czeka, i przezyc rozczarowanie. Ale to nie była prawda.

Wyrosłszy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, był tak napompowany produkcją mass mediów jak ona. Zalewały ich te same seriale i filmy TV, ilustrowane magazyny i książki; fantastyka naukowa stanowiła główną strawę pop-kultury przez większość ich życia. Dostarczono mu mnóstwa opisów kontaktu z Obcymi - i ta istota wykorzystywała je wszystkie. Holly oczekiwała tylko jednego. Niech to prawdziwe bliskie spotkanie trzeciego stopnia w niczym nie przypomni tego, co pisarze i scenarzyści wyobrazili sobie w najbliższych wlotach wyobraźni, ponieważ Obcy naprawdę znaczyło obcy, różny, wymykający się łatwemu porównaniu czy rozumowaniu.

-Dobra - powiedziała. - Może właśnie chodzi o użycie czegoś znanego. Może korzysta z naszych współczesnych mitów jak z wygodnego kostiumu: pokazuje się w nim i dzięki temu potrafimy go objąć naszym rozumem. Prawdopodobnie tak krącawo różni się od nas, że nigdy byśmy nie pojęli jego prawdziwej natury ani nie rozpoznali postaci.

-Właśnie - powiedział Jim.

Napisał kolejne pytanie: Czym jest światło, jakie widac w ścianach? SWIATLO JEST MNA.

Holly nie czekała, aż Jim napisze następne pytanie. Zwrociła się wprost do istoty:

-Jak udaje ci się poruszać poprzez ściany?

Ponieważ Obcy robił wrażenie całkowitego sztywniaka, jeśli chodziło o formy, była zaskoczona, kiedy zrezygnował ze schematu: "napisz pytanie - dostaniesz odpowiedź".

Odpowiedzial od razu:

MOGE STAC SIE CZESCIA CZEGOKOLWIEK, PORUSZAC SIE WEWNATRZ  
TEGO, PRZYBIERAC DOWOLNY KSZTALT I KORZYSTAC Z NIEGO, KIEDY  
CHCE.

-No, nadymac sie tez umie - powiedziala.

210

211

-Nie rozumiem, skad u ciebie w takim momencie sarkazm - rzucil zniecierpliwiony Jim.-To  
nie sarkazm - wyjasnila. - Po prostu mam klopoty ze zrozumieniem.

Nie wygladal na przekonanego.

-Rozumiesz, jakie mam z tym klopoty? - spytala obcej istoty.

Na bloku pojawilo sie:

TAK.

Oderwala i te kartke, odslanjajac swieza. Z rosnacym niepokojem i zdenerwowaniem, ale  
nie zdajac sobie sprawy z ich zrodla, Holly wstala i przeszla w kolko, spogladajac na gre  
swiatel w scianach. Jednoczesnie formurowala nastepne pytanie.-Dlaczego odglos  
dzwonkow poprzedza twoje pojawienie sie?

Brak odpowiedzi na bloku. Powtorzyla pytanie. Blok pozostal pusty.

-Prosze, tajemnica zawodowa - rzekla Holly.

Poczula, jak kropla zimnego potu splywa jej po boku, od prawej pachy, pod bluzka.

Dzieciacy zachwyty nadal jej nie opuszczal, ale strach ponownie dawal o sobie znac. Cos  
bylo nie tak. Cos wiecej niz tylko banalna forma opowiesci podsuwanej przez te istote.

Nie mogla uchwycic zrodla leku.

Jim napisal kolejne pytanie na kartce bloku. Holly pochylila sie w dol, zeby je przeczytac:

Czy pojawialas mi sie w tej izbie, kiedy mialem dziesiec lat?

TAK. CZESTO.

Czy kazalas mi o tym zapomniec?

TAK.

-Nie zawracaj sobie glowy pisaniem pytan - powiedziala Holly. - Mow je na glos jak ja. Jim byl wyraznie zaskoczony jej propozycja, a ona zdziwiona, ze nie przestal korzystac z cienkopisu i bloku nawet po tym, jak zobaczyl, ze jej glosne pytania spotykaja sie z odpowiedzia. Odkladal przyrzady do pisania z wyraznym oporem, ale w koncu zrobil to.

-Dlaczego kazalas mi zapomniec?

NIE BYLES GOTOW DO ZAPAMIETANIA.

-Zbedna tajemniczosc - zamruczala. - Miales racje. To musi byc meskiego rodzaju. Jim oderwal kartke, zlozyl z innymi, czekal chwile, wyraznie niepewny, o co ma dalej pytac.

-Czy jestes rodzaju meskiego czy zenskiego? - spytal w koncu.

JESTEM RODZAJU MESKIEGO.

210

211

-Bardziej prawdopodobne - powiedziala Holly - ze nijakiego. Przeciez to Obcy i prawdopodobnie rozmnaza sie poprzez podzial. JESTEM RODZAJU MESKIEGO - powtorzylo.

Jim siedzial nadal na podgietych nogach. Na twarzy mial wciaz ten sam wyraz chlopiecego zachwytu.

Holly nie mogla zrozumiec, czemu jej niepokoj wzrasta niebotycznie, podczas kiedy Jim podskakiwal - i to doslownie - z entuzjazmu i zachwytu.

-Jak wygladasz? - spytal.

JAK UZNAM ZA STOSOWNE.

-Czy mozesz sie nam pokazac jako mezczyzna lub kobieta? - spytal Jim.

TAK.

-Jako pies?

TAK.

-Jako kot?

TAK.

-Jako zuk?

TAK.

Pozbawiony swych strozow rozsadku: cienkopisu i notatnika, Jim zredukowal pytania do idiotyzmow. Holly na wpol oczekiwala, ze zacznie pytac istote, jaki jest jej ulubiony kolor, czy woli cole od pepsi i jak jej sie podoba muzyka Barry Manilowa. Ale spytal:-Ile masz lat?

JESTEM DZIECKIEM.

-Dzieckiem? - Jim sie zdziwil. - Ale powiedziales nam, ze przebywasz w naszym swiecie przez dziesiec tysiecy lat.

NADAL JESTEM DZIECKIEM.

-Tvoj gatunek jest tak dlugowieczny?

JESTESMY NIESMIERTELNI.

-Rany.-Klamie - powiedziala Holly Jimowi.

-Jezu, Holly! - odezwal sie Jim zatrwozony jej obelga.

-Co chcesz? Tak jest.

I to wlasnie bylo zrodlem nawrotu leku - obawa, ze to nie jest z nimi uczciwe, bawi sie w kotka i myszke, oszukuje. Miala uczucie, ze obserwuje ich z niezglebiona pogarda.

W takim razie zapewne powinna zamknac dziob, spokorniec, pasc plackiem przed jego sila i starac sie nie wzbudzic gniewu.

Zamiast tego powiedziala:

212

213

-Jezeli to mialoby byc niesmiertelne, nie nazywaloby sie dzieckiem. Nie mogloby tak o sobie pomyslec. Niemowlectwo, dzieciinstwo, mlodosc, dojrzalosc - takie kategorie mozna stosowac wobec gatunkow smiertelnych. Jezeli zas jestes niesmiertelny, mozesz urodzic sie niewinny, glupi, niewykształcony, ale nie mozesz urodzic sie mlody, poniewaz tak naprawde nigdy sie nie zestarzejesz.-Nie dzielisz wlosa na czworo? - spytal Jim prawie z

rozdraznieniem.

-Nie sadze. To nas oklamuje.

-Moze uzywajac slowa "dziecko", chcialo tylko w jeszcze jeden sposob umozliwic nam zrozumienie swej obcej natury.

TAK.

-Sranie w banie - powiedziala Holly.-Przestan, Holly!

Kiedy Jim oddzielil nastepna kartke od swojego bloku, odrywajac ja dokladnie przy brzegu, Holly podeszla do sciany i uwaznie spogladala na wzory swiatla przeblyskujace przez kamien. Widziane z bliska byly bardzo piekne i dziwne, nie przypominaly splywajacego gladko fosforyzujacego roztworu lub rozpalonego strumienia lawy. Wygladaly jak iskrzace sie mrowie robaczkow swietojanskich, miliony mieniacych sie punkcikow, potwierdzajac jej porownanie do polyskujacej lawicy ryb.

Holly na wpol oczekiwala, ze sciana przed nia nagle specznieje. Rozerwie sie. Zrodzi monstrualny ksztalt.

Chciala sie cofnac. Zamiast tego podeszla blizej. Jej nos byl zaledwie o centymetr od poddanego przemianie kamienia. Obserwowanie z takiej bliskosci falowania, przeplywu i wirowania milionow jasnych komorek dzialalo oszalamiajaco. Nie czula ciepla, ale wyobrazila sobie, ze na jej twarzy musza blyskac swiatla i cienie.

-Dlaczego odglos dzwonekow poprzedza twoje pojawienie sie?

-Brak odpowiedzi - zglosil Jim. - Nie sadze, bys powinna powtarzac to pytanie jeszcze raz, Holly. Ono wyraznie nie chce odpowiedziec i niczego nie osiagniemy, dzialajac mu na nerwy. To nie jest Nieprzyjaciel, to...

-Mhm, wiem. To Przyjaciel.

Stala nadal przy scianie i czula, ze zetknela sie twarza w twarz z obca istota, chociaz to nie mialo niczego odpowiadajacego twarzy. Bylo teraz na niej skupione. Bylo tu.

Spytala znow:

-Dlaczego odglos dzwonekow poprzedza twoje pojawienie sie?

Instynktownie czula, ze niewinne pytanie i mniej niewinne powtarzanie sciaga na nia wielkie zagrozenie. Serce tluklo sie tak glosno, ze sie zastanawiala, czy Jim go nie slyszy. Przyszlo jej do glowy, ze Przyjaciel, majac taka moc, mogl nie tylko slyszec walace mlotem serce, ale widzial je skaczace jak przerazony krolik. Wiedzial, ze sie boi; niech mu bedzie. Do

diabla, mogli nawet zagladac w jej mysli. Musiala mu pokazac, ze nie da sie zastraszcyc.

212

213

Polozyła jedna reke na wypelnionym swiatlem kamieniu. Jezeli te polyskujace chmury nie byly jedynie projekcja swiadomosci tej istoty, nie tylko iluzja lub pokazem na ich czesc, jezeli to cos faktycznie przebywalo, jak twierdzilo, w scianie, to kamien byl zywym miesem. Jej reka spoczywala na cieple. Lekkie vibracje przebiegly przez sciane. Jedynie tyle poczula. Brakowalo ciepla. Plomien wewnatrz kamienia byl wyraznie zimny.-Dlaczego odglos dzwonekow poprzedza twoje pojawienie sie?

-Holly, przestan - powiedzial Jim.

Po raz pierwszy w jego glosie zabrzmiala obawa. Moze on rowniez poczul, ze Przyjaciel nie jest tak do konca przyjacielem.

Nurtowalo ja podejrzenie, ze w tej konfrontacji liczyla sie sila woli i wlasnie zademonstrowanie nieugietej woli nada nowy ton ich stosunkom z Przyjacielem. Nie potrafilo wyjasnic, skad plynela moc tego przekonania. Po prostu instynkt - nie kobiety, ale eks-reporterki.

-Dlaczego odglos dzwonekow poprzedza twoje pojawienie sie?

Wydalo sie jej, ze odebrala lekka zmiane vibracji mrowiacych sie pod reka, ale moze byla to jedynie kwestia wyobrazni, gdyz drgania byly i tak ledwo wyczuwalne. Przez mysl przemknal jej obraz kamienia pekajacego na ksztalt rozdziawionych ust, odgryzajacego dlon, obraz tryskajacej krwi, bieli kosci jasno polyskujacej z poszarpanego kikuta.

Trzesla sie niepohamowanie, ale nie zrobila kroku w tyl, nie cofnela reki od sciany.

Zastanawiala sie, czy to Przyjaciel przeslal jej ten obraz.

-Dlaczego odglos dzwonekow poprzedza twoje pojawienie sie?

-Holly, na litosc boska... - Jim przerwal, potem dodal: - Poczekaj, nadchodzi odpowiedz.

Sila woli miala znaczenie. Ale, na Boga, dlaczego? Dlaczego wszechwladna, obca potega z innej galaktyki mialaby byc krepowana jej nieugietym zdecydowaniem?

-Ono mowi... Dla udramatyzowania - Jim przekazal odpowiedz.

-Dla udramatyzowania? - powtorzyla.

-Tak. Najpierw DLA, potem UDRAMATYZOWANIA, potem znaki zapytania.

-Mowisz mi, ze dzwonki to teatralny numer, zeby zwiekszyc napiecie przy twoim pojawieniu sie? - powiedziala do tego czegos w scianie.

Po paru sekundach Jim rzekl:

-Brak odpowiedzi.

-I znak zapytania? - spytala Przyjaciela. - Nie wiesz, co znacza same dzwonki, skad pochodzi dzwiek, co go powoduje, dlaczego? I tylko stac cie na zgadywanki? Dla udramatyzowania? Jak mozesz tego nie wiedziec, jesli zawsze ci towarzyszy?

-Nic - poinformowal Jim.

214

215

Wpatrywala sie w sciane. Kipiel przetaczajacych sie rozswietlonych komorek wywoływala w niej coraz wieksze oszolomienie, ale nie zamknela oczu.-Nowa wiadomosc - rzucil Jim. -  
ODCHODZE.

-Tchorzysz - rzekla miekko Holly w bezkszaltne oblicze twarzy tego czegos w scianie. Ale ja sama pokrywala zimny pot.

Bursztynowe swiatlo zaczelo ciemniec, stawac sie pomaranczowe.

Cofajac sie w koncu od sciany, Holly zachwiala sie i prawie upadla. Podeszla do spiwora i osunela sie na kolana.

Nowe slowa pojawily sie na bloku:

POWROCE.

-Kiedy? - spytal Jim.

KIEDY NASTANIE MOJ PLYW.

-Jaki plyw?

W ZBIORNIKU WODNYM SA PLYWY, PRZYPLYW I ODPLYW, CIEMNOSC

I JASNOSC. JA POJAWIAM SIE Z PRZYPLYWEM JASNOSCI, ALE ON POJAWIA SIE  
Z MROKIEM.

-On? - spytala Holly.

NIEPRZYJACIEL.

Swiatlo w scianach bylo teraz czerwonepomaranczowe, ciemniejsze, ale nadal nieprzerwanie zmienialo wzory na scianach.-We dwojke dzielicie sie statkiem gwiazdnym?

TAK. DWIE SILY. DWIE ISTOTY.

Klamie, pomyslala Holly. To, jak cala reszta tej historyjki, nie rozni sie od dzwonek: teatralne sztuczki.

CZEKAJCIE NA MOJ POWROT.

-Bedziemy - powiedzial Jim.

NIE SPIJCIE.

-Dlaczego mamy nie spac? - zapytala Holly, udajac posluszenstwo.

MOZECIE SNIC.

Strona byla pelna. Jim oderwal ja i polozyl na kupke. Swiatlo w scianach bylo teraz krwistoczerwone i bezustannie przygasalo.

SNY OTWIERAJA DRZWI.

-Co chcesz przez to powiedziec? Pojawily sie te same trzy slowa:SNY OTWIERAJA DRZWI. - To ostrzezenie - rzekl Jim.

SNY OTWIERAJA DRZWI.

Nie, pomyslala Holly, to grozba.

214

215

8

Wiatrak na powrot stal sie tylko wiatrakiem. Kamienie i drewno. Zaprawa murarska i gwozdzie. Opadajacy kurz, gnijace drewno, rdzewiejace zelazo, pajeczki sieci w sekretnych zakatkach.Holly usadowila sie naprzeciw Jima w pozycji Indianina bioracego udzial w naradzie wojennej, dotykajac go kolanami. Wziela w rece obie jego dlonie, czesciowo dlatego, ze czerpala sily z jego dotknienia, a czesciowo dlatego, ze chciala go uspokoic i usunac jad z tego, co zamierzala powiedziec.

-Posluchaj, malenki, jestes najbardziej interesujacym mezczyzna, jakiego w zyciu



spotkałam, najbardziej seksownym, bez dwóch zdań. I w głębi serca jesteś dobry. Ale wywiady prowadzisz parszywie. Głównie chodzi o to, że pytania masz nieprzemysłane, nie dobierasz się do sedna sprawy, idziesz za bzdetami, a gubisz istotne wątki. I jesteś na tyle naiwny, że bierzesz odpowiedzi za dobrą monetę, a rozmowcy nigdy nie są uczciwi.

Nie drążyś sprawy, jak powinien.

Nie robił wrażenia obrazonego. Uśmiechnął się i powiedział:

-Nie myślałem o sobie jako o reporterze robiącym wywiad.

-Ale, dzieciaczku, my jesteśmy dokładnie w takiej sytuacji. Przyjaciel, jak on o sobie mówi, dysponuje informacją, a my jej potrzebujemy, żeby wiedzieć, na czym stoimy, żeby odwalić swoją robotę.

-Myślałem o tym raczej jako... nie wiem... jako o epifanii. Kiedy Bóg przyszedł do Mojżesza z Dziesięciorgiem Przykazań, to, moim zdaniem, przekazał Mojżeszowi tylko ich treść, a jeśli nawet Mojżesz miał jeszcze inne pytania, nie uważał za słuszną wiercić dziury w brzuchu Wielkiemu Gościowi.

-To nie Bóg był w tych ścianach.

-Wiem. Ten pomysł mam za sobą. Ale była to obca inteligencja, tak przewyższająca nas, że prawie mogłaby być Bogiem.

-Tego nie wiemy - powiedziała cierpliwie.

-Owszem, wiemy. Kiedy się weźmie pod uwagę wysoki stopień inteligencji i tysiąclecia potrzebne do stworzenia cywilizacji, której mieszkańcy podróżują między galaktykami - wielkie nieba, w porównaniu z tym jesteśmy małpami!

-Ale właśnie o to chodzi, sam popatrz. Skąd wiesz, że ono przybyło z innej galaktyki? Bo wierzysz w to, co ci powiedziano. Skąd wiesz, że w stawie jest statek kosmiczny?

Bo wierzysz w to, co ci powiedziano.

Jim zaczął znowu tracić cierpliwość.

-Dlaczego miałoby nas okłamywać, co by przez to zyskało?

216

217

-Nie wiem. Nie możemy być pewni, czy nami nie manipuluje. A kiedy wróci, jak obiecało, chce być przygotowana. Zamierzam spędzić następną godzinę, dwie, trzy - nieważne, ile mi

to zajmie - sporządzając listę pytań. Przepuszczymy to przez dokładnie wyregulowany magiel. Musimy opracować strategię, żeby wycisnąć prawdziwe informacje, fakty, nie fantazje, i nasze pytania muszą stanowić podstawę tej strategii. - Kiedy skrzywił się, szybko kontynuowała, zanim przerwał. - Dobra, w porządku, może jest niezdolne do kłamstwa, szlachetne i dobre. Niech będzie, że wszystko, co nam opowiada, jest ewangeliczna prawda. Ale posłuchaj, Jim, to nie epifania. Kiedy Przyjaciół natchnął cie, żebyś kupił blok i pisak, ustanowił zasady. Wepchnął nas w formułkę "pytanie-odpowiedź". Gdyby nie chciał, żebyśmy go wykorzystali, po prostu kazałby nam się przysmknąć i zacząłby gadać z plonącymi krzakami!

Wpatrywał się w nią. Gryził wargę, głęboko zamysłony. Podniósł wzrok na ściany, na kamienie, w których pływała świetlna istota.

-Nigdy nawet nie zapytales, dlaczego ono chce, żebyś ratował ludzi od śmierci - dodała z naciskiem - lub dlaczego jedni mają zostać uratowani, a inni nie.

Spojrzał na nią jeszcze raz. Jego samego musiałoby wyraźnie zaskoczyć, że nie zadał odpowiedzi na najważniejsze pytanie. W mlecznym blasku miękko syczącej benzynowej lampki jego oczy przestały jarzyć się zielenią odbita od bursztynowego światła. Stały się na powrót niebieskie. I udrecone.

-Dobra. Masz rację. Chyba mnie poniosło. Wiesz, Holly, cokolwiek by to, do cholery, było - jest niesamowite.

-Owszem - potwierdziła.

-Zrobimy, jak chcesz, przygotujemy listę przemyślanych pytań. A kiedy ono powróci, ty będziesz je zadawała, bo tobie lepiej to idzie. Może powiedzieć coś takiego, że trzeba będzie je wymyślać.

-Zgoda. - Odetchnęła z ulgą, że sam to zaproponował, bez nacisku z jej strony.

Znała się na przeprowadzaniu wywiadów lepiej od niego i na dodatek, w tej szczególnej sytuacji, była stokrotnie wiarygodniejszym rozmówcą niż Jim. Przyjaciół utrzymywał z nim długi związek w przeszłości i najwyraźniej wpłynął na pamięć Jima, kazać mu zapomnieć o spotkaniach, jakie mieli dwadzieścia pięć lat temu. Holly założyła, iż Jim uległ werbunkowi, w takim czy innym stopniu dał się przeciągnąć na drugą stronę, choć sam może sobie tego nie uświadamiał. Przyjaciół przebywał w jego jaźni przy wielu, może setkach okazji, kiedy Jim był jeszcze na etapie budowania osobowości i kiedy w wyniku utraty rodziców był całkowicie bezbronny. Stąd też niezwykła podatność na manipulację; podlegał łatwiejszej kontroli niż większość rówieśników.

Podświadomość Jima Ironhearta mogła zostać tak zaprogramowana, aby raczej ochraniał tajemnice Przyjaciół, niż pomagał przy ich ujawnianiu.

Holly miała świadomość, że kroczy po waziutkiej granicy pomiędzy ostrożnością nakazaną przez zdrowy rozsadek a paranoją. Być może nawet bardziej zbliżając się do tej drugiej. Ale w tych okolicznościach nieco paranoi zwiększało szanse przeżycia. Kiedy jednak powiedział, że wychodzi na dwór, żeby się załatwić, sto razy wolą iść z nim, niż pozostać sama w wysokiej izbie. Poszła za nim w dół schodów i stała przy fordzie, odwrócona plecami, kiedy siusiał przy płocie otaczającym poletko kukurydziane.

Wpatrywała się w głęboka czern stawu.

Sluchala zab, ktore znów zaczęły swój koncert, podobnie jak cykady. Wydarzenia całego dnia solidnie ją wstrzasnęły. Teraz nawet odgłosy natury wydały się złowroczne.

Zastanawiała się, czy nie stanęli przed czymś zbyt dziwnym i potężnym, aby temu sprostać we dwojkę: reporterka nieudacznik i były nauczyciel. Zastanawiała się, czy nie powinni w tej chwili opuścić farmy. Zastanawiała się, czy będzie im wolno ją opuścić.

Od chwili odejścia Przyjaciela strach Holly nie ustępował. Przeciwnie, zwiększał się.

Czuła się tak, jakby zawieszono nad nimi tysiactonowy ciężar, który magicznym sposobem trzyma się na jednym ludzkim włosie, ale magia zaczynała słabnąć, włos wyciągał się, napinał, błyszcząc jak szklana nit.

Do północy zjedli sześć paczków w czekoladzie i ułożyli siedem stron pytań dla Przyjaciela. Cukier dodawał energii i kołował niepokój, ale nie pomagał starganym nerwom. Zdenerwowanie Holly nabrało ostrości kryształków rafinowanego cukru, dobrze naostrzonej brzozy.

-I tym razem nie ma pisanych odpowiedzi - mówiła Holly, krzając po izbie z blokiem w ręce.  
- To spowalnia wymianę pomiędzy pytającym a rozmówcą. Uprzyjmy się, żeby z nami rozmawiało.

Jim leżał na plecach z rękami założonymi pod głowę.

-Ono nie potrafi mówić.

-Skąd wiesz?

-No, tak zakładam, bo inaczej rozmawialoby z nami od razu.

-Niczego nie zakładaj. Jeżeli potrafi zmieszać swoje cząsteczki ze ścianą, pływać w kamieniu, we wszystkim - jeśli mamy mu wierzyć - i może przybrać taką postać, na jaką mu przyjdzie ochota, to, do wszystkich diabłów, potrafi przyjąć kształt ust i strun głosowych i da

rade gadac jak kazda szanujaca sie wyzsza potega!

-Chyba masz racje - przyznal zaklopotany.

-Powiedzialo juz, ze jak zechce, pojawi sie przed nami jako mezczyzna albo kobieta, prawda?

-No... taak.

-Nie prosze o pojawienie sie w powloce cielesnej przy blasku piorunow, tylko o glos, bezcielesny glos, troche dzwieku przy starych, dobrych popisach swietlnych.

218

219

Sluchajac wlasnych slow, Holly uswiadomila sobie, ze wykorzystywala napiecie do podpompowania siebie, wyzwolenia agresji, ktora ja wspomozie, kiedy Przyjaciel powroci. To byl stary sposob; nauczyla sie z niego korzystac podczas wywiadow z ludzmi, ktorzy gorowali nad nia lub wobec ktorych czula sie skrepowana. Jim usiadl.

-Dobra, ono moze rozmawiac, jesli ma ochote, ale moze jej nie mialo.

-Juz zdecydowalismy, Jim; nie wolno pozwolic, zeby ustalalo wszystkie zasady.

-Ale nie rozumiem, dlaczego mamy antagonizowac stosunki.

-Ja nie antagonizuje.

-Mysle, ze przynajmniej powinniśmy okazac temu troche szacunku.

-Och, szanuje to jak jasna cholera.

-Nie wydaje mi sie.

-Jestem przekonana, ze gdyby chcialo, zmiazdzyloby nas jak pluskwy i dlatego darze to przeogromnym szacunkiem.

-Nie taki szacunek mialem na mysli.

-Jest to jedyny rodzaj szacunku, na jaki zarobilo sobie z mojej strony - oznajmila, krazac teraz wokol Jima. - Kiedy ono skonczy mna manipulowac, przestanie napedzac nieziemskiego stracha, zacznie dawac odpowiedzi, w ktorych uslysze troche prawdy, wtedy moze bede szanowala to z innych powodow.

-Jestes troche spieta - zauwazyl.

-Jaaa?

-I wrogo nastawiona.

-Nie jestem.

Patrzył na nią krytycznie.

-Wygląda mi to na ślepa wrogość.

-To dziennikarstwo napastliwe. To styl i treść nowoczesnej prasy. Nie pytasz swego rozmowcy, żeby potem opisać go czytelnikom, ty atakujesz. Masz swój plan, wersję prawdy, którą chcesz przekazać, niezależnie od tego, jak ona wygląda, i dążysz do zrealizowania planu. Nigdy mi się to nie podobało, nigdy na to nie szłam i dlatego dostawałam gorsze tematy i zajmowałam niższe lokaty. Teraz, tutaj, dziś w nocy, jestem za stylem atakującym. Cała różnica polega na tym, że ja chcę dojść do prawdy, a nie ją kształtować, i po prostu chcę wycisnąć, wydusić prawdę z naszego Obcego.

-Może się nie pokaze.

-Powiedziało, że się pokaze.

-Ale dlaczego miałoby to zrobić, skoro jesteś w takim stanie? - powiedział Jim, potrząsając głową.

-Próbujesz powiedzieć, że mogłoby się mnie obawiać? A co za wyższa potęga byłaby wtedy z niego?

218

219

Rozległy się dzwonki i Holly podskoczyła zaalarmowana. Jim wstał.-Tylko spokojnie.

Dzwonki ucichły, znowu zabrzmiały, ucichły. Kiedy zadzwoniły po raz trzeci, brudnoczerwone światło pojawiło się w jednym punkcie ściany. Stawało się coraz intensywniejsze, nabierało blasku, potem nagle wybuchło na kopule izby jak fajerwerki na pokazie. Dzwonki umilkły i masa iskierek zbiegła się w pulsujące, ciągle ruchome, amebowate kształty, jakie widzieli poprzednio.

-Kawał teatru - powiedziała Holly.

Kiedy światło szybko zmieniało barwy z czerwonej przez pomarańczową na bursztynową, przejęła inicjatywę.

-Chcielibyśmy, żebyś zaniechał niewygodnego sposobu, w jaki poprzednio odpowiadałeś na

nasze pytania i rozmawiał z nami bezpośrednio.

Przyjaciół się nie odezwał.

-Będziesz rozmawiać z nami bezpośrednio?

Brak odpowiedzi.

Spojrząwszy na blok, trzymany w ręce, Holly przeczytała pierwsze pytanie.

-Czy jesteś wyższą potęgą, która wysyłała Jima na akcje ratowania życia?

Czekała. Milczenie.

Spróbowała jeszcze raz. Milczenie.

Uparcie powtórzyła pytanie. Przyjaciół nie odpowiedział, za to odezwał się Jim:

-Holly, popatrz na to.

Obejrzała się i zobaczyła, że przegląda drugi blok. Podniósł go tak, że widziała pierwsze kilkanaście stron podczas kartkowania. Niepokojące, migotliwe światło kamieni było na tyle wyraźne, że ujrzała strony wypełnione znajomym pismem Przyjaciela.

Wziela Jimowi blok z ręki. Spojrzała na pierwszy wers na gorze pierwszej strony:

TAK. JA JESTEM TA POTĘGA

Cisnęła blokiem. Przeleciał do okna po drugiej stronie, uderzył, nie rozbijając szyby, i z trzaskiem spadł na podłogę.-Holly, nie powinnas...

Spojrzała na niego ostro. Zamilkł. Światło przesunęło się w przemienionym wapieniu z większym ożywieniem niż poprzednio.

-Bóg wręczył Mojżeszowi Dziesięcioro Przykazań na kamiennych tablicach, zgoda, ale był również uprzejmy z nim porozmawiać - odezwała się Holly do Przyjaciela.

-Jeżeli Bóg mógł poniżyć się do bezpośredniej rozmowy z istotami ludzkimi, możesz i ty.

Kiedy Przyjaciół milczał dalej, powtórzyła pierwsze pytanie z listy:

-Czy jesteś wyższą potęgą, która wysyłała Jima na akcje ratowania życia?

220

221

-Tak, jestem ta potega. - Glos slodki jak miód miał miękkie brzmienie barytonu. Podobnie jak brzęk dzwonek płynął ze wszystkich stron. Przyjaciel nie zmaterializował się w ludzkiej postaci, nie wyrzeźbił sobie twarzy z kamienia. Głos rozlegał się po prostu w powietrzu.

-Skąd możesz wiedzieć, że tych ludzi czeka śmierć? - zadała drugie pytanie z listy.

-Jestem istota żyjąca we wszystkich przedziałach czasu.

-Co chcesz przez to powiedzieć?

-W przeszłości, teraźniejszości, przyszłości.

-Jak możesz przewidzieć przyszłość?

-Ja żyję w przyszłości, tak samo jak w przeszłości i teraźniejszości. Światło przenikało teraz przez ściany z mniejszym nateżeniem, jakby Obcy zaakceptował warunki Holly i na powrót złagodził.

Jim przysunął się do Holly. Położył rękę na jej ramieniu i uściśnął lekko, jakby chciał powiedzieć "dobra robota".

Postanowiła nie wglębiać się w umiejętność jasnowidzenia Obcego z obawy, że zbiec z zaplanowanego wcześniej tematu i nie zdąży powrócić do niego, jeśli istota znowu nie zapowie swego odejścia. Wróciła do notatek.

-Dlaczego zależało ci na uratowaniu właśnie tych ludzi? - Zeby pomoc ludzkości - odpowiedziało dzwicznie.

Trudno było to ocenić, gdyż głos był bardzo modulowany, niemal mechaniczny, lecz rozbrzmiała w tym chyba pewna nuta pompatyczności.

-Ale kiedy codziennie umiera tylu ludzi - z tego większość niewinnie - dlaczego właśnie tych postanowiłeś uratować?

-To są niezwykli ludzie.

-Na czym ta niezwykłość polega?

-Jeżeli przeżyją, każdy z nich w istotny sposób wzbogaci dorobek ludzkości.

-Niech mnie jasny szlag trafi - powiedział Jim.

Holly nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Miała posmak świeżości. Ale nie ufała jej do końca. Głównie doskwierało jej, że głos Przyjaciela stawał się z każdą chwilą bardziej znajomy. Była pewna, że słyszała go poprzednio i to w kontekście, który pozbawiał go wiarygodności mimo głębokiego teraz, brzmiącego autorytatywnie tonu.

-Twierdzisz, że potrafisz widzieć nie tylko, jaka będzie przyszłość, ale jaka mogłaby być?

-Tak.

-Nie wplątujemy się znowu w twoją boskość?

-Nie. Nie widzę tak jasno jak Bóg. Ale widzę.

220

221

Ponownie pogrążony w swym najlepszym chłopięcym nastroju, Jim uśmiechał się do kalejdoskopowych zmian światła, wyraźnie podekscytowany i zadowolony ze wszystkiego, co słyszał. Holly odwróciła się od ściany, przeszła przez izbę, kucnęła przy swojej torbie i otworzyła ją.

-Co robisz? - spytał Jim, pochylając się nad nią.

-Szukałam tego - powiedziała, pokazując notatki ze swoich odkryć podczas zbierania materiałów o Jimie.

Wstała, otworzyła notatnik i odnalazła listę ludzi, których życie uratował, zanim odbył się lot 246.

-Piętnasty maja - powiedziała, zwracając się do pulsującej poprzez kamień Istoty.

-Atlanta, Georgia. Sam Newsome i jego pięcioletnia córka Emily. Co takiego uczynia oni dla ludzkości, że są ważniejsi niż wszyscy inni ludzie, którzy tego dnia umarli?

Nie pojawiła się żadna odpowiedź.

-No? - nalegała.

-Emily stanie się wielkim naukowcem i odkryje lekarstwo na groźną chorobę.

-Jaka choroba?

-Dlaczego pani mi nie wierzy, panno ?orne? - Przyjaciel odzywał się równie formalnie jak angielski kamerdyner, ale w tej uwadze Holly wyczuła lekki ton nadanego dziecka, ukryty pod maską godności i rezerwy.

-Powiedz mi, jaka to choroba - odezwała się Holly - a może ci uwierze.

-Rak.



-Jaki rak? Jest cała masa odmian raka.

-Wszystkie odmiany.

Zajrzała powtórnie do notatnika.

-Siodmy czerwca. Corona, Kalifornia. Louis Andretti.

-Będzie ojcem dziecka, które wyrosnie na wielkiego dyplomate.

Lepsze to niż śmierć od wielokrotnego ukaszenia przez grzechotniki, pomyślała.

-Dwudziesty pierwszy czerwca - powiedziała. - Miasto Nowy Jork. ?addeus...

-Zostanie wielkim artystą, którego dzieło natchnie nadzieją miliony ludzi...

-Robił wrażenie milego chłopca - odezwał się uszczęśliwiony Jim, kupując wszystko bez zastrzeżeń. - Podobał mi się.

Holly zignorowała go. Powiedziała:

-Trzydziesty czerwca. San Francisco...

-Rachel Steinberg urodzi dziecko, które stanie się wielkim duchowym przywódcą.

Dźwięk tego głosu dreczył ją. Wiedziała, że go gdzieś słyszała. Ale gdzie?

-Piąty lipca...

222

223

-Miami, Floryda. Carmen Diaz. Urodzi dziecko, które zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych. Holly pomachała notatnikiem jak wachlarzem.

-Dlaczego nie prezydentem świata?

-Czternasty lipca. Houston, Teksas. Amanda Cutrer. Urodzi dziecko, które stanie się wielkim oredownikiem pokoju.

-Dlaczego nie wcieleniem Chrystusa w Drugim Nadejściu? - spytała Holly.

Jim odsunął się od niej. Oparł się o ścianę między oknami. Pokazy światła bezgłośnie wybuchały wokół niego.

-Co ci jest? - spytał.

-Za piękne to - podsumowała.

-CO?

-To, że jesteś wyznaczony do ratowania niezwykłych ludzi. - Żeby wspomagać ludzkość.

-Jasne, jasne - rzuciła Holly do ściany. A potem zwróciła się do Jima: - Ale ci ludzie są zbyt niezwykli, nie sądzisz? Może to mnie się tylko wydaje, jednak to wszystko jest takie nadte i wyswiechtane. Nikt nie zostanie po prostu cholernie dobrym lekarzem albo człowiekiem interesu, który zorganizuje nową galaz przemysłu i otworzy dziesięć tysięcy miejsc pracy, albo uczciwym i odważnym gliniarzem, albo fantastyczną pielęgniarzką. Nie, oni będą wielkimi dyplomatami, naukowcami, politykami, wielkimi oredownikami pokoju. Wielcy, wielcy, wielcy!

-To jest napastliwe dziennikarstwo?

-Tak, do cholery.

Oderwał się od ściany, obiema rękami odgarnął gęste brązowe włosy z czoła i odezwał się, zadzierając głowę:

-Rozumiem twój punkt widzenia i dlatego zaczyna ci to przypominać kolejny odcinek z "Outer Limits", ale pomyślmy przez chwilę. To zwariowana, niezwykła sytuacja. Istota z innego świata, której moc wydaje nam się boska, decyduje się użyć mnie dla zwiększenia szans ludzkości. Czy nie jest logiczne, że wysyła mnie, abym ratował niezwykłych, naprawdę niezwykłych ludzi, a nie wymyślanych przez ciebie potentatów biznesu?

-Och, to jest logiczne - powiedziała. - Tylko że brak mi w tym prawdy, a ja nieźle wyczuwam oszustwo.

-Stąd brały się twoje wielkie sukcesy reporterskie? - odezwała się Istota.

Powinna wybuchnąć śmiechem. Obcy, wielokrotnie potężniejszy od ludzi, wdaje się w pyskowiec! Ale zniecierpliwienie i nadasanie, poprzednio ledwo wyczuwalne, teraz wyraźnie się objawiały. Obraz nadwrażliwej, mściwej istoty, obdarzonej boskimi mocami był w tym momencie zbyt groźny, aby śmieszyć.

222

223

-Jak ci się to podoba u wyższej potęgi? - spytała Jim. - Jeszcze chwila i zwymyśla mnie od kurew. Przyjaciół się nie odezwał.

-Dwudziesty lipca - powiedziała, zajrzawszy do notatnika. - Steven Aimes.

Birmingham, Alabama. Lawice swiatla przeplywaly przez sciany. Wzory byly mniej wdzieczne i zmyslowe niz poprzednio; jezeli przedtem swietlno pokaz byl obrazowym ekwiwalentem jednej z najspokojniejszych symfonii Brahmsa, teraz bardziej przypominal dysonansowe skargi niedobrego, progresywnego jazzu.

-Co ze Stevenem Aimesem? - spytala ponaglajaco z obawa, ale pamietajac, ze uprzedni pokaz sily woli zostal przyjety z szacunkiem.

-Teraz odchodze.

-To byl krotki przyplyw - powiedziala.

Bursztynowe swiatlo zaczelo przygasac.

-Plywy w stawie nie sa ani regularne, ani rowne. Ale powroce.

-Co ze Stevenem Aimesem? Mial piecdziesiat siedem latek, mogl splodzic wielkiego tego- albo-tamtego, chociaz byl moze troche zbyt starawy. Dlaczego uratowales Stevena?

Glos stal sie glebszy, przeszedl z barytonu w bas i stwardnial.

-Nie bylyby rozsadne z waszej strony, gdybyscie usilowali odjechac.

To na to czekala! Teraz wiedziala, ze byla spieta, gdyz spodziewala sie tych slow.

Jednak Jim byl oszolomiony. Obrocil sie, rozejrzal wokol po ciemnobursztynowych formach wijacych sie, rozdzielajacych, splywajacych, jakby usilowal ogarnac biologiczna geografie tej istoty, zeby moc spojrzec jej w oczy.

-O co ci chodzi? Odjedziemy, kiedy nam sie spodoba - Musicie zaczekac do mojego powrotu. Umrzecie, jesli sprobujecie odjechac.

-Nie chcesz juz wspomagac ludzkosci? - spytala ostro.

-Nie spijcie.

Jim przysunal sie do boku Holly. Jezeli poprzednio jej agresywna postawa wobec Przyjaciela wzbudzila jakis chlod miedzy nimi, teraz najwyrazniej on znikl. Objal ja opiekunczo ramieniem.

-Nie wazcie sie spac.

Wapien przeniknal gleboki czerwony poblask.

-Sny otwieraja drzwi.

Krwawe swiatlo zgaslo.

Lampa stala sie jedynym jasnym punktem. A po odejsciu Przyjaciela w poglebionym mroku slychac bylo tylko cichy syk spalajacej sie benzyny.

224

225

9

Holly stala u szczytu schodow, swiecac latarka w zalegajacy ponizej mrok. Jim podejrzewal, ze zastanawiala sie, czy naprawde zostana zatrzymani w momencie opuszczania wiatraka, a jezeli tak, to jak gwaltownie. Nie mogl pojac, dlaczego nad wszystkim zawisla gorycz.

Przybyl do wiatraka, poniewaz przedziwne i okropne zdarzenia, do jakich ponad osiemnascie godzin temu doszlo w jego sypialni w Laguna Niguel, uniemozliwily mu dalsze ignorowanie ciemnej strony tajemniczych wypadkow, w ktore byl zamieszany.

Poprzednio ulegal tylko pradowi, robil to, do czego zostal powolany, wyciagal w ostatniej chwili ludzi z ognia; przepracowany, lecz dzielny superbohater, latajacy samolotami, ale zmuszony sam sobie prac. Jednak nieustanny napor ze strony Nieprzyjaciela - cokolwiek by to bylo za dranstwo - jego niewatpliwa zaciekla wrogosc i emanujace z niego zlo nie pozwalaly Jimowi dluzej lekcewazyc sytuacji. Nieprzyjaciel usilowal przedrzec sie stamtad, gdzie przebywal, moze z innego wymiaru, i z kazdym pojawieniem sie byl coraz blizej. Jimowi nie zalezalo szczegolnie na dotarciu do prawdy o wyzszej potedze stojacej za jego dzialalnoscia. Czul, ze z czasem zostanie oswiecony. Natomiast wiedza o Nieprzyjacielu stawala sie problemem palacym, sprawa zycia i smierci dla niego - i Holly.

Wybierajac sie w podroz na farme, oczekiwal spotkania zarowno z dobrem, jak i ze zlem, z doznaniem radosci i strachu. Czegokolwiek, co zapewni mu wieksze zrozumienie jego wypraw ratunkowych i poznanie nadnaturalnych sil, jakie za tym staly. Ale teraz byl jeszcze bardziej zdezorientowany niz przed przyjazdem. Niektore zjawiska podziwial, napawaly go radoscia. Tak bylo na przyklad z dzwonieniem w kamiennych blokach i pieknym, niemal boskim swiatlem Przyjaciela. Ogarnelo go uniesienie, kiedy mu odkryto, ze ludzie przez niego ratowani nie byli przecietni i ich przetrwanie poprawi los calej ludzkosci. Ale te momenty duchowej blogosci zostaly mu natychmiast odebrane, kiedy zaczelo w nim rosnac przekonanie, ze Przyjaciel albo nie mowi im calej prawdy, albo, co gorsza, nie mowi im prawdy w ogole. Dzieciece dasanie sie niezwyklej istoty bylo w najwyzszym stopniu przerazajace i teraz Jim nie byl pewien, czy cokolwiek z tego, co uczynil od momentu uratowania Newsome'ow w maju zeszlego roku, nie posluzyl raczej zlu niz dobru.

A jednak lek rownowazyla nadzieja. Mimo ze drzazga rozpaczy utkwila w sercu i zaczela jatrzyc ranke, duchowa infekcje utrzymywala w karbach otoczka optymizmu. Byla delikatna, ale zawsze obecna w centrum jego osobowosci.

Holly wylaczyła latarke, wrocila od otwartych drzwi i siadla na materacu.

224

225

-Nie mam pojecia, moze to byla pusta grozba, ale gdy tylko wyjedziemy, poznamy prawde.-  
Chcesz wyjechac?

Potrzasnela glowa.

-Jaki zreszta sens ma wyjezdzanie z farmy? Z tego, co wiemy, moze nas dosiegnac, gdzie chce, prawda? Przeciez dosiegnal nas w Laguna Niguel, wyslal cie na te wyprawy, dotarl do ciebie w Nevadzie i wyslal do Bostonu na ratunek Nicolasowi O'Connerowi.

-Czulem jego obecność przy mnie za kazdym razem, gdziekolwiek pojechalem.

W Houston, na Florydzie, we Francji, w Anglii - wszedzie prowadzilo mnie, dawalo znac, co nastapi, zebym mogl odwalic zlecona robote.

Holly wygladala na wyczerpana. Twarz miala sciagnieta i bledsza; nie mogl tego spowodowac wylaczenie niesamowity blask padajacy z gazowej lampy. Oczy miala podkrazone ze zmeczenia. Zamknela je na moment i koniuszkami kciuka i palca wskazujacego scisnela grzbiet nosa, jakby usilowala zapanowac nad bolem glowy.

Jim z calego serca zalowal, ze wciagnal ja w to wszystko. Ale jego strach i rozpacz byly nieszczerze, zabarwione gleboka przyjemnoscia wynikajaca z jej towarzystwa.

Chociaz byla to postawa egoistyczna, cieszył sie, ze ona jest przy nim, niezaleznie od tego, jak ta dziwna noc mialaby sie skonczyc. Nie byl juz sam.

Nadal sciskajac nos palcami, z czolem pocietym glebokimi liniami znamionujacymi gniew, Holly powiedziala:

-Ta istota nie ogranicza swej obecności do obszaru wokół stawu ani do psychicznego kontaktu na wielkie odległości. Moze ja zmanifestowac gdziekolwiek, sadzac po zadrapaniach na moich bokach i fakcie, ze wdzierala sie przez sufit nad twoja sypialnia dzis rano.

-No, poczekaj - powiedzial. - Wiemy, ze Nieprzyjaciel moze sie zmaterializowac z wielkiej odległości, ale nie wiemy, czy Przyjaciel dysponuje ta umiejtnoscia. To Nieprzyjaciel wynurzyl sie z twojego snu i Nieprzyjaciel usilowal nas dosiegnac dzis rano.

Holly otworzyla oczy i zdjela dlon z twarzy pozbawionej wyrazu.

-Mysle, ze sa jednym i tym samym.

-Co?

-Nieprzyjaciel i Przyjaciel. Nie wierze, zeby dwie istoty mieszkaly w stawie, w gwiazdnym statku, jezeli rzeczywiscie ten statek tam jest. Uwazam zreszta, ze tak.

Mysle, ze to jedna istota. Przyjaciel i Nieprzyjaciel sa tylko roznymi postaciami materializacji.

Bylo jasne, do czego Holly zmierzala, ale zbyt przerazajace, zeby Jim natychmiast mogl to zaakceptowac.

226

227

-Chyba nie mowisz powaznie? - powiedzial. - Rownie dobrze moglabys powiedziec, ze... to szalenstwo.-To wlasnie mowie. Ono cierpi na wlasciwa dla Obcych forme rozszczepienia osobowosci. Wykonuje dzialania narzucane przez obie osobowosci, ale nie jest tego swiadome. - Jim niemal rozpaczliwie pragnal wierzyc w Przyjaciela jako w osobne i dobre stworzenie. Jego twarz zdradzala to az nazbyt wyraznie. Holly ujela jego prawa reke w obie dlonie i kontynuowala, zanim zdolal jej przerwac: - Dzieciece dasy, nadete pretensje do ksztaltowania losu naszego gatunku, przepych, w jakim sie ukazuje, nagle zmiany nastroju, od ociekajacej slodycza dobroci po ostry gniew, przejrzyste klamstwa i rownoczesne przecenianie wlasnego sprytu, tajemniczosc w pewnych sprawach, kiedy brak powodow do utrzymywania ich w sekrecie - wszystko to nabiera sensu, kiedy uswiadomimy sobie, ze mamy do czynienia z umyslem niezrownowazonym.

Szukal luk w jej rozumowaniu i znalazl jedna.

-Ale nie mozesz zalozyc, ze chora psychicznie istota, chory psychicznie Obcy, potrafilaby pilotowac przez lata swietlne niewyobrazalnie skomplikowany statek kosmiczny. I przeprowadzilaby go przez niezliczone niebezpieczenstwa, majac kompletnego swira.

-Nie musi tak byc. Moze szalenstwo rozwinelo sie w nim dopiero, gdy sie tu znalazlo. Lub moze nie musi pilotowac statku, moze to calkowicie zautomatyzowana, zrobotyzowana machina. Lub moze byly na pokladzie inne pilotujace osobniki gatunku, a teraz nie zyja. Jim, ono nigdy nie wspomnialo o zalodze, tylko o Nieprzyjacielu. Jesli kupujesz jego pozaziemskie pochodzenie - jak ci do tego pasuje, ze jedynie dwa osobniki zostaly wyslane do przeprowadzenia miedzygalaktycznych badan? Moze zabilo reszte.

Wszystko, co rozwazala teoretycznie, moglo byc prawdziwe, ale wtedy mieli do czynienia z Niewiadomym przez duze "N", a liczbe mozliwosci we wszechswiecie wyrazal znak nieskonczonosci. Pamietal uslyszana gdzies teorie, wyznawana przez wielu uczonych, ze cokolwiek narodzi sie w ludzkim umysle, chocby najbardziej wymyslne, mozna przyjac za istniejace, poniewaz nieskonczona natura sil tworzenia oznacza, ze jest to nie mniej

zmienne, nie mniej plodne niz swiat marzen mezczyzny lub kobiety.

Jim podzielim sie z Holly tymi myslami, a potem powiedzial:

-Ale niepokoi mnie, ze robisz to, co odrzucalas poprzednio. Meczysz sie nad wytlumaczeniem tej sprawy, przykladajac do niej ludzka miare. Przypuszczalnie ta istota jest zbyt odlegla, abysmy w ogole potrafili ja pojac. Na jakiej podstawie zakladasz, ze Obcy moga w ogole cierpiec na cos tak szalenie ludzkiego jak rozstroj umyslowy czy rozdwojenie jazni?

-Masz racje. - Skinela glowa. - Ale w tej chwili jest to, wedlug mnie, jedyna sensowna teoria.

Wyciagnal wolna reke i podkrecil knoty w lampie Colemana, rozjasniajac izbe.

226

227

-Jezu, ale mam dreszcze - powiedzial, trzesac sie.-Nie ty jeden.

-Jezeli ono jest schizo i wsliznie sie w osobowosc Nieprzyjaciela, i nie zdola sie z niej wycofac... co moze nam zrobic?

-Wole o tym nie myslec - odparla Holly. - Jezeli przerasta nas intelektualnie, jak sie wydaje, jezeli pochodzi z dlugowiecznego gatunku, przy ktorego wiedzy i doswiadczeniu historia ludzkosci wyglada jak nowelka przy wielkich dziebach literatury, to jest pewne jak dwa i dwa cztery, ze zna tortury i okrucienstwa, przy ktorych dokonania Hitlera, Stalina i Pol Pota wygladaja bardzo mizernie.

Przez moment zastanawial sie nad tym niechetnie. Paczki oblewane czekolada zalegaly mu w zoladku piekaca, niestrawiona masa.

-Kiedy wroci... - zaczela Holly.

-Na litosc boska - przerwal jej. - Dosc taktyki napastliwej!

-Spieprzylam - przyznala. - Ale podejscie bylo wlasciwe; po prostu przeciagnelam strune. Kiedy ono wroci, zmodyfikuje technike.

Jim czul, ze jej teoria choroby psychicznej wstrzasnela nim bardziej, niz sie do tego przyznawal. Zlewal go zimny pot na mysl, co Przyjaciel moze im zgotowac, jesli ich zachowanie wepchnie go w druga, ciemniejsza osobowosc.

-Dlaczego nie uchylic sie calkiem od konfrontacji, tanczyc, jak nam zagra, pochlebiac jego ego, uszczesliwiac tak jak nam...

-Nic to nie da. Nie można kontrolować szalenstwa poprzez ustępowanie. To jest tylko coraz bardziej nakreca. Podejrzewam, że każda pielęgniarka z kliniki dla psychicznie chorych wyjaśniłaby ci, że najlepiej można sobie radzić z potencjalnie groźnym paranoikiem, będąc miłym, uprzejmym, ale stanowczym.

Uwolnił rękę z uścisku. Dłonie lepiły mu się od potu.

Otarł je o koszulę.

Wiatrak przenikała nienaturalna cisza, jakby znaleźli się w pustce, która nie przenosi dźwięku, w ogromnym, zapieczetowanym dzbanie z krainy gigantów wystawionym na pokaz w muzeum. Kiedy indziej milczenie przeszkadzałoby Jimowi, ale obecnie chłonał je, gdyż prawdopodobnie oznaczało, iż Przyjaciół spi lub przynajmniej zajmuje się czym innym.

-Ono chce czynić dobro - powiedział. - Może w ramach swej drugiej osobowości być szalone, gwałtowne i nawet pełne zła - rzeczywisty doktor Jekyll i mister Hyde.

Ale jak doktor Jekyll, ono naprawdę chce czynić dobro. Przynajmniej odczuliśmy to na sobie.

Przez moment zastanawiała się nad tym.

-Dobra, punkt dla ciebie. A kiedy powróci, spróbuję wyciągnąć z niego trochę prawdy.

228

229

-Najbardziej mnie przeraża to, czy wyciągniemy od niego coś, co nam pomoże. Jeśli nawet powie całą prawdę, to skoro jest szalone, wcześniej czy później skieruje się ku bezmyślnej przemocy.

-Ale spróbować trzeba.

Siedzieli w pełnej napięcia ciszy.

Kiedy Jim spojrział na zegarek, było dziesięć minut po pierwszej. Nie był spiący. Nie musiał się obawiać, że odpłynie w sen i w ten sposób otworzy drzwi. Ale czuł się psychicznie wypompowany. Nie robił nic, tylko siedział i prowadził samochód, potem siedział lub stał w wyższej izbie, czekając na iluminację, ale mięśnie bolały go tak, jakby miał za sobą dziesięć godzin ciężkiej fizycznej pracy. Twarz sciągnęło mu wyczerpanie, piekły go oczy. Krancowy stres nadwrezał siły tak samo jak ciężki wysiłek fizyczny.

Zapragnął, żeby Przyjaciół nigdy nie powrócił. Nie była to przelotna zachcianka.

Myslał o tym z całą zarliwością młodego chłopca, który modli się, żeby zbliżająca się wizyta



u dentysty nigdy nie nadeszła. Jim włożył w swoje pragnienie całą duszę, wierząc, jak bywa to z dziećmi, że marzenia czasem można zmusić, aby się ziszcily.

Przypomnił sobie cytaty z Chazala, jaki sam wygłaszał podczas zajęć z literatury, na lekcji poświęconej fantastyce Poe'go i Hawthorne'a: "Krancowa groza przywraca nawyki dzieciństwa". Jeśli kiedykolwiek po zdarzeniach w wiatraku miałby wrócić za pulpit nauczycielski, poprowadziłby te lekcje dużo lepiej.

O pierwszej dwadzieścia pięć Przyjaciół zanegował siłę ludzkich pragnień, zjawiając się niespodziewanie. Tym razem bez dzwonek. Czerwone światło rozjarzyło się w ścianach jak rozbryzg szkarłatnej farby w czystej wodzie.

Holly poderwała się na nogi.

Jim też. Nie umiał siedzieć rozluźniony w obecności tajemniczej istoty; czuł coraz mocniejszą obawę, że lada chwila może uderzyć w nich z bezlitosną brutalnością. Światło podzieliło się na wiele rojów, przepłynęło wokół pomieszczenia, a potem zaczęło przechodzić od czerwieni do bursztynu.

Przyjaciół przemówił, nie czekając na pytanie.

-Pierwszy sierpnia. Seattle, Waszyngton. Laura Lenaskian, uratowana przed utonięciem. Urodzi dziecko, które stanie się wielkim kompozytorem i którego muzyka przyniesie ukojenie wielu ludziom w momentach zła. Osiem sierpnia. Peoria, Illinois. Doogie Burkette. Kiedy urosnie, zostanie sanitariuszem, który zrobi wiele dobrego i uratuje wiele osób. Dwunasty sierpnia. Portland, Oregon. Billy Jenkins. Jego wynalazki zrewolucjonizują technikę medyczną...

Jim spojrzał w oczy Holly i nie musiał się zastanawiać, o czym myśli: on myślał to samo. Przyjaciół był w drażliwym, "ja-wam-pokazę" nastroju. Zarzucał ich szczegółami, które miały uwiarygodnić jego bombastyczne pretensje do kształtowania losu ludzkości. Ale nie mogli ocenić, czy jego słowa zawierają prawdę - czy też są jedynie fantazją<sup>228</sup>

mi, które mają podeprzec resztę jego opowieści. Przymuszczalnie istotny w tym był fakt, że bardzo zależało mu na ich przekonaniu. Jim nie miał pojęcia, dlaczego opinia jego lub Holly miała znaczenie dla istoty przewyższającej ich inteligencją tak, jak oni przerastali mysz polną, ale fakt ten wyraźnie działał na ich korzyść. - ...Dwunasty sierpnia. Pustynia Mojave, Nevada. Lisa i Susan Jawolski. Lisa otoczy córkę miłością i uczuciem, zapewni opiekę psychoanalityczną, dzięki której dziecku uda się w końcu przezwyciężyć poważny szok wywołany zabięciem ojca i wyrosnie na jedną z największych przywódczyni politycznych w dziejach całego świata, stanie się siłą wskazującą znaczenie oświaty i opieki w działaniach polityki rządowej. Dwudziesty trzeci sierpnia. Boston, Massachusetts. Nicolas O'Conner, uratowany z eksplozji w rozdzielni stacji energetycznej. Wyrosnie na księdza, który poświęci życie opiece nad ubogimi w slumsach Indii... Na krytycyzm Holly Przyjaciół próbował odpowiedzieć mniej pyszałkowata wersja swego dzieła. Były to usiłowania po dziecięcemu przejrzyste. Mały Burkette nie uratuje świata, ale wyrosnie na cholernie dobrego sanitariusza, a Nicolas O'Conner stanie się skromnym człowiekiem, wiodącym pozbawiony rozgłosu żywot wśród ubogich - ale reszta nadal będzie wielką lub znakomitą, oszalamiającą utalentowaną tak czy inaczej.

Istota zdała sobie sprawę, że musi zadbać o większe prawdopodobieństwo swojej opowieści, ale nie potrafiła zdobyć się na sprowadzenie swych relacji do granic zdrowego rozsądku. I jeszcze coś niepokoiło Jima: ten głos. Im dłużej się w niego wśluchiwał, tym bardziej rosło w nim przekonanie, że już go słyszał - nie w tym pomieszczeniu dwadzieścia pięć lat temu, w ogóle w innych okolicznościach. Głos musiał, rzecz jasna, zostać zapożyczony, gdyż w swych naturalnych warunkach Obcy na pewno nie dysponował niczym podobnym do ludzkich strun głosowych; jego biologia nie miała nic wspólnego z ludzką.

Głos, który imitował jak parodysta występujący na estradzie hotelowej, był Jimowi znany. Nie potrafił jednak do końca go zidentyfikować.

-Dwudziesty szósty sierpnia. Dubuque, Iowa. Christine i Casey Dubrovec.

Christine urodzi następne dziecko, które wyrosnie na największego genetyka przyszłego stulecia. Casey zostanie wyjątkową nauczycielką, która wywrze ogromny wpływ na swoich uczniów. Nigdy nie zawiedzie ich do tego stopnia, żeby zakończyły życie samobójstwem.

Jim poczuł w piersi uderzenie o siłę parowego młota. To obraźliwe oskarżenie, skierowane przeciwko niemu i odwołujące się do Larry'ego Kakonisa, wstrząsnęło resztkami jego wiary, że podstawowym motywem działania Przyjaciół było czynienie dobra.

-Co za gówno, tak bic poniżej pasa - powiedziała Holly.

W Jimie wezbrało obrzydzenie wobec małostkowości istoty. A tak chciał wierzyć w cel jej działania i dobroć!

Iskrzące się bursztynowe światło opadało w ścianach i wirowało, jakby Przyjaciół był zachwycony efektem zadanej ciosu. Rozpacz wzięła w Jimie; przez moment był skłonny myśleć, że istota żyjąca w stawie jest wyłącznie doszczętnie zła. Może ci, których ratował od piętnastego maja, nie wzniosła ludzkości na wyższy poziom, ale zepchnęła ją w dół. Może w rzeczywistości Nicolas O'Conner wyrosnie na wielokrotnego zbrojnego. Może Billy Jenkins zostanie pilotem bombowca, okaże się lajdakiem, który, pokonawszy wszystkie systemy zabezpieczające, zrzuci parę bomb atomowych na gęsto zaludnione obszary; a Susie Jawolski, zamiast zostać największą kobietą politykiem, okaże się radykalną aktywistką, podkładająca bomby w salach konferencyjnych wielkich korporacji i seriami z broni maszynowej będzie niszczyła swoich politycznych przeciwników.

Ale kiedy tak pograżony w niepewności chwiał się nad brzegiem tej czarnej otchłani, ujrzał w pamięci twarz młodej Susie Jawolski, w której nie sposób było dopatrzeć się niczego poza niewinnością. Nie mógł uwierzyć, żeby nie stała się pozytywną siłą w życiu swej rodziny i znajomych. On naprawdę dokonał dobrych uczynków, a zatem i Przyjaciół ich dokonał bez względu na to, czy był szalony, czy nie, nawet jeśli stać go było na okrucieństwo.

Holly zwróciła się do istoty obecnej w ścianie:

-Mamy więcej pytań.

-Pytajcie, pytajcie.

Holly zadrżała do bloku i Jim westchnął w duchu, żeby pamiętać o hamowaniu agresji. Wyczuł, że Przyjaciół był w stanie większego rozchwiania niż podczas wszystkich poprzednich spotkań.

-Dlaczego wybrałeś Jima za swoje narzędzie? - spytała Holly.

-Było mi wygodnie.

-Chodzi o to, że mieszkał na farmie?

-Tak.

-Czy oddziaływałeś przez kogoś innego tak jak przez Jima?

-Nie.

-Nigdy przez dziesięć tysięcy lat?

-Czy to ma być podchwytliwe pytanie? Myślisz, że uda ci się mnie oszukać? Dalej mi nie wierzysz, kiedy mówię prawdę?

Holly spojrzala na Jima. Potrzaskał głowa na znak, że nie czas na dyskusje, że roztropność jest nie tylko dojrzałym obliczem męstwa, ale teraz stanowi ich największą nadzieję.

Potem zastanowił się, czy to możliwe, żeby ta istota mogła czytać jego myśli, tak jak potrafiła w nie wtargnąć i narzucić swoje polecenia. Prawdopodobnie nie. Gdyby tak było, wybuchłaby teraz gniewem, wzburzona, że nadal biora ją za szaloną i traktują protekcjonalnie.

230

231

-Przepraszam - powiedziała Holly. - To nie było pytanie podchwytliwe, wcale nie. Chcemy tylko cie poznać. Jesteśmy toba zafascynowani. Jeżeli nasze pytania wydadzą ci się obraźliwe, zrozum, proszę, że dzieje się to niechcący, z winy naszej niewiedzy. Przyjaciel milczał. Światło pulsowało teraz wolniej poprzez kamień i chociaż Jim zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa interpretowania działań Obcego w ludzkich kategoriach, czuł, że zmienione wzory i rytm promieniowania wskazują, iż Przyjaciel jest w nastroju kontemplacyjnym. Rozwagała to, co Holly właśnie powiedziała, i zastanawiała się, czy uznać to za szczere, czy nie.

W końcu głos rozbrzmiał powtórnie, bardziej łagodnie niż przed chwilą:

-Zadawajcie wasze pytania.

-Czy kiedyś zwolnisz Jima z jego pracy? - spytała Holly, zaglądając do bloku.

-Czy chce być zwolniony?

Holly spojrzala pytajaco na Jima.

Biorąc pod uwagę to, przez co musiał przejść w ostatnich paru miesiącach, Jim był zaskoczony swoją odpowiedzią:

-Nie, jeżeli faktycznie czynię dobro.

-Czynisz. Jak możesz w to wątpić? Ale niezależnie od tego, czy uważasz moje intencje za dobre, czy złe, nigdy cie nie uwolnię.

Ulga, jaką odczuł, dowiedziawszy się, że nie ratował od śmierci przyszłych morderców i złodziei, przygasła. Zaczł ją złowroźny ton ostatniej uwagi.

-Dlaczego... - zaczęła Holly, ale Przyjaciel jej przerwał:

-Jest jeszcze inny powód, dla którego wybrałem Jima Ironhearta do tej pracy.

-O co chodzi?

-Było mu to potrzebne.

-Tak?

-Cel.

Jim zrozumiał. Jego lek wobec Przyjaciela nie zmalał, ale poruszyło go to, co dał mu do zrozumienia. Chciał go uratować. Nadadł sens jego pustemu życiu. Ta istota zbawiła go tak, jak on uratował Billy'ego Jenkinsa, Susie Jawolski i wszystkich innych, choć oni zostali uratowani przed bardziej bezpośrednim zagrożeniem niż widmo śmierci duszy, które groziło jemu. Tym wyznaniem Przyjaciel potwierdził, że stać go na miłosierdzie. A Jim wiedział, że zasługiwał na miłosierdzie po samobójstwie Larry'ego Kakonisa, kiedy osuwał się w bezsensowną depresję. To współczucie, nawet jeżeli było następnym kłamstwem, poruszyło Jima bardziej, niż oczekiwał; łzy napłynęły mu do oczu.

-Dlaczego czekałeś dziesięć tysięcy lat, żeby wybrać właśnie Jima do kształtowania ludzkich losów? - spytała Holly.

232

233

-Musiałem najpierw zbadać sytuację, zebrać dane, przeanalizować je, a potem zdecydować, czy moja interwencja będzie rozsądna.-Podjęcie tej decyzji zabrało ci dziesięć tysięcy lat? Dlaczego? To czas dłuższy niż spisana historia ludzkości.

Brak odpowiedzi.

Powtórzyła pytanie.

W końcu Przyjaciel powiedział:

-Teraz odchodzę. - Potem, jakby obawiając się, że odczytają okazane przezeń niedawno współczucie za dowód słabości, dodał: - Jeżeli spróbujecie odjechać, umrzecie.

-Kiedy wrócisz? - spytała Holly.

-Nie spijcie.

-Kiedys musimy pojsc spac - rzekła Holly, kiedy bursztynowe światło przeszło w czerwień i izba skapala sie w kolorze krwi.

-Nie spijcie.

-Jest druga w nocy.

-Sny otwieraja drzwi.

-Nie mozemy byc wiecznie na nogach, do cholery! - wybuchnela Holly. Swiatlo w kamieniu zgaslo jak zdmuchniete.

Przyjaciel odszedl.

Gdzies ludzie sie smiali. Gdzies grala muzyka, tanczono i dzies kochankowie dazyli ku ekstazie.

Ale w wyzszej izbie wiatraka, przeznaczonej na magazyn, a obecnie pelnej po sufit obaw przed nadciagajaca przemoca, panowal nastroj zdecydowanie ponury.

Poczucie bezsilnosc napelnialo Holly wsciekloscia. Przez cale zycie byla kobieta czynu, nawet jesli jej dzialania byly czesciej destruktywne niz konstruktywne. Kiedy praca nie przynosila zapowiadanej satysfakcji, nie wahala sie zrezygnowac z niej i pojsc gdzie indziej. Kiedy jakis zwiazek stawal sie zarzewiem konfliktow lub chocby nudy, dazyła do jego rozwiazania. A jezeli czesto uciekala od pewnych spraw - od dziennikarstwa, kiedy spostrzegła, ze przynosi ono tyle samo zła co wszystko inne, od nadziei na miłosc, od zapuszczenia gdzies korzeni i zwiazania sie z jednym miejscem - coz, ucieczka takze stanowila jakas forme dzialania. Teraz odbierano jej nawet te mozliwosc.

Przyjaciel wiec mial nad nia pod jednym wzgledem dobry wplyw; nie pozwalal jej uciec przed tym problemem.

Przez chwile omawiali z Jimem ostatnia wizyte i sprawdzali reszte pytan z listy.

O trzeciej pietnascie nad ranem byli zbyt zmordowani, zeby stac, i mieli za bardzo obolale tylki, zeby siedziec. Zsuneli spiwory i wyciagnieci jedno obok drugiego wpatrywali sie w kopule sufitu.

232

233

Zeby pomoc sobie w walce z sennoscia, ustawili lampe na najjasniejszy plomien. Oczekujac powrotu Przyjaciela, rozmawiali; o niczym waznym, gadali o wszystkim, byle tylko zajac czymś umysl. Nielatwo zasnac w srodku rozmowy. Trzymali sie rowniez za rece: jesli jedno z nich zacznie drzemac, drugie zostanie ostrzezone naglym rozluznieniem uscisku dloni spiacego.

Holly nie spodziewala sie klopotow z utrzymaniem trzewosci umyslu. Za czasow uniwersyteckich fundowala sobie bezsenne noce przed egzaminami lub przed oddaniem

prac pisemnych. Bez trudu wytrzymała trzydzieści sześć godzin. W pierwszych latach pracy, kiedy jeszcze wydawało się jej, że dziennikarstwo ma dla niej znaczenie, słała całymi nocami nad materiałem, sprawdzając dane, przesłuchując po raz kolejny nagrania lub głośnikując nad znalezieniem właściwego słowa. Ostatnio również nie spała, choćby ze względu na dreczacą ją bezsenność. W każdym razie miała naturę sowy. Małe piwo.

Ale chociaż nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny od wczorajszego ranka, kiedy została wyrwana ze snu w Laguna Niguel, czuła, jak piaskarz\* przeslizguje się koło niej, wszeptując w jej podświadomość zachęty do snu, snu, snu... Ostatnie kilka dni charakteryzowało szalenstwo aktywności i zmian osobowości, to ją osłabiło. A niektóre noce nie przyniosły odpoczynku, choćby z powodu snów. Sny otwierają drzwi. Sen groził niebezpieczeństwem i musiała czuwać. Do cholery, nie powinno się jej przecież tak chcieć spać bez względu na to, w jakim stresie była ostatnio! Usiłowała kontynuować rozmowę z Jimem, choć chwilami nie do końca wiedziała, o czym rozmawiają, i nie w pełni rozumiała własne słowa. Sny otwierają drzwi. Czuła się prawie jak po prochach lub jakby Przyjaciel, po ostrzeżeniu, w sekrecie naciskał w jej mózgu guzik zachęcający do snu. Sny otwierają drzwi. Walczyła jeszcze, żeby nie pograć się w nieswiadomość, ale brakło jej sił... a może woli, żeby się podnieść... lub choć otworzyć oczy. Zamknięte oczy... Nie wiedziała, kiedy to się stało. Sny otwierają drzwi. Nawet uczucie paniki nie mogło jej obudzić. Pod zakleciem piaskarza zapadała coraz głębiej w sen, chociaż serce biło jej coraz mocniej i mocniej. Czuła, jak reka zwalnia uścisk dłoni Jima, wiedziała, że on odpowie na to ostrzeżenie, obudzi ją, ale oto i jego uścisk słabnie i uświadomiła sobie, że równocześnie ulegają piaskarzowi.

Unosiła się w ciemności.

Zdawała sobie sprawę, że jest obserwowana.

To uczucie jednocześnie uspokajało i napawało lekkiem.

Cos miało się zdarzyć.

Jednak na razie nic się nie działo.

Istniała ciemność.

Potem nagle poczuła, że czeka ją zadanie do wykonania.

Ale tak być nie powinno! To Jim był wysyłany do zadan, nie ona. \*Bajkowa postać, która usypia dzieci, sypiac piasek w oczy (przyp. tłum.).

Zadanie. Jej zadanie. Zostanie wysłana, aby wykonać własne zadanie. O istotnym znaczeniu. Jej życie będzie zależało od tego, czy się powiedzie. Życie Jima również. Również dalsze istnienie całego świata.

Ale ciemność trwała dalej.

Unosiła się. Było miło.

Spala i spala.

W jakimś momencie zaczęła snuć. Koszmary gorsze od wszystkiego, co w życiu widziała, płynęły w obrazach nieporównanie straszniejszych niż te ze snów o wiatraku i Nieprzyjacielu. Straszniejszych, gdyż odmalowanych z rozdzierającą wyrazistością.

Uchwyciły ją w silne cechy rozpacz i przerażenia, a żadne dotychczasowe przeżycie nie mogło jej na to przygotować, nawet katastrofa lotu 246.

Leży pod stołem na podłodze wyłożonej płytkami. Na boku. Patrzy z poziomu podłogi. Dokładnie przed nią stoi krzesło, nogi z metalowych rurek i pomarańczowy plastik siedzenia, pod krzesłem rozsypane rumiane długie frytki i cheeseburger, mięso do połowy wysunięte z bułki, liść posmarowanej keczupem sałaty. Dalej kobieta, staruszka, też leży na podłodze z głową obrocona w jej stronę. Patrzy poprzez rurki krzesła, przez frytki i rozwalonego hamburgera, staruszka patrzy na nią z wyrazem zdziwienia, patrzy i patrzy, oko nie drgnie jej ani razu, potem Holly widzi, że staruszcze brak oka, tego bliżej podłogi, dziura, płynąca krew. Och, proszę pani. Och, proszę pani, jak mi żal, jak mi pani żal. Holly słyszy potworny dźwięk dzada-dzada-dzada-dza-da-dzada-dzada-dzada, nie wie, co to, słyszy krzyk ludzi, wielu ludzi, dzada-dzada-dzada-dzada, dalej krzyki, ale już cichsze, peka szkło, trzaska drewno, mężczyzna ryczy jak niedziedz, ryczy wściekły i krzyczy, dzada-dzada-dzada-dza-da-dzada-dzada-dzada. Teraz wie, że to strzały, ciężki, rytmiczny grzmot broni automatycznej i chce stąd wyjść. Obraca się w przeciwnym kierunku, bo nie chce - nie może, po prostu nie może! - przeczołgać się obok staruszki z pustym oczodołem. Ale za nią leży mała dziewczynka, może ma osiem lat, leży na podłodze w różowej sukience, w czarnych skorzanych bucikach i białych skarpetkach, mała dziewczynka z jasnymi włosami, mała dziewczynka z, mała dziewczynka z, mała dziewczynka w skorzanych bucikach, mała dziewczynka z, mała dziewczynka z, mała dziewczynka w białych skarpetkach, mała dziewczynka z, mała dziewczynka z z z odstrzelona połowa twarzy! Czerwony uśmiech. Peknięty biały zabek w czerwonym wkleśłym uśmiechu. Szloch, krzyk i jeszcze więcej dzada-dzada-dzada-dzada, to nigdy się nie skończy, ten potworny dźwięk dzada-dzada-dzada-dzada. Wtedy Holly rusza się, gramoli na czworaka, dalej od staruszki i od małej dziewczynki z połową twarzy. Rece oczywiście plask-chlask-mlask na ciepłych długich frytkach, gorącej kanapce z rybą, naczyniu z musztardą; brnie, brnie, pod stolami, między krzesłami, potem wsadza reke w rozlaną cokoladę zmieszana z lodem, a kiedy widzi obrazek Kaczora Dixi na wielkim tekturowym kubku, z którego leje się lemoniada, wie, gdzie jest, jest w Hamburgero234



wym Palacu Kaczora Dixi, jednym z najwspanialszych miejsc na tym swiecie. Nikt teraz nie wrzeszczy, moze dotarlo do nich, ze Palac Kaczora nie jest miejscem do wrzeszczenia, ale ktos lka i jeczy, a ktos inny mowi prosze-prosze-prosze-prosze, w kolko i w kolko. Holly zaczyna wylazic spod nastepnego stolika i widzi mezczyzne w kostiumie, stoi z metr od niej, na pol odwrocony i ona mysli, moze to wszystko jakis kawal, slodycze-albo-zycie, jak to w Halloween. Ale to nie jest Halloween. A jednak mezczyzna jest w kostiumie, ma ciezkie buty jak normalny zolnierz i spodnie w kolorze ochronnym, i czarna koszulke, i beret, jakie nosza Zielone Berety, tylko ze ten jest czarny i to musi byc kostium, bo to nie jest prawdziwy zolnierz; zolnierz nie moze miec brzucha zwisajacego nad pasem i nie golic sie chyba z tydzien, zolnierze musza sie golic, wiec on ma tylko stroj zolnierza. Ta dziewczyna kleczy przed nim na podlodze, jedna z nastolatek, ktore pracuja w Palacu Kaczora, ta ladna, ruda, mrugnela do Holly, kiedy przyjmowala zamowienie, teraz kleczy przed facetem w kostiumie zolnierza, z glowa schylona, jakby sie modlila, tylko ze mowi prosze-prosze-prosze-prosze. Facet krzyczy do niej o CIA i kontroli umyslu i tajnych siatkach szpiegowskich z centrala w magazynie Palacu Kaczora. Potem facet przestaje krzyczec i patrzy przez chwile na ruda dziewczynie, po prostu patrzy na nia, a potem mowi patrz-na-mnie, a ona mowi prosze-prosze-nie, a on znow mowi patrz-na-mnie, wiec ona podnosi glowe i patrzy, a on mowi co-mylisz-zem-glupi? Dziewczyna tak sie boi, po prostu tak sie boi, i mowi nie-prosze-ja-nic-o-tym-nie-wiem, a on mowi a-gowno-jak-nie-wiesz i opuszcza duzy automat i celuje jej w twarz moze o centymetr albo dwa od twarzy. Ona mowi och-mojBoze-och-moj-Boze, a on mowi jestes-kabel i Holly jest pewna, ze gosc odrzuci na bok automat i rozesmieje sie i kazdy, kto gral umarlaka, wstanie i tez sie rozesmieje, i wyjdzie wlasciciel, i przyjmie oklaski za przedstawienie Halloween, tylko ze to nie jest Halloween. Wtedy facet naciska spust dzada-dzada-dzada-dzada-dzada i ruda dziewczyna sie rozpryskuje. Holly zwija sie w druga strone i wycofuje sie, skad przyszla, porusza sie szybko, usiluje zwiac przed nim, zanim ja zobaczy, bo to wariat, tak juz z nim jest, wariat. Holly rozchlapuje to samo jedzenie i picie, jakie rozchlapywala poprzednio, mija mala dziewczynke w rozowej sukience, brnie w jej krwi, modli sie, zeby wariat nie uslyszal, jak przed nim zwiewa. DZADA-DZADA-DZADA-DZADA-DZADA!Ale on musi strzelac w innym kierunku, poniewaz kule nic wokol niej nie rozbijaja, przelazi przez niezywego czlowieka z wnetrznosciami na wierzchu, slyszy teraz syreny, syreny wyja na dworze, gliny dostana tego wariata. Wtedy slyszy za soba lomot, stolik przewrocony, bliski halas, obraca sie, dostrzega wariata, idzie tuz za nia, odrzuca stoliki, kopie krzesla, widzi ja. Przeczolguje sie przez nastepna niezywa kobiete i znajduje sie w kacie na trupie mezczyzny, ktory osunal sie w rogu, jest na kolanach niezywego mezczyzny, w objeciach niezywego mezczyzny i nie ma sposobu, zeby sie stad wydostac, bo

wariat nadchodzi. Wariat jest taki straszny, taki zly i taki straszny, ona nie moze patrzyc, jak

nadchodzi, nie chce zobaczyć automatu przed twarzą, jak to zobaczyła ruda dziewczyna, więc odwraca głowę do trupa mężczyzny...Nigdy z żadnego snu tak się nie obudziła. Nie wrzeszcząc, nie zachlystując łkaniem, ale dusząc się. Zwinięta w ciasny klebek, rzeźła i dławiała się - nie kesem, ale obrzydzeniem.

Jim leżał odwrócony do niej, na boku. Kolana podciągnął w nieco zmodyfikowanej pozycji płodowej. Spał głęboko.

Wreszcie udało się jej złapać oddech. Siadła. Nie drżała - telepała się. Dosłownie słyszała grzechot własnych kości.

Chwała Bogu, że po wieczornych paczkach nie wzięła nic więcej do ust. Rozpuszcili się w żołądka kilka godzin temu. Gdyby zjadła jeszcze coś, musiałaby to teraz zwrócić.

Zgarbiła się, ukryła twarz w dłoniach. Siedziała tak, aż wstrząsy przeszły w drgawki, a drgawki rozplynęły się w fale dreszczy.

Kiedy oderwała ręce od twarzy, ujrzała, że brzask przenika przez wąskie okienka izby. Słabo, szarorozowo opalizujące zarznięcie zapowiadało dopiero słoneczno-blekitną jasność, niemniej jednak był to brzask. Uświadomiła sobie, że nie miała pewności, czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczy.

Spojrzała na zegarek. Szosta dziesięć. Świt musiał zacząć się dopiero przed chwilą.

Spała jedynie dwie, dwie i pół godziny. Już lepiej było w ogóle nie spać; nie czuła się ani trochę bardziej rzesko.

Sen. Podejrzewała, że Przyjaciół skorzystał ze swych telepatycznych mocy, aby uspić ją wbrew woli, a niezwykle intensywne koszmarne umacniała ją w przekonaniu, że to on wyświetlił jej szpule tego makabrycznego filmu na ekranie jaźni.

Ale dlaczego?

Jim zamruczał, poruszył się, potem znieruchomiał, oddychając głęboko, lecz spokojnie. Nie mógł śnić o tym samym, inaczej miałby się i wyl jak powieszony na haku.

Posiedziała jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy miała to być prorocza wizja, czy Przyjaciół ostrzegł ją, że skończy w Pałacu Kaczora, walczyć o życie, czolgając się wśród jedzenia i krwi, scigana przez oszalałego maniaka z bronią automatyczną?

W życiu nie słyszała o Pałacu Kaczora i nie potrafiła wyobrazić sobie bardziej niedorzecznego miejsca śmierci. Żyła w świecie, w którym na ulicach pełno było ludzi z tak wypalonymi mózgami, że potrafili z bronią w ręku szukać owych kabli pracujących dla CIA i kierujących siatkami szpiegowskimi z barów hamburgerowych. Pracowała w dziennikarstwie, od kiedy stała się dorosła. Widziała rzeczy nie mniej tragiczne, nie mniej

dziwne.

236

237

Po jakichs piętnastu minutach nie mogła już myśleć o sennym koszmarze; w każdym razie nie teraz. Im dłużej się nad nim zastanawiała, tym bardziej narastała jej dezorientacja i bezsilność. Inaczej niż w przypadku pozostałych śnow pamięć nie chciała zatrzymać obrazów rzeź, sprawiała tylko, że stawały się coraz wyższe. Musiała odłożyć rozwiązywanie tej zagadki. Jim spał i przez chwilę zastanawiała się, czy go nie obudzić. Ale potrzebował odpoczynku nie mniej niż ona! Nic nie wskazywało, że Nieprzyjaciel skorzystał z drzwi otwartych we śnie. Nie nastąpiły żadne zmiany w kamiennych ścianach ani w debowej podłodze; niech śpi.

Kiedy rozglądała się po izbie, badając wzrokiem ściany, zauważyła żółty blok na podłodze pod oknem. Odrzuciła go wczoraj wieczór i zastanowiło ją teraz, co blok zawiera.

Najciszej, jak mogła, wysunęła się z posłania, wstała i ruszyła na palcach przez izbę, za każdym krokiem sprawdzając, czy deski nie zaskrzypią, kiedy stanie na nich całym ciężarem. Kiedy zatrzymała się, żeby schylić się po blok, usłyszała coś, na dźwięk czego zamarła. Bicie serca z trójkrotnym uderzeniem.

Rozejrzała się po ścianach, podniosła wzrok ku sklepieniu sufitu. Mocno płonęła lampa i okna dawały dość światła, aby mieć pewność, że wapienne bloki były tylko wapieniem, a drewno drewnem.

Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...

Dźwięk był słaby, jakby ktoś daleko, daleko wystukiwał rytm na bebnie, gdzieś tam na spalonych, zbrazowiałych wzgórzach.

Ale ona wiedziała, co to jest. Nie beben, tylko rytm poprzedzający materializację Nieprzyjaciela. Tak jak dzwoneczki, aż do ostatniej wizyty, poprzedzały pojawienie się Przyjaciela.

Kiedy tak nasluchiwała, ucichł.

Wyteżyła słuch.

Zniknął.

Z ulgą, ale nadal roztrzesiona, podniosła blok. Strony były pogniecione i szeleszcily, kiedy je przerzucała.

Równy oddech Jima odbijał się po izbie cichym echem, miarowo i jednostajnie.

Holly przeczytała odpowiedzi z pierwszej strony, potem z drugiej. Były identyczne z tym, co powiedział Przyjaciół.

Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...

Poderwała głowę.

Dźwięk nadal był daleki, cichy jak poprzednio.

Jim zajęczał przez sen.

238

239

Holly cofnęła się od okna, aby go obudzić, ale przerażający dźwięk znów odpłynął. Było oczywiste - Nieprzyjaciół znalazł się w pobliżu, ale nie zdołał odszukać drzwi do snu Jima. Jim musi się przespac, inaczej nie będzie mógł funkcjonować. Zdecydowała się zostawić go w spokoju.

Zbliżyła się powtórnie do okna, podniosła do światła blok z odpowiedziami. Obróciła piątą stronę - i poczuła, jak kark lodowacieje jej i sztywnieje jak skóra na zamrożonym indyku.

Obracając kartki delikatnie, żeby jak najmniej szeleścić, sprawdziła szóstą stronę, siódmą, ósmą. Wszystkie wyglądały tak samo. Znaki niewatpliwie pochodziły od tego, kto poprzednio wyczarowywał sztuczki z pisaniem. Ale nie były to odpowiedzi na jej pytania. Były to dwa występujące na przemian stwierdzenia, bez znaków przestankowych; po trzy razy na każdej stronie:

ON CIE KOCHA HOLLY

ON CIE ZABIJE HOLLY

ON CIE KOCHA HOLLY

ON CIE ZABIJE HOLLY

ON CIE KOCHA HOLLY

ON CIE ZABIJE HOLLY

Patrzac na te obsesyjnie powtarzajace sie slowa, pojela, ze on to moze byc tylko Jim. Skupila sie na drugiej nienawistnej czworce slow, usilujac ja zrozumiec.

Nagle wydalo sie jej, ze zna rozwiazanie. Przyjaciel ostrzegal ja, ze Jim, pograzony w szalenstwie, wystapi przeciwko niej, moze nienawidzac za to, ze sprowadzila go do wiatraka, zmusila, aby probowal wyjasnic wszystko, oderwala od jego wypraw. Jezeli Przyjaciel, zdrowa czesc obcej swiadomosci, potrafil wejsc w jasn Jima i wzywac go do zadan sluzacych ratowaniu zycia, czy nie bylo mozliwe, ze Nieprzyjaciel, ciemna polowa, wtargnal tam rowniez i wzywal do zabijania?

Nie. To niemozliwe. To prawda, Jim potrafil zabijac w obronie niewinnych ludzi. Ale nie potrafilby zabic niewinnego. Zadna obca swiadomosc, nawet najpoteczniejsza, nie mogla pokonac jego prawdziwej natury. W glebi serca byl dobry, przyjazny i opiekunczy. Jego milosci do niej nie da rady zniszczyc zadna obca sila, jakkolwiek by byla potezna.

Ale skad ta pewnosc?

Przypomniala sobie Normana Rinka. Sklep w Atlancie. Jim wladowal w faceta osiem pociskow, jeden po drugim, chociaz tamten juz nie byl.

Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...

Nadal daleko.

238

239

Jim zajeczal cicho. Odsunela sie od okna, zeby go obudzic, niemal wymowila jego imie, gdy nagle uswiadomila sobie, ze Nieprzyjaciel juz mogl nim zawladnac. Sny otwieraja drzwi. Nie miala pojecia, co Przyjaciel chcial przez to powiedziec lub czy nie byl to jeszcze jeden teatralny element jak dzwonki. Ale moze oznaczalo to, ze Nieprzyjaciel wejdzie w sny spiacego i przez nie w jego umysl. Moze tym razem nie zamierzal materializowac sie ze sciany, ale z Jima, z postaci Jima, w pelni zawladnawszy Jimem - tak sobie, dla malego krwawego zarciku.

Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...

Troche glosniej, troche blizej?

Holly poczula, ze zdrowy rozsadek zaczynaja opuszczac. Paranoja, schizofrenia, najzwyczajniejsze szalenstwo. Nie lepsze niz to u Przyjaciela i jego drugiej polowki. Goraczkowo usilowala zrozumiec calkowicie obca swiadomosc i im glebiej wgrzynala sie w liczne mozliwosci, tym stawaly sie dziwniejsze i bardziej zroznicowane.

W nieskonczonym wszechswiecie nic nie jest nieprawdopodobne. Kazdy nocny koszmar moze sie ucielesnic. Dlatego tez w nieskonczonym wszechswiecie zycie jest w istocie identyczne ze snem. Rozwazanie takiego pogladu w stresowej sytuacji zycie-albosmierc

gwarantowało zamianę mózgu w kaszę.

Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...

Nie mogła się ruszyć. Zostawało tylko czekać. Trojkrotny rytm znów przygasł.

Oparła się o ścianę przy oknie, mniej obawiając się teraz kamienia niż Jima Ironhearta.

Spojrzała znów na blok trzymany w dłoniach. Pare kartek przewinęło się i nie widziała już litanii ON CIE KOCHA HOLLY ON CIE ZABIJE HOLLY. Przed jej oczami natomiast znalazła się lista osób uratowanych przez Jima oraz bombastyczne wyjaśnienia Przyjaciela.

Dostrzegła nazwisko Aimesa. Natychmiast dotarło do niej, że jedynie jego los Przyjaciel pominał milczeniem. Pamiętała go, był jedyną starszą osobą na liście, miał pięćdziesiąt siedem lat. Przeczytała zapis pod nazwiskiem i chłód, jaki poprzednio poczuła na karku, był niczym w porównaniu z sosem lodu, który wbił się tam teraz i spływał w dół kregosłupa.

Steven Aimes został uratowany nie dlatego, że spłodzi dziecko, które zostanie wielkim dyplomata, artysta lub uzdrowicielem. Został uratowany nie dlatego, że trwale przyczyni się do zwiększenia dorobku ludzkości. Przyczyna, dla której został uratowany, była wyrażona zaledwie w dziesięciu słowach, najbardziej przerażających dziesięciu słowach, jakie Holly kiedykolwiek przeczytała i miała przeczytać: PONIEWAŻ WYGLADAL JAK MOJ OJCIEC KTOREGO JA NIE POTRAFIEM URATOWAC. Nie, jak ojciec Jima, jak powiedziałby to Przyjaciel. Nie "ktorego on nie potrafił uratować", jak na pewno ująłby to Obcy. MOJ OJCIEC. JA NIE POTRAFIEM. MOJ. JA.

240

241

Nieskonczony wszechświat właśnie się jeszcze poszerzył i teraz dostrzegła całkowicie nową możliwość. Żaden statek gwiazdny nie leżał na dnie stawu. Żadna obca istota nie kryła się na farmie przez dziesięć tysięcy lat, dziesięć lat czy też dziesięć dni. Przyjaciel i Nieprzyjaciel byli całkiem realni: każdy z nich stanowił jedną trzecią, nie połowę tej samej osobowości, trojka żyła w jednej istocie, istocie o przeogromnych, wspaniałych i przerażających mocach, istocie boskiej, lecz równocześnie tylko ludzkiej, tak jak i ona. Jim Ironheart, który w wieku dziesięciu lat został powalony i strząskany przez tragedię, pracowicie próbował się scalić za pomocą rozbudowanej fantazji o podróżujących bogach.

Nie miała pojęcia, skąd wziął potęgę, która w tak oczywisty sposób władała, ani dlaczego nie był w ogóle świadom, że tkwi ona w nim, a nie pochodzi od jakiegось wymyślonej obcej istoty. Świadomość, że to on był wszystkim, że początek i koniec tej tajemnicy spoczywa wyłącznie w nim, rodziła więcej pytań niż odpowiedzi. Nie rozumiała, jak to było możliwe, ale w końcu poznała prawdę. Później, jeśli przeżyje, niewykluczone, że będzie miała czas na dotarcie do pełniejszych wyjaśnień.

Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...

Blizej, ale nie blisko.

Holly wstrzymala oddech, niepewna, czy dzwiek zabrzmie glosniej.

Lab-dab-DAB, lab-dab-DAB...

Jim poruszył się przez sen. Zachrapał lekko i mlasnął zupełnie zwyczajnie, jak to robią śpiący.

Ale siedziały w nim trzy osobowości i przynajmniej dwie z nich posiadały niewiarygodną moc, a co najmniej jedna była zbrojczyca. I nadciągała.

Lab-dab-DAB...

Holly niemal wcisnęła się w ścianę. Serce waliło jej mocno, gardło scisnęło się; nie mogła przełknąć śliny.

Trojkrotny rytm odpłynął.

Cisza.

Przesunęła się po zakrzywionej ścianie. Lekko, małymi kroczkami. Bokiem.

W kierunku drewnianych, okutych żelazem drzwi. Odsunęła się na tyle od ściany, żeby wyciągnięta ręka schwycić pasek torbki.

Im bliżej szczytu schodów, tym bardziej nabierała przekonania, że drzwi zatrząsną się z hukiem, zanim do nich dotrze, że Jim poderwie się i obróci w jej kierunku. Jego niebieskie oczy nie będą piękne, lecz zimne, jak to widziała dwukrotnie; pełne wściekłości, ale zimne.

Znalazła się przy drzwiach, przesliznęła tyłem na pierwszy stopień, nie chcąc tracić Jima z oczu. Ale nie może schodzić tyłem po tych wąskich schodach bez poręczy; spadnie, złamie rękę lub nogę. Obróciła się i pospieszyła w głąb tak szybko, jak śmiała, tak cicho, jak mogła.

240

241

Chociaż aksamitnoszarze światło rysowało kontury okien, dolna izba była zdradziecko mroczna. Holly nie miała latarki, tylko dodatkowy strumień adrenaliny we krwi. Nie pamiętała, czy przy ścianie nie leży jakiś gruz, który osunie się, jeśli na niego wpadnie. Powoli przesuwiała się po łuku kamiennej płaszczyzny, to dotykając jej plecami, to znowu bokiem. Przedśionek znajdował się gdzieś przed nią na prawo. Kiedy spojrzała w lewo,

dostrzegła słaby zarys podnoża schodów, z których dopiero co zeszła. Sunac prawa rękę po ścianę, wyczuła wreszcie jej załamanie. Minęła luk zamykający izbę i weszła do przedsionka. Noc była ciemna choć oko wykol, ale teraz rozjasniał ją lekki blask poranka, widoczny w otwartych na zewnątrz drzwiach.

Zbliżał się ranek. Jak na sierpień przyjemnie chłodny.

Gładki i szary staw.

W tle ciche, prawie niesłyszalne poranne brzęczenie owadów, jak lekkie wylądowania w radiu sciszonym prawie do minimum.

Pospieszyła do forda i cicho otworzyła drzwi.

Pomyślała o kluczach i znowu ogarnęła ją panika. Potem wyczuła je w kieszeni dzinsów; wsunęła je tam w nocy po wizycie w domu. Jeden klucz był od farmy, drugi od domu w Laguna Niguel, dwa kluczyki od samochodu, wszystkie na zwykłym miedzianym lancusku.

Cisnęła torebkę i blok na tylne siedzenie, wsiadła, ale nie zamknęła drzwi z obawy, że trzask obudzi Jima. Nie znajdowała się jeszcze w domu, wolna i swobodna. Mogł wypaść z wiatraka, posłuszny Nieprzyjacielowi, przeskoczyć krótki odcinek zwirowanej ścieżki i wywlec ją z wozu.

Rece się jej trzęsły, kiedy niezdarnie manewrowała kluczykami. Kiedy wreszcie znalazła właściwy, włożyła go w stacyjkę, przekreciła, położyła stopę na pedale gazu i prawie zalknęła z ulgi, kiedy silnik zaskoczył z rykiem.

Zatrzasnęła drzwi, wrzuciła wsteczny i wycofała po zwirze wokół stawu. Kiedy jechała tyłem, grad kamyczków bił o tył podwozia.

Dotarła do przestrzeni pomiędzy stodołą a domem, gdzie mogła zawrócić i ruszyć przodem podjazdem, ale zamiast wykonać manewr, nacisnęła hamulec. Wpatrywała się w wiatrak, widoczny teraz po drugiej stronie lustra wody.

Nie miała dokąd uciekać. Dokadkolwiek się uda, on ją odnajdzie. Potrafił dojrzec przyszłość, przynajmniej w części, choć może nie tak żywa i dokładnie odrysowana, jak twierdził Przyjaciel. Potrafił przemienić gipsową ścianę w monstrualny żywy organizm, zmienić wapien w przezroczystą substancję wypełnioną wirującymi, świecącymi cząsteczkami, narzucić jej snom obraz ohydnej bestii, wymalować go w drzwiach motelu, scigać ją, znaleźć, osaczyć. Wciągnął ją w swoją szalenczą fantazję i najprawdopodobniej nadal chciał, by odgrywała w niej swą rolę. Przyjaciel w Jimie i sam Jim może pozwoliliby jej odejść. Ale trzecia część osobowości - mordercza część, Nieprzyjaciel - nadal będzie ląknęła jej krwi. Może się jej uda, może dobrotliwe dwie trzecie nie pozwoli tamtej jednej trzeciej zapanować nad resztą i dopaść jej. Ale wzięła w to. Poza tym nie mogła spędzić reszty życia na oczekiwaniu, że ściana wybrzuszy się niespodziewanie, przybierze kształt



ust i odgryzie jej reke.

I byl jeszcze jeden problem.

Nie mogla go porzucic. Potrzebowal jej.

CZESC TRZECIA

NIEPRZYJACIEL

Od lat najmloidszych, lat dziecinnych Zyc ani patrzec tak jak inni Nie moglem EDGAR ALLAN POE "Od lat najmloidszych"\* Wibracje drutow, krysztalke lodu w bijacym sercu.Zimny plomien.

Umyslu chlod: zmrozona stal, odmety furii, posepnosc.

Zimny plomien. Zycia gwalt, smierc i bezsilnosc.

Tarcza;

Zimny plomien.

KSIEGA POLICZONYCH SMUTKOW

\*Edgar Allan Poe "Poezje wybrane", przel. Roman Klewin.

244

245

RESZTA Z 29 SIERPNIA

1

Holly siedziala w fordzie, wpatrujac sie w stary wiatrak, przestraszona i ucieszona zarazem. Skad ta radosc? Moze stad, ze po raz pierwszy w zyciu znalazla cos, czemu byla gotowa oddac sie bez reszty. Nie przelotnie. Nie "dopoki-mi-sie-nie-znudzi". Byla gotowa rzucic na szale swoje zycie. Dla takiego Jima, jaki byl teraz, i dla tego czlowieka, jakim stanie sie po ozdrowieniu; dla przyszlosci ich obojga.Nawet gdyby powiedzial, ze moze odejsc, i nawet gdyby wierzyla, ze mowi to szczerze, nie porzucilaby go. Byl dla niej wybawieniem. A ona dla niego.

Wiatrak stal jak wartownik, samotny na tle spopielalego nieba. Jim nie pojawial sie w drzwiach. Moze jeszcze sie nie obudzil.

Nadal w obrebie wielkiej tajemnicy krylo sie mnostwo mniejszych zagadek, ale teraz wiele z

nich stalo sie bolesnie jasne. Czasami nie udawalo mu sie kogos uratowac - jak ojca Susie Jawolski - poniewaz w istocie rzeczy nie dzialal na polecenie jakiegos nieomylnego boga czy wszechwiedzacej obcej istoty; dzialal korzystajac z wlasnych, fenomenalnych, ale niedoskonalych wizji; byl tylko czlowiekiem. Niezwyklym, ale wlasnie czlowiekiem, a nawet najwspanialsi ludzie sa ograniczeni. Musial czuc, ze w jakis sposob zawiodl swych rodzicow. Ich smierc ciazyła mu na sumieniu i usilowal to odpokutowac, ratujac zycie innym: PONIEWAZ WYGLADAL JAK MOJ OJCIEC KTOREGO

JA NIE POTRAFILEM URATOWAC.

Teraz rowniez stalo sie jasne, dlaczego Nieprzyjaciel nekal ich jedynie podczas snu: Jim smiertelnie bal sie tego mrocznego aspektu samego siebie, tego upostaciowienia wlasnej furii i na jawie stanowczo usuwal go ze swiadomosci. W jego domu w Laguna Nieprzyjaciel zmaterializowal sie w sypialni, kiedy Jim spal, i faktycznie przetrwal zaledwie chwile po jego obudzeniu sie i kiedy przebil sie przez sufit sypialni, po prostu znikl, gdyz byl tylko resztką snu. Sny otwieraja drzwi, ostrzegł Przyjaciel, to znaczy

244

245

ostrzegal sam Jim. Sny otwieraja drzwi, tak, ale nie dla zlych, terroryzujacych umysl potworow z obcych planet; sny otwieraja drzwi, ktorymi wkracza podswiadomosc i to, co sie z niej wylanialo, bylo az nadto ludzkie. Miala rowniez inne kawalki ukkladanki. Nie wiedziala tylko, jak je dopasowac.

Byla na siebie wsciekla za to, ze w poniedzialek, kiedy wreszcie Jim otworzyl drzwi na patiu i pozwolil jej wkroczyc w swoje zycie, nie zadala odpowiednich pytan. Upieral sie, ze jest tylko instrumentem, ze nie posiada wlasnej mocy. Za szybko to kupila. Powinna byla glebiej wiercic, powinna ostrzej go przepytac. Zawinila, przeprowadzajac wywiad po amatorsku, jak Jim w czasie pierwszego zjawienia sie Przyjaciela.

Byla zirytowana, ze bez zastrzezen akceptowala kazde slowo Przyjaciela. Teraz wiedziala, ze stworzyl go z tej samej przyczyny co inne ofiary syndromu rozszczepienia jazni: mnozyl kolejne osobowosci, aby poradzic sobie ze swiatem, który go oszalamial i przerazal. Samotny i zalekniony dziesieciolatek uciekl w swiat fantazji. Stworzyl tam Przyjaciela, magiczny byt, który stal sie zrodlem pociechy i nadziei. Kiedy Holly zaczela przypierac Przyjaciela do muru, domagajac sie bardziej logicznych wyjasnien, Jim stawil opor. Drazac temat, zagrazala fantazjom, w ktorych znajdowal oparcie i ktorych rozpaczliwie potrzebowal.

Z identycznych powodow w tamto poniedzialkowe przedpoludnie nie zadawala Jimowi takich pytan, jakie powinna. On byl snem, który podtrzymywal ja na duchu.

Wkroczył w jej zycie jak wymarzony heros, z wlasniwa figurom ze snu gracja i rozmachem.

Dopoki go nie ujrzała, nie wiedziała, jak bardzo kogos takiego potrzebowała. Na jej miejscu kazdy dobry reporter wysondowałby go glebiej, ale ona, w obawie, ze go utraci, pozwolila mu pozostac tym, za kogo chcial uchodzic.

Teraz ich jedyna nadzieja byla proba dotarcia do calej prawdy. Nie mogl byc uleczony, dopoki nie zrozumieja, dlaczego stworzyl ten szczegolny, niesamowity, fantastyczny swiat i jak, na litosc boska, udalo mu sie rozwinac ponad-ludzkie moce, ktorymi dysponowal.

Siedziala z rekami na kierownicy, gotowa do dzialania, ale nie majac pojecia, co robic. Nie znala nikogo, do kogo moglaby zwrocic sie o pomoc. Potrzebowala wyjasnien, ktore istnialy jedynie w przeszlosci lub w podswiadomosci Jima. Obydwa te miejsca byly w tym momencie jednakowo niedostepne.

Nagle olsnienie spadlo na nia jak grom. Uswiadomila sobie, ze Jim juz wreczyl jej pek kluczy otwierajacych drzwi do pozostalych tajemnic. Kiedy wjechali do New Svenborga, zabral ja na przejazdke po miescie, co wtedy zrobilo na niej wrazenie taktycznej zwloki przed jazda na farme. Teraz dotarło do niej, ze te przejazdke wypelnialy najwazniejsze rewelacje, ktore przed nia odslonil. Kazda nostalgiczna pamiatka stanowila klucz do przeszlosci i niewyjawionych tajemnic, ktore, raz odkryte, pozwola jej mu pomoc.

246

247

Potrzebowal pomocy. Jakas jego czesc rozumiala, ze jest chory, uwiklany w schizoidalna fantazje, i sam chcial sie z niej wyrwac. Miala tylko nadzieje, ze Jim zapanuje nad Nieprzyjacielem, zanim dowiedza sie tego, co konieczne. Najbardziej mroczne odszczepienie jego jazni nie zyczylo jej powodzenia; jej sukces bedzie oznaczal jego smierc i przy najblizszej okazji zniszczy ja, zeby sie uratowac. Jezeli ona i Jim chca zyc razem lub w ogole zyc, ich przyszlosc lezy w przeszlosci, a przeszlosc jest ukryta w New Svenborgu.

Ostro skrecila w prawo, zaczela wyjezdzac z podjazdu na wiejska droge - i stanela.

Znow spojrzala na wiatrak.

Jim musi wziac udzial we wlasnej kuracji. Nie mogla sama dojsc prawdy i kazac mu w nia tylko uwierzyc. Musi ujrzec ja na wlasne oczy.

Kochala go.

Bala sie go.

Nie mogla nic poradzić na milosc, stanowila teraz jej czesc jak krew, kosci i miesnie.

Ale prawie kazdy strach jest do pokonania - wystarczy znalezc jego przyczyne.

Zaskoczona własną odwagą, wrocila zwirowana sciezka do stop wiatraka. Trzy razy dlugo naciskala klakson, potem jeszcze trzy razy, odczekala pare sekund, zatrabila jeszcze i jeszcze.

Jim pojawil sie w drzwiach. Wynurzył sie w szary poranek, patrzac na nia zmrużonymi oczami.

Holly otworzyła drzwi i wysiadła z wozu.

-Obudziles sie?

-A wygladam na lunatyka? - spytal, podchodzac do niej. - Co sie dzieje?

-Chce miec do konca pewnosc, ze sie obudziles, zupełnie obudziles.

Stanal przed nia.

-Dlaczego nie otworzysz maski, zebym wsadzil pod nia glowe, a ty nacisniesz klakson na jakies dwie minuty, zeby miec do konca pewnosc? Holly, co sie dzieje?

-Musimy pogadac. Wsiadaj.

Skrzywil sie, przeszedl na druga strone wozu. Juz w srodku spytal:

-To nie bedzie nic milego, prawda?

-Nie. Niespecjalnie.

Przed nimi zaskrzypialy skrzydla wiatraka. Zaczely obracac sie powoli, z coraz wiekszym zgrzytem i trzeszczeniem, siejac drzazgi i kawalki zgnilego drewna.

-Przestan - rzekla, pelna obawy, ze obracajace sie skrzydla to preludium do zjawienia sie Nieprzyjaciela. - Wiem, ze nie chcesz sluchac tego, co mam ci do powiedzenia, ale nie probuj mnie rozpraszac, nie probuj mnie powstrzymac.

Nie odpowiedzial. Zafascynowany patrzyl na wiatrak, jakby nie slyszal, co Holly do niego mowi. Szybkosc obrotow rosla.

246

247

-Jim, do cholery!W koncu spojrzal na nia, zdumiony gniewnym tonem, jaki, mimo strachu, brzmial w jej glosie.

-Co?

Wkolo, wkolo, w-kolo-w-kolo-w-kolo, wkolowkolowkolo.

Obracaly sie, jak opanowane przez duchy diabelskie kolo podczas karnawalu potepiencow.

-A niech to szlag! - zaklela.

Strach jej wzmagal sie razem z szybkościa obrotow skrzydel. Wrzucila wsteczny, obejrzała sie przez ramie i wycofala z duza predkoscia, okrazajac staw.

-Gdzie jedziemy? - spytal.

-Niedaleko.

Poniewaz wiatrak stanowil centrum zludy Jima, Holly uznala za dobry pomysl uwolnienie sie od jego obrazu na czas rozmowy. Dojechala do konca podjazdu i zatrzymala sie, tak ze mieli widok na droge.

Opuscila swoje okno i on poszedl za jej przykladem.

Zgasila silnik, obrocila sie do Jima. Chociaz wiele teraz o nim wiedziala - lub podejrzewala, ze wie - chciala dotknac jego twarzy, pogladzic po wlosach, objac. Wywoolywal w niej macierzynskie uczucia, o ktore nawet sie nie podejrzewala - tak jak wzbudzal w niej erotyczny odzew i namietnosc o sile przekraczajacej wszystko, czego do tej pory doznala.

Wyraznie wzbudza w tobie samobojcze tendencje, pomyslala. Jezu, ?orne, ten facet niemal powiedzial, ze cie zabije!

Ale tak samo powiedzial, ze kocha.

Dlaczego wszystko musi byc pokrecone?

-Zanim zaczne... chce, zebys wiedzial, ze cie Kocham.

To byla najbardziej kretynska odzywka na swiecie, tak falszywie zabrzmiala. Słowa nie mogly przekazac tego, co dzialo sie naprawde, troche dlatego, ze jej uczucie bylo glebsze, niz sie tego spodziewala, a troche dlatego, ze to nie bylo jedno uczucie, ale mieszanka milosci, obawy i nadziei. W kazdym razie powtorzyla:

-Naprawde, Kocham cie ogromnie.

Uscisal jej reke, usmiechajac z widoczna przyjemnoscia.

-Jestes cudowna, Holly.

Nie bylo to dokladnie "i-ja-cie-tez-Kocham-Holly", ale ujdzie. Nie miala oczekiwan bohaterki romansu. Nic nie jest proste. Kochanie Jima Ironhearta bylo jak rownoczesne Kochanie

umeczonego Maxa de Wintera z "Rebeki", Supermana - i Jacka Nicholsona w kazdej roli, jaka gral. Choc nie nalezalo to do zadan latwych, nie bylo rowniez nudne.

248

249

-Chodzi o to, ze kiedy wczoraj rano placilam rachunek za motel, a ty siedziales w samochodzie i gapiles sie na mnie, zorientowalam sie, iz nie powiedziales mi, ze mnie kochasz. Wyjezdzalam z toba, oddawalam sie w twoje rece, a ty nie wypowiedziales tych slow. Ale potem pomyslam, ze ja tez ich nie powiedzialam, ja tez rozgrywalam to na chlodno, nie ryzykujac pierwszego kroku i trzymajac garde. Wiec robie ten krok, wchodze na te cienka line rozpieta wysoko i bez zadnej siatki ochronnej w dole, glownie dlatego, ze dzis w nocy wyznales, ze mnie kochasz, i lepiej, zeby to byla prawda. Wyraz sceptycyzmu pojawil sie na jego twarzy.

-Wiem, ze nie pamietasz tego, ale tak bylo - kontynuowala. - Masz klopoty z wymawianiem tego slowka. Moze dlatego, ze twoi staruszkowie odeszli, kiedy byles maly, i boisz sie zbliczyc do kogos ze strachu, ze tez go stracisz. Analiza na goraco. Holly Freud. W kazdym razie naprawde powiedziales mi, ze mnie kochasz, i dowiode ci tego za chwilke, ale teraz, zanim zanurzymy sie w ten balagan, wiedz, ze nie sadzilam, iz bede czula do kogokolwiek to, co czuje do ciebie. Wiec jesli to, co ci za chwile powiem, bedzie ciezkie i wyda ci sie nawet niemozliwe do przyjecia, wiedz, ze plynie tylko z milosci, z niczego innego.

Wpatrywal sie w nia.

-Tak, dobra. Ale, Holly, to...

-Przyjdzie kolej i na ciebie. - Pochylila sie, pocalowala go. - Teraz musisz sluchac.

Opowiedziala mu wszystko, co przemyslala, dlaczego wysliznela sie z wiatraka, kiedy spal - i dlaczego wrocila. Sluchal z rosnaca niewiara, a ona stale hamowala jego protesty, lekko sciskajac mu dlon, kladac reke na ustach albo dajac przelotny pocalunek.

Blok z odpowiedziami, ktory podala mu z tylnego siedzenia, oszolomil go i oslabil protesty. PONIEWAZ WYGLADAL JAK MOJ OJCIEC KTOREGO JA NIE POTRAFILEM URATOWAC. Rece mu sie trzesly, kiedy wpatrywal sie w ten niewiarygodny wers.

Zajrzal do innych zaskakujacych przekazow, powtarzajacych sie na poprzednich stronach - ON CIE KOCHA HOLLY ON CIE ZABIJE HOLLY - i drzenie rak jeszcze wzroslo.

-Nigdy bym cie nie skrzywdzil - powiedzial, niespokojnie wpatrujac sie w blok.

-Nigdy.

-Wiem, że nigdy byś tego nie chciał.

Doktor Jekyll nigdy nie chciał być morderczym mister Hyde'em.

-Ale uważasz, że to ja przesłałem, nie Przyjaciel.

-Wiem, że ty, Jim. Pasuje do ciebie.

-Jeśli przesłał to Przyjaciel, będący mną, czeszcina mnie, to uwierzyłaś, że "ja cie kocham Holly" jest prawda.

-Tak - powiedziała cicho.

248

249

Podniósł oczy znad notatnika, spojrzał jej w oczy.-Jeśli wierzysz w tę część z "ja-cie-kocham", dlaczego nie wierzysz w część "ja-ciezabije"?

-Właśnie, w tym sek. Ja naprawdę wierzę, że drobna mroczna część ciebie chce mnie zabić. Wierzę w to.

Zwinał się, jakby go uderzyła.

-Nieprzyjaciel chce mojej śmierci - powiedziała. - Ogromnie mu na tym zależy, ponieważ kazałam ci spojrzeć w to, co kryje się za ostatnimi wydarzeniami, przywiozłam cię tu, zmusiłam, abys zajrzał w źródło, z którego wyrosł twój fantastyczny świat.

Zaprzeczył ruchem głowy.

-Ale właśnie tobie na tym zależało - kontynuowała. - Głównie z tego powodu chciales, żebym się toba zainteresowała.

-Nie. Ja nie...

-Tak. O to ci chodziło. - Popychac go w kierunku zrozumienia było krancowo niebezpieczne, ale inne wyjście nie istniało. - Jim, jeśli potrafisz zrozumieć, co się stało, zaakceptować istnienie dwóch pozostałych osobowości, choćby możliwość ich istnienia, może to oznaczać początek końca Przyjaciela i Nieprzyjaciela.

Nadal potraszając głową, powiedział:

-Nieprzyjaciel nie odejdzie spokojnie. - I nagle zamrugał, zaskoczony słowami, które wypowiedział, i intencją, jaką wyrażały.

-Cholera - zaklela Holly i przeszył ja dreszcz, nie tylko dlatego, że właśnie potwierdził całą jej teorię, niezależnie od tego, czy mógł przyznać się do wszystkiego, czy nie, ale ponieważ te cztery słowa poswiadczały jego pragnienie wyrwania się z tej karkołomnej fantazji, w jaką uciekł.

Pobladał jak człowiek, który właśnie dowiedział się, że ma raka. W istocie rzeczywiście kryło się w nim zło, ale było raczej natury psychicznej niż fizycznej.

Powiew wionął przez uchylone okna i Holly wydawało się, że z nim napłynęła świeża nadzieja.

Ten napływ optymizmu był jednak krótkotrwały, ponieważ nowe słowa pojawiły się nagle w bloku, który Jim nadal trzymał przed sobą: TY UMRZESZ.

-To nie ja - powiedział jej szczerze, na przekór subtelnemu przyznaniu się, jakie wygłosił przed momentem. - Holly, to nie może być ja.

Na bloku pojawiło się więcej słów: JA PRZYBYWAM. TY UMRZESZ.

Dla Holly świat zmienił się w lunapark pełen upiórów i duchów. Za każdym rogiem w każdej chwili, bez ostrzeżenia coś mogło na nią wypaść z cienia lub - w tym wypadku - z pełnego dziennego światła. Ale w przeciwieństwie do karnawalowego potwora ten mógł spowodować prawdziwy ból, wyssać krew, zabić, jeśli tylko nadarzy się okazja.

250

251

W nadziei, że zarówno Nieprzyjaciel, jak i Przyjaciel reagują na stanowczość, Holly wyrwała blok z ręki Jima i wyrzuciła przez okno. -Do diabła z tym. Nie będę czytała tych smieci. Posłuchaj, Jim. Jeżeli mam rację, Nieprzyjaciel jest ucielesnieniem furii wywołanej przez śmierć rodziców. Kiedy miałeś dziesięć lat, twoja wściekłość była tak ogromna, że przeraziła cię i wyniosła cię, wypchnęła cię jakby z siebie w tę drugą istotę. Ale jako ofiara rozszczepienia osobowości jesteś wyjątkowy, gdyż posiadasz moc stwarzania fizycznych bytów dla twoich innych "ja".

Jim zaczął powoli to akceptować, choć nadal usiłował zaprzeczyć prawdzie.

-Co ty opowiadasz? Że jestem szalony, że jestem wariatem reagującym na socjopatów? Na łitość boską!

-Nie jesteś szalony - powiedziała szybko. - Powiedzmy, rozstrojony, udreczony.

Zamknęła się w psychicznej klatce, którą wokół siebie zbudowała, i chce z niej wyjść, ale nie potrafi znaleźć klucza.



Potrzasnal glowa. Grube krople potu splywaly mu z czola, twarz stala sie jeszcze bledsza.

-Nie, uzywasz zbyt pieknych slow. Jezeli to, co mowisz, jest prawda, to zakopalem sie tym po uszy, Holly, i powinienem siedziec w jakimś cholernym pokoju z miękko wylozonymi scianami, napompowany torazyna.

Ujela obie jego dlonie, scisnela mocno.

-Nie. Przestan. Wydostaniesz sie z tego, stac cie na to, pozbierasz sie; wiem, ze to potrafisz.

-Skad mozesz to wiedziec? Jezu, Holly, ja...

-Bo nie jestes zwyczajnym czlowiekiem, jestes niezwykle - powiedziala z goracym przekonaniem w glosie. - Dysponujesz moca, niewiarygodna sila i jesli chcesz, potrafisz uzyc jej w dobrym celu. Ta moc daje odwage, jakiej zwykli ludzie nie maja.

To moc uzdrawiajaca. Nie rozumiesz? Jezeli potrafisz sprawic, ze slychac dzwoneczki, a bicie serca Obcych i glosy rozlegaja sie w powietrzu, jesli potrafisz zmieniac sciany w zywe cialo, posylac obrazy w moje sny, zagladac w przyszlosc, zeby ratowac ludzi, to potrafisz zebrac sie w calosc, i to od razu.

Gleboka niewiara malowala sie na jego twarzy.

-Jak to mozliwe, zeby ktos posiadal moc, o jakiej mowisz?

-Nie wiem, ale ty ja masz.

-To musi pochodzic od wyzszej istoty. Na milosc boska, nie jestem Supermanem.

Holly grzmotnela piescia i powiedziala:

-Jestes telepatycznym, telekinetycznym, tele-pieprzonym-wszystkim! Zgoda, fruwac nie potrafisz, nie widzisz jak aparat rentgenowski, nie gniesz stali golymi rekoma

250

251

i nie biegasz szybciej niz pocisk. Ale jestes na tyle Superman, na ile to mozliwe. Tak naprawde jestes lepszy, bo potrafisz widziec przyszlosc. Moze tylko kawalki, szczatki i tylko przypadkowo, bo sie nie wysilasz, ale potrafisz ujrzec przyszlosc. Byl ogluszony jej pewnoscia.

-A skad mi sie bierze ta magia?

-Nie wiem.

-I tu wszystko sie sypie.

-Nie sypie sie dlatego, ze nie wiem - powiedziala zgnebiona. - Zolty nie przestaje byc zolty tylko dlatego, ze nie mam pojecia, dlaczego oczy rozrozniaja kolory.

Masz te potege. Ty nia jestes, nie Bog, nie zaden Obcy ze stawu obok wiatraka.

Wysunal rece z jej dloni i wyrzjal przez przednia szybe na droge i lezace za nia suche pola. Zdawalo sie, ze leka sie konfrontacji z niezwykla potega, jaka dysponowal - moze dlatego, iz laczyła sie z nia odpowiedzialnosc, a nie byl pewien, czy ja udzwignie.

Poczula, ze wstydzi sie rowniez wlasnej choroby psychicznej i woli odwrocic wzrok.

Dotad tak opanowany, tak silny, tak dumy ze swej sily, nie mogli pogodzic sie z obrazem wlasnej slabosci. Stworzyl swiat, w ktorym najwyzszymi wartosciami byly samokontrola i samowystarczalnosc i w ktorym szczegolna cnota byla narzucona sobie samotnosc mnicha, zadowolajacego sie towarzystwem wlasnym i Boga. Teraz powiedziala, ze jego decyzja zbudowania z siebie czlowieka z zelaza i samotnika nie wynikla z dobrze przemyсланego wyboru, ale byla rozpaczliwa proba uporania sie z emocjonalnymi zaburzeniami, ktore grozily mu destrukcja, i jego potrzeba samokontroli zepchnela go poza linie racjonalnego zachowania.

Pomyslala o slowach na kartce bloku: JA PRZYBYWAM. TY UMRZESZ.

Zapalila silnik.

-Dokad jedziemy? - spytal.

Ruszyła, wyjechała na wiejska droge i skierowala sie ku Svenborgowi, caly czas nie odpowiadajac.

-Czy jak byles maly, bylo w tobie cos niezwyklego?

-Nie - odparl zbyt szybko, zbyt nerwowo.

-Nigdy nie odebrales zadnej wskazowki, ze masz niezwykle umiejetnosci albo...

-Nie, do diabla, nic takiego.

Nagle podniecenie Jima, objawiajace sie w nerwowej ruchliwosci i drzeniu rak, przekonaly Holly, ze dotknela prawdy. Zaprzeczenie bylo tarcza.

-Co ci sie wlasnie przypomnialo?

-Nic.

-Przestan, Jim.

-Nic, naprawdę.

Nie wiedziała, dokąd sterować tymi pytaniami, więc powiedziała tylko:

252

253

-To prawda. Masz niezwykle umiejętności. Żadni Obcy, tylko ty. Musiał sobie coś przypomnieć i choć nie był skłonny jej tego wyjawić, jego upor zaczął słabnąć.

-Nie wiem.

-To prawda.

-Może.

-To prawda. Pamiętasz, jak w nocy Przyjaciół powiedział nam, że w kategoriach swego gatunku jest dzieckiem? Bo jest dzieckiem, wiecznym dzieckiem i zawsze ma tyle lat, ile ty, kiedy go stworzyłeś: dziesięć. To wyjaśnia jego dziecięcy sposób bycia, przechwanki, drażliwość. Jim, Przyjaciół nie zachowywał się jak dziesięcioletnie dziecko Obcych, po prostu zachowywał się jak dziesięcioletnia istota ludzka.

Zamknął oczy i opadł ciężko na oparcie siedzenia, jakby rozważanie jej słów kosztowało go wiele sił. Ale nadal był ogromnie spięty. Widac to było po rękach spoczywających na udach, zacisniętych w pięści.

-Dokąd jedziemy, Holly?

-Na małą przejazdke. - Kiedy mineli złote pola i wzgorza, kontynuowała swój łagodny atak:  
- To dlatego Nieprzyjaciół, pokazując się, jest kombinacją wszystkich filmowych potworów, jakie kiedykolwiek przeraziły dziesięcioletniego chłopca. Ta istota, która przez ułamek sekundy widziałam w drzwiach motelu, nie była autentycznym potworem; teraz to rozumiem. Nie miała sensownej pod względem biologicznym budowy, nawet jak na Obcego. Była nazbyt znana, stanowiła mieszaninę straszydeł z koszmarów sennych dziesięcioletka.

Nie odpowiadał. Zerknęła na niego.

-Jim?

Serce zaczęło jej mocniej bić.

-Jim!

Uslyszawszy w jej glosie nute niepokoju, wyprostowal sie i otworzyl oczy.

-Co?

-Na milosc boska, nie zamykaj na tak dlugo oczu. Moglbys zasnac i nie wiedzialabym o tym, dopoki...

-Uwazasz, ze potrafilbym zasnac, myslac o tym?

-Nie wiem. Wole nie ryzykowac. Trzymaj oczy otwarte, dobra? Jestem pewna, ze kiedy nie spisz, tlumisz w sobie Nieprzyjaciela. Moze sie uaktywnic jedynie wowczas, kiedy zapadasz w sen.

Na przedniej szybie, jak na wyswietlaczu komputerowym w kokpicie mysliwca, od lewej do prawej, zaczely pojawiac sie litery, tworzac slowa: NIE ZYJESZ NIE ZYJESZ

NIE ZYJESZ NIE ZYJESZ NIE ZYJESZ NIE ZYJESZ.

Nie chcac okazac przerazenia, odezwała sie:

252

253

-Do diabla z tym. - I wlaczyła wycieraczki, jakby grozba byla kurzem do starcia. Ale slowa pozostaly i Jim wpatrywal sie w nie z nieukrywany przerazeniem.

Kiedy mijali male rancho, wiatr przyniosl przez otwarte okna zapach swiezo koszonego siana.

-Dokad jedziemy? - spytal raz jeszcze.

-Na wyprawe badawcza.

-Co bedziemy badac?

-Przeszlosc.

-Nie kupuje do konca tego scenariusza - odezwal sie przybity. - Nie moge. Bo jak, do diabla? I jak mamy sie przekonac, czy to prawda, czy nie?

-Jedziemy do miasteczka - powiedziala. - Znow zrobimy sobie przejazdke, taka sama, jaka mi urzadziles. Svenborg - przystan tajemnic i romansow. Co za dziura. Ale jest w nim cos. Chcialas, zeby zobaczyła te miejsca, twoja podswiadomosc dala mi do zrozumienia, ze

wyjasnienia kryja sie w New Svenborgu. Poszukajmy ich razem.

Nastepne slowa pojawily sie pod pierwszymi szescioma: NIE ZYJESZ NIE ZYJESZ

NIE ZYJESZ NIE ZYJESZ NIE ZYJESZ NIE ZYJESZ.

Holly wiedziala, ze jej czas sie kurczy. Moze nie zdazyc przekonac Jima do swej teorii. Nieprzyjaciel chcial sie przedrzec w realny swiat, pocwiartowac, zanurzyc kly w dymiace wnetrzności - i nie zamierzal czekac na sen. Nie byla pewna, czy Jim zdola stlumic mroczny aspekt osobowosci, zanim ona zmusi go, by spojrzal prawdziwie w oczy. Jego system autokontroli trzasnie i zalew mrocznych sil pochlonie lagodnosc.-Holly, jesli cierpie na to przedziwne rozdwojenie osobowosci, to czemu ono nie ustapilo, kiedy mi wszystko wyjasnilas? Dlaczego luski natychmiast nie spadly mi z oczu?

-To nie takie proste. Zeby sie z tym uporac, wpierw musisz uwierzyc. Pogodzenie sie z faktem, ze cierpi sie na zaburzenia psychiczne, jest pierwszym krokiem ku zrozumieniu, a zrozumienie jest dopiero pierwszym bolesnym krokiem do uleczenia.

-Nie mow do mnie jak psychiatra, bo nie jestes psychiatra.

Szukal uciezki w gniewie, w tym lodowatym spojrzeniu, usilujac ja oniesmielic, jak wowczas kiedy nie chcial jej do siebie dopuscic. Nie zadzialalo poprzednio, nie zadziala i teraz. Mezczyzni czasami sa tacy uparci.

-Raz przeprowadzalam wywiad z psychiatra - powiedziala.

-No, wielka rzecz, dzieki temu masz odpowiednie kwalifikacje!

-Moze mam. Ten psychiatra sam byl normalnym pomylencem, wiec jakie znaczenie ma tu dyplom uniwersytecki?

Westchnal gleboko.

-Dobra, zalozmy, ze masz racje i jakos trafimy na wiarygodny dowod, iz jestem pomylony...

254

255

-Nie jestes pomylony, jestes...-Dobra, dobra, jestem rozstrojony, udreczony, siedze w psychicznej klatce. Nazywaj to, jak chcesz. Jezeli jakos znajdziemy dowod - a nie mam pojecia jak - co stanie sie ze mna? Moze tylko usmiechne sie i powiem: "Och, tak, oczywiscie, zmyslilem to od a do z, zylem w iluzorycznym swiecie, teraz jest mi o niebo lepiej, chodzmy na lunch".

Ale nie sadze. Mysle, ze wtedy... rozlece sie, rozlece na milion kawaleczkow.

-Nie moge obiecac ci, ze prawda - jezeli do niej dotrzemy - okaze sie wybawieniem, ale wydaje mi sie, ze do tej pory znajdowales swoje wybawienie w fantazji, nie w prawdzie. I to musi sie skonczyc, bo Nieprzyjaciel mnie nienawidzi i zabije - wczesniej czy pozniej. Sam mnie ostrzegles.

Spojrzał na słowa wypisane na szybie i... milczał. Zaczynalo mu brakowac argumentow, a moze sil, zeby stawiac opor.

Słowa zblakly, potem znikly.

Moze byl to dobry znak, wskazowka, ze jego podswiadomosc zaczyna przyswajac sobie jej teorie, lub Nieprzyjaciel uznal, ze Holly nie da sie zastraszyć słowami - i usilowal przedrzec sie do realnego swiata i rozedrzec ja na strzepy.

-Kiedy on mnie zabije - powiedziala - uswiadomisz sobie, ze naprawde jest czescia ciebie. I jezeli mnie kochasz, o czym dzieki Przyjacielowi dowiedzialam sie ostatniej nocy, co sie wtedy z toba stanie? Czy to nie zabije tego Jima, ktorego kocham?

Czy wtedy nie pozostanie z ciebie jedna czesc - ta mroczna, Nieprzyjaciel? To cholernie prawdopodobne. Wiec mowimy tu zarowno o twoim przezyciu, jak i moim. Jezeli chcesz zyc, musimy dokopac sie samego dna.

-Moze bedziemy kopac i kopac - i nie znajdziemy dna. Co wtedy?

-Wtedy pokopujemy jeszcze troche glebiej.

Kiedy wjezdza do miasteczka, nagle przenoszac sie z brazowego umarlego kraju w gesto zbite pionierskie osiedle, Holly znienacka odezwala sie:

-Robert Vaughn.

Jim podskoczyl. Nie dlatego, ze powiedziala cos niejasnego, ale dlatego, iz to nazwisko wzbudzilo w nim natychmiastowe skojarzenie.

-Moj Boze - odezwal sie - ten glos.

-Glos Przyjaciela - powiedziala, spogladajac na niego. - Wiec ty tez go skojarzyles.

Robert Vaughn, wspanialy aktor, gral bohatera serialu "The Man from U.N.C.L.E." i znakomicie kreowal sliskie, czarne charaktery w niezliczonych filmach. Mial glos o tak bogatej skali i wyjatkowych mozliwosciach! Mogl brzmiec groźnie, mogl ojcowsko i opiekunczo - jak Vaughn zapragnal.

-Robert Vaughn - powtorzyla Holly. - Ale dlaczego? Dlaczego nie Orson Welles, Paul Newman, Sean Connery czy Fred Flinston? To zbyt nietypowy wybor, zeby mial byc

pozbawiony znaczenia.

254

255

-Nie wiem - powiedział Jim, zamysławiając się, ale miał niepokojące wrażenie, że powinien wiedzieć.-Dalej myślisz, że to Obcy? - spytała Holly. - Czy Obcy po prostu nie zadbałby o nieokreślony głos? Dlaczego miałby imitować jakiegoś konkretnego aktora?

-Widziałem raz Roberta Vaughna - powiedział Jim, zaskoczony budzącym się w nim niewyraźnym wspomnieniem. - To znaczy nie w telewizji czy w kinie, ale na żywo, z bliska. Dawno temu.

-Gdzie, kiedy?

-Nie mogę... nie potrafię... nie potrafię sobie przypomnieć.

Jim czuł się jak na wąskiej kładce pomiędzy dwoma przepasciami: niebezpieczeństwo czyhało po każdej stronie. Po jednej było dotychczasowe życie wypełnione zametem i rozpaczą, która usiłował zdusić, ale która czasami go ogarniała, jak na przykład wtedy, gdy udał się na duchową wyprawę po pustyni Mojave, szukając wyjścia, nawet jeśli miałaby nim być śmierć. Po drugiej leżała niepewna przyszłość, którą Holly usiłowała mu odmalować, przyszłość, która z uporem nazywała nadzieją, ale która wyglądała na chaos i szalenstwo. A wąska kładka pod nim rozpadła się z każdą minutą.

Pamiętał ich wymianę zdań w łóżku, dwie noce temu, zanim kochał się z nią po raz pierwszy. Powiedział: Ludzki charakter jest zawsze bardziej... skomplikowany, niż sobie to wyobrazasz.

Czy to obserwacja... czy ostrzeżenie?

Ostrzeżenie?

Może ostrzegasz mnie, że naprawdę jesteś inny, niż wyglądasz.

Po długiej pauzie powiedział wtedy: może. A ona po równie długim milczeniu odpowiedziała: chyba jest mi to obojętne.

Teraz był pewien, że wtedy ją ostrzegł. Cichy wewnętrzny głos w nim potwierdzał, że jej analiza jest trafna, że istoty w wiatraku stanowiły tylko różne aspekty jego osobowości. Ale jeżeli padł ofiarą rozszczepienia osobowości, nie wierzył, aby jego stan dał się opisać jako niepokój umysłowy czy stan psychicznego udrczenia, jak ona próbowała to nazwać. Pasowało tylko jedno słowo: szalenstwo.

Wjechali na główną ulicę. Miasto wydawało mu się dziwnie mroczne i groźne. Może dlatego, iż kryło prawdę, która zmusi go do zejścia z wąskiej ścieżki w taki lub inny świat chaosu.

Przypominał sobie, że czytał gdzieś, iż tylko szalenci są całkowicie pewni swojego zdrowia psychicznego. Niczego nie był pewien całkowicie, ale wcale go to nie pocieszało. Szalenstwo było, jak podejrzewał, sama istota niepewności, gorączkowym acz bezowocnym poszukiwaniem odpowiedzi, solidnego gruntu. Zdrowie psychiczne stanowiło oazę spokoju w kotlującym się chaosie.

256

257

Holly zjechała do krawężnika przed apteką Handahla, na wschodnim krancu głównej ulicy. - Zaczniemy stąd.

-Dlaczego?

-Bo poprzednio, kiedy pokazywałeś mi ważne miejsca z dzieciństwa, tu zatrzymaliśmy się najpierw.

Wysiadł z fordu i znalazł się pod kopułą liści magnolii, jednej z paru, które obok innych drzew zasadzono po obu stronach ulicy.

Kiedy Holly pchnęła frontowe drzwi budynku w dąbskim stylu, szyby - jak szlachetne kamienie - rozbłysły na szlifowanych krawędziach. Dzwonek zadzwieczał nad ich głowami. Weszli do środka.

Jimowi mocno biło serce. Apteka prawdopodobnie nie była miejscem, w którym w dzieciństwie przeżył coś ważnego, ale miał świadomość, że stawia pierwszy krok na ścieżce wiodącej do prawdy.

Ekspres do kawy i kran z lemoniadą mieściły się po lewej stronie, a przez zwieńczone luką przejście dostrzegł paru ludzi jedzących śniadanie. Zaraz przy drzwiach ujrzał stanowisko z gazetami: stosy prasy porannej, głównie z Santa Barbara, również magazyny. Z boku stał stojak obrotowy pełen tanich książek.

-Tu zwykle kupowałem sobie kieszonkowe wydania - powiedział. - Już wtedy uwielbiałem książki, pozeralem je stosami.

Apteka mieściła się za sklepionym przejściem na prawo. Częściowo przypominała wszystkie nowoczesne amerykańskie apteki. Było w niej więcej kosmetyków, produktów do pielęgnacji urody i włosów niż lekarstw. Ale była oryginalna: drewniane polki zamiast metalowych i plastikowych; polerowane granitowe blaty; uroczy aromat skomponowany z woni pachnących świeczek, tanich cukierków, powiewu unoszącego się z nasyconej



wilgocia, stojacej za kasa, szafi na cygara i tyton, lekkiego zapachu alkoholu etylowego i rozmaitych lekarstw.

Mimo wczesnej godziny aptekarz stal za lada, odgrywajac we wlasnym sklepie role ekspedienta. Byl to sam Corbett Handahl, barczysty mezczyzna z bialym wasem i siwa czupryna, w sztywnej niebieskiej koszuli, na ktora wlozyl wykrochmalona biala kurtke laboranta.

-Na ma dusze, Jim Ironheart - rzekl, podnoszac wzrok. - Ile to lat - trzy, cztery?

Podali sobie rece.

-Cztery lata i cztery miesiace - powiedzial Jim. Mial na koncu jezyka "od kiedy dziadek nie zyje", ale zamilkl, nie wiedzac dokladnie dlaczego.

Corbett spryskiwal lade windexem i wycieral papierowym recznikiem. Usmiechnal sie do Holly.

256

257

-I kimkolwiek pani jest, bede jej dozgonnie wdzieczny za dodanie urody temu szaremu porankowi. Corbett byl idealem malomiasteczkowego aptekarza: wystarczajaco jowialny, aby prezentowac sie jak szary obywatel, mimo iz z racji swego zawodu przynalezal do klasy wyzszej, dosc zabawny, aby stanowic lokalna osobliwosc, ale z wyrazna aura fachowosci i uczciwosci, zeby kazdy mial pewnosc, ze lekarstwa, ktore sporzadza, sa dobre.

Mieszkanacy wstepowali tu chocby zamienic pare slow, nawet gdy niczego nie potrzebowali, a jego autentyczne zainteresowanie ludzkimi sprawami sluzilo interesowi.

Pracowal w aptece przez trzydziesti trzy lata i byl jej wlascicielem dwadziescia siedem lat, od smierci ojca.

Handahl byl wyjatkowo poczciwym czlowiekiem, a jednak Jim poczul, ze cos mu grozi z jego strony. Chcial wyjsc z apteki, zanim...

Zanim co?

Zanim Handahl powie cos zlego, wyjawi za duzo.

Ale co mogl wyjawic?

-Jestem narzeczona Jima - przedstawila sie Holly ku jego zaskoczeniu.

-Gratulacje, Jim - rzekł Handahl. - Szczesciarz z ciebie. Mloda damo, mam jedynie nadzieje, ze wiesz, iz jego rodzina zmienila nazwisko z Ironhead\*, co bardziej zgadzalo sie z ich charakterem. Uparciuchy.

Mrugnal i rozesmial sie.

-Jim wozi mnie po miescie, pokazujac ulubione zakatki - ciagnela Holly. - Podroz sentymentalna, tak to chyba mozna nazwac.

Handahl utkwil spojrzenie w Jimie i powiedzial:

-Nie podejrzewalem cie nigdy o sympatie i sentyment do tego miasta.

Jim wzruszyl ramionami.

-Ludzkie postawy nie sa niezmiennie.

-Milo mi to slyszec - rzekl Handahl i zwrocil sie ponownie do Holly: - Zaczal tu wpadac zaraz potem, jak wprowadzil sie do dziadkow, w kazdy wtorek i piatek, kiedy przyjezdzaly nowe ksiazki i magazyny od dystrybutora z Santa Barbara. - Odlozyl windex. Porzadkowal lade z gumami do zucia, cukierkami mietowymi, jednorazowymi zapalniczkami i kieszonkowymi grzebykami. - Jim byl wtedy prawdziwym pozeraczem ksiazek. Nadal taki jestes?

-Tak - powiedzial Jim, czujac rosnacy niepokoj, wrecz przerazenie na mysl o tym, co Handahl moze zaraz powiedziec. Ale za skarby swiata nie zgadlby, co tez istotnego aptekarz wyjawi. \*Zelazna glowa (przyp. tlum.)

258

259

-Pamietam, ze miales dosyc waskie zainteresowanie. - Zwrocil sie do Holly:-Wydawal kieszonkowe na prawie kazda powiesc fantastycznonaukowa albo horror, jakie zjawily sie na polce. Wtedy za dwa dolary robilo sie niezle zakupy, ksiazka kosztowala czterdziesci piec, piecdziesiat centow.

Klaustrofobia opadla Jima jak gesty welon. Apteka zaczela mu sie wydawac duszna i ciasna, przeladowana artykulami, chcial z niej uciec.

Nadchodzi, pomyslal, czujac wzrastajacy niepokoj. Nadchodzi.

-Wydaje mi sie, ze odziedziczyl zainteresowanie dziwaczna literatura po mamie i tacie - powiedzial Handahl.

-Jak to? - spytala Holly, nie rozumiejac.

-Nie znalazem tak dobrze Jamiego, ojca Jima, ale bylem tylko o klase nizej od niego w liceum. Nie obraz sie, Jim, ale twoj tato mial raczej egzotyczne zainteresowania - chociaz, jak rozejrzec sie po swiecie, to chyba dzis nie bylyby tak egzotyczne jak wtedy, na poczatku lat piecdziesiatych.

-Egzotyczne zainteresowania? - wypytywala, dalej Holly.

Jim rozejrzal sie po aptece, zastanawiajac sie, skad ono moze nadejsc, ktora droge ucieczki zablokuje, a ktora zostawi otwarta. Wciaz wahal sie pomiedzy nieobowiazujaca akceptacja a odrzuceniem teorii Holly i w tej wlasnie chwili byl pewien, ze ona sie myli. To nie byla sila wewnatrz niego. To bylo obce, zle stworzenie, tak jak Przyjaciel byl dobry - i moglo zjawic sie gdziekolwiek, wyjsc z kazdego miejsca lada sekunda i nadchodzilo, wiedzial, ze nadchodzilo i chcialo zabic ich wszystkich.

-Wiec - zaczal Handahl - kiedy Jamie byl chlopcem, zwykl tu przychodzic - wtedy to byl sklep mojego taty - i kupowal stare marne magazyny o robotach i potworach, ze skapo ubranymi kobietami na okladce. Duzo zawsze opowiadal o tym, ze kiedys wyslemy ludzi na Ksiezyc i kazdy bral go troche za dziwaka, ale mysle, ze w gruncie rzeczy mial racje. Nie zaskoczylo mnie, kiedy sie dowiedzialem, ze zrezygnowal z ksiegowosci, znalazl zone pracujaca w rozrywce i utrzymywal sie, wystepujac z numerem z cudami umyslu.

-Cuda umyslu? - spytala Holly, zerkajac na Jima. - Myslam, ze twoj ojciec byl ksiegowym, a mama aktorka.

-Tak bylo - powiedzial Jim cienkim glosem. - Tym sie zajmowali, zanim przygotowali razem numer.

Byl zaskoczony - prawie umknelo mu to z pamieci. Jak to mozliwe? Mial wszystkie fotografie z tournee; ogladal je codziennie, a jednak zapomnial, ze zostaly zrobione w czasie podrozy pomiedzy wystepami.

Zblizalo sie bardzo szybko.

Blisko. Bardzo blisko.

Chcial ostrzec Holly. Nie mogl sie odezwac.

258

259

Cos odebralo mu glos, usztywnilo szczeki. Nadchodzilo.

Nie chcialo, zeby ja ostrzegl. Chcialo ja zaskoczyc.

-To, co się z nimi stało, to straszna tragedia, bez dwóch zdań - rzekł Handahl, kończąc ustawianie pojemników z różnicami na ladzie. - Jim, kiedy pierwszy raz przyjechałeś do miasta, do dziadków, byłeś tak zamknięty, że nie dało się wyciągnąć z ciebie słowa.

Holly raczej obserwowała Jima niż Handahla. Wyczuwała, że coś mocno go gnębi.

-Na drugi rok po śmierci Leny - mówił aptekarz - Jim zamknął się jeszcze bardziej, jak kompletny niemowa, jakby nie zamierzał odezwąć się do końca życia.

Pamiętasz to, Jim?

Zdumiona Holly obróciła się do Jima i zapytała:

-Twoja babka umarła po dwóch latach twojego pobytu tutaj, kiedy miałeś tylko jedenastcie lat?

Powiedziałem jej, że pięć lat temu. Dlaczego powiedziałem jej, że pięć, kiedy naprawdę było ich dwadzieścia cztery? Zbliżało się. Czuli to. Zbliżało. Nieprzyjacieli.

-Przepraszam, muszę zaczerpnąć świeżego powietrza - odparł. Wyszedł szybko na zewnątrz i stanął przy samochodzie, łapiąc powietrze.

Obejrzał się i spostrzegł, że Holly nie wyszła za nim. Widział ją przez okno apteki, rozmawiała z Handahlem.

Zbliżało się.

Holly, nie rozmawiaj z nim, myślał Jim. Nie słuchaj go, wychodź stamtąd.

Zbliżało się.

Opierając się o samochód, pomyślał: tylko dlatego boję się Corbetta Handahla, że on wie więcej o moim życiu w Svenborgu, niż pamiętani.

Lab-dab-DAB.

Jest.

Handahl spoglądał z ciekawością za Jimem.

-Myślę, że nigdy nie zapomni tego, co spotkało jego rodziców... i Lene - rzekła Holly.

Handahl pokiwał głową.

-A kto potrafiłby zapomnieć coś tak strasznego? To było takie miłe dziecko, że wszystkim nam serca pekły z żalu. - Zanim Holly zdążyła dowiedzieć się jeszcze czegoś o

Lenie, Handahl spytał: - Wprowadzacie się na farme?

-Nie. Przyjechalismy tylko na kilka dni.

-To nie mój interes, ale wstyd, żeby taka ziemia leżała odłogiem.

260

261

-No, Jim nie jest rolnikiem - powiedziała - a jeśli nikt nie chce kupić tego miejsca...-Nikt nie chce? Ależ, młoda damo, ludzie zadłuziliby się po uszy, gdyby Jim zdecydował się wystawić je na licytację.

Zamrugala, patrząc na niego.

-Macie doskonałe źródło artezyjskie na terenie posiadłości, co oznacza, że zawsze jest tam woda w okolicy, gdzie zwykle jej brakuje - kontynuował, opierając się o granitowy kontuar i krzyżując ręce na piersi. - Działa to tak: kiedy staw jest pełny wody, jej masa spowalnia wypływ ze źródła. Ale jak zaczniesz pompować, żeby nawodnić pola, napływ się zwiększa i staw błyskawicznie znowu jest pełny, jak magiczny dzbanek w starej bajeczce.

Pochylił na bok głowę i spojrzał na Holly spod przymkniętych powiek.

-Jim mówił pani, że nie może go sprzedać?

-No, przypuszczałam...

-Coś pani powiem: ten pan chłop jest bardziej sentymentalny, niż myślałam. Może dlatego nie chce sprzedać farmy, że wiąże go z nią za dużo wspomnień.

-Może. Ale tam są tak samo złe wspomnienia jak dobre.

-Ma pani rację.

-Jak śmierć jego babki - dążyła, usiłując sprowadzić go na właściwy temat. - To były...

Przerwał jej brzęczenie. Obróciła się i zobaczyła, jak butelki z szamponami, spraye do włosów, buteleczki z witaminami i lekarstwami podrygują na półce.

-Trzesienie ziemi - powiedział Handahl, spoglądając z niepokojem na sufit, jakby zastanawiał się, czy nie spadnie im na głowy.

Butelki zatrzęsły się jeszcze gwałtowniej i Holly wiedziała, że są niepokojeni przez coś gorszego niż trzesienie ziemi. Udzielano jej ostrzeżenia, aby nie zadawała Handahlowi więcej pytań.

Przytulny swiatek oryginalnej apteki zaczal, sie rozlatywac. Butelki spadaly z polek wprost na nia. Obrocila sie, zaslaniajac rekami glowe. Pojemniki z lekarstwami przelecialy obok i z furia ugodzily w Handahla. Sza?a z nawilzaczem za kasa wibrowala. Holly instynktownie upadla na podloge, a jednocześnie drzwiczki sza?i strzelily, szklany szrapnel przecial powietrze w miejscu, gdzie przed sekunda stala. Czolgala sie na czworakach do wyjścia pod blyszczacych odlamkami, które posypaly sie na podloge.

Ciezka kasa spadla z loskotem z granitowej lady, omijajac ja o centymetry. Zanim sciany zdazyly zablyszczec, zapulsowac i wypchnac z siebie ksztalt Obcego, dotarla do drzwi, przebiegla obok stanowiska z gazetami i wydostala sie na ulice, zostawiajac Handahla w gruzie po trzesieniu ziemi, które jego zdaniem bez watpienia nastapilo.

260

261

Trojkrotny rytm pulsowal pod jej stopami z wylozonego ceglami chodnika. Jim stal oparty o samochod, rozdygotany, z pobielala twarza czlowieka, który stoi nad przepascia, zagladajac w otchlan - i pragnie w nia wskoczyc. Nie odpowiadal, kiedy wolala go po imieniu. Byl o krok od oddania sie mrocznej sile, która przez lata kryl w sobie - i holubil - a która obecnie zapragnela swobody.

Oderwala go od samochodu, objela, przytulila mocno, jeszcze mocniej, powtarzajac jego imie w oczekiwaniu, ze chodnik wystrzeli geizerami cegiel, ze uchwycy ja zebate szczytce, macki lub zimne wilgotne dlonie nieludzkiego ksztaltu. Ale trojkrotne uderzenia serca ucichly i po chwili Jim uniosl nareszcie rece i objal ja.

Nieprzyjaciel odszedl.

Ale ustepowal jedynie na chwile.

Cmentarz w Svenborgu przylegal do Ogrodow Tivoli. Oddzielalo go od parku zelazne ogrodzenie i szpaler drzew - glownie bialych cedrow i rozlozystych kalifornijskich drzew pieprzowych.

Jim jechal wolno kreta alejka wsrod grobowcow.

-Tutaj - powiedzial.

Zjechał na bok i zatrzymal sie. Kiedy wysiadl z forda, znow ogarnal go klaustrofobiczny lek, prawie tak silny jak w aptece, mimo ze teraz stal na otwartej przestrzeni.

Ciemne szare niebo napieralo na granitowe formy, których prostokaty, kwadraty i strzeliste

zwieńczenia wyrastały w górę jak guzy starych kości pokrytych patyną czasu, na wpoli zakopanych w ziemi. W ponurym świetle trawa była zielonoszara. Podobnie drzewa, które miały groźnie, jakby miały na niego runąć.

Podszedł do Holly, wskazał w kierunku północnym.

-Tam.

Wziela go za rękę. Był jej za to wdzięczny.

Razem podeszli do miejsca spoczynku jego dziadków. Znajdowało się na lekkim wzniesieniu na ogół płaskiego cmentarza. Pojedynczy prostokąt granitu służył obydwu kwaterom.

Jimowi mocno biło serce, nie mógł przełknąć śliny.

Jej nazwisko było wyłobione po prawej stronie grobowca. Lena Louise Ironheart.

Z ociąganiem przeniósł wzrok na daty urodzenia i śmierci. Miała pięćdziesiąt trzy lata, kiedy zmarła. A nie żyła od dwudziestu czterech lat.

Tak muszą czuć się ludzie po praniu mózgu, po przemodelowaniu pamięci, kiedy w pustych miejscach zostają im naniesione fałszywe wspomnienia. Przeszłość stała się pejzazem za mgłą, który oświetlał jedynie księżyc przesłonięty chmurami. Jasność spojrzenia wstecz, która miał zaledwie parę godzin temu, nagle została mu odebrana i nie mógł uwierzyć w rzeczywistość tego, co obecnie widział; bał się, że obrazy przeszłości mogły okazać się jedynie figlami spletanymi przez mgłę i cienie.

262

263

Zdezorientowany i wystraszony, mocno trzymał Holly za rękę. -Dlaczego kłamales, dlaczego mówiles o pięciu latach? - spytała łagodnie.

-Nie kłamałem. Przynajmniej... nie wiedziałem, że to robie. - Wpatrywał się w granit, jakby wygładzona powierzchnia była oknem w przeszłość. Usiłował sobie coś przypomnieć. - Przypominam sobie, jak kiedyś obudziłem się rano, wiedząc, że babcia nie żyje. Pięć lat temu. Mieszkalem wtedy w Irvine.

Wysłuchiwał się we własny głos, jakby należał do kogoś innego.

-Ubrałem się... pojechałem na północ... kupiłem w miasteczku kwiaty... potem przyjechałem tutaj...

Zamilkł. Po chwili Holly spytała:

-Pamiętasz pogrzeb?

-Nie.

-Innych zalobników?

-Nie.

-Inne kwiaty na grobie?

-Nie. Pamiętam tylko, że... kłęczalem przy grobie z kwiatami, które dla niej kupilem...  
plakalem... plakalem długo, nie mogłem przestać.

Przechodzący obok ludzie spozierali wtedy na niego z sympatią, która zmieniała się w  
zazębienie, kiedy uswiadamiłi sobie rozmiar jego psychicznego zalamania, a potem w  
obawę, kiedy dostrzegali, iż trawi go rozpacz tak głęboka, że graniczy z histerią.

Nawet teraz pamiętał szalenstwo, jakie ogarnęło go tamtego dnia, kiedy odpowiadając  
wściekłym spojrzeniem na ciekawskie spojrzenia innych, pragnął jedynie zagrzebać się w  
ziemię, naciągnąć ją na siebie jak koldre i spocząć w tym samym dole co babcia. Ale nie  
potrafił sobie przypomnieć, dlaczego tak się czuł, ani zrozumieć, dlaczego teraz zaczyna  
czuć się podobnie.

Jeszcze raz spojrział na datę jej śmierci - dwudziesty piąty wrzesnia - i strach go obleciał.  
Był tak wielki, że lży uwiezły mu w gardle.

-Co ci jest? Powiedz - dopytywała się Holly.

-Chodzi o to, że kiedy przyszedłem z kwiatami, ten jedyny raz, kiedy w ogóle przyszedłem,  
zapamiętałem ten dzień jako dzień jej śmierci. Dwudziesty piąty wrzesnia... ale pięć lat  
temu, nie dwadzieścia cztery. To była dziewiętnasta rocznica jej śmierci... lecz wtedy  
myślałem, jak zawsze, że ona dopiero co umarła.

Milczeli oboje.

Dwa wielkie kosy smignęły w podniebnych ewolucjach po posepnym niebie, zaskrzeczały i  
skryły się za wierzchołkami drzew.

-Co mogło być nie tak - odezwiała się w końcu Holly - że wtedy, kiedy naprawdę umarła  
dwadzieścia cztery lata temu, twoja świadomość odrzuciła ten fakt? Może mo262

263

głes pogodzić się z tym dopiero dziewiętnastu lat później... tego dnia, kiedy przyszedles tu  
z kwiatami. I w twojej pamięci umarła o wiele później niż w rzeczywistości. Za datę jej zgonu  
uznales dzień, w którym w końcu się z tym pogodziłes. Od razu wiedział, że trafiła w



dziesiątkę, jednak to wyjaśnienie nie poprawiło mu samopoczucia.

-Ależ na Boga, Holly, to właśnie jest szalenstwo.

-Nie - zaprzeczyła spokojnie. - To samoobrona, część tego samego mechanizmu, za pomocą którego broniłeś się w wieku dziesięciu lat.

-Ona... - ze zdumieniem skonstatował, że nie może sobie przypomnieć, na co umarła Lena Ironheart. Jeszcze jedno mgliste, puste miejsce. - Nie wiem.

-Myślę, że umarła w wiatraku.

Oderwał wzrok od grobowca, spojrzał na Holly. Poczul, jak trwoga spina mu ciało, choć nie znalazł jej przyczyny.

-W wiatraku? Jak? Co się stało? Skąd wiesz?

-Ze snu, który ci opowiadałam. Wchodzę po schodach, patrzę na staw w dole i widzę twarz innej kobiety, odbita w szybie. Twarz twojej babki.

-To tylko sen.

-Nie, sędzi, że to był obraz z pamięci, twojej pamięci. Dokonałeś projekcji w moją pamięć.

Dlaczego serce tak panicznie mu łomotało?

-Ale jak to mogło stanowić część mojej pamięci, skoro nic o tym nie wiem?

-Wiesz.

-Nie. Nie mam pojęcia.

-Zamknąłeś to na samym dnie podświadomości, tam gdzie masz dostęp tylko podczas snu, ale to tam tkwi z pewnością.

Gdyby mu powiedziała, że cały cmentarz zmontowano na karuzeli, która powoli obraca się pod posepnym niebem koloru rewolwerowej stali, łatwiej by to zaakceptował niż wspomnienia, ku którym go wiodła. Czuł się tak, jakby krecili się poprzez światło i ciemność, światło i ciemność, strach i furie...

-Ale w twoim śnie... - słowa z trudem wydobywały mu się z gardła - byłem w wyższej izbie i babcia tam przyszła.

-Tak.

-A jeżeli tam umarła...

-Byles swiadkiem jej smierci.

-Nie. - Uparcie potrzasnal glowa. - Na Boga, pamietalbym to, nie sadzisz?

-Nie. Sadze, ze potrzebowales dziewietnastu lat, zeby przyznac przed samym soba, ze umarla. Sadze, ze widziales jej smierc i przezyles szok, ktory wtracil cie w dlugotrwałą amnezje i wypelniales ja coraz nowymi, fantazjami i tylko fantazjami.

264

265

Podniosl sie lekki wietrzyk i cos zatrzeszczalo mu pod stopami. Byl przekonany, ze koscista reka jego babki wychyla sie z ziemi, zeby go dosiegnac, ale kiedy spojrzal w dol, zobaczyl jedynie zeschle liscie, ktore wiatr z szelestem przeganiał po trawie. Serce walilo mu teraz jak piesc uderzajaca w worek treningowy. Odwrocil sie od grobu, chcąc jak najszybciej znalezc sie przy wozie.

Holly polozyla mu dlon na ramieniu.

-Zaczekaj.

Wyrwal sie, prawie ja odepchnal. Spojrzal z furia i powiedzial:

-Chce sie stad wydostac.

Niezrazona, zlapala go, zatrzymala.

-Jim, gdzie jest twoj dziadek? Gdzie go pochowano?

Jim wskazal na kwatere, w ktorej spoczywala babka.

-Jest tu oczywiscie, razem z nia.

Wtedy spojrzal na lewa czesc grobowca. Byl tak mocno skupiony na prawej, na nieprawdopodobnej dacie zgonu babki, ze nie spostrzegl pewnego braku z lewej strony.

Wryto tu jak nalezy, prawdopodobnie jednoczesnie z napisem poswieconym babce - dane o dziadku: HENRY JAMES IRONHEART. I data urodzenia. Ale to wszystko. Na kamieniu nie wyzlobiono daty jego smierci.

Stalowe niebo opadalo coraz nizej.

Drzewa zblizaly sie, pochylone.

-Nie mowiles przypadkiem, ze zmarl osiem miesiecy po Lenie? - spytala Holly.

W ustach mu zaschło. Ledwo starczyło mu sliny, żeby przemówić, i słowa były bezdźwięcznym szeptem jak szelest piasku rzuconego wiatrem o pustynną skałę.

-Czego, do diabła, chcesz ode mnie? Powiedziałem ci... osiem miesięcy... dwudziestego czwartego maja, następnego roku...

-Na co umarł?

-Nie... nie... nie pamiętam.

-Chorował?

Zamknij się, zamknij się!

-Nie wiem.

-Wypadek?

-Tak... mi się tylko... wydaje... wydaje mi się, że miał atak.

Ogromne fragmenty przeszłości klebiły się niby nieprzeniknione mgielne opary.

Uswiadomił sobie teraz, że rzadko wspominał przeszłość, całkowicie pochłonięty teraźniejszością. W jego pamięci znajdowały się wielkie dziury i nie zdawał sobie sprawy, że przyczyną tego była prosta: nigdy przedtem nie próbował sobie niczego przypominać.

-Czy nie byłeś najbliższym krewnym swojego dziadka? - spytała Holly.

-Tak.

264

265

-Czy nie doglądałeś pogrzebu? Zawahał się, zamyslił.

-Chyba... tak...

-Więc zapomniałeś po prostu polecić dopisanie daty śmierci na nagrobku?

Wpatrywał się w puste miejsce na kawalku granitu, gorączkowo grzebiąc w równie pustym miejscu we własnej pamięci, niezdolny udzielić odpowiedzi. Zbierało mu się na wymioty. Marzył, żeby zwinąć się w kłębek, zamknąć oczy, zasnąć i nigdy się nie obudzić; niech ten, kto się obudzi, będzie kim innym, nie nim.

-A może pochowałeś go gdzie indziej? - spytała.

Poprzez spopielale niebo znow przewinely sie skrzeczace kosy, tnac skrzydlami na chmurach wymyslne znaki, tak samo trudne do odcyfrowania jak nieuchwytnie wspomnienia, sunace przez glebokie poklady umyslu Jima.

Holly poprowadzila samochod do Ogrodow Tivoli.

Kiedy wracali z apteki, Jim chcial pojechac na cmentarz. Z jednej strony obawial sie tego, co go tam czeka, ale z drugiej pragnal siegnac w zapomniana przeszlosc i porownac wspomnienia z prawda. Jednak wydarzenia na cmentarzu wstrzasnely nim i obecnie przestalo mu sie spieszyc do oczekujacych go kolejnych niespodzianek. Byl zadowolony, ze Holly siadla za kierownica. Podejrzewala, ze bylby jeszcze szczesliwszy, gdyby wyjechala z miasteczka, skrecila na poludnie i nigdy wiecej nie rozmawiala z nim o Svenborgu.

Park byl maly, nie prowadzila przez niego zadna droga. Zostawili samochod przy ulicy.

Holly uznala, ze park byl jeszcze mniej zachecajacy z bliska niz ogladany wczoraj z przejezdzajacego samochodu. Robil ponure wrazenie i nie mozna bylo winic za to jedynie zachmurzonego nieba. Trawa byla na wpol zeschnieta; slonce dopiekalo tu rownie mocno jak w kazdej innej dolinie centralnej Kalifornii. Nieprzycinane korzenie roz wylazily spod ziemi, pare nedznych pakow opadalo i gubilo platki na kolczastym krzewie. Inne kwiaty wygladaly na zeschle, a dwie lawki prosily sie o malowanie.

Jedynie wiatrak byl zadbany. Wiekszy i bardziej imponujacy niz jego krewniak na farmie, szesc metrow wyzszy, a w jednej trzeciej wysokosci budowle obiegal balkon.

-Dlaczego tu jestesmy? - spytala.

-Nie pytaj mnie. To ty chcialas tu przyjechac.

-Nie badz zgryzliwy, kochanie.

Wiedziala, ze naciskanie go przypominalo kopanie wiazki dynamitu, ale nie miala wyboru. Wybuchnie i tak, wczesniej czy pozniej. Dla niej jedyna szansa przezycia to zmuszenie go do uznania, ze to on jest Nieprzyjacielem, zanim tamta osobowosc przejmie nad nim calkowita kontrole. Znow czula, ze czasu jest coraz mniej.

266

267

-To ty wlaczyles to miejsce do wczorajszego programu zwiedzania. Mowiles, ze kiedys krecili tu film. - Zastanowila sie nagle. - Chwileczke, to tu widziales Roberta Vaughna? Gral w tamtym filmie? Z wyrazem zdziwienia, ktory powoli ustapil miejsca niezadowoleniu, Jim rozejrzal sie wokolo, ogladajac maly park. W koncu ruszyl w kierunku wiatraka, a ona za nim.

Przed drzwiami wiatraka stały dwie mownice z kamienia, których górne ukośne partie służyły za tablice informacyjne. Podeszli wykładana kamieniem ścieżka. Materiał informacyjny był zabezpieczony płytami z pleksi, ujętymi w wodoszczelne ramy. Tablica, przy której stanęli najpierw, zawierała informacje ogólne o używaniu wiatraków, które w dolinie Santa Ynez wykorzystywano do mielenia ziarna, pompowania wody i produkcji elektryczności od początku XIX wieku po wiek XX. Następnie prezentowano historię wiatraka, który mieli przed oczami - wiatrak z New Svenborga.

Informacje były nudne jak flaki z olejem i Holly przeszła do drugiej tablicy tylko dlatego, że nadal zachowała nieco tej zawziętości i głodu informacji, jakie uczyniły z niej znośną dziennikarkę. Tytuł na gorze natychmiast wzbudził jej zainteresowanie; brzmiał:

CZARNY WIATRAK; KSIĄZKA I FILM.

-Jim, spójrz na to. Podeszedł do niej.

Znajdowała się tam fotografia okładki powieści dla młodzieży "Czarny wiatrak", autorstwa Arthura J. Willotta. Ilustracja na okładce dokładnie wzorowała się na wiatraku z New Svenborga. Holly czytała z rosnącym zdumieniem. Willott, mieszkaniec doliny Santa Ynez - Solvanga, nie Svenborga - był popularnym autorem powieści młodzieżowych. Do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego, kiedy to umarł w wieku osiemdziesięciu lat, napisał ich w sumie pięćdziesiąt dwie. Najlepiej wytrzymała próbę czasu i osiągnęła największą popularność powieść z gatunku fantasy o nawiedzonym przez duchy starym wiatraku i chłopcu, który odkrył, że duchy były faktycznie Obcymi z innego świata i że w stawie obok wiatraka ukryto statek gwiazdny, który spoczywał tam od dziesięciu tysięcy lat.

-Nie - powiedział Jim spokojnie, ale z rosnącym gniewem - nie, to nie ma sensu, to niemożliwe.

Holly przypomniała sobie ten moment snu, w którym była Lena Ironheart i wspinała się po schodach. Kiedy dotarła na górę, zobaczyła dziesięcioletniego Jima Ironhearta, który stał z opuszczonymi rękami i zacisniętymi pięściami. Odwrócił się do niej i zawołał: "Boże się, pomóż mi, sciany, sciany!". U jego stóp paliła się żółta świeca na błękitnej podstawce. Az do tej chwili nie pamiętała, że obok podstawki leżała książka w twardych kolorowych okładkach. Ta sama okładka znajdowała się na tablicy: "Czarny wiatrak".

-Nie - powtórzył Jim i obrócił się plecami do tablicy. Rozglądał się z niepokojem po drzewach poruszanych lekkim powiewem.

266

267

Holly czytała dalej i dowiedziała się, że dwadzieścia pięć lat temu, w tym samym roku, w którym dziesięcioletni Jim Ironheart przybył do miasteczka, "Czarny wiatrak" został

sfilmowany. Wiatrak z New Svenborga posłużył za dekorację. Wytwórnia filmowa kazała wykopać dookoła niego płytki, ale dość udany staw, a następnie pokryła wszystkie koszty odnowy terenu i zapłaciła za budowę obecnego kieszonkowego parku. Obracając się w koło i spozierając z niepokojem po drzewach, krzewach w ścielącym się przy ziemi mroku, którego chmurny dzień nie potrafił rozegnać, Jim powiedział:

-Cos nadchodzi.

Holly nie czuła, żeby coś miało nadejść, i była przekonana, że Jim po prostu usiłuje odwrócić jej uwagę od tablicy. Nie chciał zaakceptować implikacji, jakie wynikały z tekstu, więc próbował ją zmusić, aby sobie poszli.

Film musiał być niewypałem, gdyż Holly nigdy o nim nie słyszała. Dzieło pewnie zrobiło furorę jedynie w Svenborgu, a nawet tutaj swą sławę zawdzięczało tylko faktowi, że było oparte na książce napisanej przez mieszkańca doliny. Ostatni akapit na tablicy informacyjnej zawierał między innymi szczegółami z metryki filmu nazwiska pięciu głównych aktorów. Nie było tam nazwisk przyciągających tłumnie publiczność kinowa. Z pierwszej czwórki rozpoznała jedynie M. Emmeta Walsha, którego akurat lubiła. Piątym członkiem obsady był młody i nieznany wtedy Robert Vaughn. Podniosła wzrok na groźnie wyglądający wiatrak.

-Co tu się dzieje? - spytała głośno. Popatrzyła na ponure niebo, a potem znów na tablicę z okładką książki Willotta. - Co tu się, do diabła, dzieje?

Głosem łamiącym się od leku, ale rozbrzmiewającym równocześnie niesamowitą tęsknotą, Jim zawołał:

-On nadchodzi!

Spojrzała w kierunku, gdzie wytrzeszczał oczy, i zobaczyła, jak po drugiej stronie małego parku grunt rusza się, jakby coś ryło tunel, wypychając metrowej wysokości garb ziemi i darni i zdążając szybko w ich kierunku.

Obrociła się błyskawicznie do Jima, chwyciła go.

-Przestan!

-On nadchodzi - powiedział, szeroko otwierając oczy.

-Jim, to tylko ty, to tylko ty.

-Nie... nie ja... to Nieprzyjaciel - mówił głosem człowieka zapadającego w trans.

Holly obejrzała się i zobaczyła, że ta istota przechodzi pod betonową ścieżką, która pękła i uniosła się w tym miejscu.

-Jim, do cholery!

Wpatruje sie w nadciągajacego morderce ze zgroza, ale tez z utesknieniem, pomyslala.

268

269

Ziemia pietrzyła sie nadal, jedna z parkowych lawek dzwignela sie, a potem zapadła. Nieprzyjaciel był tylko dwanaście metrow od nich, nadciągal szybko.

Złapala Jima za koszule, potrzasnela nim, chcąc go zmusić, żeby spojrzal na nia.

-Widzialam ten film, kiedy bylam mala. No, jak sie to nazywalo, no? Czy to nie byli "Najezdzczy z Marsa" czy cos takiego, tam gdzie Obcy buduja pulapki w piachu i wsysaja ludzi?

Obejrzała sie. To było dziesięć metrow od nich.

-To ma nas zabic, Jim? Cos, co buduje pulapki w piachu, wsysa w dol, cos z filmu, po którym dziesięcioletni chłopcy maja koszmarne sny?

Szesc metrow.

Jim pocil sie, drzał. Miala wrazenie, że nie docieraja do niego jej slowa.

-Zabijesz mnie i siebie! - krzyczala mu w twarz. - Popelnisz samobojstwo jak Larry Kakonis, wreszcie przestaniesz odgrywac twardziela i skonczysz z tym wszystkim, dasz wciagnac sie w ziemie jednemu z twoich koszmarow?!

Trzy metry. Dwa i pol.

-Jim!!!!

Dwa. Poltora metra.

Z ziemi pod ich stopami dobiegl potworny zgrzyt, szczek, gdy podniosla noge i bokiem obcasa z calej sily kopnela go w golen. Jim zakrzyknal z bolu, rownoczesnie grunt poruszyl sie pod nimi i Holly przerazona spojrzala w pekajaca ziemie. Ale drazenie ustalalo jednoczesnie z jego krzykiem. Grunt sie nie rozwarl. Nic sie nie wychylilo, nie wessalo ich.

Roztrzesiona Holly cofnela sie od rozdartej darni i spekanej ziemi, na ktorej stala.

Jim spojrzal na nia oszolomiony.

-To nie bylem ja. To niemozliwe.

Kiedy wrócili do samochodu, Jim zapadł się w siedzenie.

Holly skrzyżowała ramiona na kierownicy, złożyła na nich głowę.

Spojrzał przez boczna szybę na park. Gigantyczny kreci ślad wciąż był widoczny, a także popekany i wymieszany z ziemią chodnik. Lawka leżała na boku.

Po prostu nie mógł uwierzyć, że istota spod ziemi stanowiła tylko twór jego wyobraźni, który czerpał moc jedynie z jego umysłu. Przez całe życie panował nad sobą, wiodł spartanski żywot, w którym istniały tylko książki i praca, bez grzechu i pójazania sobie. (Poza przerazająca, wygodna skłonnością do zapomnienia, pomyślał z gorąca). W teorii Holly najcięższy do zaakceptowania był dla niego fakt, że jedynym realnym niebezpieczeństwem, jakie im grozi, jest dzika i okrutna część jego istoty, pozostająca poza świadomą kontrolą.

268

269

To już nie był normalny strach. Przestał się pocić i dygotać. Miażdżyła go pierwotna groza, w której ucisku zeszywniał jak blok suchego lodu. - To nie ja - powtórzył.

- Owszem, ty. - Jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że o mały włos jej nie zabił, Holly była zaskakująco łagodna. Nie podniosła głosu; ogromna czułość nadawała mu miękki ton.

- Dalej ekscytuje cię ta rozszczepiona osobowość - rzekł.

- Tak.

- Wciąż to była moja zła część?

- Tak.

- Która weszła w gigantycznego robaka albo coś w tym rodzaju. - Bezskutecznie usiłował zdobyć się na ton ostry, sarkastyczny. - Ale mówiłaś, że Nieprzyjaciół wdziera się w normalny świat tylko wtedy, kiedy śpisz, a ja nie spałem, więc nawet jeśli faktycznie jestem Nieprzyjacielem, to w jaki sposób mogłem zmienić się w tę istotę z parku?

- Nie ma reguł. Podświadomie stajesz się coraz bardziej zdesperowany. Nie potrafisz kontrolować tamtej osobowości tak łatwo jak poprzednio. Im jesteś bliżej prawdy, tym agresywniej Nieprzyjaciół usiłuje się bronić.

- Jeśli to byłem ja, dlaczego nie było jak zwykle słychać bicia serca Obcego?

- To zawsze był tylko teatralny dodatek, tak jak dzwonki zwiastujące pojawienie się Przyjaciela. - Uniosła głowę znad skrzyżowanych ramion i popatrzyła na niego.



-Dales sobie z tym spokoj, poniewaz nie miales czasu. Czytalam ten napis, a ty nie chciales dopuscic, zebym poznala jego tresc. To byl sposob na odwrocenie mojej uwagi.

Musze przyznac, kochany, ze przerosles samego siebie.

Spojrzal jeszcze raz na wiatrak i tablice z informacjami o "Czarnym wiatraku".

-Po smierci rodzicow wpadles w bezdenna rozpacz. Chciales w cos uciec. Jest jasne, ze pisarz Arthur Willott otworzyl przed toba swiat fantazji, ktory idealnie zaspokajal twoje potrzeby. W takim czy innym stopniu zyles w nim az do dzis.

Nie chcial sie przyznac przed nia, ale musial uczynic to przed samym soba: jak slepiec wymacywal sobie droge ku zrozumieniu. Byl o krok od ujrzenia swej przeszlosci z nowej perspektywy, z ktorej wszystkie tajemnicze linie i zalamania uformuja nowy i zrozumialy ksztalt. Jezeli wybiorcza amnezja, przemyslnie skonstruowane, falszywe wspomnienia, a nawet mnogosc osobowosci to nie bylo szalenstwo, ale jedynie klamry, ktorych sie czepial, aby utrzymywac sie na scianie psychicznego zdrowia - jak twierdzila Holly - to co nastapi, kiedy je pusci? Jezeli dokopie sie prawdy o przeszlosci, spojrz w twarz temu, czemu nie chcial spojrzec, bedac dzieckiem uciekajacym w swiat fantazji, czy prawda nie spowoduje, ze tym razem wlasnie oszaleje? Przed czym uciekal?

-Posluchaj - powiedziala - najwazniejsze, ze zatrzasnales przed nim drzwi, zanim do nas dotarlo, zanim nas skrzywdzilo.

270

271

-Noga boli mnie jak wszyscy diabli - powiedzial, krzywiac sie.-Wspaniale - ucieszyla sie.

Wlaczyla silnik.

-Gdzie teraz jedziemy? - spytal.

-A jak sadzisz? Do biblioteki.

Holly zaparkowala przy malym wiktorskim domu.

Byla zadowolona, ze rece sie jej nie trzesly, ze glos miala spokojny i mogla prowadzic samochod z Ogradow Tivoli, nie objajac sie od kraweznika do kraweznika. Jej emocje w parku zostaly zredukowane do uczucia nagiej grozy - czystej, intensywnej, pozbawionej jakichkolwiek domieszek. Teraz groza opadala, ale Holly wiedziala, ze nie otrzasnie sie z niej, dopoki nie wydobeda sie z gestwiny tego starego lasu, pelnego zjaw - lub nie zgina. Zdecydowala nie ujawniac w pelni swego leku przed Jimem. On dopiero cierpial. Oto jego zycie okazywalo sie zbiorem nedznych klamstw. Musiala byc mu podpora.

Kiedy razem podchodzili frontowa ścieżka ku werandzie (Jim kulejąc), złapała się na tym, że przypatruje się bacznie trawnikowi, jakby spodziewała się, że coś zacznie ryc pod ziemią w ich kierunku. Lepiej nie próbuj, pomyślała, albo kopnę cię w drugi gołen.

Ale kiedy mijali drzwi, już zwątpiła, czy wstrząs wywołany bólem poskutkowałby jeszcze raz.

W wyłożonym boazeria foyer wisiała informacja: LITERATURA FAKTU PIERWSZE PIETRO. Strzałka wskazywała klatkę schodową na prawo.

Foyer zewzowało się w korytarz, do którego przylegały dwa przestronne pokoje.

Obydwa wypełniały polki z książkami. Pomieszczenie na prawo mieściło także stoły i duże, debowe biurko.

Kobieta za biurkiem stanowiła doskonałą reklamę wiejskiego stylu życia: cera bez skazy, bogato połyskujące kasztanowe włosy, jasne, piwne oczy. Wyglądała na trzydziści pięć lat, ale prawdopodobnie miała tużin więcej.

Wizytówka przed nią glosiła: ELOISE GLYNN.

Wczoraj, kiedy Holly zapragnęła wejść do biblioteki, żeby dowiedzieć się, czy zostanie uwielbiana pani Glynn, Jim z naciskiem powiedział, że ona przeszła na emeryturę, że dwadzieścia pięć lat temu nie była młoda. W rzeczywistości musiała wtedy dopiero co ukończyć college i rozpoczynała pierwszą pracę.

W porównaniu z poprzednimi odkryciami to stanowiło jedynie drobną niespodziankę. Wczoraj Jim nie chciał, żeby Holly weszła do biblioteki, więc po prostu skłamał. A obecnie z wyrazu jego twarzy można było się zorientować, że nie jest wcale zaskoczony wiekiem Eloise Glynn; wczoraj wiedział, że nie mówi prawdy, choć może nie rozumiał, dlaczego kłamał.

270

271

Bibliotekarka nie rozpoznała Jima. Albo należał do tych dzieciaków, które nie rzucają się w oczy, albo - co bardziej prawdopodobne - mówił prawdę, kiedy twierdził, że nie zjawiał się w bibliotece przez osiemnast lat, od chwili skończenia college'u. Eloise Glynn promieniowała energią typową dla kierowniczkę dziewczęcej drużyny sportowej, Holly zapamiętała ten typ z liceum.

-Willott? - odpowiedziała na pytanie Holly. - Och, tak, mamy ciężarówkę Willottów.

Rzesko wyskoczyła z fotela.

-Pokaze wam dokladnie, gdzie jest. - Energicznie obeszla biurko i przeprowadzila Holly i Jima przez korytarz do drugiego obszernego pokoju.

-Byl tutejszy, o czym na pewno wiecie. Umarl dziesiec lat temu, ale dwie trzecie jego ksiazek nadal drukuja. - Stanela przed dzialem literatury mlodziejowej i szerokim gestem reki wskazala dwie wysokie na metr polki wypelnione powiesciami Willotta.

-Z tego Artie Willotta byl plodny pisarz. Tak pracowity, ze bobry chylily glowy ze wstydu, kiedy sie pojawial.

Usmiechnela sie zarazliwie. Holly odpowiedzila usmiechem i powiedzila:

-Szukamy "Czarnego wiatraka".

-To jedna z jego najpopularniejszych powiesci, wszystkie dzieci za tym szaleja.

-Pani Glynn zdjela ksiazke z polki prawie na slepo i wreczyla ja Holly. - To dla waszego dziecka?

-Tak naprawde to dla mnie. Czytalam o niej na tablicy informacyjnej w Ogrodach Tivoli.

-Ja czytalem te ksiazke - powiedzial Jim. - Ale ona chciala ja przejrzec.

Powrocili do glownej sali. Siedli przy stole najbardziej oddalonym od biurka. Polozyli ksiazke przed soba i zabrali sie do czytania pierwszych rozdzialow.

Ciagle go dotykala pieszczotliwie - dlon, ramie, kolano. W jakis sposob musiala utrzymac go w calosci tak dlugo, az dowie sie prawdy i zostanie uleczony - a jedyne spoiwo, ktorym dysponowala, stanowila milosc. Byla przekonana, ze kazdy przejaw uczucia, kazde dotkniecie, usmiech, czule spojrzenie czy slowo to czynnik spajajacy, który chroni go przed kompletnym rozpadem.

Dobrze napisana powiesc wciagala. Ale to, co ujawniala na temat zycia Jima Ironhearta, bylo tak zdumiewajace, ze Holly zaczela przeskakiwac fragmenty tekstu, czytac szeptem Jimowi wyjatki, goraczkowo poszukujac nastepnych rewelacji.

Glowna postac nazywala sie Jim, nie Ironheart, ale Jamison. Jim Jamison mieszkal na farmie, na ktorej znajdowal sie staw i stary wiatrak. Wiatrak podobno nawiedzaly duchy, ale przezywszy wiele zatrwazajacych zdarzen, Jim odkrywa, ze to nie duchy pojawiaja sie w wiatraku, lecz Obcy, który zamieszkuje statek gwiazdny ukryty w stawie.

Przybywal do Jima pod postacią lagodnego światła, jakie promieniowało z wnętrza

scian. Obcy komunikował się z Jimem za pomocą dwóch złotych bloków do notatek - na jednym Jim zadawał pytania, na drugim odpowiadał Obcy. Odpowiedzi pojawiały się w magiczny sposób. Zgodnie z tym, co przekazywała pozaziemska istota, stanowiła ona być składający się z czystej energii i znalazła się na Ziemi, aby "OBSERWOWAC, BADAC, WSPOMAGAC LUDZKOSC". Nazywała siebie PRZYJACIELEM. Zakładając to miejsce palcem, Holly przekartkowała resztę książki, ciekawa, czy Przyjaciel do samego końca będzie używał do porozumiewania się dziwnych bloków. W opowieści, z której Jim Ironheart wywodził swój fantastyczny świat, Obcy nie odezwał się nigdy.

-To dlatego wątpię, czy twój Obcy przemówi, i dlatego sprzeciwiałeś się odrzuceniu systemu z blokami.

Jim przestał już wątpić. Wpatrywał się w książkę z zachwytem.

Jego reakcja dodała Holly otuchy. Na cmentarzu był w stanie takiego zalamania, jego oczy miały tak zimny i ponury wyraz, że zwątpiła, czy zdoła skierować swoją fenomenalną potęgę do wewnątrz i uleczyć siebie. A w parku przez jeden potworny moment pomyślała, że jego zdrowa otoczka trzasnie i uwolni szalenczą zawartość. Ale i wtedy udało mu się zapanować nad rozpadem swego "ja", a teraz ciekawość pokonywała w nim lek.

Pani Glynn poszła ustawiać książki na półkach. Nie pojawił się żaden żaden lektury bywalec biblioteczny.

Holly powróciła do książki, przerzucając kartki. W środku opowieści, tuż po tym, jak Jim Jamison i Obcy spotkali się po raz drugi, E.T. wyjaśniło, że jest istota żyjąca "WE WSZYSTKICH PRZEDZIAŁACH CZASU", może widzieć przyszłość, i chciało uratować życie człowieka, któremu przeznaczone było umrzeć.

-Niech mnie szlag trafi - powiedział cicho Jim.

Bez ostrzeżenia w wyobraźni Holly pojawiła się wizja tak silna i dokładna, że biblioteka na moment zniknęła i istniał tylko jej wewnętrzny świat: ujrzała siebie naga, przybita gwoździami do ściany, w ohydnej parodii ukrzyżowania, krew gwałtownie płynęła jej z rąk i stóp (głos szeptem: nie żyjesz, nie żyjesz, nie żyjesz), otworzyła usta do krzyku, ale zamiast dźwięku spomiędzy warg wypelzły karaluchy i uświadomiła sobie, że już nie żyje (nie żyjesz, nie żyjesz, nie żyjesz), w jej zgnitych wnętrznościach mrowi się zaraza i robactwo...

Nienawistna fantasmagoria znikła z ekranu jej umysłu tak szybko, jak się pojawiła i Holly, drgnawszy, błyskawicznie powróciła do biblioteki.

-Holly? - Jim patrzył na nią z niepokojem.

To część jego istoty przesłała jej te wizje, bez dwóch zdań. Ale ten Jim, który na nią spoglądał, nie był Jimem, który to zrobił. Mroczne dziecko wewnątrz niego, Nieprzyjaciel, pełen nienawiści i żądzy mordy, nacierał na nią z nową bronią.

-W porzadku. Czuje sie dobrze - powiedziala. Ale nie czula sie dobrze. Czula mdlosci i oszolomienie.

Usilowala powtornie skupic sie na "Czarnym wiatraku".

Czlowiek, ktorego Jim mial uratowac, wyjasnial Przyjaciel, kandydat do urzedu prezydenta Stanow Zjednoczonych, wktrotce bedzie przejezdzal przez rodzinne miasteczko Jima i ma tam zostac zamordowany. Ale Obcy chcial, aby byl, gdyz "BEDZIE WIELKIM

MEZEM STANU I OREDOWNIKIEM POKOJU. URATUJE SWIAT PRZED WIELKA

WOJNA". Poniewaz Przyjaciel wolal zachowac w tajemnicy swoja obecosc na Ziemi, chcial udaremnic zamach poprzez Jima: "TY PRZEDLUZYSZ JEGO LINIE ZYCIA,

JIM".

W powiesci nie wystepowal zly Obcy. Nieprzyjaciel byl wylacznie dodatkiem stworzonym przez Jima, ucielesnieniem jego furii i nienawisci do samego siebie, ktorego musial wyprzec ze swej swiadomosci - i wypuscic spod kontroli. Trzaskiem wyladowan przez ekran jazni Holly przemknela nastepna wizja, tak intensywna, ze starla znow obraz realnego swiata: lezala w trumnie, martwa, ale w jakis sposob wladala wszystkim zmyslami; czula, jak w jej wnetrzu klebi sie robactwo, czula koszmarny smrod wlasnego rozkladajacego sie ciala, widziala swa zgnila twarz w pokrywie trumny jakby oswietlonej i wyslanej zwierciadlem. Podniosla szkielet dloni i uderzyla w pokrywe, slyszala, jak echo zabebnilo w ubitej nad nia ziemi...

Znow biblioteka.

-Holly, na milosc boska, co sie dzieje?

-Nic.

-Holly?

-Nic - powtorzyla, czujac, ze byloby bledem przyznac sie, iz to Nieprzyjaciel tlucze sie wewnatrz niej.

Skonczyla przerzucac "Czarny wiatrak".

W finale powiesci, kiedy Jim uratowal przyszlego prezydenta, Przyjaciel pograza sie w lagodna ton stawu, nakazujac Jimowi, aby zapomnial, ze kiedykolwiek sie spotkali i pamietal jedynie, ze uratowal polityka z wlasnej inicjatywy. Jesli stlumione wspomnienie

kiedykolwiek przebije sie do swiadomosci, ma wspomnac Obcego: "TYLKO JAKO SEN, ISTOTE WYSNIONA". Kiedy swiatlo Obcego zgaslo w scianie po raz ostatni, wiadomosci na bloku znikly, nie pozostal slad kontaktu.

Holly zamknela ksiazke.

Siedzieli, wpatrujac sie w okladke.

Wokol nich spoczywalo tysiace chwil i miejsc, ludzie i swiaty, od Marsa poprzez Egipt do okregu Yoknapatawpha, uwieziane w okladkach ksiazek, jak blask jest uwieziony pod zmatowiala powloka mosieznej lampy. Holly niemal czula, jak niecierpliwia sie, by oszolomic czytelnika juz na pierwszej stronie, ozyc bogatymi kolorami, ostrymi woniami, wspanialymi aromatami, smiechem, lkaniem, krzykiem i szeptem. Ksiazki byly pelne snow.

274

275

-Sny otwieraja drzwi - powiedziala Jimowi - a opowiesc zawarta w kazdej ksiazce jest rodzajem snu. Poprzez sen Arthura Willotta o kontakcie z Obcym i przygodzie znalazles drzwi, ktorymi wyszedles ze stanu rozpaczy, uciekles przed przygniatajacym poczuciem winy, ze zawiodles matke i ojca. Byl nieustannie blady, od kiedy pokazala mu blok z odpowiedziami Przyjaciela. ON CIE KOCHA HOLLY ON CIE ZABIJE HOLLY. Teraz drobny rumieniec powrocil mu na policzki. W jego oczach nadal tlil sie lek, a niepokoj trwal przy nim jak cienie przy nocy, ale wydawalo sie, ze stopniowo zaczyna pojmovac te wszystkie klamstwa, ktore zadecydowaly o jego zyciu.

I to wlasnie przerazalo w nim Nieprzyjaciela, zmuszalo do desperackich poczynan.

Pani Glynn wrocila od polek. Pracowala przy biurku.

-Ale dlaczego mialbys winic siebie za wypadek drogowy, w ktorym zgineli? - zastanawiala sie Holly, zniczajac glos. - I jak dzieciak w tym wieku moze miec tak niezwykle silne poczucie odpowiedzialnosc?

Potrzasnal glowa.

-Nie wiem.

Przypomniawszy sobie, co mowil jej Corbett Handahl, Holly polozyla reke na kolanie Jima.

-Pomysl, kochany. Czy wypadek nastapil wtedy, kiedy byli w objezdzie z tym numerem "cuda umyslu"?

Skinal glowa.

Fotografia jego matki w błyszczącej sukni, Jima i jego ojca w smokingach...

Powiedziała:

-Uczestniczyłeś w tym numerze.

Było widać, że budzi się w nim część wspomnień, jak kregi światła budziły się w stawie. Gra uczuć na twarzy nie mogła być udawana; był autentycznie zaskoczony, że wynurza się ze świata ciemności.

Holly poczuła, jak w niej również budzi się podniecenie.

-Co robiłeś w tym numerze?

-To był numer... z magią. Mama zbierała przedmioty od ludzi na widowni. Tata był ze mną i my... ja brałem przedmioty do ręki i udawałem, że mam widzenia. Mówiłem ludziom rzeczy, których nie mogłem wiedzieć.

-Udawales?

Zamrugaj.

-Może nie. To dziwne... jak mało pamiętam, nawet jak się wysiłam, żeby sobie przypomnieć.

-To nie było oszustwo. Robiłeś to uczciwie. To dlatego twoi rodzice przygotowali ten numer. Naprawdę byłeś niezwykłym dzieckiem.

274

275

Bebnął palcami po bibliotecznej okładce "Czarnego wiatraka".-Ale...

-Ale?

-Jest tyle rzeczy, których nie rozumiem...

-Och, ja też, skarbie. Ale jesteśmy coraz bliżej i muszę wierzyć, że to dobry znak.

Cien, jakby ślad z wewnątrz, przeleciał mu po twarzy.

-Chodź - powiedziała Holly i nie chciała, żeby powtórnie popadł w ponury nastrój, wzięła książkę i podeszła do biurka bibliotekarki. Jim ruszył za nią.

Ruchliwa pani Glynn malowała afisz, używając kredek i pisaków. Były tam dobrze

zakomponowane rysunki chłopców i dziewcząt w strojach kosmonautów, grotolazów, marynarzy, akrobatów i badaczy dżungli. Napis był gotowy, ale jeszcze nie pokolorowany: TU JEST BIBLIOTEKA. WITAMY DZIECI I POSZUKIWACZY PRZYGOD.

WSZYSTKIM INNYM WSTEP WZBRONIONY!

-Ladny - pochwaliła szczerze Holly, wskazując na afisz, - Naprawdę wkłada pani w to serce.-Dzięki temu nie przesiadują w barach - odparła pani Glynn z uśmiechem, który wyjaśniał, dlaczego każde dziecko ją lubiło.

-Mój narzeczony bardzo pana wychwalał. Może po dwudziestu pięciu latach pani go sobie nie przypomina.

Pani Glynn spojrzała na Jima z namysłem.

-Jestem Jim Ironheart, pani Glynn - powiedział.

-Oczywiście, że cie pamiętam! Byłeś najbardziej niezwykłym chłopczykiem.

-Wstała zza biurka i kazała się uściskać. Wypuszczając Jima z objęć, zwróciła się do Holly:

-Więc pani będzie żoną mojego Jima. To cudownie! Jak na tak małe miasteczko wiele dzieci przewinęło się tu od czasu, gdy prowadzę tę bibliotekę i nie mogę udawać, że zapamiętałam wszystkie. Ale Jim to wyjątek. Był z niego zupełnie wyjątkowy chłopiec.

Holly usłyszała znów, że miał nienasycony apetyt na książki fantastyki, jak był niezwykle milczący w trakcie pierwszego roku pobytu w mieście i jak stał się zupełnie niemową w drugim roku, po nagłej śmierci babki.

Holly uchwyciła nadarżającą się okazję:

-Wie pani, pani Glynn, Jim przywiózł mnie tu między innymi po to, żebyśmy zdecydowali, czy spodoba nam się życie na farmie, przynajmniej na jakiś czas...

-To miłsze miasteczko, niż się wydaje - rzekła pani Glynn. - Doskonale się pani tu poczuje, gwarantuję. Ale, ale, pozwólcie, że wypiszę wam karty biblioteczne!

Siadła i wyciągnęła szufladę biurka.

276

277

Kiedy bibliotekarka wyjmowała z szuflady dwie karty i brała do ręki pióro, Holly odezwała się:-Coż, chodzi o to, że... z tym miejscem Jim wiąże tyle samo dobrych wspomnień co złych, a najgorsze to śmierć Leny.



-I problem polega na tym - podjal Jim - ze mialem zaledwie dziesiec lat, jak ona umarla - no, prawie jedenascie - i chyba jakos zmusilem sie, aby zapomniec, co sie wtedy stalo. Nie kojarze dokladnie szczegolow tego, jak umarla, i zastanawialem sie, czy pani mnie pamietala...

Holly uznala, ze moze jednak bylby z niego jakis dziennikarz.

-Trudno, zebym przypominala sobie jakies szczegoly - powiedziala pani Glynn.

-I sadze, ze nikt nigdy nie dowie sie, co robila w tym starym wiatraku w srodku nocy.

Henry, twoj dziadek, mowil, ze czasem chodzila tam, zeby po prostu odetchnac od wszystkiego. Bylo tam chlodno i spokojnie, mogla sobie porobic na drutach i troche porozmyslac. I oczywiscie wtedy nie byla to taka ruina jak dzis. Choc... to dziwne, ze zajmowala sie tam robota na drutach o drugiej w nocy.

Kiedy bibliotekarka przypomniała sobie, co mogła, o smierci Leny, potwierdzajac fakt, ze sen Holly byl w istocie czescia wspomnien Jima, Holly poczula jednoczesnie lek i mdlosci. Eloise Glynn nie miala pojecia - i chyba nikt nie mial - ze Lena nie byla w wiatraku sama.

Jim byl tam rowniez.

I tylko Jim wyszedl z niego zywy.

Holly zerknela na niego i zobaczyla, ze znowu cala krew odplynela mu z twarzy.

Teraz byl nie tylko blad. Byl szary jak niebo za oknem.

Pani Glyn zazadala od Holly prawa jazdy do uzupelnienia danych w karcie bibliotecznej i Holly przedstawila dokument, chociaz nie miala zamiaru sie wpisywac.

-Jim, mysle, ze ksiazki bardziej niz wszystko inne pomogly ci zniesc ten caly bol i te strate. Bardzo zamknales sie w sobie, czytales i czytales i chyba swiat fantazji stal sie dla ciebie rodzajem srodka przeciwbolowego. - Pani Glynn podala Holly prawo jazdy i karte biblioteczna. - Jim byl niesamowicie inteligentnym chlopcem. Potrafil wnknac calkowicie w ksiazke, tak ze stawala sie dla niego czymys prawdziwym.

Taak, pomyslala Holly, zawsze mu sie to udawalo.

-Kiedy pojawil sie w miescie i dowiedzialam sie, iz nigdy nie chodzil do prawdziwej szkoly i rodzice sami go uczyli, pomyslalam, ze to po prostu koszmarne, zwlaszcza ze caly czas musieli podrozowac z tym ich numerem po nocnych klubach...

Holly przypomniała sobie rzad fotografii na scianie gabinetu Jima w Laguna Niguel:

Miami, Atlantic City, Nowy Jork, Londyn, Chicago, Las Vegas... - ...ale faktycznie odwalili

kawalek cudownej roboty. Przynajmniej zrobili z niego milosnika ksiazek i bardzo mu sie to pozniej przydalo. - Zwrocila sie do Jima:

276

277

-Podejrzewam, ze nie spytales dziadka o powod smierci Leny, bo pomyslales, ze to by go zdenerwowalo. Ale wydaje mi sie, ze jego stan jest lepszy, niz sobie wyobrazasz, i przeciez musi wiedziec o tym wiecej niz ktokolwiek inny. Pani Glynn zwrocila sie do Holly:

-Czy cos sie stalo, kochanie?

Holly uswiadomila sobie, ze stoi z niebieska karta biblioteczna w rece, zamarla jak pomnik, jak jeden z tych czekajacych-na-reanimacje ludzi ze swiata ksiazek z polek w bibliotece. Przez chwile nie mogla wydobyć z siebie glosu.

Jim tym razem byl zbyt oszolomiony, aby przejac pilke. Jego dziadek zyl. Ale gdzie?

-Nie - rzekla wreszcie Holly - nic, wszystko w porzadku. Tylko pomyslam, ze robi sie pozno...

Trzask wyladowan, wizja: jej odrabana, strzaskana, krzyczaca glowa, jej zmasakrowane dlonie pelzna pajakowato po podlodze, jej zdekapitowany tulow drga i wije sie w agonii; pocieta na kawalki, ale zywa, szalenczo zywa, w jarzmie grozy nie do wytrzymania.

Chrzaknela, spojrzala na pania Glynn, ktora wpatrywala sie w nia z ciekawoscia.

-Tak, hmm, rzeczywiscie jest juz pozno. I mamy zobaczyc sie z Henrym przed lunchem. Juz dziesiata. Pierwszy raz sie z nim spotkam - belkotala nieprzerwanie.

-Bardzo sie na to ciesze.

Chyba ze naprawde umarl ponad cztery lata temu, jak Jim jej opowiadal; wtedy spotkanie nie nalezaloby do przyjemnosci. Ale pani Glynn nie wygladala na spirytystke, ktora rzucalaby propozycje spotkania sie z umarłym na milej pogawedce.

-To mily czlowiek - powiedziala Eloise Glynn. - Wyobrazam sobie, ile musialo go kosztowac opuszczenie farmy po tym ataku, ale moze sie cieszyc, ze na tym sie skonczylo. Moja matke, niech Pan czuwa nad jej dusza, po wylewie sparalizowalo, oslepla na jedno oko i tak jej sie pomieszalo, ze nie zawsze potrafila rozeznac sie we wlasnych dzieciach. Biedny Henry, jak slyszalam, zachowal trzewosc umyslu. Potrafi mowic i podobno wodzi rej wsrod tego calego towarzystwa na wozkach w Fair Haven.

-Tak - wydukal Jim glosem tak drewnianym jak glos zegarowej kukulki - tak slyszalem.

-Fair Haven to takie mile miejsce - powiedziała pani Glynn. - Ladnie z twojej strony, Jim, ze go tam umiesciles. W dzisiejszych czasach wiele domow opieki przypomina legowisko zmij, tam jest zupełnie inaczej.

Znalezli adres Fair Haven na zoltych kartkach ksiazki w budce telefonicznej. Miescilo sie nadbrzezach Solvanga. Holly pojechala w kierunku poludniowym i potem na zachod, w poprzek doliny.

278

279

-Pamietam, ze mial wylew - mowil Jim. - Przyjechalem z okregu Orange i odwiedzilem go w szpitalu. Lezal na oddziale intensywnej opieki. Nie widzialem... nie widzialem go przez trzynascie lat albo wiecej.Holly to zaskoczylo i jej spojrzenie wzбудzilo w Jimie goraca fale zawstydzienia.

-Nie widziales wlasnego dziadka przez trzynascie lat?

-Mialem powod...

-Jaki?

Wpatrywal sie przez moment w droge, a z gardla wydarl mu sie jek rozgoryczenia.

-Nie wiem. Mialem powod, ale go nie pamietam. W kazdym razie przyjechalem, kiedy mial wylew i umieral w szpitalu. I, do cholery, pamietam go umarlego.

-Pamietasz wyraznie?

-Tak.

-Pamietasz go lezacego na szpitalnym lozku, plaskie wykresy na monitorach?

Wzdrygnal sie.

-Nie.

-Pamietasz, jak lekarz mowi ci, ze odszedl?

-Nie.

-Pamietasz, jak robisz przygotowania do pogrzebu?

-Nie.

-No to co mówisz, że wyraźnie pamiętasz, jak umarł?

Jim przez chwilę siedział zasepiony, podczas gdy Holly szybko prowadziła forda po kretych drogach pomiędzy łagodnymi wzgórzami, na których stały porozrzucane domy, mijając białe ogrodzenia pastwisk dla koni, zielonych jak obrazki Kentucky. Tutaj roślinność była bujniejsza niż wokół Svenborga. Ale niebo z niebiesko-czarnymi bliznami w chmurach stawało się bardziej mroczne i szare.

-Kiedy teraz na to patrzę, to nie jest wyraźne... - odezwał się w końcu. - Tylko zatarte obrazy... nie prawdziwe wspomnienie.

-Placisz za utrzymanie Henry'ego w Fair Haven?

-Nie.

-Odziedziczyłeś jego posiadłość?

-Jak mogłem odziedziczyć, skoro on żyje?

-Więc opiekujesz się posiadłością?

Już chciał zaprzeczyć, kiedy nagle przypomniał sobie salę rozpraw, sędziego.

Oświadczenie lekarza. Adwokata dziadka, który na życzenie starszego pana zeznał, że jest on w pełni władz umysłowych i wyraża życzenie, aby wnuk zajął się jego posiadłością.

-Wielkie nieba, tak - powiedział Jim, zaszokowany odkryciem, że zapomniał nie tylko wydarzenia z odległej przeszłości, ale zaledwie sprzed czterech lat.

278

279

Kiedy Holly wyprzedzała rozklekotana ciężarówkę i przyspieszała na prostym odcinku drogi, Jim opowiedział, co sobie właśnie przypomniał, nie ukrywając, jak niejasny był ten obraz. - Jak to się dzieje? W jaki sposób tworze sobie całkowicie nową przeszłość, taką, która mi odpowiada?

-Samoobrona - wyjaśniła raz jeszcze. Wyprzedziła ciężarówkę i zjechała na prawo.

-Założę się, że pamiętasz niezwykle dużo szczegółów z pracy w szkole, uczniów z różnych lat, kolegów, którzy uczyli się razem z tobą...

To była prawda. Kiedy mówiła, cofał się pamięć, gdzie chciał, we wszystkie lata spędzone w klasie. Tysiące dni tak żywo odmalowanych, jakby wydarzyły się wczoraj. - ...ponieważ tamto życie nie niosło ci zagrożenia, miało cel i było wypełnione spokojem. To, co

zapomniales, co nieustannie spychasz w najglebsze studnie pamieci, ma zwiazek ze smiercia rodzicow, smiercia Leny Ironheart i latami pobytu w Svenborgu.

Henry Ironheart jest tego czescia, wiec stale usuwasz go z pamieci.

Niebo wygladalo jak posiniaczone.

Zobaczyl, jak kosy koluja w chmurach. Bylo ich wiecej niz na cmentarzu. Cztery, szesc, osiem. Lecialy rownolegle do samochodu, zmierzajac za nimi do Solvanga.

Dziwne. Przypomnial sobie sen, jaki obudzil go tego ranka, kiedy polecial do Portland uratowac Billy'ego Jenkinsa i spotkal Holly. We snie stado wielkich czarnych kosow skrzeczalo wokol niego, oguszajaco trzepotalo skrzydlami, cielo dziobami ostrymi jak chirurgiczne skalpele.

-Najgorsze przed nami - powiedzial.

-O co ci chodzi?

-Nie wiem.

-Masz na mysli to, czego dowiemy sie w Fair Haven?

Kosy powyzej plynely w wysokich zimnych pradach powietrza.

-Zbliza sie cos bardzo mrocznego - ostrzegl Jim; nie wiedzial, co dokladnie ma to oznaczac.

2

Fair Haven to byl duzy jednopietrowy budynek bez sladu dunskiej architektury. Typowy obiekt funkcjonalny: kremowe tynki, dach z betonowych plyt, gladkie sciany pozbawione zdobien. Ale byl swiezo pomalowany i zadbany, zywoploty porzadnie obcieto, trawniki niedawno przystrzyzono, a chodniki lsnily czystoscia.

Holly sie tu podobalo. Wyobrazila sobie, ze mieszka tu, dobijajac osiemdziesiatki, ogladajac codziennie TV, grajac od czasu do czasu w szachy, martwiac sie najwyzej o to, gdzie wczoraj wieczor zapodziala sztuczna szczeke.

280

281

Wewnatrz korytarze byly szerokie i przewietrzone, podlogi z zoltych plytek. Inaczej niz w niektórych domach opieki powietrza nie przesycaly odory, jakie roztaczaliby niesprawni pensjonariusze, pozbawieni opieki, ani nie bila w nozdrza ciezka won dezodorantow, majaca wyeliminowac lub zamaskowac smrod. Pokoje, ktore mijali, wygladaly atrakcyjnie. Wielkie

okna wychodziły na dolinę lub na ogród w podwórzu. Niektórzy pacjenci, z nieobecny­m spojrzeniem i smutkiem na twarzach, leżeli w łózkach, inni tkwili w wózkach inwalidzkich. Ale były to nieszczęsne ofiary poważnych ataków lub choroby Alzheimera w rozwiniętym stadium, pogrążeni we wspomnieniach lub rozpacz, przeważnie niemający kontaktu z otaczającym światem. Wszyscy inni wyglądali na zadowolonych, slychac było nawet śmiechy, rzadkość w takich miejscach. Zgodnie z tym, co twierdziła dyżurna w pokoju pielęgniarek, Henry Ironheart był mieszkancem Fair Haven od przeszło czterech lat.

Pani Danforth, administratorka, do której biura ich wprowadzono, podjęła te prace, kiedy Henry Ironheart był już pensjonariuszem zakładu. Była tegawa, uprzejma i miała nieszkodliwy wygląd zadowolonej z siebie żony pastora w dobrze prosperującej parafii.

Nie mogła pojąć, dlaczego chcieli sprawdzić coś, co Jimowi było wiadome, zadrzała jednak do akt i potwierdziła, że faktycznie, miesięczny rachunek Henry'ego Ironhearta był zawsze regulowany czekiem, wysyłanym z Laguna Niguel przez Jamesa Ironhearta.

-Ciesz się, że w końcu pan przyjechał i mam nadzieję, że będzie się pan tu dobrze czuł - rzekła pani Danforth, łagodnie strofując go za zbyt rzadkie odwiedziny u dziadka i równocześnie nie chcąc go urazić.

Wyszli od administratorki i stanęli w kacie głównego hallu, z dala od krzątającej się pielęgniarek i przywiązanych do wózków pacjentów.

-Nie dam rady tak zwyczajnie do niego podejść - upierał się Jim. - Nie po takim czasie. Czuję się... cały żołądek mam ścisnięty. Holly, ja się go boję.

-Dlaczego?

-Nie jestem pewien.

Nie potrafiła spojrzeć w jego oczy, gdyż wypełniała ją rozpacz granicząca z paniką i niepokojem.

-Czy kiedykolwiek cię skrzywdził, kiedy byłeś mały?

-Nie sędzę. - Usiłował dojrzeć coś w chmurach, jakie zasłaniały mu pamięć, ale po chwili potrzaskał głową. - Nie wiem.

Holly lekko się zostawić Jima samego i usiłowała go namówić, żeby razem podeszli do starszego pana. Ale on upierał się, żeby udała się do niego sama.

-Wypytaj go najpierw o to, co nam jest potrzebne. Kiedy ja przyjdę, nie będziemy musieli zostawać dłużej... gdyby spotkanie źle wypadło, było dziwnie, nieprzyjemnie.

Przygotuj go na moje zjawienie się, Holly. Proszę.

Ponieważ był gotów uciec, jeśli nie postąpi zgodnie z jego życzeniem, Holly w końcu się zgodziła. Ale gdy obserwowała, jak wychodzi na podwórze, gdzie miał zaczekać, załowała, że nie ma go w zasięgu wzroku. Jeżeli znowu straci kontrolę nad sobą, a Nieprzyjaciel zacznie się uaktywniać, nie będzie z nim nikogo, kto doda mu odwagi i zapobiegnie masakrze. Okazało się, że Henry'ego Ironhearta nie ma w pokoju i uprzejma pielęgniarka dopomogła Holly go odnaleźć, wskazując pana przy stoliku karcianym w pełnej radośnego gwaru świetlicy. Po drugiej stronie pomieszczenia kilku pensjonariuszy oglądało telewizję.

Henry wraz z przyjaciółmi grał w pokera. Siedzieli we czwórce przy stole zaprojektowanym dla osób na wózkach inwalidzkich. Żadne z nich nie miało na sobie stroju zwykle spotykanego w domach opieki, w rodzaju pizamy czy dresu. Poza Henrym siedziało tu dwóch watałkich starszych panów - jeden w luźnych spodniach i czerwonej koszulce polo; drugi w podobnych spodniach i białej koszuli z muszką - i kobieta o ptasiej twarzy oraz śnieżnobiałych włosach, ubrana w spodnie i obcisła bluzkę. Trwała zająca licytacja, w banku spoczywała pokazna kupka niebieskich plastikowych sztonów, więc Holly czekała z boku, nie chcąc przeszkadzać. W pewnej chwili, zdradzając zamiłowanie do dramatycznych efektów, jeden po drugim wyłożyli karty. Kobieta - miała na imię ?elma - wydała okrzyk zachwytu i wśród teatralnych przechwalek zgarnęła wygraną, podczas gdy mężczyźni zartobliwie kwestionowali jej uczciwość.

W końcu Holly przerwała im zabawę. Przedstawiła się Henry'emu Ironheartowi, nie ujawniając swego związku z Jimem.

-Jeśli można, chciałabym zamienić z panem kilka słów.

-Jezu, Henry - odezwał się mężczyzna w polo - ona jest dwa razy od ciebie młodsza!

-Zawsze był z niego stary perwers - powiedział facet z muszką.

-Och, Stewart, przestan, i to zaraz - wtraciła się ?elma, zwracając się do pana z muszką. - Henry był dżentelmenem przez całe życie.

-Jezu, Henry, jak nic będziesz żonaty, i to jeszcze dziś, przed opuszczeniem tej sali.

-Tobie na pewno to nie grozi, George - kontynuowała ?elma. - A jeśli chodzi o Henry'ego i o mnie - mrugnęła - to obejdzie się bez ślubu.

-Cos mi się zdaje, że mnie tu wyrolują - odezwała się Holly, kiedy wszyscy wybuchnęli śmiechem po ostatniej odzywce ?elmy. - ?elma rzadko nie dostaje tego, co sobie upatrzy - rzekł George.

Widzac, że Steward zebrał talie i wziął się do tasowania, Holly powiedziała:

-Nie chce przerywać wam gry.

-Och, proszę się nie przejmować - odezwał się Henry. Po wylewie mówił trochę belkotliwie, ale można go było zrozumieć. - Właśnie mamy przerwę na "poprawienie makijazu".

282

283

-W naszym wieku - wyjaśnił George - bez koordynacji w tych sprawach ani rusz. Inaczej trudno byłoby o cztery osoby naraz, a tyle potrzeba do kart! Pozostali odjechali na wozkach, a Holly przysunęła sobie krzesło do Henry'ego Ironhearta.

Nie był to ten sam zdrowo wyglądający mężczyzna z fotografii o ostrych rysach i bez pomocy mogłaby go nie rozpoznać. Wylew osłabił prawą stronę ciała, choć nie był to paraliż, i Henry niemal ciągle trzymał rękę przytuloną do piersi, tak jak ranne zwierzę chroniące złamaną łapę. Stracił dużo na wadze i nie był już tegi. Twarz miał wychudła, chociaż nadal czerstwa; mięśnie prawego policzka były nienaturalnie rozluźnione, jakby lekko zwisały.

Jego wygląd, w połączeniu z lekkim belkotem, jaki towarzyszył każdemu wymawianemu przez niego słowu, mogłoby wpędzić Holly w depresję, przypominając nieuniknioną przeznaczenia ludzkiego życia - gdyby nie oczy odzwierciedlające nieugiętą duszę. Rozmowa sprawiała mu pewną trudność, ukazywała wszakże bystrego i dowcipnego człowieka, który nie dawał losowi satysfakcji z powodu swego nieszczęścia; jeśli przeklinał swe ciało, czynił to jedynie w samotności.

-Jestem przyjaciółką Jima - powiedziała mu.

Jego usta przybrały kształt opadającego "O", co zdecydowała się uznać za wyraz zdziwienia. W pierwszej chwili nie wiedział, jak ma zareagować, ale w końcu spytał:

-Co u niego?

Uznając, że prawda będzie najlepsza, powiedziała: - Złe, Henry. To bardzo nieszczęśliwy człowiek.

Odwrocił wzrok od niej na stos pokerowych sztonów na stole.

-Tak - przyznał cicho.

Holly spodziewała się zastać napastującego dzieci potwora, który byłby przynajmniej częściowo odpowiedzialny za odwrócenie się Jima od realnego świata. W niczym nie



odpowiadał temu obrazowi.

-Henry, chciałam się z tobą spotkać i porozmawiać, bo Jim i ja jesteśmy czymś więcej niż przyjaciółmi. Kocham go i on powiedział, że mnie kocha, i wierze, że będziemy ze sobą przez długi, długi czas.

Ku jej zdumieniu łzy napłynęły mu do oczu i spłynęły po policzkach, zbierając się w grube krople na miękkich fałdach starej twarzy.

-Wybacz, czy cie zdenerwowałam?

-Nie, Chryste Panie, nie - powiedział, ocierając łzy lewą ręką. - Wybacz, proszę, staremu głupcowi.

-Na pewno nie jesteś głupcem, zapewniam cie.

-Po prostu nigdy nie myślałem... No, wyobraziłem sobie, że Jima czeka samotność do końca życia.

282

283

-Dlaczego tak myślałeś?-No...

Wydawał się lekac, że może powiedzieć coś złego o swoim wnuku. Tym zupełnie rozproszył jej obawy, że okaze się jakimś okrutnikiem. Pomogła mu.

-Ma zwyczaj trzymać ludzi na dystans, o to ci chodziło?

-Nawet mnie - potwierdził. - Kochałem go z całego serca przez te wszystkie lata i wiem, że on też mnie kocha na swój sposób, choć zawsze miał duże kłopoty z okazaniem uczuć i nigdy nie potrafił tego powiedzieć.

Kiedy Holly miała zadać mu następne pytanie, nagle potrzaskał silnie głową, a jego zniekształcona twarz skrzywił wyraz takiej rozpacz, że przez moment obawiała się następnego wylewu.

-To nie tylko jego wina. Bog wie, że nie tylko. - Bełkot stał się jeszcze silniejszy pod wpływem emocji. - Muszę spojrzeć prawdzie w oczy - za część tego oddalenia między nami ja jestem odpowiedzialny: winię go za coś, za co nigdy nie powinienem był winić.

-Winiles?

-Za Lene.

Cien strachu przesunął się jej przez serce i uklął bolesnie jak przy chorobie wieńcowej.

Spojrzała w okno wychodzące na kąt podwórza. Nie był to ten kąt, do którego udał się Jim. Zastanawiała się, jak się czuje, gdzie jest... kim jest?

-Za Lene? Nie rozumiem - powiedziała, choć bała się tego, co on wiedział.

-Teraz widzę, że to, co zrobiłem... to, co pomyślałem, było niewybaczalne.

-Zamilkł, patrząc nie na nią, lecz poprzez nią, w odległy czas i miejsce. - Ale wtedy stał się taki dziwny, zupełnie inny niż dziecko, jakim był poprzednio. Zanim w ogóle uda ci się zrozumieć, co uczyniłem, musisz wiedzieć, że po Atlancie stał się bardzo dziwny, kompletnie zamknął się w sobie.

Holly natychmiast pomyślała o Samie i Emily Newsome'ach, których życie Jim uratował w małym sklepie w Atlancie - i o Normanie Rinku, w którego władował z bliska osiem naboju ze strzelby. Ale było jasne, że Henry nie mówi o ostatnim zdarzeniu w Atlancie; że odwołuje się do jakiegoś poprzedniego incydentu z o wiele głębszej przeszłości.

-Nie wiesz o Atlancie? - spytał, widząc jej całkowity brak zrozumienia.

Dziwny odgłos, jakby świergotanie, doleciał do pokoju, alarmując Holly. Przez moment nie potrafiła zidentyfikować hałasu, potem uswiadomiła sobie, że podobnie krzyczą ptaki broniące gniazd. Żadnych ptaków nie było w pokoju i podejrzewała, że ich krzyk odbił się od przewodu biegnącego od dachu do kominka. Tylko ptaki. Skrzeczenie ucichło.

284

285

Znow skupiła uwagę na Henrym Ironhearacie.-Atlanta? Wydaje mi się, że nic mi to nie mówi.

-Nie sądziłem, żeby ci mówiło. Byłbym zaskoczony, gdyby o tym z tobą rozmawiał, nawet z tobą, chociaż cie kocha. On po prostu o tym nie rozmawia.

-Co się stało w Atlancie?

-To stało się w miejscu, które nazywa się Pałac Kaczora...

-Och, mój Boże - szepnęła. Była tam w swoim śnie.

-Wiec coś o tym wiesz - powiedział.

W jego oczach dojrzała morze smutku.

Poczuła, jak twarz marszczy się jej pod naporem żalności. Nie z powodu rodziców Jima,

których nigdy nie poznała, i nawet nie z powodu Henry'ego, który prawdopodobnie ich kochał, ale z powodu Jima.

-Och, moj Boze. - A potem nie mogła powiedzieć już nic więcej, ponieważ łzy zdławiły jej słowa.

Henry wyciągnął do niej rękę pokrytą plamami wotrobianymi. Ujęła ją i trzymała, czekając, aż znów będzie mogła przemówić.

Po drugiej stronie świetlicy dzwoniły dzwonki i trąbiły trabki w jakiejś telewizyjnej audycji. Żaden wypadek drogowy nie zabił rodziców Jima. Dzięki tej historii unikał opowiadania straszliwej prawdy.

Ona wiedziała. Wiedziała i nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

Jej ostatni sen nie był ostrzeżeniem przed przyszłością, ale jeszcze jednym wspomnieniem, którego projekcje Jim wywołał w jej umyśle podczas snu ich obojga. W tym śnie nie była sobą, tylko Jimem. Tak jak dwie noce wcześniej we śnie była Lena. Gdyby jakieś lustro w Pałacu Kaczora pozwoliło spojrzeć jej we własną twarz, zobaczyłaby oblicze Jima zamiast swojego, tak jak zobaczyła twarz Leny w oknie wiatraka. Groza spływającej krwi restauracji powróciła teraz do niej w żywych obrazach, których nie mogła usunąć z wyobraźni - wstrząsnęła nią.

Spojrzała w kierunku okna na podwórze, cała w leku o niego.

-Przez tydzień występował w klubie w Atlancie - powiedział Henry. - Poszli na lunch do ulubionej restauracji Jima, która pamiętał z ostatniego pobytu w Atlancie, kiedy tam grali.

-Kim był morderca?

-Zwykły wariat. Dlatego to było takie ciężkie. Bez sensu. Zwykły szaleniec.

-Ilu ludzi zginęło?

-Wielu.

-Ilu, Henry?

-Dwadzieścia cztery osoby.

284

285

Wyobraziła sobie w miejscu zagłady małego Jima Ironhearta, walczącego o życie wśród zmasakrowanych ciał innych ludzi. Pomieszczenie wypełnione okrzykami bólu i strachu,

smrodem krwi, wymiocin, zolci i moczu unoszacych sie z cial pomordowanych. Znow uslyszala potezny odglos automatycznej broni, dzada-dzada-dzada-dzadadzada-dzada i prosze-prosze-prosze-prosze przerazonej mlodej kelnerki. Nawet jako sen bylo to prawie nie do wytrzymania; cala bezsensowna groza istnienia i cale okrucienstwo ludzkiego gatunku, skondensowane w jednym niszczycielskim zdarzeniu, wybuch bestialstwa, po ktorym nawet dorosly przez cale zycie mogl walczyć o pelne ozdrowienie psychiczne. Dziesięcioletniemu dziecku ozdrowienie moglo wydac sie niemozliwe, rzeczywistosc - nie do zniesienia, zaprzeczenie faktom - konieczne, a swiat fantazji jedynym narzedziem, dzieki ktoremu mozna utrzymac resztki zdrowia psychicznego.-Tylko Jimmy przezył - powiedzial Henry. - Gdyby policja zjawila sie pare sekund pozniej, tez by nie żył. Zastrzelili tego czlowieka na miejscu.

Dlon Henry'ego wzmocnila uscisk na rece Holly.

-Znalezi Jima w kacie, na kolanach Jamiego, na kolanach jego wlasnego taty, w jego ramionach, calego w... w jego krwi.

Holly przypomniala sobie koniec snu...

...wariat idzie prosto na nia, kopie na boki stoliki i krzesla, wiec ona gramoli sie do kata na cialo trupa, a wariat jest blizej, blizej, podnosi bron, ona nie chce spojrzec na niego tak, jak patrzyla kelnerka, a potem umarla, wiec odwraca twarz do trupa...

...i przypomniala sobie, jak obudzila sie niemal w konwulsjach, duszac sie z obrzydzenia.

Gdyby miala czas spojrzec w oblicze trupa, zobaczylaby ojca Jima.

Podniebny wrzask znow odbil sie ostrym echem w swietlicy. Tym razem byl glosniejszy. Paru starszych mieszkancow podeszlo do kominka, zeby sprawdzic, czy jakis ptak nie zaplatal sie w kominie.

-W jego krwi - cicho powtorzyla Holly. Bylo jasne, ze nawet po tylu latach zanurzanie sie w tamta chwile rodilo bol nie do zniesienia.

Chlopiec nie tylko znalazl sie w ramionach niezwywego ojca, ale na pewno wiedzial, ze w tym chaosie, martwa, spoczywa jego matka i ze zostal sam.

Jim siadl na lawce z sekwojowego drewna na podworku Fair Haven. Byl sam.

Jak na dzien w koncu sierpnia, szczyt sezonowej suszy, niebo bylo niezwykle ciezkie, brzemienne wilgocia, a rownoczesnie wygladalo jak odwrocona misa pelna popiolu. Kwitnace poznym latem kwiaty opadaly kaskadami na betonowe sciezki. Bez zachety slonca nie ujawnialy nawet polowy swych kolorow. Drzewa drzaly, jakby chlodzil je lagodny powiew sierpniowy.

Cos zbliżalo sie. Cos bardzo zlego. Trzymal sie teorii Holly, powtarzal, ze nic nie nadejdzie bez zachety z jego strony.

Musi sie tylko kontrolowac, a wszyscy przezyja.

Ale mimo to czul, ze nadchodzi.

Cos.

Uslyszal chrapliwy krzyk ptakow.

Ptaki ucichly.

Holly puscila reke Henry'ego Ironhearta, wyjela z torebki kilka papierowych chusteczek, wytarla nos i oczy. Kiedy juz mogla mowic, wyjakala:

-Wini siebie za to, co spotkalo jego mame i tate.

-Wiem. Zawsze tak bylo. Nigdy o tym nie mowil, jednak bylo widac, ze nie przestaje myslec, iz powinien byl ich uratowac.

-Ale dlaczego? Mial tylko dziesiec lat, byl malym chlopcem. Nie dalby rady doroslemu mezczyznie z pistoletem maszynowym. Na milosc boska, dlaczego mialby czuc sie odpowiedzialny?

Na moment oczy Henry'ego stracily blask. Jego obwisla twarz, po prawej stronie juz sciagnieta w dol, obwisla jeszcze bardziej w niewyslowionym smutku.

-Rozmawialem z nim o tym wiele razy - odezwal sie w koncu. - Sadzalem go na kolanach i rozmawialem, Lena takze. Byl jednak tak zamkniety w sobie, nie chcial sie otworzyc, nie chcial powiedziec, dlaczego siebie wini - dlaczego siebie nienawidzi.

Holly spojrzala na zegarek. Zbyt dlugo zostawila Jima samego. Ale nie mogla przerwac Henry'emu Ironheartowi w polowie, nie wysluchac prawdy, po ktora tu przyjechala.

-Myslalem o tym przez te wszystkie lata - ciagnal Henry - i moze do czegos tam doszedlem. Lecz zanim cos zaczalem rozumiec, Jim wyrosl, a o Atlantcie przestalismy juz rozmawiac duzo wczesniej. W zasadzie w ogole przestalismy rozmawiac.

-A do czego doszedles?

Henry wlozyl swoja slaba prawa reke w mocna lewa i wpatrywal sie w klykcie pod

wysuszona przez czas skora. Z postawy starego mezczyzny Holly wyczula, ze nie byl pewien, czy powinien wyjawic to, co chcial i potrzebował wyjawic.

-Kocham go, Henry.

Podniosl oczy i spotkal jej wzrok.

-Wczesniej mowiles, ze przyjechalam tu dowiedziec sie o Atlancie, bo Jim nie chcial o tym mowic, i miales racje. Przyjechalam dowiedziec sie wielu rzeczy, poniewaz on zabronil mi wstepu do pewnych obszarow swojego zycia. On mnie naprawde kocha, Henry, nie mam zadnych watpliwosci, ale jest jak zacisnieta piesc i pewnych spraw nie

286

287

chce z siebie wypuscic. Jezeli mam za niego wyjsc, jezeli ma do tego dojsc, musze wiedziec o nim wszystko - albo nigdy nie bedziemy szczesliwi. Nie mozna opierac wspolnego zycia na tajemnicach.-Masz racje, oczywiscie.

-Powiedz mi, dlaczego Jim ma do siebie pretensje. To go zabija, Henry. Jezeli moge zywic jakas nadzieje, ze mu pomoge, musze wiedziec to, co ty.

Westchnal i zdecydowal sie.

-To, co powiem, bedzie wygladalo na idiotyczne zabobony, ale tak nie jest.

Postaram sie opowiedziec to krotko i zwyczajnie, bo bedzie jeszcze dziwaczniejsze, jak to poupiekszam. Moja zona, Lena, posiadala moc. Przeczucia, tak sie chyba mowi. Nie zeby widziala przyszosc, zgadywala wygrane na wyscigach albo czyjes miejsce pobytu za rok, nic z tych rzeczy. Ale czasami... wiesz, moglas zaprosic ja na piknik za tydzien w niedziele i bez namyslu mowila, ze za tydzien w niedziele bedzie lalo jak Noemu na arke. No i, na Boga, tak bylo. Albo jakas sasiadka zaszla w ciaze i Lena zaczynala mowic o dziecku "on" albo "ona", kiedy nie mogla jeszcze wiedziec, co bedzie - i zawsze miala racje.

Holly poczula, ze ostatnie kawalki ukkladanki trafiaja na swoje miejsca. Kiedy Henry obdarzyl ja spojrzeniem z serii "pewnie-masz-mnie-za-starego-durnia", wziala jego slaba reke i scisnela uspokajajaco.

-Dojrzalas w Jimie cos nadzwyczajnego, zgadza sie? Jakby magie? - spytal po chwili.

-Tak.

-Wiec moze wiesz, dokad to wszystko zmierza.

-Moze.

Niewidoczne ptaki znów zaczęły skrzeczeć. Pensjonariusze przy telewizorze przyciszyli dźwięk i rozglądali się, usiłując odnaleźć źródło pisku.

Holly spojrzała w kierunku okna wychodzącego na podwórze. Nie było tam żadnych ptaków. Ale wiedziała, czemu od tych ich krzyków włosy podnoszą się jej na karku: były w jakiś sposób związane z Jimem. Pamiętała, jak patrzył na ptaki na cmentarzu i jak uważnie obserwował je na niebie podczas jazdy do Solvanga.

-Jamie, nasz syn, był jak jego matka - mówił Henry, jakby krzyk ptaków w ogóle do niego nie docierał. - On po prostu czasami wiedział. Był jeszcze bardziej uzdolniony od Leny. I po tym, jak ożenił się z Cara i ona zaszła w ciążę, Lena pewnego dnia powiedziała po prostu: "Ich dziecko będzie niezwykle, będzie z niego prawdziwy mag".

-Mag?

-Takie wiejskie nazwanie kogoś, kto ma moc, ma w sobie coś nadzwyczajnego jak Lena i Jamie. Tylko że ona myślała o czymś naprawdę niezwykłym. Więc Jim się urodził i jeszcze przed czwartymi urodzinami... no, robił niesamowite rzeczy. Na przykład raz

288

289

dotknął mojego grzebyka, który kupiłem u naszego fryzjera, i zaczął opowiadać o rzeczach, jakie są w salonie fryzjerskim, choć w życiu tam nie był, bo mieszkał razem z Jamiem i Cara w Los Angeles. Zamilkł i odetchnął głęboko kilka razy. Mówił mniej wyraźnie. Prawa powieka mu opadła. Rozmowa wyczerpywała go jak praca fizyczna.

Pielegniarz z latarką zjawiał się przy kominku. Wypatrywał czegoś w przewodzie kominowym, wokół szczelin przy zasuwie. Pewnie usiłował dojrzeć, czy nie uwiązł tam jakiś ptak.

Oszalały łopot skrzydeł zagłuszał teraz pisk.

-Jimmy dotknął jakiegoś przedmiotu i wiedział, skąd jest, dowiadywał się o właścicielu roznosi. Ale nie wiedział wszystkiego. Wiedział, ile wiedział, nic więcej. Dotykał jakiegoś osobistego drobiazgu i znał imiona rodziców właściciela i gdzie pracuje. Potem robił to samo z rzeczami kogoś innego i dowiadywał się tylko nazwy jego szkoły i imion jego dzieci. Stałe coś innego, nie miał nad tym władzy. Ale próbował i zawsze do czegoś dochodził.

Pielegniarz, kierowany uwagami pacjentów, wstał od kominka i usiłował coś dojrzeć w końcówkach przewodów wentylacyjnych. Kłótlive ptasie odgłosy nadal rozbrzmiewały echem w świetlicy.

-Wyjdźmy na podwórko - powiedziała Holly, wstając z miejsca.

-Poczekaj - odparł złośnie Henry - daj mi to skonczyć, niech ci opowiem.

Jim, na łaskę boską, pomyślała Holly, wytrzymaj jeszcze przez minutę, przez parę chwil. Siadła niechętnie.

-Niezwykłość Jima była tajemnicą rodzinną - kontynuował Henry. - Tak jak Jamiego i Leny. Nie chcieliśmy, żeby ludzie o tym wiedzieli, zaczęli weszyc, nazywac nas swirami i Bog wie czym. Ale Cara... ona zawsze miała hopla, żeby robic w rozrywce.

Jamie pracował w Warner Brothers, poznał ją tam i chciał tego, co i ona. Uznali, że mogą zrobić numer oparty na Jimie, nazwać go cudownym dzieckiem - czarodziejem umysłu, ale nikt nigdy się nie skapuje, że on ma prawdziwą moc. I przygotowali taką zabawę dla publiczności, pozwalając jej przypuszczać, że niezłe to wykombinowali - gdy tymczasem to działa się naprawdę. Mieli z tego niezły grosz i korzystali na tym jako rodzina: byli zawsze razem. Zanim przygotowali ten numer, byli ze sobą związani, ale jak ruszyli w trasę, stali się sobie bliscy jak nigdy. Żadni rodzice nie kochali bardziej swojego dziecka ani nie dostawali w zamian więcej miłości. Tacy związani... trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś się rozdziela.

Kosy przecinały olwiane niebo.

Siedząc na ławce z sekwojowego drewna, Jim nie odrywał od nich oczu.

Prawie znikły w chmurach na wschodzie, potem ostro zakreciły i powróciły.

288

289

Przez moment kołowały mu nad głową. Te ciemne, postrzępione kształty, odbijające się od martwego nieba kresliły wizerunek godny wiersza Edgara Allana Poe'go. Jako dziecko uwielbiał Poe'go i nauczył się na pamięć wszystkich co bardziej makabrycznych fragmentów jego poezji. Pośpne obrazy urzekały go.

Wrzask ptaków nagle się urwał. Cisza, która nastąpiła, była błogosławieństwem, ale co dziwne Holly poczuła większy lek, kiedy skrzeczenie ustalo, niż kiedy słuchała owych odgłosów.

-I jego moc rosła - powiedział cicho, niewyraźnie Henry Ironheart. Poruszył się na wózku, ale jego prawa strona nie chciała zmienić pozycji. Po raz pierwszy widac było, że ograniczenia spowodowane przez wylew naprawdę mu doskwierają. - Zanim Jim skończył sześć lat, kładło się na stole pięciocentówkę i ruszał nią tylko siłą woli. Jeździła po stole w przód i w tył, stawiała na sztorc. Jak miał osiem lat, podrzucał ją i utrzymywał w powietrzu. Kiedy miał dziesięć, potrafił zrobić to samo z czterechdolarówką, płytą gramofonową, puszką na ciastka. To było najbardziej niesamowite na świecie.



Powinienes zobaczyc, na co go stac w wieku trzydziestu pieciu lat, pomyslala Holly.

-Nigdy nic z tego nie wziele do swojego numeru - powiedzial Henry - dalej robili "cuda umyslu", brali rozne osobiste drobiazgi od publiki i Jim bez mrugniecia okiem opowiadal im rozności, wiesz - zadziwial ich. Jamie i Cara kombinowali, jak by tu dolaczyc troche jego lewitacji, ale nie potrafili wykombinowac, jak to zrobic, zeby prawda sie nie wydala. Potem poszli kiedys do tego Palacu Kaczora w Atlancie... i nastapil koniec wszystkiego.

To nie byl koniec wszystkiego. To byl koniec i rownoczesnie mroczny poczatek.

Uswiadomila sobie, dlaczego milczenie ptakow niepokoilo ja bardziej niz sam skrzek.

Tamten odglos brzmial w jej uszach jak syk dopalajacego sie lontu. Dopoki go slyszala, mozna bylo zapobiec eksplozji.

-I wlasnie dlatego mysle, ze Jim wyobrazal sobie, iz mogl ich uratowac - rzekl Henry. - Potrafil robic te drobne sztuczki sila swojego umyslu, utrzymac w powietrzu rozne rzeczy, poruszac nimi - wiec kombinowal, ze mogl spowodowac, zeby tamtemu wariatowi zacial sie naboj w lufie, zablokowal spust, bezpiecznik przeskoczyl na swoje miejsce, cos, cos...

-Stac go bylo na cos takiego?

-Hm, moze. Ale byl tylko przeraزونym malym chlopcem. Zeby robic takie numery z pieciocentowkami, plytami i puszkami na ciastka, musial sie koncentrowac.

Tego dnia, kiedy zaczely latac kule, nie bylo czasu na koncentracje.

Holly przypomniala sobie morderczy odglos: dzada-dza-da-dzada-dzada...

290

291

-Wiec kiedy przywiezlismy go z Atlanty, ledwo sie odzywal. Czasem baknal jedno, dwa slowka. Nie patrzyl w oczy. Kiedy Jamie i Cara odeszli, cos umarlo i w nim. Nigdy nie zdolalismy tego ozywic, choc sie staralismy. Jego moc tez umarla. W kazdym razie na to wygladalo. Nigdy juz nie robil swoich sztuczek i po tylu latach trudno bylo uwierzyc, ze kiedys wyczynial tak przedziwne rzeczy. Poprzednio, mimo dobrego nastroju, Henry Ironheart wygladal na swoje osiemdziesiat lat. Teraz patrzyla na jeszcze starszego, wiekowego mezczyzne.

-Jimmy byl taki obcy po Atlancie - mowil - taki nieosiagalny i pelen furii... czasem mozna bylo go kochac, ale rownoczesnie troche sie go balem. Pozniej, Boze, wybacz mi, podejrzewalem go o...

-Wiem - rzekła Holly.

Jego obwisłe rysy stezały i spojrzal na nia ostro.

-Twoja zona - powiedziala. - Lena. To, jak umarla.

Odezwal sie jeszcze mniej wyraznie:

-Wiesz tak duzo.

-Az za wiele - powiedziala. - To smieszne. Bo przez cale zycie wiedzialam za malo.

Henry znow opuscil wzrok na swoje bezsilne dlonie.

-Jak moglem pomyslec, ze dziesiecioletni chlopiec, nawet jesli byl zdenerwowany, mogli zepchnac ja ze schodow tego wiatraka, kiedy tak ja kochal? Wiele lat musialo uplynac, zanim ujrzałem, ze byłem wobec niego cholernie okrutny, nieczuly, tak cholernie glupi. Ale wtedy i tak nie dalby mi szansy na przeproszenie za to, co zrobilem... co pomyslałem. Po tym, jak odjechal do college'u, nigdy sie nie pokazal. Ani razu przez trzynascie lat, az zdarzyl mi sie ten wylew.

Pokazal sie, pomyslala Holly, dziewietnascie lat po smierci Leny, zeby sie z tym zmierzyc i polozyc kwiaty na jej grobie.

-Gdyby istnial jakis sposob, zeby mu wytlumaczyc. Gdyby tylko dal mi szanse...

-On jest teraz tutaj - odparla Holly, podnoszac sie.

Strach wypelzil na oblicze starca, stalo sie jeszcze bardziej mizerne niz przed chwila.

-Tutaj?

-Przyjechal, zeby dac ci te szanse - Holly nie potrafil nic wiecej dodac. - Chcesz, zeby ci do niego zaprowadzila?

Kosy gromadzily sie. Juz osemka zebrala sie wysoko po niebie. Krazyly.

Raz - posepna polnoc byla - gdym, znuzony i bez sily Nad dziwnoscia obyczajow dumal, tych sprzed lat tysiecy, Kiedym drzemal (spac sie chcialo), nagle cos w drzwi zastukalo, Jakby pukal ktos niesmialo...

290

291

- "A Kruk odrzekl: <<Nigdy wiecej>>"\* - szepnal Jim do ptakow nad glowa. Uslyszal cichy,

rytmiczny trzask, jakby obracającego się raz za razem koła, i odgłos kroków. Kiedy odwrócił wzrok, dojrzał Holly pchająca wózek, na którym siedział dziadek. Posuwali się alejka ku lawce.

Osiemnaście lat minęło, odkąd wyjechał kontynuować naukę, i od tego momentu widział Henry'ego tylko dwa razy. Na początku było kilka, niewiele telefonów, ale wkrótce Jim przestał dzwonić i w końcu przestał je również przyjmować. Kiedy przychodziły listy, wyrzucał je, nie otwierając. Przypominał sobie to wszystko - i zaczynał sobie również przypominać, dlaczego tak było.

Spróbował się podnieść. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Pozostał na lawce.

Holly zatrzymała wózek przed Jimem, potem usiadła obok niego i zapytała:

-Dobrze się czujesz?

Pokiwał głupawo głową, zamiast na dziadka spojrzeć na ptaki krazące pomiędzy spopielalymi chmurami.

Starszy pan również nie potrafił spojrzeć na Jim'a. Z napięciem wpatrywał się w kwietniki, jakby przybył na dwór jedynie dlatego, iż koniecznie chciał obejrzyć paki.

Holly nie spodziewała się, że będzie to łatwe. Zależało jej na obydwu tych mężczyznach i chciała zrobić wszystko, żeby w końcu zbliżyli się do siebie.

Najpierw musiała wypalic klebowisko chwastów ostatniego kłamstwa Jim'a, które świadomie lub nieswiadomie powtarzał samemu sobie.

-To nie był wypadek drogowy, kochanie - powiedziała, kładąc mu rękę na kolanie. - To nie tak się stało.

Jim opuścił wzrok z kosów na nią i spoglądał z nerwowym podnieceniem. Widziała, że tęsknił za prawdą i lekał się jej.

-To stało się w restauracji...

Jim z wolna trząsnął głową, zaprzeczając. - ...w Atlancie, w Georgii...

Nadal potrząsał głową, ale oczy robiły mu się coraz większe. - ...byles z nimi...

Przestał zaprzeczać i koszmarne napięcie zespecilo mu twarz. - ...nazywała się Pałac Kaczora.

Kiedy pamięć wróciła, uderzając jak kafar, skulił się na lawce, jakby miał z wymiotować. Zapanował nad tym. Dłonie, spoczywające na kolanach, zacisnęły się w piasku.

Twarz miał ból. Ciche, nieartykułowane dźwięki, jakie wydawał, zdradzały więcej niż rozpacz i przerażenie.

Objęła jego skulone ramiona. \*E. A. Poe "Kruk" w E.A. Poe "Poezje wybrane", przeł. Władysław Jerzy Kasinski.

292

293

Henry Ironheart spojrzał na nią i powiedział: "Och, mój Boże" - uświadamiając sobie krancowość psychicznego stłumienia, w jakie Jim został zepchnięty. "Och, mój Boże". Kiedy wnuk zaczął cicho szlochac, Henry Ironheart znow spojrzał na kwiaty, znow na swoje ręce, potem na stopy wsparte na podporkach, wszędzie, gdzie się tylko dało, żeby tylko uniknąć widoku Jima i dziewczyny, ale w końcu jego oczy spotkały się ze spojrzeniem Holly.- Przeszedł terapię - rzekł, usiłując się usprawiedliwić. - Wiedzieliśmy, że powinniśmy mu to zapewnić. Zabraliśmy go do psychiatry w Santa Barbara. Kilka razy.

Robiliśmy, co się dało. Ale ten psychiatra - było mu Hemphill - powiedział, że z Jimem jest wszystko w porządku, że nie ma powodu już go przyprowadzać; już po sześciu wizytach powiedział, że Jim ma się dobrze.

-A co oni w ogóle wiedzą? - powiedziała Holly. - Co mógł zrobić taki Hemphill, skoro nie znalazł naprawdę chłopca, nie kochał go?

Henry Ironheart zwinął się jak od uderzenia, choć nie było jej zamiarem go potępiac ani komentować jego czynów.

-Nie - odezwała się szybko, z nadzieją, że jej uwierzy. - Chodzi o to... to nie żaden cud, że mnie udało się dotrzeć dalej niż Hemphillowi. Ja po prostu go kocham.

To jedyne uczucie, które zawsze uleczy.

Pogładziła Jima po włosach.

-Nie mogłeś ich uratować, kochanie. Wtedy - nie dysponowałeś swoją obecną mocą. Miałeś szczęście, że wyszedłeś z tego żywy. Uwierz mi, najdroższy, posłuchaj i uwierz.

Przez długą chwilę siedzieli bez słowa, wszyscy pogrążeni w bólu.

Holly spostrzegła kosy na niebie. Teraz było ich więcej, może ze dwanaście. Nie rozumiała, jak Jim siał je ani dlaczego, ale wiedziała, że są tam z jego powodu i spoglądała na nie z rosnącą obawą.

Położyła rękę na jego dłoniach, jakby zachęcając, by je rozluźnił. Stopniowo przestawał

lkac, ale piesci nadal mial zacisniete jak dlonie kamiennego posagu. Zwrocila sie do Henry'ego:

-Teraz. To twoja szansa. Powiedz, dlaczego sie od niego odwrociles, dlaczego zrobiles... cokolwiek to bylo.

Chrzakajac i ocierajac nerwowo usta slabsza prawa dlonia, Henry przemowil, z poczatku nie patrzac na zadne z nich.

-Wiec... musisz wiedziec, jak... jak to bylo. Kilka miesiecy po tym, jak przyjechales z Atlanty, w miescie pokazali sie ci filmowcy, krecili zdjecia...

-Do "Czarnego wiatraka" - uzupelnila Holly.

-Tak. On ciagle czytal... - Henry urwal, zacisnal powieki, jakby zbieral sily. Kiedy otworzyl oczy, spogladal na pochylona glowe Jima i wydawal sie gotowy zniesc jego

292

293

spojrze nie, jesli on podniesie wzrok. - Czytales caly czas, przegladales polke za polka w bibliotece i przez ten film czytales ksiazke Willotta. Po jakim czasie to stalo sie... do diabla, nie wiem... wydaje mi sie, ze chyba powiedzialbys, ze to byla obsesja, Jim. To byla jedyna rzecz, ktora wyciagala cie ze skorupy: rozmowy o tej ksiazce. Wiec zachecalismy cie, zeby ogladal, jak kreci ten obraz. Pamietasz? Po jakim czasie zaczales opowiadac nam, ze Obcy jest w naszym stawie kolo wiatraka, dokladnie jak w ksiazce i w filmie. Na poczatku myslalismy, ze tylko tak blaznujesz. Przerwal.

Milczenie sie przedluzalo.

Ponad dwadziescia ptakow wysoko na niebie.

Kraza. W milczeniu.

Holly zwrocila sie do Henry'ego.

-W koncu to zaczelo was martwic.

Henry przesunal trzesaca sie dlonia po mocno pobruzdzonej twarzy, nie tyle zeby usunac z niej zmeczenie, ile zeby zetrzec bagaz lat i przyblizyc stracony czas.

-Coraz dluzej przesiadywales w wiatraku, Jim. Czasem spedzales tam caly dzien.

Wieczory tez. Niekiedy budzilismy sie w nocy, zeby pojsc do toalety, i widzielismy swiatlo w wiatraku o drugiej, trzeciej nad ranem. A ciebie nie bylo w twoim pokoju.

Henry przerywał coraz częściej. Nie był zmęczony. Po prostu nie chciał odkopywać tej dawno pogrzebanej części przeszłości.

-Jeżeli był to środek nocy, szliśmy do wiatraka i przynosiliśmy cię do domu, ja albo Lena. A ty opowiadałeś nam o Przyjacielu z wiatraka. Zaczynałeś nas przerażać, nie wiedzieliśmy, co robić... więc chyba dlatego... nic nie zrobiliśmy. W każdym razie tej nocy... tej nocy, kiedy ona umarła... nadciągnęła burza...

Holly przypominała sobie sen: ...zadął świeży wiatr, kiedy pośpiesznie kroczyła po zwirowanej ścieżce... - i Lena nie obudziła mnie. Wyszła sama i poszła do wyższej izby...

...wchodzi po kamiennych schodach... - bardzo silna burza, ale ja miałem taki sen, że nic mnie nie mogło zbudzić...

...niebiosa rozświetlają się, kiedy mijają okno przy schodach i poprzez szybę widzi jakiś obiekt na dnie stawu... - ty, Jim, chyba robiłeś to, przy czym zawsze zastawaliśmy cię w nocy, czytałeś książki przy świeczce...

...nieczłowieckie dźwięki z góry przyspieszają bicie jej serca, idzie do wyższej izby, pełna lęku, ale równocześnie zaintrygowana i zaniepokojona o Jima... - w końcu obudził mnie piorun...

...dochodzi do szczytu schodów i widzi go, jak stoi z zacisniętymi piastkami po bokach, na podłodze żółta świeca pali się na błękitnej podstawce, obok leży książka...

294

295

-widzę, że Leny nie ma, wyglądam przez okno w sypialni i widzę niewyraźne światło w wiatraku.....chłopiec obraca się do niej i krzyczy: "Boję się, pomóż mi, ściany, ściany!". - i nie mogłem uwierzyć własnym oczom, bo skrzydła wiatraka kreciły się; wtedy nie robiły tego już z dziesięć, piętnaście lat, zarządzały...

...widzi bursztynowe światło wewnątrz ścian, ohydne odcienie ropy i żółci; wapienne ściany pecznieją i uświadamia sobie, że coś, co nie może być żywe, żyje w ścianie... - ale skrzydła obracały się jak śmigła samolotowe, więc wciągnąłem spodnie i poleciałem po schodach na dół...

...ze strachem, ale równocześnie z perwersyjną ekscytacją, chłopiec mówi: "Nadchodzi i nikt go nie zatrzyma!". - złapałem latarkę i wyleciałem w deszcz.

...wybrzuszone kamienne bloki, spojeny zaprawą, pękły jak gabkowata powłoka owadziego jaja, nabierając kształtu; cuchnące lajno staje się wcieleniem czarnej furii chłopca na świat i jego niesprawiedliwość, jego nienawiść do samego siebie ucielesnia się, jego pragnienie śmierci zyskuje ziębia nienawiscia i brutalnością formę namacalnej żywej istoty, oddzielonej

od niego... - dolecialem do wiatraka i nie moglem uwierzyc, ze te stare skrzydla zamiataly, wiuum, wiuum, wiuum!...

Sen Holly urywal sie w tym miejscu, ale jej wyobraznia az nazbyt nachalnie podsunela jej wizje dalszych wydarzen. Przerazona materializacja Nieprzyjaciela, oszolomiona tym, ze szalencze opowiadki chłopca o Obcych, zyjacych w wiatraku, sa prawdziwe, Lena cofajac sie, potknela sie i spadla z kretych kamiennych schodow. Nie miala nawet poręczy, ktorej moglaby sie uchwycic. Skrecila kark. - wszedlem do wiatraka... znalazlem ja u stop schodow, cala potrzaskana, ze skreconym karkiem... niezywa.

Henry zamilkł i z trudem przelknal slinę. Wspominajac tamta burzliwa noc, ani razu nie spojrzal na Holly. Oczy utkwil w pochylonej glowie Jima. Zaczal znów, mniej belkotliwie, jakby zrozumiale dokonczenie mialo dlań zyciowe znaczenie:

-Wszedlem po schodach i znalazlem cie na gorze, Jimmy. Pamietasz? Siedziales przy swieczce i trzymales ksiazke w rekach tak mocno, ze nie dalo sie jej wyjac, dopiero po kilku godzinach. Nie odzywales sie. - Starcowi zalamal sie glos. - Boze, wybacz mi, ale nie umialem myslec o niczym innym, tylko o tym, ze Lena nie zyje, ze nie ma mojej kochanej Leny, a ty byles taki dziwny przez caly rok, nawet wtedy, w tamtym momencie, z ta swoja ksiazka, i nie odzywales sie do mnie slowem. I chyba... i chyba wlasnie wtedy opetalo mnie cos.

Pomyslalem, ze mogles ja popchnac, Jimmy. Pomyslalem, ze moze byles w jednym z tych swoich... zlych nastrojow... i moze popchnales ja.

294

295

Jakby dluzsze patwienie na wnuka przekraczalo jego sily, Henry odwrocil wzrok ku Holly.- Tego roku, po Atlantycie, byl taki dziwny... chłopiec, ktorego zobaczyliśmy pierwszy raz w zyciu. Mowilem, ze sie nie odzywal, ale siedziala w nim tez okropna zlosc, furia niepasujaca do zadnego dziecka. Czasem az nas przerazala... wychodzila z niego tylko, jak spal... jak snil... slyszelismy, jak zaczyna sie drzec, bieglismy do niego przez korytarz... a on kopal i tlukl rekami w materac, w poduszki, szarpal za przescieradla, rozwscieczony, wyzywajac sie na czymś w snach, i musieliśmy go budzic.

Henry przerwal. Nie patrzyl juz na Holly, tylko na swoja bezuzyteczna prawa reke, ktora spoczywala na kolanach. Piesc Jima pod dlonia Holly byla jak dokrecone imadlo.

-Nigdy nie zamierzyles sie na mnie ani na Lene, Jimmy, byles dobrym chłopcem, nigdy nie sprawiales nam klopotow. Ale tej nocy w wiatraku zlapalem cie, Jimmy, i potrzasalem toba, chcialem, zebys sie przyznal, ze to ty ja popchnales... Nie ma zadnego usprawiedliwienia dla tego, co robilem, jak sie zachowalem... poza tym, ze szalalem z bolu po Jamiem i Carze, i wowczas po Lenie, wokol mnie wszyscy umierali i pozostales tylko ty, taki dziwny,

taki dziwny i zamknięty w sobie, że mnie to przerażało, więc rzuciłem się na ciebie, kiedy powinienem był cię przytulić. Tej nocy rzuciłem się na ciebie... i nie zdawałem sobie sprawy z tego, co zrobiłem, aż po latach... kiedy było za późno.

Ptaki krążyły teraz ciasniejszym kręgiem dokładnie nad ich głowami.

-Nie - odezwała się łagodnie Holly do Jima. - Nie, proszę cię.

Dopóki Jim nie odpowiadał, Holly nie miała pojęcia, czy te rewelacje zadziałają w dobrym, czy złym kierunku. Jeżeli obwiniał siebie za śmierć babki tylko dlatego, że Henry wpoił mu poczucie winy, powinien sobie poradzić. Jeżeli winił siebie, ponieważ Lena weszła na górę, zobaczyła Nieprzyjaciela materializującego się ze ściany i owładnięta grozą cofnęła się, potknęła i zleciała po schodach, także jeszcze da radę pokonać przeszłość. Ale jeżeli Nieprzyjaciel wyrwał się ze ściany i pchnął ją...

-Uważałem cię za mordercę przez następne sześć lat, dopóki nie wyjechałeś na dalszą naukę - mówił Henry. - Kiedy ci już nie było... no, wtedy zaczęło mi się przejasniać w głowie i rozumiałem, co narobiłem. Nie miałeś nikogo, kto mógłby cię pocieszyć. Twoi rodzice nie żyli, babcia też. W miasteczku kupowałeś książki, ale nie mogłeś bawić się z innymi dziećmi, bo ten mały skurwiol Ned, dwa razy wyższy od ciebie, nie dawał ci spokoju. Tylko książki dawały ci wytchnienie. Próbowałem do ciebie dzwonić, ale nie podnosiłeś słuchawki. Pisałem, ale, o ile pamiętam, w ogóle nie odpowiadałeś na listy.

Jim siedział bez ruchu. Henry spojrzał na Holly.

-W końcu przyjechał, jak miałem wylew. Siedział koło mnie, gdy leżałem na intensywnej opiece. Nie mogłem dobrze mówić, nie umiałem powiedzieć tego, co chciałem, wychodziło nie to, bez sensu...

296

297

-Afazja - powiedziała Holly. - Przez ten wylew.-Raz, podłączony do tych wszystkich urządzeń, próbowałem mu powiedzieć, co wiedziałem prawie od trzynastu lat - że nie jest zbrojca. I że byłem dla niego okrutny.

-Nowa fala lez napłynęła mu do oczu. - Ale kiedy już to z siebie wydusiłem, było zupełnie pomieszane, nie takie, jakie miało być, i źle to rozumiał, pomyślał, że właśnie nazwałem go mordercą i boje się go. Odjechał i teraz widzę go pierwszy raz od tego czasu.

Od ponad czterech lat.

Jim siedział z pochyloną głową.



Dłonie zacisniete.

Co pamietal z tamtej nocy w wiatraku, z czesci prawdy znanej tylko jemu?

Holly podniosla sie z lawki. Nie mogla zniesc oczekiwania na reakcje Jima. Stala chwile bezradnie, w koncu znowu siadla. Jak poprzednio polozyla reke na jego piesci.

Podniosla wzrok.

Wiecej ptakow. Teraz bylo ich moze ze trzydziesci.

-Boje sie - powiedzial Jim.

Nic wiecej.

-Po tej nocy - odezwal sie Henry - nigdy nie wybral sie juz do wiatraka, nigdy nie wspomnial Przyjaciela ani ksiazki Willotta. Na poczatku pomyslam, ze to dobrze, bo skonczyl z ta obsesja... przestal byc taki obcy. Ale potem zaczalem sie zastanawiac...

Moze stracil ostatnie oparcie, jakie mial.

-Boje sie przypomnienia - powiedzial Jim.

Wiedziala, o co mu chodzi: jedno, jedyne, gleboko ukryte wspomnienie czekalo na ujawnienie. Czy jego babka umarla w wypadku, czy tez zabil ja Nieprzyjaciel. Lub czy zrobil to on jako Nieprzyjaciel.

Nie mogac juz dluzej patrzec na pochylona glowe Jima, nie mogac zniesc grymasu Henry'ego Ironhearta, obrazu winy i watlej nadziei, Holly znow spojrzala w gore - i dostrzegla, jak nadlatuja. Teraz bylo ich ponad trzydziesci. Ciely ponure niebo jak ostrza czarnych nozy, nadal wysoko, ale opadajac wprost w kierunku podworza.

-Jim, nie!

Henry spojrzal w gore.

Jim rowniez podniosl twarz, ale nie po to, zeby zobaczyc, co nadlatuje. On wiedzial, co sie zbliza. Wzniosl twarz, jakby ofiarujac swoje oczy ostrym dziobom i szalejacym pazurom.

Holly zerwala sie na rowne nogi. Stala sie teraz wyrazniejszym celem niz on.

-Jim, przeciwstaw sie temu, przypomnij sobie, na litosc boska!

Slyszala krzyki szybko opadajacych ptakow.

-Jesli nawet zrobil to Nieprzyjaciel - powiedziala, przyciskajac wzniesiona twarz Jima do

swojej piersi - poradzisz sobie z tym, mozesz normalnie zyc.

296

297

Henry Ironheart krzyknal, zszokowany, kiedy ptaki rozszalaly sie wokol Holly, trzepoczac skrzydlami, tloczac sie i odlatujac, a potem nawracajac z furkotem wieksza gromada, usilujac wywalczyc sobie droge do twarzy Jima, do jego oczu, ominac Holly. Nie atakowaly jej dziobami ani szponami, ale jak dlugo beda ja oszczedzac? Przeciez to byl Nieprzyjaciel w zupełnie nowej postaci, a Nieprzyjaciel nienawidzil jej rownie silnie jak Jima.

Ptaki, wirujac, odlecialy z podworza, uniosly sie jak masa lisci poderwana gwałtownym dmuchnieciem wiatru. Henry Ironheart byl wystraszony, ale nietkniety.

-Ukryj sie - powiedziala mu.

-Nie - odpowiedzial.

Wyciagnal bezsilna dlon. Jim nie podal mu swojej.

Gdy Holly odwazyla sie spojrzec w niebo, przekonala sie, ze ptaki nie ustapily.

Zawisly przy skraju opadajacych szarych chmur, gdzie wczesniej zebral sie drugi zastep.

Mroczna kotlowanina piecdziesieciu lub szescdziesieciu glodnych i szybkich cial.

Przy oknach i przesuwanych drzwiach wychodzacych na podworze zgromadzili sie ludzie. Dwie pielegniarki wyszly przed drzwi, ktorymi wyprowadzila na dwor wozek z Henrym.

-Wracajcie! - krzyknela do nich Holly.

Nie wiedziala, czy cos im grozi.

Fala nienawisci Jima, skierowana przeciw niemu samemu i byc moze przeciw Bogu, wynikla z samego faktu istnienia smierci, mogla przeciez wzrosnac i zatopic niewinnych. Ostrzegawczy krzyk musial wystraszyc pielegniarki, gdyz cofnely sie i stanely w drzwiach.

Znow podniosla oczy. Nadlatywalo wieksze stado.

-Jim - powiedziala z naciskiem, trzymajac jego twarz w obu dloniach i spogladajac w jego piekne niebieskie oczy, teraz lodowate od zimnego plomienia nienawisci - jeszcze tylko jeden krok, jeszcze tylko jedna rzecz do przypomnienia.

Chociaz ich oczy dzielilo jedynie kilka centymetrow, nie sadzila, aby ja widzial; spogladal poprzez nia jak w parku, kiedy zmierzala ku nim ryjaca pod ziemia istota.

Opadające ptaki kwiliły jak stado szarżujących demonów.

-Jim, do cholery, może to, co spotkało Lene, nie jest warte samobójstwa!

Ogluszający szelest skrzydeł wypełnił powietrze. Przyciągnęła twarz Jima do swojego ciała. Tak jak poprzednio nie walczył z nią, kiedy stała mu się tarcza. To dodało jej nadziei. Schyliła głowę i zacisnęła powieki, najmocniej jak mogła.

Nadleciały: jedwabne piora; gładkie zimne dzioby stukające, szperające, szukające; szpony drapiące delikatnie, potem mocniej, ale nadal nie do krwi; tłoczyły się przy niej jak głodne szczury, wijąc, ciskając się, trzepocząc, owijając wokół pleców, nog, między udami, usiłując wedrzeć się pomiędzy jego twarz a jej piersi, tam gdzie mogłyby szarpnąć

299

nac i wylupić; obijały się o jej głowę; i ciągle wrzeszczały, ostrym wrzaskiem kobiet pogrążonych w psychopatycznej furii, wdzierając się jej prosto w uszy, zadając krwi, krwi, krwi - a potem poczuła ostry ból na ramieniu, kiedy jeden osobnik ze stada rozerwał jej rekw i szarpnął za skórę.-Nie!

Uniosły się i odleciały. Nie zauważyła tego, ponieważ serce i szalejący oddech łomotały jej w uszach jak uderzenia skrzydeł. Potem uniosła głowę, otworzyła oczy i ujrzała, jak wirując, podnoszą się w olowiane niebo i dołączają do ciemnej chmury innych ptaków, masy czarnych ciał i skrzydeł, liczącej ponad dwieście sztuk.

Spojrzała na Henry'ego Ironhearta. Ptaki skaleczyły go do krwi w jedną rękę. Podczas ataku wbity w oparcie wózka, teraz znowu się wychylił, wyciągając rękę, proszaco wywołując imię Jima.

Holly spojrzała Jimowi w oczy. Siedział na ławce tuż przed nią, nadal nieobecny.

Najprawdopodobniej przebywał w wiatraku, spoglądając na babkę sekundę przed jej upadkiem, zastygły w tamtym ułamku czasu, niezdolny przesunąć filmu z obrazem pamięci o jedną klatkę dalej. Ptaki nadlatywały.

Były jeszcze daleko, tuż pod pokrywą chmur, ale w takiej liczbie, że huk łopocących skrzydeł niosł się na wielką odległość. Ich ostry krzyk brzmiał jak głosy potępionych.

-Jim, możesz pójść droga Larry'ego Kakonisa, możesz się zabić. Nie mogę cię powstrzymać. Ale jeśli Nieprzyjaciół już mnie nie chce, jeśli chce tylko ciebie, nie myśl, że jestem uratowana. Jeżeli ty umrzesz, Jim, jestem nieżywa, jestem trupem, zrobię to, co Larry Kakonis, zabije się i będę gnila z tobą w piekle, skoro nie mogę cię mieć gdzie indziej!

Kiedy po raz trzeci przytuliła do siebie twarz Jima, Nieprzyjaciół - nieskończona liczba jego części - opadł na nią. Ale teraz nie kryła twarzy, nie zamknęła oczu, stała w wirze skrzydeł,

dziobow i szponow. Odpowiadala spojrzaniemna spojrzemia wielu malych blyszczacych oczu koloru nieskazanej czerni, ktore krazyly wokol niej, nie mrugajac, kazde z nich mokre i glebokie jak noc odbijajaca sie w morzu, kazde tak bezlitosne i okrutne jak sam wszechswiat albo otchlan ludzkiego serca. Wiedziala, ze wpatrujac sie w te oczy, wpatruje sie w czesc Jima, jego najglebsza, najbardziej mroczna czesc, do ktorej nie mogla dotrzec inna droga - i wolala go po imieniu. Nie krzyczala, nie wrzeszczala, nie prosila ani nie blagala, nie dawala ujscia gniewowi ani wscieklosci, ale lagodnie wypowiadala jego imie, raz za razem, z cala czuloscia, jaka go darzyla, z cala miloscia. Ptaki tlukly sie o nia tak mocno, ze trzaskaly im lotki; otwieraly zakrzywione dzioby, skrzeczaly jej w twarz, chwytaly groznie za ubranie i wlosy, szarpiac, ale nie drac, jakby dajac jeszcze jedna szanse ucieczki. Usilowaly ja zastraszyć swymi oczami, zimnymi i obojetnymi oczami zarlocznych bestii, ale nie czula leku, tylko raz za razem powtarzala jego imie, a potem obietnice milosci, az...

298

299

...odeszly. Nie wzniosly sie w niebo jak poprzednio. Zniknely. W jednym momencie powietrze bylo geste od nich i ich wscieklych okrzykow - a w nastepnym znikly, jakby nigdy nie istnialy.

Holly przez chwile jeszcze tulila Jima, potem oderwala sie od niego. Nadal spogladal raczej przez nia niz na nia i zdawal sie nie wychodzic z transu.

-Jim - odezwal sie blagalnie Henry Ironheart, wciaz wyciagajac reke ku wnukowi.

Jim jakby zawahal sie, a potem zsunal z lawki. Uklakl przed starcem. Wzial wymizerowana dlon i pocalowal.

-Babcia zobaczyla Nieprzyjaciela wychodzacego ze sciany. To sie zdarzylo po raz pierwszy i ja tez widzialem go pierwszy raz - mowil, nie patrzac na Holly ani na Henry'ego. Jego glos brzmial jak z oddali, jakby jakas czesc jego samego nadal tkwila w przeszlosci, wciaz przezywajac te straszna chwile, a zarazem czujac ulge, ze nie ma powodu do az takiego leku... - Zobaczyla go, to ja przerazilo, potknela sie, robiac krok w tyl na schodach, posliznela, upadla...

Dotknal policzkiem reki dziadka i powiedzial:

-Ja jej nie zabilem.

-Wiem, ze nie, Jim - powiedzial Henry Ironheart. - Moj Boze, wiem.

Stary czlowiek spogladal w twarz Holly. Mial tysiace pytan: o ptaki, nieprzyjaciol i istoty w scianach. Ale ona wiedziala, ze odpowiedzi przyjda innego dnia, musi zaczekac, jak ona

czekala - i rowniez jak Jim czekal.

3

Podczas jazdy przez gory i Santa Barbara Jim zapadl sie w fotel i zamknal oczy. Robil wrazenie pogrzonego w glebokim snie. Pomyslala, ze potrzebowal tego snu rozpaczliwie jak nikt, gdyz nie zaznal prawie odpoczynku przez ostatnie dwadziescia piec lat. Nie bala sie juz jego snu. Byla pewna, ze Nieprzyjaciel odszedl wraz z Przyjacielem i tylko jedna osobowosc zamieszkiwala teraz jego cialo. Sny nie otwieraly wiecej zadnych drzwi.

Na razie nie chciala wracac do wiatraka, choc zostawili tam troche rzeczy. Miala rowniez dosc Svenborga i wszystkiego, co bylo znaczace w zyciu Jima. Chciala zaszyc sie w nowym miejscu, gdzie zadne z nich jeszcze nie bylo, gdzie mozna by zaczac od poczatku, bez sladow przeszlosci ciagnacych sie za nimi.

Kiedy jechali przez wyschniety kraj pod spopielalym niebem, skladala razem kawalki obrazu:

300

301

...niezwykle utalentowany chlopiec, o wiele bardziej, niz zdaje sobie z tego sprawe, wychodzi z rzezi w Palacu Kaczora, ale jego dusza jest strzaskana. Rozpaczliwie walczac z wyrzutami sumienia, wykorzystuje fantastyczny swiata Arthura Willotta. Swa niezwykla moca kreuje Przyjaciela, wcielenie szlachetnych ambicji, i Przyjaciel opowiada mu, ze ma w zyciu do spelnienia pewna misje. Ale chlopiec jest tak przepelniony rozpacza i furia, ze sam Przyjaciel nie wystarcza. Potrzebuje trzeciej osobowosci, czegos, w co moze przelac wszystkie swoje negatywne uczucia, caly mrok, jaki w nim tkwi i go przeraza. Dlatego wzbogacajac konstrukcje opowiesci Willotta, tworzy Nieprzyjaciela. Spedza samotnie czas w wiatraku, prowadzac ozywczce rozmowy z Przyjacielem - i pozbywa sie swej furii, materializujac Nieprzyjaciela.

Az pewnej nocy Lena Ironheart wkracza w zlym momencie. Przestraszona, spada...

W szoku po tym, co wywolala sama tylko postac Nieprzyjaciela, Jim zmusza sie do porzucenia swiata fantazji, zarowno Przyjaciela, jak i Nieprzyjaciela, tak jak Jim Jamison zapomnial o spotkaniu z Obcym po uratowaniu zycia przyszlego prezydenta Stanow Zjednoczonych. Przez dwadziescia piec lat stara sie zwalczac obie osobowosci, tlumiac zarowno swoje najlepsze, jak i najgorsze cechy i prowadzac stosunkowo spokojny i bezbarwny zywot - poniewaz nie smie dopuscic do glosu mocniejszych uczuc.

Znajduje cel w nauczaniu. W pewnym stopniu staje mu sie ono odkupieniem - dopoki Larry Kakonis nie popelni samobojstwa. Pozbawiony celu, czujac, ze zawiodl Kakonisa, tak jak zawiodl swych rodzicow i jeszcze powazniej swoja babke, podswiadomie dazy do

przedłużenia odwaznej przygody Jima Jamisona, co stanowi kompensacje popelnionych bledow. A to oznacza uwolnienie Przyjaciela.

Ale uwalniajac Przyjaciela, uwalnia rowniez Nieprzyjaciela. Po tych wszystkich latach zamknecia ztera go furia, ktora staje sie jeszcze silniejsza i grozniejsza, absolutnie nieludzka w swej intensywnosci. Teraz Nieprzyjaciel staje sie czyms o wiele gorszym niz dwadziescia piec lat temu: monstrem o wyjatkowo morderczym wygladzie i temperamencie...

Tak wiec Jim nie roznil sie niczym od innych ofiar rozdwojenia osobowosci. Poza jedna rzecz. Jednym drobiazgiem. Stwarzal istoty nieludzkie zamiast ludzkich, przenosil w nie fragmenty swego "ja" i mial moc nadawania im cielesnego ksztaltu. Nie byl jak Sally Field odgrywajaca Sybil: szesnastu ludzi w jednym ciele. Byl trzema bytami w trzech cialach, a jedno z nich nalezalo do istoty zabojczej.

Holly wlaczyla ogrzewanie. Chociaz na zewnatrz musialo byc ponad dwadziescia stopni, miala dreszcze. Ale ogrzewanie jej nie pomoglo.

300

301

Kiedy wynajmowala pokoj w motelu w Santa Barbara, zegar przy recepcji wskazywal pierwsza jedenascie po poludniu. Wypelnila formularz i okazala karte kredytowa. Jim spal nadal w samochodzie.

A gdy dostala klucz, udalo sie jej przebudzic go na tyle, ze wytoczyl sie z wozu i dobrnal do pokoju. W stanie kompletnego oszolomienia od razu padl na lozko, zwinal sie i natychmiast zapadl w gleboki sen.

W automacie obok basenu kupila puszki z dietetyczna lemoniada i batony.

Wrocila do pokoju, zasunela firanki, zapalila jedna lampke i oslonila ja recznikiem, zeby przytlumic swiatlo.

Przysunela krzeslo do lozka, usiadla. Popijala lemoniade i obserwowala go, pogrzonego we snie.

Najgorsze bylo za nimi. Fantastyczny swiat zostal zlikwidowany i Jim zanurzyl sie w twarda rzeczywistosc.

Ale nie wiedziala, jakie beda nastepstwa tych zmian. Nie znala go, zanim opanowaly go iluzje, i nie wiedziala, jaki bedzie teraz. Nie miala pojecia, czy stanie sie optymistą, czy ponurakiem, i nie zdawala sobie sprawy, czy nadal bedzie dysponowal nadludzka moca tak potezna jak poprzednio. Czerpal ja z glebi swej istoty, sycac sie swiatem fantazji,

podtrzymywał niepewną równowagę psychiczną; być może teraz zostanie mu tylko takie umiejętności, jakie miał przed śmiercią rodziców - będzie umiał unieść brytfankę do ciasta, podrzucić monetę, nic więcej. I co najgorsze, nie wiedziała, czy nadal będzie ją kochał.

W porze kolacji wciąż spał.

Wyszła i znowu kupiła batony czekoladowe. Szalenstwo. Skonczy tak gruba jak matka, jeśli nie weźmie się w karby.

O dziesiątej spał nadal. Jedenasta. Północ.

Zastanawiała się, czy go nie obudzić. Ale pomyślała, że spi jak poczwarzka, przechodząc ze starego życia w nowe. Gasienica potrzebowała czasu na zamianę w motyla. Taka przynajmniej miała nadzieję.

Gdzieś między północą a pierwszą usnęła na krześle. Nie sniła.

Obudził ją.

Spojrzała w jego cudowne oczy, które w słabym świetle przesłoniętej recznikiem lampy nie były zimne, choć nadal tajemnicze.

Pochylił się nad jej krzesłem, potrząsając nią łagodnie.

-Holly, obudz się. Musimy jechać.

Natychmiast opadł z niej sen, wyprostowała się.

-Jechać, gdzie?

-Do Scranton w Pensylwanii.

-Po co?

-Jutro po południu, o wpół do czwartej, nieostrożny kierowca szkolnego autobusu będzie chciał wyminąć pociąg na przejeździe kolejowym - mawiał, chwytając kawalek napoczętego batonika, zrywając z niego opakowanie i wgryzając się w niego.

-Dwadziestoro szescioro dzieci zginie, jeśli nie przybedziemy na czas.

-Widzisz to wszystko? Całość, nie tylko część? - spytała, wstając z krzesła.

-Oczywiście - powiedział z ustami zapchanymi batonem. Uśmiechnął się szeroko. - Znam się na tym, Holly. Przecież jestem jasnowidzem, na łaskę boską.

Odwzajemniła mu się równie szerokim uśmiechem.

-Jeszcze pokazemy, na co nas stac, Holly. - Przepelnial go entuzjazm. - Superman?

Po jaka cholere marnowal tyle czasu, trzymajac sie tej gazetowej robotki, kiedy mogl robic tyle dobrego?

-Zawsze sie nad tym zastanawialam. - Holly lamal sie glos. Ulga mieszala sie w nim z miloscia do Jima. - Swiat jeszcze nie widzial czegos takiego jak my, mala. - Ucalowal ja, obmazujac czekolada. - Jasne, musisz nauczy sie sztuki walki, poslugiwania sie bronia i kilku innych rzeczy. Ale dobrze ci to pojdzie, jestem pewien.

Rzucila mu sie na szyje, usciskala goraco, ze szczera radoscia.

Miala cel.

## SPIS TRESCI

CZESC PIERWSZA 3 BOHATER I PRZYJACIEL 12 SIERPNIA 4 OD 20 DO 22 SIERPNIA 28 OD 24 SIERPNIA DO 26 SIERPNIA 58 CZESC DRUGA 127 WIATRAK OD 27 SIERPNIA DO 29 SIERPNIA 128 CZESC TRZECIA 243 NIEPRZYJACIEL RESZTA Z 29 SIERPNIA 244 Document Outline OD 24 SIERPNIA DO 26 SIERPNIA OD 27 SIERPNIA DO 29 SIERPNIA

This file was created with BookDesigner program

[bookdesigner@the-ebook.org](mailto:bookdesigner@the-ebook.org)

2010-01-28

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; [msh-tools.com/ebook/](http://msh-tools.com/ebook/)